

Uniwersytet Łódzki
Wydział Filologiczny

ALEKSANDRA EWELINA SELIGA

**„KAPŁAN-LITERAT, WYKWINTNY KSIĄDZ-ESTETA”
JAN „ŁADA” GNATOWSKI (1855-1925) – KAZNODZIEJA NIEPROWINCJONALNY**

Rozprawa doktorska napisana pod kierunkiem
dr hab. Doroty Samborskiej-Kukuć, prof. UŁ

Łódź 2015



Wprowadzenie	7
--------------------	---

Rozdział I.

Próba rekonstrukcji biografii w oparciu o dostępne źródła drukowane i rękopiśmienne

1.1. Najwcześniejsze lata życia. Dzieje dworku w Skarżynówce	14
1.2. Lata szkolne. Okres odeski i krakowski	22
1.3. Studia doktorskie i pierwsze podróże	26
1.4. Początki krytyki literackiej. Działalność publicystyczna i polityczna	29
1.5. Emigracja. Kariera kościelna	32
1.6. Okres lwowski. Praca w gimnazjum, odczyty, salon literacki ...	37
1.7. Powrót do Warszawy. Postępująca choroba	47
1.8. Ostatnie lata życia	52

Rozdział II.

Literatura podróżnicza

2.1. Słowo wstępne	54
2.2. <i>Listy z Konstantynopola</i>	57
2.3. <i>Listy z Berlina</i>	84
2.4. <i>Listy znad Adriatyku</i>	99

Rozdział III.

Literatura katechizująca i patriotyczna

3.1. „Gdy o duszę ludzką się walczy, trzeba całego siebie oddać w ofierze...” – początki okresu dewocyjnego	118
3.2. <i>Ostatnia msza</i> jako echo represji powojennych w literaturze polskiej	133
3.3. Gnatowski – nauczyciel, Gnatowski – kaznodzieja. <i>Pastele</i> jako zbiór sześciu tendencyjnych nowel prałata	141
3.3.1. Echa pracy nauczycielskiej. „Obrazki szkolne” – <i>Wiosną, Majówką, W otchłań</i>	142
3.3.2. „Czy warto poświęcić cudze szczęście i spokój najbliższych i najdroższych?” – <i>W Tyrolu</i> jako opowieść o walce marzeń z powinnościami	162
3.3.3. <i>Kto on?</i> oraz <i>Atak cholery</i> – dwie humoreski dołączone do zbioru <i>Pastele</i>	171
3.4. Powrót do „kraju lat dzieciennych...” Tom <i>Z doliny łez</i> jako próba pokazania polskiej rzeczywistości po upadku powstania styczniowego	184
3.4.1. Tragiczne losy zesłańców i emigrantów „wysadzonych z siodła” – <i>Na śmierć, Wrócić!</i>	184
3.4.2. <i>Z ciężkich dni</i> i <i>Kra! Kra! Kra!</i> jako przykłady losu księży podczas represji powojennych	195
3.5. <i>Jak liście z drzew strącone...</i> – między miłością a obowiązkiem patrioty	204

3.6. <i>Sweet boy. Trzy nowele</i> – tendencyjne „szkice z życia”	214
3.7. <i>Proboszcz z Priesslau</i>	233
3.8. „Przy tem łożu śmierci rozegrałaby się między nami walka ostatnia – o duszę”. <i>Lucifer</i> jako odpowiedź katolickiego duchownego na młodopolską fascynację satanizmem	239

Rozdział IV.

Literatura fantastyczna

4.1. <i>Oman. Czarodziejska historia o Rycerzu-upiorze, o Wodnicy-topielicy i padewskim studencie</i> – słowiańska baśń z gotyckim sztafażem	250
4.2. „Każdy w tym kraju nieszczęsnym sam sobie sprawiedliwość wymierza i gotów raczej Tatarzyna na obronę prywaty przywołać, niżeli jej <i>pro bono publico</i> poniechać” – <i>W zaklętym zamczysku. Powieść z lat dawnych</i> jako krytyka czasów „złotej wolności szlacheckiej”	271
4.3. „A trąby Archaniołów grać poczęły ziemi umarłej pierwsze hasło Zmartwychpowstania: Na sąd! na sąd!! na sąd!!!” – opowieść „z ostatnich dni świata” – <i>Antychryst</i>	291
4.4. „To nie takie sobie szalbierstwo, ale coś, co przekracza szranki ustanowione między życiem a śmiercią i łamie cały ład!” – spirytyzm jako jedno z zagrożeń duchowych w <i>Białych i czarnych duchach</i>	307

4.5. „Między teorią a praktyką walki wolnościowej zbyt wielka jest rozbieżność, rozbieżność ta to otchłań bez dna”. <i>Zły czar</i> – ostatni głos w walce „o dusze”	317
4.6. Pozorna ewolucja poglądów	328
 Zakończenie	 330
 Indeks osób	 333
 Bibliografia	 336
 Spis ilustracji	 344
 Nota edytorska	 345

WPROWADZENIE

Sumienny krytyk i literat o szerokim zakresie wiedzy, ksiądz Gnatowski nie należał jednak do tych pisarzy, którzy zasklepiają się w bibliotekach i starych książkach, nie widząc poza niemi świeżego źródła życia¹.

Posiadał wielką kulturę literacką i artystyczną, (...) nie bez odpowiedniej dozy snobizmu. W młodości, burzliwej pono i rozmaitej, zwędrował kawał świata i umiał interesująco opowiadać o wielu rzeczach².

(...) ks. Jan Gnatowski był bezsprzecznie jedną z najwybitniejszych postaci wśród polskiego duchowieństwa³.

Wśród setek literatów i publicystów, których okres twórczości przypada na wiek XIX, kryje się wielu pisarzy *minorum gentium* – często zdolnych, lecz niedocenianych czy zwyczajnie zapomnianych w „dziejowej zawierusze”. Istnieją badacze studiujący z całą pieczołowitością dzieła autorów znanych i wybitnych, są jednak i tacy, którzy naukowe swe zainteresowania kierują w stronę tych wspomnianych wcześniej – czerpiąc niemałą satysfakcję z odkrywania faktów z życia nieznanych twórców oraz opracowywania i interpretowania ich dzieł.

Takim zapomnianym pisarzem mniejszego formatu jest ksiądz Jan „Łada” Gnatowski, żyjący i tworzący na przełomie XIX i XX wieku (1855-1925). Prawie żadne z jego licznych dzieł nie doczekało się reedycji, o naukowym opracowaniu i komentarzu nie wspominając.

Utwory i artykuły krytyczno-literackie, które po sobie pozostawił, nie wyróżniają się na tle epoki, w jakiej powstawały. Częstokroć były to mniej lub bardziej udane próby naśladownictwa stylu pisarzy uznanych za wyjątkowo utalentowanych. Intrygująca natomiast wydaje się sama biografia prałata Gnatowskiego.

Urodzony w 1855 r. w Skarżynówce na Podolu, od najmłodszych lat przejawiał zamiłowanie do podróży. Jeszcze przed rozpoczęciem studiów filozoficznych w Krakowie zdołał odebrać gruntowne wykształcenie w Rydze i Odessie. Kształcił się także w Wiedniu, by następnie podczas wędrówki po krajach basenu Morza Śródziemnego przygotowywać rozprawę doktorską z zakresu historii sztuki. Młodość jego określano jako „burzliwą i rozmaitą”; tym bardziej dziwić może fakt, iż w wieku 29 lat postanowił nagle, zaskakując

¹ A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski*, „Ateneum Kapłańskie” 1925, t. 16, nr 190, s. 100.

² S. Łempicki, *Złote paski. Wspomnienia ze szkoły galicyjskiej*, Warszawa 1957, s. 10.

³ A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 100.

tym niemal wszystkich członków rodziny i bliskich przyjaciół⁴ – wyjechać do Innsbrucka na studia teologiczne. Jak się okazało, święcenia kapłańskie otworzyły mu drogę do kariery. Już kilka lat później został tajnym szambelanem papieża Leona XIII, pełniąc jednocześnie obowiązki sekretarza nuncjatury monachijskiej. Tymczasem nastąpił kolejny zwrot w jego życiu: rezygnując z służby dyplomatycznej, wybrał zawód gimnazjalnego katechety, opuszczając Monachium i osiedlając się we Lwowie. Nie wykonywał bynajmniej tego zajęcia do końca swoich dni, kilkanaście lat później przeprowadził się bowiem do Warszawy. Podróżował więc Gnatowski po świecie, próbując swych sił jako dyplomata, krytyk literacki, wreszcie – twórca dość poczytnych w tamtym okresie utworów. Był znakomitym obserwatorem i komentatorem rzeczywistości, toteż jego „literackie fotografie”, drukowane w popularnych ówczesnie pismach oraz wydaniach osobnych, cieszyły się dużym zainteresowaniem.

Gnatowski był pisarzem o szerokim *spectrum* zainteresowań. Karierę rozpoczynał od artykułów tworzonych w duchu konserwatyzmu, czym naraził się na krytykę środowisk liberalnych. Po serii tendencyjnych szkiców oraz „zbeletryzowanych kazań”, jakie tworzył przez większość życia, dziwić może nagły zwrot w jego późnej twórczości w stronę powieści grozy, których tematyka oscylowała wokół „magicznych” i „spirytystycznych” wątków. Paradoksalnie w ostatnim okresie życia – kiedy stracił wzrok – wydawał najobszerniejsze i najbarwniejsze powieści, których bohaterami były intrygujące, ontologicznie niejasne postaci. Wraz z upływem czasu Gnatowski pozwalał sobie na coraz śmielsze koncepty – w noweli *Lucifer* z 1913 r. nakreślił postać Zieniewicza, który staje się kapłanem Lucyfera, nie mamy tu jednak jeszcze do czynienia z żadną „nadnaturalną” postacią; w późniejszych o siedem lat *Białych i czarnych duchach* opowiedział historię opętania Jadwigi, głównym antagonistą czyniąc „złego ducha”; ale już w *Antychryście*, jednej z jego ostatnich powieści, opisał wojnę pomiędzy wyznawcami Chrystusa i wysłannikiem szatana, którego postać odmalował z wielką fantazją. Wydaje się, że jako ksiądz z niepokojem obserwował modny pod koniec XIX wieku satanizm i spirytyzm. We Lwowie wygłaszał cykl odczytów dotyczących masonerii oraz – jak podają źródła – zgłębiał historię spirytyzmu na własną rękę⁵. Wiele jego powieści nosi znamiona literatury pisanej „ku przestrodze”, niepodobna jednak nie zauważyć w nich – być może nieświadomego – pierwiastka fascynacji⁶. Czy

⁴ Zob. J. Kleiner, *Jan Łada*, „Tygodnik Ilustrowany” 1925, nr 43, s. 865.

⁵ Zob. [b.a.], *Kult szatana*, „Gazeta Lwowska” 1896, nr 90, s. 4.

⁶ Badacze wydają się zgadzać z tą tezą. U Henryka Dubowika czytamy: „Groza mamideł szatańskich – jak pisze Juliusz Kleiner – pociągała szczególnie wyobraźnię Jana Gnatowskiego” (zob. H. Dubowik, *Fantastyka w literaturze polskiej. Dzieje motywów fantastycznych w zarysie*, Bydgoszcz 1999, s. 183).

pierwiastek ów tkwił w nim od zawsze, tłumiony i wypierany w okresie współpracy z Kościołem, czy może doświadczenia, jakie zdobył w trakcie licznych podróży, zdołały pobudzić jego wyobraźnię?

Tematyka utworów wydaje się więc absorbująca, jednakże nie oryginalna, niemniej jednak warto podjąć próbę zgłębienia tej twórczości – chociażby dlatego, że stanowi ona niejako „kwintesencję dziewiętnastowieczności”. Gnatowski umiejętnie łączy, splata oraz reinterpretuje liczne tematy i motywy, obecne w literaturze (nie tylko) tamtych czasów, filtrując je przez pryzmat osobistych doświadczeń czy fascynacji.

Prezentowana dysertacja ma na celu możliwie jak najdokładniejsze zbadanie życia i artystycznej twórczości Jana Gnatowskiego. Stanowi wobec tego próbę pierwszej polskiej monografii poświęconej temu autorowi. Życie prałata potraktowane zostało przede wszystkim jako dzieje jednostki, ale jest też pretekstem do szerszych dywagacji na temat losu Polaków w okresie przełomu wieków. Jako że Gnatowski był świadkiem zarówno walk powstańczych w 1863 r., jak i odzyskania niepodległości w roku 1918, wspomnienia jego stanowią ciekawy wgląd w codzienność Polaków z tamtego okresu. Życie Gnatowskiego jest z tego punktu widzenia o tyle ciekawsze, że nie popełnimy chyba *faux pas* mówiąc, że był bardziej kosmopolitą niż rodzajem „zaściankowego patrioty”. Potrafił jednakże połączyć „ciekawość świata” z walką o polską sprawę, wykorzystując przy tym swoje wpływy i znajomości.

Jak zaznacza badacz twórczości prałata Edward Jakiel, spuścizna piśmiennicza ks. Gnatowskiego obejmuje dwa bloki: twórczość krytyczną i artystyczną⁷. Niniejsza praca skupia się na prezentacji utworów przynależnych do tej drugiej grupy. O twórczości krytycznej wspomina się jedynie w rozdziale biograficznym, warto jednak mieć świadomość, iż Gnatowski przez cały czas pozostawał „aktywnym i świadomym uczestnikiem życia kulturalnego”⁸ i politycznego, publikując szkice, felietony i artykuły krytycznoliterackie na łamach wielu poczytnych pism (m. in. „Ateneum”, „Bluszczu”, „Czasu”, „Gazety Narodowej”, Tygodnika Ilustrowanego”).

Pierwsza część rozprawy poświęcona jest rekonstrukcji biografii ks. Jana Gnatowskiego. Wykorzystano w tym celu liczne źródła drukowane i rękopiśmienne, sięgając także do prywatnych archiwów rodzinnych, skompletowanych przez współczesnych przedstawicieli rodu Gnatowskich. Dzięki sumiennej i rozległej kwerendzie autorce rozprawy udało się dotrzeć zarówno do prywatnych listów pisarza, jak i do wielu opinii oraz sprawozdań

⁷ Zob. E. Jakiel, *Księżda Gnatowskiego obraz współczesności. Wybrane zagadnienia literackie*, [w:] *Literatura niewyczerpana. W kręgu mniej znanych twórców polskiej literatury lat 1863-1914*, red.: K. Fiołek, Kraków 2014, s. 362.

⁸ *Ibidem*, s. 361.

dotyczących jego działalności, które ukazywały się przede wszystkim w prasie tamtego okresu. W rekonstrukcji biografii starano się unikać szeroko rozumianego wartościowania, ma ona bowiem służyć przede wszystkim – na tyle, na ile to możliwe – obiektywnej prezentacji życia Gnatowskiego. Zaczynając od wczesnej młodości i dziecinnych lat spędzonych w szlacheckim majątku rodzinnym, poprzez edukację i święcenia, aż po ostatnie jego aktywności emerytalne – przyglądamy się życiu Gnatowskiego, próbując jednocześnie dociekać motywów jego postępowania, prezentując przyczyny i skutki decyzji, które podjął w czasie swego tyleż długiego, co barwnego życia.

W drugim rozdziale analizuje się twórczość Jana Gnatowskiego przynależną do tzw. „okresu podróżniczego”. Mowa przede wszystkim o pisywanych do prasy sprawozdaniach („listach”) z podróży. Podmiotem opisu stanie się więc „Gnatowski – *homo viator*”: student, młody i początkujący literat pozostający pod znaczącym wpływem uniwersyteckich mentorów, na przykład prof. Stanisława Tarnowskiego. Przyglądając się pierwszym tekstom Gnatowskiego z tego okresu, spróbujemy znaleźć odpowiedź na pytanie, czy planował już wtedy przyjąć święcenia kapłańskie, czy może wartości jego i priorytety diametralnie różniły się od tych, których bronił później. Zbadamy ponadto opinię Gnatowskiego-podróżnika na temat zwiedzanych przez niego krajów i ich mieszkańców, analizując stosowaną przez autora interesującą technikę „literackich fotografii”.

Kolejny fragment pracy stanowi szczegółową analizę literatury „katechizującej”⁹ i patriotycznej prałata, w jakiej koncentruje się na prezentacji wzorców „chrześcijańskiego życia”, ale też tworzy tendencyjne szkice będące echem posługi nauczycielskiej: jako „twórca zaangażowany” komentuje stan polskiej edukacji, podziały społeczne, burze i huragany okresu adolescencji. Tworzy też Gnatowski w tym okresie liczne utwory wspomnieniowe bądź prezentuje losy żołnierzy-powstańców, poruszając problematykę narodowowyzwoleńczą w tomie *Z doliny łez* bądź jednoaktowym dramacie *Jak liście z drzew strącone...*

Czwarty rozdział poświęcony jest fantastycznym powieściom Gnatowskiego, ze wskazaniem na powracające w nich tematy i motywy obsesyjnie dręczące wyobraźnię owego twórcy. Interpretując je przy pomocy rozmaitych szkół metodologicznych, postaramy się osadzić powieści Gnatowskiego w literaturze i kulturze epoki modernizmu. Podjęto tutaj również pewien wysiłek komparatystyczny i intertekstualny, aby odnaleźć w twórczości Gnatowskiego motywy zaczerpnięte od innych (polskich bądź zagranicznych) twórców.

⁹ Takiego określenia względem twórczości Gnatowskiego podejmującej wątki religijne (czasem wręcz dewocyjne) używamy za Edwardem Jakielem (Zob. E. Jakiel, *Księdza Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 372.)

Nie jest to pisarz, który w sposób spektakularny przyczynił się do rozwoju literatury polskiej – skupiony na współczesnych mu problemach, twórczością swą starał się przede wszystkim je komentować. Nie oznacza to jednak, iż świadomie pozwolić można na całkowite zapomnienie o jego artystycznym dorobku, który – mimo że warsztatowo nie był pierwszorzędnym – niewątpliwie wydaje się ciekawy do odkrycia i zgłębienia, czasem nawet wyróżniając się fabularnymi konceptami „w zasadzie niemającymi odpowiedników w innych utworach tego czasu”¹⁰.

Przegląd **stanu badań** nad twórczością prałata nie jest zadaniem trudnym z uwagi na niewielką ilość publikacji, w których podejmuje się tę problematykę. Prócz artykułów krytycznych oraz recenzji¹¹, jakie ukazywały się w prasie na bieżąco – za życia Gnatowskiego – dysponujemy kilkoma tekstami i wzmiankami rozproszonymi po opracowaniach zbiorowych dotyczących twórczości polskich pisarzy tamtego okresu.

Dorobek literacki Łady znalazł się w orbicie prac badawczych Edwarda Jakiela. W artykule pt. *Księdza Gnatowskiego obraz współczesności. Wybrane zagadnienia literackie*, który ukazał się w pokonferencyjnym tomie poświęconym literatom „nie-doczytanym”, Jakiel skupia się przede wszystkim na utworach, w których Gnatowski komentuje współczesną mu rzeczywistość. Przygląda się krytyce literackiej prałata, jego „obrazkom z życia” (a więc nowelom i opowiadaniom), a także powieściom, w których pisarz podejmuje tematykę soteriologiczną i „okultystyczną”¹².

Osobny szkic poświęcił także Jakiel analizie opowiadania *Lucifer*, by udowodnić tezę, iż główny bohater utworu – mimo pozornego odejścia od Kościoła i fascynacji postacią Lucyfera – w rzeczywistości nigdy nie przestaje być księdzem (*clericalis*), „ma bowiem odcisnięte piętno kapłaństwa w sobie, w duszy”¹³.

Wzmianki dotyczące utworów Gnatowskiego pojawiają się także w dwóch pracach badawczych uczonego – w *Młodopolskich portretach biblijnych* przytacza krytyczne opinie prałata dotyczące też głoszonych przez Ernesta Renana, powołując się na studium pt. *Ernest Renan*, publikowane w *Wyborze pism* Gnatowskiego z 1896 r.¹⁴ Kilka uwag dotyczących między innymi opowiadania *Ostatnia msza* znalazło się ponadto w pracy Jakiela pt. *W służbie*

¹⁰ *Ibidem*, s. 375.

¹¹ Oprócz artykułów i recenzji prasowych twórczości prałata przyglądał się Piotr Chmielowski, m. in. w *Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej* (Warszawa 1900) oraz opracowaniu *Dziele krytyki literackiej w Polsce* (Warszawa 1902).

¹² Przez „tematykę okultystyczną” rozumiemy tu utwory, w których podejmuje się wątki krytykujące młodopolską fascynację spirytyzmem i okultyzmem.

¹³ E. Jakiel, *Clericalis – bohater Lucyfera Jana Gnatowskiego*, „Słupskie Prace Filologiczne. Seria Filologia Polska” nr 2, Słupsk 2004, s. 77.

¹⁴ Zob. E. Jakiel, *Młodopolskie portrety biblijne. Wybrane zagadnienia i kreacje*, Gdańsk 2007, s. 61-62.

*katechezy. Teksty literackie w periodykach religijnych 1890-1918 w kontekście Młodej Polski*¹⁵.

Literaturze fantastycznej Gnatowskiego poświęcił dość obszerny ustęp Henryk Dubowik, który w książce *Fantastyka w literaturze polskiej. Dzieje motywów fantastycznych w zarysie* nazywa, co prawda, prałata „pisarzem drugorzędnym”, ale dość wnikliwie przygląda się powieściom: *Oman*, *Antychryst* oraz *Białe i czarne duchy*¹⁶.

Drobne uwagi dotyczące opowiadania *Z ciężkich dni* znaleźć możemy w szkicu pt. *Wychowanie religijne dzieci i młodzieży szkolnej na ziemiach polskich przełomu XIX i XX wieku w świetle literatury pięknej i pamiętnikarskiej*, którego autorem jest ks. Czesław Galek¹⁷. Wspomina w nim heroizm bohatera utworu, księdza Wierzejewskiego, analizując kreacje szkolnych katechetów w kontekście przymusowej rusyfikacji.

Postawę Gnatowskiego dotyczącą kwestii asymilacji Żydów prezentuje Krzysztof Lewalski w opracowaniu pt. *Kościół chrześcijański w Królestwie Polskim wobec Żydów w latach 1855-1915*¹⁸, gdzie powołuje się przede wszystkim na artykuł prałata pt. *W kwestii żydowskiej*.

Należy podkreślić, że im dalej od śmierci Gnatowskiego, tym mniej artykułów i prac poświęcano jego twórczości, komentowanej raczej jedynie za jego życia. Krzysztof Biliński w swym „fundamentalnym rozpoznaniu naukowym problemu twórczości polskich księży modernistów”¹⁹ skupia się przede wszystkim na postaciach Franciszka Statecznego, Antoniego Szandlerowskiego i Izydora Wysołucha²⁰, nie przyglądając się wnikliwiej osobie prałata.

Ostatnie – lecz bez wątpienia drogocenne – źródło, stanowi Archiwum Rodzinne Gnatowskich, skompletowane i udostępnione autorce dysertacji dzięki uprzejmości żyjących przedstawicieli rodu, w tym Romana Gawędy. Dzięki rzetelnej kwerendzie udało się odnaleźć zarówno listy prałata, jak i drzewo genealogiczne Gnatowskich oraz kilkadziesiąt fotografii Skarżynówki – majątku szlacheckiego, w którym pisarz spędził dzieciństwo. W Bibliotece

¹⁵ Zob. E. Jakiel, *W służbie katechezy. Teksty literackie w periodykach religijnych 1890-1918 w kontekście Młodej Polski*, Gdańsk 2010, s. 414-415.

¹⁶ Zob. H. Dubowik, *Fantastyka w literaturze polskiej. Dzieje motywów fantastycznych w zarysie*, Bydgoszcz 1999, s. 183-187.

¹⁷ Zob. ks. Cz. Galek, *Wychowanie religijne dzieci i młodzieży szkolnej na ziemiach polskich przełomu XIX i XX wieku w świetle literatury pięknej i pamiętnikarskiej*, „Studia Pastoralne” 2009, nr 5, s. 217.

¹⁸ Zob. K. Lewalski, *Kościół chrześcijański w Królestwie Polskim wobec Żydów w latach 1855-1915*, Toruń 2013, s. 133.

¹⁹ E. Jakiel, *Księdza Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 371.

²⁰ Zob. K. Biliński, *Literackie przejawy modernizmu katolickiego w Polsce, O twórczości Franciszka Statecznego, Antoniego Szandlerowskiego i Izzydora Wysołucha*, Gdańsk 1994.

Narodowej oraz Jagiellońskiej zachowały się przede wszystkim listy, pocztówki oraz zdigitalizowane czasopisma, w których Łada publikował swoje reportaże i eseje.

Nie powstało dotychczas monograficzne ujęcie dzieł Jana „Łady” Gnatowskiego. Prezentowana rozprawa (oprócz rekonstrukcji biografii) analizuje wszystkie drukowane utwory pisarza obejmujące jego twórczość artystyczną. Przyszłe badania, jakie autorka prowadzić zamierza nad dorobkiem literackim Gnatowskiego, obejmą zarówno jego liczne artykuły prasowe, niedrukowane powieści (*Hetmanik*; *O śpiących rycerzach i czuwającym królu*), „zaginione utwory”, jak i obszerny zbiór listów do rodziny bądź przyjaciół, które zachowały się w rękopisach dostępnych przede wszystkim w Bibliotece Narodowej.

Liczne ustępy dysertacji pozbawione odwołań do jakichkolwiek źródeł wynikają przede wszystkim z ich braku. Tę rażącą lukę i dziejowe przemilczenie autorka dysertacji ma ambicję zapełnić literaturoznawczym komentarzem.

ROZDZIAŁ I

PRÓBA REKONSTRUKCJI BIOGRAFII W OPARCIU O DOSTĘPNE ŹRÓDŁA DRUKOWANE I RĘKOPIŚMIENNE

1.1. NAJWCZEŚNIEJSZE LATA ŻYCIA. DZIEJE DWORKU W SKARŻYNÓWCE

O najważniejszych datach związanych z życiem Jana Gnatowskiego dowiedzieć się możemy z tak zwanych nekrologów, to jest niewielkich artykułów pisywanych *in memoriam* i publikowanych po śmierci znanych osobistości. 14. tom bibliografii literatury polskiej *Nowy Korbud* podaje informację o czterech nekrologach, które ukazały się w „Tygodniku Ilustrowanym”, „Przeglądzie Katolickim”, „Tygodniku Polskim” (wydawany w miejscowości Harbin) i wreszcie w „Wiadomościach Literackich”¹.

43 numer „Przeglądu Katolickiego” z 1925 r. informuje: „Ks. Prałat Gnatowski urodził się dn. 10 lipca 1855 r., w rodzinnym majątku Skarżenówce na Podolu²”. Tymczasem nota biograficzna w tzw. *Nowym Korbucie* podaje datę 22 lipca, nastąpiło więc dwunastodniowe przesunięcie związane z odmiennym systemem liczenia dat w kalendarzu gregoriańskim i kalendarzu juliańskim.

Skarżynówka³ była majątkiem ziemskim usytuowanym na Podolu (w Humańszczyźnie). Sami Gnatowscy stanowili gałąź starego, szlacheckiego rodu o herbie „Łada”, stąd zapewne pseudonim używany przez prałata. Z teorią tą zgadza się Edward Jakiel, który podkreśla jednocześnie, że przydomek pisarza raczej niewiele ma wspólnego z rzekomym bóstwem czczonym na polskich ziemiach i „określanym mianem słowiańskiej Wenery”⁴.

W 1903 r. genealogię rodu Gnatowskich wyprowadzał Adam Boniecki, autor *Herbarza Polskiego*. O gałęzi, z której wywodził się prałat, pisał:

Michał pozostawił trzech synów: Tomasza, Aleksandra i Antoniego, których potomkowie wpisani zostali do ksiąg szlachty guberni podolskiej w latach 1845-1867, a mianowicie: Piotr

¹ Oczywiście, jak podkreśla Jakiel, informacje biograficzne i bibliograficzne zamieszczone w *Nowym Korbucie* nie są kompletne. Błędy wskazywane będą w niniejszej pracy na bieżąco, przy okazji analizowania życia i twórczości prałata.

² [b.a.], *Śp. Ksiądz Jan Gnatowski*, „Przegląd Katolicki” 1925, nr 43, s. 686.

³ Nazwę majątku Gnatowskich spotykamy w dwóch możliwych odmianach pisowni: Skarżynówka oraz Skarżenówka. W prezentowanej dysertacji stosujemy pierwszy zapis.

⁴ E. Jakiel, *Ksiądz Gnatowski obraz współczesności...*, s. 362.

i Antoni z synami: Januarym Bolesławem i Janem Maurycym, synowie Antoniego, wnukowie Tomasza Albin Rafał z synem Juliuszem; Augustyn z dziećmi: Julią i Antonim i Ksawery, synowie Kaspra Leopolda, wnukowie Aleksandra i Henryk z synami: Zygmunt, Pawłem i Stanisławem, syn Pawła, wnuk Michała i Jakób i Edward, synowie Tomasza, wnukowie Ignacego, wszyscy trzech prawnukowie Antoniego (...).

Do tej rodziny należy ksiądz prałat Jan Gnatowski, były sekretarz nuncjatury w Monachium⁵.

Opracowanie pt. *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej* autorstwa Seweryna Uruskiego, wydane w 1907 r. w Warszawie, podaje następującą informację:

GNATOWSKI h. ŁADA. Dawna mazowiecka rodzina, wzięła nazwisko od wsi Gnaty, w ziemi zakroczymskiej, a w początkach XV stulecia, osiedliwszy się na Podlasiu, założyła wieś Gnatów, z której podług Metryki Litewskiej 1528 r. dostawiała na potrzeby wojenne dwóch zbrojnych konnych. Licznie w XVI stuleciu rozrodzeni Gnatowscy, przenosili się w różne strony kraju, a głównie na Litwę i Wołyń (...).

Po Michale, dziedzicu dóbr Duby, na Wołyniu 1760 r., było trzech synów: Antoni, Tomasz i Aleksander; po Antonim syn Paweł, major wojsk polskich 1820 r., z synem Józefem i tego synowie: Zygmunt, Paweł i Stanisław, po Tomaszu pochodzący, January i Jan, synowie Antoniego, a po Aleksandrze pochodzący, Rafał z synem Juliuszem i August z synem Antonim, synowie Aleksandra, wylegitymowani w Cesarstwie 1849 r. i zapisani do ksiąg szlachty gub. podolskiej⁶.

Drzewo genealogiczne Gnatowskich podaje, że Jan był synem Antoniego Gnatowskiego oraz jego drugiej żony, Joanny z Opackich (ślub około roku 1850). Pierwsza żona, Michalina Gnatowska, pozostawiła Antoniemu dwóch synów – przyrodnych braci Jana – Januarygo Bolesława (przez członków rodziny zwanego Jerzym) oraz Gustawa Edmunda. Wspomnienia o nich pojawiają się w niektórych jego nowelach. Co ciekawe, January Bolesław urodził się w tym samym roku, co Jan (1855) lecz był synem poprzedniej żony Antoniego Gnatowskiego. Gustaw Edmund przyszedł na świat w 1841 roku, był więc starszy o 14 lat⁷.

⁵ A. Boniecki, *Herbarz Polski*, t. VI, Warszawa 1903, s. 129.

⁶ S. Uruski, *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej*, t. IV, Warszawa 1907, s. 205-206.

⁷ Informacje opracowane na podstawie archiwów rodzinnych udostępnionych przez współczesnych przedstawicieli rodu Gnatowskich. Drzewo umieszczamy na końcu dysertacji.



Skarżynówka zajmowała we wspomnieniach Gnatowskiego miejsce szczególne. W noweli *Doczekał!* opublikowanej w piśmie „Czas” w 1897 r. (w 1916 r. wydana została osobno nakładem drukarni „Polaka-Katolika” w Warszawie), przeczytać możemy:

Wsi cicha, wsi zielona w gąszczu kwiecistych sadów i łąk srebrzystych rosą, w lśniącym wieńcu stawów i czarnego sitowia, wsi moja rodzinna, gdzie jesteś i co stało się z tobą? Czy jak dawniej pachną miodem lip twoje futory, do których konno pędziłem tak chętnie za lat moich młodych, brnąc w wyższych ode mnie trawach i burzanach i schylając głowę na łeb wiernego konia, aby mnie z dala nie dostrzegła pogoń, wysłana przez nauczyciela? Czy kwitną na wiosnę bzy i czeremchy dokoła ogrodzenia cerkwi i przy Ilkowej chacie; czy pamiętają jeszcze ludzie stuletniego pasiecznika Matwija (...); czy żyje stary Oleksa, co mnie na konia podsadzał i pocziwy Maksym, który lichego strzelca ukradkiem przed dworską służbą podprowadzał na kaczki w Iwangrodzkich błotach? Czy dokoła starego dworu świerki i modrzewie, dziadowską ręką sadzone, szumią bez przerwy swą pieśń żalobną tym, co odeszli i nie wrócą: czy w pustych, zamkniętych izbach, pełnych niegdyś wesołego gwaru, z portretów butwiejących po ścianach, w noc księżycową nie schodzą blade mary i nie przesuwają się cicho i smętnie w tym domu śmierci i zapomnianych wspomnień? W gzemsach głównego ganku, wśród powojów i wina, uwiły sobie gniazda jaskółki – pamiętam, wiosna była wtedy – czy i one odleciały od gniazda w dal obcą i nieznaną, odleciały, jak ja, bez powrotu? (...)

Od kiedy myślą sięgnąć potrafię, wspomnienie S.....ki [Skarżynówki], łączy się u mnie zawsze z postacią pocziwego pana siewnika w jego szafirowym fraku ze złotymi guzikami⁸.

Kilka podstawowych informacji na temat Skarżynówki znajdziemy w encyklopedycznym *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*. Tom X z roku 1889 zawiera następującą notę:

Skarżynówka, mylnie Skarżenówka, wieś nad rzeką Kubliczem, dopływ Sobu, powiat hajsyński, okręg polski Teplik, gmina Krasnopółka, parafia katolicka i sąd Granów, (odległość 20 wiostr), o 27 wiostr od Hajsyna, 100 wiostr od Bałty, ma 81 osad, 754 metry kwadratowe, 609 dzies. ziemi włośc., 650 dworskiej, 34 cerkiewnej. Cerkiew p.w. św. Michała, wzniesiona w 1785 r., ma 989 parafian. Znajduje się tu gorzelnia, założona w 1850 r., zatrudniająca 13 ludzi; w 1886/7 r. wyprodukowano 1,013,370 st. spirytusu; dwa młyny wodne. Grunt czarny. Należała do Czartoryskich, Opackich, dziś Gnatowskich⁹.

⁸ J. Łada [Gnatowski], *Doczekał! Z dawnych wspomnień*, Warszawa 1916, s. 3-4.

⁹ E. Rulikowski, *Skarżynówka*, [w:] *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. B. Chlebowski, W. Walewski, t. 10, Warszawa 1889, s. 658.

Była więc Skarżynówka rozległym majątkiem, położonym w malowniczej okolicy, w sąsiedztwie lasów, nad rzeką Kublicz. Krajobraz ten zapewne zapadł w pamięci ks. Gnatowskiego, jeśli pisał o nim z takim rozrzewnieniem. Obraz dzieciństwa „sielskiego i anielskiego”, spędzonego we wsi kreowanej w nowelach autobiograficznych na podobieństwo Czarnolasu, kontrastuje ze wspomnieniami z 1863 r., które pojawiają się w tekstach *Na śmierć. 1863*, *Doczekał!* oraz zbiorze pt. *Pastele*.

O dzieciństwie Gnatowskiego wiadomo niewiele – skromne noty biograficzne podają jedynie szczątkowe informacje oraz daty związane z najważniejszymi wydarzeniami w jego życiu. Pozostają jedynie reminiscencje pisarza, umieszczone w zbeletryzowanej formie w utworach. Te liczne wspomnienia – zarówno z okresu dzieciństwa, jak i studiów oraz podróży po Europie – sprawiły, że w *Słowniku Polskich Teologów Katolickich* pisze się o nim w następujący sposób: „Można zaliczyć go do pamiętnikarzy, gdyż pozostawił wspomnienia z lat szkolnych, ze swoich podróży i z okresu pracy w nuncjaturze monachijskiej”¹⁰.

Oczywiście pozostawione teksty nie są *stricte* pamiętnikami, tym bardziej, że ksiądz pisał je z myślą o publikacji. Zdecydowana większość ukazywała się początkowo w czasopiśmie, z którymi współpracował Gnatowski, później wydawane były samodzielnie. Wspomnienia te stanowią wspaniały wgląd w osobiste życie pisarza, należy jednak podchodzić do nich z pewnym dystansem. Beletryzacja sprawiła bowiem, że autentyczne przeżycia księdza zostały skonwencjonalizowane – już fragmenty opisu Skarżynówki nie pozostawiają pod tym względem złudzeń. Gnatowski stosuje szablonową symbolikę, wprowadza motywy niezwykle popularne, nie pozwalając sobie, czy może nie umiając wkomponować w swoje utwory elementów oryginalnych. Skarżynówka jawi się wobec tego jako Rousseau'owska „wieś sentymentalna”, a jej opis obfituje w motywy świetnie znane w polskiej i zagranicznej literaturze („Wsi cicha, wsi zielona...”, etc).

Lata dziecięce minęły Gnatowskiemu tak, jak większości szlacheckich paniczów – na zabawach, jeździe konnej, polowaniach i kontaktach z licznymi mieszkańcami Skarżynówki. O rodzinie, przyjaciółach domu i służbie pisał często. Już pierwsza strona wymienionego wcześniej szkicu wspomnieniowego pt. *Doczekał!* staje się dla nas źródłem ciekawych informacji. Gnatowski wzdycha: „(...) czy pamiętają jeszcze ludzie stuletniego pasiecznika Matwija, od którego dzieckiem słyszałem tyle krwawych historii o hajdamakach i humanśkiej rzezi?”¹¹ Jeśli Matwój rzeczywiście żył, mógł być jedną z osób kształtujących dzięki swoim

¹⁰ Gnatowski Jan, [w:] *Słownik Polskich Teologów Katolickich*, red. H. E. Wyczawski, s. 535.

¹¹ J. Łada [Gnatowski], *Doczekał!...*, s. 3.

przerazającym opowieściom umysł młodego chłopca, który później, będąc literatem, tak często wracać będzie do najprzeróżniejszych „krwawych historii”.

Nie bez sympatii wspominał też Gnatowski osobę swojego starego nauczyciela, „sowieтника”, mężczyzny w podeszłym wieku, który pełnił w Skarżynówce rolę bez mała błazna. Pisarz relacjonował:

Do nas wszystkich przywiązany był pan sowieтник niezmiernie. O własnych krewnych nie wspominał nigdy. Czy wymarli, czy ich znać nie chciał, czy nie miał bliższej rodziny, nikt nie wiedział. Dość, że tylko w domu moich rodziców czuł się u siebie, uważał się za członka rodziny i dbał bardzo, aby go za takiego uważano i w każdej ważniejszej sprawie zasięgano jego zdania. Czyniono to oczywiście dla formy tylko i w ten sposób, aby dobrodusznego staruszka naprowadzić na takie zdanie, jakie mieli pytający. (...) Rządca z niego pokpiwał, ekonomowie mruczełi i półgłosem posyłali starego oryginała do tysiąca diabłów, młodzi oficjaliści bawili się setnie jego kosztem (...). Staruszek dawał się łapać figlarzom na najgrubsze i najniezgrabniej zastawione wędki (...) ¹².

Sowieтник staje się zresztą głównym bohaterem rzeczzonego opowiadania, a oczami jego poznajemy historię majątku rodzinnego Gnatowskich. Pisarz wspomina, że to właśnie stary nauczyciel zaimponował mu swoją skromnością i pobożnością, w czasach, kiedy przyszły ksiądz ani myślał o habicie:

– Powiedz mi – rzekł – Czy ty się co dzień modlisz, czy się spowiadasz?

Pytanie to, wyznam szczerze, tak mnie zbiło z tropu, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Modlitwa, spowiedź – mój Boże, to były rzeczy, o których się wiedziało, że je zrobić można, może wypada, może nawet (nie często oczywiście) trzeba, ale żeby o tem myśleć, mówić... Nie mieściło mi się to po prostu w głowie. (...)

– Módl się dziecko... Z Bogiem... tylko z Bogiem! (...)

Słowa takie proste, nieledwie katechizmowe, brzmiały mi wciąż w uszach dziwną harmonią i pięknnością ¹³.

Z sympatią wspomina Gnatowski służbę i pozostałych nauczycieli. W noweli *Leoncia* drukowanej w „Polaku-Katoliku” oraz tekście *Na śmierć. 1863* opisał między innymi postać Leonii, służącej swojej matki. Kilka razy wymienił także imię starej panny Felicji, która „od trzydziestu lat należała do (...) rodziny” ¹⁴.

¹² *Ibidem*, s. 14-16.

¹³ *Ibidem*, s. 74-76.

¹⁴ J. Łada [Gnatowski], *Na śmierć. 1863*, Warszawa 1916, s. 11.

Niewątpliwie powstanie styczniowe zapadło mu w pamięć jako wydarzenie traumatyczne, którego jednak nie rozumiał jako dziecko. We wspomnieniach fakty mieszą się z fantazją, dlatego trudno ustalić rzeczywisty wpływ powstania na rodzinę Gnatowskich.

Nie jest to zresztą jedyna niekonsekwencja. W opowiadaniu *Doczekał!* wyraźnie wspomina o dwójce braci, którzy postanowili wziąć udział w powstaniu. Oznaczałoby to, że oboje byli od niego starsi, tymczasem dokumenty potwierdzają, że January Bolesław był w wieku Jana. Nie wydaje się prawdopodobnym, by ośmiolatek walczył wraz z powstańcami.



1.2. LATA SZKOLNE. OKRES ODESKI I KRAKOWSKI

Kilka lat później młody Gnatowski został wysłany do szkoły w Odessie, w której pozostał do 1876 r. Aleksander Fajęcki pisał w „Ateneum Kapłańskim”:

(...) nauki pobierał w gimnazjach im. Richelieu, w Odessie, i w miejskim w Rydze. Wykładów Uniwersyteckich słuchał na Politechnice w Rydze i na wydziale filozoficznym w Krakowie i w Wiedniu do r. 1880¹⁵.

Informacje te potwierdza nekrolog, który ukazał się w „Przeglądzie Katolickim”: „Nauki średnie odbył w Odessie, studia politechniczne w Rydze, studia uniwersyteckie w Krakowie i Wiedniu”¹⁶. W Odessie spędził lata szkolne, ale nie darzył tego miejsca miłością. Wielokrotnie wspominał, że nie znał nigdy miasta, które byłoby dla niego tak nudne i nieciekawe, jak Odessa. W wydanej w 1891 r. powieści epistemologicznej pt. *Listy znad Adriatyku* pisał otwarcie: „Dolne miasto zwłaszcza przypomina całkiem Odesę, najwstrętniejsze, najbardziej banalne i bezmyślne z miast europejskich jakie znam (...)”¹⁷, za to w *Listach z Konstantynopola* czytamy:

Znam miasta podobne do siebie, puste, nudne, powszednie — ale takiego uosobienia powszedniości i nudy, jakim jest Odessa, szukać by potrzeba chyba po tamtej stronie Oceanu, w tych miastach ogromnych, wyrastających naraz podług nakreślonych naprzód planów wśród stepów amerykańskich, z gmachami, stawianymi na jeden wzór i cyframi, zastępującymi nazwy ulic. Wyobraźmy sobie tylko ogromną szachownicę, zupełnie prostokątną i czworoboczną, o średnicy siedmio czy ośmiowerstowej, z kwadratami tak zabójczo regularnymi, jakby je niemiecki profesor cyrklem wymierzał. Pomiędzy temi kwadratami idą ulice, szerokie jak place, z chodnikami, po których cztery i pięć powozów mogłoby wygodnie jechać koło siebie. Na chodnikach ciągną się równo, pod sznur, jak żołnierze we froncie, nędzne, karłowate akacje, spalone i zeschłe od słońca, białe od kurzawy. Za nimi domy jednostajne, czyste, porządne jak szpitale lub koszary, czasem z pretensjami architektonicznymi... po prostu przerażającymi. Nigdzie jakiegos wyjącego się gmachu, wszystkie podobne do siebie, jednakowo przyzwoite, oklepiane i brzydkie¹⁸.

Być może to wypadki z czasów szkolnych tak wpłynęły na Gnatowskiego, dość stwierdzić, że o okresie odeskim nie pisywał prawie nigdy. Po ukończeniu Gimnazjum im.

¹⁵ A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 100.

¹⁶ [b.a.], *Ś.p. Ksiądz Jan Gnatowski...*, s. 686.

¹⁷ J. Gnatowski, *Listy znad Adriatyku*, Warszawa 1891, s. 11.

¹⁸ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola*, Kraków 1883, s. 6-7.

Richelieu, nazwanego tak na cześć Armanda Emmanuela Sophie Septemanie du Plessisa, księcia de Richelieu, gubernatora Odessy w latach 1803-1815, postanowił kontynuować naukę na Politechnice Ryskiej. Zresztą o Odessie i Rydze wspominają wszystkie opracowania i nekrologi. Ze źródeł biograficznych wynika także, iż najpierw lata szkolne spędził w Odessie, później przeprowadził się do Rygi, miasta, które oddalone jest od Odessy o setki kilometrów. Musiał być zdolnym uczniem, skoro zyskał tak wszechstronne wykształcenie i zaznajomił się z tak wieloma dziedzinami nauki. Kiedy ukończył gimnazjum w 1876 r., miał 21 lat, wkraczał więc w wiek męski. W tym czasie ryska politechnika kształciła przyszłych inżynierów i handlowców, a zajęcia odbywały się w języku niemieckim, który Gnatowski znać musiał znakomicie (ponadto później biegle władał nim podczas studiów teologicznych w Innsbrucku). Politechniki ryskiej nie mógł jednak ukończyć, gdyż już w roku 1877 przeprowadził się do Wiednia, a następnie Krakowa, gdzie odbył studia filozoficzne. „Ateneum Kapłańskie” wspomina, iż w Rydze Gnatowski jedynie „słuchał wykładów”, przypuszczalnie był więc jednym z biernych studentów-słuchaczy. Praktyka ta była w tamtych czasach bardzo popularna.

Na wydziale filozoficznym poznał profesora Stanisława Tarnowskiego, kierownika Katedry Historii Literatury Polskiej. Ów wybitny uczony, związany ze środowiskami konserwatywnymi, musiał mieć na młodego Gnatowskiego silny wpływ, gdyż jako krytyk literacki Łada zaczął zwalczać nowe prądy, podobnie jak jego uniwersytecki mentor. W *Słowniku polskich teologów katolickich* czytamy: „(...) w 1877 r. rozpoczął na Wydziale Filozoficznym Uniw. Jagiellońskiego studia literatury, ulegając wpływom prof. St. Tarnowskiego co do poglądów i stylu swojej działalności literackiej”¹⁹.

Podobną informację znaleźć można w *Polskim Słowniku Biograficznym*: „Początkowo pozostawał pod silnym wpływem prof. St. Tarnowskiego, jemu też dedykował pierwsze swe studium *Realizm w sztuce nowoczesnej*”²⁰.

Studium, o którym mowa, ukazało się w 1878 r. na łamach „Przeglądu Lwowskiego”, pod nazwą *O realizmie w literaturze nowoczesnej*. Był to literacki debiut dwudziestotrzyletniego Gnatowskiego, napisany jeszcze w okresie studiów, który spotkał się z aprobatą środowisk konserwatywnych i dużą krytyką pisarzy związanych z nowymi prądami (już w 1879 r. „Przegląd Tygodniowy” wydrukował niepocholebną odpowiedź, napisaną przez Józefa Kotarbińskiego, pt. *Wsteczniectwo w krytyce literackiej*). Zresztą

¹⁹ Gnatowski Jan, [w:] *Słownik Polskich Teologów Katolickich...*, s. 535.

²⁰ K. Lewicki, Gnatowski Jan, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, red. K. Lepszy, tom VIII, s. 139.

nieprzejęty sceptyczną oceną swojego debiutu, kontynuował Gnatowski działalność publicystyczną na łamach coraz większej ilości gazet²¹.

Rzeczona studia na wydziale filozoficznym, jak wspomniano wcześniej, rozpoczął na Uniwersytecie Wiedeńskim, a dopiero ukończył je w Krakowie. Pragnął najwyraźniej odebrać wykształcenie w jak największej ilości szkół wyższych, na co być może wpłynęło jego zamiłowanie do podróży, a może chęć porównania systemu edukacji różnych krajów. Nota biograficzna autorstwa Zygmunta Sarneckiego, opublikowana w piśmie „Świat” z 1895 r. podaje: „Nauki pobierał w Odessie i Rydze, uczęszczał na uniwersytet w Wiedniu, ukończył go w Krakowie (wydział filozoficzny)”²².

Nota ta, dość szczegółowa, musi być także wiarygodną, bowiem Zygmunt Sarnecki był wieloletnim przyjacielem i krewnym Gnatowskiego. Jemu też dedykował Łada wydane w 1883 r. *Listy z Konstantynopola*. W dodatku obecność w Krakowie potwierdza *Katalog Studentów Wydziału Filozoficznego UJ z lat 1877-1880* i *Album Immartykułowanych z 1877 roku*. Ponadto pierwszy tom *Wyboru Pism Gnatowskiego* pt. *Studia*, wydany we Lwowie w 1896 roku, zawiera następującą dedykację: „Swoim dawnym profesorom na filozoficznym wydziale Jagiellońskiego Uniwersytetu (1877-1880) ofiaruje Autor”²³.

W syntezie *Dzieje krytyki literackiej w Polsce* Piotr Chmielowski pisał:

Jako profesor historii literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim niewielu Tarnowski wykształcił uczniów, uprawiających krytykę. Właściwie wybitniejszym z pomiędzy nich jest tylko Jan Gnatowski (ur. 1836²⁴), który w początkach styl nawet mistrza naśladował, dzieląc jego przekonania i poglądy („Moja Beatrice” 1879, „Realizm w sztuce nowoczesnej” 1879, „Listy o literaturze i sztuce” 1879, „Jeden z prądów naszej poezji” 1883). Potem zostawszy księdzem, otrząsnął się z owego wpływu i zaczął pisać samodzielnie zarówno pod względem treści, jaki i formy²⁵.

„Ateneum Kapłańskie” informuje, iż Gnatowski po ukończeniu IV kursu (roku?) filozofii wyjechał z Krakowa²⁶.

²¹ W studium tym, jak pisze Jakiel, młody Gnatowski „jednoznacznie przeciwstawił się nie tyle tendencjom pozytywistycznym (...) ile samej scjentystyczno-naturalistycznej koncepcji rzeczywistości” (zob. E. Jakiel, *Księża Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 363).

²² Z. Sarnecki, *Jan Łada*, „Świat” 1895, nr 10, s. 236.

²³ J. Gnatowski, *Wybór pism. Tom I. Studia*, Lwów 1896, s. 9.

²⁴ To oczywiście Chmielowskiego.

²⁵ P. Chmielowski, *Dzieje krytyki literackiej w Polsce*, Warszawa 1902, s. 402-403.

²⁶ A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 100.



1.3. STUDIA DOKTORSKIE I PIERWSZE PODRÓŻE

Podróżnicza natura Gnatowskiego dała o sobie znać niedługo po studiach. W 1880 r. miał już 25 lat i był to zapewne czas, kiedy jego szkolni i uniwersyteccy koledzy wybierali żony i zakładali własne rodziny. Być może pociąg do wolności i przygody był u niego tak silny, że postanowił wybrać inną drogę. Zaraz po skończeniu studiów filozoficznych podjął decyzję o odbyciu szeregu podróży w celu pogłębiania swej wiedzy z zakresu historii sztuki. W „Świecie” czytamy:

Po skończeniu uniwersytetu, udał się Gnatowski w podróż na Wschód i do Włoch, gdzie w zamiarze habilitowania się na docenta historii sztuki odbywał specjalne studia nad Giottem i Trecentystami. Owocem tych studiów jest przygotowana w części, ale nie wykończona jeszcze praca wielkich rozmiarów o sztuce włoskiej tej epoki²⁷.

Być może chodzi o rozprawę pt. *Wybór pism. T. 1: Studia*, która ukazała się w 1896 r. we Lwowie. W „Tygodniku Ilustrowanym” z 1904 r. Tadeusz Czapelski pisał natomiast, że Gnatowski: „Po dwu latach, poświęconych badaniom historii sztuki we Włoszech, przede wszystkim zaś Giotta i Leonarda da Vinci, wraca do kraju i w r. 1882–1884 przebywa w Warszawie”²⁸.

Wspomnienia z podróży przyszły ksiądz umieścił w powieści pt. *Listy z Konstantynopola*. Ukazywała się w „Słowie” i „Gazecie Krakowskiej” w 1882 r., następnie została osobno odbita w Krakowie i wydana w 1883 r., lecz nie doczekała się już wznowienia.

W książce opisuje przede wszystkim swoją podróż na Wschód, stosując technikę swoistych „literackich fotografii”. Innymi słowy próbuje oddać z całą pieczołowitością i wszystkimi szczegółami wygląd miast, krajobrazów, a nawet ludzi, których mija. Tak powstałe „obrazki obyczajowe” pozwalały czytelnikom gazet, na łamach których publikowana była powieść, wyobrazić sobie egzotyczne okolice, zwiedzane przez młodego Ładę. O samym celu podróży na Wschód pisze:

Z niekrępującą się w niczem ciekawością – zwykłą cechą wschodu i południa – moi towarzysze spieszą dowiedzieć się o celu i powodach mojej podróży i z wykrzyknikami podziwienia, nie bez pewnej nieufności przyjmują odpowiedź. Ja kto! Jechać do Konstantynopola bez interesu, tylko dla widzenia miasta i Bosforu? Ale cóż tam jest do widzenia? Miasto brudne i stare, uliczki kręte, wąskie i strome, aż konie ustają. Żadnych teatrów ani nawet porządnego *café-chantant* nie ma; magazyny liche, kawiarnie nędzne, domy staroświeckie, ani komfortu, ani

²⁷ Z. Sarnecki, *op. cit.*, s. 236.

²⁸ T. Czapelski, *Jan Łada*, „Tygodnik Ilustrowany” 1904, nr 1, s. 4.

elegancji wielkomiejskiej, ani fabryk żadnych! (...) Kochani panowie, nie jadę po to, żeby patrzeć na ulice wyciągnięte pod sznur i postępy inżynierii portowej (...). Chciałem na chwilę wyrwać się, zapomnieć, puścić wodze wyobraźni, skąpać się w potokach światła i barw gorących, do których mi od dawna było tęskno, odżyć życiem od codziennego odmiennem, wśród jaskrawych łachmanów i kapryśnie wijących się zaułków wschodniego miasta²⁹.

Cała powieść przypomina współczesny przewodnik turystyczny. Gnatowski opisuje drogę do Konstantynopola oraz samo miasto, rzadko jednak czyni wtręty dotyczące prywatnego życia, ale (dla kontrastu) często ocenia – zarówno ludzi, jak i miejsca. Z listów tych wynika zresztą, że na Wschód pojechał pociągiem już po powrocie z Włoch, gdyż od czasu do czasu wspomina tam studia nad historią sztuki w Rzymie.

Z samej podróży po Italii nie zachowały się żadne opowiadania, ale jedna praca naukowa, pt. *Wpływy greckie na wybrzeżach zatoki Tarenckiej. Przyczynek do dziejów greckiej kultury*. Interesuje nas tylko o tyle, o ile wspomina momentami o wędrówkach Gnatowskiego. Praca ta bowiem, mimo swej zamierzonej „naukowości”, nie stroni od prywatnych uwag i dygresji:

Półtora roku temu [tekst pisany w 1882 r.] z małej górskiej miejsciny nad zatoką Salerno robiłem wycieczkę do Postum (...). Ani mnie, ani memu ówczesnemu towarzyszowi podróży, wiedeńskiemu profesorowi Hartlowi, nie pozwoliły okoliczności doprowadzić do skutku naszego zamiaru odwiedzenia wspólnie tych wybrzeży Tarenckiej zatoki, na które pomimo przechodzącej tamtędy kolei, odważa się puszczać tak niewielu turystów³⁰.

Krótką tą uwagą niesie ze sobą bezcenną wiadomość – Gnatowski odbył podróż po Włoszech z profesorem, którego najpewniej znał z okresu studiów w Wiedniu. Był to według wszelkiego prawdopodobieństwa profesor Wilhelm von Hartel³¹. *The New International Encyclopaedia* z 1905 r. podaje, że był on austriackim filologiem węgierskiego pochodzenia. W 1872 r. objął Katedrę Filologii Klasycznej Uniwersytetu Wiedeńskiego. Gnatowski musiał poznać go około roku 1876/7, kiedy rozpoczął w Wiedniu studia filologiczne.

Podróże jego były tematem krajowych dyskusji – szczególnie ta na Wschód, z której relacje składał w „Słowie” i „Gazecie Krakowskiej”, bowiem po wielu latach Stanisław Łempicki wspominał w powieści autobiograficznej *Złote Paski*: „W młodości, burzliwej pono

²⁹ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola*, Kraków 1883, s. 31.

³⁰ X. J. Gnatowski, *Wpływy greckie na wybrzeżach zatoki Tarenckiej. Przyczynek do dziejów greckiej kultury*, [w:] *Wybór Pism, Tom I. Studia*, Lwów 1896, s. 40-41.

³¹ D. Gilman, *Wilhelm von Hartel*, [w:] *The New International Encyclopaedia*, Daniel Coit Gilman, Harry Thurston Peck, Frank Moore Colby, Volume IX, New York 1905, s. 598.

i rozmaitej, [Gnatowski] zwędrował kawał świata i umiał interesująco opowiadać o wielu rzeczach”³².

Zgadujemy, że ten „burzliwy” aspekt młodości pisarza polegał przede wszystkim na jego ciągłych wędrówkach, a nie na skandalach obyczajowych. Już wtedy bowiem związany był ze środowiskiem konserwatywnym i nie zdarzyło mu się nigdy popełnić salonowego *faux pas*.

Podczas tych dwóch lat ciągłego podróżowania w rodzinie Gnatowskiego zaszły zmiany. 17 lipca 1880 r. w Odessie zmarła matka Jana, Joanna z Opackich. O jej śmierci pisał w opowiadaniu *Wrócić!*, które w 1896 r. ukazało się na łamach „Słowa Polskiego”, a w 1900 weszło do zbioru *Z doliny łez*:

– Miałeś ksiądz matkę? – spytał mnie nagle, podnosząc głowę. – Chcę mówić, pamiętasz ją, żyje?

Skloniłem w milczeniu głowę.

– Bóg mi ją zabrał – rzekłem wreszcie. – Świętą była.

– A... bardzo... bardzoś ją ksiądz kochał?

Znów pomilczałem, nim mogłem zdobyć się na odpowiedź.

– Po śmierci jej, księdzem zostałem, żeby móc żyć.

– Rozumiem – odparł, patrząc na mnie – rozumiem³³.

Czy księdzem został dlatego, że matka umarła, tego stwierdzić niepodobna. Faktem jest, że cztery lata po śmierci matki wstąpił na studia teologiczne w Innsbrucku. Zanim to jednak nastąpiło, wrócił na dwa lata do kraju.

³² S. Łempicki, *Złote paski. Wspomnienia ze szkoły galicyjskiej*, Warszawa 1957, s. 12.

³³ J. Łada [Gnatowski], *Wrócić!*, [w:] *Z doliny łez*, Lwów 1900, s. 59.

1.4. POCZĄTKI KRYTYKI LITERACKIEJ. DZIAŁALNOŚĆ PUBLICYSTYCZNA I POLITYCZNA

Po zwiedzaniu południowej i wschodniej Europy, Gnatowski przyjechał do Warszawy i pozostał tam do 1884 r. Jak informuje Zygmunt Sarnecki:

Od 1882-4 przebywa w Warszawie, zajęty pracami literackimi głównie w kierunku krytycznym. Prowadzi w tym czasie dział krytyki literackiej w *Niwie* po Sienkiewiczu i krytyki artystycznej w *Wiek*; oprócz tego jest członkiem redakcji *Kroniki Rodzinnej*. W *Gazecie Krakowskiej*, w *Słowie* i w osobnym wydaniu ogłasza śliczne swoje >Listy z Konstantynopola< (1883), >Wpływy greckie na wybrzeżu zatoki Tarenckiej< (w *Ateneum*), >Studium o Konopnickiej< (w *Bibliotece Warszawskiej*), które spotkało się z jednej strony z gorącymi objawami uznania, z drugiej wzbudzało gwałtowną polemikę w dziennikach. >Listy z Wielkopolski i z Niemiec< (w *Wiek*) oraz mnóstwo felietonów i artykułów przygodnych w *Echu*, *Słowie*, *Tygodniku Ilustrowanym*, *Roli* i innych czasopismach i dziennikach³⁴.

Większość źródeł pozostaje zgodnych co do tego, że właśnie w okresie warszawskim Gnatowski zyskał popularność, która towarzyszyła mu już do końca życia. Nie oznacza to bynajmniej, iż czytano jego artykuły jedynie z entuzjazmem. Przeciwnie – już wspominany tekst Józefa Kotarbińskiego z 1879 r. pt. *Wsteczniectwo w krytyce literackiej* zapoczątkował falę krytyki Łady, wymierzoną przede wszystkim w jego jawny konserwatyzm. Sam Gnatowski pragnął widocznie większej popularności, skoro pod koniec życia napisze w liście do Sarneckiego o „przedśmiertnym błysku powodzenia, jakiego za młodu, w sile umysłu i zdolności, nie miał nigdy”³⁵.

W roku 1882 pismo „Ateneum” drukowało jego *Wpływy greckie na wybrzeżach zatoki tarenckiej*, pisane półtora roku wcześniej podczas podróży. Tworzył także artykuły do gazet, niektóre – jak *Studium o Konopnickiej* – wywołujące bardzo różne reakcje ze strony czytelników.

Młody Gnatowski nie krył się z manifestacją swoich konserwatywnych przekonań, również kiedy otrzymał dział krytyki literackiej w „Niwie”, zostając następcą Henryka Sienkiewicza. Kleiner pisze, że: „(...) w imię idealizmu zwalczał nowe tendencje w literaturze i krytyką realistów francuskich po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę”³⁶.

Współpracował także z innymi pismami:

³⁴ Z. Sarnecki, *op. cit.*, s. 236.

³⁵ List ks. Jana Gnatowskiego do Zygmunta Sarneckiego, b.d., prawdopodobnie 1913r., Rkps Bibl. Jagiel., sygn. 6714, t. 2.

³⁶ J. Kleiner, *Jan Łada*, „Tygodnik Ilustrowany” 1925, s. 865.

Prowadził czas jakiś po L. Siemieńskim dział sztuki w „Czasie” krakowskim, literatury w „Kurierze Poznańskim” (...); drukował także podczas pobytu w Warszawie od 1882 do 1884 r. rozprawy z dziejów sztuki w „Ateneum”³⁷.

Biogramy wspominają, że w 1884 r. zmuszony był uciekać z kraju, bowiem za konspiracyjną działalność wśród młodzieży śledziła go carska policja. Miał wtedy zaledwie 29 lat, był więc może przywódcą jakiejś podziemnej organizacji? Mniej więcej w tym samym czasie za działalność polityczną został skazany Józef Ignacy Kraszewski, z którym Gnatowski korespondował, choć nigdy nie poznali się osobiście. W liście z 1884 r. pisze:

(...) ośmielałam się, choć osobiście Wam nieznanym, do życzeń całego kraju dołączyć i moje oto [...] wraz z maleńką książeczką. W dniu dzisiejszym [...] do Was, przezacny Panie, stoją dla każdego owszem i [...] dar swój choćby najmniejszy, byle szczerem sercem służyć Wam wolno. Niechże i ja z wzajemnego przywileju skorzystam i niech mam wraz z innymi sposobność zapewnienia Was, czcigodny Panie, o [...] poważania i podziwiania, jakie miałem i mam dla Waszych prac i zasług. Czcił Was uczono mnie w dzieciństwie, kiedy się stałem człowiekiem, przekonałem się, że mnie uczono dobrze i że cześć dla Was jest i obowiązkiem obywatelskim i obowiązkiem serca dla każdego Polaka, wszystko jedno jakie są jego przekonania i [...]. Jakkolwiek też w pojedynczych szczegółach droga, którą idę ja najlepszą dla społecznej [...] uważam, odmienną jest może od obranej przez Was, lecz pilniej czuję potrzebę zaznaczenia osobistych uczuć moich względem Was, czcigodny Panie, uczuć jakie niewątpliwie dzielają ludzi [...] ze mną złączeni religijnymi i politycznymi przekazaniem. Raczcie przyjąć zacny Panie, [...] od oddanego Tobie sługi, Jan Gnatowski³⁸.

Nie zachowała się żadna odpowiedź Kraszewskiego, nie wiadomo nawet, czy wymienili więcej listów, należy wobec tego skupić się jedynie na tej krótkiej wiadomości. Gnatowski wyraźnie zaznaczył, że jego osobiste przekonania polityczne i religijne różnią się od przekonań Kraszewskiego, który w tamtym okresie został skazany za działalność wywiadowczą na rzecz Francji. Czy Gnatowski potępiał szpiegostwo, tego nie wiadomo. Ale z całą pewnością sam musiał uciekać wtedy z kraju, gdyż ścigany był przez carską policję. Sam fakt, że zdecydował się napisać list do Kraszewskiego, świadczyć może o solidarności młodego pisarza względem swego mentora, którego czytywano mu, jak twierdzi, od najmłodszych lat. List niesie ze sobą jeszcze jedną, niezwykle ważną informację – w 1884 r. (może więc w latach 1882-1884?) Gnatowski mieszkał przy ulicy Chmielnej 2/3. Jarosław

³⁷ X.S.G. [S. Gall], *Gnatowski Jan*, [w:] *Podręczna Encyklopedia Kościelna*, red. ks. Z. Chelmiński, Warszawa 1907, t. XIII-XIV, s. 174.

³⁸ Do J. I. Kraszewskiego z 1884. Rkp. Bibl. Jagiel. sygn. 6503 IV.

Zieliński w książce *Atlas dawnej architektury ulic i placów Warszawy* podaje, że pod tym adresem mieścił się tzw. „pałac Hołowczyca”, to znaczy posesja zbudowana wg projektu Antonio Corazziego, wykonana na zlecenie arcybiskupa Szczepana Hołowczyca na początku XIX wieku. W okresie, w którym mieszkał tam Gnatowski, pałac zmienił się kamienicę czynszową, natomiast na parterze znajdowała się w latach 70. wytwórnia wód mineralnych. W 1912 r. budynek został rozebrany na polecenie nowego właściciela, Mariana Malinowskiego³⁹. Przypuszczalnie Gnatowski mieszkał tam przed dwa lata swojego pobytu w Warszawie.

Noty biograficzne podają, że pisarz:

(...) odbył w latach 1884 do 1888 studia teologiczne na Uniwersytecie i w Konwikcie OO. Tow. J. w Innsbrucku, święcenia kapłańskie otrzymał z rąk ś.p. J. E. D-ra Szymona Aichnera z Brixen w 1888 r.⁴⁰

Juliusz Kleiner twierdzi, że: „zamiary młodego, żarliwego publicysty nie były znane nawet najbliższemu znajomym – i niespodzianką stał się fakt, że podążył do Innsbrucka, by powołaniu kapłańskiemu uczynić zadość”⁴¹. Na ile decyzja pisarza podyktowana była autentyczną potrzebą święceń, a na ile była wynikiem ucieczki przed funkcjonariuszami carskiej policji i widmem więzienia? Tego nie dowiemy się nigdy, dość stwierdzić, że przez najbliższych dwadzieścia jeden lat nie pojawił się w Warszawie. Czy ze strachu?

³⁹ Zob. J. Zieliński, *Atlas dawnej architektury ulic i placów Warszawy*, t. 14. Warszawa 2008, s. 81-99.

⁴⁰ A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 100.

⁴¹ J. Kleiner, *Jan Łada...*, s. 865.

1.5. EMIGRACJA. KARIERA KOŚCIELNA

W wydanym w 1895 r. artykule pt. *Światła i cienie*, jaki ukazał się w „Wędrowcu”, o decyzji Gnatowskiego pisano w zupełnie innym tonie: „(...) poczuwszy, że w piersiach jego stanowczo już dojrzało powołanie do stanu duchownego, przywdział suknię kapłańską”⁴². Podobnie rzecz ma się z nekrologiem, wydanym na łamach „Przeglądu Katolickiego”: „Linia jego duchowego rozwoju dopełniła się wstąpieniem na studia teologiczne do uniwersytetu w Innsbrucku”⁴³.

Alfred von der Lehr informuje, powołując się na informacje znalezione w *Collegium Canisianum*, że Gnatowski zdecydował się na karierę duchownego wbrew woli ojca⁴⁴. Jeśli rzeczywiście tak było, musiał posiadać środki na życie i utrzymanie w trakcie trwania studiów. Czy udało mu się odłożyć nieco pieniędzy zarobionych podczas pracy w gazetach?

Z tamtego okresu zachowały się zbeletryzowane wspomnienia Gnatowskiego, opisane w opowiadaniu *Dwie pasje: Vorderthiersee i Oberammergau*, drukowanym początkowo w „Przeglądzie Powszechnym” w 1890 r., „Kronice Rodzinnej” w 1891, odbitym z tejże w formie wydawnictwa zwartej w tym samym roku, w warszawskiej drukarni Noskowskiego.

Opowiadanie, właściwie swoista „scenka rodzajowa” bądź „migawka” z życia młodego studenta teologii, nosi znamiona stylu charakterystycznego dla Gnatowskiego, który mogliśmy zaobserwować już przy okazji tekstów wspominających Skarżynówkę, a o którym więcej powiemy w kolejnych rozdziałach pracy. I tym razem pisarz decyduje się na koncept „kart z pamiętnika”. Wspomina wakacje 1885 r. (musiał więc być po I roku seminarium duchownego), kiedy „bawiąc w okolicach Salzburga”⁴⁵ postanowił wybrać się do Thiersee, by zobaczyć spektakl pasyjny, przygotowywany przez mieszkańców miasteczka. Thiersee oddalone jest o 83 kilometry od Innsbrucka i leży niemalże przy austriacko-niemieckiej granicy.

Gnatowski dużą część opowiadania poświęca opisom malowniczej, tyrolskiej okolicy, w jakiej spędzał wakacje. Podobnie jak w *Listach z Konstantynopola*, panteistyczna fascynacja przyrodą i próba „literackiego odmalowania” krajobrazu, miesza się z opisem barwnej i wielokulturowej ludności – od charakterystyki mieszkańców wsi i małych

⁴² A.N., *Światła i cienie*, „Wędrowiec” 1895, nr 14, s. 269-270.

⁴³ [b.a.], *Ś.p. ksiądz Jan Gnatowski...*, s. 686.

⁴⁴ A. von der Lehr, *Die Gnatowskis. Die Geschichte einer masowischen Familie*, Nürnberg 2000, s. 324.

⁴⁵ J. Gnatowski, *Dwie pasje: Vorderthiersee i Oberammergau*, Warszawa 1891, s. 1.

miasteczek, aż po przedstawienie (nie bez krytyki) kawiarnianego tłumu, plotkującego o modzie, Wiedniu i polityce.

Jednak najważniejszym i zasygnalizowanym już w tytule tematem tego opowiadania są pasyjne przedstawienia, jakich świadkiem jest Gnatowski w Thiersee i Oberammergau (w którym pasja grywana jest po dziś dzień, z czego słynie miasteczko). Obfitujący w szczegóły opis tego, co dzieje się na scenie teatru, a także reakcji i mimiki widzów, pozwala przypuszczać, iż w tamtym okresie Gnatowski nie borykał się jeszcze z problemem krótkowzroczności. Na poparcie tej tezy możemy przytoczyć fragment opisu pasji w Thiersee:

Duchy opiekuńcze są ubrane w powłóczystrych togach, z zasłonami, ale każdy z nich cieszy się parą przepysznych, ogromnych wąsów. Rzecz naturalna, z „ozdobą twarzy, pokrętnym wąsem” Tyrolczyk nie rozstanie się, choćby dla pasji. Ale trudno, wrażenie podniesione i skupione, jakie się miało, przepadło; trzeba, zagryzając usta, choć pozory powagi zachować, bo publiczność pocziwa zdaje się wąsy uważać za integralny atrybut opiekuńczych duchów, i słucha całego bardzo zresztą ładnego prologu w religijnym nastroju⁴⁶.

W takim tonie kontynuuje Gnatowski opis pasji, podziwiając jednocześnie większą prostolinijność i szczerą religijność, której nie znajduje u mieszkańców dużych miast. Opis przedstawienia kończy zapewnieniem, że wywarło na nim tak duże wrażenie, iż przez kilka lat wracał do niego myślami w trudnych chwilach swojego życia.

W drugiej części opowiadania skupia się na relacji z pasji, której świadkiem był w niemieckim Oberammergau. Jak sam zapewnia, trafił tam podczas powrotu do Monachium w czerwcu 1890 roku. W tym okresie pracował w nuncjaturze monachijskiej. Drugie z opisywanych przedstawień staje się obiektem jego krytyki. Gnatowski zarzuca aktorom z Oberammergau brak pobożności. Twierdzi, że pasję grają jedynie dla pieniędzy, których zarobić mogą sporo, bowiem nader często reklamują swój teatr poza granicami miasteczka, nawet w samym Monachium, skutkiem czego Niemcy i goście z zagranicy przybywają tłumnie, by przedstawić obejrzeć. Abstrahując od literackich walorów tekstu Gnatowskiego, niesie on ze sobą interesującą informację związaną z jego przekonaniami, którą potwierdzają także inne jego teksty – niczym biskup Benvenuto Myriel z *Nędzników* Wiktora Hugo, Jan Gnatowski zdaje się wyżej cenić sobie religijność prostą i ascetyczną, niż pełne przepychu życie bogatych urzędników kościelnych.

⁴⁶ *Ibidem*, s. 13.

Po zakończeniu studiów teologicznych młody ksiądz Gnatowski:

(...) zwraca się na teren dyplomacji. Jako sekretarz nuncjatury w Monachium stoi jednocześnie na straży interesów polskich. Dzięki stanowisku swemu styka się z najwyższymi sferami niemieckimi i austriackimi – wspomnienia tych czasów ogłaszać pocznie krótko przed śmiercią w „Przeglądzie Warszawskim”⁴⁷.

Wspomnienia, o których mowa, zawarł Gnatowski w opowiadaniu *O minionych czasach i ludziach*, stanowiącym jego autorską wersję motywu „w poszukiwaniu straconego czasu”. Opisuje arystokrację austriacką i niemiecką (wraz z cesarzem Wilhelmem, arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem i Karolem Wirtemberskim) na sposób sentymentalny, a nad całym tekstem unosi się ulotne poczucie nieodwracalności zmian, jakie zaszły w świecie. Rzecz znamienita, Gnatowski pisał opowiadanie na krótko przed śmiercią, to znaczy w 1925 r. – można więc przypuszczać, że wspomnienia barwnej młodości dyplomaty zostały wyidealizowane.

O minionych czasach i ludziach podobne jest w swej konstrukcji i rozwiązaniach fabularnych do pozostałych autobiograficznych opowiadań pisarza. Tym razem Gnatowski odmalowuje literackim pędzlem arystokratyczne salony Niemiec i Austrii z roku 1889:

Wśród zebranych zwracali na siebie uwagę ogólną książętą krwi, przedstawiający największe mocarstwa. Mnie osobiście interesował rosyjski następca tronu, w którego wielkich smutnych oczach było coś jakby przeczucie późniejszej tragedii. (...) Nieodstępni przy nim byli dwaj książęta wirtemberscy z młodszej linii, Mikołaj i Wilhelm, obaj generałowie czynni w służbie rosyjskiej. (...) Inaczej całkiem przedstawiał się arcyksiążę Franciszek Ferdynand. (...) Sędziwa para gospodarzy, królestwo wirtemberscy, robili również wrażenie zgoła odmienne. (...) Skorzystałem z tego przy sposobności, by mu napomknąć w rozmowie o istotnie imponującym wrażeniu, jakie wywierało figuralne odmalowanie wnętrza głównego katolickiego kościoła Najśw. Panny w Stuttgardzie (...). Przeszło siedemdziesięcioletni staruszek tak się zapalił pod danym mu motywem, że zapominając o otaczającym tłumie i o niższości stanowiska skromnego sekretarza poselstwa, począł przede mną rozwijać szereg oryginalnych i istotnie pięknych poglądów na sztukę, wywijając energicznie rękami, lub dla odmiany, chwytając mnie za ramię jak w kleszcze⁴⁸.

Ta dość naiwna beletryzacja, na kartach której bohater/Gnatowski wdaje się w dyskusje z królami i książętami, cenna jest dlatego, że przedstawia autorską wizję czasów, które w 1925 r. musiały jawić się w jego pamięci jako niemalże „złoty wiek”, tym bardziej, że nie

⁴⁷ J. Kleiner, *Jan Łada...*, s. 865.

⁴⁸ J. Gnatowski, *O minionych czasach i ludziach*, „Przegląd Warszawski” 1925, nr 46, s. 40-42.

krył w utworach swych rojalistycznych i konserwatywnych poglądów. Zresztą poza kilkoma fikcyjnymi motywami, opowiadanie dobrze oddaje charakter ówczesnej pracy Gnatowskiego, dzięki której wkroczyć mógł w wielki i pożądaný świat wyższych sfer.

Jak informuje „Ateneum Kapłańskie” pisarz: „Od r. 1888 do 1890 przebywał w Monachium, spełniając na osobisty rozkaz papieża Leona XIII obowiązki sekretarza nuncjatury”⁴⁹.

Opis Monachium pełen jest elementów humorystycznych, ale samo miasto wspomina Gnatowski nie bez krytyki, wskazując na „ciasnotę umysłów”, „filisterstwo”, „targowisko próżności”. Przywołuje przykłady etykietalnych kompromitacji stałych gości monachijskich salonów:

Panie z najwyższych sfer zjawiały się w zeszłorocznych strojach, nie zawsze, niestety, należycie wytrzepanych. Pamiętam, że raz siedząc przy stole obok nadobnej córki prezydenta ministrów, br. Crailsheima, byłem tak odurzony wyziewami naftaliny i benzyny, wydzielanymi przez jej wytworną toaletę, że wstałem z okropną migreną, dziękując Bogu za uchronienie mnie od morskiej choroby⁵⁰.

Dalej Gnatowski opisuje charaktery i przywary członków rodziny królewskiej: księcia Bawarii Leopolda oraz jego małżonki Gizelli Habsburg, ponadto księcia Franciszka Józefa Arnulfa (którego pisarz zwie tu po prostu Arnulfem) i wreszcie króla Ludwika III wraz z małżonką i dziećmi. Gnatowski zarzeka się, że u rodziny królewskiej bywał często na „wieczorkach muzycznych”, kiedy to: „Rozmowa była nieetykietalna, swobodna i miła”⁵¹. Stąd zapewne tak rozległa wiedza, jaką posiadał na temat prywatnego życia bawarskiej rodziny królewskiej. W opowiadaniu stara się przedstawić ich z jednej strony jako reprezentantów fascynującej, ale przeszłej epoki, z drugiej jako ludzi rozdartych między obowiązki i konieczność przestrzegania etykiety, a chęć życia nie odstającego od normy i pragnienie ciągłego rozwijania swoich prywatnych pasji.

„Przegląd Katolicki” informuje, że od 1889 r. Gnatowski awansuje z funkcji sekretarza na tajnego podkomorzego papieża Leona XIII⁵². Papieski podkomorzy częściej zwany jest „szambelanem” i taka informacja figuruje w większości źródeł biograficznych dotyczących Gnatowskiego. Jako wyższy urzędnik Jego Świątobliwości pisarz miał dostęp do prywatnych pomieszczeń Leona XIII, musiał też zapewne spełniać jego polecenia dotyczące europejskich

⁴⁹ A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 100.

⁵⁰ J. Gnatowski, *O minionych czasach i ludziach...*, s. 40-42.

⁵¹ *Ibidem*, s. 45.

⁵² [b.a.], *Ś.p. ksiądz Jan Gnatowski...*, s. 686.

misji dyplomatycznych. W opowiadaniu wspomina o panującej w Monachium bawarskiej ustawie, która przyznawała królowi prawo mianowania biskupów, jakich papież następnie prekonizował bądź odmawiał im prekonizacji⁵³. Być może zadaniem Gnatowskiego było dowiadywanie się, kogo książę Luitpold Karol Wittelsbach (spełniający ówczesnie funkcję regenta Bawarii) zamierza mianować biskupem? Niezależnie od tego, jakimi sprawami Watykanu zajmował się w Niemczech na co dzień, jedno jest pewne – zdobył zaufanie papieża. Juliusz Kleiner wspomina w nekrologu, że Gnatowski: „Jako sekretarz nuncjatury w Monachium stoi jednocześnie na straży interesów polskich”⁵⁴.

⁵³ J. Gnatowski, *O minionych czasach i ludziach...*, s. 126.

⁵⁴ J. Kleiner, *Jan Łada...*, s. 865.

1.6. OKRES LWOWSKI. PRACA W GIMNAZJUM, ODCZYTY, SALON LITERACKI

Dyplomatyczna kariera pisarza jest intensywna, ale krótka. Już w 1890 r. opuszcza Monachium, by osiedlić się we Lwowie. W „Ateneum Kapłańskim” przeczytać możemy, że ze stanowiska szambelana został zwolniony po „parokrotnej usilnej prośbie”⁵⁵. Zygmunt Sarnecki tak motywuje decyzję pisarza:

Niemal każdy na jego miejscu nie zeszedłby z tej nowej drogi, na której uśmiechała się doń świetna przyszłość, na której sypać się już na niego zaczynały dostojeństwa i odznaczenia. Tęsknota jednak do ojczyzny przemogła inne względy i zmusiła X. Jana Gnatowskiego już w r. 1890 wrócić do kraju (...) ⁵⁶.

W „Tygodniku Polskim” ukazuje się bezpośrednia wzmianka o tym, że Gnatowski: „nie mogąc wracać do b. zaboru rosyjskiego osiadł we Lwowie (...)”⁵⁷. Zanim jednak zadomowił się tam na lat – bez małā – piętnaście, znów wyjechał w podróż po Europie, tym razem już jako urzędnik kościelny, a nie młody obiężyświat, spragniony wiedzy i wrażeń.

Owoce tej wyprawy jest powieść *Listy znad Adriatyku*, wydana w 1891 r. przez bibliotekę „Wieku”. Początek powieści drukowany był w „Dodatku Ilustrowanym” do „Wieku”, ale w osobnym wydaniu zdecydowano się przedrukować go raz jeszcze, by „nie psuć całości utworu”⁵⁸.

Powieść przypomina budowę *Listy z Konstantynopola* z 1882 r. Podobnie jak tam, i tutaj Gnatowski zdaje krótkie relacje z podróży uporządkowane chronologicznie, w których skupia się na opisie sposobu życia ludzi zamieszkujących zwiedzane przez siebie tereny; zachwycą krajobrazem i zabytkami związanymi ze sztuką sakralną, wreszcie – komentuje, czasem humorystycznie, otaczającą go rzeczywistość (zastanawia się chociażby nad stosunkiem kroju bielizny do charakteru ludzi z północy i południa).

Już na pierwszej stronie tej powieści epistolarnej (choć, rzecz znamienita, listy z podróży nie mają adresata – czy może raczej adresatem ma być czytelnik) Gnatowski wspomina, że nie widział Adriatyku od ośmiu lat, a więc od czasu swojej podróży naukowej związanej z wpływami greckimi w pobliżu Zatoki Tarenckiej. „Czułem też od dawna istotną nostalgią i dojeżdżając rankiem do Fiume” – pisze – „wyglądałem wciąż przez okno, czy gdzie na końcu widnokręgu nie dostrzegę siniego skrawku. Wyglądałem bez skutku. Droga z Zagrzebia

⁵⁵ A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 100.

⁵⁶ Z. Sarnecki, *Jan Łada...*, s. 236.

⁵⁷ [b.a.], *Jan Gnatowski*, „Tygodnik Polski” 1925, nr 190, s. 2.

⁵⁸ Przypis na pierwszej stronie *Listów znad Adriatyku*.

była nudna, jednostajna, po równinie lub wśród wąwozu”⁵⁹. Pisarz stara się uchwycić i skomentować jak najwięcej. Fiume, w którym się zatrzymuje, porównuje do innych miast, jakie udało mu się zwiedzić w trakcie swoich licznych podróży. Opisuje (czytelnikom?) położenie miejscowości, rzeźbę terenu, architekturę, rozkład ulic, wreszcie mieszkańców i ich cechy charakterystyczne, zarówno w fizjonomii, jak sposobie zachowania. Niektóre z fragmentów stanowią udany przykład narracji „fotograficznej”:

W wielu nowych domach okiennice zamknięte świadczą o niezajętych pomieszkaniach⁶⁰. Kelnerzy znudzeni z serwetami w rękę stoją we drzwiach restauracji i hotelów. Właściciele sklepów, czekając na gości, palą po kilku cygara na środku ulicy, gawędząc. Paru podróżnych przebiega czasem ulicę, śpiesząc do statku na sąsiednie Molo – najwięcej jeszcze ruchu na paru arteriach, łączącym port z górnem, starem miastem (...) Życie wre, kipi, leje się z niepowstrzymaną falą, jak alpejski potok, z hukiem i pianą spadający w dolinę⁶¹.

Nie bez powodu Stanisław Lempicki we wspomnieniach o Gnatowskim zwał go „księdzem-światowcem”⁶². Niemal na każdym kroku daje się odczuć kosmopolityczny charakter pisarza, który nie dziwi się niczemu, co obserwuje w czasie podróży. Często także krytykuje Gnatowski nietolerancję, z jaką spotyka się w różnych miejscach świata. W Fiume opis lokalnego kolorytu (językowego i etnicznego) uzupełnia o informację, że „niestety”⁶³ Węgrzy, Włosi, Niemcy i Chorwaci żyjący tu obok siebie nie zawsze są w stanie osiągnąć porozumienie. Fiume usytuowane jest na pograniczu kilku państw, stąd jego wielonarodowy charakter. W czasach podróży Gnatowskiego było, jak sam zaznacza, częścią Austrowęgier, ale już od 1920 r. stało się odrębnym tworem politycznym, to jest „wolnym miastem Fiume”. Dziś, pod nazwą Rijeka, przynależy do Chorwacji.

Obszerna część narracji zarezerwowana jest dla opisu kościołów i klasztorów oraz nabożeństw, w których Gnatowski uczestniczy. Podobnie jak w czasie przedstawień pasyjnych w Thiersee, obserwuje reakcję widzów/wiernych w czasie mszy. Każdy, najmniejszy nawet objaw ignorancji i nieuwagi może szybko wprawić go w złość (ten sam Lempicki, który zwał go księdzem-światowcem, mówił o nim także „apodyktyczny”⁶⁴).

⁵⁹ J. Gnatowski, *Listy znad Adriatyku*, Warszawa 1891, s. 5-6.

⁶⁰ Rzecz dziwna w przypadku Gnatowskiego, używa wyrażenia „pomieszkane”, które pochodzi z gwary poznańskiej. Czy to celowy zabieg, czy błąd wydawcy, spowodowany trudnym w odczycie charakterem pisma?

⁶¹ J. Gnatowski, *Listy znad Adriatyku...*, s. 7.

⁶² S. Lempicki, *Złote paski...*, s. 14.

⁶³ J. Gnatowski, *Listy znad Adriatyku...*, s. 9.

⁶⁴ S. Lempicki, *Złote paski...*, s. 13.

Chwali Gnatowski podział wiernych według płci – mężczyźni i kobiety przebywają w odrębnych częściach kościoła.

Pisarz zatrzymuje się w klasztorze, korzystając z gościnności zakonników. Mowa o XVII-wiecznym, barokowym kościele i klasztorze franciszkanów pod wezwaniem Matki Boskiej Trsatkiej. Klasztor usytuowany jest na górze Trsat, na którą można wejść pokonując czterysta schodów, bądź wynająć bryczkę (tak jest do dziś). Gnatowski pisze:

W klasztorze całe grono zakonników na rekreacji zebranych, przyjmuje nas z wielką serdecznością i traktuje, jak zwykle, winem własnego wycisku. Potężne, barczyste postacie, stworzone raczej do szyszaka niż do habitu, pyszne typy marsowe, ciemne, z ostro zarysowanym profilem i złotą południową karnacją, a zarazem z łagodnymi oczyma słowiańskiego szczepu, są charakterystycznym okazem połączenia dwóch ras (...) ⁶⁵.

I Gnatowskiego, jak widać, nie ominęła ówczesna moda na taksonomię i opisywanie typów rasowych Europy. Znajduje w tym niemalą przyjemność, biorąc pod uwagę częstotliwość podobnych klasyfikacji w jego utworach, szczególnie podróżniczych. Opuściwszy Fiume po kilku dniach, Gnatowski zatrzymuje się w Ice, by następnie zwiedzić Moscenicę. „(...) nie znam nic równie pięknego, jak droga brzegiem morskim z Fiume [Rijeki] przez Abbazję do Moscenicy”⁶⁶ – pisze Gnatowski. List datowany na 22 maja pochodzi z Iki, która stała się jednym z przystanków podczas podróży wzdłuż morskich brzegów (dzisiejszej) Chorwacji. Zatrzymawszy się w jednej z licznych nadmorskich willi, podziwia malowniczą okolicę:

Z okna mego pokoju nic nie widać, prócz błękitu. (...) Na dole w ogrodzie, między willą a wybrzeżem, zielenieją młode palmy i laury i szare liście oliwne srebrzą się w słońcu; dalej ku skałom nadbrzeżnym zwieszają się leniwie długie gałęzie drzew figowych na pół zeschłe od uderzających je bałwanów w czasie *bory*. (...) Tej nocy właśnie był szturm (...) Oświetlona złotem światłem księżyca, wyglądającego z po za chmur, sceneria ta fantastyczna i ponura, przypominała burzliwe „mariny” Salvatora Rozy. Długo w nocy patrzyłem z balkonu na ten obraz dziwny, na morze w konwulsjach, zdające się wszystkie siły wytężyć, aby przełamać swe granice, a gdy mi się udało na spoczynek, dzika muzyka burzy długo nie dała mi zasnąć. Długo, długo brzmiał mi w uszach głuchy szum wód i przeciągły jęk wiatru, jakby echo nieznanych, tajemniczych skarg i żalów. A potem śniło mi się, że jestem w Bayreuth i słucham jakiegoś nieskończonego recitativo z Siegfieda, czy Rheingolda ⁶⁷.

⁶⁵ J. Gnatowski, *Listy z nad Adriatyku*, Warszawa 1891, s. 14-15.

⁶⁶ *Ibidem*, s. 20.

⁶⁷ *Ibidem*, s. 25-27.

Ten znaczący fragment staje się osobliwą zapowiedzią gotyckiej wyobraźni pisarza, który – z jednej strony – otwarcie krytykował młodopolską poetykę, z drugiej – być może nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, że ją uprawia. Do głosu miała dojść w pełni dopiero kilkanaście lat później, kiedy opisał Gnatowski enigmatyczną i pełną grozy atmosferę seansów spirytystycznych i egzorcyzmów, jakie odbywały się w europejskich salonach arystokratycznych.

Ale fragment ten świadczy nie tylko o charakterystycznej „wyobraźni gotyckiej” pisarza, ale też o jego nieprzeciętnej wrażliwości, z której niekiedy wyłania się wyraźnie filozofia panteizmu. „Dlatego tak nam dobrze z dala od ludzi, samym wśród przyrody (...), samym z Bogiem i sobą”⁶⁸ – pisał w innym miejscu, jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń.

Częste i obfitujące w szczegóły opisy architektury, przede wszystkim sakralnej, dowodzą rozległej wiedzy Gnatowskiego z zakresu historii sztuki. Uwadze jego nie umknie żaden szczegół związany z charakterem odwiedzanych budynków. Zająty podziwianiem architektonicznych cudów wybrzeża Adriatyku oraz bujnej flory południowoeuropejskich terenów, koncentruje się na opisie wytworów i kultury, i natury. Podróżując, sypia w klasztorach bądź nadmorskich willach, gdzie zawsze liczyć może na szczodrość zakonników, sławnych z powodu wyrobu własnych produktów: „Obiad u proboszcza, z powodu postu, na oliwie tak wybornej, jak masło dobrego gatunku, z winami miejscowymi bardzo dobrymi także, zwłaszcza jeden rodzaj przypominający Marsalę”⁶⁹.

Listy opisują czterdzieści trzy dni, w czasie których przebywa w kilku nadmorskich miejscowościach Chorwacji, od Fiume, przez Ikę, aż po Pulę.

Po powrocie do Galicji Gnatowski osiada we Lwowie. Jak podaje nota biograficzna w *Wielkim Leksykonie Pisarzy Polskich*:

Od 1890 pracował we Lwowie jako katecheta gimnazjalny oraz wikariusz, a później rektor kościoła św. Antoniego. Miał wówczas szansę otrzymania katedry historii sztuki Uniwersytetu Lwowskiego, jednak postępująca choroba oczu zmusiła go do rezygnacji zajęć pedagogicznych⁷⁰.

Nota w PSB informuje ponadto, że Gnatowski pracował jako katecheta „najpierw w V-tym, a od r. 1904 w IV-tym państwowym gimnazjum”⁷¹.

⁶⁸ *Ibidem*, s. 26.

⁶⁹ *Ibidem*, s. 37.

⁷⁰ W. Adamski, *Jan Gnatowski*, [w:] *Wielki leksykon pisarzy polskich*, red. J. Pieszczechowicz, Kraków 2005, t. IV, s. 65.

⁷¹ K. Lewicki, *Gnatowski Jan...*, s. 139.

Nowele i powieści zaczyna wydawać od 1893 r., a przeważająca ich większość ukazuje się we Lwowie. Zanim jednak, pod pseudonimem Jan Łada, wkroczy na ścieżkę beletrystyki, zwiąże się z prasą galicyjską poprzez liczne felietony i druki okolicznościowe. Jak w podniosłych słowach informuje „Ateneum Kapłańskie”:

Sumienny krytyk i literat o szerokim zakresie wiedzy, ksiądz Gnatowski nie należał jednak do tych pisarzy, którzy zasklepiają się w bibliotekach i starych książkach, nie widząc poza niemi świeżego źródła życia. Pisząc *Życiorys Pawła Popiela*, Lwów 1890, *Studia literackie*, Lwów 1896, i wydając *Dwie Pasje*, Kraków 1891, *Księżkę do nabożeństwa dla mężczyzn*, Lwów 1893, lub *Kazania i przemówienia okolicznościowe*, ksiądz Gnatowski, przeciwnie, z tego źródła czerpał nie tylko wrażenia chwili, ale i trwałe nastroje ducha i podniecie myśli i pióra⁷².

Podczas pracy w miejscowym kościele oraz gimnazjum, otrzymywał Gnatowski nowe odznaczenia kościelne: w 1900 r. został kanonikiem żytomierskim, a 5 maja 1905 r. został prałatem domowym Jego Świątobliwości⁷³. Od tego czasu nie zwracano się do niego inaczej niż „Księżę Prałacie” (co potwierdza większość zachowanych listów).

Kanonikiem kapituły w Żytomierzu nie został zupełnie przypadkowo. Jak informuje biograficzna nota zamieszczona w piśmie „Kraj” z 1901 r.: „Powołały go tam stosunki rodzinne”⁷⁴.

Oprócz niemałego zaangażowania w nauczanie gimnazjalistów, podjął Gnatowski próbę stworzenia czegoś na kształt salonu literackiego. Wspomnienia o tym okresie zachowały się w książce Antoniego Chołoniewskiego *Nieśmiertelni. Fotografie literatów lwowskich*. Gnatowski musiał zapoczątkować działalność swojego salonu literackiego przed 1898 r., bowiem już wtedy Chołoniewski podaje informację, jakoby próba stworzenia „czwartków literackich” nie powiodła się. Dzięki fragmentom *Nieśmiertelnych...* zyskujemy także pewien obraz tego, jak wyglądał i zachowywał się prałat:

Niski, szczupły ksiądz, nosi niebieskie okulary, do których z powodu niesłychanie krótkiego wzroku przykładą co chwila podwójny cwikier o szyldkretowej ręczce, takiej, jakie były używane na zachodzie w czasie panowania stylu *roccoco* przez panów, a dziś jeszcze przez panie. Elegancki i ugrzeczniony w obejściu, mówi słodziutko, przyciszonym głosem, silnym akcentem ukraińskim (...). Obraca się wyłącznie w sferach dobrze urodzonych, gdzie jest wysoko ceniony dla literackiego wykształcenia i świetnych kolligacji. Jest arystokratycznym prelegentem; na jego

⁷² A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 100.

⁷³ [b.a.], *Śp. Ksiądz Jan Gnatowski...*, s. 686.

⁷⁴ S., *Jan Łada*, „Kraj” 1901, nr 34, s. 394.

odczytach zbiera się stale cały *high-life* lwowski z pięciu, siedmiu i dziewięciu pałeczkami w herbie. Sala prelekcyjna zamienia się wtedy w rodzaj buduaru, pachnącego perfumą, szeleszczącego jedwabiem i błyszczącego wytwornością i elegancją (...) W Czytelni katolickiej, której jest gorliwym opiekunem, miewał odczyty na temat słynnej ekswolnomularki Miss Vaughan – której wcale nie było i ośmieszał symbolizm belgijski przy pomocy znanego pamfletu Nordaau. Sam próbował stworzyć u siebie „czwartki literackie”, ale próba nie powiodła się⁷⁵.

Fragment wskazuje na to, że w latach 90. XIX wieku miał już Gnatowski bardzo słaby wzrok. Chołoniewski wspomniał też o odczytach, którymi prałat wzbudzał powszechne zainteresowanie. Same teksty odczytów niestety nie zachowały się do dziś, dysponujemy natomiast streszczeniami, jakie drukowano od czasu do czasu w „Gazecie Narodowej” i „Gazecie Lwowskiej”. Stanowią one intrygujący obraz ówczesnych przekonań pisarza. Pierwszy odczyt wygłosił Gnatowski w 1895 r. i poświęcił go twórczości Henryka Sienkiewicza, chwalać go zarówno za pisarstwo historyczne, jak i współczesne sobie powieści *Bez dogmatu* i *Rodzina Połanieckich*. Jak informuje nota w „Gazecie Narodowej”, prelegent chwalił kreacje „prawdziwych polskich typów niewieścich”⁷⁶, na przykład Anieli czy Maryni, potępiał natomiast dekadencją postawę męskich bohaterów powieści, podążających za swoimi instynktami. Wykład nagrodzony został oklaskami, a sam ksiądz postanowił kontynuować swoje publiczne wystąpienia.

W „Gazecie Lwowskiej” z 19 kwietnia 1896 r., czytamy:

Kult szatana. Znany autor, publicysta i kaznodzieja, ks. prałat Gnatowski, rozpoczął onegdaj w „Czytelni katolickiej” przed licznie zgromadzonymi słuchaczami szereg prelekcji „O kulcie szatana”. Prelegent wspominał na wstępie o dwóch głównych powodach, dla których podjął swoje wykłady. Była nim przede wszystkim sławna encyklika Leona XIII o masonerii, wzywająca kapłanów, aby z nią do otwartej wystąpili walki, następnie szerząca się w nauce i literaturze propaganda tzw. „palladyzmu”, będącego najświeższym wykwitem sekty wolnomularskiej. (...) Prelegent dał naprzód ogólny pogląd na rozmaite w ciągu wieków zamachy na Kościół katolicki, poczynawszy od protestantyzmu; wspominał następnie o materialistach, sceptykach i encyklopedystach XVIII wieku, zaprzeczających istnieniu pierwiastku nadprzyrodzonego w życiu, a nakreśliwszy stan umysłów w połowie bieżącego stulecia, kiedy nawet ludzie wierzący, nie chcąc popaść w sceptycyzm, usuwali pierwiastek nadprzyrodzony z pod dyskusji, przeszedł wreszcie do faktu, że około 1840 r. pojawił się w Ameryce spirytyzm, oparty na rozmaitych, „nadprzyrodzonych” jakoby zjawiskach (...) ⁷⁷.

⁷⁵ A. Chołoniewski, *Nieśmiertelni. Fotografie literatów lwowskich*, Lwów 1898, s. 55-56.

⁷⁶ [b.a.], *O Sienkiewiczu*, „Gazeta Narodowa” 1895, nr 38, s. 3.

⁷⁷ [b.a.], *Kult szatana...*, s. 4.

Z niemalym wysiłkiem i energią zabrał się więc do zwalczania modnego wówczas spirytyzmu. Początkowo próbował przeciwstawiać mu się za pomocą odczytów, następnie wpadł na pomysł publikowania powieści i nowel o tematyce okultystycznej, pisanych jak gdyby „ku przestrodze”. Musiał jednak poświęcić wiele czasu studiom w tej dziedzinie, skoro, jak informuje się pod koniec notki w „Gazecie Lwowskiej”, wygłaszał prelekcje na temat historii masonerii i spirytyzmu w Europie.

Odczyty jego odbywały się zresztą nie tylko w Czytelni Katolickiej. W artykule zamieszczonym na łamach „Kraju” czytamy, że występował także w sali ratusza lwowskiego oraz w Kole Literackim⁷⁸. Poznał tam zapewne ówczesnych literatów i artystów, z kontaktów z którymi czerpał, wedle źródeł, ogromną radość.

Jeszcze kilkanaście lat wcześniej, bo około 1882 r., Gnatowski publikuje swoje *Studium o Konopnickiej*, którym – przypomnijmy – naraził się na falę krytyki. Teraz, mieszkając we Lwowie, jego gniewny i nieprzychylny stosunek do pisarki najwyraźniej uległ zmianie czy załagodzeniu, skoro wygłaszając odczyt o Konopnickiej w 1897 r., pozostawał podobno „bezstronny”:

Prelegent cytując odpowiednie ustępy z utworów znakomitej poetki, podnosił wielkie ich zalety pod względem formy i języka, usiłując usprawiedliwić pewne fałszywe zgrzyty, rażące ucho czytelnika trzeźwo patrzącego wokoło siebie. Obrona maluczkich, krzywdzonych, pracujących w znoju dla drugih – to główna struna, najgłośniejsz dźwięcząca w poczynaniach Konopnickiej, ale też łączy się od czasu do czasu z tym głównym dźwiękiem inny, cichszy wprawdzie, niemniej przeto przykry, a tym jest chwilowy bunt poetki przeciw Bogu i Jego sługom, przeciw Kościołowi i jego urządzeniom. – Słusznie jednak zaznaczył prelegent, że dysonans ten odezwał się w utworach Konopnickiej przed laty kilkunastu, że później on się już nie powtarza, że bardzo trafnie ktoś powiedział: Konopnicka wierzy w Boga, ale się tylko czasami gniewa na niego (...) ⁷⁹.

Zrezygnował więc, jak widać z noty, z ostrej polemiki z twórczością Konopnickiej na rzecz krytycznego, ale i nie wolnego od pochwał wywodu dotyczącego jej stosunku do religii i społeczeństwa.

Wielka to szkoda, że nie zachowały się sprawozdania z odczytów Gnatowskiego drukowane w pismach różniących się od konserwatywnej „Gazety Lwowskiej” sympatiami politycznymi. Być może ugrupowania socjalistyczne inaczej patrzyły na odczyty księdza

⁷⁸ S., *Jan Łada...*, s. 394.

⁷⁹ [b.a.], *Odczyt ks. prałata Gnatowskiego...*, „Gazeta Lwowska” 1897, nr 41, s. 4.

krytykującego otwarcie nie tylko satanizm, ale często też naród żydowski, ateizm i emancypację kobiet.

W połowie lat 90. Gnatowski zaczął publikować opowiadania i powieści pod pseudonimem Jan Łada. Pseudonimem nie chciał zapewne zataić swojej tożsamości, bowiem nie krył się z tym przed lwowskimi znajomymi, a i większość czasopism podawała do wiadomości, że Łada, autor poczytnych w tamtym czasie nowel o tematyce patriotycznej i fantastycznej, jest w rzeczywistości prałatem Gnatowskim.

Tom pt. *Studia*, opublikowany we Lwowie w 1896, był przyjęty niezwykle entuzjastycznie, przede wszystkim przez środowiska naukowe. U Kleinera czytamy, że recepcja studiów Gnatowskiego była jednym z powodów zaproponowania mu pracy na uniwersytecie. Jak wiemy – odmówił, oficjalnie wymawiając się chorobą oczu.

Obowiązki kościelne (rektor kościoła św. Antoniego, kanonik żytomierski) oraz artystowskie ambicje nie przeszkodziły mu zaangażować się całym sercem w pracę z uczniami gimnazjum. We wspominanej wcześniej powieści Lempickiego *Złote paski* Gnatowski jako katecheta przywoływany jest w następujących słowach:

Bardzo głupio się czułem, gdy 1 września 1901 r. po raz pierwszy wszedłem do VI klasy Gimnazjum V, „bernardyńskiego”, we Lwowie. (...)

Zaraz na jednej z pierwszych godzin była religia. Zjawił się niezapomniany katecheta V Gimnazjum, ks. prałat Jan Gnatowski, postać znana wówczas w szerokich kołach nie tyle kościelnych, co towarzyskich i literackich miasta. Miał chyba już ponad pięćdziesiątkę. Średniego wzrostu, różowy, pięknie odżywiony, wykwintnie ubrany w duchowne swoje szatki dyskretnie podszyte fioletem, wchodził ks. prałat szybkim krokiem, stukając małą laseczką, do klasy. Zapach wody kolońskiej i delikatnych perfum rozchodził się po sali. Towarzyszyło mu zawsze kilku uczniów, którzy wybiegali naprzeciw. Bo ks. prałat chorował już wtedy ciężko na oczy, widział z każdym rokiem coraz gorzej, czytać mógł coraz mniej. Oczy jego, zasłonięte ciemnymi okularami, robiły wrażenie oczu niewidomego. Mimo tej choroby, która na starość przyprawiła go o kompletną ślepotę, był ks. Gnatowski w samych początkach XX wieku niezmiernie czynny.

Szkoła nie stanowiła bynajmniej głównego jego zajęcia, choć trząsł całym gimnazjum, umiał narzucić (prawie ślepy człowiek) swój autorytet dyrektorowi i gronu profesorskiemu, a młodzież bała się go jak ognia. Cicho też było w klasie na godzinach religii jak makiem zasiał.

Ważniejsza od szkoły i teologii była dla ks. Gnatowskiego – literatura i krytyka. Wszakże to on pod pseudonimem Jana Łady napisał kilka powieści, które w swoim czasie cieszyły się niemałą poczytnością, wychodziły w odcinkach dzienników i były naprawdę niegorsze od wielu innych chwalonych. On był autorem nowel i studiów (np. o Krasińskim „Nowa Beatrycze”⁸⁰) i krytyk

⁸⁰ Błąd Lempickiego: studia o Krasińskim opublikowano pt. *Moja Beatrice. Kartka z życia Zygmunta Krasińskiego*.

literackich ogłaszanych wspólnie w czasopiśmie. Posiadał wielką kulturę literacką i artystyczną, jak zwykle nie bez odpowiedniej dozy snobizmu. W młodości, burzliwej pono i rozmaitej, zwędownął kawał świata i umiał interesująco opowiadać o wielu rzeczach.

Miał też zawsze lektora i sekretarza literackiego zarazem, a na stanowisko to wybierał któregoś z najzdolniejszych uczniów wyższych klas gimnazjum. Taki „sekretnarz” pomagał mu w pracy, czytał, pisał pod dyktando, robił korekty. Przez jakiś czas sekretarzował mu np. Zdzisław Jachimecki, dzisiaj profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i znakomity muzykolog polski, wówczas uczeń VIII klasy naszego gimnazjum.

Godziny religii z ks. prałatem nie należały do łatwych. Nie tylko trzeba było siedzieć cicho i zachowywać się jak trusia, nie tylko należało stroić przyjemne miny, całować jak najczęściej ks. prałata w pulchne, pachnące rączki (bardzo to lubił!) i usługiwać mu we wszystkim, gdy wchodził do klasy i wychodził po godzinie. Przede wszystkim trzeba było umieć każdą lekcję religii jak z płatka.

Gnatowski wyładował ze względu na oczy z pamięci i po swojemu, nie bardzo zgodnie z podręcznikami. Wykłady te trzeba było spisywać z jego ust i uczyć się ich niemal dosłownie na pamięć, a potem recytować dokładniutko, powtarzając specjalnie ulubione wyrażenia i poetyczne porównania ks. prałata. (...)

Czego zresztą nie było w tych wykładach księdza-literata-estety, a do pewnego stopnia myśliciela i filozofa! Teologiczna strona nie zawsze – zdaje się – była w porządku. Nie zapomnę wielkich oczu katechety ruskiego, ks. dra Juryka, tęgiego teologa, który czasem w razie choroby ks. prałata zastępował go na lekcjach. Chodziło o jakiś wykład z dogmatyki. Recytowaliśmy dosłownie wykłady Jana Łady z poprzedniej lekcji. A teolog ruski o zwiędłej twarzy i spiczastym, odmrożonym nosie, upiera się, że nie i nie, żeśmy się nie nauczyli, żeśmy poprzekręcali, że ks. prałat na pewno tak nie mówił. Nie pomogły nasze tłumaczenia. (...)

Na dogmatyce niewieleśmy się rozumieli, za to z zajęciem słuchaliśmy ciekawych nieraz uwag naszego katechety o literaturze, sztuce, filozofii, muzyce czy też jego wspomnień o ludziach. Ksiądz był bardzo pewny siebie i apodyktyczny. Tkwił silnie w konserwie, z którą wiązały go zarówno pochodzenie i koneksje, jak i wykształcenie i cały kierunek myślowy. Zostawał najwidoczniej pod wpływem takich umysłowości, jak Siemieński, Klaczko, Popiel, Szujski, Tarnowski. Mimo że był typowym księdzem-światowcem, niby jakimś wpływowym *abbé* XVIII wieku, nie znosił obojętności czy oziębłości religijnej. Nie znosił jakiegokolwiek buntu przeciw porządkowi świata ustanowionemu przez Boga i Kościół. Atakował np. stale na lekcjach Marię Konopnicką za jej „osobistą walkę z Panem Bogiem”, toż samo „Młodą Polskę”, w której rozczytywaliśmy się wtedy z uwielbieniem. (...)

Chimeryczny był ks. Gnatowski, jak zwykle ludzie zagrożeni kalectwem; wymagający był jako profesor i niebezpieczny, gdy się naprawdę rozgniewał. Wtedy można było wylecieć z zakładu jak z procy. Ale umiał też być wyrozumiały i przebaczący błędy młodości, gdy uczeń na to zasługiwał; umiał popierać i otaczać opieką tych, których lubił, wspomagać potrzebujących, stawać w obronie pilnych. (...)

Gest miał ks. prałat nie byle jaki. Jak urządził wycieczkę z uczniami, przeważnie własnym kosztem, to była to wycieczka, co się zowie. Pamiętam taką majówkę wyższych klas do Żółkwi, na zwiedzanie miasta i jego pamiątek. Gnatowski obiecywał, że będzie pogoda, bo modli się o to do patrona pogody św. Eliasza. I rzeczywiście była prześliczna. Jechaliśmy nie koleją, tylko furami, świetnie wymoszczonymi sianem, młodzi, promienni, śpiewający. Postój na jarmarku w Kulikowie. Upał był już wczesnym rankiem. Chłopcy wpadali po jednym, po dwóch do karczmy na piwo. Inni tymczasem zagadywali katechetę. Wreszcie Żółkiew: kwatery i obfity obiad u dominikanów (i wino było, a jakże!); przedtem i potem zwiedzanie miasta, po południu zabawa na Haraju i zwiedzanie zamku Sobieskich. Znalazł się bufet, znalazła się beczka piwa. Zjawili się miejscowi goście z Żółkwi. (...) Ale biada tym, którzy z takich czy innych powodów nie wzięli udziału w majówce. Gnatowski nic nie powiedział, ale nie zapomniał im tego długo. Żyli jak gdyby w stanie *ex lex* i wychylili niejedną kielich goryczy. Nasz tyran w sutannie umiał być nieprzejednany. (...) Należał niewątpliwie do najwybitniejszych naszych profesorów. Był indywidualnością. Jego wpływ kulturalny na uczniów był duży. Między nim a nami istniał jednak zawsze znaczny dystans, którego ks. prałat pilnował skrupulatnie⁸¹.

Wspomnienia Łempickiego są nieocenione, bowiem dzięki nim zbudować możemy, przynajmniej częściowo, wyobrażenie o Gnatowskim, jakiego nie znaleźliśmy z prasowych relacji o nim, bądź z jego zbeletryzowanych wspomnień. Jednocześnie warto pamiętać, że Łempicki wspomina prałata po wielu latach, a nostalgia każe mu łączyć tę postać z beztróską czasów szkolnych. Ostatecznie przyznać trzeba, że we wspomnieniach tych Gnatowski jawi się jako władczy i nieprzejednany nauczyciel, którego bała się większość uczniów.

O pracy w szkole przeczytać też możemy z perspektywy samego prałata w zbiorze nowel pt. *Pastele* (1895). Jeden z utworów, *Majówka*, opowiada o wycieczce podobnej do tej opisaną przez Łempickiego. Gromada chłopców prosi narratora-nauczyciela o zorganizowanie im wycieczki z okazji powrotu wiosny. Na tym jednak podobieństwa się kończą, można więc ufać Łempickiemu, że to jego autentyczne (nie wyczytane wiele lat później u Gnatowskiego) przeżycie.

Lwowska księga adresowa podaje, że w 1902 r. mieszkał przy ulicy Kurkowej 15⁸². Mieścił się tam Pałac Dzieduszyckich, wybudowany w połowie XIX wieku. Pod tym adresem była także prywatna galeria sztuki oraz słynne zbiory Biblioteki Poturzyckiej⁸³. Errata w książce pt. *Zmiany zaszele w ciągu druku* informuje jednak, że ksiądz Gnatowski przeniósł

⁸¹ S. Łempicki, *Złote paski...*, s. 9-19.

⁸² *Księga adresowa miasta Lwowa*, red. F. Reichman, Lwów 1902, s. 46.

⁸³ P. Włodek, A. Kulewski, *Lwów. Przewodnik*, Warszawa 2006, s. 209.

się na ulicę Mochnackiego 12. Przy tej samej ulicy mieściła się w tamtym okresie Biblioteka Uniwersytecka oraz parafia św. Mikołaja⁸⁴.

1.7. POWRÓT DO WARSZAWY. POSTĘPUJĄCA CHOROBA

Ks. Gnatowski pracował w szkole do 1905 r., kiedy to postanowił odejść na emeryturę i wrócić do Warszawy. W tym samym roku (5 maja) uzyskał tytuł prałata domowego Jego Świątobliwości⁸⁵. Jest to tytuł honorowy, przyznawany za zasługi dla Stolicy Apostolskiej. Jakie to zasługi w przypadku Gnatowskiego? Oprócz obrony interesów Watykanu w okresie pracy w nuncjaturze monachijskiej, stania na straży „katolickiego” porządku świata poprzez działalność społeczną, literacką i edukacyjną, był także (jak niejednokrotnie podkreślaliśmy) tajnym szambelanem Leona XIII, za co doczekał się także uhonorowania krzyżem *Bene meritis*⁸⁶.

Ale kiedy Gnatowski został prałatem domowym, Leon XIII nie był już papieżem. Na Tron Piotrowy wstąpił Pius X, pozostając tam do 1914 r., kiedy to zmarł z powodu pozawałowych powikłań. W 1905 r. szambelanem papieskim został, na miejsce Gnatowskiego, ks. Adam Sapieha.

Jako prałat domowy mieszkający w Watykanie, mógłby zostać spowiednikiem papieża. Wybrał jednak Warszawę. Był zresztą chory i prawie niewidomy. Nie przeszkodziło mu to jednak w zaangażowaniu się w odnowę założonego kilkanaście lat wcześniej Towarzystwa św. Wincentego à Paulo. Zamieszkał przy ulicy Włodzimierskiej 9 (dziś: Czackiego).

Noty biograficzne utrzymują błędnie, że Gnatowski po powrocie do Warszawy pozostał tam na stałe. Tymczasem materiały rękopiśmienne są dowodem na to, że mimo zbliżającej się starości i postępującej ślepoty wciąż podróżował po Europie i pozostawał hiperaktywnym literatem oraz współpracownikiem czołowych wydawnictw ciągłych związanych z nurtem konserwatywnym. Dzięki korespondencji Gnatowskiego z Brunonem Wincentym Korotyńskim możemy zrekonstruować przynajmniej część podróży prałata z tamtego okresu.

W liście do Korotyńskiego z 1909 r. czytamy:

Kochany Panid⁸⁷ Brunonie. – Posyłam pierwszy felieton, za dwa dni pszyszlę drugi. Sądzę, że je należy drukować bez c.d.n. tylko z Nrami. Byłem tak bezmiernie znużony_że musiałem czas jakiś prowadzić życie ostrzygi. Popelniam niewierność „Wierze” wysyłając równocześnie felieton

⁸⁴ *Ibidem*, s. 272.

⁸⁵ X.S.G. [S. Gall], *Gnatowski Jan...*, s. 174.

⁸⁶ A. Niewiadowski, *Leksykon polskiej literatury fantastycznonaukowej*, Poznań 1990, s. 141.

⁸⁷ Zachowano oryginalne *lapsus calami*, będące dowodem na słaby wzrok Gnatowskiego.

do „Kur. Was.”, ale może mi to wybaczyć, bo „Wiara” będzie miała to wszystko a jeden felieton nie zaszkodzi jej. Wysłałem nie na Pańskie ręce tylko do Jasińskiego, rozumiejąc, że tak wypada lepiej, by Pana nie stawiać w fałszywym położeniu wobec dwoistych Jego funkcji. W razie jakiejś komplikacji zastrzegłem oddanie Panu rękopisu. W każdym razie nie jest on dla „Wiary” ale dla codziennego pisma.

Z żalem widzę, że p. Adolf nie spełnił mojej prośby – nie dał artykułu o Joannie d'Arc, co byłoby daleko odpowiedniejsze od Raszyńa dla nas. Żebyż choć opis uroczystości był porządnym! Zresztą ten Nr. dobry, tylko kroniki obcej brak. Jest mi tu nad ludzką miarę dobrze i z żalem 11 jadę do Rzymu, skąd chciałbym zaraz po 25 wrócić. Z jezuitami załatwione: zatrzymam się z powrotem dla ostatecznego ułożenia sprawy. Serdecznie Panu drogiemu dziękuję za jego trudy w zastępstwie P. Łączę słowa serdecznej przyjaźni. P. Adolfowi najlepsze pozdrowienia: proszę mu już nie mówić lepiej o moich żalach. Ściskam drogiego Pana z serca. Szczerze mu oddany

Jan Gnatowski

Korfu, 3/V⁸⁸

Powracał więc Gnatowski do krajów basenu Morza Śródziemnego, które zwiedzał i pokochał w młodości. Wspomina także o wyjeździe do Rzymu, prawdopodobnie na spotkanie z papieżem, lub – po prostu – załatwiać prywatne, czy zawodowe sprawy w Watykanie. Zmiana polityki papieskiej wraz z rozpoczęciem pontyfikatu Piusa X nie pozbawiła Gnatowskiego wpływów.

List z lipca 1911 nie pozostawia wątpliwości co do ciągłych wędrówek prałata:

Kochany Panie Brunonie. – Nieprędko dochodzą mnie listy, bo włóczę się wciąż, więc i Pańskie pismo odesłano mi od Wężyńskich teraz dopiero. Przykro mi, że na serdeczne Pańskie słowa tak późno odpowiadam, zwłaszcza, że w Pańskim osamotnieniu każdy znak życia od przyjaciół pożądański, bo rozrywa bodaj na chwilę letnią monotonię. Współczuję drogiemu Panu szczerze, choć na wsi teraz takie deszcze, że rozmaitości też nie ma, tylko swoboda większa niż w Warszawie. – Za dobre wieści o P. K. dziękuję: jestem o jego losy spokojny pod Pańskim doświadczonym sterem, byle tylko zdrowie Panu kochanemu dopisywało i starość nie przygniatała mu zbyt bark, skoro już siwizna się zjawia. Cieszę się że z ks. Z. tak dobrze idzie: nie przypuszczałem inaczej, znając go. Ze mną byłoby dobrze, bo pozałatwiałem interesy, jakie miałem, i powieść idzie szybko i dobrze naprzód, ale jeden z krewnych, do którego miałem jechać na Podole, umarł nagle (łączę kilka słów o nim do nekrologu), drugi przyjaciel od serca, do którego jadę za dwa tygodnie, zachorował ciężko podobno na raka, więc to jakby dwie chmury, które mi gorzej od deszczu zaciemniły wakacyjny horyzont. Tu zbiory byłyby ładne, gdyby nie ślota, ucisk silny, prestracja ogólna i w Humańszczyźnie organizują się bandy rozbójnicze,

⁸⁸ List ks. Jana Gnatowskiego do Brunona Wincentego Korotyńskiego z 1911 r., rkps BN, sygn. 7284, t. IV

o których podczas mego pobytu policja uprzedzała obywateli, radząc myśleć o sobie. Błogo żyć w państwie dobrze zorganizowanym i szanującym tak wysoko obywatelską swobodę... bandytów!

Ściskam z serca dłoń Pańską i zostaję oddanym Mu przyjacielem,

Jan Gnatowski⁸⁹

Niestety list nie został opatrzony nazwą miejscowości, w której Gnatowski spędzał – na co wskazuje treść – wakacje 1911 r., dysponujemy jednak wskazówką: pojawia się odwołanie do Humańszczyzny. Jeśli rzeczywiście przebywał na tamtych terenach, był bardzo daleko od Warszawy, wbrew informacjom powielanym przez kolejne słowniki. Nie zachował się także nekrolog dotyczący zmarłego krewnego, o którym wspomina prałat. Możemy się jedynie domyślić, że nie chodzi o Zygmunta Sarneckiego (który także związany był z Podolem), zmarł on bowiem dopiero jedenaście lat później.

Były to prawdopodobnie ostatnie długie wędrówki Łady, gdyż w liście do rzeczzonego Sarneckiego z około 1913 r. czytamy:

(...) Cieszę się, widząc z listu, że lata przechodzą bez złego śladu dla kochanego Wuja. Ja niestety o sobie nie mogę tego powiedzieć. Stary jestem, ociężały do niemożliwości, prawie całkiem ślepy. Jako redaktor nic nie czytam, prócz tego co mi czytają sekretarze redakcyjny i prywatny nic nie wiem i tylko trochę myśli kołacze się jeszcze w mózgu. Dziwna rzecz, że ta era zupełnego upadku stała się zarazem i czasem produkcji literackiej, która dziś jest u mnie intensywniejsza niż dawniej i więcej ma powodzenia. „Lucifer” wychodzi w tym tygodniu u Gebethnera: przysłę go Wujowi. „Oman” miał w „Świecie” powodzenie (...)”⁹⁰.

List, pomimo braku datowania, wskazuje na 1913 r., wszakże to wtedy drukowano w Warszawie wspomniane przez Gnatowskiego utwory. Rzecz zastanawiająca, że tylko dwa lata wystarczyły, by z emerytowanego, lecz wciąż aktywnego *homo viatora* zmienił się w ociężałego starca. Nie jest do końca prawdą to, co napisał o zarzuceniu pracy redaktora. Dowodem na to może być list Witolda Czechota z 29 stycznia 1913 r.:

Drogi księżu Janie,

Przypominam że w rękopisie artykułu mego o pałacie Godlewskim jest luka (pasek 9ty czy 10ty) zostawiona dla wyliczenia kół prowincjonalnych stowarzyszenia Robotników

⁸⁹ List ks. Jana Gnatowskiego do Brunona Wincentego Korotyńskiego z 1911 r., rkps BN, sygn. 7284, t. IV. k.

⁹⁰ List ks. Jana Gnatowskiego do Zygmunta Sarneckiego, b.d., prawdopodobnie 1913r., Rkps Bibl. Jagiel., sygn. 6714, t. 2.

Chrześcijańskich. Ponieważ ... że jest ich do czterdziestu i byli, liczyć nie warto, ale tylko ogólną cyfrę wzmiankować. Przepraszam za zagapienie się⁹¹.

Nie pozostawał zupełnie wyalienowany, jeśli wciąż otrzymywał listy od redakcyjnych współpracowników. „Ateneum Kapłańskie” informuje zresztą, że:

(...) obowiązki kapłańskie gorliwie zawsze spełniał, służąc radą i pomocą bliźnim, iż w domu jego panowała polska gościnność, iż wyrabiał przy sobie liczne grono współpracowników swoich, którym życzliwie wskazówek wszelkich udzielał, iż, choć niewidomy, będąc od 1919 r. radcą Kurji Metropolitalnej, przygotowywał projekty listów, odzew, memoriałów⁹².

⁹¹ List Witolda Czeczota do ks. Jana Gnatowskiego z 29 stycznia 1913 r., rkps BN, sygn. 7290, k. 7.

⁹² A. Fajęcki, *Ks. Jan Gnatowski...*, s. 101.



1.8. OSTATNIE LATA ŻYCIA

W „Przeglądzie Katolickim” o ostatnich latach życia Gnatowskiego przeczytać możemy: „(...) pracował do ostatniej chwili życia, jako spowiednik, kaznodzieja i publicysta, nie osłabiony w swym zapale nawet przez utratę wzorku”⁹³.

Niestety nigdzie nie wspomina się o jakimkolwiek jego udziale w I wojnie światowej. Kleiner wzmiankuje jedynie, że „w ciągu wojny ociemniał zupełnie”⁹⁴.

Powieści pisał prawie do śmierci, bowiem jeszcze w 1920 r. ukazał się *Antychryst*, pesymistyczne świadectwo ostatnich, przedśmiertnych refleksji Gnatowskiego nad otaczającym go w latach 20. światem, tak innym od *belle époque*, którą wspominał jeszcze w listach bądź opowiadaniach. U Kleinera czytamy:

Na sienkiewiczowskie tory wróciła „powieść z lat dawnych” *W zaklętym zamczysku* (...). Przemawia z niej talent niesłabnący autora, który konał już w chwili ukazania się tych dwu tomów – w chwili, gdy oddane były do druku dwa inne jeszcze dzieła nowe, powieść kresowa *Hetmanik* i baśń *O śpiących rycerzach i czuwającym królu* – i gdy zwrócono się do niego z prośbą, by pozwolił w Polsce i we Francji i w Ameryce przedstawiać dramat filmowy, przetwarzany z *Antychrysta*⁹⁵.

Odwiedzany przez grono znajomych oraz – dorosłych już – uczniów z gimnazjum we Lwowie, do samej śmierci Gnatowski otoczony był przez życzliwych mu ludzi, którzy pomagali mu znosić ślepotę.

Jak o utracie wzroku pisał Kleiner: „ociemniały od dłuższego czasu a pracujący aż do ostatnich miesięcy”⁹⁶ Łada u kresu życia oddawał wciąż do druku swe utwory, pisane zapewne jakiś czas przed oślepieniem bądź – może – dyktowane jednemu z serdecznych pomocników, których tak wielu otaczało „umiłowanego” księdza prałata.

Jakiel podkreśla, że „ks. Gnatowski oślepl, ale nie załamał się”⁹⁷, wykazując heroiczną postawą do ostatnich chwil życia.

Energia twórcza musiała cześć budzić wobec brzemienia ciężkiego, co mu osnuło mrokiem koniec życia. A gdy w ciągu wojny ociemniał zupełnie, znosił kalectwo i chorobę z hartem duszy, godnym podziwu – i z niemniej godną podziwu niezłamaną ciągłością pracy. Życiem tych lat

⁹³ [b.a.] *Śp. Ksiądz Jan Gnatowski...*, s. 686-687.

⁹⁴ J. Kleiner, *Jan Łada...*, s. 865.

⁹⁵ *Loc. cit.*

⁹⁶ *Loc. cit.*

⁹⁷ E. Jakiel, *Księdza Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 361.

męczeńskich świadectwo dawał chrześcijańskiej sile ducha, jak dawał jej świadectwo w pismach⁹⁸.

Doczekawszy sędziwego wieku, pozostał w opinii publicznej księdzem-estetą, podróżnikiem i wojującym kaznodzieją. Zmarł 9 października 1925 roku.

⁹⁸ J. Kleiner, *Jan Łada...*, s. 865.

ROZDZIAŁ II

LITERATURA PODRÓŻNICZA

2.1. SŁOWO WSTĘPNE

Twórczość Jana Gnatowskiego dzieli się, najogólniej rzecz ujmując, na trzy główne okresy, odpowiadające wydarzeniom z jego życia.

Pierwszy okres twórczości, którego periodyzacja przypada mniej więcej na lata 1882-1891, obejmuje utwory zaliczane do tak zwanej „literatury podróżniczej”. Poprzedzony jest on rozmaitymi próbami twórczości dziennikarskiej (*Realizm w literaturze nowoczesnej* 1879 r., *Listy o literaturze i sztuce* 1879 r., *Moja Beatrice* 1880 r.), związanej z okresem studiów i fascynacją profesorem Tarnowskim.

Powieści epistolarne, w których relacjonował Gnatowski swoje wyprawy – czy to podjęte w celach naukowych, czy turystycznych – ukazywały się drukiem w wydawnictwach ciągłych przeważnie na terenie Warszawy, gdzie pamiętano go i kojarzono jako młodego redaktora. W obręb tego pierwszego etapu twórczości księdza zaliczymy przede wszystkim *Listy z Konstantynopola*, *Listy z Berlina*¹ oraz *Listy znad Adriatyku*. Ów zestaw „literackich fotografii” dobrze oddaje młodzieńczą ciekawość świata, jaka cechowała Gnatowskiego w tym okresie życia, a jednocześnie ujawnia jego dar opisywania i komentowania rzeczywistości bez zaściankowych „uprzedzeń”, jakimi mógłby przecież odznaczać się, będąc wychowywanym w podolskim majątku szlacheckim. Wartość literacka tychże „listów” jest co prawda mniejsza niż ich wartość biograficzna, stanowią jednakże ciekawy dowód na dziewiętnastowieczny sposób postrzegania świata przez ówczesnych podróżników.

Niedługo po otrzymaniu święceń kapłańskich rozpoczyna się kolejny okres twórczości Gnatowskiego, który nazwać by można dydaktycznym bądź moralizatorskim. Inicjuje go powieść *O duszę*, publikowana w trzech częściach w „Przeglądzie Polskim” (1893 r.), a także w „Biesiadzie Literackiej” oraz „Echu Przemyskim”. Od tego momentu Gnatowski będzie proponować czytelnikom zestaw „zbeletryzowanych kazań” głoszących nauki Kościoła, które ci przyswoić mieli w formie – jego zdaniem – ciekawszej i bardziej atrakcyjnej.

Literaturę katechizującą uprawia Gnatowski w czasie, gdy porzuciwszy karierę prałata papieskiego, osiada we Lwowie jako nauczyciel gimnazjalny. Podejmuje się więc prac

¹ Niewymienione w 14. tomie *Nowego Korbuta*.

wychowawczych nad młodym pokoleniem nie tylko jako katecheta-pedagog, głoszący wprost nauki Kościoła, ale też wykorzystując w tym celu literaturę beletrystyczną.

Powieści *O duszę*, *Ostatnia msza* oraz *Proboszcz z Priesslau* nazwać można w zasadzie „przy-powieściami” pisanymi „ku przestrodze” w celu głoszenia nauk Kościoła w sposób jasny i prosty, stanowiący niejako „drogowskaz” dla polskiego czytelnika. Ponadto część utworów, poza nutą moralizatorską, nawiązuje do okresu zaborów i powstania styczniowego, posługując się popularnym w tamtym okresie językiem ezopowym (*Z doliny łez*, *Jak liście z drzew strącone*). Nie brak wśród nich opowiadań nawiązujących do dzieciństwa autora.

Wreszcie, od 1912 r., rozpoczyna się ostatni etap twórczości Gnatowskiego, który jednocześnie przyniósł mu najwięcej sławy – etap fantastyczny, oscylujący wokół estetyki gotycyzmu i grozy. Począwszy od dwutomowego dzieła pt. *Oman. Czarodziejska historia o Rycerzu-upiorze, o Wodnicy-topielicy i o padewskim studencie*, Gnatowski prezentować będzie czytelnikom historie nawiązujące do słowiańskiego folkloru, wyraźnie inspirowane Sienkiewiczem i Kraszewskim, ale też snuć opowieści o dziewiętnastowiecznych salonach spirytystycznych, w których znudzona arystokracja szuka mocnych wrażeń poprzez wywoływanie duchów.

Okresy te mniej więcej odpowiadają etapom życia ks. Gnatowskiego, ale też odzwierciedlają rozwój tożsamości i warsztatu pisarza. Warto podkreślić, że literatura fantastyczna tworzona w ostatnim okresie życia nie jest pozbawiona elementów moralizatorskich. Przeciwnie, stanowi raczej ich kolejną „odslonę”, kolejny etap nawracania wiernych. Gnatowski był boleśnie świadom zjawisk fascynujących Europę w tamtym okresie: jak zaznaczono w biografii, wygłaszał też odczyty będące pokłosiem jego badań nad okultyzmem i spirytyzmem. Przypuszczalnie propagował w nich te same nauki, jakie „przemycić” chciał w powieściach fantastycznych, tylko na pozór lekkich i niepoważnych.

Powieści Gnatowskiego stanowią wobec tego, począwszy od okresu literatury dewocyjnej, swoisty „katechizm zbeletryzowany”. Dla szkół w tamtym okresie przeznaczony był przede wszystkim lwowski *Katechizm rzymsko-katolicki* księdza Józefa Deharbe, z którego Gnatowski, jako nauczyciel, najpewniej korzystał. Znalazły się w tym podręczniku rozważania o cnocie i chrześcijańskiej doskonałości, pokucie i zadośćuczynieniu, czy o środkach łaski. Podejmuje więc katechizm te same podstawowe rozważania z zakresu wiary chrześcijańskiej, co Gnatowski w swych utworach. Być może czując niedowład języka homilii i podręcznikowych wywodów bądź obserwując swych uczniów, Łada wychodzi im naprzeciw proponując kazania w formie literackiej. Z listów wynika również, że powodowała nim nie tylko chęć podjęcia misji duszpasterskiej, ale ludzkie pragnienie sławy – sławy

pisarskiej. Niestety, największą popularność zdołał osiągnąć dopiero pod koniec życia, kiedy to utrata wzroku uniemożliwiła mu większość aktywności, jakie sprawiały mu taką radość, w tym nauczanie w gimnazjum. Dorobek, który po sobie pozostawił, jest jednak cennym śladem ówczesnych nauk Kościoła i ciekawym przykładem reinterpretacji dziewiętnastowiecznych motywów literackich.

2.2. LISTY Z KONSTANTYNOPOLA

Pierwsze relacje z podróży na Wschód publikował Gnatowski w 1882 r., jednocześnie w warszawskim „Słowie” – konserwatywnym dzienniku redagowanym podówczas przez Henryka Sienkiewicza – oraz w „Gazecie Krakowskiej”, której nakładem zbiór tychże listów ukazał się raz jeszcze w 1883 r. Tom dedykowany został Zygmuntowi Sarneckiemu, „najbliższemu krwią i sercem w upominku szczerej przyjaźni”².

Podobne listy z podróży, drukowane w prasie periodycznej przez cały niemal wiek XIX, cieszyły się niemałą popularnością wśród czytelników. Jak pisze Janina Kamionka-Straszakowa, gatunkowo należałoby umieścić je na pograniczu podróżopisarstwa dokumentalnego i literatury pięknej inspirowanej wędrówkami autora. Oscylowały między reportażem, felietonem, esejem a obrazkiem rodzajowym, na poły będąc uporządkowane i przygotowane do druku, na poły charakteryzując się kronikarską przypadkowością³.

W pierwszym rozdziale dwudziestosiedmioletni wówczas Gnatowski skupia się na krótkim, acz wnikliwym opisie Odessy, zwracając przede wszystkim uwagę na multikulturowy charakter miasta. Wspomnienia z dzieciństwa, kiedy to uczęszczał tutaj do miejscowego gimnazjum, mieszają się z krytycznymi uwagami na temat zmian, jakie w przeciągu zaledwie kilkunastu lat zaszły w okolicy.

Opis rozpoczyna od stwierdzenia: „Odessa to prawie przedmieście Konstantynopola”⁴. Leżąca na granicy Rosji i Imperium Osmańskiego, miejscowość ta stanowiła pod koniec XIX wieku swoisty pomost między światem – a więc też kulturą – Wschodu i Zachodu. Nie wzbrania się autor przed krytyką Odessy, porównując ją do wielkich, lecz pustych miast amerykańskich, wznoszonych naprędce wśród prerii.

Opis lokalnej ludności, choć barwny i wnikliwy, niewolny jest też od pewnych niekonsekwencji. Przykładowo, na początku rozdziału Gnatowski zauważa, iż: „Na głównych nawet ulicach pustki zupełne. Czasem minuta i dwie przechodzi, nim ktoś cię minie”⁵. Narzeka także na szarżyznę i monotonię otaczającej go ludności. Kilkanaście stron dalej pisze jednak, iż ulice są zatłoczone, wypełnione straganami i kolorowymi przedstawicielami wielu różnych narodowości⁶. Tego rodzaju drażniące czytelnika niekonsekwencje pojawiają się od czasu do czasu we wszystkich relacjach z podróży Gnatowskiego. Można jedynie

² J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola*, Kraków 1883, dedykacja (s. nienumerowana).

³ Zob. J. Kamionka-Straszakowa, *Podróż*, [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykowa, Wrocław 2002, s. 703.

⁴ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 1.

⁵ *Ibidem*, s. 3.

⁶ „(...) Co chwila słyhać odgłos muzyki, harmonijkę lub organek, grający w traktierze, z którego przez okna otwarte bucha gorące powietrze, przesycone wyziewami wódki i gwar pomieszany śmiechów, krzyków, śpiewów i pijanych łajdań takich, jakich w innym języku nie posłyszysz się z pewnością”. (*Ibidem*, s. 20.)

przypuszczać, iż seria notatek z wędrówek powstawała naprędce, obfituje więc w bieżące przemyślenia i uwagi, ulegające zmianie w miarę zwiedzania danego miejsca. Warto też pamiętać, że *Listy z Konstantynopola* są pierwszą paraliteracką próbą Gnatowskiego, publikującego dotychczas jedynie teksty naukowe i publicystyczne.

Po pierwszych spostrzeżeniach następuje opis podziałów, jakie wytworzyły się wewnątrz mieszkańców Odessy. Wśród niższych warstw społecznych dominuje „żywiół rosyjski”⁷, bardzo wielu jest też kupców żydowskich. Prawie zupełnie zniknęli natomiast zaludniający onegdaj miasto Grecy, a: „inne narodowości nikną w tłumie ulicznym, choć nad morzem, między rybakami często słyszysz włoski język a między robotnikami i służącymi w mieście – niemiecki i polski”⁸.

Polskiej kolonii poświęca Gnatowski dość rozległy fragment rozdziału, informując że większość rodaków przyjechała tutaj w poszukiwaniu pracy niedługo po konfiskacie majątków spowodowanej represjami popowstaniowymi.

Autor przejawia niemały talent do wnikliwej obserwacji miejskiego żywiołu, połączony z rozległą wiedzą historyczną na temat opisywanych miejsc, dzielnic, a nawet budynków. Wymienia też główne gałęzie handlu i towary, z eksportu których słynie port odeski.

W opisie przeważa narracja charakteryzująca się przewagą bezosobowej formy czasownika: „widzi się”, „spotyka się”, etc. Niekiedy autor buduje też rozległe równoważniki zdań, pomijając osobową formę orzeczenia: „Okolice Odessy i cała Chersońszczyzna pełna kolonii niemieckich”⁹.

O Niemcach wypowiada się zresztą Gnatowski z wielką sympatią, nazywając ich mniejszość „prawdziwą oazą europejskiej kultury”¹⁰ pośród „barbarzyńskich” tubylców.

Polska kolonia będąca częścią tej wielonarodowościowej mozaiki staje się tematem krytyki Gnatowskiego. Mimo pozornej bezstronności opisu, nietrudno czytelnikowi zauważyć konserwatywne tendencje autora. O polskich imigrantach pisze:

W zetknięciu z kosmopolitycznym światem bez Boga, ojczyzny i ideału, zacierają się powoli wspomnienia, tradycje, wierzenia wyniesione z domu; młode pokolenie wyrasta, nie znając ich zupełnie, obce ziemi i wierze ojców, dzikie jak chwast na chersońskim stepie¹¹.

⁷ *Ibidem*, s. 4.

⁸ *Loc. cit.*

⁹ *Ibidem*, s. 6.

¹⁰ *Loc. cit.*

¹¹ *Ibidem*, s. 8.

Krytyka kosmopolityzmu może szczególnie dziwić, jeśli pamiętać o tym, iż sam Gnatowski w późniejszym okresie życia nie wzbraniał się przed określaniem go mianem „światowca” tudzież właśnie „kosmopolity”.

Z podziwem patrzy natomiast Gnatowski na założycieli towarzystw dobroczynnych oraz nielicznych – takich jak A. Zwierowicz – krzewicieli polskiej kultury. Jego księgarnia mieściła się przy ulicy Katarzyny (Dom kościelny) 31 i było o niej dość głośno nawet w kraju¹². Do podobnych inicjatyw przyszły prałat będzie odnosić się z sympatią i szacunkiem także w okresie lwowskim oraz w ostatnich latach życia, gdy osiadł w Warszawie.

Autor wspomina także zakład wychowawczy i pracownię dla ubogich dziewcząt katolickich. Najprawdopodobniej chodzi o placówkę Florentyny Dymman, która kierowała domami opiekuńczymi także w Rydze, Petersburgu i Rejdówce¹³.

Następnie przechodzi do opisu katedry Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny:

Kościół katolicki uważany jest za najpiękniejszy budynek w mieście, co wcale jeszcze nie znaczy, żeby był piękny. Zbudowany przed kilkudziesięciu laty z ofiar parafian, – w nieokreślonym stylu, mającym pretensję do renesansu a motywa zaczerpnięte ze wszystkich znanych i nieznanых kierunków artystycznych, zbyt niski, jakby przygnieciony, zbyt wąski i długi, z wieżą ściętą na pół i kopułą przypłaszczoną, podobną do karczocha – robi wrażenie czegoś niedokończonego¹⁴.

Przy okazji opisu kościoła – ale także innych budynków – udowadnia Gnatowski swą rozległą wiedzę z dziedziny architektury i historii sztuki, jakby na potwierdzenie informacji, że ostatnie dwa lata życia spędził na przygotowywaniu ogromnej rozprawy doktorskiej.

Zwiedzanie okolic, które dzięki nieustannemu rozwojowi miasta uległy zmianie, staje się pretekstem do wplecenia w „suchą” dotychczas relację kilu osobistych wspomnień z dzieciństwa. Narracja niepostrzeżenie przechodzi w pierwszoosobową, a styl zaczyna przypominać pamiętnik, niewolny od elementów nostalgicznych:

Był czas kiedy się widziało samo tylko morze – wraz z przeciwnym brzegiem lądu, po tamtej stronie zatoki. Pamiętam to dobrze. Byłem wtedy dzieckiem i długie godziny spędzałem na bulwarze, wpatrując się w tę ogromną przestrzeń lśniącego szafiru, mlecznymi falami objającego

¹² Zob. W. Jakowicki, *Przewodnik po Odessie z planem miasta. Opis drogi z Warszawy do Odessy*, Warszawa 1910, s. 11 (50).

¹³ Zob. A. J. Nowowiejski, *Dzieje Instytutu Matki Bożej Miłosierdzia (1818-1907)*, Płock 1908, s. 139.

¹⁴ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 11.

się cicho o brzegi. (...) I bulwar wtedy był inny, drzewka rosły swobodnie, pomieszane z krzakami, i na dół ustępami schodziła naga ściana, dzika, z urwiskami, a pełna malowniczego wdzięku i oryginalności samym swoim kontrastem z szeregiem pałaców na górze i strojnym tłumem przechadzającym się po bulwarze. Teraz zmieniło się wszystko¹⁵.

Na karty wielu powieści Gnatowskiego uparcie powraca motyw marynistyczny. Fascynacja żywiołem morskim, reprezentantem nieujarzmionych sił przyrody, w których objawia się struchlałemu obserwatorowi sam Kreator, towarzyszyć będzie prałatowi do późnej starości, czego świadectwem mogą być listy do przyjaciół i członków rodziny.

Decydując się na pozostanie przy narracji pierwszoosobowej, Gnatowski relacjonuje przechadzkę przez bulwar w stronę zatoki, gdzie czeka już na niego statek, którym przybije do brzegów Konstantynopola. Z powodu tłumu musi „pomagać sobie łokciami”¹⁶, zostawiając za plecami ratusz i muzeum. Skrupulatnie opisuje większość mijanych przez siebie budowli, wyjaśniając w kilku zdaniach, co znaleźć można w środku, jaki styl architektoniczny dominuje w danej okolicy, a czasem nawet kiedy dane budynki powstawały. Krytyczne uwagi mieszają się z pochwałami, ale autor wciąż stara się utrzymać pozory bezstronności.

Dynamizm miejskiego żywiołu podkreślają pojawiające się od czasu do czasu równoważniki zdań:

I tutaj tłum, hałas; jedni cisną się po stromych schodach do łazienek, inni do ogrodu i restauracji. Muzyka wojskowa kaleczy przeraźliwie walce Straussa – może ze zbytku patriotycznego uczucia – podochoцени goście wtórują jej z pełnemi szklankami. Tuż obok u brzegu całe setki kąpiących się razem mężczyzn i kobiet w strojach pierwszych rodziców. (...) I znowu *café-chantant*, pełne piękności odeskiego półświatka, koncepta żydowskich komików przedrwiwających – wcale niedowcipnie – śmieszności i wadliwą wymowę swoich współwyznawców; wyuzdane i wcale niezabawne piosneczki w połączeniu z odpowiednią gestykulacją, hałas, krzyk i fałszywa muzyka¹⁷.

Fragmenty te można uznać za najbardziej udane. Gnatowski trafnie dobiera nie tylko technikę opisu, ale i słowa dodatkowo podkreślające żywotność i entropię miejskiego, wielokulturowego tłumu. Czasem pod względem techniki narracja przypomina wręcz

¹⁵ *Ibidem*, s. 13-14.

¹⁶ *Ibidem*, s. 15.

¹⁷ *Ibidem*, s. 17-21.

współczesny scenariusz filmowy, albo – bliższe czasom autora – didaskalia dramatyczne. Taką „fotografią” literacką może być opis statku wypływającego z odeskiego portu:

Na jeden z tych okrętów i ja się wdrapuję po desce pochylej; – to odpływający do Aleksandrii „Czichaczew”. Do odjazdu jeszcze godzina. Hałas, ścisk, krzyk nieopisany. Prawdziwe piekło. Ogromne woły uwiązane w pół linami-machiną, windują z brzegu w powietrze a potem na spód okrętu. (...) pomocnik kapitana przypatruje się przygotowawczym manewrom przed odjazdem i ochrypłym głosem wydaje rozkazy. Majtkowie uzbrojeni w liny, z przekleństwami przeciskają się przez tłum, zalegający oba pomosty. Wszyscy się żegnają, płaczą, krzyczą do stojących na brzegu. (...) Chustki i kapelusze powiewają w powietrzu, oko szuka po raz ostatni tych, co zostali na brzegu¹⁸.

Taka technika opisu świadczyć może o filmowej wyobraźni Gnatowskiego. Jednocześnie scena wydaje się sentymentalna, a motyw zapłakanych pasażerów statku wywołuje na twarzy czytelnika pobłażliwy uśmiech. Prawdziwy talent przejawia natomiast młody autor dopiero podczas próby literackiego odwzorowania niekielznanego, morskiego żywiołu, teraz zdającego się przyjaznym i łagodnym:

Błękit dokoła, na górze, w dole, wszędzie. Zwierciadło morza podnosi się z lekka, tu i owdzie poprzecinane wijącemi się kapryśnie wstęgami srebrzystej iskrzącej się, jak puch lekkiej piany. Monotonnie, półgłosem szemrzą fale, objając się o boki okrętu i rozpryskują wokół snopy całe perlących się kropel. Szeroka smuga biała otacza okręt wieńcem z brylantowych puchów, a z tyłu długi pas jasny, zielonkawy, perłowymi odbłyсками świecący na modrej przestrzeni, oznacza miejsce, przez które przeszły żelazne koła parowca¹⁹.

Pierwszy rozdział kończy się wypłynięciem z Odessy, którą autor zdaje się opuszczać z lekkim poczuciem ulgi. Podkreślał wszakże niejednokrotnie, że nie przepada za tym miastem.

Podróż morską przebiega bez zakłóceń. Z właściwą sobie pieczołowitością autor opisuje warunki zakwaterowania, kosztowane przez siebie posiłki i trunki, wreszcie – załogę i pasażerów statku. Gnatowski – *homo viator* – odkrywa przed czytelnikiem swą naturę poszukiwacza przygód i wrażeń, niespokojnego ducha, który pragnie bez przerwy pozostawać w drodze, zamiast osiąść na stałe w jednym miejscu. Staje się to przyczyną krytyki

¹⁸ *Ibidem*, s. 20-21.

¹⁹ *Ibidem*, s. 22-23.

towarzyszy podróży, do których opinii podchodzi jednak młody autor z dystansem, czasem nawet lekką nutą ironii:

Z niekrępującą się w niczem ciekawością – zwykłą cechą wschodu i południa – moi towarzysze spieszą dowiedzieć się o celu i powodach mojej podróży i z wykrzyknikami podziwienia, nie bez pewnej nieufności przyjmują odpowiedź. Jak to! Jechać do Konstantynopola bez interesu, tylko dla widzenia miasta i Bosforu? Ale cóż tam jest do widzenia? Miasto brudne i stare, uliczki kręte, wąskie i strome, aż konie ustają. Żadnych teatrów ani nawet porządnego *café-chantant* nie ma; magazyny liche, kawiarnie nędzne, domy staroświeckie, ani komfortu, ani elegancji wielkomiejskiej, ani fabryk żadnych! Nawet surduty mało kto nosi a karety i tramwaje od niedawna dopiero zaprowadzono. Co innego Odessa! To dopiero miasto, do którego nie żał kilka dni jechać (...)²⁰.

Ale Gnatowski nie chce pozostawać w Odessie. Chce odkryć tajemne piękno Wschodu, które nieustannie wabi go swoim czarem, fascynuje odmiennością orientalnej kultury. Sam tłumaczy:

Chciałem na chwilę wyrwać się, zapomnieć, puścić wodze wyobraźni, skąpać się w potokach światła i barw gorących, do których mi od dawna było tęskno, odżyć życiem od codziennego odmiennem, wśród jaskrawych łachmanów i kapryśnie wijących się zaułków wschodniego miasta²¹.

To poczucie ciasnoty pośród europejskich stolic nie umknęło zresztą współczesnym Gnatowskiemu recenzentom *Listów z Konstantynopola*. W „Kłosach” Jan Gadomski pisał:

Autorowi uprzykrzyła się szara i konwencjonalna atmosfera naszego cywilizowanego świata i postanowił szukać wrażeń na bogatym w barwy Wschodzie. Pojechał do Konstantynopola, pojechał i został oczarowany²².

Młody autor niejednokrotnie wspomina o swojej niechęci do zmian, jakie obserwuje w europejskich i rosyjskich miastach – przeraża go postęp technologiczny, wzrost zaludnienia, przebudowa starych dzielnic i ogólny rozwój urbanizacyjny. Ujawnia też wtedy swe sentymentalne skłonności, nieustannie wędrując jak gdyby „w poszukiwaniu straconego czasu” i powoli przemijającej epoki. Być może dlatego dobrze czuje się na łonie natury, która

²⁰ *Ibidem*, s. 27.

²¹ *Ibidem*, s. 28.

²² J. Gadomski, *Przegląd literacki*, „Kłosy” 1883, nr 961, s. 349.

mimo pozornego chaosu pozostaje niezmienna w swojej cykliczności. Nieustannie zachwycają go zjawiska przyrodnicze – długi opis poświęca obserwacji wschodu słońca oglądanego z pokładu statku. Wschód ten może być zapowiedzią zupełnie nowego dla autora, tajemniczego świata, do którego powoli wkracza. Po wpłynięciu do cieśniny Bosfor przygląda się zapierającym dech w piersiach widokom, podziwiając piękno architektury islamu:

(...) wysmukły minaret, przesyła mi pierwsze pozdrowienie Wschodu.

(...) I tu już zaczyna się ta podróż po zaczarowanym, fantastycznie pięknym świecie, mająca trwać przez dwie z górą godziny i u stambulskiego mostu dopiero, przy Galacie się skończyć. Charakterystyczną cechą Bosforu jest zwolna powiększająca się skala piękności, jakby dla przyzwyczajenia oczu do tego nadmiaru bogactw, do tej orgii cudów, jaka się ma w końcu przed nimi roztoczyć. Zdaje się co chwila: to już najpiękniejsze! jedno mgnienie oka — i już nowe wrażenie zatarło tamte i obraz czarujący przed chwilą, zbladł wobec innego, olśniewającego nieskończenie większym urokiem²³.

Wyrafinowana metafora świadczyć może o sympatii Gnatowskiego do świata Wschodu – wszakże nazywa go nawet „orgią cudów”.

Pełen zachwytu autor stara się obudować swoją relację wiedzą historyczną i geograficzną – w kilku słowach opisuje historię walk o Konstantynopol, podaje nazwy okolicznych osad, takie jak Jeni-Mahalle, czy Sari-ïar, a wszystko wokół wciąż „śmieje się, lśni kolorami jaskrawemi wesoło i żywo na ciemnym tle bujnej zieleni, nęci i bawi oko (...)”²⁴. Jak pisze Kamionka-Straszakowa, dziewiętnastowieczne podróżopisarstwo musiało niemal zawsze cechować się wieloplanowością i różnorodnością materiału tematycznego – opis łączył w sobie elementy nauk historycznych, statystyki, geografii, przyrodoznawstwa, a także wiedzy o obyczajach czy normach życia społecznego panujących w danym kraju. Prezentowany utwór nie różni się pod tym względem od przyjętych norm i oczekiwań czytelników²⁵.

Stara się też Gnatowski nieustannie podtrzymywać ciekawość odbiorcy, inkrustując swój wywód zdaniami pytającymi: „Co za tem będzie? Jakie cuda w mgle tej się kryją?”²⁶, lub też stosując krótkie, urywane, zakończone wielokropkiem zdania, które służą budowaniu napięcia: „(...) kopuły, minarety, ogrody nadmorskie... I nagle...”²⁷.

²³ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 31-32.

²⁴ *Ibidem*, s. 33.

²⁵ Zob. J. Kamionka-Straszakowa, *Podróż...*, s. 699.

²⁶ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 33.

²⁷ *Ibidem*, s. 34.

Bezstronność wywodu zostaje zapomniana i porzucona, znika gdzieś w natłoku wrażeń towarzyszących obserwatorowi:

Byłem olśniony. Spełnił się więc sen mój długoletni i spełnił się piękniejszy o wiele, niż marzyłem. Widzę więc przed sobą stolicę świata, królowę mórz i lądów, pełną blasków i czaru (...). Więc coś będzie dalej? W głowie zaczyna się kręcić, zdaje mi się, że to sen czy też jakaś fantastyczna baśń arabska²⁸.

Gnatowski – przynajmniej na razie – nie tylko wolny jest od krytycznego spojrzenia na świat islamu, ale zdaje się wręcz przejawiać sympatię do tego świata, szczególnie podziwiając jego architekturę i sztukę.

Od czasu do czasu młody autor powołuje się na swoich poprzedników, na przykład włoskiego dziennikarza Edmundo de Amicisa, który w 1879 r. opublikował serię artykułów na temat Konstantynopola²⁹. Gnatowski uważa nawet, iż Włoch „jak nikt” umiał odczuć piękno tego orientalnego miasta. Te intertekstualne odwołania stają się jednak powodem krytyki odbiorców tekstu, wskazują bowiem na niesamodzielność autora, który posiłkował się relacjami innych. Gadomski pisze:

Położenie turysty, zwiedzającego miejsca po tysiąc razy przed nim już zwiedzane i opisywane, nie należy do najszcześniejszych. Wrażenia obce, poznane z książek, ciążą na nim, i niełatwo mu jest wyzwolić się spod tego ciężaru. Jeżeli nie będzie patrzył na rzeczy oczami poprzedników, będzie się, co najmniej, orientował w masie wrażeń, podług ich wrażeń i ich wskazówek. A i to już krępuje samodzielność w odtworzeniu charakterystycznych stron nowego życia i nowego świata³⁰.

Autor świadom jest też ograniczeń w swoim kunszcie pisarskim, szczególnie wtedy, gdy piękno krajobrazu zdaje się już przekraczać jego najśmielsze oczekiwania, oczarowując widokiem tak innym od szarych i monotonnych równin Podola, jakie oglądał dotychczas. „I tu już naprawdę nie wystarcza pióro, żeby oddać – nie już magiczny urok, ale tylko zewnętrzne zarysy obrazu”³¹, twierdzi.

Sam Konstantynopol opisuje Gnatowski zwracając się bezpośrednio do czytelników:

²⁸ *Ibidem*, s. 35-36.

²⁹ H. Bonecki, *Edmundo de Amicis*, [w:] *Mała Encyklopedia Powszechna PWN*, red. H. Bonecki, Warszawa 1974, s. 32.

³⁰ J. Gadomski, *Przegląd literacki...*, s. 349.

³¹ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola*, s. 44.

Wyobraźmy sobie ogromną masę zieleni, z której tu i owdzie strzelają w górę minarety i gmachów ogromnych szczyty – to Stambuł. Przed nami ogrody seraju, otoczone niskim murem wkoło półwyspu nad brzegiem. Z pomiędzy pomarańcz i mirtów wyglądają starożytne pałace, łaźnie, kioski, samotne wewnętrznych dziedzińców bramy³².

Opis miasta współgra z przytoczonymi wcześniej wrażeniami autora – czuje się, jakby wkroczył w świat arabskiej baśni. Rzeczywiście, Gnatowski kreuje obserwowany przez siebie, zachwycający świat Wschodu na podobieństwo jakiegoś czarownego, nie do końca realnego miasta, pełnego „starożytnych pałaców”. A przecież XIX wiek to także czas prężnego rozwoju Konstantynopola, którego mieszkańcy po części pozwali na Europejczyków, wznosząc budowle w stylu rokoko. Póki co jednak oczarowanie każe nazwać Gnatowskiemu Stambuł „najpiękniejszym z miast”³³, które – niczym cypryjska Wenus – wyłania się z morskiej piany.

Wjazd do miasta niesie ze sobą pierwsze rozczarowanie. Panorama obserwowana z pokładu statku okazuje się zgoła inna od ciasnoty, chaosu i tłoku panującego na ulicach Stambułu. Otwarcie pisze o tym, iż ośrodek kultury arabskiej zdaje mu się teraz „lichą karykaturą Europy”³⁴. W hotelu mieszkają Anglicy, Austriacy i Włosi. Właściciel chwali się, że można w nim osiaść na miesiąc i nie zauważyć, że się jest w Stambule.

Narrator ucieka do centrum, by doświadczyć piękna Wschodu „w całej swej jaskrawej świetności”³⁵. Zróżnicowanie jest tak wielkie, że nie widzi się dwóch typów i dwóch strojów podobnych. Takim zapewne zdawać się musiał egzotyczny tłum komuś, kto przybywa z krainy identycznych czarnych fraków i surdutów. Hiperbolizacja z jednej strony służy zadziwieniu (i zabawieniu) czytelnika, z drugiej wynikać może z autentycznego zachwyty autora nad obserwowanym przez siebie, osobliwym wschodnim światem. Z ciekawością przypatruje się codziennym strojom mijanych na ulicach kobiet i mężczyzn. Zauważa także, że: „Wszystkie wyznania ujęły się tu za ręce – sutanna jezuita i lazarysty potraça o kaftanmmuły i szeroką rasę greckiego popa w okrągłym birecie”³⁶.

Zastanawia też i zachwyca Gnatowskiego różnorodność rasowa typów ludzkich. Stara się opisać różne odcienie skóry i fizjonomiczne cechy poszczególnych przedstawicieli grup etnicznych, zgodnie z dziewiętnastowieczną modą na nauki taksonomiczne. Jest jednak Gnatowski przy okazji tego opisu raczej znawcą sztuki i piękna, niż przyrodnikiem:

³² *Ibidem*, s. 44.

³³ *Ibidem*, s. 45.

³⁴ *Ibidem*, s. 47.

³⁵ *Ibidem*, s. 49.

³⁶ *Ibidem*, s. 55-56.

Te ciała na pół nagie, różnobarwne, lśniące w słońcu aż się proszą o pędzel. Czasem pierś oliwkowa zdaje się być ulaną z szlachetnego metalu; – jeden chłopak zdał mi się brązowym Dawidem Donatella, ożywionym czarodziejską siłą. Są typy, całe ciała tak klasyczne, jakich darmo szukać we Włoszech. Czasem u tragarza zgięcie delikatnej a muskularnej nogi jest tak piękne, pierś zaokrągla się tak pysznie, ruch ręki i podniesienie głowy ma tyle „stylu” jakby ten człowiek całe życie pozował na modela³⁷.

Pierwszego dnia Gnatowski znajduje wielką przyjemność w spacerowaniu po mieście bez celu, dla samej tylko obserwacji tego fascynującego, pięknego świata. Wspomina też o cechujących Konstantynopol kontrastach, które pojawiwszy się wraz z rozwojem gospodarczym XIX wieku, charakteryzują do dziś największe metropolie: „Najbogatsze części miasta ocierają się o największą nędzę, najludniejsze otacza dokoła pustkowie”³⁸.

Sercem tego – już wtedy ogromnego – kompleksu przylegających do siebie dzielnic i miejscowości jest ściśle centrum Stambułu, zasilające sąsiednie okolice niczym gniazdo. Podczas opisu Gnatowski pozwala sobie na personifikację starego miasta, przyrównując je do niewzruszonego, sennego lwa, czy może sfinksa, który z obojętnością patrzy na otaczające go mniejsze dzielnice: „Pełen meczetów i świętości muzułmańskiego Wschodu, otulony ciemną gęstwiną laurowych i cyprysowych gajów, marzy leniwie, wygrzewając się na słońcu, półsenny, półśmiechnięty, rozkoszny”³⁹.

Z każdym kolejnym rozdziałem Gnatowski coraz częściej przytacza obszerne cytaty z Edmunda de Amicisa. Staje się to przedmiotem krytyki recenzentów jego powieści. W „Niwie” Teodor Jeske-Choiński pisze:

Zupełnie (...) niepotrzebnie odwołuje się p. G. do powagi Edmunda de Amicis, cytując bardzo gęsto uwagi podróżnika włoskiego. I on bowiem jest tak samo turystą-poetą, jak de Amicis; i on koloruje równie ciepło, jak syn Italii⁴⁰.

Autora cechuje jednocześnie ciągła tendencja do hiperbolizacji, snucia jakiejś efemerycznej wizji opartej na skrawkach tych „wschodnich baśni”, które gdzieś już zasłyszał, obudowując wiedzę i fakty fantasmagorią i scenami podyktowanymi, zdaje się, wybujałą wyobraźnią:

³⁷ *Loc. cit.*

³⁸ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 60.

³⁹ *Ibidem*, s. 64-65.

⁴⁰ T. Jeske-Choiński, *Ruch naukowo-literacki*, „Niwa” 1884, nr 224, s. 422.

(...) część dnia tylko spędzają tureccy panowie przyjmując oficjalne wizyty, dając audiencje, załatwiając interesa. Wraz ze zmrokiem kaik ozdobny, z kilku silnemi wioślarzami unosi ich chyżo gdzieś daleko na inny brzeg Bosforu, do jednego z tych kiosków cudownych, ukrytych rozkosznie wśród róż kwitnących i wina, których roje całe zdają się tańczyć jakiś taniec lubieżny ponad sinemi falami morza. Tam w najchłodniejszym zakątku haremu, trzymając najpiękniejszą z żon swych w objęciach, poważny dyplomata lub minister, przez kłęby dymu z nargile i arabskich kadzideł, patrzeć będzie na płasy niewolnic i śnić o huryskach Edenu⁴¹.

W opisie Stambułu, który cytowany de Amicis nazywa Babilonem, nie mogło zabraknąć wzmianek o wytwornych haremach i kurtyzanach wschodnich, czy o paleniu haszyszu za pomocą nargili, słynnych fajek wodnych jakie do dziś widzi się na każdym rogu w krajach muzułmańskich.

Rozdziały opisujące wygląd poszczególnych budynków, świątyń i ulic, z fotograficzną niemal dokładnością przynoszą czytelnikowi wgląd w samo serce Konstantynopola. Ale też momentami nie można oprzeć się wrażeniu, że opis ten zdaje się zbyt powierzchownym, kładąc punkt ciężkości na zewnętrznym obrazie miasta, z rzadka tylko – jak w powyższym cytacie – na sekretnym życiu jego mieszkańców, a i wtedy czyniąc to w sposób niewolny od stereotypów. Gadomski komentuje trafnie:

Umiał autor patrzeć i umiał widzieć to, czego nie widzieli inni. Ale zarazem niepodobna zaprzeczyć, że ponieważ inni widzieli bardzo wiele rzeczy, książka nie daje nam pełnego obrazu tajemniczego miasta. Autor przede wszystkim zwraca uwagę na zewnętrzną stronę natury i życia miejskiego. Za krótko tam bawił, aby mógł głębiej poznać to ostatnie. To zdecydowało o charakterze całego dzieła, które rozplywa się w opisach krajobrazów, fizjonomii gmachów i ulic. Tam, gdzie trzeba powiedzieć coś o treści tego ulicznego życia, zmuszony jest posilkować się cytatami. Tam, gdzie trzeba przeniknąć zagadkę bytu państwa i narodu, zmuszony jest mówić z książek o przeszłości⁴².

Nie brak więc w książce wiarygodnych statystyk i informacji z dziedziny historii, architektury, nawet botaniki, natomiast brak samodzielności spostrzeżeń, jak gdyby erudycję stawiał Gnatowski wyżej niż prawo – które niewątpliwie posiadał – do osobistych uwag i spostrzeżeń.

⁴¹ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 70.

⁴² J. Gadomski, *Przegląd literacki...*, s. 349.

Interesujący wydaje się fragment powstały przy okazji wizyty autora w grobowcach padyszachów. Dostrzec w nim można ślad przyszłej wyobraźni gotyckiej Gnatowskiego, która w pełni dojdzie do głosu dopiero kilkanaście lat później:

Przez małe okienka w górze, tajemnicze pół-swiatło odbija się o ciemne mury, wilgocią okryte, wśród których warczą hałaśliwe kołowrotki i jedwab rozciągnięty w pasma długie, przędą młodzi chłopcy tureccy. Przez szczeliny jednej ze ścian, pokazują rodzaj pieczary ciemnej, głębokiej, w którą wedle podania przez setki lat rzucono głowy przestępców. Nie wiem czy podanie prawdziwe – to pewne, że w tym gmachu podziemnym, tak strasznym w zalegającym go mroku, wyobraźnia wytwarza sama okropności – widzi głowy krwawe jeszcze, ciała połamane kołem, kości ludzkich stosy – i dopiero wesoły śpiew i śmiechy chłopaków, przędących jedwab, odpędzają te gorączkowe widziadła⁴³.

Wszystkie opisy miejsc obfitują w szczegóły i kolory, musiał wszakże autor umieć je nazwać i odmalować na nowo literackim pędzlem, jeśli zajmował się wcześniej historią sztuki. Przejawia zresztą do tego niemały talent. Przykładowo, o cysternie Konstantyna pisze, że: „Czerwony blask pochodni oświeśla mętne, zielone wody gubiące się w dali, nieskończone szeregi kolumn i sklepienia czarne, posępne, jak noc”⁴⁴.

Wydać się, że najwięcej okazji do szlifowania warsztatu Gnatowski ma wtedy, gdy stara się opisać czytelnikowi miejsca tłumne i hałaśliwe, nie statyczne i ciche. Z tego powodu niemałe wrażenie robi na nas scena słynnego, stambulskiego targu:

Na około, wszystkie prowadzące do niego uliczki, zajęte są mnóstwem cisnących się obok siebie sklepów, tłumami przekupniów, rozkładających się w środku ulicy z małymi stolikami i koszami, pełnymi świecideł. Z jednej strony od meczetu Bajazeta, całe ulice pełne drobiazgów galanteryjnych, ubiorów; z przeciwnej strony, od morza, sprzedają starzyznę, łachmany takie, jakich gdzie indziej nie znaleźć, a tuż obok ciągną się targi owocowe i jarzyn, – malownicze, jak tylko mogą być na Wschodzie i wielki targ ryb, Bałuk-Bazar, który sam już jest bardzo ciekawym dla malarza, mógłby nastręczyć nieskończony zapas rodzajowych tematów. Na ogromnej przestrzeni ciągną się stosy ryb rozłożone na matach, przy których siedzą tureccy kupcy, paląc fajkę i pijąc kawę. Czego tam nie ma! (...) Ile tam jest sklepów? Ile ludzi przechodzi wciąż i przejeżdża pod temi ciemnymi arkadami? Zaczniemy liczyć ziarna piasku w morzu i kwiaty a trawy na łące! W pierwszej chwili, gdy się minie sklepioną bramę i wejdzie w ten świat ciemny, w którym wre i kipi jak w kotle czarownic, jest się tak

⁴³ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 77-78.

⁴⁴ *Ibidem*, s. 78.

zdziwionym, zahukany, prawie przestraszonym, że wszystko zdaje się obracać w kółko, tańcząc jakąś wścieklą sarabandę⁴⁵.

Bardzo dobrze oddaje też Gnatowski spryt wschodnich kupców, którzy prezentują Europejczykom swoje towary, zachwalając ich ceny, jakość i unikatowość; oraz zachwyty przyćmiewający niemalże zdrowy rozsądek, który towarzyszy każdemu, kto pierwszy raz znajdzie się na wielkim bazarze. Paradoksalnie jest to też jeden z niewielu fragmentów, który do dziś nie zdołał się zdezaktualizować – wszakże i teraz wschodnie targi przyciągają rzesze naiwnych, bogatych turystów, gotowych wydać wszystkie oszczędności na prezentowane im świecidełka, których wartości nie umieją ocenić. „Sam nie wiesz czy masz w ręku łachman dwugroszowy czy cudo jakieś, za które warto dać tysiące; tracisz miarę porównania, jesteś olśniony”⁴⁶ – podsumowuje trafnie Gnatowski.

Zdarzają się i tutaj potknięcia stylistyczne. Przykładowo, autor kilkakrotnie zaczyna zdanie od wyrażenia: „Wszystko to śmieje się, bije w oczy...”, jak gdyby zapominając, że użył go już kilka stron wcześniej. Można jednakże zignorować te niedociągnięcia, jeśli pamiętać o tym, jak szczegółowo i precyzyjnie opisuje każdy, nieomal największy i najciemniejszy zakątek Konstantynopola. Nie zapomina Gnatowski przy okazji swego wyczerpującego opisu także o faunie i florze miejskiej, przypatrując się ptakom, psom, kotom i innym zwierzętom spacerującym pomiędzy kolorowymi sprzedawcami z bazaru.

Wreszcie, po długim opisie Pery i Stambułu, następuje najsłynniejszy rozdział *Listów z Konstantynopola*, o którym Jeske-Choiński pisał: „Rzadko spotyka się na jednym miejscu tyle nagromadzonych brylantów językowych, jak w rozdziale pt. <Dwa obrazy z przeszłości>”⁴⁷.

Nie wspomina jednak recenzent, celowo czy nieumyślnie, że ów rozdział oparty jest na kilkunastu tekstach źródłowych. Posiłkuje się Gnatowski pracami swoich poprzedników, już nie tylko samego de Amicisa, ale także austriackiego orientalisty Josepha von Hammera (*Konstantinopel und der Bosphorus*); Fiodora P. Litke (*Der Islam und seine Volker*); oraz dziełami Vamberga, Lamartine'a, Mac-Ferlane'a, wreszcie Maurycego Manna⁴⁸. Innymi słowy, przytacza wszystkie najbardziej znane i popularne w jego czasach badania nad światem Wschodu, powstałe m. in. (jak prace Litke) pod okiem Petersburskiej Akademii Nauk i Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego.

⁴⁵ *Ibidem*, s. 81-84.

⁴⁶ *Ibidem*, s. 85.

⁴⁷ T. Jeske-Choiński, *Ruch naukowo-literacki...*, s. 422.

⁴⁸ Wszystkie źródła inspiracji wymienia sam Gnatowski w adnotacjach do wspomnianego rozdziału na stronie 107 w osobno drukowanej wersji *Listów z Konstantynopola*.

Koncept zastosowany w rozdziale opiera się na opisie Konstantynopola przy jednoczesnej próbie przytoczenia starożytnych i średniowiecznych dziejów miasta. „Gdym patrzył z góry na Stambuł, ścielący mi się u nóg, dwie wizje mgliste i promienne zarazem, przesunęły się przed memi oczyma”⁴⁹, rozpoczyna autor. Stosując wyrafinowaną metaforę, nakłada na siebie stare i współczesne mu obrazy miasta, tworząc zupełnie nową kategorię, udowadniając zarazem, że Konstantynopol jest jednym z owych Wiecznych Metropolii, które – choć w różnych czasach wyglądają inaczej – nie starzeją się wcale.

Naga bachantka, aktorka ulubiona z głównego teatru stolicy, która jutro może wejść w purpurze na tron cesarski, śpiewa (...) z cynicznymi gestami piosnkę rozpustną. Jedni jej przyklaskują grubym żartem, inni ciągną dalej od dawna wszczęty spór o ilości natur Chrystusa Pana⁵⁰.

Wszystkie minione epoki znane ludzkości zdają się mieszać i magicznie trwać w tym tyglu kulturowym, stanowiącym miejsce święte dla wyznawców dwóch największych monoteistycznych systemów religijnych świata. Jednocześnie rzeźbom pogańskich bogów nadaje się tu atrybuty chrześcijańskich świętych, by mogły dalej służyć za obiekt kultu. Synkretyzm zaczyna nabierać w tym dziwnym, zapierającym dech w piersiach miejscu zupełnie nowej jakości:

(...) tak w świątyni Minerwy Ekbazii na postumencie z jej posągu zrzuconego, lud czci dzisiaj wyobrażenie Bogarodzicy „Hodegetria,” słynnej cudami. Podobnie w kościeł Ś. Fotyny zmienił się przybytek Dianny Fosfory, kościołami zostały świątynie Zeusa, Apollina, Poseidona, Hekaty i inne⁵¹.

Wiedza, którą autor może pochwalić się w tym rozdziale, rzeczywiście wymagała posiłkowania się dodatkowymi tekstami źródłowymi. Gnatowski szczegółowo opisuje strukturę i podziały panujące w Bizancjum za czasów cesarza Justyniana i cesarzowej Teodory, snując także barwne opowieści na temat wyglądu i codziennego życia Konstantynopola kilkaset lat temu, kiedy Hagia Sophia była jeszcze świątynią wczesnochrześcijańską, a tak zwane *Forum Augustaum* pozostawało miejscem dyskusji i towarzyskich spotkań mieszkańców Stambułu, nieustannie tętniąc życiem.

⁴⁹ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 107.

⁵⁰ *Ibidem*, s. 108.

⁵¹ *Ibidem*, s. 118.

Informacje na temat dawnego Konstantynopola przytacza Gnatowski w czasie teraźniejszym, co dodatkowo podkreślić może niezmiennosc tradycji tego – chciałoby się użyć frazy zarezerwowanej jedynie dla Rzymu – Wiecznego Miasta. Czytelnik wraz z narratorem (a jednocześnie obserwatorem) przenoszą się w sposób magiczny, mocą samej tylko literatury, do czasów cesarza Justyniana. Nagle jednak krajobraz zaczyna ulegać zmianie, a swoista transformacja miasta zachodzi na oczach czytelników w przyspieszonym tempie:

Na ulicach, jak dawniej, szaleje motłoch; ale szych i blaszki świecące zastąpiły złotogłowie i brylanty w jego szatach. Przez bramę Złotą nie wjeżdżają już tryumfalne rydwany Belizariusza i Herakliusza. Z niedobitkami wojsk przywódcy zwyciężeni, przemykają się ukradkiem, cesarze odjeżdżają w obce kraje, żeby pomoc sobie wymodlić, jak mara cesarstwa tuła się o zebranym chlebie, Paleolog w Wenecji, Bazylei i Florencji, posłowie nieprzyjacielscy dyktują dumnie na forum upokarzające warunki pokoju. (...) Już w Adrianopolu rozstrzygają się spory, kto ze współzawodników ma uchwycić ostatnie strzępki tej purpury, już do Selimbrii cesarz Kantakuzen i żona jego Teodora córkę własną odprowadzają do haremu Orkanowi, na pierwszą z jego sułtanek, a w środku Konstantynopola turecy we własnym bazarze sprzedają jeńców chrześcijańskich, poddanych i żołnierzy cesarskich⁵².

Oto nadchodzi rok 1453, a wraz z nim upadek Konstantynopola i koniec epoki średniowiecza. Ale czy na pewno – upadek? Choć w zmienionej formie, gdzie „meczety ciche bieleją wśród cyprysów na miejscu bazylik”⁵³, to jednak miasto trwa nadal, rozwija się i ściąga tłumy mieszkańców z sąsiednich krain. Burzliwe dzieje obrony zostają spisane i trwają w pamięci, nie zdołały jednak złamać ducha samego Miasta, które – niczym feniks – powstaje od nowa z popiołów i gruzów.

Nie przestaje Gnatowski opisywania dworskich obrzędów, skomplikowanych rytuałów i zwyczajów – tylko, że teraz opowiada o dworze Wielkiego Wezyra, mieszkającego wraz z rodziną w dawnych pokojach cesarskiej pary. I znów – jak dawniej – przybywają posłowie i kupcy z Indii, Egiptu i czarnej Afryki, ale teraz padają na twarz przed tureckim władcą tego miejsca, prezentując mu przywiezione ze sobą towary, zwierzęta i klejnoty. Dworzanie snują intrygi, a tajemnicze piękności Wschodu, ulubienice sułtanów i mieszkanki haremów, spiskują przeciw sobie z zazdrości o urodę i przywileje.

⁵² *Ibidem*, s. 120-121.

⁵³ *Ibidem*, s. 124.

Autor, po ocknięciu z tych dziwnych, fantasmagorycznych wizji, zapytuje sam siebie, czy to co widział było snem, czy objawioną mu chwilowo sekretną, a bajeczną historią miasta⁵⁴.

Na zwiedzanie słynnej świątyni Mądrości Bożej autor wybiera się w okresie *ramadanu*, najważniejszego dla Muzułmanów miesiąca postu. Dla turysty jest to nie lada problem, bowiem w ciągu dnia budynki są opustoszałe i zamknięte dla zwiedzających, a hałaśliwe nocne uczty nie pozwalają spać. Ma to jednak swoje dobre strony – podczas zwiedzania meczet jest niemalże pusty, autor ma więc czas na wnikliwe przyjrzenie się wszystkim architektonicznym detalom budynku, który wywołuje na nim ogromne wrażenie:

Dopiero wszedłszy brązowymi drzwiami do ogromnego przedsionka, na którego ścianach błyszczą resztki starych marmurów i mozaik, a z przedsionka do jednej z naw bocznych widzi się cały ogrom, całą wspaniałość i piękno świątyni. Jest to jakby Św. Piotr rzymski, ale nieskończenie piękniejszy, jednolity, doskonały, taki, jakim go narysował Bramante i jakim go chciał mieć Michał Anioł; Panteon oparty na krzyżu greckim, równoramiennym, zdający się osnowami obejmować wszechświat a kopułą ulatywać w niebiosy⁵⁵.

W czasach Gnatowskiego Hagia Sophia pozostawała czynnym meczetem, w którym odbywały się rytualne modlitwy. Dopiero w 1935 r. pierwszy prezydent Turcji, przekształconej w republikę laicką, zmienił budynek w muzeum, którym jest do dziś⁵⁶.

Autor zafascynowany jest pięknem Świątyni Mądrości Bożej. Po raz kolejny zachwyca go też idea synkretyzmu:

Te ośm kolumn porfirowych pod kopułą, pochodzą ze świątyni Apollina Heliosa w Balbeku, tamte serpentynowe w galeriach miasto Efez ofiarowało Justynianowi ze szczątków świątyni, spalonej przez Herostrata. Inne są z przybytku Jowisza w Cyzieus, z ołtarzów słońca w Palmirze, z Teb, z Aten, z Rzymu, z Aleksandrii, ze złupionych świątyń całego świata. Marmury z Syrii, Grecji i Egiptu ocierają się o kamienne odłamy z mglistych krain Celtów i Brytów; złocisty marmur maurytański, purpurowy frygijski, zielony z Lakonii, różowy z Synady, śnieżny z Paros, mieszają się z cętkowanym porfirem egipskim, z granitem z Tessaloniki, z marmurem z nad Bosforu, (białym w czarne pręgi) z czarnym marmurem galijskim, białocętkowanym⁵⁷.

⁵⁴ Zob. J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 150.

⁵⁵ *Ibidem*, s. 153-154.

⁵⁶ A. Różycka-Bryzek, *Hagia Sophia*, [w:] *Encyklopedia Kultury Bizantyńskiej*, red. O. Jurewicz, Warszawa 2002, s. 193-195.

⁵⁷ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 157.

Po zwiedzeniu meczetu Gnatowski wybiera się do przylegających budynków, tworzących kompleks okalający główną świątynię. Jest tam m. in. muzeum janczarskie, w którym zebrano stroje noszone w Turcji od czasów średniowiecza; są także grobowce i biblioteki.

Popołudnie to czas przyjemności i kosztowania lokalnych specjałów, popijanych turecką kawą:

Kto nie palił nargilu i nie pił tureckiej kawy, nie wie co to jest kawa i tytoń. (...) Nie paląc nigdy i mając wrodzony wstręt do dymu, nie bez trudności zdecydowałem się na spróbowanie nargilu – ale raz spróbowałem przez cały czas pobytu w Konstantynopolu paliłem je kilka razy dziennie i brak ich po wyjeździe sprawiał mi przykrość prawdziwą z początku. Niełatwo także powrócić do wodnistej kawy europejskiej⁵⁸.

W opowieść o kawie i tytoniu Gnatowski wplata ustępy z poezji arabskiej, pełne wdzięcznych metafor zachwalających te dwie, najbardziej na Wschodzie rozpowszechnione, używki.

Przy okazji zwiedzania ruin zamków wybudowanych nieopodal miasta dochodzi znów do głosu wyobraźnia gotycka Gnatowskiego:

(...) straszniejsze wspomnienia łączą się z wieżą sąsiednią. Tam były więzienia stanu, ciemnice straszne, które się otwierały tylko przed katem, otchłanie pozbawione powietrza, w których wczorajsi rządcy Wschodu i faworyci padyszacha, oczekiwali śmierci z rozpaczliwą rezygnacją, przerywaną namiętami wybuchami bezsilnej wściekłości. Tutaj w salach tortur rozciągano nieszczęśliwych, kryjących tajemnice stanu, na prokustowych łóżach, rozrywano członki żelaznymi obcęgami, ołów wrzący lano na rany krwawe, darto pasy z żywego ciała i małymi kawałkami, powoli, odrąbywano ręce i nogi. Na dziedzińcach, ofiary wsadzone na pal, całymi dniami wiły się w męczarniach⁵⁹.

Kolorowa baśń wschodnia potrafi momentami przerażać, ale opis ten może też celowo dostarczać czytelnikowi dodatkowego dreszczu emocji. Wielu bowiem lubowało się w czytaniu krwawych historii w zaciszu własnego domu. *Listy...* są więc tak skonstruowane, by nieustannie pobudzać ciekawość odbiorcy. Po długim, mogącym nużyć, wnikliwym opisie bogactwa architektonicznego świątyni Konstantynopola następują intrygujące ustępy pełne przerażających legend o okrucieństwie władców Imperium Osmańskiego.

⁵⁸ *Ibidem*, s. 164.

⁵⁹ *Ibidem*, s. 170.

Następnie, niejako dla kontrastu, zachwala Gnatowski bezpieczeństwo panujące aktualnie w Stambule. Jeśli nie zostanie się okradzionym z sakiewki na wielkim bazarze, to nic innego już – nawet na przedmieściach – turyście nie grozi. Co ciekawe, przyszły kapłan twierdzi nawet, iż: „Tajemnica bezpieczeństwa leży tylko w unikaniu sąsiedztwa chrześcian i żydów, jeszcze bardziej pierwszych niż drugich”⁶⁰.

Podczas spacerów autor wciąż gubi się w chaosie ogrodów i zaułków, starając się zwiedzać nie tylko oficjalne, zatłoczone miejsca, ale też dotrzeć do tych zapomnianych, jak gdyby prawdziwszych, bardziej autentycznych zakątków. Istnym labiryntem jest też muzułmański cmentarz pełen mogił, kaplic i pomników „w marmurach i arabeskach złocistych, przeplatanych szumnemi napisami”⁶¹.

Kiełkującą dopiero i pełną wątpliwości religijność Gnatowskiego, któremu daleko jeszcze do późniejszego, wojującego kaznodziei i twórcy literatury dewocyjnej, mogą podkreślać niektóre fragmenty tekstu: „(...) chciałoby się na zawsze zapomnieć o walkach burzach życia, pozostać wśród tych drzew i kwiatów i zasnąć cicho, słuchając ich pieśni odwiecznej, tajemniczej, Bóg wie czy o nicestwie, czy o zmartwychwstaniu?”⁶²

To pełne wątpliwości pytanie w ustach przyszłego księdza prałata każe zastanowić się nad swoistą transformacją, która zaszła w Gnatowskim od młodości do czasu przyjęcia święceń kapłańskich. Narrator *Listów...* nie ma w sobie jeszcze nic z narratora, chociażby, powieści *O duszę*, późniejszej zaledwie o jedenaście lat. Wydaje się też o wiele bardziej tolerancyjny dla przedstawicieli innych religii i narodowości.

Po tym cokolwiek osobistym rozdziale opisującym przechadzki, refleksje i kosztowanie tureckich specjałów przez Gnatowskiego następuje znów mniej porywający fragment o nazwie: „Statystyka Konstantynopola”. Prócz rdzennej ludności można znaleźć tu mniejszość grecką, żydowską, ormiańską, rosyjską, a także kupców z Indii, Sudanu, Egiptu; czarnoskórych Afrykanów, kontrastujących z bladymi Anglikami i Francuzami; Niemców, Austriaków, a wreszcie – Polaków. Niektórzy przyjeżdżają na parę tygodni w celach turystycznych, inni osiadają na stałe, by w tym ogromnym mieście szukać pracy i zarobku. Pewne mniejszości, jak Grecy do dziś pozostający w dzielnicy Fanar, tworzą prawdziwe państwa w państwie. Gnatowski opisuje ich wygląd, zachowanie i codzienne życie, nie zapominając też o kobietach:

⁶⁰ *Ibidem*, s. 177.

⁶¹ *Ibidem*, s. 182.

⁶² *Ibidem*, s. 186-187.

Kobiet tak pięknych, jak greckie, niewiele na świecie. Dwunastoletnie dziewczynki mają profile i kształty bogiń, wykutych przez Lizippa lub Praksytelesa. Delikatne, wiotkie, rysy mają akcentowane ostro, płeć smagłą, – w dwudziestu latach zaczynają schnąć, żółknąć i niedługo potem przedstawiają wyborne typy z Blocksbergu lub Łysej Góry⁶³.

Cały naród grecki jawi się autorowi jako wesoły i krzykliwy, równie skory do picia, jak do walki na noże. Pod tym względem Grecy zupełnie różnią się od spokojnych, nawet nieco ospałych Turków, swych odwiecznych rywali:

Jeśli się widzi turka na ulicy, niepodobna nie nabrać do niego sympatii i szacunku, więcej może szacunku niż sympatii. Wśród hałaśliwego tłumu greków i franków, on jeden wyróżnia się spokojem, godnością, powagą (...). Nikt nie zgadnie, co jest pod tą maską – czy wielka ciska cnoty i spokojnego sumienia, czy namiętności zwierzęce, czy tylko apatia bezmyślna. Ostatnia może najczęściej. Trzeba jej mieć niewątpliwie sporą miarę, żeby dnie całe siedzieć beczynn timer, z oczyma wlepionymi w jeden punkt i paciorkami przesuwającymi się w ręku ziarko za ziarkiem⁶⁴.

Ów wnikliwy i wyczerpujący opis życia poszczególnych narodowości Konstantynopola budzi jednak mieszane uczucia w recenzentach powieści. Gadomski twierdzi:

Słuszne zdają się być także uwagi autora o życiu koloni europejskiej w Konstantynopolu. Perę poznajemy tu lepiej, niż co innego. Gdyby tyleż było ożywienia i tyleż na własnych spostrzeżeniach opartej treści w opisie towarzyskiego i duchowego życia Turków, byłoby to właściwie to, czego brak książce⁶⁵.

A jednak, pomimo krytyki Gadomskiego, szerokie ustępy poświęca autor owej „własnej refleksji”, nieustannie mieszając słowa podziwu dla narodu tureckiego z jednoczesną pogardą dla jego „barbarzyństwa” – paradoksalnie – właściwego szczególnie dostojnikom i władcom, nie uboższym warstwom społeczeństwa. Z rezerwą odnosi się też do prób imitowania kultury zachodniej, które zwykle kończą się zupełnie karykaturalną porażką.

Znów też przypatruje się autor kobietom, tym razem tureckim:

Mówiąc o społeczeństwie tureckim, nie podobna oczywiście pominąć kobiet. W naszych pojęciach z kobietą muzułmańską łączy się obraz worka, wrzucanego do Bosforu i niewoli,

⁶³ *Ibidem*, s. 203.

⁶⁴ *Ibidem*, s. 206-208.

⁶⁵ J. Gadomski, *Przegląd literacki...*, s. 349.

posuniętej do upodlenia. Tak nie jest. W niższych warstwach ludności nie ma żadnej prawie różnicy między położeniem tureczynki a chrześcijanki. Żona, sama jedna w domu, bo wielożęstwo jest zbytkiem praktykowanym jedynie przez możnych, dzieli z mężem pracę jego i odpoczynek a traktowaną jest nieskończenie lepiej niż na przykład kobiety w Czarnogórze i Albanii, niosące wszystkie ciężary i zaprzęgane do pługów z bydlętami⁶⁶.

Przy jednoczesnym szacunku dla kobiet z niższych stanów, krytykuje bogate żony sułtanów, które dzień cały myślą jedynie o pielęgnacji twarzy i ciała, by podobać się odwiedzającemu je wieczorami mężowi. Opis życia kobiet przechodzi w opis życia rodzinnego w ogóle, łącznie z losem i edukacją tureckich dzieci. W tym przypadku autor stara się już o niemal zupełną bezstronność, nie pozwalając sobie na jakiekolwiek porównania z Europą.

Inną dzielnicą miasta skupiającą od setek lat obcych przybyszów jest Galata (Pera). W łódź wcinają się tutaj wąska zatoka zwana Złotym Rogiem, zewsząd dochodzą przechodniów śmiechy, szepty, tłumione krzyki i dźwięki instrumentów: „W powietrzu unosi się upajająca woń róż i arabskich kadzideł – coś odurzającego, sennego, zmysłowego, coś co chwyta za gardło i zwolna – obezwładnia”⁶⁷. Zwalniającego kroku turystę co rusz zaczepiają wschodnie kurtyzany, szepcząc komplementy „koralowymi ustami”⁶⁸.

Galata położona jest w europejskiej części miasta, ale Gnatowski zamiast chwalić ów wpływ Zachodu nazywa ją karykaturą Europy. Po części spowodowane jest to faktem, że mieszkańcy tej dzielnicy to w większości marynarze, handlarze i rozmaite „szumowiny”⁶⁹. Nad brzegiem morza ciągną się magazyny i szynki, do których nie warto się zapuszczać. Epitety zastosowane w tekście mają podkreślać odrzucający charakter tego miejsca: domy są tu „dziwaczne”, stoliki „połamane”; w oknach zamiast ubrań suszą się „łachmany”, a na środku ulic straszą „czarne” kałuże pełne „duszających wyziewów, chwytających za gardło”⁷⁰.

Najbardziej dziwi Gnatowskiego fakt, iż jest to „piekło cywilizowane”. Dostrzega francuskie i greckie szyldy, małe teatry wciśnięte gdzieś pomiędzy sąsiednie budynki, słyszy rozmowy po włosku. Byle kupiec pozuje na gentelmana z cylindrem i we fraku, próbując rozmawiać we wszystkich językach świata, które uznaje za cywilizowane, co w oczach autora uchodzi na kompromitację.

⁶⁶ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 221.

⁶⁷ *Ibidem*, s. 226.

⁶⁸ *Loc. cit.*

⁶⁹ *Ibidem*, s. 228.

⁷⁰ *Ibidem*, s. 229.

Nieco inaczej wygląda sytuacja w centralnej części dzielnicy. Gdy zostawi się za sobą część portową i spaceruje głównymi ulicami Pery, dostrzec można – przynajmniej ułamek – europejskiej elegancji. Z rzadka spotkać tu można pałace i mieszkania konsulów i rozmaitych posłów. Są to jednak wciąż: „okrawki różnych krajów, połączone ze sobą dziwacznie”⁷¹. Eklektyzm tej dzielnicy wywołuje w autorze mieszane uczucia. Jest to jak gdyby kulturowy *patchwork*, którego poszczególne skrawki zszyto nieuważnie i przypadkowo.

Gnatowski raz jeszcze wraca do swego pierwszego opisu Konstantynopola, zawartego w drugim rozdziale książki:

Mój gospodarz hotelowy miał zupełną słuszość mówiąc mi, że tu można mieszać cały mieszkając nie przypominawszy sobie ani razu sąsiedztwa Stambułu. Jest to życie całej Pery. Tworzy ona światek swój odrębny, wystarczający sobie zupełnie, żyje wreszcie plotkami, krzątaniem, interesami, burzami w szklance wody; styka się czasem ze światem oficjalnym tureckim przez ambasady i konsulaty, wyjeżdża latem w okolice, do Terapii i Kadikiei – ale o Turcji i o tem, że w niej jest, nie myśli wcale i nie ma żadnego pojęcia⁷².

Na pierwszy plan wysuwa się teraz krytyka mieszkającego tu filisterstwa i pogarda dla tych „salonowców”, którzy w sercu Imperium Osmańskiego próbują stworzyć namiastkę Europy. Wszyscy ci ludzie są jednocześnie płytkimi dorobkiewiczami, plotkarzami i hipokrytami, którzy prawią wokół o konieczności swojej misji niesienia cywilizacji barbarzyńskim krajom Wschodu. Gnatowski stoi po stronie lokalnej ludności: „trzeba rzeczywiście fatalistycznej cierpliwości Turków, żeby pozwolić na istnienie takiego państwa w państwie”⁷³ – mówi.

Po raz kolejny autor pozwala sobie na swobodne mieszanie technik narracyjnych. Tym razem wraca do relacji pierwszoosobowej:

Jednego ranka wybrałem się objechać cały europejski brzeg Konstantynopola. Jechałem na dobrym tureckim koniku, przy którym biegł na pół obnażony chłopak, popędzając go lekkim cmokaniem. Z planem miasta w kieszeni, z binoklem przewieszonym przez ramię, i rozpiętym parasolem w ręku, przejechałem szybko wąskie uliczki, oddzielające mnie od cmentarza Galaty, wielkiego, cichego pola umarłych z połamanymi grobowcami, i zapyłonymi cyprysami, których szum posępny i cichy odbijał dziwnie od pobliskich gwarów europejskiego przedmieścia⁷⁴.

⁷¹ *Ibidem*, s. 231.

⁷² *Ibidem*, s. 234.

⁷³ *Ibidem*, s. 235.

⁷⁴ *Ibidem*, s. 240.

I znów pozytywnie zaskakuje Gnatowskiego wszechobecny, także na obrzeżach miasta, synkretyzm religijny, ale też bezkonfliktowe sąsiedztwo rozmaitych wyznań. Chrześcijański cmentarz leży nieopodal meczetu, ale i na nim znajdują się gdzieś tam tureckie i ormiańskie grobowce.

Za miastem rozciąga się step, gdzie nie stoi już żadna chata, gospodarstwo, ani nawet samotne drzewo. Niekończące się morze traw, po którym z wolna przesuwa się Gnatowski, przeradza się wreszcie w zachwycającą dolinę. Mijając ją i kontynuując podróż, osiąga wreszcie cel – przeciwległy kraniec miasta. W ten sposób autor może opisać panoramę całego Konstantynopola.

Znajduje się tutaj jeszcze jedna zachwycająca budowla – Pałac Dolmabahçe:

Jeżeli (...) Wschód cały jest jednym snem złocistym, snem wśród róż i pereł, w objęciach najpiękniejszej z odalisek; jeśli w śnie, tym nie ma znaczenia ani sława, ani potęga, ani zielona chorągiew Proroka, ale wszystko jest tylko miękka, lubieżna, upajająca rozkoszą zmysłów, – wtedy ten pałac czarowny stanowi niewątpliwie ostatni i najpiękniejszy wyraz Wschodu⁷⁵.

Pałac ów, służący w XIX wieku za centrum administracyjne Imperium Osmańskiego, położony jest nad samym brzegiem Bosforu. W pobliskim haremie mieszkała matka i żony sułtana. Słusznie zauważa Gnatowski, że jest to istna mieszanka stylów, bowiem Dolmabahçe to pierwszy budynek w Konstantynopolu zbudowany w stylu europejskim, wzorowany na Luwrze i Pałacu Buckingham. „Architekt wykształcony musiałby ręce załamać rozpaczliwie”⁷⁶ – mówi Gnatowski, nie zdając sobie chyba sprawy, że budowlę zaprojektował słynny Ormianin Karabet Balyan, a wnętrza dekorował Karol Sechan, odpowiedzialny między innymi za wyposażenie Opery Paryskiej⁷⁷.

W czasie piątkowego popołudnia tłum Europejczyków zbiera się na głównym placu miasta, by obserwować wracającego zza granicy sułtana. Po raz kolejny Gnatowski nie szczędzi słów krytyki gapiom ze Starego Kontynentu i chwali cierpliwość Turków. Drażnią go żartobliwe uwagi wygłaszane przez Anglików, drażnią szeptane sobie przez damy plotki na temat rodziny sułtana:

⁷⁵ *Ibidem*, s. 248.

⁷⁶ *Ibidem*, s. 249.

⁷⁷ *Dolmabahçe Palace, National Palaces of Turkey*

źródło: <http://www.millisaraylar.gov.tr/portalmain-en/Palaces.aspx?SarayId=16>, [dostęp online: 24.03.2013 r.]

Żadnemu z tych panów nie przychodzi zapewne na myśl, że w ich ojczyźnie za podobne zachowanie się nie już wobec panującego, ale jego prefekta lub gubernatora, spotkałby każdego z nich proces i więzienie; że obchód, na który przyszli patrzeć, jest obrzędkiem religijnym dopełnianym przez monarchę jednego z największych państw na kuli ziemskiej, którego władzę uznaje kilkadziesiąt milionów poddanych w trzech częściach świata; że ci poddani widzą w nim nie tylko świeckiego ale i duchownego władcę, którego osoba wzbudza w nich cześć fanatyczną i że prędzej czy później cierpliwość muzułmańskiego ludu choć bardzo wielka i godna podziwu, przeleje się przez brzegi naczyń i wtedy bezwzględna, zarozumiała pycha Europejczyków w Perze może odnieść równie zasłużoną a straszną karę, jaka ją spotkała w Aleksandrii. Tymczasem Turcy zdają się nie widzieć i nie słyszeć nieprzyzwoitego hałasu, jaki wyprawiają Anglicy i Grecy⁷⁸.

Europejczycy nie tylko lekce sobie ważą etykietę turecką, której zasady nieustannie łamią – ale wręcz pokpiwają ze wszystkiego, co różni się od norm i standardów, jakie przywieźli z rodzinnych stron. Żarliwa krytyka takiej krótkowzroczności tłumu jeszcze przez długi czas nie wygaśnie w literaturze i publicystyce przyszłego prałata.

Ostatni rozdział poświęca Gnatowski opisom Wysp Książęcych Adalar, leżących na Morzu Marmara po anatolijskiej stronie Stambułu.

Odpywając powoli parowcem zamyka obraz całego miasta literacką klamrą: kiedy widział je po raz pierwszy, z daleka, jeszcze na pokładzie statku – zdawało mu się ono zapowiedzią jakiejś pięknej, kolorowej wschodniej baśni. Po przekroczeniu bram miasta uświadomił sobie jednak tłok i brud w nim panujące. Teraz – z oddali – znów podziwia zapierający dech w piersiach daleki, jak gdyby „pocztówkowy” widok Konstantynopola:

Rzecz naprawdę niepojęta – kiedy się wyjdzie gdziekolwiek na brzeg, widzi się zawsze prawie roje lichych, brudnych domków, cisnących się dokoła kilku spruchniałych cyprysów cmentarza; na ulicy lśnią brudne kałuże, grecy obdarci krzyczą, dzieci przewracają się na kupach śmieci – ale dość odpłynąć na sto kroków, obraz cały nabiera niespodzianego uroku, pstre barwy zlewają się w całość harmonijną jak muzyka – wszystko świeci się, mieni tęczowymi tonami, uśmiecha jak zaczarowany kraj wrózek – i pytasz się zdumiony – „jest-że to naprawdę ten sam zakątek przedmiejski, w którym byłem przed chwilą?”⁷⁹

Wyspa, do której przybija statek, zwana Prinkipoi, jest ulubionym miejscem wycieczek mieszkańców Konstantynopola. Nad morzem ciągnie się długi łańcuch hoteli i pensjonatów, a także letnich rezydencji najbogatszych bankierów i kupców.

⁷⁸ J. Gnatowski, *Listy z Konstantynopola...*, s. 253.

⁷⁹ *Ibidem*, s. 258.

Po obfitym śniadaniu autor wybiera się na samotną konną przejażdżkę. I tutaj po raz kolejny udowadnia swój talent literacki, gdy przechodzi do opisu – już nie ludzi, ani nawet budynków – ale cichego piękna otaczającej go przyrody:

Wyspa cała leżała pode mną – mogłem ją jednym rzutem oka objąć. Niewielki; owalny kawałek zielonego kobierca rzucony wśród niezmierzonej lazuruwej przestrzeni. Opodal Chalki i Prote zdają się zawieszone w powietrzu – okalający je błękit fal zlewa się z błękitem nieba i na tle jednostajnie lazuruwem obie wysepki zdają się płynąć gdzieś w dal, jak łodzie pełne zieleni i kwiatów. W głębi brzeg Azji mieni się liliowemi półtonami i w nieskończoność oddalają się perliste smugi morza, rzucając odbłask ciemnego szafiru na ląd i na wyspy zielone. (...) Ale niestety! Ludzie są wszędzie. I tu, w tej pustce rozkosznej, po półtoragodzinnej ciszy uroczystej i głuchej, słysząc głosy wesole i śmiechy⁸⁰.

Rozbawione towarzystwo przybywa z pobliskiego klasztoru. Gnatowski nie bez ironii zauważa, iż z pozoru pobożni mnisi nie odmawiają sobie ziemskich przyjemności, sądząc po ilości serwowanych trunków. Przeor natychmiast ofiarowuje swe usługi przewodnika po pomieszczeniach klasztornych:

Na nieszczęście kontemplacja pięknej natury, a więcej jeszcze używanie jej darów zrobiły pobożnego kaługiera tak dalece podobnym do praojca Noego po pojedynku z owocem winnej macicy, że pomimo podpierania wahających się jego kroków, pomagania w otwieraniu drzwi, do których klucze nie chciały trafiać i tym podobnych przysług, którymi chciałem ułatwić zadanie mego cicerone, musiałem go porzucić drzemiącego na kutrze w malutkiej, wąskiej jak kurytarzyk, nędznej i niewypowiedzianie brudnej cerkiewce i wyrzekłszy się dalszego zwiedzania pospieszyłem się na konia⁸¹.

Po powrocie do miasta Gnatowski spotyka więcej mnichów, którzy oddają się „ziemskim przyjemnościom” na werandach kawiarni i restauracji. Na pozostałe wyspy archipelagu decyduje się popłynąć łodzią w towarzystwie tureckiego wyrostka. Podczas zwiedzania chwali proste życie mieszkańców owych wysepek, które toczy się swoim naturalnym rytmem z dala od zgiełku i pędu wielkich miast. Zwinne dzieciaki, przyzwyczajone do ruchu, biegania po pobliskich wzgórzach i pływania w morzu są okazami zdrowia, w przeciwieństwie do newralgicznych i chorowitych paniczów z kontynentu.

⁸⁰ *Ibidem*, s. 264-265.

⁸¹ *Ibidem*, s. 265.

Jak gdyby dla kontrastu następny akapit niesie ze sobą opis angielskiego cmentarza, na którym pochowani są młodzi chłopcy. W jego bezpośrednim sąsiedztwie znajduje się największa muzułmańska nekropolia Konstantynopola.

Jest to prawdziwe miasto umarłych, które konno zaledwie można objechać, tak jest ogromne; jeden las bez końca odwiecznych cyprysów, dziwnie majestatycznych i pięknych, w których cieniu bieleją całe łany nagrobków, kapliczek marmurowych, większych kolumn i małych sterzących głazów, nakrytych kamiennymi turbanami. (...) Jakiś wielki smutek opanowuje mimo woli i oko zwraca się nie bez zazdrości na tłum rojący się wśród grobów. Jakże wielką i silną musi być wiara w nieśmiertelność, przeświadczenie o znikomości ziemskiego życia, żeby tak bratać się ze śmiercią i szukać spoczynku wśród umarłych, wyprzedzając chwilę ostatniego ułożenia się do snu pod cieniem czarnych cyprysów?⁸²

To zazdrosne spojrzenie, o którym wspomina Gnatowski – po raz kolejny przy okazji zwiedzania cmentarza – jest jeszcze jednym dowodem na jego nieukształtowaną dotychczas religijność, wciąż pełną pytań i wątpliwości.

Po zwiedzaniu cmentarza autor decyduje się zamknąć tekst kolejną klamrą – jak wspomniano na początku rozdziału, przed przybyciem do Konstantynopola obserwował wschód z pokładu statku. Tym razem, niedługo przed wyjazdem, opisuje miasto skąpane w promieniach zachodzącego słońca:

Słońce zaczyna opuszczać się na dół. Łuna złocista pada ukośnie na półwysep stambulski, zamykający w głębi widnokrąg. Wyraźne choć dalekie zarysy kopuły ś. Zofii i meczetu Solimana otacza wąska nitka różowa rozplywająca się na niebie w topazy i turkusy. Galata i Pera zdają się w ogniu całe – od szyb wszystkich i księżyców złotych błyskają języki płomienne jak iluminacja ogromna, której światła pożyczyło słońce. Dalej smugą białą i zieloną falują nadbrzeżne pagórki, przy nich srebrną wstęgą wije się Bosfor zakrzywiając się w głębi w jasną nić Złotego Rogu. (...)

Na obu brzegach zaczynają się zapalać światła – przed chwilą było ich tysiąc, teraz dziesięć tysięcy przeziiera się w wodzie, za chwilę krocie ich łuną gorącą odbijają się na ciemnym tle nocy. Tu i owdzie migają całe girlandy z lamp, całe festony z różnokolorowych latarni. Naokoło wszystkich minaretów zapalają się wieńce ze światła, obręcze z płomieni, nitką złotą rysujące się w ciemności. Tysiące takich pierścieni ognistych świeci ze wszystkich stron, ze wszystkich meczetów⁸³.

⁸² *Ibidem*, s. 271-272.

⁸³ *Ibidem*, s. 275-279.

Z uwagi na okres Ramadanu Gnatowski jest pewien, że oczy niemal wszystkich mieszkańców miasta wpatrzone są w kryjące się za horyzontem słońce. Dopiero bowiem, gdy ostatecznie zniknie z pola widzenia, mogą wreszcie przerwać całodniowy post i rozpocząć ucztę. Autor zdaje się zresztą podziwiać i aprobować ów zwyczaj.

Nocą mieszkańcy świętują – ale są spokojni i pogodni. Pozytywnie zaskoczony Gnatowski zauważa, że nie słychać w tym czasie burd czy awantur. Po raz kolejny podziwia łagodne i spokojne usposobienie Turków. Wreszcie tłum widzów zbiera się na placu, gdzie wystawiają komedię, zgodnie z lokalną tradycją pantomimy przypominającej nieco włoską *dell'arte*, której głównym bohaterem jest psotnik Kara-Giez, odpowiednik Poliszynela. Po obejrzeniu widowiska autor zostawia wiwatujący, rozbawiony tłum i ucieka na pobliski most, by raz jeszcze – po raz ostatni – objąć wzrokiem cały krajobraz tego zachwycającego, wiecznego miasta:

Stambuł cały, jaśniejący z dala, zdawał się jednym zamkiem czarnoksiężnika, ubranym w złote przedzie i kwiaty. Nad nim, w górze unosiły się na powietrzu ogniste obręcze, okalające szczyty tysiąca niewidzialnych minaretów. Z dala, na prawo i na lewo Skutari i Beszyk-Tasz gorzały tysiącem iskier, rozsypanych w nocy ciemnej, jak roje robaczków świętojańskich w gęstwinie. U stóp moich Bosfor płynął szumiąc z cicha, tajemniczy i posępny jak noc okrywająca go swym płaszczem. Po powierzchni szarej i przyćmionej ślizgają się łódki jak duchy tych, co spoczęli pod falami w ciągu wieków i promienie złote drżą łamiąc się na wodzie w arabeski kapryśne. Fala uderza z jękiem tłumionym o drewniane pale mostu i szepce mi niewyraźnie jakąś fantastyczną historię o losach dziwnego miasta, stojącego jak sfinks na straży dwóch części Świata i na granicy dwóch wielkich prądów dziejowych z fatalnym znakiem zapytania na czole, od którego zależeć będzie może przyszłość naszej półkuli⁸⁴.

Dziwić nas może jedynie fatalistyczny ton, w jaki uderza autor w ostatnim akapicie książki. Wynika to jednak z historii Konstantynopola, który od początku swego istnienia był niejako newralgicznym punktem na mapie, leżąc na granicy świata Wschodu i Zachodu.

Listy z Konstantynopola nie przedstawiają sobą znaczących wartości literackich, ale można zaliczyć je do udanych utworów Gnatowskiego. Przeznaczone dla szerszej publiczności, pisane stylem reporterskim, w którym z rzadka dochodzi do głosu poetycka wyobraźnia autora, należały niewątpliwie do literatury popularnej. Ponadto są doskonałym świadectwem podróży przyszłego prałata, a nawet posłużyć mogą do rekonstrukcji jego

⁸⁴ *Ibidem*, s. 285.

wczesnego światopoglądu. Wszystko to sprawia, że utworu tego nie sposób pominąć w monografii pisarza.

2.3. LISTY Z BERLINA

Jedyna wzmianka dotycząca *Listów z Berlina*⁸⁵ jaka pojawia się w literaturze przedmiotu, to uwaga Zygmunta Sarneckiego w rysie biograficznym Jana Gnatowskiego z 1895 r., która brzmi:

W *Gazecie Krakowskiej*, w *Słowie* i w osobnym wydaniu [Gnatowski] ogłasza śliczne swoje „Listy z Konstantynopola” (1883), (...) „Listy z Wielkopolski i z Niemiec” (w *Wieku*) oraz mnóstwo felietonów i artykułów przygodnych w *Echu*, *Słowie*, *Tygodniku Ilustrowanym*, *Roli* i innych czasopismach i dziennikach⁸⁶.

Tytuł ów, jak widzimy, przywołuje Sarnecki z błędem – być może jednak nie podał informacji na temat listów z Wielkopolski i z Niemiec w charakterze tytułu, ale wskazujący na to znak graficzny (cudzysłów) został dopisany przez korektora przygotowującego tekst do druku. Jakiegokolwiek nie byłoby źródło tego nieporozumienia, faktem jest, że tekst – chociaż pod innym nagłówkiem – rzeczywiście publikowany był w „Wieku”, a dokładnie: specjalnym dodatku do „Wieku”, w numerach: 118-123-128-133-139-145-151 w roku 1884, czyli w czasie, gdy Gnatowski wyjechał z kraju na studia teologiczne.

Listy dedykowane są „panu Wincentemu J.”⁸⁷ i pisane w pierwszej osobie. Gnatowski stosuje apostrofę do adresata i stara się nadać narracji pozory prywatności, mimo publikacji na łamach pisma. Zabieg ten nie jest obcy prasie z tamtego okresu, zdarzały się nawet i listy miłosne publikowane w formie cyklu artykułów w tygodnikach lub miesięcznikach, jedynie stylizowane na prywatne wyznanie, by czytelnik mógł mieć swego rodzaju poczucie „podglądania” prywatnej korespondencji⁸⁸.

Gnatowski zaczyna od bezpośredniego zwrotu do adresata:

Nie bierz mi za złe kochany Wincenty, jeżeli list mój do ciebie nie tylko wysyłam z Berlina, ale mam jeszcze zamiar zapełnić go wyłącznie tym Berlinem, którego wiem że nie lubisz i prusakami, którzy ci tyle krwi popsuli⁸⁹.

Rozważania w liście Gnatowski rozpoczyna od kwestii historiozoficznych, zastanawiając się dlaczego od setek lat Niemcy (których zwie tu lekceważąco „prusakami”) odnoszą

⁸⁵ Jak wspomniano w *Słowie wstępnym* do niniejszego rozdziału, jest to utwór niewymieniony w 14. tomie *Nowego Korbuta*.

⁸⁶ Z. Sarnecki, *Jan Łada...*, s. 236.

⁸⁷ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 118, s. 2.

⁸⁸ Zob. J. Kamionka-Straszakowa, *Podróż...*, s. 703.

⁸⁹ J. Gnatowski, *Listy z Berlina...*, s. 2.

sukcesy militarne i polityczne. Mimo pozornie pogardliwego stosunku do zaborców z narracji listu wynika, że autor darzy ów naród wielkim szacunkiem:

(...) żeby sobie raz nareszcie wyrobić pojęcie nie ze słyszenia, ale z naocznych spostrzeżeń, w czym leży tajemnica tej potęgi nie tylko materialnej ale i duchowej, która nas przygniata w Wielkopolsce, a daje się coraz silniej czuć i w Królestwie – dla tego, jak to wiesz dobrze drogi przyjacielu, zdecydowałem się na miejsce kuracji i corocznej wycieczki letniej za granicę obrać w tym roku Niemcy pruskie, a drogę do Falkensteinu obrócić na Berlin. I oto jestem nad Spreą od kilku dni, patrząc, zwiedzając, robiąc uwagi, a nade wszystko ucząc się, z tego zaś co widziałem i czego się nauczyłem, spieszę zdać ci sprawę⁹⁰.

Akapit dotyczy więc nie tylko rozważań Gnatowskiego nad kondycją narodu niemieckiego, ale też podaje bezpośrednie przyczyny powstania tekstu, związane z wakacyjną wyprawą Gnatowskiego do Berlina, poprzedzającą rozpoczęcie studiów teologicznych w Austrii.

Relację z podróży rozpoczyna autor od mocno osobistego i niepozbawionego ludycznego aspektu spostrzeżenia, że zawsze towarzyszyć mu musi „chochlik”, czyli jakiś pech, niefortunny zbieg okoliczności, by nie powiedzieć – fatum. Tym razem dotyczyło z jednej strony problemów o charakterze urzędowym („pruskie przepisy paszportowe zatruły [mi] pierwszych parę dni”⁹¹), z drugiej zaś sprawy pozornie trywialnej, lecz w podróży niezwykle istotnej – pogody. Podczas podróży koleją do Berlina doskwierało mu słońce i upał panujący w przedziale, ale za to przez cały czas pobytu nad Sprewą padał deszcz.

Krajobraz obserwowany z okna pociągu określa Gnatowski jako jednostajny i nudny:

Kraj płaski, dość piaszczysty, niezbyt ludny, a przynajmniej niewyglądający na to; stacje podobne jedna do drugiej, domki strażnicze wyglądające jak budki szyldwachów; nagie, skąpo zieleniące pola; (...) tu i ówdzie trochę czerwonych dachówek i strzelająca pomiędzy nich wieża kościelna, z czerwonej cegły, cienka, sztywna, wyprostowana jak żołnierz na mustrze⁹².

Zatrzymuje się Gnatowski przy opisie Frankfurtu nad Odrą, ale miasto widzi z pociągu, relacja jest więc urwana i fragmentaryczna: jedynie kilka domów i wież kościelnych.

Warto natomiast przytoczyć opis następujący zaraz po przyjeździe do Berlina, który od 1871 r. pozostawał stolicą Rzeszy Niemieckiej:

⁹⁰ *Loc. cit.*

⁹¹ *Loc. cit.*

⁹² *Loc. cit.*

Jeśli mnie spytasz o pierwsze wrażenie z Berlina, o te pierwsze wrażenie, od którego tak często zależą następne, będę musiał wyznać, że Wiedeń, zwłaszcza kiedy się przyjeżdża od nas, daleko lepiej wygląda. Przesadzona wspaniałość i rozmiary północnego banhofu, tego pomnika rotszyldowskich gründerstw, wyglądającego na królewski zamek; Praterstrasse szeroka, ludna, pełna eleganckich i okazałych domów, a za nią zaczynający się zaraz Ring, wszystko to imponuje w wysokim stopniu, olśniewa, przygotowuje do czegoś daleko większego, niż pocziwy, stary Wiedeń, który choć w nowych sukniach, z całą swą żydowską wytwornością ostatnich dwudziestu lat jest przecież tylko bardzo wielkim miasteczkiem. Ale nawet nie mówiąc o Wiedniu, nawet nasza Warszawa, brudna, zdziczała i biedna Warszawa robi bardziej wrażenie stolicy, gdy się do niej dojeżdża z petersburskiego dworca⁹³.

Gnatowski kocha Austrię i podkreśla to często w swoich listach i twórczości, w Wiedniu zresztą studiuje, by następnie w Innsbrucku przyjąć święcenia kapłańskie. Austriacy górale bywają często bohaterami jego opowiadań, ale Niemcy – choć zdaje się darzyć ich czymś na kształt szacunku – pozostają dla niego wciąż oprawcami, czasem nawet „poganami”, czego nigdy nie ukrywa⁹⁴.

Autor zatrzymuje się w luksusowym Hotel de Rome, położonym naprzeciw pałacu królewskiego. Zaraz po zakwaterowaniu (gdzie zwraca szczególną uwagę na kuchnię, jak w przypadku pozostałych relacji z podróży), postanawia zwiedzić okolicę, co opisuje z niezwykłym, młodzieńczym podnieceniem, znanym już czytelnikowi z *Listów z Konstantynopola*:

A teraz – na miasto! Nie wiem jak dla innych, ale dla mnie przybycie do nieznanego miejsca i pierwsza przechadzka na los szczęścia wśród nowych twarzy i obcych murów, stanowi jedną z największych rozkoszy życia, oczywiście tych rozkoszy niższego rzędu, jakie dać może świat zewnętrzny. Nie rozumiem jak można brać dorożkę, a zwłaszcza przewodnika, jeżeli oczywiście ma się trochę czasu i dość zdrowe nogi. (...) Piechotą więc i dziś, choć chory i bezsilny, próbuję odbyć pierwszą przechadzkę po Berlinie⁹⁵.

Uwaga o „bezsilności” autora musi w kontekście biografii szczególnie niepokoić, wszakże oficjalne źródła (przywołane w rozdziale I) twierdzą zgodnie, iż stan jego zdrowia uległ pogorszeniu dopiero po 1890 roku. Jeśli Gnatowski cierpiał na jakąś poważną chorobę wcześniej, być może był to kolejny powód, dla którego nastąpił w jego życiu gwałtowny zwrot w stronę Kościoła.

⁹³ *Ibidem*, s. 2.

⁹⁴ Kwestii tej autor poświęcił nawet osobne opowiadanie pt. *Proboszcz z Priesslau* (Warszawa 1912).

⁹⁵ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 118, s. 2.

Spacer relacjonuje autor w czasie teraźniejszym, opisując mijane przez siebie budynki i słynny bulwar Unter den Linden, znany w Polsce jako Aleja Pod Lipami. Zwraca też szczególną uwagę na fakt, iż przechadzając się po głównych ulicach Berlina ma się wrażenie nieomal pustki, wywołane brakiem tłoku i tłumy, tak częstego w Warszawie, szczególnie pod wieczór. Przy tym wszystkim (także pomimo choroby) nie traci dobrego humoru, który przejawia się w niewinnych żartach, często dotyczących kobiet: „[dawniej] nie było tu wcale kawiarni, piwiarni i cukierni zastępowały ich miejsce, zadawałniając jedynie płęć brzydką, drugie, jeżeli wolno się tak o berliniankach wyrażać, płęć piękną”⁹⁶.

Zawsze też ogromną przyjemność sprawia mu ocena zabytków pod kątem swych prywatnych kryteriów estetycznych. Posiada niewątpliwie ogromną wiedzę z tego zakresu, zdobytą nie tylko dzięki studiom nad historią sztuki, ale podczas licznych wędrówek. Porównuje słynne pałace i zabytki z różnych państw, jednym odejmując, drugim przydając wartości. Berlin, jak twierdzi, ustępuje pod tym względem miastom włoskim i austriackim.

Z niemałym talentem do odmalowywania szczegółów Gnatowski opisuje berlińską galerię, w której mieszczą się sklepy i kawiarnie. Fragment ten jest żywy i barwny, znów przynoszący na myśl technikę literackich fotografii, kiedy pisarz stara się oddać w pełni lokalny koloryt obserwowanych przez siebie miejsc.

Powierzchowej charakterystyce Berlina towarzyszy też refleksja nad układami społecznymi, jakie w nim panują:

Jest naprawdę coś patriarchalnego i pociągającego w tym stosunku monarchy z poddanymi, jaki się spotyka w Berlinie i Potsdamie. Można Hohenzollernów nie lubić w Hannoverze, w Wilhelmshöhe, w Strasburgu, i gdzieindziej, ale kiedy się ich widzi na ich własnych śmiechach, trzeba przyznać, że są bardzo szanowni i że za wzór mogliby służyć panującym rodzinom. (...) Co lud do nich przede wszystkim pociąga, to że w nich widzi krew ze krwi swojej i kość z kości⁹⁷.

Po tych słowach Gnatowski przechodzi do szczegółowego opisu rodziny książęcej – tego typu stosunki i towarzystwo zawsze zyskują jego uznanie, bowiem w głębi duszy, co przejawia także w literaturze, pozostaje patriarchalnym rojalistą. W publicystyce natomiast otwarcie opowiada się przeciw tendencjom socjalistycznym, od czasu do czasu tworząc nawet moralizatorskie nowele, w których przestrzega młodzież przed „czerwonymi” (patrz: *Rozdział III*). Przy opisie stosunków panujących na dworze chwali Gnatowski działalność filantropijną

⁹⁶ *Loc. cit.*

⁹⁷ *Loc. cit.*

wśród członków rodziny książęcej, jednocześnie ganiąc niektórych z nich za sympatie protestanckie.

Wreszcie ostatnią część I listu poświęca opisowi Kościoła św. Jadwigi, nie szczędząc mu słów krytyki: ciemne, przeładowane ławami wnętrze odpycha Gnatowskiego i stoi w sprzeczności z jego gustem.

Dla nas ten brzydki kościół ma przynajmniej tę jedną dobrą stronę, że zbudowany pod wezwaniem świętej, niemki z urodzenia ale na polskie ziemi wsławionej i za patronkę uznanej i że imię drogie dla naszych serc i swojsko brzmiące dla ucha, słyhać dzięki niemu często na rozmaitych punktach stolicy Vaterlandu niemieckiego⁹⁸.

Gnatowski krytykuje także słynną berlińską operę, twierdząc, iż podobna jest do koszar; rozczarowany jest budynkami akademii i uniwersytetu, zwąc je sztywnymi i zimnymi; nie oszczędza nawet pomników Wilhelma i Aleksandra Humboldtów, twierdząc, iż nie pasują do „otaczającego je tła”⁹⁹.

Ale co stanowi główną i rzeczywiście niepospolitą ozdobę całej tej części Lip, co każe zapomnieć o pretensjonalności otaczających gmachów i całą tę przestrzeń pustą napęlnia ożywia, zmienia jej banalny i pospolity charakter, nadaje rzeczywistą wspaniałość, to arcydzieło Raucha, posąg Fryderyka W.¹⁰⁰

Mowa o pomniku konnym Fryderyka Wielkiego wykonanym przez Christiana Daniela Raucha, słynnego niemieckiego rzeźbiarza. Ów monument uznawany jest za jeden z najważniejszych posągów XIX wieku. Po raz kolejny Gnatowski obronił swój doskonały gust i smak, potrafiąc zauważyć prawdziwie wartościowe dzieło. Autor określa je nawet mianem „niegodziwie pięknego”.

W stopniu o wiele większym niż oficjalna, najświetniejsza część centrum (Lipy), Gnatowskiemu podoba się „zakątek cichy”, który rozciąga się za mostem. Wagę jego mają podkreślać słowa:

Gdyby Berlin kiedy zapadł się pod ziemię, a ten zakątek pozostał nietknięty, nieszczęście to dotknęłoby – odsunąwszy na stronę współczucie czysto ludzkie i chrześcijańskie dla dotkniętych

⁹⁸ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 123, s. 2.

⁹⁹ *Loc. cit.*

¹⁰⁰ *Loc. cit.*

klęską – same tylko Prusy. Gdyby ten zakątek uległ zniszczeniu, klęska byłaby ogólną, cały świat cywilizowany poniósłby szkodę niepowetowaną¹⁰¹.

Cóż więc kryje ów „zakątek”, że autor nadaje mu taką rangę? Okazuje się, że jest tam stara, ewangelicka katedra, gmachy muzeum i Narodowej Galerii oraz zamek królewski. W tym ostatnim nie zamieszkują jednak członkowie rodziny cesarskiej, lecz stoi on „samotny i cichy”. Sąsiadujące z nim budynki wyglądają niezwykle efektownie, robiąc na Gnatowskim niemałe wrażenie. Znowu pozwala sobie nie tylko na prywatną opinię, ale i podaje informacje na temat swego rozkładu dnia i dokładnego planu spaceru po mieście.

Następnie przechodzi do opisu berlińskiego „Altstadtu”, skrupulatnie relacjonując wszystkie wrażenia towarzyszące zwiedzaniu, jednocześnie płynnie zmieniając narrację na bezosobową:

Kiedy po Lipach pustych, sztywnych, zimnych, z cichego zakątka zamkowego i muzealnego, w którym jest więcej posągów niż ludzi, wejdzie się nagle pomiędzy wysokie domy i ciasne uliczki za drugim mostem, ma się wrażenie czegoś całkiem nowego, jakiegoś innego miasta, innych ludzi, innej epoki¹⁰².

Może ze względu na bliskość kultury niemieckiej, bardziej przez nas rozumianej niż orientalny Wschód Konstantynopola, opis Berlina zdaje się mdły i o wiele mniej ciekawy, niż poprzednia podróżnicza relacja Gnatowskiego. Czy zdanie to podzielali recenzenci, trudno orzec, dość stwierdzić, że *Listy z Berlina* nigdy nie ukazały się drukiem osobno, musiały więc cieszyć się mniejszą popularnością niż ich „stambulskie poprzedniki”.

O Żydach Gnatowski pisze w sposób następujący:

Żydów wszędzie w Berlinie dużo, tutaj oczywiście najwięcej. Że jednak na pierwszy rzut oka nie wyróżniają się od innych, nie psują też ogólnego wrażenia. Tutaj też ich nowa synagoga, o której mówią, że jest najwspanialszym gmachem religijnym w stolicy Prus. (...) Wyznaję, że nie byłem tego ciekawy¹⁰³.

W sposób niezwykle powściągliwy i daleki od bezpośredniego potępienia wspomina Gnatowski obecność Żydów w Berlinie, nie da się jednak zignorować swoistej antypatii przebijającej z tekstu.

¹⁰¹ J. Gnatowski, *Listy z Berlina...*, s. 2.

¹⁰² *Loc. cit.*

¹⁰³ *Loc. cit.*

Daleko bardziej niż synagogi, interesują Gnatowskiego berlińskie kościoły i muzea, na poszukiwania których wybiera się do wszystkich zakątków centrum. A przecież mowa wciąż o tym pierwszym spacerze, który nastąpił niedługo po przyjeździe, podczas którego zdołał tak dużo zauważyć i skomentować. Wnikliwemu oku podróżnika nie umknie żaden miejski szczegół. Uwagę jego zwraca fakt, że nowe, dziewiętnastowieczne dzielnice miasta zdają się tętnić życiem, a starsze pozostają jak gdyby wymarłe, puste i niezamieszkałe. Ta różnorodność stolicy Rzeszy jest jedną z przyczyn, dla których trudno wydać o niej wyrazistą i stanowczą opinię *in extenso*:

W ogóle niełatwo od razu zdać sobie i innym sprawę z wrażenia, jakie wywiera Berlin. (...) samo rozproszenie miasta, odległość jego dzielnic i pewna samodzielność, jaką w każdej w nich można dostrzec, wyciskają na nich piętno jakieś odrębne; przy tem zaś dość trudno w pierwszej chwili odróżnić naleciałości zewnętrzne (...) od rzeczywistego miasta i przybyszów, tworzących fusy, które w tym wypadku pływają po wierzchu, od stałych mieszkańców Berlina¹⁰⁴.

Przy całej swej nieskrywanej antypatii dla Niemców, nad których wyżej stawia Austriaków, chwali sobie jednak niemiecki porządek:

Jest to ogólnie powtarzany zarzut, że stolica Prus wygląda jak koszary. Cecha to rzeczywista, ale obok koszarowej sztywności i chłodu ma także i wojskowe przymioty, czystość wzorową i porządek. Wszędzie dużo powietrza i światła, budynki jak z igły, miasto całe tak utrzymane, jak elegancki salon; trawniki na najdalszym skwerze mogłyby zawstydzić nasze najwspanialsze parki¹⁰⁵.

Budowane z geometryczną precyzją domy, przywodzące na myśl ogromne skrzynie, nie zachwycają może bogactwem architektonicznych szczegółów, ale wyglądają schludnie i budzą w Gnatowskim pozytywne wrażenie. „Przyzwoitymi” nazywa też nowo wybudowane kościoły berlińskie:

(...) Jeżeli zaś czuć jakiś brak, jakiś chłód i sztywność, gdy się na nie patrzy, to już nie wina budowniczego. Duch, nadający gmachom chrześcijańskiego kultu ciepło, życie i majestatyczny urok, nie da się przywołać w każdej chwili i każdemu, choćby największemu artyście¹⁰⁶.

¹⁰⁴ *Loc. cit.*

¹⁰⁵ *Loc. cit.*

¹⁰⁶ *Loc. cit.*

To ciekawe spostrzeżenie, wskazuje bowiem raz jeszcze na „wyobraźnię romantyczną” autora – ów bliżej niesprecyzowany „duch”, a więc boże natchnienie, które nie wszędzie może być obecne. Odwołuje się tutaj Gnatowski do sfery uczuciowej, do „pod-świadomego” poczucia obecności Boga, którą nie w każdym miejscu – a nawet nie w każdym kościele – można odczuć.

Kolejne akapity przyszły ksiądz poświęca berlińczykom – ich zachowaniu i przywarom oraz temu, czy zaprzeczają, a może – przeciwnie – potwierdzają stereotypy na swój temat.

Berlińczyk jest przeciętnie dość szeroki i ciężki, pruski kapral preziera w ruchach, w słowach, w żartach, które zazwyczaj przypominają pociski działowe bardzo grubego kalibru. Brak mu soli attyckiej, brak wytworności i smaku, brak tego przyzwyczajenia do komfortu i elegancji, które stanowi główną cechę cywilizowanego społeczeństwa i jest pierwszym, najsilniejszym motorem jego estetycznego rozkwitu. (...) berlińczykowi zdaje się, że jest naprawdę panem świata. (...) Za chwilę jednak zapomina o swojej wielkości i zaczyna targować się o bifsztetek i rozpytywać ciekawie o to, co modne nad Sekwaną i Dunajem, żeby do tego zastosować własne swe gusta i wymagania¹⁰⁷.

Gnatowski nie szczędzi Niemcom słów krytyki, sugerując ich filisterstwo i prostactwo, a czasem wręcz ograniczenie. Przy tym kreuje mieszkańców Berlina na ludzi próżnych, którzy próbując pokazać się w lepszym świetle, ostatecznie ujawniają swoją prawdziwą naturę i brak manier. Aprobata Gnatowskiego budzi niemiecki „duch karności”, a więc wspomniana już wcześniej dyscyplina i porządek, a także szacunek dla rodziny królewskiej i głęboki patriotyzm, jaki wyczuć można u każdego „prusaka”.

Berlińczycy są ponadto słowni i pomocni, choć z wierzchu zdawać się mogą oschli i nieuprzejmi. Zwracając się do czytelników planujących turystyczny wypad do stolicy Rzeszy, zachęca do wypytywania przechodniów o drogę, gdyż ci – choć z początku niechętnie – zawsze jednak udzielą pomocnych wskazówek. Po tej ogólnej charakterystyce Gnatowski znów stosuje apostrofę do adresata listów, tłumacząc się asekuracyjnie:

Oczywiście podaję tu główne tylko zarysy, jak mi wpadły w oko. Nie mam wcale pretensji dawać ci, drogi Wincenty, ścisłego wszechstronnego, wyczerpującego całkiem obrazu. (...) Za prawdę bezwzględną spostrzeżeń tych oczywiście podawać nie myślę¹⁰⁸.

¹⁰⁷ *Loc. cit.*

¹⁰⁸ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 128, s. 1.

Być może takie wytłumaczenie wydaje się Gnatowskiemu potrzebne, poprzedza bowiem następujący akapit:

Berlin jest miastem najbardziej zepsutem ze wszystkich europejskich stolic (...); szachrajstwo, oszukaństwa niesłychane; smaku ani za grosz: w restauracjach – trucizna, w formach towarzyskiego życia – nadęta próżność niewykształconego dorobkowicza, a ponad wszystkim zabijający, despotyczny militarizm¹⁰⁹.

Takimi słowami krytyki kończy Gnatowski pierwszy z listów z Berlina. Kolejny, drukowany w 128 numerze „Wieku”, rozpoczyna opis obrad niemieckiego sejmiku, na które autor zostaje zaproszony przez przyjaciela. Ma tu okazję poznać lub przynajmniej obserwować co słynniejsze figury pruskiej szlachty i arystokracji.

Gnatowskiego cieszy, że w protestanckich Niemczech narastają prokatolickie sympatie, co widać nawet podczas wspomnianych obrad. Jako przyszły ksiądz pozwala sobie nawet na wartościujący komentarz:

W nowszych czasach tak rzadko widzi się tryumf prawdy nad fałszem i uciśnionych nad prześladowanymi, że dzieje katolików pruskich i ich politycznych przedstawicieli przynoszą prawdziwą pociechę, dodając odwagi i siły ducha (...)¹¹⁰.

Zmęczony kilkugodzinnymi obradami, autor opuszcza sejm i z grupą turystów postanawia udać się na zwiedzanie zamku. Już przy wejściu na poły dziwią go, na poły bawią dwa zjawiska: konieczność zakupu biletu wstępu oraz postawa lokaja. Że za bilet do zamku należy zapłacić, to Gnatowski stara się wytłumaczyć oszczędnością cesarskiej rodziny, ale z drugiej strony pisze otwarcie, że czegoś podobnego nie widuje się w żadnej innej części Europy, jedynie w Konstantynopolu. Lokaj z kolei budzi jego śmiech, zachowuje się bowiem protekcjonalnie i wyniośle, przyjmując – bez mała – postawę kogoś z wyższych sfer, nie służącego. Turyści przez chwilę są przekonani, że to minister skarbu lub nawet ktoś z królewskiej rodziny. „Majestetycznym” ruchem rzuca zwiedzającemu pantofle, by nie zniszczyli zamkowego parkietu. Gnatowskiego sytuacja ta zdaje się niezwykle bawić, ale pod tym względem jest profetą – przewiduje bowiem, w jakim kierunku zmierza turystyka i zwiedzanie słynnych budowli. Jest tak wszakże do dziś: przed wejściem należy założyć ochronne obuwie, nie można dotknąć żadnego eksponatu, a większość przedmiotów

¹⁰⁹ *Loc. cit.*

¹¹⁰ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 133, s. 1.

codziennego użytku znajduje się za szybą. Czasy swobodnego oglądu słynnych budowli bezpowrotnie mijają, a proces ten zachodzi na oczach Gnatowskiego, u końca XIX wieku.

Sam zamek nie robi na autorze zbyt dużego wrażenia. Obserwując skład pamiątek po rodzinie królewskiej, wyobraża sobie „kielbaśników i rude mieszczki”¹¹¹, które z rozrzewnieniem przyglądają się pieluszkom czy dziecięcym ubrankom książąt pruskich. Tego rodzaju patriotyzm budzi w nim „pewien rodzaj szacunku, nie bez domieszki żalu”¹¹².

Po opisie zamku Gnatowski stosuje kolejną apostrofę, przy okazji wspominając o swojej technice „literackich fotografii”:

A teraz kochany przyjacielu, zostaje mi najtrudniejsza część zadania. O paręset kroków stąd są Muzea – spieszno poznać te cuda, o jakich się tyle słyszało, ale jak z nich dać sprawę? (...) kiedy sobie myślę, że nie dość widzieć, trzeba jeszcze z tego co się widziało zrobić w myśli jakby fotografię na przyszłość i fotografię tę, stosownie do obietnicy, tobie pokazać, dreszcz mnie przechodzi¹¹³.

Najbardziej Gnatowski boi się stronniczości, dlatego zaznacza raz jeszcze, że postara się opisem oddać swoje pierwsze wrażenie ze zwiedzanych muzeów, rozumiejąc jednocześnie, iż nie dysponował wystarczającą ilością czasu, aby gruntownie je zwiedzić.

Museumsinsel, czyli kompleks połączonych ze sobą muzeów, składało się w czasach Gnatowskiego z trzech części odpowiadających trzem okresom historycznym.

Autor zaczyna od opisu eksponatów Starego Muzeum – w większości rzeźb antycznych, które wywołują na nim niemałe wrażenie. Podobne odczucia budzą w nim dzieła średniowieczne i renesansowe.

Co tu przede wszystkim zasługuje na uznanie, to doskonały wybór, udowodniona autentyczność i prawdziwa wartość obrazów. (...) Z tych, staroniemiecki był zamknięty, holenderski mnie nie interesował, włoski renesans za to zatrzymał mnie przez większą połowę¹¹⁴ czasu, jaki mogłem muzeom poświęcić¹¹⁵.

Zupełnie inne wrażenie wywierają jednak na nim nowsze eksponaty: „Otóż – nie narzucając zdania mego nikomu – sędzę, że dla zachowania iluzji dobrze jest, jeżeli się

¹¹¹ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 133, s. 2.

¹¹² *Loc. cit.*

¹¹³ *Loc. cit.*

¹¹⁴ Podobne błędy językowe pojawiają się w całej twórczości Jana Gnatowskiego.

¹¹⁵ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 139, s. 2.

przyjedzie do Berlina, nie chodzić do Nowego Muzeum”¹¹⁶. Jest to o tyle ciekawe, że w tamtych czasach nie dysponowano jeszcze tak dużą ilością reprodukcji i fotografii dzieł sztuki, ci więc, którzy chcieli je zobaczyć, musieli wybrać się do muzeum. A jednak autor odradza zwiedzanie jego nowej części. Jak twierdzi, eksponaty są źle ustawione, korytarz ciasny, budynek w całości kojarzy się z klatką schodową a prezentowane „protestanckie” dzieła sztuki budzą jego niesmak. O obrazach Wilhelma von Kaulbacha przedstawiających Marcina Lutra pisze z oburzeniem:

(...) malować reformatora w jego roli kościelnej i w otoczeniu wszystkich innych kierowników antykatolickiego ruchu; tworzyć apoteozę tego ruchu, (...) i to nie w protestanckim kościele, ale w gmachu publicznym, zbudowanym za publiczne a więc w połowie katolickie pieniądze i przeznaczonym na to, aby w najdalsze czasy był świadectwem niemieckich sił twórczych i ducha, to już więcej niż religijna gorliwość, niż nietolerancja i fanatyzm: to po prostu prowokacja¹¹⁷.

Gnatowski chwali też finansowe wspieranie niemieckich artystów przez państwo. Gani jednocześnie postawę Polaków, którzy „trwonią” pieniądze i je marnotrawią, zamiast wspomóc nasze Akademię Sztuk Pięknych i rozwój kultury.

Duże wrażenie robi na autorze Muzeum Egipskie. Z zaciekawieniem przygląda się tajemniczemu hieroglifom, posągom bóstw, przedmiotom codziennego użytku, a przede wszystkim – mumiom. Starożytny Egipt niezmiennie fascynował w czasach XIX wieku, a pod wpływem wykopalisk i studiów nad religią i pismem obrazkowym mieszkańców delty Nilu powstały różnorodne szkoły magiczne i okultystyczne, jak Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku, czy Towarzystwo Teozoficzne¹¹⁸. Gnatowski także nie kryje swojego oczarowania zapomnianą i tajemniczą kulturą Egipcjan:

Cały ten świat, ukryty przez tyle wieków w ciemnych grobowcach piramid i nekropolów i spoglądający na nas stamtąd z tajemniczym uśmiechem swoich sfinksów i drażniącą zagadką swoich papirusów, okrytych hieroglifami – staje przed nami w swej dziwacznej i fantastycznej wspaniałości, z oryginalną piękną swoją kolosalnych mass i kształtów niepodobnych do żadnych innych¹¹⁹.

¹¹⁶ *Loc. cit.*

¹¹⁷ *Loc. cit.*

¹¹⁸ Więcej na ten temat w podrozdziale niniejszej pracy pt. „*To nie takie sobie szalbierstwo, ale coś, co przekracza szranki ustanowione między życiem a śmiercią i łamie cały ład!*” – spirytyzm jako jedno z zagrożeń duchowych w Białych i czarnych duchach.

¹¹⁹ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 145, s. 2.

Po trzech godzinach bezustannego zwiedzania Gnatowski przyznaje, że czuje się wyczerpany i żartuje, że teraz myśli jedynie o „białej” celi, w której mógłby spędzić resztę życia. Dodaje jednocześnie przekornie, że na ból głowy spowodowany zachwytem nad eksponatami najlepsza jest wycieczka za miasto i świeże powietrze.

Wytchnienie przynosi mu spacer po ogrodzie zoologicznym – instynktownie ucieka więc od świata kultury w świat natury, który niemniej go zachwycza: „W istocie nic wdzięczniejszego od tego ogromnego parku, poprzerzynanego kanałami, jeziorami, z rozrzuconymi wśród drzew i kwiatów pałacami mieszkańców”¹²⁰.

To jednak jeszcze za mało, by zaspokoić narastającą chęć ucieczki od spraw ziemskich, wyrażoną wcześniej humorystyczną metaforą „białej celi”. Można ten plan urzeczywistnić tylko w miejscu tak oddalonym od zgiełku cywilizacji, jak to tylko możliwe:

Jedną z bocznych alei, bardzo długą, smętną, cichą, wśród ogromnych drzew czarnych, szumiących smętnie, idzie się do Mauzoleum. (...) ma się w końcu uczucie jakiegoś zupełnego oddalenia, oderwania od świata, jakiegoś wewnętrznego ukojenia, z którym łączy się dziwnie ten łagodny smutek, towarzyszący tak często podobnym chwilom odosobnienia i ciszy wewnętrznej¹²¹.

We wszystkich relacjach z podróży Gnatowskiego pojawia się moment ucieczki od „spraw ziemskich”, choćby i reprezentowanych przez najpiękniejsze zabytki i najciekawszych ludzi. W takich momentach autor poszukuje samotności – czy to w miejscach „gotyckich”, przesyconych grozą, czy w świecie dzikiej, nieokiełznanej przyrody (las, otwarte morze, górski szczyt). W pozującym na pozytywistę przyszłym księdzu kryje się dusza prawdziwie romantyczna, której nieobce są fascynacje metafizyką, śmiercią, estetyką grozy. Poszukuje „miejsc przejścia”, przestrzeni sprzyjających doświadczeniom transcendentalnym, które pobudzają w nim świadomość bycia „maluczkim” wobec Boga, wywołując stany niemalże katartyczne. Z opisem takiego doświadczenia mamy do czynienia chociażby w *Listach z nad Adriatyku*, kiedy autor obserwuje w samotności burzę. Choć fragment z Berlina nie jest aż tak ekspresywny, zapowiada jednak przyszłe „poszukiwania filozoficzne” prałata.

Trzeci i ostatni list, drukowany w 145 i 151 numerze „Wieku”, rozpoczyna się opisem życia religijnego mieszkańców Prus.

Po pierwsze, zwraca uwagę na dużą ilość kościołów Berlinie – o wiele więcej, niż w Wiedniu i Paryżu. Jest to zaskakująca wiadomość w obliczu faktu, iż Prusy

¹²⁰ Loc. cit.

¹²¹ Loc. cit.

w przeważającej większości były protestanckie. Prócz kościołów, dzięki inicjatywie wiernych powstają także szpitale katolickie, zakłady wychowawcze i ochronki.

Ciekawe jest również, że większą część pracy duchowieństwa, także duszpasterskiej, przyjmują na siebie sami parafianie, ponieważ brakuje w Berlinie księży. Zakładają stowarzyszenia, wzajemnie broniąc się „przeciw naciskowi panującego wyznania, zalewającego ich ze wszech stron”¹²².

Prasa berlińska w tamtym okresie jest najczęściej antykatolicka. Narodowo-liberalne gazety będące, jak twierdzi autor, w rękach Żydów, pozwalają sobie na jawne oszczerstwa dotyczące duchowieństwa. Tym większy szacunek należy się wydawnictwom katolickim, bowiem pomimo nastrojów panujących w kraju dzielnie odpierają ataki.

Dobre wrażenie robi na Gnatowskim nabożeństwo w kościele św. Michała, w którym może uczestniczyć w niedzielę. Tak dobre, że niektóre „przewinienia” jest w stanie wiernym wybaczyć:

Prawda, że część gminy spała podczas kazania, przy tem te dobroduszne, czerwone twarze znad Renu, tak pocziwie wyglądały w drzemce z sztywną nieruchomością całej postawy, po chwalebnym wysiłku płuc przy choralnym śpiewie, że trudno było mieć do nich pretensję za chwilę odpoczynku, której w ciągu dnia niewiele im zapewne musi dawać surowa dyscyplina pruska¹²³.

Popołudniowym, niedzielnym pociągami autor wybiera się do Poczdamu. Miasto podoba mu się ze względu na mnogość parków i skwerów, w tym słynnego kompleksu parkowo-pałacowego Sanssouci. Czasu jest niewiele, a Gnatowski chce zobaczyć większość zabytków. Decyduje się więc, wbrew dotychczasowej praktyce, na „turystykę ekspresową”:

Mając tylko pół dnia na zwiedzenie tych wszystkich osobliwości – jak się przekonałem, było to syzyfowe zadanie – musiałem gorączkowo pośpieszać. Zjadłszy więc naprędce obiad, klusem prawie puściłem się przez most ku tramwajowi, mającemu wyruszyć do zamku. „Czy to do Sans-Souci?” wołam zdyszany. „Tak” odpowiada poważny konduktor z rudemi faworytami; „tylko że pan, nie znając francuskiego języka, źle ten wyraz wymawiasz. Powinno się mówić *Szang-Suszt*”¹²⁴.

¹²² J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 145, s. 1.

¹²³ *Ibidem*, s. 2.

¹²⁴ J. Gnatowski, *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 151, s. 1.

Ów lingwistyczny żart tak przypada Gnatowskiemu do gustu, że w liście już zawsze nazywa pałac „Szang Suszi”. Sam budynek określa jako wesoły i bardzo wytwornie urządzony, porównując go do łazienkowskiego Białego Domku Stanisława Augusta. Zupełnie inaczej ocenia natomiast Pałac Oranżerii, który już z daleka robi na nim odstraszaające wrażenie. Niesmak budzą też marne kopie obrazów Rafaela, wiszące wewnątrz budynku.

Zabawnie opisuje Gnatowski drogę do Nowego Pałacu. Po długiej i uciążliwej wędrówce, kluczeniu w poszukiwaniu bramy wejściowej, zadyszce i zniecierpliwieniu, portier obwieszcza mu radośnie, iż aktualnie zamieszkuje tu rodzina królewska, turyści nie mają więc wstępu. Zrezygnowany, postanawia w zamian wybrać się na wycieczkę po rzece – i nie żałuje tego:

Hawel cały wygląda jak ogromna sadzawka ogrodowa i jest naprawdę bardzo ładny, tak jak i cała okolica Poczdamu. Prawdziwa wieś – cicho, pusto, z rzadka prześlizgnie się łódka po lśniącej powierzchni wody i od brzegu wiatr przyniesie daleki wybuch śmiechu, lub zwrotkę piosenki¹²⁵.

Podobnie jak w przypadku relacji z podróży do Konstantynopola, *Listy z Berlina* kończą się opisem zachodu słońca. Dzień ma się ku końcowi, a zadowolony z wyprawy autor wybiera się na ostatnią przechadzkę po parku:

(...) z górnej altany mogłem rzucić okiem na piękną panoramę okolic Poczdamu, ścielących mi się pod nogi. Słońce zachodzące oblewało złocistym deszczem pagórki, okryte zielenią i ciemniejszym lasem wille, ukryte wśród drzew, jak kwiaty wśród liści (...). Z daleka, wspaniała masą białych murów Marmurowego pałacu otaczał złoty rąbek słonecznych błysków – i cicho, wolno, z nadbrzeżnego kościoła św. Ducha, płynął po wodzie srebrny jęk wieczornego dzwonu¹²⁶.

Stylistyczne usterki mogą wskazywać na fakt, iż nagłe zakończenie listów pisał Gnatowski naprędce. Stosuje tutaj technikę widzenia panoramicznego, bowiem w ostatnim akapicie swej relacji opisuje Poczdam z daleka, chcąc jak gdyby raz jeszcze objąć wzrokiem całe miasteczko, które tak miłe wywarło na nim wrażenie. Berlina natomiast nie podsumowuje tutaj wcale – trudno powiedzieć, czy z braku miejsca w druku, czy z powodu utrzymującej się niechęci do stolicy Prus.

¹²⁵ *Ibidem*, s. 2.

¹²⁶ *Loc. cit.*

Zdecydowanie krótsze od poprzedniego utworu, drukowane w odcinkach *Listy z Berlina* dla badacza twórczości ks. Gnatowskiego ważne są o tyle, o ile stanowią dalszy wgląd w jego kształtujący się światopogląd. Silniejsze niż w przypadku *Listów z Konstantynopola*, dobitnie zaznaczone sympatie prokatolickie wskazują jednoznacznie na fakt, iż nie mylił się autor biogramu prałata, zamieszczonego na łamach „Wędrowca”, gdy w 1895 r. pisał: „[Gnatowski] poczuwszy, że w piersiach jego stanowczo już dojrzało powołanie do stanu duchownego, przywdział suknię kapłańską”¹²⁷.

¹²⁷ A.N., *Światła i cienie...*, s. 269-270.

2.4. LISTY ZNAD ADRIATYKU

Po rezygnacji z pełnionej przez dwa lata funkcji sekretarza nuncjatury monachijskiej, trzydziestopięcioletni ks. Gnatowski zdecydował się osiąść we Lwowie. Zanim to nastąpiło, spędził kilka tygodni w podróży po miejscowościach położonych u wybrzeży Morza Adriatyckiego. Kilka lat wcześniej, jeszcze w okresie studenckim, dokładnie zwiedził Zatokę Tarencką i południową Italię. Tym razem postanowił poznać północne Włochy i tereny dzisiejszej Słowenii. Wrażeniom swoim zdecydował się nadać formę powieści epistolarnej, trzeciej i ostatniej, która wchodzi w skład „okresu podróżniczego” w jego twórczości.

Pierwszy rozdział-list zamieszczony był w „Dodatku Ilustrowanym” do pisma „Wiek” w 1890 r. Cały utwór zdecydowano się wydrukować w formie osobnego wydawnictwa rok później, nakładem Biblioteki „Wieku”.

Kreacja narratora *Listów znad Adriatyku*¹²⁸ niewątpliwie różni się od tej z poprzednich powieści podróżniczych Gnatowskiego. Doświadczenia zdobyte w ciągu ostatnich ośmiu lat życia trwale zmieniły światopogląd i mentalność pisarza. Wcześniej mieliśmy do czynienia z młodym absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, który kilka lat spędził na ciągłym podróżowaniu. Jak dowiedziono za pomocą licznych przesłanek płynących z samego tekstu, autor pełen był zachwytu nad pięknem otaczającego świata, które próbował ubrać w słowa, jednakże jego religijność nie była jeszcze w pełni ukształtowana. Powoli zaczytał zyskiwać sławę literata i publicysty, pracując jako redaktor „Niwy”.

Osiem lat później Gnatowski nie tylko ma za sobą święcenia kapłańskie, ale też karierę dyplomaty na dworze książęcym w Wiedniu. Zaledwie rok przed podróżą zostaje również tajnym szambelanem papieża Leona XIII. Nie jest więc już młodym obywatel, ale poważnym i szanowanym urzędnikiem kościelnym. Przyjrzyjmy się uważnie, jak te zmiany przekładają się na narrację utworu.

Pierwszy z listów datowany jest na szesnastego maja 1890 r. Gnatowski przebywał w tym czasie w Fiume (Rijece), pozostającą od 1870 r. samodzielną jednostką administracyjną, wchodzącą jednocześnie w skład Krajów Korony Świętego Stefana, wraz z Węgrami, Siedmiogrodem, Chorwacją i Sławonią¹²⁹.

Powieść – co ciekawe – rozpoczyna Gnatowski od refleksji na temat morskiego krajobrazu. Jak zauważono w poprzednim podrozdziale, motywy marynistyczne pojawiają się często w jego twórczości.

¹²⁸ Pisownia oryginalna: *Listy z nad Adryatyku*.

¹²⁹ W. Felczak, *Historia Węgier*, Wrocław 1966, s. 99.

Nie wiem, w czym leży tajemnica uroku, jaki dla wielu ma morze. Miałem nieraz wrażenie, że w tem jest coś fizycznego, coś w rodzaju wpływu, jaki wywiera księżyc na nerwowe natury. (...) jakaś tęsknota dziwna nie daje spokoju i raz ujrane, błękitne fale morza już nie pozwalają się zapomnieć, wabią i nęcą jak syreny i w końcu, prędzej czy później, znów nas ku sobie przyciągają¹³⁰.

Już w pierwszych akapitach mamy do czynienia z potężną, głęboko zakorzenioną symboliką pogańską – morze, księżyc i syreny. Jednocześnie wszystkie wyliczone motywy przypisane są do pierwiastka żeńskiego w naturze. Szczególne zależności łączą morze i księżyc. Trudno powiedzieć, na ile Gnatowski świadomy był faktu, iż w jego literaturze pojawia się takie nagromadzenie symboli pochodzących jeszcze sprzed epoki chrześcijańskiej.

Na początku autor decyduje się na narrację pierwszoosobową. Z żalem zauważa, że od ośmiu lat nie widział Adriatyku, w związku z tym od dawna czuł nostalgię i z niecierpliwością wyczekiwał ukochanego widoku. Droga z Zagrzebia okazała się jednostajna i nużąca. Znów – podobnie jak w przypadku Konstantynopola – miasto, do którego zmierza, widzi Gnatowski po raz pierwszy o wschodzie słońca. Czy to zbieg okoliczności, czy powtórzony zabieg literacki, ocenić niepodobna.

Rijeka, dla której autor używa włoskiej nazwy Fiume, podzielona jest na dwie części. Wzdłuż wybrzeża ciągną się nowe budynki i kamienice, magazyny, restauracje i kawiarnie. Wyżej, na stoku góry, leży stare miasto, które Gnatowskiemu podoba się nieskończenie bardziej – ale też podkreśla z całą mocą, że nie może ono równać się z pięknnością i splendorem Konstantynopola, „z którym nic porównać się nie da”¹³¹. To znaczy, że wrażenia z podróży na Wschód są wciąż żywe, nawet po kilkunastu latach.

Gnatowski znów decyduje się na sprawdzoną narrację fotograficzną, szkicując naprędce mijane przez siebie sceny i postaci. Czas teraźniejszy podkreśla chwilowość i entropię miejskiego żywiołu, w którym wszystko zawsze rozgrywa się „tu i teraz”:

Kelnerzy znudzeni z serwetami w rękę stoją we drzwiach restauracji i hotelów. Właściciele sklepów, czekając na gości, palą po kilku cygara na środku ulicy, gawędząc. Paru podróżnych przebiega czasem ulicę, śpiesząc do statku na sąsiednie Molo – najwięcej jeszcze ruchu na paru arteriach, łączących port z górnem, starem miastem¹³².

¹³⁰ J. Gnatowski, *Listy z nad Adriatyku*, Warszawa 1891, s. 5.

¹³¹ *Ibidem*, s. 6.

¹³² *Ibidem*, s. 7.

I kolejny fragment, który ma na celu oddanie chaotycznej miejskiej scenerii, tym razem poprzez równoważniki zdań i szybkie wyliczenia: „Tam na górze ludno, gwarno, wesoło, tłok, śmiech, śpiewy”¹³³.

Spacerując niespiesznie ulicami Rijeki, bohater nie tylko opisuje, ale też komentuje zastaną rzeczywistość. Od czasu do czasu pozwala sobie nawet na humorystyczne uwagi. Przykładowo, o częstym na Bałkanach i we Włoszech widoku bielizny zwisającej z parapetów okien i balkonów, pisze: „Ciekawa rzecz, nawiasem mówiąc, że w tych krajach południowych, gdzie tak mało noszą bielizny, a gdy ją noszą, taki wstręt czują do zmieniania jej, suszą jej tak niesłychanie wiele”¹³⁴. Ks. Gnatowski nie czuje się zażenowany, by pisać o tak intymnej części garderoby – przeciwnie, uważa, że ów widok dodaje Rijece malowniczości i stanowi niezbędny element lokalnego kolorytu.

Kolejnym aspektem docenianym przez autora jest otwartość życia społecznego i rodzinnego, które tu rozgrywa się przed domami, na podwórkach i ulicach, a nie za zamkniętymi drzwiami. Otaczająca go zewsząd szczerość i prostolinijność mieszkańców Rijeki są czymś, co dawno temu docenił już u konstantynopolan. Witalność tego miejsca stanowi w oczach Gnatowskiego jeden z jego licznych atutów: „Życie wre, kipi, leje się z niepowstrzymaną falą, jak alpejski potok, z hukiem i pianą spadający w dolinę”¹³⁵.

Od początku dostrzec można jednak różnicę w kreacji samego narratora. Tutaj mamy już do czynienia z prawdziwym obieżyświatem, który na każdym kroku porównuje opisywane przez siebie miejsca do tych, które zdarzyło mu się zwiedzać i obserwować w czasie swych licznych wędrówek. Wciąż cechuje go tolerancja wobec lokalnych zwyczajów, choćby i bardzo różniły się od tych, do których przywykł w kraju. Pod tym względem nie zmienił swego nastawienia.

Podobnie jak w poprzedniej powieści, Gnatowskiego zachwyca różnorodność typów etnicznych mijanych na ulicach:

A strojów i typów jaka różnorodność! Dalmatyńcy o wyrazistych wojowniczych twarzach, z włosami długimi, o wichrowatych, hebanowych zwojach, spadających na ramiona, z fezami lub rodzajem kolorowego turbana na głowie, w spencerze krótkim, otwartym na piersiach, guzami błyszczącymi zdobnym, z pasem szerokim, kryjącym parę nożów a nieraz i kurcicę, spodniach fałdzistych i pończochach tureckich do papuci. Wieśniacy istryjscy w krótkim obcisłym stroju jak Hucuły, z kurtą niedbale zarzuconą na ramiona (...). Kroaci w swych

¹³³ *Loc. cit.*

¹³⁴ *Loc. cit.*

¹³⁵ J. Gnatowski, *Listy znad Adryatyku...*, s. 8.

szerokich białych koszulach i kurtach bez rękawów (...); kobiety wiejskie, całe w czerni, jeżeli z wysp lub Istrii w barwnych strojach (...) ¹³⁶.

Nie poprzestaje jednak autor na – choć szczegółowym – ale jednak powierzchownym opisie ludności. Po barwnym odmalowaniu elementów stroju i ozdób właściwych danym grupom etnicznym, przystępuje do szczegółowego opisu podziałów społecznych jakie wytworzyły się w Rijece. Rzecz znamienna, po raz kolejny odwiedza miejsce, w którym żyją obok siebie rozmaite nacje. Miasto w ciągu setek lat swego istnienia przechodziło we władanie różnych państw, wobec tego jego mieszkańcy stanowią fascynującą mieszankę Chorwatów, Włochów, Węgrów i Niemców. Podobnie jak w Konstantynopolu, spotkać tu można przedstawicieli wielu narodowości. Takie miejsca zdają się przyciągać Gnatowskiego najbardziej.

Przedmiotem jego krytyki staje się natomiast nietolerancja, jaką przejawiają wobec siebie współżyjące na tym terenie nacje:

Samych urzędowych języków trzy: węgierski dla urzędników cywilnych, niemiecki dla wojskowych, włoski we wszystkich biurach i urzędach, zależnych od municypalności (...). Jest to naprawdę ciekawy okaz plemiennej i językowej nietolerancji, w Austrii, niestety, nierzadki, ale tu, dzięki odrębnym warunkom, występujący drastyczniej ¹³⁷.

Architektura miasta nie zachwyca autora tak bardzo, jak ta widziana w Konstantynopolu. Część budynków nie robi wrażenia na turystach z tego względu, że od dawna popadły w ruinę. Dawny klasztor Augustianów ¹³⁸, który niegdyś stanowił popularny cel pielgrzymek, teraz stoi opuszczony i ubogi. Podobnie kolegiata i klasztor Benedyktynów, które autor opisuje jako: „wilgotny, ciemny, nędzny, jakby więzienie dla złoczyńców” ¹³⁹.

Dobre wrażenie robi natomiast na Gnatowskim kościół św. Wita, gdzie uczestniczy w mszy świętej. Bystry i spostrzegawczy kapłan od razu zauważa i wylicza różnice dzielące nabożeństwa znane mu z kraju lub z Niemiec, od tego, którego świadkiem jest tutaj:

Pobożni podzieleni według płci na dwie części i ławki po stronie męskiej równie szczelnie wypełnione jak w części kobiecej – rzecz i w naszym nawet pobożnym kraju niezwykła. Zachowanie się publiczności było istotnie wzorowe. Mężczyźni wszyscy na kolanach, nawet

¹³⁶ *Ibidem*, s. 8.

¹³⁷ *Ibidem*, s. 9.

¹³⁸ Dziś kościół św. Hieronima.

¹³⁹ J. Gnatowski, *Listy z nad Adryatyku...*, s. 11.

i tacy, którzy należeć musieli do inteligencji. W pierwszej połowie mszy śpiew choralny wszystkich pobożnych zebranych tak piękny, tak czysty, tak przejmujący religijnym uczuciem i skupieniem, że nawet w Niemczech lepszego nie zdarzyło mi się słyszeć. (...) Parę głosów uderzyło mnie niezwykłą pięknnością. Srebrzyste ich dźwięki podnosiły się do góry w coraz wyższych tonach i rozplywały pod kopułą kościelną, czysto, drżące dziwną słodyczą, jak śpiewy cherubinów¹⁴⁰.

Gnatowski jest tu nie tylko kapłanem, wnikliwie przyglądającym się obcemu nabożeństwu, ale też miłośnikiem piękna i muzyki. To zamięłowanie dojdzie do głosu w późniejszym okresie jego twórczości, czego pokłosiem będzie kilka nowel i opowiadań, których motywem przewodnim jest właśnie muzyka oraz śpiew.

Po mszy udaje się do pobliskiego klasztoru, gdzie zakonnicy przyjmują go z wielką serdecznością i traktują z respektem. Jak zawsze wychwala przyrządzony posiłek, w tym lokalne wino przygotowywane przez braci, po czym wnikliwie opisuje całą okolicę wraz z ogrodem. Dodaje jednocześnie – jak gdyby tłumacząc się przed czytelnikami – że zupełnie nie zna się na botanice. To ciekawa różnica w stosunku do poprzedniej powieści, tam wszakże starał się przytoczyć nieco informacji z każdej dziedziny po trochu, posiłkując się odpowiednią literaturą w tych momentach, gdzie nie dysponował własną wiedzą. Tym razem informuje, że nie zamierza wypowiadać się w kwestiach, na których się nie zna.

W poprzednim podrozdziale opisano wyprawę Gnatowskiego na Wyspy Adalar, gdzie wybrał się promem z Konstantynopola. Podróż ta musiała utkwąć mu w pamięci, skoro sam wspomina teraz w *Listach znad Adriatyku*:

Przed dziesięć lat byłem na wyspach Książęcych i na największej z nich Prinkipoi wspinałem się konno na szczyt góry panującej nad wyspą i nad całą tą częścią morza Marmora, do greckiego klasztoru wieńczącego wierzchołek. Patrząc na obraz rozścielający się u nóg moich, powiedziałem sobie: zapamiętaj go dobrze i w sercu zachowaj, bo piękniejszego w tym życiu nie ujrzysz. (...)

A tutaj – inaczej trochę, ciszej, surowiej, ale niemniej pięknie. (...) Morze szafirowe również tym niezmiernie głębokim i żywym odcieniem lazuru, jaki lubi morskiej powierzchni nadawać Siemiradzki (...). Na tej olbrzymiej przestrzeni lazuru, lekko falowanej wiatrem, słońce rysuje długie smugi złotego światła, drżące, migocące niepewnymi blaskami, jakby snopy całe gwiazd. W ramy błękitu ujęte wyspy zarysowują się, jak długie smugi zieleni (...) ¹⁴¹.

¹⁴⁰ *Ibidem*, s. 12.

¹⁴¹ *Ibidem*, s. 16-17.

Gnatowski nie po raz pierwszy udowadnia, jak dobrze radzi sobie z opisem krajobrazu. Wyraźnie inspirowany malarstwem impresjonistycznym, fragment ten delikatnie zarysowuje przed czytelnikiem kształty i kolory, ulotne piękno morskiej scenerii, gdzie błękit nieba i lazur wody mieszają się gdzieś z zielonością odległych wysp. Tym większe rozczarowanie przynosi kolejny akapit, w którym autor rzeczowym tonem opowiada o kondycji drogi prowadzącej na wyspę Lussin, pozwalając sobie też na uwagi o charakterze antysemickim¹⁴².

Ostatnie fragmenty pierwszego listu niosą ze sobą garść informacji historycznych, szczególnie o czasach rzymskich, kiedy to najzamożniejsi z obywateli przybywali nad te brzegi, by budować letnie wille i posiadłości. Dziś, także z winy wojen prowadzonych tu w średniowieczu z Muzułmanami, niewiele zostało oznak dawnej świetności.

Drugi z listów, datowany na dwudziestego drugiego maja 1890 roku, pisany był już w miejscowości Ika, leżącej na zachód od Rijeki. W pierwszym akapicie czytamy:

(...) nie znam nic równie pięknego, jak droga brzegiem morskim z Fiume przez Abazję do Moscenicy. Wyjeżdża się z rana i minąwszy długi łańcuch fabryk i rządowych gmachów, ciągnących się nad morzem na przedmieściach, jest się w alei drzewnej wysadzonej, gaikami okolonej, z jednej strony otwartej na morze, którego lazuru powierzchni do samego kresu gościńca w Moscenicy nie traci się już z oka. (...) Wszystko lśni w słońcu, barwi się gorąco ultramaryna, przejrzystymi tonami szmaragdu i szafiru, złoci się, srebrzy, pachnie, uśmiecha¹⁴³.

Znów mamy do czynienia z nagromadzeniem wyliczeń i kolorów, a także nadużywaną przez autora konstrukcją, która każe zaczynać zdanie od: „Wszystko... [lśni / iskrzy się, etc.]”

Ika jest mniejszym i spokojniejszym od Rijeki miasteczkiem, którego mieszkańcy utrzymują się głównie z turystyki. Uwagę narratora przykuwają tym razem dzieci, jakie opisuje zgodnie z jego zainteresowaniami nauką fizjonomii:

Jakie rozkoszne typy dziecięce! nie rafaelowskie aniołki, ale raczej te tłuste, rumiane główki, jakie tak lubi Fra Filippo. Nigdzie, prócz Tyrolu, nie spotkałem sympatyczniejszych dzieci; takie w nich zdrowie, taka jędrność, a nieraz takie śliczne różowe główki cherubinków, z aureolą włosów złotych. Przy tem w układzie jest jakaś nieoszacowana naturalność, daleka od niezdolnej

¹⁴² „Ne wybrzeżach trochę rybaków z biedą życie utrzymuje; w paru miejscach kupczy garstka włochów, wyciskając z kraju wszystkie soki żywotne, jak u nas żydzi” (J. Gnatowski, *Listy z nad Adryatyku...*, s. 18).

¹⁴³ *Ibidem*, s. 21.

pewności siebie mikroskopijnych obywateli miejskich, zarówno jak i od niezgrabności wylęklej naszych dzieciaków wiejskich¹⁴⁴.

Gnatowski po raz kolejny nie waha się przed porównywaniem tego, co dobrze zna z kraju, z tym czego świadkiem jest za granicą. I – również po raz kolejny – kosmopolityczny ksiądz ocenia Polskę bardzo surowo. W jego późniejszej twórczości tęsknota za krajem toczyć będzie walkę z krytyką wielu polskich obyczajów, zjawisk i politycznych tendencji. Gnatowski tęskni raczej za „krajem lat dziecinnych”, Skarżynówką i matką, nie wahając się przy tym przed agresywnymi opiniami dotyczącymi współczesnej mu polskiej rzeczywistości.

Autor, podróżując wzdłuż wybrzeża w stronę Moscenicy, chwali zmiany, jakie w okolicy zaszły w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Wybudowano kolej żelazną, co nie tylko ułatwiło rozwój gospodarki i turystyki, ale też poprawiło warunki życia okolicznych mieszkańców:

Tyle razy skarżymy się [na] nasz wiek – co najgorzej, że słusznie – tem też milej uznać, gdy można, rezultat nowoczesnej, rozumnej i wytrwałej pracy, której inne czasy nie zdołałyby zapewne wykonać¹⁴⁵.

Kolej także i jemu ułatwia podróżowanie po okolicy, która tak go zachwyca. Po drodze mija między innymi sanatorium dla księży, gdzie w otoczeniu pomarańczy i czereśni odpoczywają po całorocznej posłudze kapłańskiej; szereg fabryk i willi, w których mieszkają bogaci Anglicy; wreszcie – maleńkie miasteczka z prowincjonalnymi parafiami i mieszkańcami, którzy trudnią się handlem bądź rybołówstwem.

Trzeci list – z dwudziestego piątego maja – także powstały w Ice, rozpoczynają słowa: „Z okna mego pokoju nic nie widać, prócz błękitu”¹⁴⁶. Już ten początek znamionuje nieco odmienny charakter dwóch kolejnych listów, które okażą się zdecydowanie bardziej prywatne od poprzednich. Gnatowski zaczyna od kolejnego, bardzo udanego opisu krajobrazu, w którym zachwyca go wyrazistość i różnorodność barw i odcieni: „Tyle tu światła, barwy, woni, a przede wszystkim – tak tu cicho, cicho zupełnie”¹⁴⁷.

Być może właśnie ta cisza inicjuje zmianę narracji na bardziej prywatną. Przebywając w odosobnieniu, wpatrując się w morze rozciągające się za oknem hotelowego pokoju, autor

¹⁴⁴ *Ibidem*, s. 21.

¹⁴⁵ *Ibidem*, s. 22.

¹⁴⁶ *Ibidem*, s. 25.

¹⁴⁷ *Loc. cit.*

zwraca się w stronę swojego wnętrza. Najpierw wypowiada uwagi ogólnikowe, bez mała kaznodziejские, na chwilę rezygnując z narracji osobowej na rzecz kolektywnej:

Żyjemy dziś nerwami i nerwy nami rządzą, jesteśmy wszyscy rozdrażnieni, wyczerpani, znużeni przed czasem pracą, a bardziej gorączką naszego życia, a tak do tej gorączki przywykliśmy, że nie czujemy, jak ona z nas wysysa wszystkie soki żywotne. Ale co czujemy instynktowo, to niedostateczność, próżnię, skrzywione podstawy i niezdrowe warunki naszego życia. (...)

Dlatego tak nam dobrze z dala od ludzi, samym wśród przyrody w jej piękności i uroku, samym z Bogiem i sobą¹⁴⁸.

Choć ton, w który uderza Gnatowski, przypominać zaczyna kazanie wygłaszane do wiernych, fragment niesie też ze sobą kolejne dowody na panteistyczną filozofię księdza.

W kolejnym liście, datowanym na dwudziestego ósmego maja, porzuca już narrację kolektywną i skupia się jedynie na własnych emocjach i odczuciach:

Spędzam co dzień kilka godzin na morzu w barce, jedynej, jaką dostać można w Ice. (...) Odpłynąć jak można najdalej od lądu, aż póki linie brzegów nie zaczną topnieć (...), słuchać dziwnych odgłosów morza i patrzeć na ten obraz (...). To jakby krzyk i razy tytanów, próbujących zburzyć dzieło Boże we wszechświecie. (...)

Tej nocy właśnie był szturm, jak na koniec maja, bardzo silny. Wicher wył i szalał. (...) Oświetlona złotem światłem księżyca, wyglądającego spoza chmur, sceneria ta fantastyczna i ponura, przypominała burzliwe „mariny” Salwatora Rozy. Długo w nocy patrzyłem z balkonu na ten obraz dziwny, na morze w konwulsjach, zdające się wszystkie siły wytężyć, aby przełamać swe granice, a gdy się udał na spoczynek, dzika muzyka burzy długo nie dała mi zasnąć. Długo, długo brzmiał mi w uszach głuchy szum wód i przeciągły jęk wiatru, jakby echo nieznanym, tajemniczym skarg i żalów. A potem śniło mi się, że jestem w Bayereuth i słucham jakiegoś nieskończonego recitativo z Siegfrieda, czy Rheingolda¹⁴⁹.

Na wzór starej szkoły romantycznej narrator na poły zatrwożony, na poły zahipnotyzowany dziwnym pięknem burzy, nerwowo próbuje usnąć. A sen, który go nawiedza, odsłania znów przed czytelnikiem Gnatowskiego – miłośnika muzyki, który w szumie wichru za oknem doszukuje się podobieństw do dramatów muzycznych Ryszarda Wagnera (*Zygfryd, Pierścień Nibelunga*).

¹⁴⁸ *Ibidem*, s. 26.

¹⁴⁹ *Ibidem*, s. 26-27.

Podobne odczucia wywołuje w nim pływanie w barce, o której wspominał w przytoczonym akapicie. Nieco dalej pisze o swych morskich wypadach:

Jest w tem jakaś rozkosz surowa, podobna do tej może, jakiej w ogniu bitwy doświadcza żołnierz; jest i trochę dumy, bo nigdy tak, jak wtedy, nie czuje się człowiek czem jest – panem stworzenia; ale przede wszystkim (...) jest uczucie nieograniczonej ufności do Wiecznego Pana wiatrów i morza, którego dłoń utrzymuje nas bezpiecznie na toni morskiej i wśród przepaści życia¹⁵⁰.

W sposób oczywisty nasuwają się tutaj skojarzenia z Biblią i przypowieścią o Chrystusie, który uspokaja wzburzone morze. Sam Gnatowski pisze o tym chwilę później. Zresztą coraz częściej, w porównaniu do poprzedniej powieści, w tekście pojawiają się intertekstualne odniesienia do Księgi, autor nie waha się też przed uderzaniem w podniosły ton, jaki zapewne stosował w czasie przemówień do wiernych, gdy głosił kazania i uprawiał literaturę katechizującą.

Kapłanem wnikliwie obserwującym rzeczywistość jest też Gnatowski w kolejnym liście, z siódmego czerwca, skupionym na opisie jeszcze jednego nabożeństwa, w którym uczestniczy autor, odprawianego w parafialnym kościele mieszczącym się w miasteczku Lovrana. Jego uwagę przykuwają znów, prócz samej mszy, twarze tubylców, jakie dostrzega w nawach: „aż się proszą, żeby ich narysować, takie pyszne, oryginalne typy”¹⁵¹. Jednocześnie po raz pierwszy w tekście porównanie polskiego i zagranicznego nabożeństwa wypada korzystnie dla rodaków. „Ślicznego ludowego śpiewu, który naszym procesjom tak niezwykle nadaje urok, nie ma tu wcale; księża i kościelni ryczą i piszczą (...)”¹⁵². Nie jest to więc krytyka formalna, która odnosiłaby się do konkretnych elementów mszy, ale porównanie umiejętności wokalnych, na które znów pozwala sobie raczej jako meloman, a nie kapłan.

Piąty z dziesięciu listów składających się na tę relację z podróży datowany jest na jedenastego czerwca i pisany na wyspie Krk, którą Gnatowski nazywa z włoska: Veglia. Jest to podróż statkiem na Krk i Cres, gdzie autor korzysta z gościnności miejscowych zakonników.

Opis morskiego brzegu oraz miejscowości, klasztorów, ratuszów i kapituł obserwowanych z pokładu statku, aby nadać mu indywidualnego charakteru i urozmaicić,

¹⁵⁰ *Ibidem*, s. 28.

¹⁵¹ *Ibidem*, s. 30.

¹⁵² *Ibidem*, s. 31.

uzupełniony jest o nostalgiczne wyobrażenia Gnatowskiego na temat minionych epok i wydarzeń:

Dziś tu stary sam jeden jeszcze stoi na skale wśród kupy rumowisk, samotny i cichy, i tylko fale morza, odbijające się o brzegi, gwarzą mu o ludziach, co spać się ułożyli w jego kamiennych grobowcach, o dziejach dawnych, jakie pamiętają jego mury, o chwale i świetności, z której ślady ostatnie zacierają się powoli¹⁵³.

Widać tu znamioną dla autora fascynację klimatem średniowiecza, zamiłowanie do starych opowieści i legend o czasach dawnej chwały, które objawiał – zgodnie z własnymi wspomnieniami w nowelach i listach – już od dzieciństwa.

Statek przybija do brzegów Cherso (Cres). Stolica wyspy miejscami przypomina Gnatowskiemu Wenecję: „(...) choć tu wszystko małe, biedne, opuszczone, weneckimi są wieże obu kościołów, weneckim charakter klasztoru Benedyktynów, kończący miasto w stronie przeciwnej wjazdowi”¹⁵⁴.

Po mieście oprowadza Gnatowskiego proboszcz z Cherso, pokazując mu m. in. stary klasztor Franciszkanów. Po raz kolejny autor pozwala sobie na żart odnoszący się do lokalnej ludności, ironicznie porównując plotkarską naradę kobiet (zapewne niższego stanu) do eleganckich spotkań przy herbacie (niem. *Damenkränzchen*):

Na środku dziedzińca studnia jedyna w mieście, a że to właśnie południe, więc wszystkie baby z Cherso zebrały się, żeby wodę czerpać i, czekając kolei, zabawiają się konwersacją, jak zwykle na południu, dość ożywioną i głośną. Można sobie wystawić, co się dzieje z nieobecnymi bliźnimi na takim ogromnym *Damenkränzchen*¹⁵⁵.

Szczególną uwagę zwraca Gnatowski na działalność duchowieństwa wśród młodzieży oraz na schronienia dla ubogich, zakładane przez siostry i braci zakonnych. Nie tylko popiera podobne inicjatywy, ale też sam będzie im przewodniczył we Lwowie i w Warszawie.

Dwa dni później jest już na wyspie Krk, dokąd dostał się statkiem parowym. Rozpadające się, widoczne tu i ówdzie chałupy i ruiny klasztorów autor określa jako „malownicze i nędzne”¹⁵⁶ zarazem. Wzrok jego przyciągają spleśniałe, stare lochy pełne stojącej wody, czarne, zarosłe krzakami mury, gotyckie budowle związane z legendami o zjawach czy

¹⁵³ *Ibidem*, s. 33.

¹⁵⁴ J. Gnatowski, *Listy z nad Adriatyku...*, s. 32.

¹⁵⁵ *Ibidem*, s. 26.

¹⁵⁶ *Ibidem*, s. 39.

upiorach. Niemniej jednak wabi go wciąż samo morze, pełne rozmaitych kolorów w zależności od pory dnia – czerwone o zachodzie słońca, zielono-błękitne w południe.

Idziemy przez miasto – przechodnie, poznawszy podróżnych, niepytani wskazują drogę. (...) Ceny bajecznie niskie, dobroduszość, prostota, poczciwość naprawę chyba przedpotopowa. Za wino do odświeżenia się po przyjeździe nie chcą brać zapłaty ani tu, ani w innych austeriach na wyspach (...) ¹⁵⁷.

Używana od czasu do czasu liczba mnoga czasownika wskazuje na to, że w podróży musiał Gnatowskiemu ktoś towarzyszyć – niestety, ani razu w tekście nie pada informacja wskazująca na to, kim mógł być.

Podczas zwiedzania wyspy autor zwraca szczególną uwagę na architekturę sakralną, zwiedzając kościoły, klasztory i kolegiaty. Staje się to zresztą pretekstem do kolejnych refleksji:

Nieraz mnie to uderzało, jak dziwne poczucie piękna mieli zakonnicy wszystkich krajów w wyborze swoich siedzib. Można przysiąc, że przy założeniu takiego klasztoru z pierwszych i średnich wieków w kilkunastomilowym promieniu wybrano punkt może niekoniecznie najczęściej dogodny, ale z pewnością najpiękniejszy. (...) Skąd ten zmysł estetyczny tak głęboki nawet u prostaczków, jakimi byli nieraz założyciele klasztorów? Czy nie dlatego czasem, że oderwanie duszy od ziemi, zbliżenie jej do Boga, robią ją wrażliwszą i czulszą na wszystko, co doskonałe, a więc i na piękno, jako na jeden z przymiotów doskonałości przedwiecznej? ¹⁵⁸

Zawiera się w tej refleksji jakiś element franciszkanizmu z jego wychwalaniem zmysłu estetycznego prostaczków, którzy ponoć przebywają zawsze bliżej Boga, niż ludzie uczeni. Cała wyspa wywołuje zresztą w Gnatowskim franciszkańskie nastroje, nie jest bowiem prawie wcale zaludniona, a jej świeżość i dziewiczość zachwycają autora tak bardzo, że pozwala sobie porównać ją do samej Arkadii. Przechadzając się po cytrusowych gajach z sympatią obserwuje zwierzęta, rośliny i kwiaty, wreszcie – podpatruje życie prostego ludu, który tu mieszka, a nad którym pieczę sprawują zakonnicy (określani przez autora jako „synowie św. Franciszka” ¹⁵⁹).

¹⁵⁷ *Ibidem*, s. 40.

¹⁵⁸ *Ibidem*, s. 42.

¹⁵⁹ *Ibidem*, s. 43.

Nocą Gnatowski wraca do Ponte. Bliskość morza, ciemność i pełnia księżyca znów budują w nim nastrój odpowiedni do poetyckich, choć miejscami pozbawionych oryginalności opisów obserwowanego krajobrazu:

Już ciemno, księżyc w pełni żółtą swą tarczą zawisł nad wyspą wśród bladych obłoków, rwących się w kawały, jak zwoje puchów białych. Zielona gęstwina wyspy i ciemne mury klasztoru zbijają się w jedną masę zatartą, w konturach zewnętrznych tylko rysującą się wyraźniej. Wokoło podniesione brzegi szarzeją w liliowych odcieniach półmroku; po gładkiej płaszczyźnie morza ślizgają się, trzęsą, srebrzą migocące blaski księżyca. (...) A tymczasem z wieży klasztornej na wyspie odzywa się cichy, srebrny jęk dzwonu na „Ave Maria” (...). Nasi wioślarze krzyżują wiosła i ze spuszczoną głową składają ręce do modlitwy – z daleka od łodzi, kierującej się ku pełnemu morzu, podnosi się pieśń pobożna na cześć Maryi, „Gwiazdy morza” (...) ¹⁶⁰.

Wyparta przez judeochrześcijański system religijny symbolika boginiczna przetrwała tutaj w swych najstarszych elementach (morze, księżyc), ale sama bogini, *Stella Maris* (tytuł pierwotnie nadany Izydzie) staje się – zgodnie z nową tradycją – Najświętszą Maryją Panną, opiekunką żeglarzy. Gnatowski znów nieświadomie operuje pogańską symboliką – i raz jeszcze pretekstem do tego staje się nieujarzmiona, pradawna Natura.

Siódmy z kolei, pisany osiemnastego czerwca list, opowiada o drodze do Iki, przy okazji odwołując się gdzieniegdzie do historii mijanych osad i kościołów. Kończy go jeszcze jeden opis oscylujący wokół estetyki gotycyzmu i grozy:

(...) całe to ciepłe, silnem tętnem drgające życie południowe odbija się o nieruchomą, uroczystą ciszę starego zamku, który zda się, zamarł nagle, ale nie upadł i stoi jeszcze groźny, jak za życia, ale stężały już i milczący jak umarli. Bluszcze świeże i zwoje dzikiego wina oplatają mury czarne, zaglądają w otwarte strzelnice i okna, płaszczem zielonym otulają szczeliny i dziury w ciągu wieków wybite. Jaskółki i wróble w nich się gnieźdzą i świergotem wesołym przerywają grobowe milczenie ¹⁶¹.

Tryumf świata natury nad światem kultury, jaki reprezentują ruiny zamku oplecione bluszczem, pełne gnieźdzących się w murach jaskółek (symbol nadziei), po raz kolejny podkreślać może panteistyczną filozofię Gnatowskiego.

W ósmym liście autor stara się wyłuszczyć wszystkie niuanse związane z wielonarodowościowym charakterem zwiedzanych przez siebie miejsc. Włosi i Chorwaci

¹⁶⁰ *Ibidem*, s. 44.

¹⁶¹ *Ibidem*, s. 52.

nie zawsze żyją tu ze sobą w zgodzie, walcząc o przewagę polityczną. Szczególnie Włosi zdają się wedle słów Gnatowskiego agresywni, uważając się za krzewicieli „prawdziwej kultury” wśród barbarzyńskiej ludności słowiańskiej. Obejmują też wysokie stanowiska w urzędach i obsadzają znaczną część gruntów wiejskich.

Ciekawy i wart uwagi wydaje się komentarz Gnatowskiego dotyczący niejasnej roli duchowieństwa w lokalnych walkach politycznych. Píše bowiem:

Nie chcę wchodzić na tem miejscu w rozbiór kwestii, czy kler dobrze robi, mieszając się do tej walki i stając nieraz na jej czele. Sprawie narodowej pomaga to wielce, osobiste znaczenie i wpływ księdza wśród jedнопlemieńców podnosi, z drugiej strony zniża go nadto ku ziemi, odbiera mu niewątpliwie część tego uroku bezstronności kapłańskiej, stanowiącego główny czynnik jego duszpasterskiego działania¹⁶².

Jest to o tyle ważne, że w jakiś sposób przypominać może ówczesną sytuację Polski, pozostającej pod zaborami. Gnatowski za działalność patriotyczną wśród młodzieży był ścigany przez carską policję, ale po otrzymaniu święceń kapłańskich wycofał się z oficjalnej walki, skupiwszy na literaturze dewocyjnej, bądź właśnie podróżniczej. Dopiero w okresie lwowskim pozwoli sobie na druk kilku nowel i opowiadań w jakiś sposób związanych z motywem walki o ojczyznę i wspomnieniami z powstania styczniowego, nigdy jednak nie dołączy już do żadnej organizacji militarnej¹⁶³ – w przeciwieństwie do przedstawicieli chorwackiego kleru, których zaangażowanie krytykuje. Przychylnie wypowiada się natomiast o inicjatywach misyjnych mających miejsce na tych terenach. Grunt pod pracę duszpasterską, jak twierdzi autor, jest tu wyborny – lud spragniony jest duchownych, którzy podnieśliby poziom „oświaty chrześcijańskiej”. Taką pracę w XIX wieku wykonywali przede wszystkim Jezuici, od początku istnienia zakonu nastawieni na działalność edukacyjną i apostolską.

Gnatowski dochodzi do wniosku, że jest to niemalże obowiązek zagranicznego kleru, aby inicjować podobne działania na terenie Bałkanów:

(...) czy naprawdę nie byłoby to naszym posłannictwem religijnem i narodowem dopomóc wedle sił do tego, aby te plemiona słowiańskie, tak bogato obdarzone duchowo, a takie biedne, ochronić od upadku i wynarodowienia? Czy nie byłoby dla nas samych świadectwem siły żywotnej i zdrowia, gdybyśmy się starali podnieść religią i kulturę zachodnią na tych kresach słowiańszczyzny (...)?¹⁶⁴

¹⁶² *Ibidem*, s. 57.

¹⁶³ Po 1900 r. wiąże się jedynie z Tymczasową Radą Stanu w Królestwie Polskim (patrz rozdział I).

¹⁶⁴ J. Gnatowski, *Listy z nad Adriatyku...*, s. 58-59.

Jest to niewątpliwie, pomimo dobrych intencji, przykład misyjnego myślenia typowego dla przedstawicieli Kościoła w tamtym okresie. Zauważmy, że podobne pomysły – krzewienia myśli i kultury chrześcijańskiej – nie pojawiły się w relacji z podróży do Konstantynopola, gdzie Gnatowski nie miał jeszcze święceń kapłańskich. Ideologia jego musiała zapewne ulec zmianie wraz z transformacją „tożsamości świeckiej” na „tożsamość duchownego”. Jednym z wyznaczników tej zmiany jest inne podejście do kwestii kultur uznawanych powszechnie za „bardziej zacofane” bądź „prymitywne”, a w tych kategoriach Gnatowski ocenia Chorwatów: „poziom umysłowy jest [tu] nie do wiary niski”¹⁶⁵.

Przedostatni, dziewiąty list, pisany jest w Puli dwudziestego piątego czerwca. Po kilkunastogodzinnej podróży statkiem wzdłuż brzegów Istrii, autor dociera do kolejnej miejscowości. Pierwsze kroki po wyjściu na ląd Gnatowski kieruje do amfiteatru, który przyciągnął jego wzrok jeszcze z pokładu parowca. Okazuje się na tyle efektowny, że nie równa się z nim nawet Koloseum, być może dzięki temu, że udało się zachować go w lepszym stanie. Ponadto w całej Puli zachowana została większość zabytków:

Z rzymskiej, świetnej i bogatej Poli zachowało się tu – i to w stanie zadziwiająco dobrym – bardzo wiele, więcej może, niż w jakimkolwiek z miast na północy Apeninów, nie wyłączając ani Nimes, ani Arles, ani Trevia¹⁶⁶.

I jeszcze jedna, z biograficznego punktu widzenia ważna informacja, związana ze stopniową utratą wzroku przez autora:

Bramy obie zachowane nieźle – Porta Genuina cała obrosła zielenią, na Porta Herculeia zachowały się jeszcze, jak mi mówią towarzysze, bo ja dojrzeć nie mogę, głowa i maczuga pożytecznego półboga, który tak często mógłby się dla różnych stajni Augiaszowych przydać¹⁶⁷.

Wydaje się, że poza utratą wzroku nie istnieje inna, obiektywna przyczyna, dla której przyjaciele Gnatowskiego mieliby dostrzec na bramie coś, czego on nie mógł zauważyć.

Uwagę autora, jak zawsze, przykuwa miejski kościół i stosunki w nim panujące. Ponieważ wikary jest z pochodzenia Chorwatem, a proboszcz Włochem, współpraca między nimi pozostawia wiele do życzenia, w to jednak Gnatowski postanawia się nie wtrącać.

¹⁶⁵ *Ibidem*, s. 58.

¹⁶⁶ *Ibidem*, s. 62.

¹⁶⁷ *Ibidem*, s. 62.

Od tego momentu list staje się pozbawionym emocji przewodnikiem turystycznym, w którym autor opisuje najciekawsze zabytki i ulice miasta, skrupulatnie relacjonując trasę swego spaceru, powstrzymując się jednak od osobistych przemyśleń i uwag. Raz tylko pozwala sobie na spostrzeżenie, iż charakter i zainteresowania turysty wpływać muszą na ustalenie wybranej trasy wycieczki. O ile czuje się świetnie podczas zwiedzania zabytków architektonicznych i oglądania dzieł sztuki, o tyle męczy go i niepokoi przyglądanie się słynnym w tej okolicy fabrykom, warsztatom i zakładom pracy:

Nie byłem nigdy w stanie pojąć pasji zwiedzania takich rzeczy specjalnych, niezrozumiałych dla ogółu, przypatrywania się im godzinami z musu, z ziewaniem ukrytem, przewyciężając nudę śmiertelną i słuchając objaśnień, będących nie niemiecką, ale chińską prelekcją. I to wszystko dlatego tylko, żeby powiedzieć: byłem, widziałem. Naprawdę człowiek zdolny jest do heroizmu, ile razy chodzi o miłość własną¹⁶⁸.

Charakter tej wypowiedzi jest więc nie tyle osobisty (subiektywny), co sentencjonalny, niewolny jednocześnie od wartościowania – Gnatowski naśmiewa się przecież z turystów, którzy zwiedzają coś kosztem siebie, tylko ze względu na chęć zaimponowania innym.

Ostatni, dziesiąty list znad Adriatyku pisany jest w Trieście, stanowiącym ówczesnie Wolne Cesarzkie Miasto Triest. Ta osada o bardzo ciekawej historii, podobnie jak pozostałe, zwiedzane przez autora miejsca, odznaczała się przede wszystkim swoim wielonarodowościowym charakterem. Wpływy słowiańskie i włoskie mieszały się tu od czasów średniowiecza.

Autor znów pozwala sobie na pobłażliwe uwagi związane z kobietami, z zamierzenia raczej o charakterze ludycznym, niż obraźliwym. Jednocześnie jedyny raz w całej powieści wprowadza do narracji dialog:

Miła perspektywa: ośm godzin podróży w towarzystwie czterech tuzinów bab, wystrojonych i hałasujących jak papugi – nie widząc ani odrobiny widoków nadbrzeżnych (...). Znajduję paru innych turystów, parlamentujemy z kapitanem, kapitan parlamentuje z paniami, przekłada różne racje i względy.

– Nic nas to nie obchodzi; my chcemy się ochronić od słońca.

– Ależ słońca nie ma, niebo od rana omglone tym perlistym odcieniem, który zapowiada czas chmurny na dzień cały.

– To od deszczu.

– Ani jedna kropla nie spadła.

¹⁶⁸ *Ibidem*, s. 65.

- To od wiatru.
- Proszę spojrzeć na morze: ani się marszczy, czyste jak zwierciadło.
- Cóż więc z tego, że nie ma słońca, wiatru, deszczu? Być mogą, a zresztą – tak nam się podoba!¹⁶⁹

W taki oto groteskowy sposób Gnatowski podkreślić chce upór kobiet, które miast podziwiać widoki za oknem, wolą zasunąć zasłony przedziału. Zrezygnowany, przechodzi na pokład drugiej klasy, skąd jednak szybko trafia do prywatnych pomieszczeń kapitana statku, osobiście przez niego zaproszony – podkreśla więc swoje pochodzenie i ważną funkcję kościelną.

Pomiędzy Fasaną a Dignano Gnatowski natrafia na intrygującą, odizolowaną osadę czarnogórców, którzy przybyli tam przed dwoma wiekami:

Zachowali oni grecko orientalny obrządek, podobnie jak ich współplemieńcy z innej kolonii na południowym cyplu półwyspu, w Promontore, mają nietknięte swe zwyczaje, narzecze, stroje górskie: obcisłe z fałdzystymi rękawami u koszul i kwiatami u małych okrągłych kapeluszków, jak u krakowskich parobków. Kobiety osłaniają się białymi rańtuchami, tworzącymi nad czołem rodzaj kapiszona, a po wierzchu spódnicy noszą rodzaj długiej ciemnej kapoty bez rękawów, przypominający zwierzchni strój wielkorosyjskich wieśniaków, nie „armiak”, ale żupan bez rękawów, noszony na kolorowej koszuli¹⁷⁰.

Fragment ten jest dla nas interesujący o tyle, iż pokazywać może, co Gnatowskiemu podczas jego podróży wydaje się godne uwagi – oprócz, oczywiście, zabytków architektonicznych i dzieł sztuki, zwraca szczególną uwagę na życie ludzi, ich kulturę, obyczaje, a nawet tradycyjne stroje. Można więc zaryzykować stwierdzenie, że dysponuje swego rodzaju „ciekawością etnologiczną”, kiedy stara się na własną rękę badać życie mieszkańców okolic, w które się udaje. Z drugiej strony jest to oczywiście zaspokojenie potrzeb czytelników ówczesnych powieści podróżniczych, które spełniały podobną rolę, co dziś popularnonaukowe filmy dokumentalne.

Podczas mijania rozlicznych, małych wysp rozrzuconych niedaleko linii brzegowej, Gnatowski stara się w kilku zdaniach opisać obiekty charakterystyczne dla każdej z nich, odwołując się znów do techniki literackich impresji – szybko mijający wyspy statek pozwala na zaobserwowanie jedynie drobnych szczegółów:

¹⁶⁹ *Ibidem*, s. 70-71.

¹⁷⁰ *Ibidem*, s. 71-72.

Na jednej z nich [wysp], S. Andrea, obszerna fabryka okryła swemi budynkami całą stronę zwróconą do lądu – dokoła roją się robotnicy, wewnątrz słysząc tłumiony huk maszyn. Druga wysepka pusta zupełnie, okryta krzewami i niską gęstwiną drzew, rozrzuconych po nierównej powierzchni. Na pagórku wznoszą się obszerne mury opuszczonego kościoła: śliczna ruina, przez której otwory, oplecione wijącymi się roślinami, błękit nieba przegląda. Obok znów z brzegu innej wysepki wyziera ładny letni pałacyk nowoczesny¹⁷¹.

Ponieważ jednak Gnatowskiego wciąż cechuje post-romantyczne usposobienie, daleko bardziej interesują go lokalne podania na temat zatopionego onegdaj miasta:

Dalej na południe przy wysepce S. Giovanni ma się znajdować, wedle podania, rozpowszechnionego po całej Istrii, miasto całe na dnie morza, pochłonięte przez fale podczas jednego z tych kataklizmów, o które na brzegach Adriatyku nietrudno. Rybacy wynajdują nieraz w tem miejscu w głębinach morskich różne przedmioty do użytku ludzkiego służące – nurkowie przysięgają, że pod wodą dostrzegali zarysy gmachów zniszczonego grodu, a mieszkańcy wybrzeży sąsiednich opowiadają, że nieraz podczas nocy burzliwych słysząc ponad wodą smętny jęk dzwonów z zatopionych świątyń. To duchy mieszkańców, co śmierć znaleźli w głębi Adriatyku, przypominają się modlitwie i pamięci żyjących¹⁷².

Trudno ocenić, ile z elementów tej legendy to faktycznie historie które zasłyszał, a ile stanowi już naddatek samego Gnatowskiego, zafascynowanego konwencją powieści grozy i krwawymi ludowymi podaniami.

Po tym gotyckim wtręcie autor znów przechodzi do suchego, „przewodnikowego” opisu zwiedzanych przez siebie okolic. Wspomina też po raz kolejny – jak gdyby na zakończenie utworu – o „prześlicznych typach”:

Podczas przestanku, zajętego spuszczeniem na łańcuchach beczek z oliwą na dno parowca, uderza mnie kilka prześlicznych typów, wyróżniających się nawet wśród tej pięknej, rosłej, nieraz klasycznie zbudowanej ludności. Jeden szczególnie, może piętnastoletni wyrostek, ma twarzyczkę tak idealną, tak delikatnie piękną, że mógłby być pozować za wzór ówczesnych Madonn Rafaela¹⁷³.

Gnatowski bywa kolekcjonerem typów ludzkich i miłośnikiem piękna, czego nigdy nie stara się ukrywać, przeciwnie, wydaje się dumny ze swego klasycznego gustu i poczucia

¹⁷¹ *Ibidem*, s. 72.

¹⁷² *Loc. cit.*

¹⁷³ *Ibidem*, s. 75.

dobrego smaku. Innymi słowy próbuje udowodnić czytelnikowi, że jest osobą na tyle kompetentną, by z powodzeniem tworzyć coś w rodzaju „subiektywnego przewodnika dla turysty” połączonego z relacją z jego podróży. Nie waha się przed nazywaniem niektórych słynnych zabytków „brzydkimi” i „w złym guście”, inne zachwycają go, nawet gdy nie są powszechnie znane.

Książka nie ma właściwie żadnego zakończenia. Do ostatniego akapitu Gnatowski opisuje panoramę zwiedzanych przez siebie miast, dochodząc wreszcie do Triestu. W przeciwieństwie jednak do *Listów z Konstantynopola* nie decyduje się na żadne metaforyczne zamknięcie tekstu – odpłynięcie, zachód słońca, powrót do kraju. Przeciwnie, po zakończeniu lektury można odczuwać nieprzyjemne wrażenie „urwania” wątku. Relacja kończy się opisem portu w Trieście i willi stojących na pobliskich wzgórzach. Chwilę później Gnatowski mógłby wprowadzić kolejny akapit, decyduje się jednak w ten sposób zakończyć powieść. Samego Triestu, oprócz widoku z oddali, właściwie nie opisuje, choć ostatni list pisany jest właśnie stamtąd, można więc przypuszczać, iż zwiedzał to miasto. Z jakiegoś powodu decyduje się jednak na (przedwczesne?) zakończenie powieści.

Niezależnie od pobudek autora, który zdecydował się nie wprowadzać do tekstu wyróżniającego się zakończenia, pierwsza z trzech relacji z podróży była nieco bardziej udana – zarówno pod względem konceptów narracyjnych, języka i metaforyki tekstu, jak i umiejętności zaintrygowania czytelnika. Ta zdaje się bardziej sucha i bezosobowa.

✿ Jan Łada. ✿

C. K. RĄDCA DWORU
Prof. Dr Edward Korczyński
W KRAKOWIE.

O DUSZĘ

POWIEŚĆ.



Wydawnictwo „Biesiady Literackiej“.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
89-330 Warszawa, ul. Nowy Świat
Tel. 26-68-63

WARSZAWA

Druk Emila Skińskiego.

1895.

LITERATURA KATECHIZUJĄCA I PATRIOTYCZNA

3.1. „GDY O DUSZĘ LUDZKĄ SIĘ WALCZY, TRZEBA CAŁEGO SIEBIE ODDAĆ W OFIERZE...” – POCZĄTKI OKRESU DEWOCYJNEGO

Przychodzi wreszcie czas na beletrystyczny debiut młodego księdza-dyplomaty, drukowany początkowo w „Przeglądzie Polskim” w roku 1893, by powrócić rok później w „Biesiadzie Literackiej”, doczekawszy się w 1895 r. osobnego wydania, opublikowanego zresztą z inicjatywy „Biblioteki Biesiady...”, nakładem drukarni Emila Skińskiego. Krótka, zaledwie studwunastostronicowa powieść jest preludium, ale i doskonałym wglądem w filozofię Gnatowskiego, prezentując plejadę postaci, które nieraz jeszcze, choć przecież pod innymi imionami, pojawią się na kartach jego książek.

Opowiada się w niej historię rodzeństwa Łańskich, dziedziców Mińkowieckiego dworu. Zosia jest pobożną, skromną i szczerą dziewczyną, podczas gdy jej młodszy brat – Wicio – przejawia skłonności do rozwiązłości i zepsucia, które dojdą do głosu w okresie uniwersyteckim. Stąd właśnie tytuł powieści: *O duszę* opowiada bowiem historię walki o zbawienie brata, próby nawrócenia go i wreszcie – po latach trosk i awantur – ostatecznego zwycięstwa Chrystusa nad zdemoralizowanym chłopcem. W tym kontekście, jak zauważa Edward Jakiel, pisarz podejmuje w pierwszej powieści problematykę soteriologiczną¹.

Gnatowski dzieli fabułę na trzy „etapy”, podczas których stopniowo przedstawia czytelnikowi historię Łańskich. Cały utwór nosi znamiona literatury dydaktycznej, czy może nawet religijnej i jako taka powinien być interpretowany². Szybko bowiem domyślamy się, że postaci – ich charaktery, czyny, motywacje – są li i jedynie pretekstem do prezentacji teologicznego zagadnienia nawrócenia, pokuty (*poenitentia*) oraz ofiary (*sacrificium*).

Tytułowa walka o duszę Wiktora ma swój początek w przysiędze złożonej na łożu śmierci matki, jest więc dla Zofii niezwykle zobowiązująca, jest – można by rzec – kwestią honoru. O przysiędze dowiadujemy się na pierwszych kartach powieści. Czytelnik zostaje, zgodnie z popularną w tamtym okresie techniką, „wrzucony” w środek historii, co do której

¹ Zob. E. Jakiel, *Księdza Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 372.

² Jakiel proponuje termin „opowiadanie religijne” zarówno w odniesieniu do *O duszę*, jak i późniejszych *Białych i czarnych duchów*: „Proponowany tu termin ma swe zastosowanie ze względu na podjętą w opowiadaniach tematykę. Dominujący temat religijny (zwłaszcza w części drugiej) w zupełności uprawnia do zastosowania proponowanej tu klasyfikacji (...)”. [cyt. za: E. Jakiel, *Księdza Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 372.]

domyśla się – więcej – jest pewien, że ma swój początek daleko wcześniej. Nie ma tu jednak retrospekcji *sensu stricte*, ale raczej urywkowe wspominki „dawnych lat”, padające z ust tej, czy innej postaci.

W pierwszej scenie zastajemy Zosię klęczącą nad fotelem umierającej matki:

W narożnej sali Mińkowskiego dworu leży kobieta blada, przezroczysta jak alabaster, bez kropli krwi, prócz pręgów ceglanych pod oczyma. (...) Przy fotelu, na którym od tyłu tygodni leży, bez ruchu, zestarzała przed czasem kobieta, Zosia widzi siebie, młodą, z jasnymi włosami i błękitnymi oczami, wpatrzoną z bolesnem przerażeniem w twarz gasnącą. Czy to możliwe, to co przez usta przedrzeć się nie chce, i czy to już tak blisko? I żadnego ratunku, żadnej pomocy! A tu brata nie ma i nie ma – i może będzie za późno...³

Matka umiera, nie doczekawszy się ukochanego synka. Jego nieobecność przypisać możemy różnym czynnikom – oficjalnie tłumaczy, że opóźnił mu się pociąg, ale przecież jest to już zapowiedź przyszłej nieodpowiedzialności chłopca, teraz może nawet nieświadomej, dziecięcej, niewinnej. Przed śmiercią matka wypowiada do Zosi te słowa:

– Przybliż się do mnie, Zośku moja, bardzo blisko – szepnęła, ściskając rozpaloną dłoń jej ręce. – Coraz mi ciężiej i trudniej mówić. O ciebie się nie boję. Znam cię. Zahartowała cię niedola, modlitwa i praca. Ale Wicio mój! Rozumiesz tylko: drugi rok za domem, w obcych rękach... Ty nie wiesz, nie rozumiesz, na co taki chłopiec, z usposobieniem żywym, wrażliwym, narażony jest wśród świata. Żli towarzysze zepsuciem własnem duszę niewinną zarażą, splamią, spodlą. (...) Zosiu moja – szepnęła – córko moja jedyna, rodzona... Ofiary ja żądam od ciebie, ofiary większej niż życie, droższej niż szczęście twoje. Dasz-że ją? (...) Nie dla mnie... dla Wicia mego. Słuchaj dziecko: ja ci go oddaję, powierzam. Strzeż go jak skarbu, jak dziecka własnego, bądź mu siostrą i matką⁴.

Zofia złożyć musi ofiarę ze swojego życia – zapomnieć o przywilejach młodej kobiety i w pełni oddać się opiece nad bratem.

Jak się okazuje, nie jest to łatwe zadanie, a i młoda dziewczyna nie wie i nie rozumie, co to właściwie będzie dla niej oznaczać, czego będzie musiała się wyrzec.

Pierwsza część powieści, jaka następuje po tym swoistym *preludium*, dotyczy walki osieroconych Łańskich o podupadający majątek ziemski. W walce tej pomaga im, niczym duch opiekuńczy Zosi, stary Czaplewicz, dawny sługa państwa Łańskich, mieszkający

³ J. Łada [Gnatowski], *O duszę. Powieść*, Warszawa 1895, s. 1.

⁴ *Ibidem*, s. 3-4.

w pobliskim dworcu z synem Stanisławem. Dzięki jego staraniom Zosi udaje się spłacić długi pozostawione przez chorą matkę, a młody Wiciu ma pieniądze na utrzymanie w szkołach.

Jego buntownicza natura daje wszakże znać o sobie już w pierwszych latach nauki.

Było coś dzikiego w jego usposobieniu. Zdolny niezmiernie, z umysłem świetnym i lotnym, jak fajerwerk, z wyobraźnią rozszalałą, z sercem wrażliwym, ale miękkim i zmiennym, chłopak tajemniczy był, jak zagadka⁵.

Wkrótce młody bohater rzuca się w wir życia towarzyskiego za namową swoich szkolnych kolegów. Jego żywe usposobienie sprawia, że nieraz musi zmieniać placówki, ponieważ zostaje wypędzony z kilku szkół. „Stara Jakubowa”, kucharka i służąca Wicia, opowiada Zofii, która przyjechała w odwiedziny do brata:

– Jak wyjdzie o zmroku, to aż po północy wraca... Bóg wie, gdzie się włóczy. Nawet mówić o tem nieładnie. Żona naszego stróża opowiadała takie rzeczy o pijatykach i kartach, i gorszych jeszcze awanturach⁶.

W ten sposób Zosia ponosi pierwszą klęskę. Nie udaje jej się bowiem ujarzmić niesfornego, skorego do zabawy brata. Czynnikiem sprowadzającym na złą drogę tym razem są koledzy i szkolne towarzystwo. Zobaczymy później w tekście, że Gnatowski prezentuje nam trzy takie czynniki: pierwszy z nich to, mówiąc najogólniej, złe towarzystwo. Wicio, chociaż jest dopiero nastolatkiem, zaczyna już pojawiać się w teatrach, kawiarniach i cukierniach. Te z pozoru niewinne rozrywki stają się zapowiedzią przyszłej klęski moralnej chłopca.

Zofia jest jeszcze w stanie wymusić na bracie obietnicę poprawy. Będąc dla niego jak matka, dysponuje rodzajem „specjalnej więzi”, za pomocą której może ujarzmić brata. Dziewczyna wciąż ma w pamięci przysięgę, jaką złożyła umierającej matce, to zadanie wydaje się jednak ją przerastać. W pewnym momencie przyznaje, że o Wicia musi walczyć „ze wszystkimi”. Świat wokół, szczególnie świat dużych miast, jawi się Zosi jako złowrogi i niemoralny. „Chwilę ulgi i wypoczynku dają jej tylko Mińkowice”⁷ – myśli, nie mogąc doczekać się powrotu na wieś – ostatni bastion moralności⁸.

⁵ *Ibidem*, s. 14.

⁶ *Ibidem*, s. 15.

⁷ *Ibidem*, s. 21.

⁸ Wieś w opozycji do miasta to motyw pojawiający się także w późniejszej twórczości prałata, na przykład we wspomnianym już utworze pt. *Białe i czarne duchy*, bądź szkicu *Moloch*.

Dla Wicia świat jawi się jako nęcący i kolorowy, kusi go swoim splendorem i rozrywkami, jakie oferuje. Ani myśli wracać na wieś. Tłumaczy Zosi: „Ale czy ty tego nie rozumiesz, moja Zosiu, że mi tu ciasno, nudno w tej klatce, że mi życia potrzeba, ludzi, ruchu, słońca!”⁹.

Nie tylko na Witolda czyhają niebezpieczeństwa, jakie sprowadzić go mogą na złą drogę. Także na drodze Zofii pojawiają się rozprasające „przeszkody”, mogące odwieść ją od poświęcenia, na które jeszcze niedawno gotowa była całym sercem. Zbliżywszy się przez ostatni rok do syna starego Czaplewicza, Stanisława, Zosia po raz pierwszy zaczyna – jeszcze nie rozumieć, ale instynktownie przeczuwać – czym jest miłość kobiety do mężczyzny. Nie zatraciwszy swojej niewinności, odczuwa jednocześnie dziwne podniecenie po spotkaniu ze Stanisławem:

Tej nocy Zofia modliła się długo, gorąco, do późna. Znużona, rzuciła się wreszcie na łóżko, ale sen nie przychodził. Obrazy jakieś promienne wiły się jej po głowie, a jasno od nich było w duszy. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie potrafiłaby z myśli i uczuć zdać sprawy, tak się kręciły w głowie i sercu jakimś fantastycznym wirem¹⁰.

Zosia wciąż szuka oparcia w wierze, ale uczucie do Stanisława sprawia, że pomimo najszczerzych chęci wypełnienia obietnicy danej matce, życie Wicia w szkole zaczyna schodzić na dalszy plan. Dziewczynie wydaje się, że wszystko co robi, robi dla niego – w rzeczywistości jednak pilnuje go nieudolnie, mimowolnie pozwalając mu na coraz więcej wybryków, będących jedną z konsekwencji życia w wielkim mieście.

Przychodzi wreszcie moment, gdy młodzi wyznają swoje uczucia podczas wspólnego spaceru. Moment ten jest szczególny i nie będzie chyba przesadą stwierdzić, że cała sceneria nakreślona przez Gnatowskiego niesie ze sobą symboliczne znaczenie. Oto Stanisław i Zosia wracają z cmentarza, gdzie spotkali się, by złożyć świeże kwiaty na grobie starego Czaplewicza, celebrując w ten sposób dzień jego imienin. Stary mimowolnie połączył ich węzłem miłości, kiedy – żyjąc jeszcze – pomagał Zosi dźwignąć Mińkowice z upadku. Syn, kontynuując dzieło ojca, zbliżył się do dziewczyny i zaimponował jej, okazując się wybawicielem majątku rodzinnego. Młodzi wracają: „z początku w milczeniu, przez cmentarz zielony, przez łąkę i pole”¹¹. Wyjątkowe wzruszenie, wywołane być może

⁹ J. Łada [Gnatowski], *O duszę...*, s. 24.

¹⁰ *Ibidem*, s. 27-28.

¹¹ *Ibidem*, s. 31.

wspomnieniem zmarłego ojca, może scenerią, a może faktem, że spacerują w samotności – sprawia, że Stanisław wyznaje Zosi swą miłość.

(...) patrząc na nią, jak szła przy nim biała, wiotka i drżąca, myślał sobie, że i w jej sercu musi być teraz tak słodko, tak dziwnie, że iść by im tak dobrze było razem, obok siebie, bez kresu, bez końca. (...) Blaski i zapachy lata płynęły, oślepiając, odurzając. Senność jakaś ogarniała ich oboje' zatrzymali się bezwiednie... (...)

Usłyszała odeń po raz pierwszy, jak długo już, jak bardzo była mu drogą. Skąd to przyszło, nie wiedział; wiedział jedynie, że od pierwszej chwili ogarnęło mu uczucie duszę całą, jak płomień. Kiedyś, przed laty, zobaczył ją w kościele, podczas wakacji¹².

Zosia czuje ten sam błogostan, o którym wspomina Stanisław, ale skłamałaby, gdyby przyznała, że i ona kocha go od dawna – wszakże wcześniej był dla niej tylko milczącym, tajemniczym i nieco zamkniętym w sobie synem Czaplewicza, który krył się w cieniu rodzica i jedynie obserwował, czekał... Nie bez znaczenia pozostaje też fakt, że przez chwilę podejrzewała go o próbę zagarnięcia Mińkowic po śmierci ojca. Teraz dopiero człowiek ten zdaje się jej „większy nad wszystko, co znała i czuła na ziemi”¹³.

Najczęściej jednak bywa tak, że wyznania i obietnice poczynione w upalne, odurzające letnie dni czerwcowe nie mają szansy na realizację, gdy następuje powrót do codziennego życia. Natychmiast po dotarciu do Mińkowic Zosia zaczyna odczuwać wyrzuty sumienia. Wydaje jej się, jakby Bogarodzica ze świętego obrazu pytała, dlaczego zapomina o obietnicy danej matce.

Jeśli czytelnik zastanawia się, jak małżeństwo ze Stanisławem zaszkodzić by mogło Wiciowi, Gnatowski spieszy z wyjaśnieniami: oto młody, buńczuczny chłopak nienawidzi Stanisława, odczuwając zazdrość o siostrę i podejrzewając, że przez małżeństwo Czaplewicz chce zagarnąć ich majątek (który zresztą jemu przecież zawdzięczają, gdyż pomógł im wyjść z długów). Związek ze Stanisławem mógłby więc przynieść zemstę Wicia, który w swym dążeniu do samodestrukcji zatraciłby się zupełnie. Ponadto Zosia czuje, że brat jej wymaga całej uwagi, jaką może poświęcić drugiemu człowiekowi – a gdyby została żoną Stanisława, czas swój musiałaby dzielić między męża, brata i – być może – dzieci. Bijąc się z myślami, Zofia postanawia obrać właściwą drogę:

¹² *Ibidem*, s. 31-32.

¹³ *Ibidem*, s. 33.

– Wolną nie jestem. O, nie w tem znaczeniu, jak pan przypuszczasz: łańcuchem moim jest Wicio. Nie wiesz pan o tem... Nikt nie wie; matka moja kochała tego chłopca nad życie, kochała go i bała się o niego. Widziała jego dzikość, namiętność, znała jego charakter lekkomyślny i miękki, i troska o przyszłość syna wpędziła ją do grobu prędej, niż ruina (...). Ofiary żądała ode mnie, ofiary zupełnej. Przysięgam, nie wiedząc co czynię; dziś poznawszy, jak jest ciężką, przysięgałabym na nowo. (...) Gdyby Wicio był chłopcem jak inni, mogłabym opiekę nad nim z wieloma obowiązkami podzielić. (...) Gdybym serce podzieliła między niego a innego człowieka, już straconym byłby dla mnie. (...) Gdy o duszę ludzką się walczy, trzeba całego siebie oddać w ofierze; dlatego to, panie Stanisławie, dla tego jednego nasze marzenie, ta chwila szczęścia i nadziei, którą przeżyliśmy razem przedwczoraj, była tylko snem bez jutra...¹⁴

Można śmiało przyznać, że w tym krótkim wyznaniu Zofii mieści się całe przesłanie powieści. Walka „o duszę” odbywać się musi wszelkim kosztem, z gotowością na wszelkie poświęcenia (*sacrificium*). Jak zauważa Jakiel:

W charakterystyczny dla ówczesnego katolicyzmu temat zbawienia indywidualnego ujął [Gnatowski] w aspekcie modlitwy, poświęcenia i ofiary, a nie łaski bożej czy wewnętrznego przeżycia duchowego bohatera. Stąd też duchowość głównej postaci jest zaledwie zarysowana¹⁵.

Stanisław próbuje walczyć o rękę Zosi – obmyśla plany i snuje idee, jak pogodzić sprzeczności, o których wspominała ukochana. Czytelnik wkrótce ma przekonać się, że każda taka próba musi zakończyć się fiaskiem, ale też musi zostać podjęta w imię walki o miłość. Więzy łączące rodzeństwo, a przy tym więzy przysięgi, okazują się jednak i silniejsze, i ważniejsze niż pragnienie małżeństwa.

Wkrótce Zosia i Wicio otrzymują zaproszenie od hrabiego Jerzego, spokrewnionego z nimi eleganta, który intrygami obmyślanymi wspólnie z żoną próbuje przejąć mińkowicki majątek. Plan jest prosty: wydać naiwną i bezwolną Zosię za swego opóźnionego umysłowo syna, a Wicia ożenić z jedną z brzydkich, zepsutych córek – Mimi lub Frynią.

O ile Zosi „wielkopańska” atmosfera panująca u hrabiostwa zupełnie nie przypada do gustu, o tyle Wicio na salonach czuje się doskonale. Po raz kolejny Gnatowski pokazuje niebezpieczeństwa „złego towarzystwa” – tym razem już nie szkolnych kolegów, ale rozpieszczonych paniczy – Gucia i Adasia – hrabiowskich synów.

¹⁴ *Ibidem*, s. 38-39.

¹⁵ E. Jakiel, *op. cit.*, s. 372.

Kuzynki [Mimi i Frynia] miały o Wiciu całkiem inne zdanie: Zosia mogła być wiejską gąską, ale on nie był wcale wiejskim niedźwiedziem. (...) Rozumiał wszystko, podchwytywał słowa i po godzinie stał się mistrzem w rzucaniu dwuznacznikami, mówiącami bardzo wiele, choć na pozór, wyglądającami niewinnie. (...) Czuł się tu naprawdę w swoim żywiole, jakby u siebie; do tego świata stworzony był, do tego rozpustnego wykwintu, do ciągłego drażnienia zmysłów i krwi szermierką salonowych dowcipów, do tych powodzeń, które są udziałem najpiękniejszego i najzuchwalszego¹⁶.

Tak oto Witold odkrywa w sobie modne talenty, których istnienia nie podejrzewał, dopóki nie został „wprowadzony na salony”. W duszy młodego chłopca rodzi się kolejna „czarna plama”, ale Zosia tego nie widzi, zajęta „zidiociałym” Runiem. Nawet nie przypuszcza, że pod jej stałą opieką Wicio sam znajduje sposób na to, by zaspokoić swój młodociany temperament.

Wreszcie wyjeżdża wraz z dwojgiem zepsutych kuzynów, by zabawić u niejakiego Zyzia, członka rodziny znanego ze swych hucznych imprez i polowań. Wiciowi „świecą się oczy”¹⁷ gdy słyszy o takich rozrywkach. Natychmiast zgadza się z wujostwem, że powinien w tę podróż wyruszyć, by nabrać nieco „wielkopańskich zwyczajów”, zamiast kryć się w mieście pośród sztubaków. Zosia czuje z całą bolesną świadomością, jak bardzo zmienił (zepsuł) brata pobyt u hrabiostwa („Już on nie należał do niej”¹⁸). Jak pisze Jakiel:

Staczający się na dno Wiktor napawa przerażeniem (...) Zofię (...). W przedstawionym przez Gnatowskiego obrazie widać charakterystyczne mechanizmy społeczne, ale też sposoby literackiej prezentacji bohatera w ujęciu religijnym¹⁹.

Nieświadoma intrygi Zosia zostaje w Horoszkowcach, by opiekować się zidiociałym Runiem, gdy niespodziewanie, niczym *deus ex machina*, pojawia się w powieści postać szambelanowej.

Ciocia szambelanowa, „bardzo okrągła i bardzo czerwona”²⁰, przybywa by „uratować” Zosię umożliwiając jej przy tym połączenie ze Stanisławem. Stara gawędziarka wszystko już wie o miłości tych dwojga – czego jednak nie wie, to dopowiada sobie po latach lektury francuskich romansów. Rozentuzjasmowana ciotka natychmiast zapowiada walkę o szczęście

¹⁶ *Ibidem*, s. 48.

¹⁷ *Ibidem*, s. 53.

¹⁸ *Loc. cit.*

¹⁹ E. Jakiel, *op. cit.*, s. 372.

²⁰ J. Łada [Gnatowski], *O duszę...*, s. 55.

Zosi, mając jednak na uwadze jedynie swój własny interes, jakim jest nic innego, jak tylko zapewnienie sobie na starość jakiejś rozrywki:

U schyłku życia Szambelanowa była bez skazy, a jednak trawił ją teraz jakiś żal i rodzaj niemal wstydu, że życie jej nie było podobnem do losów jednej z zaszarganych bohaterek nieskromnej powieści; że struga jego była zbyt równa i czysta, i spokojna; że nic nie zostało we wspomnieniach, zdolnego wstrząsnąć nerwy i krew wzburzyć, a choćby i sumienie²¹.

Intencje staruszki są czyste, ale czytelnik nie może oprzeć się wrażeniu, że Gnatowski potępia taką postawę. Zosia nie przyjmuje pomocy ciotki, co więcej nie kryje oburzenia nad jej wścibstwem dotyczącym prywatnego życia innych osób, a na wszelkie uwagi o oddaniu i uczuciu Stanisława potrafi tylko się rumienić. Wreszcie rozumie jasno – musi natychmiast uciekać z Horoszkowic, inaczej bowiem nigdy nie wyswobodzi się z oplatającej ją sieci intryg.

Metamorfoza Wicia (jak będziemy mieli okazję przekonać się przy okazji analizy późniejszych utworów) jest typowa dla poetyki Gnatowskiego. Zarówno w przypadku męskich, jak i kobiecych postaci, bohaterowie najczęściej przechodzą podobną przemianę: od prostodusznej, „nieświadomej” jeszcze dobroci kształtującego się charakteru, przez uleganie rozmaitym, czyhającym wokół pokusom, które sprowadzają na złą drogę, aż do powrotu ku dobroci, tym razem w pełni świadomej i zbudowanej na doświadczeniu i mądrości.

Wicio uzyskuje pełnoletniość, nie próbując nawet zdać ostatnich egzaminów. Ostatni rok przepędza na rozpuście i wielkomijskich rozrywkach, zapominając zupełnie o siostrze i wpędzając rodzinę w kolejne długi. Stanisława wciąż nie akceptuje, szukając w nim kozła ofiarnego dla nieciekawej sytuacji podupadających Mińkowic.

Metamorfoza Witolda jest bardzo namacalna, obejmuje całość jego egzystencji, czego śladów szukać możemy w samym tekście. Oto Zosi zdaje się, że:

Ten Wicio, gwałtowny i kapryśny, ale przywiązany do niej całą duszą, znikł gdzieś, umarł; został człowiek jakiś nowy, coraz bardziej obcy, coraz mniej zrozumiały. Jedne za drugimi zrywały się nici, łączące ich niegdyś tak ściśle²².

²¹ *Ibidem*, s. 61.

²² J. Łada [Gnatowski], *O duszę...*, s. 64.

To samo zło, które Witolda sprowadza na manowce i kusi, Zofię potrafi tylko odpychać. Odczuwa, jak tłumaczy sama przed sobą (czy może czytelnikiem, w swoistym soliloquium), jedynie wstręt na myśl o „zgniliźnie” moralnej, jaka trąci od Wicia. Zło potrafi więc kusić, odurzać i mamić jednych, a przerażać i odstręczać drugich – tych, którzy je przejrzeni – tłumaczy niejako Gnatowski.

Jak zauważa Jakiel:

Mamy (...) do czynienia z upadkiem nie tylko finansowym; Wiktor rujnuje zdrowie, reputację i w efekcie nie ma perspektyw na dalsze życie i karierę. Przede wszystkim jednak – w ujęciu pisarza księdza – zatracą własną duszę: nie modli się, nie bierze udziału w liturgii. W konsekwencji (wedle znanego z kazań misyjnych i rekolekcyjnych schematu) jego moralność zostaje wypaczona, staje się złym, nieczułym człowiekiem²³.

Przychodzi wreszcie moment pierwszego „postanowienia poprawy” (który jest częstym motywem w tekstach poświęconych problematyce nawrócenia). Przez Wicia jednak nie przemawia jeszcze żal, a jedynie strach – popadł bowiem w długie karciane. Tak Gnatowski pokazuje nam kolejny – po złym towarzystwie – czynnik prowadzący do moralnego upadku młodego człowieka: hazard²⁴.

Niedługo później w życiu bohatera pojawia się okazja do ponownego występku. Zimą w Kijowie głośno jest na temat niejakiego barona Rütthahna i jego siostry, pani de Moerveldt. Przybywają z daleka, szczycąc się rozmaitymi koligacjami szlacheckimi, nikt jednak wcześniej o nich nie słyszał. Podejrzane pochodzenie rodzeństwa zostaje im szybko wybaczone i zapomniane, gdy okazuje się, że baron daje „najlepsze kolacje, a jego siostra należy do najpiękniejszych ze znajdujących się tej zimy w Kijowie kobiet”²⁵.

Witold natychmiast zostaje zaproszony do gry w karty u tajemniczej, świeżo przybyłej pary. Nie tylko wpada w kolejne długie, ale oszołomiony kokieteryą i tajemniczym wdziękiem pani de Moerveldt zakochuje się w niej do szaleństwa. Tym sposobem bohater wpada w pułapkę trzech największych pokus: złego towarzystwa, hazardu i namiętności, która – jak pokazuje autor – niewiele ma wspólnego z prawdziwą miłością. Od tej pory Witold pojawia się w salonie baronostwa niemalże codziennie, przegrywając fortunę, pożyczoną od Stanisława.

²³ E. Jakiel, *op. cit.*, s. 373.

²⁴ Jak zaznacza cytowany powyżej badacz, „wedle standardów ówczesnej literatury dewocyjnej i katechetycznej (katechizującej), upadek moralny wiązał się zawsze z upadkiem finansowym”. [cyt. za: E. Jakiel, *loc. cit.*]

²⁵ J. Łada [Gnatowski], *O duszę...*, s. 70.

Zagadka pochodzenia podstępного rodzeństwa zostaje szybko wyjaśniona. Jak można się było spodziewać, Rütthahn bynajmniej nie jest baronem, a jedynie aktorem ze sławnej trupy teatralnej. Po wyjściu gości zakrada się do prywatnych komnat „siostry”, która w rzeczywistości jest jego kochanką:

– Nie bądź dzieckiem, nie słyszy nikt, a gdyby nawet usłyszał, nie zrozumiałby. Kto w tobie domyśli się starszej kelnerki, w wielkiej piwiarni na Esplanadzie, w Rydze, a we mnie pierwszego kochanka z trupy wędrownej sławetnego Ottona Kitzküpfer, z Libawy? Czy pamiętasz, jak to było, gdy zacząłem być twoim Schatzerlem? nasze pierwsze schadzki przy Kurhausie? naszą biedę, i plany, i nadzieje?²⁶

Zrządzeniem losu, czy może z Boską pomocą, Zofia spotyka Witolda w mieście, gdy ten rozważa odebranie sobie życia. Po raz kolejny opatrność czuwa nad bohaterką, dyskretnie wskazując jej drogę: pamiętamy wszakże, że to w kościele Stanisław po raz pierwszy uświadomił sobie swoją miłość do Zofii. I tym razem Dom Boży potrafi odmienić los pisany postaciom: dziewczyna postanawia, wyjątkowo, zostać dłużej po mszy i modlić się o duszę brata. Kiedy wychodzi z budynku, spotyka go – słaniającego się na nogach, bladego, wyniszczonego.

Zosia, naturalnie, nie jest w stanie pocieszyć brata, gdyż nie wie nic o uczuciach, które są jego udziałem. Nie rozumie melancholii Witolda, sama nigdy jej nie doświadczywszy. Próbuje dodać mu otuchy za pomocą naiwnej, „agrarniej” paraboli:

– A ty nie znasz mego życia, mojej duszy. Co ty wiesz, ty czysta, święta, chodząca po obłokach, o namiętności, która całą istotę człowieka przepala, jak ogień, i trawi, jak rdza? Nie rosnąć już trawie tam, gdzie wichry przeleci.

– Widziałam, mój Wiciu, wichry i burze na naszych stepach, a przecież później ten sam step zielenił się zbożem i trawą (...)²⁷.

O ile Wicio pozuje na młodopolskiego dekadenta, o tyle Stanisława cechuje wstrzemięźliwość i szlachetność. Pozwala to przede wszystkim na uwydatnienie kontrastu między dwojgiem bohaterów, ale sprawia jednocześnie, że postaci, miast być nosicielami indywidualnych cech, stają się przede wszystkim reprezentantami pewnych typów czy idei.

Tym razem Witold zaszedł o wiele dalej, niż kiedykolwiek wcześniej. By częściej widywać Carlę przegrywa ogromne sumy w salonie baronostwa, a kiedy nie jest już w stanie

²⁶ *Ibidem*, s. 76.

²⁷ *Ibidem*, 82.

dłużej ukrywać braku środków finansowych, fałszuje podpis Stanisława Czaplewicza na dokumentach. Uciekając przed realną groźbą aresztu, hańbą i nieszczęśliwą miłością, jedyny ratunek widzi w samobójstwie.

I tutaj właśnie, jak stara się przekonać Gnatowski – walcząc tym samym z modnymi trendami swoich czasów – leży błąd w rozumowaniu Witolda. Samobójstwo bowiem nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem. Jest ucieczką, obrazą Boga i bliskich, oznaką słabości. Prawdziwie silnym może być ten, kto przyzna się do swych grzechów i postara się, choćby setny raz z rzędu, o odkupienie win.

Tym razem jednak Wicio nie obiecuje poprawy. Przyznaje jednak siostrze, że „sam nie podniesie na siebie ręki”²⁸. W obietnicy tej kryje się niebezpieczeństwo, którego naiwna Zosia nie dostrzega, dziękując mu zrazu za zmianę planów.

Szczęśliwie, Stanisław rozumie zbliżające się zagrożenie. Postanawia na własną rękę odszukać młodzieńca, by przeszkodzić mu w samobójczym planie. Okazuje się bowiem, że Witold bierze udział w pojedynku o względy Carli:

Pułkownikowi oczy iskrzyły się, jak u tygrysa; człowiek to był niezły, honorowy – ale namiętnością pijany. Wiktor w poprzek stanął tej namiętności – usunąć go trzeba było koniecznie. Strzelano trzy razy: Wiktor chybiał... umyślnie może. Pułkownika dwa razy zawiódł pistolet, za trzecim celował przez minutę: chciał w serce trafić, kula przestrzeliła tylko żebra²⁹.

Pojedynek, jak nietrudno przewidzieć, kończy się okaleczeniem, ale nie śmiercią Witolda. Na śmierć jest wszakże za wcześnie: taki fabularny zwrot uniemożliwiłby bohaterowi nawrócenie na drogę wiary, a do tego przecież, jak przeczuwa czytelnik, zmierza opisana historia.

Bohater znów staje się „dawnym Wiciem” w oczach Zosi. Pielęgnując go w szpitalu, dziewczynie wydaje się, że po raz pierwszy wszystko jest tak, jak być powinno – tak, jak przyrzekła matce. Pełna poświęcenia, opiekuje się młodszym „braciszkiem” i próbuje wymazać przeszłość z pamięci.

Kiedy już wszyscy skłonni są uwierzyć w ostateczną metamorfozę Witolda, któremu strach przed śmiercią każe myśleć o pojednaniu z rodziną i z Bogiem, w szpitalu zjawia się nagle panna Carla, dopytując o ukochanego. Proces nawrócenia zostaje gwałtownie przerwany, a przyczyną wzruszenia jest kobieta. Na drodze do zbawienia Witolda staje

²⁸ *Ibidem*, s. 86.

²⁹ *Ibidem*, s. 90.

namiętność, która młodemu chłopcu zdaje się o wiele bardziej nęcąca, niż ascetyczna i wymagająca cierpliwości droga wiary:

Jeśli Boga nie ma, wtedy człowiek jest wolny, wtedy prawem mu: namiętność i kaprys chwili. Jeśli Bóg jest, czemuż wkłada na człowieka jarzmo zbyt ciężkie; czemu zapala w jego sercu ogień, których żadna siła ludzka nie stłumi, których sam On zgasić nie może? (...) czemu jest zimnym, krwawym, bezlitosnym tyranem? (...) ciasne formułki katechizmu nie dla mnie³⁰.

Witold oczywiście nie zmienia zdania pod wpływem chwili, czy jakiejś niezwykle przekonującej siostrzanej przemowy. Nie – nawrócenie jest tylko wtedy prawdziwe, gdy towarzyszą mu żal i skrucha, a człowiek sam podejmuje decyzję o życiu w czystości. Zgadza się z tym Jakiel, tłumacząc:

Ratunek przenieść może tylko nawrócenie. Nie może się ono jednak dokonać samoczynnie – nie będzie cudu pod Damaszkiem, nastąpić musi nawrócenie jako samodzielna decyzja grzesznika. (...) Ponieważ jednak nie ma żadnych impulsów do nawrócenia: nie pomaga prosba, upomnienie itd., wówczas pozostaje modlitwa siostry³¹.

Zanim wspomniana modlitwa nastąpi, pod drzwiami postrzelonego Witolda dokonuje się niezwykła konfrontacja – Zofia i Carla walczą o prawo do chłopca, powołując się na miłość: z jednej strony siostrzaną, z drugiej romantyczną. Każda z nich rości sobie do niego ostateczne i niepodzielne prawo. Carla rozpacza z egzaltacją:

- On tam usycha beze mnie, jak kwiat bez słońca i rosy, on z tęsknoty umiera!
- Wolę, żeby umarł, niż...
- Rozumiem panią, ale pani mnie nie rozumiesz, nie wiesz... Błagam panią, puść mnie do niego na chwilę.
- Nie. Dopóki mogę go obronić, nie pozwolę na to.
- Nie pozwolisz? Wy, święte kobiety, jesteście okrutne! Głazy są miękkie wobec waszych serc, otwartych dla Boga, zamkniętych dla ludzi; lwy i tygrysy mogłyby u was uczyć się okrucieństwa. Wszak pani przed chwilą powiedziałaś, że wolisz widzieć brata umarłym, niż ze mną? (...)
- Ja szczęścia jego tylko pragnęłam i szukałam. (...) Pani co mu dałaś? Ja go ratowałam i ratuję. pani mu wydarłaś majątek, dobre imię, uczciwość... zdrowie wreszcie. (...)

³⁰ *Ibidem*, s. 93.

³¹ E. Jakiel, *op. cit.*, s. 373.

– Ty nie wiesz, ty nie rozumiesz, świętobliwa panienko, co to miłość, miłość takiej jak ja istoty! To ogień, co pożera wszystko i nic mu oprzeć się nie jest w stanie. A ja Wiktora ukochałam całą siłą istnienia³².

Ogień, o którym mówi Carla, ostatecznie zwycięży w pojedynku ze spokojnym i cichym usposobieniem Zosi. Witold, słysząc ze swojego pokoju podniesione głosy, wychodzi na korytarz, by – symbolicznie odtrąciwszy siostrę – uciec z ukochaną. Zosia zostaje pokonana, a brat wydarty spod jej opieki przez pannę de Moerveldt. „Nie słuchaj” – mówi do Witolda, zagłuszając krzyki jego siostry i wyprowadzając go, rannego, bladego, ze szpitala – „nie oglądaj się. Teraz ty mój, mój na wieki!”³³

W tej scenie widzimy Witolda po raz ostatni. Nigdy już nie pojawi się w powieści, porwany tego dnia przez zdemoralizowaną kochankę. Nie oznacza to jednak, że nie poznamy jego losów.

Mija kolejny rok. Zofia, przedwcześnie zestarzała, czas swój spędza na modlitwie i ręcznych robótkach, otaczając się starymi kobietami: Marszałkową i panną Ksawerą.

Któregoś popołudnia zjawia się u niej Stanisław, prosząc ją o rękę. Jak wspominają oboje, na moment ten przyszło im czekać osiem lat. A jednak coś się zmieniło, mimo że obojgu zależy na sobie tak samo, a może nawet bardziej niż wcześniej – po wszystkim, co wspólnie przeszli. Coś wciąż stoi na przeszkodzie ich szczęściu – los Wicia... Zofia tłumaczy:

Serce moje nie zmieniło się, a przynajmniej zmieniło inaczej. To, co było niegdyś porywem młodej duszy, rozwinęło się, utrwaliło przez poznanie ciebie. (...) Ale nim ostatecznie rękę ci podam i wiarę przysięgnę, posłuchaj mnie jeszcze. Między tobą a mną, między szczęściem naszym a mną, stoi jeden człowiek... Wiesz kto. Matce przysięgałam wszystko poświęcić, aby duszę jego uratować. (...) Nie mogę słowem, czynem, wpływem własnym, ale jest jeszcze jeden potężny sposób ratunku, jest moc, co rozbija niebo i wytrąca Archaniolowi miecz karzący z dłoni: to... ofiara, ofiara zupełna³⁴.

Ofiara, o której mówi Zofia to Poświęcenie, dzięki któremu kruszeją kajdany ego, a wierny wyrzeka się wszystkiego w imię poszukiwań Boga – odrzuca samolubne pragnienie szczęścia na ziemi, by zapewnić zbawienie innej osobie. Taka ofiara to ostateczna, najpotężniejsza broń Zosi w walce o duszę Wicia. Musiałaby jednak, dopełniwszy jej, odrzucić miłość Stanisława, który przez osiem lat cierpliwie czekał na to małżeństwo.

³² J. Łada [Gnatowski], *O duszę...*, s. 95.

³³ *Ibidem*, s. 96.

³⁴ *Ibidem*, s. 105.

Mężczyzna wybucha, nie mogąc uwierzyć w tłumaczenia Zofii, nie rozumiejąc, czemu miałaby skazywać się na tak okrutny los. Bohaterka wyjaśnia łagodnie:

(...) wielkiego prawa ofiary uczył katechizm nas oboje; świat niem cały stoi, świat zewnętrzny i świat ducha. Nie ma myśli wielkiej w dziejach ludzkości, która by nie potrzebowała posiewu łez, a często i krwi; nie ma owoców prawdziwych życia, bez uprzedniej walki, i bóleści, i ofiary. Spójrz pan: kto dla świata dokonał zdobyczy i zwycięstw w jakiegokolwiek dziedzinie? Ten, kto siebie naprzód zwyciężył, kto swego ja się wyrzekł. (...) Czymże jest ofiara? Miłością, zamienioną w czyn. (...)

– Świętą jesteś. (...) Jam śladów twych stóp całować niegodny. Masz słuszość. Szalony byłem, chcąc cię zatrzymać³⁵.

Ofiara zostaje spełniona. Zofia oddaje swoje życie, wstępując do klasztoru, gdzie staje się siostrą Bronisławą: broni przecież przez cały czas duszy swojego brata³⁶.

Do modlącej się siostry przychodzi matka przełożona, informując o śmierci Wiktora. Brat jej zmarł nagle, „pojednany z Bogiem”³⁷, nie znamy jednak ani okoliczności, ani przyczyny tej śmierci. Jedyne co wiemy, to że przed śmiercią ostatecznie się nawrócił. W liście od Stanisława Zofia czyta, że Witold „zgasł jak grzesznik nawrócony, pokutujący, pełen miłości i łaski Bożej. (...) Wielki grzesznik za życia – wielkim pokutnikiem, wielkim chrześcijaninem był po śmierci”³⁸.

Utwór kończy symboliczny obraz Bronisławy pod krzyżem, dziękującej promiennemu Chrystusowi: „Za ofiarę przyjętą, za prośbę wysłuchaną, za duszę wybawioną z upadku (...)”³⁹. Jak podsumowuje Jakiel:

Z pozoru naiwny ten obraz wydaje się wyidealizowanym wyobrażeniem dziękczynnej modlitwy i apoteozy Boga. Jest w nim jednak głęboki sens religijny. Zastosowana przez autora technika poetyckiego opisu nie tylko potęguje religijny (być może dla wielu niestosowny, wręcz dewocyjny) sens sytuacji modlitewnej, ale też jest przykładem intersemiotycznym treści teologicznej⁴⁰.

³⁵ *Ibidem*, s. 105-107.

³⁶ O kwestii znaczących imion bohaterki wspomina też Jakiel, nie rozwijając jednakże myśli. Zofia wskazywałaby oczywiście na mądrość kobiety, a Bronisława to 'ta, która broni sławy' (a więc czci, dobrego imienia) brata.

³⁷ J. Łada [Gnatowski], *O duszę...*, s. 111.

³⁸ *Loc. cit.*

³⁹ *Ibidem*, s. 112.

⁴⁰ E. Jakiel, *op. cit.*, s. 374.

Kwestia nagłego i dość enigmatycznego nawrócenia Witolda dziwi jedynie wtedy, gdy nie rozumie się parabolicznego charakteru tekstu *O duszę*. Łada naucza mądrości Kościoła i głosi katechizm, którym dotrzeć chce do czytelnika poprzez miłą mu formę „snucia opowieści z morałem”. Istotą tej opowieści jest nauka o ofierze i chrześcijańskim poświęceniu, nauka o rezygnacji z ziemskiego szczęścia w imię walki „o duszę” kogoś, kto zbłądził, wreszcie: nauka o wstawiennictwie i modlitwie za grzeszników. Gnatowski przestrzega jednocześnie przed pokusami, które czyhają na młodych w epoce wątpliwości, marazmu i obyczajowego zepsucia.

3.2. *OSTATNIA MSZA JAKO ECHO*

REPRESJI POPOWSTANIOWYCH W LITERATURZE POLSKIEJ

Opowiadaniem *Ostatnia msza* kontynuuje Gnatowski działalność kaznodziejską, czyniąc ze swej literatury swoisty *locus theologicus*⁴¹. Ów krótki tekst, publikowany w „Przeglądzie Powszechnym” w 1893 r., przedstawia historię zamknięcia klasztoru przez władze carskie.

Jakkolwiek opowiadanie to ma swe znaczenie i treść polityczną – wyraźnie nawiązuje do konfiskat klasztorów w zaborze rosyjskim – nie przedstawia skonkretyzowanej, sprecyzowanej sytuacji (czasu, miejsca i postaci)⁴².

Wspominaliśmy we wstępie o konieczności posługiwania się językiem ezopowym w przypadku podobnej literatury. Tutaj sprawa nie wygląda inaczej – w całym tekście oskarżenia ani razu nie zostaną wypowiedziane wprost, a może raczej – „oskarżony” nie zostanie wprost nazwany.

Narratorką opowiadania jest Joanna Błocka, od wielu lat znana bardziej jako siostra Rozalia, prefekta konwiktu w starym, gotyckim klasztorze. Jak wspomina główna bohaterka, ów klasztor w ciągu kilku wieków stał w obliczu różnego rodzaju niebezpieczeństw i rozmaitych wrogów wiary i polskości, ale tym razem przyjdzie mu zmierzyć się z największym wrogiem – i przegra tę walkę.

Pewnego dnia do sióstr przybywa nieznajomy: anonimowa zapowiedź tragedii, posłaniec najgorszej nowiny, tajemniczy delegat – jeszcze nie wiadomo – wrogów, czy przyjaciół. Z początku nieufna Matka Przełożona przekonuje się wszakże, że człowiek ten reprezentuje drogiego jej hrabiego Mikołaja i księdza Ignacego, którzy od wielu lat wspomagają siostry zakonne.

Zgodnie z obawą bohaterki, posłaniec przynosi przerażające wieści: władze postanowiły zamknąć klasztor i skonfiskować jego majątek.

– Tak jest – zaczął wreszcie – niewesołe wieści przynoszę, a niestety pewne. Przysłano mnie, aby ostrzec, uprzedzić...

– Boże mój! Klasztor nasz...

– Zniesiony. Tak. Ale rzecz trzymają w sekrecie. Za tydzień zjeżdża komisja.

– A kościół, kościół?

⁴¹ Określenie to, jak wyjaśnia Edward Jakiel, oznacza „wysoko steologizowaną treść dzieła” [E. Jakiel, *W służbie katechezy...*, s. 16.]

⁴² E. Jakiel, *W służbie katechezy...*, s. 414.

Spuścił głowę jeszcze niżej.

– Zniesiony także⁴³.

Siostry, mimo przerażenia, reagują „po katolicku”, to jest przyznają, że dzieje się to „za ich grzechy”. Innymi słowy przyjmują na siebie całą odpowiedzialność za losy klasztoru, decydując jednomyślnie, że najwidoczniej tak chciał Bóg. Oto przykład chrześcijańskiej cnoty i nieskazitelności.

Ale tekst ten mówi przecież jednocześnie o rusofobicznej postawie Gnatowskiego, który wskazuje na realne zagrożenie Kościoła katolickiego, a więc i polskości. Wiele bowiem w tym utworze mówi się o wierze jako skarbcu narodowych wartości i historii, od początku naszej państwowości związanej z katolicyzmem.

Tekst nawiązuje wobec tego do aktualnego w tamtym czasie problemu rusyfikacji. Walka z katolicyzmem i szerzenie prawosławia było jednym z jej elementów.

Siostry wykazują się całkowitą bezinteresownością. Swoją los, który w praktyce oznacza wypędzenie za granicę i konieczność opuszczenia miejsca, w którym spędziły całe życie, przyjmują ze spokojem. Martwią się jedynie o kościelne relikwie, których konfiskata wydaje się siostronom bluźnierstwem:

Co nas to obchodziło, co z nami będzie? Kilka staruszek niedołącznych, rok wcześniej czy później pójdzie na tamten świat, tu czy gdzie indziej, co na tem zależało? Ale nasz kościół, nasze świętości, nasze groby!⁴⁴

Siostry chowają więc pamiątki i relikwie w bezpiecznym miejscu, a swoim losem nie zajmują się wcale.

W trakcie wizytacji rosyjskich urzędników, poprzedzającej ostateczne zamknięcie klasztoru, czytelnik poznaje pozostałe siostry zakonne. Szczególnie interesująca wydaje się kreacja jednej z nich, matki Eustachii, której status ontologiczny nie jest do końca jasny. Stara, umierająca zakonnica zdaje się należeć już do grona świętych, nie śmiertelników, na co wskazują rozliczne przesłanki: na pytanie, skąd wie, iż klasztor zostanie zniesiony (Matka Przełożona surowo bowiem zabroniła informować ją o tym, w obawie o jej reakcję), odpowiada z zagadkowym uśmiechem, że nikogo oskarżać nie trzeba, bowiem nie tylko od ludzi można dowiedzieć się o wszystkim. Matka Eustachia pozostaje w kontakcie z bliżej nieokreślonymi nadnaturalnymi siłami, nie tylko dzięki swej pobożności i skromnemu,

⁴³ J. Łada [Gnatowski] *Ostatnia msza*, [w:] *idem, Ostatnia msza; Z ciężkich dni*, Lwów 1912, s. 10.

⁴⁴ *Ibidem*, s. 11.

klasztornemu życiu, ale też dzięki swej chorobie, przez którą nie należy już do „świata śmiertelników”. Później ma okazać się, że jest jedyną osobą, przed którą rosyjscy oficerowie czują nieokreślony respekt, którego sami nie rozumieją.

Zakonnice zbierają się w holu, prezentując żołnierzom-zaborcom. Większość, jeśli nie wszystkie, to zabiedzone i schorowane staruszki. Nie tylko podnosi to poziom czytelniczej empatii oraz niezgody na decyzję zaborcy, by likwidować klasztor i wypędzać w świat te bezbronne kobiety, ale i buduje specyficzną dla Gnatowskiego atmosferę opowiadania: miejsce to jawi się bowiem jako przybytek chorób i boleści, surowego, trudnego życia, dni wiecznie spowitych w półmroku gotyckiego klasztoru.

Może to respekt przed siostrą Eustacją, a może zwyczajna obawa przed buntem parafian sprawiły, że pułkownik godzi się, by przed konfiskatą klasztoru odprawiono w nim ostatnią mszę, pod warunkiem, że będzie mała i cicha. W przeciwnym wypadku ksiądz „odpowie” za zachowanie swoich wiernych.

Jak można się spodziewać, ostatnia msza przyciąga tłumy okolicznych mieszkańców:

Skąd się wieść o tem rozeszła po okolicy? Bo nie od nas. Dość, że od świtu, drogi, wiodące na górę klasztorną, były pełne ludzi. Szło tego jak mrowia. Białe i bure sukmany, rogate czapki i kapelusze słomiane, wózki jednokonne i parką zaprzężone, między niemi tu i ówdzie pański ekwipaż; dziewczęta w chustach kolorowych i baby w rańtuchach. A wszystko ciche, bez pieśni, bez rozmów, z pochylonemi głowami. Na pogrzeb weselej idą.

I płynęło, płynęło to jak rzeka⁴⁵.

Warto w tym momencie zwrócić uwagę na interesujący zabieg stylizacji językowej, jakiego decyduje się użyć Gnatowski. Siostra Rozalia, będąc narratorką, używa prostego języka, a niektóre wyrażenia nawiązują wręcz do mowy potocznej, na przykład użycie rodzaju nijakiego przy opisie tłumu wiernych: „I płynęło, płynęło to jak rzeka”. Nadaje to opowiadaniu cechy pewnej melodyjności, niczym refren w pieśni, a opowieść jak gdyby sama „się snuje”.

Każda mała narracja o wielkich ludziach potrzebuje swojego cudu, szczególnie, gdy jest to narracja ku pokrzepieniu serc, pisana w okresie zaborów i opowiadająca o walce z zaborcą. Pierwszy z cudów ma miejsce zaraz po przybyciu ludzi do kościoła na ostatnią mszę: oto bodaj po raz pierwszy nikt się nie wyklóca, nikt nie awanturuje, jak to zwykle bywa w przypadku podobnego tłumu w okresie świąt i odpustów. Wszyscy modlą się w milczeniu, zdruzgotani faktem, że zaborcy chcą zamknąć kochany przez nich kościół. Mówiąc wszyscy,

⁴⁵ *Ibidem*, s. 22.

ma się tu na myśli każdą warstwę społeczną – ramię przy ramieniu stoją bogaci i biedni, okoliczni chłopcy i szlachta. Naród jednoczy się w obliczu tragedii, a martyrologia i „porozumienie ponad podziałami” jak zawsze w podobnych utworach – idą w parze.

Obaj księża (dziekan i kapelan) przez kilkanaście godzin dokonują tu po raz ostatni sakramentu spowiedzi, przesiadując w konfesjonale bez chwili wytchnienia⁴⁶. W tych ciężkich chwilach mają bowiem stanowić wzór, z którego wierni powinni czerpać siłę. Dziekan, w przeciwieństwie do kapelana, nie wykazuje się odwagą. Potulnie odpowiada żołnierzom, tłumaczy, że opóźnienie mszy to nie jego wina. Gnatowski jednak nie pozwala, by taka postawa zdegustowała czytelnika. Kreuje go raczej na pocziwego, przerażonego staruszka, któremu jesteśmy skłonni współczuć, miast go potępić.

W trakcie przygotowań do mszy zakonnice modlą się w chorze przy kracie. Pośród nich także następuje tego wyjątkowego dnia swoiste zjednoczenie. Po raz pierwszy od wielu lat zbierają się na wspólnej modlitwie, wszystkie bez wyjątku: również te schorowane, które większość czasu spędzały w odosobnieniu w swoich klasztornych celach. Wreszcie, po kilkugodzinnym opóźnieniu:

Msza się zaczęła.

Myśmy oczy spuścili w dół na chwilę. Zasłonami przysłoniłyśmy twarze, pochyliłyśmy je ku pulpitem, tłumiąc łkanie, kryjąc łzy.

To była msza ostatnia.

Kiedy za chwilę oczy podniosłam, zdało mi się, że śnię.

Kościół jaśniał światłem cały. Wszystkie pająki we wszystkich trzech nawach, kandelabry, świece u ołtarzów, co tylko było do zapalenia, gorzało, jak na procesji Bożego Ciała. Jak to się stało? Czy kto o zakazie oświetlenia wielkiego ołtarza wygadał się? Czy się umówiło kilku odważniejszych? Kto pierwszą świecę zapalił? Nikt tego nie dojdzie, bo z pewnością nikt się tem nie pochwalił. Dość, że w ciągu jednej minuty kościół cały jaśniał światłami, zapalonemi nie wiadomo przez kogo. (...) Złocene anioły i posągi świętych biskupów zdawały się gorzeć jakimś nadziemskim ogniem. (...) Siostry mówiły mi później, że miały takie wrażenie, jakby się znajdowały w niebie, u stóp Bożego Majestatu⁴⁷.

Oto zdarzył się kolejny „cud”. Siostra Rozalia przez cały czas obawiała się tego, że msza odprawiona będzie w ciemnościach, bowiem oficer zabronił zapalania świec. W ogóle miało

⁴⁶ Jak podkreśla Jakiel: „Sytuacja, w której odprawiana jest ostatnia msza (...) prowadzi do wzmożenia życia sakramentalnego, nawróceń i spowiedzi”. [E. Jakiel, *W służbie katechezy...*, s. 414].

⁴⁷ J. Łada [Gnatowski], *Ostatnia msza...*, s. 29-30.

być skromnie i w niewielkim gronie. Tymczasem w świetle kandelabrow stoją tysiące wiernych, łkając w przerwach między słowami modlitwy.

Podczas mszy narratorka kieruje wyznania prosto do Chrystusa. Także i poprzez ten zabieg Gnatowski pragnie wzruszyć czytelnika, poddać go refleksji, być może zawstydzić, że nie robi nic w obronie kraju i wiary. Narratorka przemawia więc wprost do Syna Bożego:

Oto jesteś na tym ołtarzu, na który od czterystu lat schodziłeś codziennie, z którego tak długo, tylu tysiącom niosłeś łaski Twe i pociechy, Twe światło i zbawienie. Oto jesteś – i jesteś po raz ostatni!⁴⁸

Tym samym: „tu nie sugeruje się, że Chrystus jest obecny w Sakramencie Ołtarza, tu daje się świadectwo, że tak jest, że taka jest wiara przedstawiającego wydarzenia narratora”⁴⁹.

Matka Koleta inicjuje starą pieśń: „Bo nieprzyjaciół na to się usadził, aby Twe syny z ojczyzny wygładził”, narratorka tymczasem kontynuuje swój monolog, coraz bardziej rozsierdzona. „Oto przecież dłoń świętokradczą podnosi [nieprzyjaciół] na Twojego syna, o Maryjo!”⁵⁰ – mówi, zastanawiając się, czy Bóg stanie w obronie swego Kościoła (zarówno w znaczeniu tego konkretnego budynku; instytucji; jak i wiary) i wygna stamtąd zaborców.

Pieśń, o której wspomina Gnatowski, znaleźć można w zbiorze z 1863 r. pt. *Kancjonał pieśni nabożnych według obrządku Kościoła św. Katolickiego na uroczystości z całego roku, z przydatkiem wielu nowych pieśni o świętach Pańskich*:

Pieśń o Najświętszej Pannie Maryi.
Siądź pozdrowiona Panienko Maryja: ciebie wzywają
wszyscy grzeszni i ja, boś ty jest Matką Synowi
Bożemu, a stąd pociecha każdemu grzesznemu
Do Ciebie Panie my grzeszni wołamy, łzy wylewając
serdecznie wzdychamy, ratuj nas ratuj w tym
naszym frasunku, niechaj doznamy twojego ratunku.
Bo nieprzyjaciół na to się usadził, by sługi twoje
z ojczyzny wygładził, przyczyn się Panno
a twoją, obronę, pokaż łaskę swą. nad naszą, koroną.
Nasza korona srodze utrapiona, niechaj nie będzie
nigdy wypuszczona, z twojej opieki poważnej
przyczyny, Syn twój najmiłszy niech odpuści winy.

⁴⁸ *Ibidem*, s. 32.

⁴⁹ E. Jakiel, *W służbie katechezy...*, s. 414.

⁵⁰ J. Łada [Gnatowski], *Ostatnia msza...*, s. 32.

*Grzechy to nasze słusznie zasłużyły, plagę tak
 wielką na się powabiły: niechże już koniec tego
 utrapienia, będzie o Panno zażej uzalenia.
 Niech nam na pomoc przybędą posłowie, ku nam
 przychylni Aniołowie, niechże nas dojdzie szczęśliwa
 nowina: macie już pokój od mojego Syna.
 Uczyni to Jezu dla Matki kochanej, niech lud
 Twój w kraju będzie zachowany, a my Cię za to
 z Twą, Matką społecznie: będziem wychwalać na
 wiek wieków, wiecznie. Amen⁵¹.*

Pieśń ta jest więc doskonałym intertekstem, bowiem prośby zanoszone w niej do Maryi i Jezusa w większości pokrywają się z tymi, jakie wygłasza narratorka opowiadania.

Atmosfera wzniosłości i patosu osiągnię za chwilę punkt kulminacyjny, wraz z relacją matki przełożonej z ostatniego kazania, jakie zostało wygłoszone w tym kościele. Tu Gnatowski uderzy już w podniosły ton, nawiązując nie tylko do potrzeby obrony wiary katolickiej przed zaborcą, ale i do wszelkich „nośników polskości i polskiej tradycji” znanej naszej kulturze, głoszone z ust wątlego księdza, który pod wpływem słów zaczyna nagle promieniować wewnętrzną siłą:

On mówił o dawnych, bardzo dawnych dziejach, o ludziach starych, w proch rozsypanych, o rycerzach w zbroje zakutych i pobożnych białogłowach, śpiących pod kamiennymi nagrobkami i pod zapisanymi płytami posadzki. Mówił o kniaziu Danile i kniahini Hannie, co po śmierci córki jedynej, a pięknej jak wiosna, wiano jej oddali tutaj, na chwałę Bożą i na pożytek dusz. Mówił o czasach, gdy w tych murach sto dziewic ze starych okolicznych rodów kwitło, jak sto lilii w Jezusowym wirydarzu, o świętobliwej ksieni Dorocie, której ciało kościół podniósł na ołtarze, o siostrach zakonnych, zmarłych w woni świętości i pocałunku pokoju od Pana. Mówił, czym były dla Boga, czym dla ziemi, na której żyły. Więc o szpitalach dla starców i chorych, więc o szkołach i ochronach dla dziatwy, więc o jałmużnach i lekarstwach, więc o rojach biedaków, cisnących się do furty, gnieźdzących się u stóp klasztornej pagórki, więc o innych rojach, co w kościele i klasztorze znajdowały łaskę niebieską i ludzką pomoc lub pociechę; więc dalej o domach Bożych wznoszonych sumptem klasztoru, i o ofiarach, składanych czasu wojennej potrzeby na ołtarzu Rzeczypospolitej; więc o napaści tatarskiej, męźnie po dwakroć od murów obronnych odpartej, i o szwedzkiej łupieży, w której skarby klasztorne zginęły i droższe od skarbów żywoty zakonne panienek umęczonych, za wiarę i cnotę; więc krwawe inkursye kozackie i ponowny mord pięciu zakonnic, zamordowanych przez rozbestwione schyzmatyckie pospólstwo; więc zastępy niewiast

⁵¹ Autor nieznany, *Pieśń o Najświętszej Pannie Maryi*, [w:] *Kancjonał pieśni nabożnych według obrządku Kościoła św. Katolickiego na uroczystości z całego roku, z przydatkiem wielu nowych pieśni o świętach Pańskich*, Mikołów 1863, s. 343-344.

chowanych dla Boga i ludzi, sierot wyrwanych nędzy, chorych wyrwanych śmierci, grzeszników powróconych swym Aniołom Stróżom. A wreszcie ostatnie próby, i walki, i krzyże, i gorycze...⁵²

W monologu ksiądz podkreśla także praktyczne strony kościelnej opieki nad społeczeństwem: jałmużny, szpitale, szkoły. Odwołuje się więc nie tylko do uczuć religijnych i patriotycznych Polaków, ale też obowiązków Kościoła, jego roli medycznej, dydaktycznej i duszpasterskiej. Bez wiary, bez swej świątyni, wreszcie bez wzorców do naśladowania (rycerzy, świętych dziewic, uczynnych braci zakonnych) lud będzie zagubiony.

Ksiądz zwraca się w końcu bezpośrednio do siostr zakonnych słuchających kazania, żegnając ich i błogosławiąc na drogę, ostrzegając przed trudami wygnania i dodając, że niewątpliwie Bóg uda się na tę tułaczkę z nimi, miast pozostać w cichym i opuszczonym klasztorze, z którego zniknęły wszelkie dobra i relikwie. Chrystus staje się więc „Bogiem-tułaczem”, a i zakonnice będą od dziś żyły niemalże jak wielkie męczennice z przeszłości: na wygnaniu, w biedzie, bezdomne – cierpiąc za wiarę, która jednak pozostaje w nich niezachwiana:

(...) serca nasze rozplywały się w boleści nadmiernej, tak straszliwej, że zdawała się graniczyć z dziwną jakąś rozkoszą. Już i łez oczom naszym zabrakło, już i sił resztką opuściła nasze ciała. Jak klękałyśmy przed ołtarzem, tak padłyśmy na twarz na kamienne płyty, na których przed wielu laty okrywano nas całunem żałobnym przy składaniu ślubów. Padłyśmy na twarz i leżałyśmy w prochu przed Panem (...). Ach! gdybyśmy tak mogły leżeć zawsze u stóp ołtarza, i nie podnosić się już nigdy, nigdy...⁵³

Podczas tej ostatniej modlitwy w kościele umiera, jak można się było tego spodziewać, matka Eustachia, „uśmiechnięta łagodnie, z wyrazem niebiańskiego wesela, rozlanym na alabastrowej twarzy”⁵⁴. Postać tej nieżywej zakonnicy przeraża rosyjskich oficerów, którzy wydają się zmieszani, zawstydzeni i wystraszeni. Ciało siostry pozostaje w tej samej pozycji nawet po tym, gdy inni opuszczają klasztor. Utwór kończą słowa: „W opustoszałym presbiterium, sama jedna w swym fotelu, pozostała siostra Eustacha”⁵⁵.

Jak podsumowuje Jakiel:

⁵² J. Łada [Gnatowski], *Ostatnia msza...*, s. 39-40.

⁵³ *Ibidem*, s. 42.

⁵⁴ *Ibidem*, s. 43.

⁵⁵ *Loc. cit.*

Takie dramatyczne przedstawienie ostatniej mszy świętej, odprawionej w likwidowanym klasztorze, nie tylko było literackim świadectwem pewnej rzeczywistości historycznej, narracyjnym apendyksem do sytuacji Kościoła katolickiego w zaborze rosyjskim, ale posłużyło ekspozycji roli, jaką odgrywa msza, zwłaszcza tak dramatycznie przedstawiona, w życiu katolika⁵⁶.

Utwór wyrzeć musiał na czytelnikach niemałe wrażenie, jeśli doczekał się aż dwu osobnych wydań oraz dołączany był do kilku późniejszych zbiorów opowiadań Gnatowskiego. Ponadto, jak informuje 14. tom *Nowego Korbuta*, przetłumaczono go na język czeski i francuski.

⁵⁶ E. Jakiel, *W służbie katechezy...*, s. 414-415.

3.3. GNATOWSKI – NAUCZYCIEL, GNATOWSKI – KAZNODZIEJA.

PASTELE JAKO ZBIÓR SZEŚCIU TENDENCYJNYCH NOWEL PRALATA

W 1895 r. we Lwowie, nakładem drukarni Jakubowski & Zadurawicz, ukazuje się pierwszy zbiór opowiadań Jana Gnatowskiego pod znaczącym tytułem *Pastele*. Jest to zestaw sześciu swoistych „szkiców” literackich, czyli krótkich historii o ledwo „zarysowanej” fabule, poprzez swe rozmiary i prostotę kojarzących się właśnie z rysunkami w technice pastelu, na których dominują łagodne kolory, barwne plamy o nieostrych konturach, czy rozmyte, tajemnicze kształty.

Tematyka analizowanych opowiadań na pierwszy rzut oka wydaje się wysoce zróżnicowana, przy bliższym oglądzie dochodzimy jednak do wniosku, że powtarza w nich pisarz znane już z jego twórczości wzorce fabularne i myślowe. Autor recenzji *Pasteli*, umieszczonej w „Tygodniku Ilustrowanym” w 1895 r., pisze:

Sześć nowel zawiera zbiorek: trzy na tle życia młodzieży szkolnej („Wiosną”, „W otchłan” i „Majówka”) z których „Majówka” jest w ścisłym znaczeniu obrazkiem; dwie („W Tyrolu” i „Kto on?”) są kartkami z galerii zakochanych, a jedna („Atak cholery”) jest humorystyczno-satyrycznym opowiadaniem szlachcica⁵⁷.

Część utworów będzie potem publikowana w nowszych zbiorach opowiadań, które opatrzy Gnatowski innym tytułem.

W okresie wydawania tomu pisarz kontynuuje swoją pracę katechety w gimnazjum, znalazły się przeto wśród opowiadań i takie, które stanowią pewne odbicie jego dydaktycznych doświadczeń. Problemy aż trzech spośród sześciu tekstów oscylują wokół zagadnień szkolnych, a relacjonowane są z perspektywy nauczycieli. Wskazuje w nich Gnatowski na kłopoty dręczące młode pokolenie chłopców, ale i na konieczność pomocy w nauce tym, którzy z powodu trudnej sytuacji rodzinnej, biedy, pracy, nie radzą sobie z wypełnianiem obowiązków szkolnych. Wszystkim tym lekcjom, jakie przez lekturę powieści Gnatowskiego czytelnicy powinni sobie przyswoić, towarzyszy wychowanie w duchu chrześcijańskim, tak silnie obecne w polskiej dziewiętnastowiecznej szkole.

Gnatowski dedykuje tę książkę Karolowi Lanckorońskiemu, polskiemu podróżnikowi i historykowi sztuki, związanemu przez wiele lat z dworem królewskim w Wiedniu. Odbywał podróż po Włoszech w tym samym czasie, co Gnatowski, zajmując się, podobnie jak on, historią sztuki i opisem zabytków pozostałych z epoki antyku. W dedykacji do *Pasteli*

⁵⁷ F. Ra., *Łada Jan: Pastele*, „Tygodnik Ilustrowany” 1895, nr 29, s. 48.

czytamy: „Na pamiątkę chwil razem przeżytych w La Cava i Rozdole”⁵⁸. Prawdopodobnie chodzi mu o włoskie miasteczko La Cava de' Tirreni, gdzie w 1011 r. powstał klasztor Benedyktynów, który do dziś przyciąga rzesze wiernych. Miasteczko było i pozostaje znaczącym ośrodkiem religijnym i kulturalnym południowych Włoch. W pałacu w Rozdole natomiast mieściła się największa w Europie kolekcja dziewiętnastowiecznych fotografii, należąca właśnie do Karola Lanckorońskiego.

3.3.1. ECHA PRACY NAUCZYCIELSKIEJ. TENDENCYJNE „OBRAZKI SZKOLNE” – *WIOSNĄ, MAJÓWKĄ, W OTCHŁAŃ*

Tom otwiera nowela pt. *Wiosną*. Jest to krótka historia chorego, ubogiego ucznia czwartej klasy gimnazjum, umarłego na skutek zaniedbania ze strony nauczycieli i opiekunów oraz tragicznej sytuacji rodzinnej, której członkowie, wyzyskiwani przez bogatszych „panów” nie mogą pomóc dziecku. Utwór jest idealnym przykładem pozytywistycznej noweli, czy literatury tendencyjnej i jako taki byłby może odebrany jako ciekawy i nowatorski, gdyby powstał trzydzieści lat wcześniej. Tymczasem w Europie święcił już tryumfy modernizm, Polska nie pozostawała zresztą pod tym względem w tyle, a Gnatowski zaproponował czytelnikom nowelę postulującą konieczność tak zwanej „pracy u podstaw”⁵⁹.

„Obrazek” ten ma w zasadzie dwóch głównych bohaterów, wokół których toczy się fabuła. Jednym z nich jest nauczyciel, będący jednocześnie narratorem i komentatorem zdarzeń, być może nawet literackim *porte parole* samego Gnatowskiego, dzięki któremu poznajemy historię Wicka Bielaka, jednego z najbiedniejszych uczniów w klasie. Pozwalając czytelnikowi przyjąć perspektywę profesora autor zyskuje jednocześnie możliwość forsowania tez związanych z pracą u podstaw – w czyich bowiem, jeśli nie w nauczycielskich rękach, leży los ubogich dzieci, zmuszonych przedwcześnie do pracy, kosztem postępów w nauce? A jednak narrator wydaje się „jedynym sprawiedliwym” ze swojego otoczenia, pozostali profesorowie są bowiem nieczuli na los chłopca, pozwalając sobie nawet na niesmaczne żarty związane z kondycją jego umysłu. Bielak jest chorowitym i wątłym chłopcem:

⁵⁸ J. Łada [Gnatowski], *Pastele*, Lwów 1895, dedykacja (s. nienumerowana).

⁵⁹ Jak słusznie zauważa Jakiel, nazwa zbioru - *Pastele* - wskazuje raczej na impresje modernistyczne, wobec czego tematykę utworów lepiej oddawałby tytuł „obrazy” bądź „szkice”, bowiem: „(...) zespół opowiadań ks. Gnatowskiego lokalizuje się nie w poetyce i sposobie widzenia świata, charakterystycznych dla kultury modernizmu, ale w środowisku realistów, poetyce pozytywistów, ich widzeniu świata i tematycznego zaangażowania w sprawy społeczne, a socjalne w szczególności.” [cyt. za: E. Jakiel, *Księżdz Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 366].

Jego twarz blada, wychudła, piegami okryta, z białymi i miękkimi jak len włosami, robiła wrażenie obrazków zatartych, z których czas lub deszcz zmył barwy, zostawiając tylko niewyraźne kontury. Rysy nie miały życia, oczom zapadłym brakło blasku. Nie pamiętam, abym go kiedy widział inaczej jak skulonego w swoim kącie nad otwartą książką, podczas lekcji i podczas rekreacji⁶⁰.

W pewnym sensie Bielak jest kolejną postacią z plejady „męczenników Gnatowskiego”, podobnie jak wcześniej Zofia Łańska, a po niej siostry zakonne z likwidowanego klasztoru. Tragedia tego chłopca polega na fatalnej sytuacji rodzinnej, która odbija się na jego zdrowiu i usposobieniu. Samotny i wycofany z życia towarzyskiego, staje się obiektem drwin i docinek kolegów ze szkolnej ławy, a i to nie trwa długo, jego bezbarwność sprawia bowiem, że szybko zaczynają go ignorować: „(...) przestał dla nich istnieć po prostu, jak kawał drewna, który nie jęczy, gdy się je uderzy, ani da się użyć do zabawy”⁶¹. Jak zdaje się przekonywać Gnatowski, łatwo zapomnieć, że ci pozostający na uboczu outsiderzy mają swoją historię, plany i marzenia na przyszłość. Wicek także je ma, lecz nie umie się nimi z nikim podzielić.

We wspomnianej już recenzji *Pasteli* czytamy:

Takie proste na pozór, zamknięte w sobie dusze, jak Bielaka, Sikory i tysiąca innych, w gruncie rzeczy są bardzo złożone pod względem psychologicznym, potrzebują dużo badania, serca, intuicji do poznania ich i zajrzenia do głębi⁶².

Bieda Bielaka opisana jest z tą samą, znaną nam już z poprzednich powieści Gnatowskiego, emfazą: dowiadujemy się, że przez wszystkie pory roku chodzi do szkoły w tym samym „palcotku”, brnąć przez śnieżne zasy w starych butach i dziurawych ubraniach. A jednak początkowo autor kreuje postać chłopca w taki sposób, że zdaje się on czytelnikowi „bezbarwny” (jak określa się go w tekście), apatyczny, a czasem wręcz tępy:

Uczył się ciężko. Przełaził z biedą wytrwałym móżdżem. Profesorowie nie lubili go; na konferencjach wyrażano nieraz gorące życzenia, aby się go pozbyć.

– Ławka, na której siedzi, a on, to wszystko jedno – określał go swym dosadnym sposobem kolega Wilmer, profesor greki. – Demostenesa postawcie przy nim, w drewnianym łbie nie wykrzesze ognia. (...)

– Kłoda, istna kłoda z lasu – myślałem sobie⁶³.

⁶⁰ J. Łada [Gnatowski], *Wiosna* [w:] *Pastele*, Lwów 1895, s. 4.

⁶¹ *Ibidem*, s. 4.

⁶² F. Ra., *Łada Jan: Pastele...*, s. 48.

⁶³ J. Łada [Gnatowski], *Wiosna*..., s. 6.

Trudno więc, by tak „bezbarwny” chłopiec mógł budzić czyjąkolwiek sympatię. Wyraźnie widać, że nie umie nikogo wzruszyć swoją biedą, ani wywołać współczucia ze względu na trudną sytuację, bowiem brakuje mu pewnych niezbędnych interpersonalnych umiejętności.

Wszystko zmienia się w momencie, gdy narrator stopniowo zaczyna przywiązywać się do chłopca. Najpierw ofiarowuje mu ciepły płaszcz zimowy, nie mogąc patrzeć na dygotanie zmarzniętego chłopca. Bielak po raz pierwszy pozwala sobie na okazanie emocji:

Naraz uczułem ciepło i wilgoć na ręku. Bielak ustami przyłgnął do niej, płacząc cicho.

– Czegoż płaczesz, dziecko? – spytałem, podnosząc mu twarz do góry.

– Mnie nikt jeszcze... nikt tylko matka... nie był dobry...⁶⁴

Chłopiec po raz pierwszy wspomina o swojej rodzinie. Od tego momentu pomiędzy nim a narratorem pojawia się jakaś trudna do sprecyzowania więź. Bielak przestaje uczęszczać na lekcje z powodu choroby, a nauczyciel nie ma czasu go odwiedzić, ale nie może o nim zapomnieć, a sytuacja biednego ucznia nie daje mu spokoju. Wreszcie postanawia wybrać się z wizytą, kiedy już chłopca nie ma w szkole tak długo, że koledzy z klasy zapominają o jego istnieniu.

Mieszka w podejrzanej okolicy pełnej „żydowskich zaułków”, niedaleko targowiska. Naturalistyczny opis okolicy podkreśla biedę i nieszczęście chłopca: „Środkiem rynsztok płynął, pełen zgnilizny, strzępki łachmanów suszyły się na żerdziach parkanu. W ruderach, w brudzie i zaduchu, w norach wilgotnych i czarnych gnieździło się biedactwo”⁶⁵. Bielak wynajmuje kącik w „najnędzniejszym z domów” u podejrzanego jegomościa – Walentego Kulasińskiego – poplamionego tłuszczem, wąsatego „eks-woźnego” i jego niemniej sympatycznej żony. Oboje zdają się w pierwszej chwili polskimi odpowiednikami Thenandierów z *Nędzników* Wiktora Hugo – niczym fałszywi sutereniarze z nizin społecznych, wyzyskują matkę Bielaka, wcale nie opiekując się chorym chłopcem, ale wręcz czekając na jego śmierć. Wszystko to zwraca uwagę narratora, jednak miast pomóc chłopcu, zostaje jedynie jego ostatnim spowiednikiem. Motyw ten, znany już w literaturze polskiej, wykorzystuje Gnatowski w swoim opowiadaniu, nie reinterpretuje go jednak ani nie nadaje mu nowego kierunku. Zamiast grać konwencją, autor pozostaje tu konwencjonalny.

Chłopiec mieszka w kącie maleńkiej izdebki. Jego stan nie pozwala nawet na powitanie profesora i podziękowanie za odwiedziny – rozgorączkowany, wychudły i blady, całe dni

⁶⁴ *Ibidem*, s. 6.

⁶⁵ *Ibidem*, s. 8.

spędza w łóżku, będąc u kresu sił. Pan Walenty mówi wprost przy dziecku: „Ot, idioty kawalek. A mnie z nim bieda. Ani to żyć chce, ani umierać”⁶⁶.

Witek stopniowo, pod wpływem gorączki, otwiera się przed profesorem i zaczyna zwierzenia. Opowiada o matce, która jest klucznicą u hrabiowskiego rządu i z powodu zapracowania nie może odwiedzać go w ciągu roku, o siostrze Anusi będącej służącą. Cała rodzina musiała więc, miast trzymać się razem, rozjechać się po różnych miastach i dworach w poszukiwaniu pracy.

Niedługo później Bielak przychodzi ostatkiem sił do szkoły, bojąc się o promocję do piątej klasy. Chłopiec na życzenie matki próbuje zostać księdzem, zmuszając się do nauki pomimo choroby, głodu i braku jakiejkolwiek pomocy:

Pan gospodarz mówił, że mnie pewnikiem nie puszczą do piątej, jak tyle lekcji w szkole nie będę... I gniewali się na mnie, że leżę, że miejsce zabieram. Mówili, żebym albo do szkoły szedł i zdrow był, albo mnie wyrzucą jak psa. Więc się zmożłem...⁶⁷

Gospodarz i jego żona natychmiast wypierają się wszystkiego, twierdząc że chłopiec kłamie. Po raz kolejny nasuwa się porównanie z Thenandierami: narzekają na brak pieniędzy, na długi ze strony jego matki, na brak miejsca dla takiego nieroba, etc. Nie chodzi zresztą o Thenandierów mających być domniemanym pierwowzorem literackim, ale raczej o znany motyw gospodarzy-wyzyskiwaczy, u których małe dzieci przyjęte na stancję nie mają szans na znalezienie ciepła i opieki.

Profesor po krótkiej rozmowie z lekarzem wie już, że chłopiec nie pożyje dłużej niż kilka dni. Postanawia pozostać przy nim do końca, pozwolić opowiedzieć sobie historię jego smutnego, a niedługiego życia, w czasie którego jedyną radością były pieszczoty z matką i zabawy z siostrą w czasie letnich wakacji.

Jak napisano w recenzji Pasteli, która ukazała się w „Kronice Rodzinnej” w 1895 r.:

Autor zapewne z bliska widział ciche nędze, znoszone nieraz przez ubogich chłopców z heroiczną wytrwałością, dla wywalczenia sobie położenia i dźwignięcia rodziny, której są całą nadzieją. W „Wiośnie” biedny Wicek umiera zmożony nędzą i pracą nad siły. Nie podtrzymuje go w nim nawet zamiłowanie, ani łatwość, bo zdolności nie ma żadnych a uczy się jedynie z obowiązku, ażeby zadość uczynić woli matczynej i utrzymać ją w przyszłości. Natura to wytrwała, cicha, zamknięta w sobie, niezaradna. Przechodzi wśród współtowarzyszy nie łącząc się z nimi, i umiera z nędzy nie żalowany od nikogo. Inny na jego miejscu zdobyłby sobie może

⁶⁶ *Ibidem*, s. 15.

⁶⁷ *Ibidem*, s. 22.

pomoc, on umie tylko cierpieć aż do śmierci bez skargi, więc pomoc o którą się nie upomniął, przychodzi za późno⁶⁸.

Jak wspominaliśmy wyżej, początkowo trudno współczuć Bielakowi, bowiem jego bezbarwność i brak własnego zdania bardziej irytuje, niż skłania do litości. Stopniowo jednak, wraz z odkrywaniem przeszłości chłopca i wysłuchiowaniem przez nauczyciela wspomnień o kochającej matce i siostrze, zdajemy sobie sprawę, że Wicek nie jest jedynie „kukiełką”, ale żyjącym, pełnym bólu, nadziei na przyszłość oraz marzeń chłopcem: dzieckiem skazanym na śmierć w biedzie i zapomnieniu. Gnatowski odchodzi więc niejako od formuły literatury dewocyjnej, a zwraca się w stronę tendencyjnej⁶⁹. Szczególnie wzruszający wydaje się fragment, w którym umierający chłopiec opowiada o marzeniach na przyszłość:

Matka i Anusia chciałyby, żebym był księdzem. (...) Mnie zdawało się zawsze dawniej, że mi to przeznaczone. I koledzy zawsze śmiali się ze mnie, że na księdza pójde, a ja nic, bo myślałem: jak Bóg da, to czemuż nie mam pójść? Ale cóż? Zdaje mi się teraz, że z tego nic nie może być. (...) Widzi pan profesor, nie wiem, jak to powiedzieć. Ja tam głupi jestem i niewiele rozumiem, ale to rozumiem przecie, że się nie godzi tak, ni z tego, ni z owego wybierać się na księdza. Nieraz to sobie kombinowałem, głowę łamałem – jak, co. Wiedziałem, że czegoś potrzeba na to, ale czego? Nie śmiałem się spytać księdza katechety, a zresztą nikogo nie było takiego, co by powiedział. Aż raz przyznałem się na spowiedzi (...). Powiedział, że trzeba posłyszeć głos Boży na to, żeby księdzem zostać, i pytał, czy głos ten już słyszałem. A jakże ja go miałem słyszeć?⁷⁰

Wzruszająca jest nie tylko skromność i prostota chłopca, ale też fakt, że o swoich planach na przyszłość opowiada w „przededniu” śmierci.

Przychodzą tymczasem złe wieści od siostry chłopca – jego matka także jest umierająca, na skutek groźnego urazu kręgosłupa, jaki zdarzył jej się przy pracy. Tragedię rodzinną podkreśla fakt, że syn i matka nie mogą pożegnać się przed odejściem z tego świata. Rozdzielona rodzina nie zostanie na powrót połączona. Chwilę przed śmiercią chłopiec słyszy upragniony głos boży: „Wie pan – szepnął do mnie – ten głos boży, ten głos, wołający mnie, ja go słyszałem... Teraz właśnie... Tak wyraźnie...”⁷¹.

Pogrzeb chłopca jest skromny i krótki. Po śmierci Bielaka koledzy z klasy chwilowo przypominają sobie o nim, ale niedługo później wracają do swoich zwykłych żartów

⁶⁸ [b.a.], „*Pastele*” *Jana Łady*, „Kronika Rodzinna”, R. 1895, nr 22, s. 673.

⁶⁹ Jednak, ja podkreśla Jakiel, Gnatowski czyni to „bez typowego dla powieści tendencyjnej bezpośredniego zaangażowania i werbalizowania problemu społecznego” [E. Jakiel, *Księdza Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 366].

⁷⁰ J. Łada [Gnatowski], *Wiosna...*, s. 41-44.

⁷¹ *Ibidem*, s. 57.

i codziennych spraw. Scena pogrzebu jest też okazją do komentarza i prób wywołania w czytelniku pewnych post-lekturowych refleksji. Komentarz ów nie jest jednak odautorski, ale zostaje włożony w usta anonimowych świadków pogrzebu, których rozmowę słyszy mimochodem profesor-narrator:

- Biedactwo! Taki młodziutki, czternaście lat dopiero!
- I z czego umarł?
- Podobno z biedy, z pracy, z wyniszczenia.
- I dają to się marnować takiemu nieborakowi! Nikt nie wesprze, nie pomoże. A bogaczów tylu...
- A jakże. Ale oni mają dla siebie. A ty giń z głodu.
- A gdzież matka?
- Chora podobno, umierająca. Siostra przy niej. Więcej nie ma nikogo⁷².

Utwór kończy refleksja narratora stojącego nad małą mogiłą Wicka, która zdaje się prowadzić do tego, że śmierć takich jak on zwykle nie wzrusza nikogo. Jego krótkie życie składało się w większości z bezsensownego cierpienia – tak samo, jak jego bezsensowna śmierć. Wicek, mimo iż w toku narracji zyskał w oczach czytelnika pewne rysy indywidualne, ostatecznie jest poprzez swą kreację tylko pretekstem do podjęcia w literaturze społecznego problemu, który Gnatowski, jako ksiądz i nauczyciel jednocześnie, był boleśnie świadom⁷³. Temu właśnie zdaje się służyć cała jego twórczość, w której konwencjonalne rozwiązania fabularne stoją w służbie temu, co Łada uważał za ważniejsze od literatury – problemom społecznym, politycznym i religijnym. To nie „sztuka dla sztuki”, którą tak często krytykował w publicystyce. To sztuka w służbie wartościom, które w jego czasach zdawały się bezpowrotnie przemijać. Stąd konserwatywna postawa prałata – wszak konserwatyzm zawsze jest ideologią, która broni „starego” porządku, jaki często okazuje się trudny do przywrócenia.

O noweli *Wiosną* pisano:

Jest to niezawodnie historia jednego z wielu uczniów szkół galicyjskich, opowiedziana po prostu, bez żadnych refleksji i przez to właśnie budzi ich wiele. Nieraz już ubolewano, nad

⁷² *Ibidem*, s. 60.

⁷³ Jakiel komentuje, iż: „Tragizm postaci jest w pewnym stopniu aktem oskarżenia, literackim głosem w dyskusji o systemie szkolnictwa, o możliwościach zapewnienia startu młodzieży niezamożnej. Unikając wprost oskarżycielskich tonów, wskazywania lub poszukiwania winnych zaistniałej sytuacji, ks. Gnatowski zaznaczył jednak, że powodem zgonu chłopca była nędza, która zrujnowała mu zdrowie.” [E. Jakiel, *Ksiądz Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 366].

marnującymi się tam młode siły w walce z trudnym położeniem, zwracano uwagę, że do pracy umysłowej potrzeba dobrych higienicznych warunków, że dzieci nawet najzdolniejsze, nie wychodzą bez szwanku z tej walki⁷⁴.

Interesujące wydaje się to, jak różnie przesłanie zawarte w nowelach Gnatowskiego rozumieli ówcześni odbiorcy, w imieniu których – jak można przypuszczać – wypowiadali się recenzenci. Anna Lisicka z Mycielskich pisze na łamach „Przeglądu Polskiego”:

Jest to istna społeczna rana, po większej części spowodowana nie tylko niemądrą, ale występłą ambicją rodziców niższego stanu, by dzieci *per fas et nefas* w górę pchać. Zamiast żeby syn chłopca lub ubogiego rzemieślnika, pod doświadczonem okiem ojca, tego samego uczył się zawodu, chłopczyń oddają do miasta, gdzie o chłódzie i głodzie, ze zniszczonem – nadmiarem nauki i korepetycji – zdrowiem, dochodzi w końcu z małemi wyjątkami do najsmutniejszych rezultatów⁷⁵.

Wini więc pisarka rodziców i ich ambicję, nie wspominając nic o skutkach oddania chłopców do miasta, na przykład o złej opiece na stacji, o wyzyskiwaczach takich jak państwo Kulasińscy, o braku opieki ze strony nauczycieli oraz kolegów szkolnych etc. W swojej opinii jest jednak odosobniona. Pozostałe recenzje boleją, podobnie jak autor, nad losem chłopców, obarczając winą za ich problemy kulejący system edukacji. Gnatowski wiedział, że w ówczesnym czasie ksiądz powinien pełnić niejako podwójną rolę – moralisty i pedagoga, czy może nawet „psychologa”, który zdolnym jest pocieszyć uczniów i starać się w jakiś sposób pomóc im w niedoli. Problematykę tę nie tyle rozwija, co kontynuuje w pozostałych nowelach szkolnych, ukazując inne przykłady upadku i nieszczęścia najbiedniejszych uczniów.

Nowela pt. *W otchłań! Szkic z życia* prezentuje podobne problemy społeczne, czyniąc z głównego jej bohatera – Stefana Sikory – kolejnego małego męczennika. Utwór ten jednak różni się nieco od *Wiosny*, bowiem dotyka także spraw ponadjednostkowych, jak zła organizacja szkolnictwa, potrzeba ogólnej reformy edukacyjnej, znieczulica społeczna, rola profesora w życiu młodych uczniów, wreszcie, by sparafrazować słowa Engelsa – widmo komunizmu⁷⁶.

⁷⁴ [b.a.], „*Pastele*” Jana Łady..., s. 673.

⁷⁵ A.M.L. [A. Lisicka z Mycielskich], *brak tytułu*, „Przegląd Polski” 1895, t. 117, s. 251.

⁷⁶ Jakiel podkreśla, że w noweli pt. *W otchłań!* Gnatowski tematem uczynił nie tyle czynniki zewnętrzne, ile sam system szkolnictwa w zaborze rosyjskim, ponadto poruszył w nim problem bezradności wobec istniejącego porządku i prawa, jakimi kierowały się placówki szkolne w zaborze rosyjskim [zob. E. Jakiel, *Ksiądz Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 366-367].

Po raz pierwszy Gnatowski czyni narratorem szkolnego opowiadania swoisty „antywzorzec” profesora, miast kogoś, kto chce pomóc uczniom w ich kłopotach. Tak przynajmniej jest na początku utworu. Relacjonujący historię wykładowca jawi się bowiem jako antypatyczny filister, który „partyjki wiścika” przy kominku ceni sobie daleko bardziej od obowiązków pedagoga. Prezentuje tu autor, jak się zdaje, sylwetkę typowego profesora gimnazjum, który uczy nie tyle z powołania, co z obowiązku bądź braku innego zajęcia. Z tego powodu los uczniów niewiele go obchodzi. Po skończonych lekcjach myśli już tylko o „żonce”, która przyrządzi mu najlepszą kawę; o obiedzie i fotelu stojącym przy kominku. Niewolna to więc kreacja od cech karykaturalnych, przerysowanych, filisterskich. Podkreśla to jeszcze sposób wypowiedzi, obfitujący w *deminutiva*:

Wróciłem do domu zziębnięty, przemokły do nitki, w błocie cały, a zły... Na szczęście żonka, przewidując, co ze mną dzieć się będzie, przygotowała na obiad ulubione moje sznycelki wiedeńskie, kazała dobrze napalić, a po obiedzie sama przyniosła mi do kominka kawę, fajkę własnoręcznie nałożoną i ciepły plaid do okrycia nóg⁷⁷.

„Zasłużony” odpoczynek i sielankę profesora przerywa tercjan z wezwaniem na szkolną „konferencję”, czyli nagłe zebranie rady pedagogicznej. Rozdrażniony, że musi pośród marcowej pluchy wrócić między szkolne mury, oddalone o „całe” dziesięć minut drogi, profesor wkłada płaszcz i buty (żonka wiąże mu szalik, aby się nie zaziębił) i myśli tylko o partii wiścika z sąsiadami, jaka czeka go po powrocie do domu.

Rada zbiera się z powodu jednego z uczniów siódmej klasy, Stefana Sikory, jaki dopuścił się impertynencji względem jednego z nauczycieli, profesora Kuderkiewicza. Dyrektor odczytuje protokół:

Dnia 13 marca 1893r. odbyłem przez pierwszych dwadzieścia minut, jak zwykle, wykład nowej lekcji, następnie zaś, dla powtórzenia jej i objaśnienia na podstawie tego, co zadałem, lekcji poprzedniej, wezwałem do tablicy ucznia Stefana Sikorę. Sikora z początku odpowiadał gładko i przytomnie, potem zaczął się płatać i mięszać. Starłem się naprowadzić go na dobrą drogę, parę razy podpowiadałem mu sam – nie pomogło nic. Przytem w trakcie pytania Sikora zdradził zupełną nieznajomość form gramatycznych i widoczny brak podstaw naukowych, co tem bardziej mogło zadziwiać, że uczeń ten uważany był aż do ostatnich czasów za bardzo pilnego. Kiedy zwróciłem na to uwagę Sikorze, że jego odpowiedzi każą mi wątpić o możliwości przepuszczenia go do ósmej klasy, Sikora zadał mi naprzód rozdrażnionym tonem parę bliższych pytań w tym względzie, domagając się stanowczej odpowiedzi, czy ma przecie jakąś szansę promocji, czy nie,

⁷⁷ J. Łada [Gnatowski], *W otchłań!* [w:] *Pastele*, Lwów 1895, s. 276-277.

a gdy mu powiedziałem, że nie mogę mu czynić nadziei (...) Sikora rzucił z impetem kredę o ziemię i odszedł na miejsce samowolnie, wołając głośno: W takim razie nie ma potrzeby pytać mnie lekcji.

Zawezwany przeze mnie dwukrotnie, aby wrócił do tablicy, odpowiedział mi, z miejsca nie wstając, że słuchać nie myśli i że mu wszystko jedno. A gdy wtedy zwróciłem jego uwagę na konsekwencje, na jakie się naraża podobnem wykroczeniem przeciw szkolnej dyscyplinie, odpowiedział mi podniesionym głosem, że go mogą wypędzić i nawet zabić, i że to jest ostatnia usługa, jaką mu może wyrządzić gimnazjum, bo mu już życie obrzydło⁷⁸.

Następnie dyrektor relacjonuje przed nauczycielami zebranymi podczas rady, iż Sikora przyznał się do winy, tłumacząc swoje rozdrażnienie osłabieniem i niewyspaniem. Dodaje przy tym, że dotychczas był on uczniem pilnym, podawanym za wzór kolegom z klas młodszych. Dopiero przez ostatni rok znacznie opuścił się w nauce, podobno z powodu trudnej sytuacji rodzinnej – chłopiec musi utrzymywać matkę i braci.

Początkowo profesorowie zgadzają się co do tego, że musi być jakoś ukarany, nie może jednak być mowy o ciężkim wyroku. Zdają się rozumieć jego rozdrażnienie i pobudki, jakie nim kierowały, usprawiedliwiają „wyskok” młodzieńca. Nawet sam Kuderkiewicz, autor protokołu, wstawia się za uczniem. Szczególnie broni go też szkolny katecheta, przedstawiony przez Gnatowskiego jako najłagodniejszy i najbardziej wyrozumiały z profesorów.

Kiedy już wydaje się, że wszyscy zapomną o tym incydencie i rozejdą się do domów, a Sikora za karę trafi na kilka godzin do karceru, nagle głos zabiera narrator opowieści. Rozdrażniony z powodu zimna i nagłej zmiany planów, obwiniającego ucznia za konieczność stawienia się na zwołanej naprędce radzie – słowem, powodowany jedynie egoistycznymi pobudkami – bezmyślnie postanawia pogrążyć Sikorę.

To my mamy po nocy na taką wichurę dla jednego błazna lecieć przez pół miasta, grzęznąć w błocie, topić się w kałuży, trząść się od zimna, zamiast sobie wiścikiem się bawić przy kominku i kawie? I temu hultajowi nic za to nie będzie? A, niedoczekanie! (...)

– Moi panowie! Zaszedł fakt, u nas dotąd, Bogu dzięki, niebywały. Uczeń wyższej klasy odmówił profesorowi posłuszeństwa, odmówił ze świadomością winy, jaką popełnił, a do tej obrazy dodał szyderstwo, propozycję wypędzenia go z gimnazjum. Nie wchodzę w motywy faktu; żałuję nieszczęśliwego, jeśli zbytek pracy, a może i nędza rozstroiły mu nerwy. Faktu to ani zmienia, ani może zatrzeć. (...) Chodzi o godność zakładu, chodzi o nasze bezpieczeństwo i naszą powagę, chodzi o karność wśród młodzieży. (...) I dlatego, ażeby temu niebezpieczeństwu

⁷⁸ *Ibidem*, s. 283-285.

zapobiec, aby szkołę ochronić od upadku, młodzież od wykoślenia, nas od awantur, wnosząc o ukaranie przykładne winnego i proponując wypędzenie⁷⁹.

Kiedy później narrator przypomina sobie tę chwilę, sam nie potrafi jasno sprecyzować pobudek, jakie nim kierowały. Wydaje się jednak, że postanawia zwyczajnie „wyżyć się” na uczniu. Początkowo profesorowie podchodzą niechętnie do propozycji wypędzenia. Oskarżyciel Sikory używa jednak wprawnych argumentów, dotyka „różnych ran i nędz społecznych”, gorączkowo przekonuje grono pedagogiczne, że to jedyne słuszne wyjście – „dla zasady”. *Dura lex, sed lex* – stwierdzają wreszcie profesorowie i podpisują protokół. Jedyne ksiądz głośno protestuje przeciw wypędzeniu chłopca ze szkoły, ale po raz kolejny nikt nie zwraca na niego uwagi („Zakrzyczano go”). Decyzja zapada. Tak kończy się pierwsza część noweli.

W drodze do domu narrator spotyka Stefana Sikorę. Chłopiec jest załamany widmem wypędzenia za szkoły, jakie nad nim krąży. Nikczemność nauczyciela podkreśla fakt, że nie przyznaje się przez biednym uczniem, iż to on był oskarżycielem chłopca przed kolegami i prowodyrem wyroku. Unika wzroku Sikory, płacze się, próbuje uciec. Powoli, powoli budzą się w nim wyrzuty sumienia. Dla takiego ucznia, który utrzymuje całą rodzinę, wypędzenie ze szkół jest jednoznaczne z biedą, nieszczęściem, może nawet śmiercią.

Miałem w tej chwili bardzo nieprzyjemne uczucie. Chłopca było mi żal, bardzo żal... Doświadczałem, patrząc na niego, pewnego wyrzutu sumienia. Z drugiej strony byłem trochę niespokojny. Taki chłopak nieszczęsny, rozdrażniony, rozszalały... Bóg wie, co mu do głowy przyjdzie...⁸⁰

Kiedy uczeń dowiaduje się wstrząsającej prawdy o wypędzeniu, początkowo lamentuje i wpada w panikę. Za chwilę jednak zachowanie jego ulega zmianie. Hardy, zamknięty w sobie, zaczyna śmiać się ironicznie, w cynizmie szukając ucieczki przez bólem i strachem.

Mamrocze:

– Pan Bóg – syknął – Pan Bóg... Oni mówili, że niema Boga, że Go niema, bo gdyby był, nie byłoby takiej niesprawiedliwości na świecie, nie byłoby takiej nędzy, takiego ucisku...

– Oni? Kto to: oni?

Machnął ręką.

– Kto są, to są. Mniejsza z tem. Gorzej to, że widać ich prawda, nie moja.

⁷⁹ *Ibidem*, s. 291-292.

⁸⁰ *Ibidem*, s. 302.

- Bój się Boga, Sikora, co ty mówisz?
Zaśmiał się przykro.
– Co mi tam! Mnie już wszystko jedno⁸¹.

Enigmatyczni i przerażający „oni” to oczywiście komuniści, którzy w tamtym czasie starali się pozyskać dla siebie posłuch wśród ubogiej młodzieży. Gnatowski jako konserwatywny ksiądz związany z obozem narodowym niewątpliwie potępiał te myślowe prądy, stojąc na straży „świętego” porządku i interesów Kościoła. Jak czytamy w *Historii duchowości*:

Kiedy pomyślimy, że Marks już w 1848 roku opublikował *Manifest Partii Komunistycznej*, a Leon XIII dopiero w 1891 encyklikę *Rerum Novarum*, to pozostajemy w zakłopotaniu wobec takiego opóźnienia Kościoła w dotrzymywaniu kroku współczesnym czasom, szczególnie wobec poważnej kwestii robotniczej (...). Powszechna w owym okresie mentalność katolików wyrażała się w encyklice *Quod Apostolici muneris* Leona XIII. Potępiał on w niej socjalistów, uznając miłosierdzie bogatych, a więc „paternalizm” za postawę usprawiedliwioną przez prawo naturalne (...)⁸².

Na podobnym stanowisku było większość autorów związanych z prawicą, których Gnatowski nie tylko reprezentował – pisał też dla tego środowiska, opowiadania publikował w prawicowej prasie. Trudno się wobec tego dziwić, że i w *Pastelach* znajdziemy kwestie antylewicowe.

Przerażony aluzjami Sikory, profesor próbuje wyciągnąć z niego nieco więcej. Obiecuje, zwracając się do niego – rzecz niezwykła – po imieniu, że postara się porozmawiać raz jeszcze z profesorami, zmienić ustawę, wytłumaczyć. Sikora jednak traci już chęć i zapał do walki. Wydaje się zrezygnowany i zmęczony. „Ja i tak już zgubiony. Nie płynąć mi już dalej przeciw wodzie. Koniec, i tyle.”⁸³ – podkreśla z całą mocą. Czym jednak spowodowany jest ten negatywizm chłopca? Czy tylko decyzją o wydaleniu ze szkoły? Jak się okazuje, jego smutek sięga o wiele głębiej, jego niedola trwa o wiele dłużej, niż którykolwiek z nauczycieli mógłby przypuszczać. Przed opowiedzeniem swej nieszczęśliwej historii Sikora pyta zresztą wprost – czy wy, profesorowie, macie na uwadze co dzieje się z waszymi uczniami poza murami szkoły? Czy oprócz odrobionej pracy domowej obchodzi was cokolwiek innego? Czy

⁸¹ *Ibidem*, s. 304-305.

⁸² L. Boriello, S. Giovanna della Croce, B. Secondin *Cechy duchowości drugiej połowy XIX wieku*, [w:] *idem*, *Historia duchowości. Tom VI: Współczesność*, tłum. M. Pierzchała, Kraków 1998, s. 88.

⁸³ J. Łada [Gnatowski], *W otchłań...*, s. 306.

ktoś spytał kiedykolwiek ucznia o to, czy zjadł obiad, czy miał kąpiel, w którym mógłby się wyspać, jakie przyczyny sprawiły, że nie odrobił lekcji etc.? Nauczyciel początkowo próbuje się usprawiedliwić, szuka winy w całym, źle u podstaw obmyślanym sposobie edukacji, niż w swym osobistym, małostkowym podejściu do zadań, na jakie składa się zawód pedagoga, które przecież nie powinny ograniczać się li i jedynie do sprawdzania prac domowych i oceniania wiedzy uczniów, ale i do otoczenia opieką i troską wszystkich, szczególnie najbiedniejszych, uczniów. Szukając wciąż usprawiedliwienia, nauczyciel zapytuje sam siebie:

Miałem po sześćdziesięciu uczniów w klasie, po dwadzieścia godzin lekcji w gimnazjum, dziesięć godzin prywatnych wykładów, żonę z czworgiem dzieci i matkę staruszkę na utrzymaniu, a na to wszystko dwa tysiące guldenów rocznie i trochę krwawo zapracowanego grosza za lekcje prywatne. Nieraz wchodziłem do klasy, nie wiedząc, jak dotrwać do końca godziny, tak mi ze znużenia pękała głowa i paliło wyschłe gardło. Czyż mogłem w tych warunkach wiedzieć i pamiętać o tych setkach biedaków, którzy mego wykładu słuchali?⁸⁴

Gnatowski próbuje więc podkreślić, że zła sytuacja ekonomiczna i błędy systemu edukacji nikomu nie pozwalają na filantropię, bowiem każdy ma czas jedynie na pilnowanie własnych interesów. Życie nauczyciela także dalekie jest od przyjemności i luksusów. Narrator nie może jednak opędzić się od myśli, że tym razem wina leży po jego stronie, wszakże to na jego prośbę Sikora został wydalony ze szkoły. Teraz jest już za późno, by naprawić błąd.

Historia chłopca, którą teraz decyduje się opowiedzieć nauczycielowi, jest prosta i zapewne zwyczajna w tamtych czasach, a jednak wzruszająca, bo pełna cierpienia i wyrzeczeń. Ojciec Sikory, rzemieślnik w Kleparowie, od początku zmuszał go do nauki. Uważał bowiem, że po ukończeniu szkół jego sytuacja ekonomiczna ulegnie poprawie, znajdzie dobrą pracę i będzie mógł pracować na utrzymanie rodziny. Jeden ksiądz tylko próbował wyperswadować ojcu, że lepiej byłoby uczyć chłopca rzemieślniczego fachu, bowiem szkoła może wcale nie dać mu szczęścia, wiedzy, ani możliwości. O tym, zdaje się, pisała w swej recenzji *Pasteli* Lisicka z Mycielskich, gdy podkreślała, iż ta społeczna rana „spowodowana jest nie tylko niemądrą, ale i występłą ambicją rodziców niższego stanu”⁸⁵. Rzeczywiście, ambicje ojca zniszczyły życie chłopca:

⁸⁴ *Ibidem*, s. 311-312.

⁸⁵ A.M.L. [A. Lisicka z Mycielskich], *op. cit.*, s. 251.

Jak tam z tą nauką szło? Od rana do nocy w ciasnej stancji gwar, hałas, krzątania jak w ulu. Czeladnik bije chłopca w warsztacie, gospodyni krzyczy w kuchni, dzieci płaczą się pod nogami, płaczą i wrzeszczą wniebogłosy, do sklepika raz po raz ktoś przychodzi. (...) na nieszczęście moje dostał się do majstra naszego nowy chłopiec, starszy trochę, zdrowy i tęgi, ale nicpoń. (...) I zaczęło się dla mnie piekło. (...) Że bił mnie po kilka razy dziennie, bez żadnego powodu, to jeszcze może było mniejsze, choć Bóg jeden wie, jak mnie bolały nie tyle kłaki, co niesprawiedliwość. (...) Ale widzi pan, umiałem wtedy modlić się. Więc jak mi bardzo już ciężko i źle, to klęknę w tym samym kącie i wołam do Matki Bożej, żeby mnie ratowała, żeby miała choć Ona litość nade mną. (...) W czwartej dostałem pierwszą lekcję. Ostatni czas był, bo i tych parę centów, które przedtem ojciec dawał, choć tak rzadko, przestały całkiem przychodzić. Trzeba było o sobie myśleć samemu. Miałem czterech chłopaków. (...) Wróć do domu... lekcje poobiednie przerabiał z chłopakami. Z jednym zaczniesz, dwaj drudzy już się pobili w kącie, trzeci na ulicę poleciał. Leć, łap, bij... Ledwie skończysz, i do własnej preparacji chciałbym spojrzeć – znów czas do szkoły. Wieczorem to samo. Nieraz, bywało, dziesiąta już a ja jeszcze korepetycji przeklętej nie skończyłem, a tu własnych lekcji kupa, do uczenia się huk, a na to... noc tylko. A jak taka nauka idzie po całodziennym wymęczeniu! Plamy czerwone i czarne płatki latają przed oczyma, a litery w książce tańczą i kręcą się, jak szalone: w uszach szumi, jak pod kołem młyńskim, a w mózgu młotem wali. Gdzie mi preparację robić? (...) A jednak... nad uciśnionymi bydłętami jest ochrona, nad takim biedakiem zaś...⁸⁶

Wyczerpany ciągłym udzielaniem korepetycji, z których musi wyżywić całą rodzinę, Sikora wreszcie wybucha – i tak poznajemy całą smutną historię, która doprowadziła do kłótni z nauczycielem, za jaką został wydalony ze szkoły. Sikora nie miał nigdy żadnych marzeń, poza jedyną chęcią zadośćuczynienia prośbom i oczekiwaniom ojca. Coraz bardziej wyczerpany, odkrywa bezsens świata, który go otacza – bezsens edukacji, stosunków i podziałów społecznych, ludzkich dążeń, wreszcie całego życia. Wtedy też po raz pierwszy nawiązuje kontakt z komunistami, którzy namawiają go do obalenia istniejącego porządku. Chłopiec podchodzi do tego nieufnie, później jednak pyta retorycznie: dlaczego nie? Czy coś dobrego przyniósł mu dotychczasowy stan rzeczy? A może zmiana wyszłaby wszystkim na dobre? To dla Sikory ostateczność, być może nawet świętokradztwo – ale jednak kuszące.

Jak tak człowiek żyje w nędzy i poniewierce, jak mu głodno i chłodno i w rękach rwie się wszystko, a potem spojrzy na innych, którym słońce świeci zawsze, to mu różne myśli przychodzą. Przychodzą samemu, przychodzą i drugim. Pókim był mniejszy, to odpędzałem te myśli, jak grzech, i nie chciałem takiego gadania słuchać. Może i lepiej byłoby.. Ale ot, widzi pan, człowiek dojrzał przed czasem i zbrukał się to i wiarę stracił. Niedarmo żyłem od dziecka

⁸⁶ J. Łada [Gnatowski], *W otchłań...*, s. 317-324.

w kałuży. A straciwszy raz wiarę, pytam, czemu nie miałem myśleć i słuchać o tych rzeczach, które przedtem zdawały mi się grzeszne? Pókim wierzył w nagrodę wieczną i pociechę za grobem, a bałem się wiecznej kary, można było znosić ucisk i mękę. Pacierz ulgę przynosił; mówiło się: nic to! znieś, cierp, Bóg ci wynagrodzi! Ale potem, teraz...⁸⁷

Dla Sikory odrzucenie dotychczasowego porządku wiąże się też z odrzuceniem wiary chrześcijańskiej, która przecież tej niesprawiedliwości broni i stara się tłumaczyć wolą boską. Wszakże dopiero w latach 90. XIX wieku Kościół uświadamia sobie sytuację robotników i zaczyna walczyć o ich prawa, przerażony sukcesami, jakie przez ostatnie pięćdziesiąt lat odniosła myśl lewicowa. Tymczasem „reakcyjniści”, wywodzący się w większości, jak Gnatowski, z dawnej szlachty i arystokracji ziemskiej, z jednej strony bronią wspomnianego już kierunku paternalistycznego, za jakim opowiadał się Leon XIII, z drugiej walczą z antyklerykalną burżuazją, próbując przeciągnąć masy na swoją stronę⁸⁸.

Nauczyciel chce przekonać Sikorę, że „tamci” to „fałszywi prorocy”, którzy go zepchną w przepaść, nie znajduje jednak żadnych argumentów. Bo cóż może mu ofiarować, skoro sam jest przyczyną upadku chłopca? „Za późno” – mówi Stefan, a słowa te odbijają się echem w głowie profesora. Dlaczego jest za późno? Z czyjej winy? Narrator nie odpowiada, a patrzy za odchodzącym w dal, „w otchłań”, Sikorą.

Lisicka z Mycielskich tak pisała we wspomnianej już recenzji, stojąc wraz z autorem na straży prawicowego porządku:

(...) [uczniowie] wykołują się umysłowo i moralnie, z czego czyhający nań źli ludzie korzystając, wciągną ich, jak Stefana Sikorę, do „otchłani” w szeregi proletariatu, nakoło siebie ateizm i zniszczenie sięjącego⁸⁹.

W podobnym tonie wypowiada się autor artykułu zamieszczonego w „Przeglądzie Powszechnym”, winą jednak obarczając nie tylko ambicje rodziców i błędy nauczycieli, ale przede wszystkim reprezentantów „lewicy”:

(...) zdarza się czasem, że najprzykładniejszy uczeń, w skutek niedostatku w domu lub na stacji, a z powodu braku moralnej opieki i dyrektywy ze strony nauczyciela, karłowacieje fizycznie i moralnie i idzie na marne. (...) Niewtajemniczonym w zasady pedagogii, pseudo-pedagogom upatrującym zwykle wszystko złe w nauczycielu i systemie szkolnym, wydawać się

⁸⁷ *Ibidem*, s. 329-330.

⁸⁸ Zob. L. Boriello, S. Giovanna della Croce, B. Secondin, *Cechy duchowości drugiej połowy XIX wieku...*, s. 89.

⁸⁹ A.M.L. [A. Lisicka z Mycielskich], *op. cit.*, s. 251.

może zbrodnią łamać życie ucznia, wydalać go za pierwsze lepsze wykroczenie ze szkoły. A przecież najpierw tak się nie dzieje zazwyczaj, a potem nie wydalą się ucznia bez należytego powodu ze szkoły. Prawda, że Sikorę w tym wypadku zbyt surowo profesor osądził, że nie należało całemu gronu nauczycielskiemu dać się porwać wymowie jednego z kolegów (...), ale czy ten Sikora zatrzymany w szkole i ukarany tylko karcerem, byłby w niej wytrwał i wyszedł na człowieka?... Toćże sam temu przeczy kategorycznie. Nie wydalenie zatem i nie dyscyplina szkolna, ale nędza życia i zjadliwe podszepty niepowołanych apostołów pchają go w otchłań, w którą sam idzie świadomie a uparcie. (...) jak zgubnie (...) oddziałują na nią [młodzież] nieraz fałszywi doradcy, siejący jad i nienawiść w młodocianych ich umysłach przeciwko klasom uprzywilejowanym (...)⁹⁰.

Kazimierz Bartoszewicz z kolei zarzuca Gnatowskiemu „pewną przesadę” i pesymizm w przedstawieniu losów Sikory, bowiem, jak twierdzi, w normalnej szkole niepodobieństwem byłoby wyrzucić za coś takiego ucznia⁹¹. Warto jednak podkreślić, że mimo indywidualnej historii Sikory, jest on przecież jedynie kreacją literacką służącą w oczach autora „wyższym” niż sama literatura – bo społecznym – celom. Przesada ta była więc może potrzebna temu, co chciał Gnatowski przedstawić nie tylko jako autor, ale też kaznodzieja i moralista.

Kolejny obrazek szkolny pt. *Majówka* nosi podtytuł: *Z notatek nauczyciela*. Możemy się zatem domyślić, iż także stanowi echo pedagogicznych doświadczeń Gnatowskiego. Jak pisano w „Kronice Rodzinnej”:

Autor zapewne z bliska widział ciche nędze, znoszone nieraz przez ubogich chłopców z heroiczną wytrwałością, dla wywalczenia sobie położenia i dźwignienia rodziny, której są całą nadzieją⁹².

A w „Przeglądzie Powszechnym” zauważono:

Trzy z nich [nowel] wzięte są z życia szkolnego, z tych samych czasów i murów, bo we wszystkich te same napotykamy nazwiska profesorów i uczniów. Odślania nam w nich autor, na własnym doświadczeniu oparty, wewnętrzne, zakulisowe życie szkolne, przeplatając swe opowiadanie raz po raz jakąś głębszą pedagogiczną uwagą (...)⁹³.

⁹⁰ K.O.B., *Pastele, Jan Łada*, „Przegląd Powszechny” 1896, t. 49, s. 453.

⁹¹ Zob. K. Bartoszewicz, *Wrażenia literackie. Pastele Jana Łady*, „Kraj” 1895, nr 26, s. 13.

⁹² [b.a.], *Pastele Jana Łady...*, s. 673.

⁹³ K.O.B., *Pastele, Jan Łada...*, s. 450.

Nie ulega więc wątpliwości, że inspirację do swych szkolnych obrazków czerpał Gnatowski „z życia” i własnej pracy nauczycielskiej. Trudno jednak orzec, czy nazwiska profesorów i uczniów wzięte są „z tych samych czasów i murów” czy raczej mają być rodzajem literackiego spoiwa, intertekstualnej aluzji między własnymi tekstami, wreszcie – podkreśleniem, że wszystkie opowiadania wchodzą w poczet jednego „szkolnego cyklu” utworów Gnatowskiego. Są to bowiem niedostrzegalne na pierwszy rzut oka, marginesowe uwagi. I tak oto w *Majówce* pojawia się zdanie odnoszące się do bohatera *Wiosną*: „Czy wszyscy zebrani? Oczywiście tak... Przy obliczeniu jednak okazuje się tylko czterdziestu ośmiu. Ach prawda – ten biedny Bielak od miesiąca słaby – odzwyczailiśmy się go już liczyć”⁹⁴. Z kolei w noweli *W otchłań* pojawia się nazwisko profesora Wilmera, tego samego, który o Bielaku mówił „drewniany łeb”.

Jako autor, Gnatowski reprezentuje tutaj bardziej pedagoga, niż katechetę. *Majówka* różni się wszakże od pozostałych nowel (*Wiosną*, *W otchłań*) nie tyle tematyką, bowiem także dotyczy codzienności szkolnej, ale raczej wydźwiękiem, klimatem, wreszcie – nastrojem widocznym w tekście, ponieważ jest to jedyny krotkochwilny, „słoneczny”, przepełniony radością i optymizmem pastel szkolny Gnatowskiego. O ile w dwóch pozostałych tekstach mamy do czynienia z cichymi, codziennymi dramataми najbiedniejszych i najmniej zdolnych uczniów, o tyle tutaj, na zaledwie kilku stronach, opisane są radosne chwile spędzone wspólnie podczas tytułowej majówki.

Krótkie teksty Gnatowskiego bywają bardziej udane od jego powieści czy nawet dłuższych opowiadań. Pod tym względem *Majówka* nie stanowi wyjątku. Wdzięczna, zabawna, przenosi czytelnika w świat kolorów i zapachów wybujałej, wiosennej przyrody polskiej wsi. Nie ma tu w zasadzie żadnej fabuły, a jest raczej próba oddania ulotnych chwil i emocji zarówno uczniów, jak i towarzyszącego im podczas wycieczki pedagoga. Być może z tego powodu Gnatowski zdecydował się opatrzyć tekst wspomnianym podtytułem: *Z notatek nauczyciela*. Próba opisu wspomnień, wrażeń i reminiscencji była zresztą zawsze mocną stroną prałata, co udowodnił w swojej literaturze podróżniczej, ale kontynuował przecież później w utworach wspomnieniowych (np. *O minionych czasach i ludziach*). Pozbawione frustrującego dla czytelnika elementu moralizatorstwa i bigoterii, mogą być dowodem prawdziwego talentu literackiego, najczęściej niestety przysłoniętego „służbie moralnej”.

⁹⁴ J. Gnatowski, *Majówka* [w:] *Pastele*, Lwów 1895, s. 142.

Majówkę rozpoczyna Gnatowski od opisu przygotowań poprzedzających samą wycieczkę:

Kiedy wczoraj z rana wszedłem do mojej klasy – prowadzę ją czwarty rok już, od pierwszej – dostrzegłem zaraz, że „coś jest”. W twarzy dziecka stary nauczyciel czyta, jak w zwierciadle, każde poruszenie duszy. Gdyby nawet grę uczuć ukryła twarz, nie ukryją jej oczy. W klasie panowała wprawdzie cisza po dzwonku przepisana. Chłopcy siedzieli równo i spokojnie, z rękami na pulpitych, z oczami zwróconymi do katedry – ale w oczach tych tak się dziś paliło – tyle głosów wołało w nich do mnie: patrz, patrz-że na nas, spytaj nas! Mamy ci coś powiedzieć, tak ważnego, tak pilnego!⁹⁵

Tą niesłuchanie „pilną” sprawą jest oczywiście kwestia wycieczki szkolnej. Uczniowie proszą profesora od odwrócenie się w stronę tablicy, gdzie czeka już wykaligrafowany starannie napis: „Prosimy o przyobiecana majówkę!”. Narrator nie okazuje zdziwienia. Jak sam twierdzi, w ciągu trzydziestu lat pracy nauczycielskiej (Gnatowski tymczasem w 1895 roku, a więc w czasie opublikowania *Pasteli*, pracował w gimnazjum dopiero od pięciu lat, nie jest więc *stricte* narratorem) spotkał się z wieloma pokoleniami uczniów o podobnych pomysłach i pragnieniach. Jest więc w tych sprawach doświadczonym pedagogiem, dobrze znającym psychikę młodych uczniów. Im samym trudno zresztą zachować powagę i skupienie, kiedy:

Przez okna otwarte maj pachł bzami i jaśminem, zielenią poklasztornego ogrodu przy szkole i sianem skoszonym świeżo na łące za ogrodowym parkanem. Słońce ciepłymi blaskami złociło ciemne mury starego gmachu, – wilga w gęstwinie zalewała się śpiewnym szczebiotem – i na pulpit katedry z czereśni zaglądającej w okno wiatr przynosił co chwila garść białych listków, mokrych jeszcze od rosy porannej⁹⁶.

Pośród takich niesprzyjających nauce okoliczności przyrody chłopcy z klasy podejmują wraz z nauczycielem decyzję o wyprawie na łąkę i do lasu: „Rozstąpcie się stęchłe i wilgotne ściany, świadki zimowej męki i nudy (...)!”⁹⁷ – mówi narrator z emfazą, ale nie bez humoru. Jednocześnie wskazuje na główny powód, dla którego *Majówka* tak różni się klimatem od pozostałych obrazków edukacyjnych – opowiada wszakże o ucieczce ze szkolnych murów, chwilowym zapomnieniu o problemach, odurzeniu wiosną, słońcem i zapachem kwiatów.

⁹⁵ J. Łada [Gnatowski], *Majówka...*, s. 142.

⁹⁶ *Ibidem*, s. 143.

⁹⁷ *Ibidem*, s. 144.

Tymczasem obietnica jutrzejszej majówki sprawia, że uczniowie zupełnie nie mogą skupić się na lekcji. Narrator – stary nauczyciel – konstatuje:

Nie ma rady. Trzeba użyć wielkich środków, wielkich grózb i podniesionego głosu. Drogie dzieci, kiedyś dopiero poznacie się na tej pedagogicznej komedii, starej jak świat, i powiecie o mnie, gdy od was odejdę: „dobry był, choć złego udawał”⁹⁸.

Mimo że ów nauczyciel jest kreacją literacką, na pewno Gnatowski w jakimś stopniu przelał na papier swoje pedagogiczne doświadczenia. Z przywoływanych w rozdziale biograficznym wspomnień Stanisława Łempickiego wiemy na przykład, że lubił organizować uczniom majówki:

Gest miał ks. prałat nie byle jaki. Jak urządził wycieczkę z uczniami, przeważnie własnym kosztem, to była to wycieczka, co się zowie. Pamiętam taką majówkę wyższych klas do Żółkwi, na zwiedzanie miasta i jego pamiątek⁹⁹.

Ale z tych samych wspomnień wiemy też, że był nauczycielem niezwykle wymagającym, przed którym uczniowie truchleli ze strachu. Czyżby więc uwaga o „pedagogicznej komedii” była próbą swoistego rozgrzeszenia w oczach wychowanków? Zdaje się, że w tego rodzaju sądach i domysłach należy zachować szczególną ostrożność.

Z niezwykłą pieczołowitością dokonuje Gnatowski próby odtworzenia i zapisu wspomnień ze szkolnej wycieczki, zapraszając do tej wędrówki także czytelnika:

Zamknijmy oczy. Mijamy rogatkę – skręcamy w pole szczere, zielone, pachnące macierzanką. Tu rwać się zaczynają szyki, co chwila dezertier jakiś biegnie w trawę po kwiatek, po roślinkę do herbariusza, po motyla lub żuczka do studenckich zoologicznych zbiorów. Tak tu dobrze, tak cicho. Trawa bujna, miękka, rozrosła się, aż prosi żeby tarzać się po niej i uganiać¹⁰⁰.

Podczas spaceru nauczyciel jest świadkiem rozmów, kłótni i dyskusji uczniów, które relacjonuje czytelnikom. Pozostając z boku i pozwalając wychowankom na rzadkie chwile swobody, jednocześnie stoi na straży porządku w chwilach, gdy ich kłótnie opierają się na rękoczynach i wzajemnym ubliżaniu. Chłopcy rozmawiają o klasyfikacji, ocenach, otaczającej ich przyrodzie, swoich planach na przyszłość. Plotkują także na temat sztubackich

⁹⁸ *Ibidem*, s. 145.

⁹⁹ S. Łempicki, *Złote paski...*, s. 9-19.

¹⁰⁰ J. Łada [Gnatowski], *Majówka...*, s. 148.

żartów, jakie sprawiają innym profesorom. Narratorowi udaje się podsłuchać taką oto krotocwilną historię:

– Wiesz, ten Marburg, wysoki, czarny, dostał im prochu – w tę rureczkę napakowali, położyli na oknie otwartem i czekają. Stać się nie mogło nic – ten Marburg, on już na wakacjach z armatek strzelał na wiwat. (...) Więc teraz podpalić tylko. Ale Marburg nie chce; powiada; wypędzą mnie i świat zawiązany. A oni jemu: toś ty wszystko układał a teraz się boisz? Nie boję się, mówi, tylko lepiej niech taki podpali, któremu nie zrobią nic, jakby się wykryło. A u nich jest syn Scheiblera, tego co grekę wykłada w wyższych paralelkach. (...) Wchodzi stary – czerwoną chustkę na katalogu rozkłada, okulary na nos włożył i książkę chce otwierać a wtedy hrrym! jak z bata trzasł, a stary bęc – z krzesła na ziemię¹⁰¹.

Stara się tutaj autor oddać specyfikę gwary uczniowskiej – opowieść jest urywana, pełna niedopowiedzeń, chaotyczna, pojawiają się w niej wyrazy dźwiękonaśladowcze i wyrażenia wchodzące w obręb mowy potocznej, zapewne popularne w szkole tamtego okresu, jak: „na wiwat”, „stary” (o nauczycielu), „jak z bata trzasł” etc.

Nie byłby jednak Gnatowski sobą, gdyby nawet w tym wesołym opowiadaniu nie próbował przemycić pewnych nauk moralnych, towarzyszących opisowi szkolnej wycieczki. Dlatego też pośród rozmów dotyczących uczniowskich kawałów, ocen i piękna otaczającego członków wyprawy krajobrazu, pojawiają się od czasu do czasu dyskusje patriotyczne i religijne:

– Więc ci wojny krzyżowe nie przemawiają do serca?

– Może nie dość rozumiem, proszę pana profesora; może i to być, że one były pożyteczne i miłe Bogu, – zawsze to była ofiara życia na Jego chwałę. Ale mnieby więcej podobała się inna. To nie sztuka nieprzyjaciół porąbać – ja bym ich wolał nawrócić, wolałbym pójść z krzyżem niż z mieczem. (...)

– A ty, Stachu, poszedłbyś do Jerozolimy za Gottfrydem i Tankredem? spytałem Roźnieckiego (...). Chłopak spojrzał na mnie świecącymi się oczyma.

– Ja, panie profesorze, jakżeby nie? I jakbym poszedł? Braci wyzwalać, wrogów gromić, zdobywać miasta, fortece – Boże, co by to była za radość!

(...) Lubiłem go bardzo. (...) Źle prowadzony w dzieciństwie, próżny, nie znoszący karbów ani hamulca, chłopak marnował się, był na drodze do wykołajenia. (...) Trzeba było pracy niemałej, aby ten twardy charakter nagiąć, nie łamiać i nie krzywić, aby próżność zastąpić ambicją, upór – hartem woli (...). Udało się¹⁰².

¹⁰¹ *Ibidem*, s. 150.

¹⁰² *Ibidem*, s. 151-155.

Chłopcy reprezentują wobec tego pewne „typy” – jeden z nich myśli o karierze misjonarza, inny znów pragnie przygód i „wojaczki”. Dla każdego nauczyciel znajduje dobre słowo, każdemu służy radą, reprezentując autorytet naukowy i moralny. Sam Stach Różniecki jest przykładem chuligana, który ostatecznie, z pomocą grona pedagogicznego, zdołał „wyjść na ludzi”.

Gnatowski wrogiem swojego ulubionego ucznia czyni małego Żyda. Oto bowiem podczas popołudniowych zabaw na skraju lasu do nauczyciela podbiega kilku chłopców:

Stojek zdyszany przylatuje do mnie pierwszy, czerwony, drżący z gniewu. Woła mi coś przerywanym głosem, niewyraźnie. Rozróżniam tylko: Spitzbuber... Różniecki... Jaskulski. Spitzbuber – to już jakaś awantura pewnie. Małe lichy a kąśliwe i bezczelne, urwisza kawał. Każdemu z kolegów da się we znaki. Ale cóż zrobił teraz?

– Proszę pana profesora, chciał bić Jaskulskiego. (Jest to najdelikatniejszy i najmniejszy chłopak w klasie). Różniecki go nie dał. Wtedy on Różnieckiego zaczął przezywać i łajać.

Chłopiec pochodzenia żydowskiego przedstawiony jest jako „kawał urwisza”. Jego nikczemność ma podkreślać fakt, że dopuszcza się przemocy na małym Jaskulskim. Odznacza się też wyjątkowo odpychającą powierzchownością: jest chudy, rudy i zezowaty¹⁰³. Fragment ten, niebezpiecznie zbliżający się do tendencji antysemickich, rzuca cień na wdzięczne opowiadanie o wesołej wyprawie na majówkę.

Wreszcie nastaje wieczór:

(...) Wilgotne rosy osiadają na łące, srebrzą się na liściach. Opodał poza łąką, z moczarów leśnych podnoszą się mokre opary. Słońce zachodzące czerwieni się przez drzewa, jak pożarna łuna. Ptactwo świergoce co sił, coraz głośniejsze i głośniejsze. Kukułki odzywają się jedno do drugich, derkacz z daleka klekocze od błota. Powietrze pełne ostrej, wilgotnej świeżości wieczora, przesycone żywicą, zapachem traw i kwiatów. Na tle ciemniejącej zieleni migają czerwone czapeczki niedbale nasadzone na zwichrzone, rozrzucone włosy. Śmiechy i gwary w koło, mimo zmęczenia i przyspieszonego oddechu. Wszyscy weseli i szczęśliwi (...). Śliczna, niezapomniana majówka¹⁰⁴.

Tak kończy się ów krótki pastel, który mimo braku ostro zarysowanej fabuły jest dość udanym utworem Gnatowskiego. Recenzenci byli zresztą podobnego zdania. W „Przeglądzie Powszechnym” czytamy:

¹⁰³ *Ibidem*, s. 161.

¹⁰⁴ *Ibidem*, s. 162-163.

Barwny w niej [*Majówce*] opis wesołego dnia, spędzonego na łonie natury przez młodzież wspólnie z profesorami¹⁰⁵. I majówki zatraciły już dzisiaj dawną swą cechę, dawny wdzięk i powab, twarde życie i ciężkie jego warunki coraz to mniej ukazują onych wesołych, rumianych twarzą młodzińskich, co to się bawić umiały wesoło, ochoczo, a z umiarkowaniem¹⁰⁶.

W pewnym sensie recenzent zmierza więc do wniosku, że z jednej strony opisuje tu Gnatowski minione już czasy, które być może nigdy nie powrócą (czynnik sentymentalny), z drugiej wkrada się znów pewien czynnik moralizatorski: wszakże prezentowane w utworze „typy” i zabawy uczniów są w pewnym sensie wzorcowe (nie licząc, oczywiście, antypatycznego młodego Żyda). Podziela tę opinię Bartoszewicz:

Majówka to wdzięczny obrazek, pełen śmiechu, gwaru oraz nieporozumień między młodzieniaszkami. W każdym z nich jest już początek typu, podwalina przyszłego charakteru. Łada kilkoma szkicowo rzuconymi rysami umie odmalować te pierwociny, odsłonić te czątki przyszłych ludzi¹⁰⁷.

Pragnie więc autor zaprezentować sylwetki młodych uczniów nie tylko w chwilach trudnych dla nich samych, ale też podczas – tylko na pierwszy rzut oka – niewinnych zabaw, które być może więcej mówią o ich kształtującym charakterze i osobowości, niż oni sami mogliby się tego spodziewać.

3.3.2. „CZY WARTO POŚWIĘCIĆ CUDZE SZCZĘŚCIE I SPOKÓJ NAJBLIŻSZYCH I NAJDROŻSZYCH?” – W *TYROLU* JAKO OPOWIEŚĆ O WALCE MARZEŃ Z POWINNOŚCIAMI

Kolejny tekst pt. *W Tyrolu*, chociaż niewolny od tak ważnych dla autora refleksji natury moralnej, zawiera jednocześnie rys humorystyczny, odsłaniając przed nami odmienne oblicze „kapłana-literata”.

Opowiadanie *W Tyrolu* jest echem zupełnie innych, niż szkolne i pedagogiczne, przeżyć Gnatowskiego. Jak wskazuje tytuł, akcja rozgrywa się w regionie historycznie związanym z północnymi Włochami, Austrią, Niemcami i Szwajcarią, gdzie italskie i germańskie wpływy nieustannie się mieszały, tworząc fascynującą, eklektyczną mieszankę kulturową. Łada dobrze znał te okolice, eksplorował je bowiem w czasie tzw. „podróżniczego etapu”

¹⁰⁵ Nieścisłość recenzenta – w opowiadaniu uczniom towarzyszy jeden profesor-narrator.

¹⁰⁶ K.O.B., *op. cit.*, s. 452.

¹⁰⁷ K. Bartoszewicz, *op. cit.*, s. 13.

swojego życia i twórczości. Na pewne rysy autobiograficzne wskazuje postać głównego bohatera o imieniu Don Giovanni – Jan.

Gnatowski wprowadza w tę nowelę interesujący koncept fabularny. Akcja rozpoczyna się podczas dialogu dwójki serdecznych przyjaciół – rzeczzonego Don Giovanni, narratora, o którym trudno orzec cokolwiek, bowiem nie wyjaśnia kim jest, ani skąd pochodzi – oraz Herkulesa Pompiliusza Grippi, zwanego ser Ercole – włoskiego mecenasa sztuki, darzącego namiętą miłością i podziwem szwajcarskich śpiewaków. Rozmowa tej dwójki przypomina humorystyczną wymianę opinii dotyczących tego, co od zawsze frapuje artystów i literatów – kondycji współczesnej sztuki. Od *Satyriconu* Petroniusza począwszy, przez renesansowe i oświeceniowe utwory filozofów i literatów – w każdej epoce spotykamy się z podobną dyskusją na łamach twórczości literackiej.

Dialog staje się jednocześnie okazją do wprowadzenia rysów humorystycznych. Namiętny Włoch ser Ercole jawi się czytelnikom jako postać groteskowa i przerysowana, ale to nie znaczy, że zupełnie nieautentyczna:

– Tak jest, zapewniam cię, najdroższy Don Giovanni, że epoka wielkich talentów przeszła, minęła, skończyła się. (...)

– Ależ mój dobry Ser Ercole...

– Ależ mój najlepszy Don Giovanni, kocham cię, czczę, ubóstwiam, tak jest: ubóstwiam, gotówem na cześć twoją palić kadzidła na ołtarzach, gotówem oddać ci serce, życie, zbawienie duszy, a nawet majątek, tylko tego jednego nie wymagaj odemnie, abym dla ciebie zmienił moje przekonanie. (...)

– Ale któż ci mówi, że czegoś podobnego żądam?

– Ty, twoje spojrzenie, twój gest, to, o czym myślisz, to, co chcesz powiedzieć, wszystko.

– Jeśli tylko tyle, boć przecie ani jednym słowem ci nie zaprzeczyłem.

– Ale zaprzeczasz w myśli.

– Ani mi do głowy przychodzi.

– Więc naprawdę jesteś mego zdania, drogi, czcigodny Don Giovanni?

– Ale naprawdę, nie raz, tysiąc razy jestem twego zdania (...)

– *E duro!* – zawołał – ciężko, bardzo ciężko żyć i poświęcać się dla sztuki w tych czasach¹⁰⁸.

Już od pierwszych zdań wypowiedzianych przez Ser Ercole rozumiemy doskonale typ, jaki reprezentuje, przeczuwamy jak gdyby jego charakter, pasję, namiętność, ale i sztuczność, jaką przejawia w rozmowie ze – skrycie się z niego nabijającym – Don Giovannim.

¹⁰⁸ J. Łada [Gnatowski], *W Tyrolu* [w:] *Pastele*, Lwów 1895, s. 67-69.

Wszystkie te cechy dopełnia stylizacja językowa użyta przez Gnatowskiego – wykrzyknienia i włoskie wtręty podkreślają pochodzenie i zmanierowany charakter bohatera.

Giovanni wciąż łechta dumę i próżność mecenasa, nieustannie się z nim zgadzając, ale też prowokując go do wydawania sądów i opinii o współczesnej sztuce, które niewolne są od sztafpowych frazesów.

Dopiero kilka stron później narrator, a więc sam Don Giovanni, wyjaśnia jakby w formie wspomnień w pamiętniku mających rysy *soliloquium* tudzież techniki monologu wypowiedzianego, że rozmowa ta toczyła się nad brzegiem jeziora Achensee w północnym Tyrolu. Mimo swej groteskowości Ser Ercole zdaje się jednak budzić sympatię, a nawet pewien podziw narratora, który pisze o nim, że: „spuszcza oczy w udanej pokorze. Jest w tej chwili niezrównany. Malować go trzeba”¹⁰⁹.

Już podczas pierwszego spotkania obu bohaterów, przed teatrem na prowincji w Lombardii, włoski mecenas zachowuje się w sposób groteskowy i teatralny: klęka przez Don Giovannim, krzycząc, że ten jest jego zbawcą, bowiem zapewnił triumf sceniczny jakiejś młodej, debiutującej śpiewaczce. Reakcja jest później uzasadniona – oto bowiem Włoch zajmuje się właśnie wyszukiwaniem podobnych, nikomu nieznanym prowincjonalnych talentów, by następnie zapewnić im karierę na wielkich scenach europejskich. Z tego powodu zwą go „Ptasznikiem z Tyrolu” – kto bowiem raz wpadnie w jego sidła, ten nigdy z nich nie ucieknie. I to właśnie staje się prawdziwym tematem opowieści.

Główna oś fabuły, a zarazem całkiem ciekawy koncept, opiera się na przedstawieniu kontrastu pomiędzy dwoma historiami tyrolskich śpiewaków. Jedna – w formie retrospektywnej – opowiedziana jest przez samego Ser Ercole, druga rozwija się na oczach narratora. Kontrast opiera się na dwóch możliwych drogach wyboru dla prowincjonalnych talentów, odnajdywanych tu i ówdzie przez podobnych namiętmemu Włochowi „mecenasów sztuki”.

Bohaterem pierwszej historii jest Tamburlini, którego *impressario* poznał w czasie swoich rokrocznych wędrówek po Tyrolu w poszukiwaniu „talentów”. Wędrując po Alpach, doznał nieszczęśliwego wypadku. Został uratowany przez młodego pastuszka, u którego odkrył niezwykły talent muzyczny. Słynny później Tamburlini początkowo był szwajcarem z chłopskiej rodziny i nazywał się Andreas Geschnaster. Ser Ercole opowiada:

Oczywiście trzeba go było przechrzcić na europejski język, jak tylko dostał się w moje ręce.

Bo dostał się. Zrujnowałem się, dałem pieniądze na dzwon i organy do kościoła, których gmina

¹⁰⁹ *Ibidem*, s. 78.

nie była w stanie zapłacić, a że to był sierota, więc pół namową, pół gwałtem oddali mi go. (...) Żebyś go widział, *caro* Don Giovanni, kiedym go spotkał! Nędza, niedola! Karmił się knedlami, serem i mlekiem, mięso raz na rok widział, świata Bożego prócz dwóch wiossek w tej samej dolinie nie znał, nie miał o nim pojęcia. I jakież by było jego życie? Pasłby bydło swego gospodarza na górskich pastwiskach, potem zostałby parobkiem, potem może by się z biedą ożenił, zebrawszy parę groszy, i znowu by biedę klepał do śmierci. (...) A u mnie miał istny raj. Życie królewskie, starania, troskliwość, wygody. Wiesz, jak dbam o nich. A potem występy na scenie, powodzenia, oklaski, triumfy, istne zwycięskie pochody przez Europę i Amerykę. (...) I cóż powiesz? On się czuł nieszczęśliwy!¹¹⁰

Ser Ercole porywa dziecko z ojczyzny, siłą pchając je na scenę. Nie traktuje swych protegowanych jak ludzi, ale raczej jako środek do osiągnięcia własnej sławy (jako *impressaria*) i własnego zarobku. Młody śpiewak nieustannie tęskni za ojczyzną, nie umiejąc przystosować się do nowego życia, pomimo luksusów i oklasków publiczności. Gnatowski podkreśla w kreacji Andreasa-Tamburliniego cechę, którą – o czym pisał niejednokrotnie w listach i relacjach z podróży – tak cenił u szwajcarskich górali: patriotyzm. Pod tym względem solidaryzował się z nimi jako Polak bez ojczyzny.

Tęsknota za domem staje się dla młodego artysty zgubna. Nie mogąc znieść życia w luksusie i nieustannie marząc o wolności, jaką utożsamia z prostym, góralskim życiem, rzuca się w wir zgubnych i destruktywnych przygód i uciech, które doprowadzają ostatecznie do najtragiczniejszego finiszu – Tamburlini umiera. Zanim jednak do tego dochodzi, Ser Ercole pozwala mu spędzić jedno lato wśród rodzinnych stron. To – jak sam określa – największy błąd, jaki popełnia. Uszczęśliwiony śpiewak nie chce wracać do Mediolanu, płacząc i odgrażając się, że prędzej umrze, niż opuści swoją tyrolską wioskę. Mecenas, nie rozumiejąc decyzji podopiecznego, co więcej – nie chcąc wypuścić z rąk takiego talentu – siłą porywa go z Tyrolu, trzymając pod strażą i zmuszając do występów. Co ciekawe, wciąż nie widzi w tym nic złego. Nie może się nadziwić, dlaczego Tamburlini woli „knedle” od luksusów, które na wielkich scenach europejskich są na wyciągnięcie ręki. Przyznaje dobitnie:

Wolałem go zresztą konającego na scenie w chwale wielkiego artysty, niż chłopem, zapomnianym od świata w jakiejś górskiej szczelinie.

– Kochałeś więc tylko Tamburliniego, Geschnaster był ci obojętny.

– A cóż mnie tamten mógł obchodzić?¹¹¹

¹¹⁰ *Ibidem*, s. 86-88.

¹¹¹ *Ibidem*, s. 93.

Włoch odpowiada w sposób szczerzy i prostolinijny. Zdaje się, że rzeczywiście nie rozumie tego, co zwykło się nazywać „uczuciami” i „tęsknotami” patriotycznymi. Ponadto uparcie wierzy w znaczenie swojej misji, tłumacząc sobie, że prawdziwa sztuka wymaga poświęceń. Przychodzi więc czas na poświęcenia – młody śpiewak umiera, nadużywając zgubnych i zatrutych rozrywek, do których namawia go Ser Ercole. Tłumaczy swemu rozmówcy, że nie przewidywał wtedy takiego końca dla swego podopiecznego.

Zdawało mi się, chłopak świata nie zna, tylko na scenie; trzymałem go pod okiem i kontrolą ciągłą (...). Niechże świat pozna, i ludzi, no, niech trochę zresztą skosztuje z tego, jak to powiedziałaś, Don Giovani, z tego zatrutego kielicha. Zapomni, wyszumi się, ocalę go ¹¹².

Intencji Ser Ercole nie można nazwać szlachetnymi, ale niewątpliwie próbował pomóc, nie zaszkodzić swemu podopiecznemu. Nie przewidział jednak konsekwencji tego pomysłu. Tęsknota Anderasa Tamburlini za ojczyzną okazała się tak silna, że zagłuszyć ją mogły jedynie pijaństwo i rozpusta.

Żal Ser Ercole nie trwa długo. Jako, że jest sławnym „Ptasznikiem z Tyrolu”, był zapewne świadkiem wielu podobnych historii w ciągu swojego życia. Sam zresztą, relacjonując owe wypadki Don Giovaniemu, już chwilę później zaśmiewa się do rozpuku z jakiegoś nowego żartu, który staje się kolejnym tematem rozmowy.

Tutaj też kończy się pierwsza część opowiadania, skupiona wokół prezentacji postaci włoskiego *impresaria* i historii jego podopiecznego. Nadchodzi czas sprawdzianu dla bohatera i narratora. Oto bowiem wędrując po dolinie Oethzhał, spotyka na swojej drodze niezwykle utalentowanego górala Seppla, który śpiewa tak pięknie, że mieszkańcy okolicznych wiosek widzą „w tem wszystkim jakieś wpływy nieczyste”¹¹³. Tak przynajmniej powtarza narratorowi proboszcz z Niederthay, który przyjmuje go do siebie na wieczerzę podczas wędrówek:

– Seppl czyli właściwie Peppo – zaczął, wyjmując tabakierkę i biorąc w dwa palce potężną szczyptę brunatnego proszku – Seppl czyli Peppo jest bardzo oryginalnem stworzeniem.

Kichnięcie rozległo się w tej chwili, do pioruna podobne.

– Prawdę mówiąc, w naszym pocziwym Oethzhału jest on pewnego gatunku anomalią¹¹⁴.

¹¹² *Ibidem*, s. 94.

¹¹³ *Ibidem*, s. 102.

¹¹⁴ *Loc. cit.*

Narrator nie jest w stanie poznać dalszych szczegółów opowieści, gdyż ksiądz musi nagle go opuścić. Wyrusza więc na wędrowkę, a po drodze szczęśliwie spotyka nikogo innego, jak samą narzeczoną Seppla, od której dowiaduje się o wiele więcej, skrupulatnie relacjonując wszystko czytelnikom.

– Chowaliśmy się razem – odparła, zawsze w dół patrząc. – On nie tutejszy. Mówią rodzice i starsi, że w tym roku, w którym ja rodziłam się, przyszedli w te strony robotnicy włoscy po raz pierwszy. (...) Ojciec mój wziął dwoje, małżeństwo z dzieckiem dwuletnim. (...) Byli tam u nas, mówią, z parę miesięcy. Potem Włoch odszedł do siebie w stronę Trentino, skąd pochodził. Żona pójść nie mogła za nim. Całkiem już była osłabła. (...) Czekala, tęskniła, modliła się. Wreszcie zasnęła, dziecko (...) oddając, póki ojciec nie wróci.

– I odtąd już Seppl z wami pozostał?

– Jakżeby nie? Za swego ojciec go wziął, wiedząc, że nikogo nie ma na świecie prócz nas.

– I nawet zaręczono was?

Skinęła głową¹¹⁵.

Seppl wyrasta jednak na tajemniczego oryginała i outsidera. Prosta dziewczyna chce, żeby żyli tak samo jak pozostałe pary z okolicznych wsi niemieckich, lecz w nim z czasem daje o sobie znać włoskie pochodzenie i temperament. Mariele opowiada rozmówcy podczas spaceru po alpejskich halach, że przestała rozumieć chłopca, a on zamknął się przed nią i innymi, szczególnie od czasu, gdy przybywać zaczęli – podobni Ser Ercolemu – goście z miasta, „poławiacze” talentów, łechtający próżność Seppla, który jest niezrównanym śpiewakiem. I tak, jak Trambulini najbardziej lubił piosenki ze swych rodzinnych stron, tak Seppl stroni od jodłowania i lokalnych melodii, rozmiłowując się w jakichś dalekich, obcych, wyrafinowanych tonach. Nieraz żali się narzeczonej: „Widzisz, tak mi czegoś ciasno i duszno i tęskno między temi górami, tak bym zobaczyć chciał, co tam jest dalej, za nimi, w świecie szerokim”¹¹⁶.

Kreacja Seppla i Trambuliniego zbudowane są więc na zasadzie kontrastu. Każdemu z nich marzy się życie inne od tego, jakie prowadzi. Nie sposób jednak pominąć pewną istotną różnicę: Trambulini, czy raczej Andreas Gschnaster, tęskni za życiem, które zdążył już poznać, za rodzinną wioską i prostym, góralskim życiem. Seppla natomiast trawi melancholia i jakaś bliżej niesprecyzowana tęsknota, której nie rozumie i nie wie, co jest jej przedmiotem. Obserwując ptaki, otwarcie mówi, że zazdrości im tego, iż lecą „do tych krajów, gdzie słońce

¹¹⁵ *Ibidem*, s. 111-114.

¹¹⁶ *Ibidem*, s. 115.

i zieloność wieczna”¹¹⁷. Smutek bohatera wynika więc raczej z jego charakteru i usposobienia. Chce być „wolny”, samemu decydować o swoim losie, uciec z małej wioski i zobaczyć świat, niczym Peter Camenzind Hermana Hessego. Don Giovanni staje więc przed poważnym dylematem moralnym – i to jest, zdaje się, kluczowy moment opowiadania Gnatowskiego – czy wywieźć chłopca do Włoch i, wzorem ser Ercole, zostać jego impresariem, by żerować na sukcesie protegowanego? A może pozwolić mu pozostać w nieskażonej złem cywilizacji wiosce? Ale przecież Seppl sam chciałby wyjechać – tylko, że wtedy złamałby serce Mariele. Jak wobec tego powinien postąpić człowiek uczciwy, przy tym oczywiście katolik – ksiądz Gnatowski stara się udzielić odpowiedzi czytelnikowi.

Język autora bywa szorstki, nieporadny, a fabuły jego utworów czasem zdają się nazbyt powierzchowne. Często brakuje mu konceptu, próbuje upodabniać się innym twórców, co daje efekt wtórny, naśladowczy, epigoński. A jednak zdarzają się w jego tekstach momenty, w których zdradza niemały talent do operowania słowem, do opisu pewnych miejsc i sytuacji. Ów opis być może góruje tutaj często nad pomysłami fabularnymi. Tak jest też w przypadku próby oddania śpiewu Seppla za pomocą języka. To jeden z najlepszych fragmentów tomu *Pastele*. Lisicka z Mycielskich pisze: „W każdym też ustępie obrazka *W Tyrolu* przebija gruntowne zrozumienie i zamiłowanie sztuki, oraz artystyczne autora instynkta i smak jego wykwintny”¹¹⁸, a Bartoszewicz chwali: „Nowela *W Tyrolu* wprowadza nas w świat tonów i melodii”¹¹⁹. Jednakże pod największym wrażeniem próby opisu śpiewu Seppla pozostaje Teodor Jeske-Choiński. W „Głosie Narodu” pisze:

Nowela pt. *W Tyrolu* przypomina dawnego mistrza słowa. Gdy Łada odtwarza śpiew Seppla, płynący nocą z gór tyrolskich pod stropy niebieskie, mogą mu siły i barwności języka pozazdrościć nasi najlepsi styliści. Majster dużej ręki przemawia do czytelnika z tego wspaniałego obrazu¹²⁰.

Warto przyjrzeć się tym fragmentom, w których znużony wędrowną Don Giovanni słyszy nagle, wśród wieczornych „różowych blasków” słońca, anielski głos unoszący się nad górskimi halami:

Staliśmy w milczeniu, bez ruchu, czekając. Miałem uczucie, że coś niezwykłego przyniesie mi następna chwila (...). I naraz, w tej cichości nocnej głos ludzki się odezwał. Śpiew był cichy,

¹¹⁷ *Loc. cit.*

¹¹⁸ A.M.L. [A. Lisicka z Mysieckich], *op. cit.*, s. 251.

¹¹⁹ K. Bartoszewicz, *op. cit.*, s. 13.

¹²⁰ T. Jeske-Choiński, *Literatura polska*, „Głos Narodu” 1895, nr 271, s. 5.

drżący. Śpiewaka dostrzec nie mogłem w cieniu, ale musiał być tuż obok, o kilkanaście kroków. Zdawał się sił próbować, bo zatrzymywał się, urywał... wreszcie jedną falą pieśń wypłynęła w przestrzeń, między gwiazdy.

Nie było to nic podobnego do melodii, jakie słyszałem lub słyszeć mogłem. Dusza śpiewaka, pozbawiona obcych motywów i wzorów, z siebie snuć musiała złotą nić natchnienia. Zdawało się chwilami, że się czuje słodycz i miękkość włoskiej kanzony, za chwilę znów wiało z pieśni dziką tęsknotą i rozszalałym bolem cygańskich melodii, czasem ton jakiś łagodny, tęskny, śpiewny przenosił mnie nad brzegi rzek moich rodzinnych, Rosi i Bohu.

Tylko wesołych, skocznych piosenek alpejskich nie przypominała ani jedna nuta. Dziwne to było, nieuczone i oryginalne w najwyższym stopniu, a jednak przeczudne. (...)

I naraz krzyk się podniósł w górę ogromny – jeden ton metaliczny, wysoki, coraz wyższy i głośniejszy, niby jęk zranionego tytana¹²¹.

Niezwykłe poetycki, pełen ekspresji, metafor i porównań Homeryckich opis śpiewu Seppla pozostaje jednym z najbardziej udanych fragmentów tomu *Pastele*. Pisarz stara się oddać towarzyszącą mu atmosferę tęsknoty i melancholii. Tajemniczość i wyjątkowość śpiewu chłopca podkreśla fakt, że robi to jedynie wtedy, gdy musi „wyrzucić z piersi co mu na sercu zaległo”, po czym kilka dni pozostaje milczący i głuchy. Nie umie wobec tego śpiewać na zawołanie, możemy więc przypuścić, że trudno by mu było poradzić sobie na europejskich scenach.

Delikatność i skłonność do melancholii ukrytą w Sepplu podkreślają dodatkowo rysy jego twarzy: wydłużonej, owalnej, zarysowanej szlachetnie, o długich, kręconych włosach. Wyraźnie dostrzec można jego włoskie pochodzenie.

Don Giovanni stara się wypytać Seppla, czy nie chciałby uciec z alpejskiej wioski, położonej jak gdyby „na końcu świata”, gdzie trzyma go poczucie obowiązku względem przybranej rodziny i narzeczonej, ale serce rwie się gdzieś w obce, dalekie kraje. Czy nie słyszał od przejeżdżających tędy turystów, że swoim głosem mógłby utorować sobie drogę na największe europejskie sceny? Seppl pozostaje sceptyczny, zamknięty w sobie, zrezygnowany:

(...) mówić mówili. Słowa wiatr chwyta i unosi w górę i roztrąca o skały. Co po nich zostaje? Mówili, zawracali głowę. Bywało, słowo jedno wzburzy do gruntu, noc za nocą zasnąć nie da, i kręci, kręci w głowie, w sercu... I cóż z tego wyszło? Ot, Bogu dzięki, nie słucham dziś takiego gadania, a jak posłyszę, staram się nie myśleć o tem, zapomnieć... (...) Tęskno mi tu, duszno jak w grobie, a jednak tu żyć mi i umierać...

¹²¹ J. Łada [Gnatowski], *W Tyrolu...*, s. 120-123.

– A gdyby cię kto stąd wywioził w ten świat szeroki, o którym marzysz, pomiędzy pomarańczowe i oliwne gaje, do których tęsknisz, sam o tym nie wiedząc?¹²²

Don Giovanni pisze o niepoahamowanej chęci, by porwać młodzieńca z rodzinnej wioski i zapewnić mu edukację, a następnie przedstawić wygłodniałej publiczności. Stwierdza nawet, że to chyba duch jego przyjaciela, ser Ercole, wcielił się w niego na chwilę. Pokusa jest wielka – pokazać taki talent europejskim stolicom, wypromować go, kąpać się w blasku jego chwały. Ale oznaczałoby to jednocześnie wystawienie Seppła na próby, grzechy zachodniej cywilizacji, takie same, jakie zniszczyły Tamburliniego. Właśnie opowieść o tym ostatnim, którą podczas rozmowy z Sepplem przypomina sobie Don Giovanni sprawia, że rezygnuje z pokusy zabrania go ze sobą do Rzymu. W recenzji zamieszczonej w „Przeglądzie Powszechnym” czytamy:

(...) znając smutną historię Tamburliniego, nie namawia Don Giovanni młodego Seppła do opuszczenia stron rodzinnych, bo mu „szkoda jego życia dla częzej i marnej walki o szczyptę kadzidła, szkoda przede wszystkim jego serca, któremu tam duszno będzie i tęskno”. Pytanie kto lepiej postąpił? – czy ser Ercole pokazując talent Tamburliniego ludziom w całym blasku, ale rzucając równocześnie jego duszę w wir zepsutego życia, czy Don Giovanni, nie dający Seppłowi sposobności zakosztowania świata, mimo że chłopak gwałtem rwał się do niego?¹²³

Odpowiedzią na to pytanie może być sama biografia prałata. Będąc u szczytu swej popularności i kariery kościelnej, zdecydował się opuścić dwór wiedeński i osiąść we Lwowie jako gimnazjalny katecheta i pisarz wątpliwej popularności. Przesłanie utworu jest więc zgodne z życiową filozofią Łady – czasami sława i pokusy z nią związane prowadzą jedynie do zepsucia, a nawet samodestrukcji, szczególnie w przypadku tak wrażliwych i delikatnych dusz, jak Tamburlini i Seppł. Don Giovanni jest pod tym względem artystyczną kreacją samego Gnatowskiego, ale wydaje się, że to nie Gnatowski-kaznodzieja, ale raczej znawca sztuki i muzyki, podróżnik i artysta, który zjechawszy wielkie stolice tego świata i maleńkie wioski alpejskie, wyżej ceni sobie prostotę, szczerość i naturalność tych drugich. Kryje się w historii o Tamburlinim i Seppłu jakaś moralna nauka, inna wszakże od typowo dewocyjnej literatury Gnatowskiego, ciekawsza, ale też nieporównywalnie lepsza warsztatowo. Znać w niej autentyczny zachwyt autora nad zasłyszonym gdzieś śpiewem górali, znać duszę wytrawnego melomana i bywalca oper rzymskich i wiedeńskich,

¹²² *Ibidem*, s. 129-130.

¹²³ K.O.B., *op. cit.*, s. 453.

kosmopolity, ale też podróżnika, przyjaciela „ludu”. Nie brak też, mimo wagi podjętego tematu, motywów humorystycznych, jakie nadaje kreacja ser Ercole. Wszystko to czyni nowelę *W Tyrolu* jednym z najbardziej udanych tekstów prałata.

3.3.3. *KTO ON? ORAZ ATAK CHOLERY. PRZYGODA PODRÓŻNA*

DWIE HUMORESKI DOŁĄCZONE DO ZBIORU *PASTELE*

W zbiorze krótkich utworów Gnatowskiego znalazło się miejsce na dwie humoreski, służące jedynie rozrywce i celom ludycznym. Pierwsza z nich pt. *Kto on?* pisana jest z nieco większą powagą, bowiem komizm i tragizm położenia głównych bohaterów niemalże się w niej równoważą. Można powiedzieć, że komizm wynika tu właśnie z tragizmu, i odwrotnie.

Atak cholery jest z kolei krótkim, humorystycznym pastelem, stylizowanym na formę pośrednią między gawędą szlachecką a „dykteryjką” poobiednią, która przez chwilę bawić może gości (a więc czytelników).

Kto on? to historia będąca „kartą z galerii zakochanych”¹²⁴, jak określono ją w „Tygodniku Ilustrowanym”. Po raz kolejny Gnatowski relacjonuje zdarzenia z perspektywy głównego bohatera, prowadząc narrację pierwszoosobową. Opowiadanie przedstawia historię dwojga zakochanych w sobie, młodych ludzi, którzy nie mogą być razem przez własną nieśmiałość, nieporadność w mówieniu o swych uczuciach oraz skromność. Główny bohater, ekscentryk i dziwak, który całe życie poświęcić zamierza archeologii, mówi z całą stanowczością:

Mogę chyba powiedzieć o sobie bez obawy przesady, że kobiety i ich charakter znam gruntownie. Prawie tak gruntownie, jak asyryjską i meksykańską archeologię. Od czasu, jak zajmuję się archeologią, studiuję przede wszystkim kobiety starożytne, o niej tylko piszę. (...) Znam więc kobiety, to nie ulega kwestii, między kobietami zaś znam oczywiście najlepiej tę, którą znam najbliżej, znam, muszę znać jak nikt kuzynkę Wandę. A przecież zdaje mi się czasem, jakbym jej nie znał wcale...¹²⁵

Zafascynowany postacią Astarte (in. Isztar, Inanny), mezopotamskiej bogini wojny i miłości¹²⁶, Tadeusz tak bardzo zajęty jest pracą naukową, że nie zauważa oddanej mu,

¹²⁴ F. Ra., *Łada Jan: Pastele...*, s. 48.

¹²⁵ J. Łada [Gnatowski], *Kto on?* [w:] *Pastele*, Lwów 1895, s. 167-168.

¹²⁶ „Bogini Inanna lub Isztar była najważniejszym bóstwem żeńskim starożytnej Mezopotamii przez wszystkie okresy jej historii. (...) W <osobowości> Innany/Isztar można wyodrębnić trzy niezależne postaci. Jedna odnosi się do bogini miłości i zachowań seksualnych. (...) Drugi aspekt osobowości Innany dotyczy bogini

skromnej i zakochanej w nim od dawna Wandzi. Zresztą, nie tyle nie zauważa, co raczej nie myśli wcale o „legalizacji” ich związku – małżeństwie i założeniu rodziny. Umysł jego bowiem zwraca się ciągle w stronę „swojej” bogini, w roztargnieniu zapominając o rzeczach prozaicznych, które przecież kuzynkę mogłyby niezwykle uszczęśliwić.

Ta skomplikowana relacja ma swój początek w dzieciństwie obojga bohaterów, które przyszło im spędzić razem w pałacu w Boratyczach. On był już wtedy sierotą, jej została chorowita matka, a więc naturalnie zbliżyli się mocno do siebie i stali towarzyszami zabaw, igraszek, figli oraz dziecięcych zwierzeń i marzeń. Często wybierali się na wycieczki do pobliskiego, niewielkiego lasu:

Wówczas my z Wandzią wyobrażaliśmy sobie wprost, że to las dziewiczy amerykański. Strumień stanowiący w głębi jego granicę od sąsiedniego lasu, zdawał się nam jakąś Ultima Thule, do której w najdalszych wycieczkach nie śmieliśmy dotrzeć, a las wyobrażnia nasza zaludniała niedźwiedziami i tygrysami, choć było w nim tylko trochę zajęcy i saren. Gdyby zaś który z wodzów czerwonoskórych, naszych dobrych znajomych z Coopera i Mayne-Reida, wyskoczył ku nam naraz z zarośli, potrząsając piórami na głowie i tomahawkiem w ręku, bylibyśmy w strachu zapewne, ale nie zdziwiłoby nas to ani trochę¹²⁷.

Szczególnie jedna z takich wycieczek utkwiała Tadeuszowi w pamięci, kiedy dzieci myśląc, że się zgubiły, tuliły się do siebie w strachu. Wandzia płakała, że boi się, iż Tadeuszek zostanie zraniony przez „dzikich”, którzy gotowi znaleźć ich tu i pozabijać. Chłopiec przechwalał się, że barbarzyńców przepędzi, a ją obroni. Wdzięczny to, typowo kolonialny obrazek, który napędzał wtedy wyobraźnię niejednego dziecka, wychowywanego w epoce imperializmu, jaką był przecież koniec XIX wieku. Mimo że w rzeczywistości znajdowali się niedaleko dworku, całą zabawę potraktowali na serio, a przygoda ta – skrócona zresztą przez guwernantkę – mocno zbliżyła ich do siebie. Szczególnie Wandzia od tego czasu zmieniła się, czego narrator nie może zrozumieć. Uczucia jej zaczęły powoli przekształcać się z serdecznej, dziecięcej przyjaźni w fascynację i zadurzenie podlotka. Tadeusz jednak zawsze traktował ją raczej jak siostrę – albo to przynajmniej próbował samemu sobie wmówić, podświadomie bojąc się odrzucenia, czy może zepsucia ich przyjaźni, gdyby okazało się, że miłość pozostaje jednostronna. Oboje zresztą się boją,

wojowniczej, rozmiłowanej w walce (...). Trzeci aspekt Innany - to utożsamienie bogini z płatetą Wenus, gwiazdą poranną i wieczorną.” [*Inanna (Ishtar)*, [w:] J. Black, A. Green, *Słownik mitologii Mezopotamii*, Katowice 1998, s. 86-90].

¹²⁷ J. Łada [Gnatowski], *Kto on?...*, s. 170-171.

dlatego nie mogą zdobyć się na ten „pierwszy krok” by zamienić bratersko-siostrzaną relację na namiętność dwojga kochanków.

I to właśnie staje się osią opowiadania. Przez kolejne lata Tadeusz i Wanda będą krążyć wokół siebie, ale żadne z nich nie ośmieli się przyznać drugiemu do swych uczuć.

Los rozdziela ich na kilka lat, bowiem on zostaje oddany do konwiktu, a ona jedzie do Szydłowca z krewnymi. Po raz pierwszy spotykają się, kiedy oboje są już „nastolatkami”. Gnatowski bardzo zabawnie oddaje sztubackie zmieszanie chłopca, gdy zamiast małej Wandzi, widzi przed sobą prawie „pannę na wydaniu”:

Ja, choć starszy, wstyd powiedzieć, byłem przy niej niezgrabnym, szkolnym żakiem. Czułem to – i stałem onieśmielony, czerwony jak rak, myśląc o tem, jaki nieszczęśliwy traf przyczepił człowiekowi parę rąk, z którymi nie wiadomo co począć. Ale ona przybiegła do mnie i zarzuciła mi ręce naokoło szyi.

– Tadeu mój, Tadeu złoty, braciszku mój jedyny!

Śmiała się i płakała. Takie już ma żywe i wrażliwe usposobienie¹²⁸.

Dzięki otwartości i energii Wandy, Tadeusz szybko zapomina o pierwszym zmieszaniu i już po chwili rozmawiają żywo, jak dawniej, opowiadając sobie o tych kilku latach rozłąki. Kiedy angielska guwernantka zwraca dziewczynie uwagę, że być może zbyt swobodnie zachowuje się w obecności chłopca, ona odpowiada niby oburzona, ale też z ledwie dostrzegalną kokieterią: „*But he is my brother!*”¹²⁹. Zdanie to, wypowiedziane teraz, w przyszłości przyjdzie Wandzi przeklinać – Tadeusz bowiem tak usilnie czepia się tej myśli, że jest dla niej nikim więcej, jak tylko „bratem”, że nie dopuszcza do siebie możliwości oświadczyć po ukończeniu studiów:

Odtąd cieszyłem się zawsze nadzieją spędzenia z Wandzią kilku dni co wakacji i dni te stały mi się najmiłszymi w roku. Uważałem ją i ja za siostrę i nie miałem dla niej tajemnic. Pewny byłem, że każda rzecz obchodząca mnie zajmie ją, że każde moje uczucie i wrażenie znajdzie w jej sercu oddźwięk, i że ta ostra, złośliwa, niemiłosierna dla młodzieży panienka, której bali się jak ognia wszyscy moi kuzynkowie, choć po kolei każdy w niej się kochał, dla mnie będzie miała zawsze ciepły, promienny, pełen przywiązania uśmiech siostry¹³⁰.

¹²⁸ *Ibidem*, s. 176-177.

¹²⁹ *Ibidem*, s. 178.

¹³⁰ *Ibidem*, s. 179.

Przywiązanie Wandy do Tadeusza rośnie z każdym rokiem, on jednak zdaje się jeszcze tego nie dostrzegać, czy może raczej – zupełnie wypierać ten fakt – do tego stopnia, że kiedy zwierza jej się ze swojej „pierwszej miłości” do piegowatej Lieschen, odpowiedź kuzynki może być tylko jedna: „Głupi jesteś i ty i twoja Szwabka!”¹³¹.

Znów mija kilka lat. Bohater kończy szkołę średnią i postanawia kształcić się na archeologa, bowiem ta dziedzina od dawna już rozpala jego wyobraźnię i niezmiernie ciekawi. Zaabsorbowany „asyryjskimi wykopaliskami”, zaczyna coraz rzadziej myśleć o drogiej kuzynce. Od czasu do czasu uświadamia sobie, że byłaby najwdzięczniejszą słuchaczką jego teorii, które opisuje w dziele *Bogini Asztarte*, planuje nawet napisać do niej długi list o tym (ona tymczasem pisuje do niego regularnie), ale odkłada ten pomysł w nieskończoność. Dystans i problemy codzienności znów oddalają od siebie te dwie, pokrewne dusze.

Któregoś roku Tadeusz po zakończonej wyprawie naukowej do Azji Mniejszej przyjeżdża do Krakowa w czasie karnawału. Stary stryj August postanawia wtedy „wprowadzić go do towarzystwa” i ożenić. Na jednym z balów, gdzie czuje się i wygląda dziwacznie, Tadeusz po raz kolejny spotyka Wandę. Jest już młodą kobietą, o którą ubiegają się krakowscy i warszawscy konkurenci. Ona jednak wciąż zdaje się na kogoś czekać...

Być nieśmiałym, niezgrabnym, krótkowidzem – i iść z tem na bal, to już dość złego. Iść z przymusu, klnąc i myśląc o rozkosznym wieczorze, jakiby się mogło spędzić w pantoflach, przy kominku, herbacie i Bogini Astarce – jeszcze gorzej o wiele. Ale nie móc się wśród tej powodzi światła, kwiatów, perfum, brylantów i koronek wcisnąć w jakiś ciemny kącik; – być przedmiotem uwagi i uwag większej części towarzystwa, wyróżniających grzeczności jednych a zapewne cichych złośliwości drugih, to już męka nie do zniesienia. (...)

W końcu oszklonej galerii, pełnej palm, kamelii kwitnących i odurzającej woni hiacyntów stała młoda kobieta cała w bieli, z gwiazdą brylantową we włosach. Kilku mężczyzn otaczało ją, zdawała się ich nie słuchać. Oczy miała schylone na bukiet z parmeńskich fiołków, które jedne po drugich obrywała trzonkiem od wachlarza. (...)

– Jak się masz, Tadziu! – rzekła – przejdźmy się trochę. Opowiesz mi coś przecie o sobie.

W pierwszej chwili nie mogłem się na to zdobyć. Byłaż to naprawdę ona, ta Wandzia, z którą bawiliśmy się w Robinsona, której później opowiadałem moje przygody w konwikcie? Ona, ta królewska piękność, przed którą pospiesznie rozstępowały się tłumy, za którą gonił szmer podziwu? Ale tak – to była Wandzia. Olśniewająca i majestatyczna z pozoru, to prawda, ale taka, jak dawniej spokojna i dobra. Jedna chwila wystarczyła, aby mnie o tem przekonać¹³².

¹³¹ *Ibidem*, s. 181.

¹³² *Ibidem*, s. 184-189.

Całą noc Tadeusz opowiada Wandzi o bogini Astarte, podczas gdy ona odmawia tańca wszystkim konkurentom. Nie dość na tym – zaprasza go do siebie już następnego dnia. Tadeusz jednak, jeśli – jak twierdzi – zna się na kobietach, to raczej na tych mitologicznych, niż prawdziwych. Jawnego przywiązania i uczucia Wandzi zdaje się wcale nie dostrzegać, chociaż cieszy go i bawi niezmiernie jej towarzystwo, przede wszystkim dlatego, że może przez wiele godzin rozprawiać o archeologii i jej „nie zanudzać”. Zdobywa się nawet na stwierdzenie, że towarzystwo kuzynki ceni sobie bardzo wysoko, a ona sama jest dla niego jedyną pociechą podczas nieznośnego karnawału. Rozmowa, jaka się z tego powodu wywiązuje, jest niezwykle komiczna, przede wszystkim z powodu „krótkowzroczności” i ignorancji głównego bohatera. Ale komizmowi temu towarzyszy też współczucie dla Wandzi, która, podobnie jak Zofia Łańska z powieści *O duszę* jest kobietą na tyle szlachetną, że ani nie chce się ze swoimi uczuciami zdradzać, ani narzucać:

– Czy wiesz, Wandziu, – rzekłem – że mnie wprost przestrasza stosunek mój do ciebie? (...)

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo za wiele miejsca zajmujesz w moich myślach, w moich uczuciach, w całym moim życiu. Stałaś mi się potrzebą życia i nie wyobrażam sobie jak teraz bez ciebie potrafiłbym istnieć, obracać się w świecie, pracować.

– Tyle lat dawałeś sobie rady przecie.

– Bo ciebie nie spotkałem, przynajmniej taką, jaką dziś jesteś. Ale teraz... Nie, wierzaj mi, strach mnie wprost przejmuje na myśl, że prędzej czy później stosunek nasz się zmieni, że ciebie stracę.

– Dlaczego stosunek nasz miałby się zmienić? – szepnęła cicho.

– Dlaczego? Ależ dla bardzo prostej przyczyny. Wczoraj jeszcze Gucio mi mówił, że masz pół tuzina starających się, i dawał mi do zrozumienia, że zrobiłaś już wybór. Mówił nawet, że tego, kogo wybrałaś, znam doskonale, choć ja, otwarcie powiem, nie domyślałam się wcale, kto to może być. A może mi powiesz?

Wandzia milczała przez chwilę, wreszcie odpowiedziała jakimś zduszonym głosem, jakby jej brakowało oddechu.

– Gucio, jak zwykle, pozwolił sobie niemądrych żartów. Nie powinienś być brać tego na serio.

– I mnie się też tak zdawało. Cieszę się, że ci o tem wspomniałem i dowiedziałem się prawdy, bo mi kamień z serca spadł. Ale co nie jest dziś, może być jutro. Wyjdiesz za mąż, a ja...

– Ależ ja wcale nie mam zamiaru wychodzić za mąż...

– A przecież możesz wyjść, a wtedy komuż ja będę czytał moje archeologiczne prace, kto ich zechce słuchać, jak ty słuchasz?

Wstała i podeszła z wolna do mnie, potem zaś jak dawniej, kiedy skarżyłem się na różne niedole konwiktu, oparła się jedną ręką o poręcz mego krzesła, a drugą lekko przesuwając mi po włosach, odgarniając je z czoła.

– Bądź spokojny, Tadziu – rzekła powoli – ja nie wyjdę za mąż. Będę ci zawsze siostrą dobrą, gotową ci osładzać smutki, krzepić ducha i... słuchać dziejów Bogini Astarty¹³³.

Wanda jest więc prawdziwym wzorem kobiety wyrozumiałej, skromniej i cnotliwej, która woli poświęcić swoje osobiste szczęście w imię szczerego i serdecznego przywiązania do ukochanego mężczyzny. Tak zresztą musiał Gnatowski widzieć kobiety-chrześcijanki i tak kreował je w swoich utworach, a jeśli któraś z nich kiedykolwiek postępowała inaczej, stawiała się albo zagubioną, potrzebującą pomocy duszą, albo godną najwyższego potępienia i pogardy *femme fatale*.

Mija czas, a Tadeusz nie domyśla się ani razu, że sympatia jaką żywi do niego Wanda, nie jest tylko „siostrzanym” przywiązaniem. Swoich uczuć względem niej też nie potrafi nazwać, wie tylko, że nigdy nie miałby szans stać się jej konkurentem pośród tylu zacnych kandydatów – i boi się okrutnie, że ją utraci. Z tego powodu, kiedy stryj August proponuje mu oświadczyć się Wandzi, Tadeusz reaguje natychmiastowym oburzeniem: jak to? Przybranej siostrze?

Niedługo później bohater przypadkowo podsłuchuje nader ciekawą i intrygującą rozmowę dotyczącą kuzynki:

– Bo proszę was, co ona w nim mogła znaleźć? – kończył ten sam, który wymienił nazwisko Wandzi. – Ona śliczna, rozumna, pełna życia, istne słońce wśród naszych gwiazd wielkoświatowych, a on, ten mól książkowy...

Zacząłem słuchać uważnie. Czy może przypadkiem o mnie była mowa? I znów w połączeniu z nią? (...)

– Ale pomyśleć sobie, że mając tylu nas, zawróciła sobie głowę tym niezdara...

– Co to niezdara: powiedz skończonym głupcem, idiotą.

Odetchnąłem z pewnem uspokojeniem. Oczywiście nie chodziło o mnie, skoro wybranego Wandzi nazywali idiotą. Ale któż to mógł być? Zachodziłem w głowę daremno. I zrobiło mi się bardzo przykro. Więc ona, moja mądra, dobra siostrzyczka byłaby w stanie tak źle umieścić swe uczucie?¹³⁴

To nieporozumienie staje się kolejnym źródłem komizmu. Tadeusz okazuje się tak nieporadny życiowo i niedomyślny, że i tym razem ignoruje aluzje, które w sposób oczywisty jego dotyczą. Ale też duma nie pozwala mu na przyznanie, że salonowi fircykowe mogą

¹³³ *Ibidem*, s. 194-197.

¹³⁴ *Ibidem*, s. 208-209.

nazywać go „idiotą”. Chciał nawet wypytać Wandę o tego konkurenta, zawsze jednak zbywała go śmiechem.

Znów mija kilka miesięcy. Dziewczyna, wciąż licząc na śmielszy krok ze strony ukochanego, podupada na zdrowiu i musi wyjechać do sanatorium. Kiedy wreszcie spotykają się po raz kolejny, zwierza się bohaterowi, że o jej rękę poprosił niejaki hrabia Mścisław. Bardzo delikatnie stara się wy badać reakcję Tadeusza. Ten, jak zawsze niedomyślny, nieopatrznie rani jej uczucia jeszcze mocniej, niż dotychczas, gdy dowiaduje się, że Wanda odmówiła konkurentowi:

- Bój się Boga – zawołałem przerażony – ależ to szaleństwo! Drugiej partii takiej nie znajdziesz! To był dla ciebie wielki los! (...)
- Pomyśl sobie, co z tobą będzie, Tadius – kończyła szeptem prawie, jakby słowa nie chciały jej przecisnąć się przez gardło. – Przypomnij sobie, coś sam mi kiedyś mówił, że się tak boisz mego... mego zamężcia, że ono cię zrobi samotnym i smutnym na świecie. Przypomnij sobie, jak się cieszyłeś, gdy ci powiedziałam, że nikim... nikim z tych, o których myślałeś, nie jestem zajęta, że za mąż nie wyjdę i po staremu będę ci dobrą, wierną siostrzyczką...
- Ależ to zupełnie co innego – zawołałem, zapalając się własnymi słowami – Mścisław nie jest wcale jednym z tych salonowych fireyków, jak ci, co się starali o ciebie w Krakowie... Byłbym niepocziwym egoistą, gdybym cię chciał takiego męża pozbawiać.
- Nie spytałeś mnie, czy go kocham, czy go kochać potrafię?
- Ale potrafisz z pewnością. Wierz mi, ma on wszystko, co może wzbudzić miłość. A zwłaszcza... Bo najważniejszego jego przymiotu zapomniałem ci wymienić.
- A tym jest?
- Archeologia, wyobraź sobie, archeologia! to assyryjska, fenicka, kartagińska – akurat to samo, co jest moją specjalnością¹³⁵.

Nieporadność i krótkowzroczność Tadeusza, bez reszty oddanego swej archeologii, jest być może swoistą satyrą Gnatowskiego na wszelkiej maści „naukowców”, którzy chwając się swymi akademickimi osiągnięciami niewiele przy tym rozumieją z codziennego życia. Ale winną tej komedii omyłek jest też sama Wanda. „Jedno słowo mogłoby ich uszczęśliwić oboje, ale ona jest zbyt dumna by je wypowiedzieć (...) i słowo do nigdy wypowiedzianem nie będzie”¹³⁶. Kobieta odrzuca oczywiście konkury hrabiego, a po nim jeszcze wielu innych.

W końcu przychodzi czas na ich ostatnią rozmowę, która może wszystko rozstrzygnąć, albo też pozostawić niewyjaśnionym na zawsze. Niestety – bogini Astarte tryumfuje nad skromną Wandą. Tadeusz szykuje się do długiej podróży z pozostałymi archeologami,

¹³⁵ *Ibidem*, s. 212-215.

¹³⁶ [b.a.], „*Pastele*” *Jana Łady*..., s. 673-674.

prosząc kuzynkę, by pilnowała jego księgozbioru. Nie bez strachu zauważyła, że odkąd dowiedziała się o jego wyjeździe z kraju, silnie podupadła na zdrowiu. Zamiast jednak ostatecznie zrozumieć to jako wyraz jej miłości i przywiązania, on wraca pamięcią do rozmowy, jaką podsłuchiwał kiedyś w jednym z salonów:

– Czy wiesz, Wandziu, że mi czasem przychodzi na myśl, czy to, co słyszałem przed laty o tobie, nie było prawdą? (...)

Zwróciła się do mnie po raz pierwszy błada, z palącymi się oczyma.

– Cóż ludzie mówili?

– Nazywali go niegodnym ciebie.

Wstrząsnęła się.

– To nieprawda – rzekła gwałtownie. – Jest to człowiek honoru, zacny i prawy, jak niewielu.

Dzięki Bogu i za to, pomyślałem.

– Ale zarzuty ich były innego rodzaju.

– Mianowicie?

– Wedle nich był to mól książkowy, niezdara i...

– I? Mów szczerze?

– Przepraszam cię, ale sama chcesz: idiota.

Ku memu niemałemu zdziwieniu kąty ust, ściągnięte nerwowo przed chwilą, zaczęły nagle u Wandzi drgać, jakby z ochoty do śmiechu. Ale było to zapewne coś spazmatycznego.

– Słyszałeś to naprawdę?

– Niestety!

– Słyszałeś wielki nonsens, mój Tadziu. Ten, który... o którym słyszałeś, jest rzeczywiście trochę... trochę ekscentrycznym, trochę jednostronnym, może nawet odrobinę... dziwakiem.

– A widzisz! I ty takiemu mogłaś oddać serce! Uśmiechnęła się smutnie, ale znów jakby zagadkowo czegoś.

– Poczekaj – kończyła – jest on takim, ale dlatego tylko, że jest człowiekiem wielkiej myśli, wyjątkowego talentu i wyjątkowej pracy. Serce jego ukochało ideał bardzo wysoki i bardzo promienny, oczy zapatrzone w słońce nie zwracają się na małości życia, nie dziw, że czasem noga mu się potknie o jaki czczy konwenans światowy, nie dziw, że go nie rozumieją, nie oceniają mniejsi i gorsi od niego.

Mówiła z zapałem, rozogniona, drżąca. Cała dusza jej była w tych słowach. Słuchałem zdumiony, przerażony prawie.

– Ależ moja Wandziu, ty go kochasz dziś jeszcze! – zawołałem.

Spojrzała na mnie swym miękkim, aksamitnym wzrokiem i z wolna pochyliła głowę. Nie wiem czemu, poczułem w tej chwili niechęć do tego nieznanego człowieka, który umiał tak zupełnie zawładnąć tem sercem, dotąd, myślałem, oddanem mi wyłącznie.

– Więc tak go kochasz, tak bardzo, nade wszystko? Więcej ode mnie?

Uśmiechnęła się znowu.

– Więcej od ciebie? Nie, mój Tadeu. Jak ciebie¹³⁷.

Trudno powiedzieć, czy można być bardziej wymowną, niż w tej chwili była Wanda. Tadeusz jednak po raz kolejny udowodnił swoje zaślepienie i nieznajomość kobiecych uczuć. Wanda odjeżdża, pożegnawszy go przed wielką podróżą, a on, stojąc oknie i wspominając ich ostatnią rozmowę, rozmyśla gorączkowo: „Kto on? Kto on...?”.

Powróćmy do tezy, jaką postawiliśmy na początku podrozdziału – komizm przeplata się w tej noweli z tragizmem, a perypetie bohaterów są niejako źródłem ich obydwu. Doskonale widać to w recepcji utworu – jedni bowiem recenzenci w wiecznym „mijaniu” się Tadeusza i Wandy widzieli źródło komizmu, inni losy ich skłonne byli uznać za tragiczne. Wydaje się jednak, że cały wydzźwięk utworu, choć niewolny od nostalgii, pewnej melancholii i refleksji, miał jednak w zamierzeniu autora być zabawny, a przeważać miał w nim aspekt ludyczny.

W „Kronice Rodzinnej” pisano o *Kto on?*:

Trzeba przyznać, że archeolog Tadeusz jest niemożliwie niedomyślny, ale niestety! zdarzają się tacy. (...) Gdyby Wanda była zalotną, przebiegłą, śmiałą wreszcie, rzeczy poszłyby odmiennym torem, ale kobiety takie jak ona umierają a nie zdradzają tajemnicy swego serca. Autor umiał odczuć i oddać subtelność wyborowej natury, wytwarzającej w danym razie całą tragikę położenia¹³⁸.

Bartoszewicz tymczasem wskazuje na wtórność motywu obecnego w utworze, pozwalając sobie na dyplomatyczną krytykę:

Czytało się już bowiem nieraz o młodzieńcach, nie wiedzących w naiwności swojej, że są przedmiotem miłości, nie umiejących się domyśleć, że są bohaterami romansu. (...) Motyw, jak zaznaczyłem, nie nowy, ale zgrabne jego obrobienie, zabawna walka, stoczona między kobietą młodą i bogatą, a niewiastami fenickimi, kończąca się zwycięstwem tych ostatnich, nadają tej pasteli pewną świeżość i godzą z nią nawet czytelników, mających większe od pomysłu wymagania¹³⁹.

Najmniej chyba ma do powiedzenia o tej noweli Lisicka z Mycielskich, która pyta po prostu: „Ale czyż doprawdy może archeologia człowieka do tego stopnia zahipnotyzować?”

¹³⁷ *Ibidem*, s. 225-230.

¹³⁸ „*Pastele*” Jana Łady..., s. 673-674.

¹³⁹ K. Bartoszewicz, *op. cit.*, s. 9.

chyba nie”¹⁴⁰. Recenzentka nie dostrzega lub nie docenia konceptu Gnatowskiego, albo też – jako kobieta – kreację Wandzi i miłosne (czy raczej nie-miłosne) przygody tych dwojga uważa za tak nierzeczywiste i niedorzeczne, że natychmiast cały pomysł, jaki stoi u podłoża węzła fabularnego, neguje. Gnatowski udowadnia tym utworem, że jako autor zdolny jest do podejmowania rozmaitej tematyki, nie tylko pedagogicznej i dewocyjnej, ale też – co ciekawe – romansowej.

Pozostał nam jeszcze jeden utwór zamieszczony w zbiorze, wspomniana już gawęda *Atak cholery. Przygoda podróżna*, drukowana po raz pierwszy w „Dzienniku Chicagoskim” w 1893 roku.

Utwór, jak często w przypadku literatury Gnatowskiego bywa, zawiera kompozycję szkatułkową. „Opowiadaczem” swojej krótkiej, a zabawnej przygody jest bazarz starej szkoły, najprawdziwszy szlachcic i Sarmata, pan Ignacy. Jego słowa z kolei przytacza inny narrator pierwszoosobowy, może nawet *porte parole* samego autora. Historia rozpoczyna się w chwili, gdy po sutym, imieninowym obiedzie, towarzystwo pragnie „rozerwać się” słuchając wspomnień, przygód i opowieści. Jak wyjaśnia narrator, ich gospodarz, pan Ignacy, był człowiekiem statecznym, bogatym, szanowanym, nade wszystko ceniącym sobie spokój domowego ogniska, pozostając przy tym „pod pantoflem” małżonki, która doglądała gospodarstwa. A więc – szlachcic, domator, ksenofob:

Dalej niż Kijów nie widział go nikt w ciągu jego pięćdziesięciosześcioletniego żywota.

Nie bez zdziwienia więc i niedowierzania posłyszeli w lecie sąsiedzi wieść niepodobną do prawdy: o wyjeździe pana Ignacego do Karlsbadu na kurację, której gwałtownie wymagała co prawda wzmagająca się chorobliwie objętość zacnego dziedzica Hałajdajówki¹⁴¹.

Czytelnik przeczuwa już na wstępie, że bohater ten będzie postacią komiczną. Zanim zaczyna relacjonować swą podróż, zapala cygaro, dopija likier i rozgląda się zadowolony po twarzach słuchaczy, budując napięcie i delectując się ich oczekiwaniem. Wreszcie – zabiera się za opowieść, a znać w nim od razu gawędziarza starej szkoły Jana Chryzostoma Paska, Henryka Rzewuskiego, czy Kajetana Suffczyńskiego. Opowieść ta posiada zresztą prawie wszystkie cechy gawędy szlacheckiej, jakie wymienia Kazimierz Bartoszyński w artykule *Gawęda prozą*: składa się z obrazków lub szkiców obyczajowych połączonych postacią

¹⁴⁰ A.M.L. [A. Lisicka z Mycielskich], *op. cit.*, s. 252.

¹⁴¹ J. Łada [Gnatowski], *Atak cholery. Przygoda podróżna* [w:] *Pastele*, Lwów 1895, s. 239-240.

narratora wywodzącego się ze środowiska szlacheckiego i będącego typowym jego reprezentantem; ma swobodną kompozycję; charakteryzuje się obecnością elementów typowych dla mowy potocznej¹⁴². Jednocześnie badacz wskazuje na powolną degradację gatunku, jaka nastąpiła w latach 70. XIX wieku i na realizację go w postaci już tylko utworów wtórnych i epigońskich. Wynikało to zapewne ze zmian ekonomicznych, jakie następowały w społeczeństwie. Postać Sarmaty powoli stawała się śmieszną, a jej ideały przebrzmiały, stąd w utworach pokazywano odtąd raczej typowych Ernestów Załogowskich (*Wysadzony z siodła* Antoniego Sygietyńskiego) niż Sewerynów Sopliców. Pastel Gnatowskiego, choć zabawny i pisany lekko, nie odznacza się wszakże ani nowatorską tematyką, ani dopracowaniem technicznym.

Wróćmy jednak do fabuły. Jak przekonuje pan Ignacy, na kurację wybrał się jedynie dlatego, że od dawna żona nie dawała mu spokoju, radząc się leczyć. Przy tym narzekając na „babę”, zerka jednocześnie trwożliwie w stronę drzwi, czy go aby nie usłyszała.

Podróż koleją zdaje mu się prawdziwą męczarnią. Wszystko zresztą, jak sam twierdzi „idzie dobrze do granicy”, ale później rozpoczyna się dla niego prawdziwa gehenna:

Przyjeżdżam do Podwołoczysk. Gwałtu! Cały szpital na dworcu. Nim słowo powiedzieć mogłem, chwytają mnie, wloką, zamykają w ciupie jakiejś. Tchu mi w piersiach brak, chcę krzyczeć, protestować, bronić się. Nie zważają. Popychają, ciągną za sobą; słyszę głosy: – Tu nic nie pomoże beczenie i syczenie. Tam u was cholera. Trzeba się poddać dezynfekcyi. (...) Próbowałem im wytłumaczyć, z kim mają do czynienia, że mechesów można dezynfekcyjonować z cebuli, ale nie szlachezca z dziada, pradziada. Ale cóż? Nie słuchali.

Okurzali mnie tam więc i wędzili, jak szynkę lub polec słoniny, skrapiali karbolem, jakby to była wódka kolońska (...) ¹⁴³.

Poirytowany, „czerwony jak burak” i będący wprost na granicy apopleksji pan Ignacy może w końcu kontynuować podróż. Szybko jednak dowiaduje się od sąsiada z wagonu, że w Krakowie czeka go następna dezynfekcja. Wszystko wynika ze strachu przed cholerą, zbierającą podobnież swe śmiertelnie żniwo w stronach, z których szlachcic przybywa. „Za cóż mnie ta krzywdą spotyka?” – zapytuje z emfazą bohater, nie przeczuwając jeszcze, jakie „nieszczęście” czeka go u celu podróży.

Ze strachu przed karbolem pan Ignacy decyduje się nie wysiadać z wagonu w czasie postoju na dworcu w Krakowie, tylko przeczekać go w wagonie restauracyjnym.

¹⁴² Zob. K. Bartoszyński, *Gawęda prozą* [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykowa, Wrocław 2002, s. 314.

¹⁴³ J. Gnatowski, *Atak cholery...*, s. 242-243.

Kiedy dojeżdża w końcu do Wiednia, z początku chwali stancję u starej wdowy, gdzie (z woli zazdrosnej żony) zdecydował się zatrzymać. W mieście zatrzymuje się, jak twierdzi, po to, by: „doktorów się poradzić”¹⁴⁴. Nie przypuszcza jeszcze, że będzie miał do tego sposobność szybciej, niż się tego spodziewa.

Wiedeń opisuje Gnatowski oczami typowego Sarmaty, nadal stylizując język utworu na gawędę. Znać w tym opisie i naiwność, i zaściankowość – ale dobroduszną zaściankowość – bohatera: „Mieścisko ogromne, domy jak pałace: z jednego dziesięć naszych pałaców ukraińskich można by zrobić! A ruch, a hałas!”¹⁴⁵

Kiedy na stacji przeglądają papiery bohatera, znajdują przy nim zaświadczenie z nieszczęsnej dezynfekcji na dworcu. Diagnoza jest jasna: „cholera”. Wszyscy bez wyjątku przekonani są o tym, że szlachcic niebawem pozaraża ich śmiertelnymi bakteriami: „Oczywiście. Znowu sobie wyobrażają, że ja przywiózł w kieszeni od paltota”¹⁴⁶.

Od tego momentu rozpoczyna się dla bohatera istna „seria niefortunnnych zdarzeń”: z powodu nieznajomości niemieckiego nie jest w stanie wytłumaczyć rozmówcom, że w jego stronach wcale nie wybuchła epidemia. Na nic się jednak zdają tłumaczenia po polsku: zmęczenie po podróży wiedeńczycy biorą za objawy cholery, podobnie jak nieszkodliwe plamki na ciele: obsypują go więc karbidem, próbują leczyć wbrew jego woli, karmią gorzkimi specyfikami i wiążą pasami do łóżka. Bohater – zrozpaczony – ucieka z Wiednia prosto do domu, by postanowić sobie, że już nigdy nie ruszy się poza swoje włości.

Humoreska Gnatowskiego z jednej strony unaocznia czytelnikom – nie bez sympatii – wady i przywary polskiej szlachty identyfikującej się z formacją sarmatyzmu, z drugiej buduje poczucie tożsamości narodowej, tak ważne w czasie zaborów. Przede wszystkim jednak spełniać ma funkcje ludyczne, odpowiadając specyficznemu, włościańskiemu poczuciu humoru autora.

¹⁴⁴ *Ibidem*, s. 251.

¹⁴⁵ *Ibidem*, s. 252.

¹⁴⁶ *Ibidem*, s. 253.

I. 292.315

Z DOLINY ŁEZ

NAPISAŁ

Jan Łada.

NA ŚMIERĆ.
WRÓCIĆ.
Z CIĘŻKICH DNI.
DOCZekaŁ.
KRA - KRA - KRA.
OSTATNIA MSZA.

WE LWOWIE.

Skład główny u Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie.

Nakładem i czcionkami Drukarni Ludowej.

1900.

3.4. POWRÓT DO „KRAJU LAT DZIECINNYCH...”

TOM Z *DOLINY ŁEZ* JAKO PRÓBA ZAPREZENTOWANIA POLSKIEJ RZECZYWISTOŚCI PO UPADKU POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Wydany w 1900 r. we Lwowie zbiór opowiadań o sugestywnym tytule *Z doliny łez*, prezentuje czytelnikowi polską rzeczywistość po upadku powstania styczniowego. Choć minęło niemalże pół wieku od tego wydarzenia, pamięć o nim zdaje się wciąż żywa w umyśle Gnatowskiego i na kartach jego opowiadań.

3.4.1. TRAGICZNE LOSY ZESŁAŃCÓW I EMIGRANTÓW „WYSADZONYCH Z SIODŁA” – *NA ŚMIERĆ, WRÓCIĆ!*

Zbiór otwiera miniatura literacka *Na śmierć*, drukowana już pięć lat wcześniej w lwowskiej gazecie „Słowo Polskie”. Wspominaliśmy o tym opowiadaniu w pierwszym rozdziale, zawiera bowiem wiele odniesień do życia i wspomnień Gnatowskiego z dzieciństwa, rozpatrywać ją wobec tego należy raczej w kontekście biograficznym, niż literackim.

Inaczej rzecz ma się z kolejnym utworem zamieszczonym w zbiorze – *Wrócić!* – który także dotykając kwestii represji popowstaniowych, nie stanowi już zbeletryzowanych wspomnień prałata, ale jest fikcyjną opowieścią o losach Wojciecha Bystrzewskiego, rzemieślnika, który zmuszony był uciekać z kraju po klęsce powstania styczniowego.

Podkreślano wcześniej niejednokrotnie, że w przypadku kreacji literackich Gnatowskiego mamy do czynienia raczej z postaciami symbolicznymi, pozbawionymi rysów indywidualnych, a wprowadzanymi na karty powieści w celach dydaktycznych czy moralizatorskich. W tym przypadku rzecz ma się podobnie. Biografia Wojciecha Bystrzewskiego jest bowiem „biografią wielu”: stanowić ma typowy przykład losów zesłańca, Polaka „wysadzonego z siodła”, który z tęsknoty za ojczyzną gotów jest na niemalże każde poświęcenie. Tęsknota stanowi wszakże główny motyw opowiadania. Na przykładzie Bystrzewskiego Gnatowski pokazuje, jak potężne i zarazem wyniszczające jest to uczucie, którego doświadczył każdy, kto zmuszony był przebywać z dala od swych „rodzinnych stron” przez wiele lat. Uczucie to nie było obce samemu prałatowi – po wyprowadzce z Warszawy w 1884 r. wrócił do kraju dopiero po sześciu latach.

Utwór charakteryzuje się kompozycją szkatułkową. Początek niesie ze sobą pewne cechy „wyobraźni gotyckiej” Gnatowskiego, która w pełni dojdzie do głosu dopiero w kolejnym etapie jego twórczości. Oto znajdujemy się w starym, szlacheckim dworze pełnym pamiątek

z przeszłości, *explicite* nawiązujących do estetyki sarmackiej: trofeów z polowań gospodarza, łupów wojennych, elementów polskiej zbroi pamiętających nawet czasy średniowiecza. Nastrój dodatkowo podkreśla szalejąca na zewnątrz burza:

Wieczór był listopadowy, posępny, pełen dżdżów i wichrów. Gąszcz leśna trzęsła się od wściekłych porywów burzy, wśród łamiących się gałęzi przelatywały dzikie poświsty, jęki i wycia, raz do ryku całych stad dzikiego zwierza podobne, to znowu zdające się płaczem i rozpaczliwą skargą potępionej duszy (...).

W takie smętne i groźne wieczory jesienne dobrze jest siedzieć w kilku przy kominku jasno płonącym i opowiadać sobie straszne historie o duchach, o niezwykłych wypadkach, o bardzo złych albo bardzo nieszczęśliwych ludziach¹⁴⁷.

W takiej oto atmosferze czterech bohaterów opowiadania zbiera się w narożnej izbie nieopodal kominka, by zgodnie ze starą, gawędziarską szkołą umilić sobie czas mrozącymi krew w żyłach historiami. Bezpośrednim impulsem do rozpoczęcia opowieści o losach Bystrzewskiego jest poprzedzająca ją rozmowa na temat tęsknoty, w szczególności tęsknoty za ojczyzną. Rozmówcy zgadzają się co do tego, że jest to jedno z najsilniejszych i najtrudniejszych do kontrolowania ludzkich uczuć. Ksiądz podkreśla, że widział je nieraz u konających, którzy zapominali o wszystkich doczesnych sprawach, lecz o tęsknocie za krajem rodzinnym – nigdy. Po tym następuje znany już w literaturze spór o to, czy reprezentanci niższych warstw społecznych, jak chłopci i rzemieślnicy, zdolni są do patriotycznych uczuć, czy mają poczucie przynależności narodowej, czy raczej doskonale potrafią zaaklimatyzować się na obcym gruncie. Gospodarz zdaje się w to wierzyć, ksiądz natomiast gorliwie zaprzecza – u nich właśnie, choć nie potrafią tego nazwać, wyrazić i opisać – tęsknota za ojczyzną potrafi być najsilniejsza. Przykładem ma być historia Bystrzewskiego, którą ksiądz postanawia opowiedzieć.

Bawiąc kilka lat temu w Sankt Gallen, szwajcarskim miasteczku, w którym znajduje się opactwo benedyktyńskie z XVIII wieku, ksiądz przypadkowo spotyka na ulicy polskiego rzemieślnika, od wielu już lat mieszkającego „wśród obcych”. Warto zwrócić tutaj uwagę na obecne *implicite* aluzje biograficzne: pośród swoich wędrówek po Szwajcarii Gnatowski odwiedził zapewne i to miasteczko. Co ciekawe, w tekście pojawia się narracja pierwszoosobowa, ale „opowiadający” jedynie relacjonuje historię zasłyszaną od księdza. Następuje więc tutaj swoiste „przeniesienie”, bowiem aluzje czy nawiązania biograficzne są

¹⁴⁷ J. Łada [Gnatowski], *Wrócić!*, [w:] *Z doliny leż*, Lwów 1900, s. 35.

niejako „rozłożone” na kilku bohaterów opowiadania. Taka konstrukcja nazywa się: „narrator świadek” – opowiada zdarzenia, ale sam nie bierze w nich bezpośredniego udziału.

Wojciech Bystrzewski jest silnym, barczystym mężczyzną, o gęsto zarosłej, lecz pocziwej twarzy¹⁴⁸. Zatrzymuje księdza na ulicy gdy dowiaduje się, że ten jest Polakiem. To dla robotnika jedna z niewielu okazji by porozmawiać z rodakiem.

Szliśmy teraz powoli, ustronną ścieżką przez pola dla uniknięcia miejskiego ścisku i gwaru. Wypytywałem go o jego losy. Były puste i zwykłe: historia wielu.

Nazywał się Wojciech Bystrzewski, młodziutkim chłopakiem uciekł z warsztatu w lasy – kilka miesięcy w nich się błakał, później, po rozsypce, przekradł się przez kordon. W Galicji nie dano mu popasać – powlókł się dalej. Był przez lat kilka w górnej Austrii, potem w Bawarii – potem znów ku rodzinnym kresom wracał raz i drugi, zawsze daremnie. Wreszcie tu utknął, ożenił się, ma dziecko i byłoby mu dobrze, gdyby, gdyby...¹⁴⁹

Wszelkie wzmianki dotyczące powstania styczniowego są oczywiście pisane językiem ezopowym. Metafora najczęściej w tym kontekście używana, nie tylko przez Gnatowskiego ale wielu innych pisarzy tego okresu, to „ucieczka w lasy”. Właściwie oprócz tej niejasnej informacji nic więcej na temat przebiegu walk nie wiemy. Bystrzewski nie wspomina tego okresu, a jedynie podaje udział w powstaniu jako powód przymusowej emigracji. Wiele natomiast mówi o swoim dzieciństwie i rodzinnym mieście, Humaniu.

Jest to o tyle ważne, że żywa pamięć o młodościowych latach, przedwcześnie zmarłym ojcu i kochającej matce wzmacniają tęsknotę za ojczyzną i potęgują uczucie chronicznej pustki, którego nie wypełnia ani małżeństwo, ani dziecko Bystrzewskiego. Tym samym tęsknota za ojczyzną jest właściwie tęsknotą za własnym dzieciństwem, za beztruskimi, „szczęściowymi” latami, wreszcie – za wszystkim tym, co wiązać należy raczej z prywatną sferą życia.

Jego rozgoryczenie rośnie z każdym rokiem, który zmuszony jest spędzić z dala od rodzinnych stron.

Dobre to były czasy, cóż, kiedy się skończyły prędko. Ojciec stary już był, żeniąc się. Miał też postrzał, który mu się dostał pod Daszowem i drugi z Kaukazu – więc i zmarło mu się przed czasem. Po śmierci, jak zwyczajnie z wdową, przyszły kłopoty, procesa, długi. – Ludzie

¹⁴⁸ *Ibidem*, s. 40.

¹⁴⁹ *Ibidem*, s. 41.

niepocziwi rozdrapali ojcowiznę i biedne matczyśko zostało ze mną, siedmioletnim chłopakiem i z mniejszą siostrzyczką, jak to mówią, na lodzie¹⁵⁰.

Bohater opowiada językiem prostym, ale przecież niewolnym od emocji. Po śmierci ojca matka oddaje go do warsztatu rymarskiego niejakiego Dymnickiego. Jak twierdzi, nie było mu tam źle, mimo że większość czasu spędzał teraz na ciężkiej pracy, będąc wciąż dzieckiem. Sporo w tym zapewne idealizacji (a nawet mitologizacji) lat dziecinnych, kiedy nawet minione, dziecięce smutki zdają się lepsze od problemów, jakie niesie ze sobą dorosłe życie na obczyźnie. Bystrzewski raz jeszcze wraca do kwestii powstania, w które zaangażował się, będąc już uczniem w warsztacie: „Jak tam było z tym lasem, gadać długo nie będę. Ot — było i skończyło, się. Gorsze przyszło potem. Trzeba było w świat iść, w kraj cudzy, między obcych ludzi (...)”¹⁵¹.

Losy Bystrzewskiego są więc typowymi losami polskiego zesłańca. Gnatowski pragnie podkreślić zdolność takich ludzi do tęsknoty za ojczyzną. Bohater, mimo szybkiej adaptacji w środowisku niemieckim, nie jest w stanie niczym zastąpić pragnienia powrotu do matki. Wpisuje się ta opowieść we wcześniejsze tradycje i idee romantyczne, takie jest też w niej rozumienie patriotyzmu – patriotyzmu, któremu w zasadzie podporządkowuje się całe życie i który jest najważniejszym obowiązkiem wysiedlonego Polaka.

Bystrzewski z początku realizuje literacki motyw *homo viator*, blakając się po Krakowie, Wiedniu, Monachium i innych miastach, próbując znaleźć tymczasową pracę i planując powrót w rodzinne strony. Wkrótce staje się dla niego jasne, że plan jest niemożliwy do zrealizowania. Przez pierwsze dwa lata bohater zdaje się, przynajmniej częściowo, zapominać o tęsknocie za Humanem – przysłania ją zachwyt nad wielkimi miastami, ich splendorem, pędem, życiem tak odmiennym od tego, które znał dotychczas. Później jednak powraca uczucie chronicznej pustki:

Już mnie wtedy i wielkie miasta i piękne pałace i kościoły przestały ciekawić i cieszyć. Pokazują mi ludzie: przypatrz się, oglądaj, jakie to piękne! A mnie w głowie matka, siostra, warsztat Dymnickiego, Humań...

I wtedy to zaczęła się ta moja choroba nieszczęsna, tęsknota przeklęta.

Z początku myślałem, że to przejdzie, jak wiadomość dostanę. Kilka lat minęło – aż wreszcie spotkałem obywatela jednego, pana Świrskiego z pod Humania, który u Dymnickiego sprawunki robił i bywał często w Bereźnej, gdzie matka służyła. (...) W miesiąc miałem list od matki. Żył się jej jako tako, chleb był, tylko sił brakowało. Siostra też podrasła...

¹⁵⁰ *Ibidem*, s. 44.

¹⁵¹ *Ibidem*, s. 45.

I cóż ksiądz powie? Od czasu, jak zacząłem mieć wiadomości od swoich, zrobiło mi się gorzej, niż przedtem. Byłem niby to spokojny o ich życie i los, a serce rwało się boleśniej¹⁵².

Bystrzewski stara się radzić sobie z wyniszczającym uczuciem na różne sposoby. Opowiada księdzu, że miał w zwyczaju uciekać przed ludźmi w samotność, płakać całe godziny, spacerować długo po polach, z dala od miasta – wreszcie – raz po raz zmieniać miejsce zamieszkania i środowisko, by odciągać myśli od tęsknoty, która przychodziła zawsze w okresach bezczynności. „Uciekałem tak sam przed sobą nie raz i nie dwa. Pomagało na chwilę – potem wracało nieszczęście”¹⁵³ – konstatuje. Przejawia więc bohater tendencje nie tylko eskapistyczne, ale i masochistyczne: „(...) padam na ziemię i gryzę ją zębami i szarpię pazurami, aż się krwawię, i wyję, jak ten wilk zgłodniały”¹⁵⁴.

Żaden z tych sposobów nie pomaga na dłużej niż kilka dni. Jednego tylko nie jest w stanie zrobić, choć usilnie namawiają go do tego koledzy: sięgnąć po alkohol. Wie bowiem, że z tej drogi nie będzie już odwrotu. Bystrzewski rozumie, że chęć walki z tęsknotą za pomocą alkoholu jest czymś w rodzaju diabelskiej pokusy, testu, z którego musi wyjść zwycięsko. Póki co udaje mu się to, ale tylko dlatego, że wpada na pewien pomysł: spróbuje wrócić do Polski *incognito*.

W tym czasie przebywa u pewnego majstra w Norymbergii, który ukochał go jak własnego syna i chciał wydać za jedną z córek, niezwykle urodziwą i miłą Hildę. Wojciech jednak, mimo szczerej sympatii do tego domu, nie może wybrać łatwego i wolnego od trosk życia na obczyźnie, jeśli wciąż tli się w nim nadzieja powrotu do kraju. Pozostaje wobec tego wierny swoim ideałom, choć wiąże się to z tułaczką i cierpieniem.

I ot, zerwało się w tej biednej mojej duszy – niczem wichry i burze. Zerwało się, zaczęło mną kręcić jak potępieńcem i jak wąż gryźć serce – aż jednego dnia odpiąłem fartuch, i poszedłem do majstra pokłonić się o jurgielt i abszyt. Stary robotę na ziemię upuścił.

– Rozum straciłeś, krzyknął. Do twoich za kordon dostępu już niema, a do Galicji chcesz? Takich, jak ty, nie przyjmą tam. To nie nasza niemiecka ziemia, każdemu gościnna i rada.

Cytował mi przykłady, odradzał, zaklinał, żebym się nie gubił na darmo. Hilda płakała. I ja ocierałem oczy. Ludzi dobrych żal było, Hildę bardzo już polubiłem, boć dziewczyna była jak ten ptaszek, ale cóż? Ciągnęło mnie do ziemi swej, ciągnęło jak kleszczami¹⁵⁵.

¹⁵² *Ibidem*, s. 47.

¹⁵³ *Ibidem*, s. 48.

¹⁵⁴ *Loc. cit.*

¹⁵⁵ *Ibidem*, s. 50.

Do czego dokładnie tęskni Wojciech Bystrzewski? Możliwe, że on sam nie jest w stanie w pełni odpowiedzieć na to pytanie. Na tym etapie jednak przede wszystkim myśli o wciąż jeszcze żyjącej matce. Być może gdyby wyjechała z nim za granicę, wcale nie porzuciłby wszystkiego, by wracać do niegościnnego Humania.

Że Humań po dziesięciu latach tułaczki okaże się niegościnnie, o tym bohater będzie mógł przekonać się dopiero teraz, podczas pierwszej próby powrotu do kraju. W głębi duszy musi przyznać rację staremu majstrowi – oto bowiem Niemcy – zaborcy! – okazali mu więcej miłości, pomocy i zrozumienia, niż rodacy.

Pierwsze wrażenie po powrocie jest raczej pozytywne. Bystrzewski uczestniczy w nabożeństwie w Kościele Mariackim na Rynku w Krakowie. W sentymentalnym opisie swoich wrażeń z mszy zwraca przede wszystkim uwagę na znajomy, polski „chaos”: Niemieckie kościoły cechują się czystością, schludnością i porządkiem, w polskich ciżba ciśnie się tłumnie przed ołtarz, śpiewając wzruszające pieśni religijne. Staje się to pretekstem do stwierdzenia, że w Polsce wszystko jest „bliższe sercu”. Zwraca się do księdza tymi słowami:

A czemuż jednak, proszę pana, u nas inaczej, piękniej zieleni się na polach, czemuż u nas lepiej pachnie trawa i kwiat na łące, i burzan stepowy? (...) Czemuż to tak?

– Ojczyzna – szepnąłem¹⁵⁶.

„Ojczyzna” staje się ideą, symbolem wszystkiego co minione, utracone i niedostępne. Nawet polskie wady zyskują znamiona zalet w oczach bohatera, gdyż wie, że nie może powrócić tu na stałe. Ziemia polska i naród je zamieszkujący podlegają swoistej idealizacji, a nawet sakralizacji. Tak jest przynajmniej do momentu, w którym następuje niejako zjednoczenie podczas nabożeństwa. Rozczarowanie przychodzi następnego dnia.

Podczas błądzenia po krakowskich uliczkach w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy, Bystrzewskiego spotykają jedynie odmowy. Zawiedziony, głodny, na granicy załamania, wreszcie wybucha:

„A jaż nie swój?” – wołam – „a jaż z innej krwi, z innej ziemi?” – „A pewnie, że z innej. Nie ztąd przecie – z za granicy. Dla nas Kraków, Galicja, to swoja ziemia, a wy tam spod Moskale – co nas możecie obchodzić? Idźcie do swoich, a naszym chleba nie bierzcie”.

– A przecież ja tam iść nie mogę – powiadam – chciałbym, ale nie mogę, nie puszczają.

– A to wracajcie między Szwabów, kiedy wam tam dobrze było. Tu nic po was.

¹⁵⁶ *Ibidem*, s. 51.

– Ależ ja krew swoją lałem za tę ziemię – krzyczę w rozpacz – a wy mi za to spoczynku na niej i kawałka chleba żałujecie ?

– A nas co to obchodzi? I owszem. Tem gorzej jeszcze dla was. Dla tego samego was nie weźmiemy. Warchołów nam nie trzeba. Dość już przez was i wam podobnych nieszczęść¹⁵⁷.

W Krakowie przyjdzie bohaterowi poznać rozczarowującą i bolesną prawdę – ci ludzie, za którymi tęsknił przez dziesięć lat tułaczki i za wolność których walczył w powstaniu styczniowym, w gruncie rzeczy uważają go nie tylko za warchołę, awanturnika – ale co gorsza – za obcego! Ten, kto pochodzi z Humania, nie jest przez Polaków z Galicji postrzegany jako rodak, ale ktoś „zrusycyzowany”, nietutejszy, właściwie nie mający praw do tego, by nazywać i czuć się ich rodakiem. Bystrzewski posuwa się nawet do stwierdzenia, że musiał się „tułać z kąta w kąt szukając tego chleba, którego starczyło dla każdego, dla wiedeńskiego Niemca, dla Węgra, dla żyda”, tylko nie dla niego¹⁵⁸.

Wydaje się, że przytoczony przez Gnatowskiego dialog bohatera z niegościnnymi chlebobdawcami jest niezwykle sztuczny, steatralizowany i mało prawdopodobny. Ale przecież sam cel opowiadania też jest inny, niż jedynie estetyczno-literacki. Podobna egzageracja ma zapewne służyć wzruszeniu czytelnika, które z kolei wpłynie na moralną naukę, jaką wyciągnąć można z tej opowieści. Tego typu sytuacje zdarzały się wtedy przecież niemalże codziennie, a mieszkańcy poszczególnych dzielnic walczyli o prawo nazywania się Polakami, wyszukując w sobie nawzajem czy to śladów „zniemczenia” na Zachodzie, czy „zrusycyzowania” ziem wschodnich. Czyżby więc celem Gnatowskiego było niejako wywołanie w czytelniku poczucia wstydu, skrępowania, czy zakłopotania, że tak muszą wyglądać losy zesłańców?

Bystrzewskiemu nie udaje się przedrzeć do Humania, by zobaczyć matkę i siostrę. Postanawia więc wrócić do Niemiec – a zaledwie podejmuje tę decyzję i znajduje się w Oderbergu, już ktoś decyduje się dać mu pracę.

Im dalej od kraju, tem lepiej szło, ale w sercu tem ciężiej było. Ot – głupi człowiek, nie ma co i mówić. Inny plunąłby na wszystko, powiedziałby: „tu mi dobrze, tu mi ojczyzna”, o starym kraju ojców aniby pomyślał – i doszedłby do czegoś. Niemiec pewnieby tak zrobił: ja nie mogłem. Chciałem, Bóg wie, że chciałem. Wmawiałem w siebie, że to głupstwo, słabość, dzieciństwo, że skoro mnie nie chcą na swojej ziemi, to i ja bez niej się obejdę. Ludzie życzliwi raz wraz mi gadali: „Dobrze ci tu, co masz dalej darmo szczęścia szukać, zostań, ożeń się, warsztat załóż, nie

¹⁵⁷ *Ibidem*, s. 54.

¹⁵⁸ *Ibidem*, s. 55.

pożałujesz”. I pieniądze i kredyt i pomoc wszelka – niczego nie brakło. Ale cóż? Serce buntowało się, silniejsze było od rozumu¹⁵⁹.

Do Niemiec bohater wraca tylko na kilka miesięcy. Tęsknota nie pozwala mu na dalszą pracę, toteż po odłożeniu pieniędzy postanawia tym razem postawić wszystko na jedną kartę – i wrócić do rodzinnego miasta. Nie zatrzymuje się już Krakowie, ale podróżuje bez ustanku na Wschód, większość drogi przebywając na pieszo, kryjąc się po lasach przed wścibskim wzrokiem rodaków i zaborców, którzy pytaliby go o dokumenty.

Wreszcie, po długiej i niebezpiecznej wędrówce, trafia do Humania, by przeżyć kolejne rozczarowanie:

Chatę naszą pamiętałem, białą, schludną, aż miło, dokoła bzy kwitły i wiśnie dojrzewały latem. Teraz rudera została bez płota, z połową dachu, z powybijanymi szybami, rudera, a w niej żydowstwo¹⁶⁰.

Bystrzewski odkrywa z przerażeniem, że jego dawny dom rodzinny zmienił się w „rudere”. Żydzi zajmują także dawny warsztat Dymnickiego. Nieostrożny, powodowany wzruszeniem bohater postanawia wypytać mieszkańców miasteczka o losy rymarza, o matkę i siostrę. Właściciel sklepu bacznie przypatruje się bohaterowi, a czytelnik już przeczuwa, że prawdopodobnie to Żydzi z miasteczka wydadzą Bystrzewskiego władzom rosyjskim.

Warto zaznaczyć, że bohater wciąż nie rozumie swoich uczuć względem ojczyzny. Teraz bowiem nastąpiło już swoiste obalenie mitu – kraj, jaki pamiętał z dzieciństwa, odszedł bezpowrotnie, zmienił się, stał się niegościnnie i obcy. Dlaczego więc wciąż chce tutaj wracać i do czego konkretnie tęskni? Próbuje wytłumaczyć sobie własne emocje, pyta nawet o zdanie księdza:

Proszę mi to wytłumaczyć: pan, jako uczony na książkach, musisz to lepiej wiedzieć, niż taki, jak ja, prostak. Dlaczego to człowieka tak ciągnie do tego kąta, gdzie wzrósł, do ludzi, których znał młodym? Bo że temu tęskno i żal, kto miał dostatki, powodzenia, jednym słowem, komu w oczy wiatr nie wiał i świeciło słońce, to jeszcze nie dziwota. Ale bierz pan takiego biedaka, jak ja. Własną chatę ledwie jak przez sen pamiętam, a potem — co ja naprawdę dobrego zaznałem w warsztacie, wśród cudzych ludzi, niechby i poczciwych, ale prostych i przywykłych do poniewierania młodszymi! A przecież serce rwało mi się do nich i do tych miejsc, gdzie z nimi

¹⁵⁹ *Ibidem*, s. 55.

¹⁶⁰ *Ibidem*, s. 57.

żyłem — i choć ten Humań pusty teraz stał się dla mnie jak cmentarz, żal z niego było odchodzić
nocą, och, jak żal!¹⁶¹

Kreacja matki także ulega idealizacji – opisana jest niemalże jako święta. Bystrzewski nie potrafi ubrać swych uczuć w piękne, wzniosłe słowa, ale opowiada o niej w prosty i wzruszający sposób. Ona właśnie jest głównym powodem tęsknoty bohatera, ona jedna, w zmienionym i niegościnnym kraju pozostaje taką, jaką była w okresie dzieciństwa Bystrzewskiego. Teraz wraca do matczynej chaty, zakradając się w nocy – tak samo, jak czynił to dziesięć lat temu, uciekając w jej ramiona z zakładu Dymnickiego. Zastaje ją w stanie niemalże agonalnym, na kilka dni przed śmiercią. Motyw ten, pomimo braku oryginalności, wciąż budzić może wzruszenie czytelników. Ponowne spotkanie matki z synem w obliczu zbliżającej się śmierci zakłócone zostaje przez reprezentantów władz zaborczych. Jak dowiaduje się bohater od jednej z sąsiadek matki, donieśli na niego Żydzi z miasteczka. Ukrywając się w pobliskim lesie, postanawia powrócić do chaty, gdy rosyjscy żandarmi odejdą. Niestety – jest już za późno:

Spojrzała na mundur ze świecącymi guzikami – na czerwoną, brodatą twarz z czapką białą na głowie i krzyknęła przeraźliwie o ratunek.

– Oni mi go biorą, Wojtusia mego, oni go porwać chcą! Nie dam go, nie dam! Ludzie ratujcie, ratujcie !

Krew rzuciła się jej ustami i piana. Upadła na posłanie, wijąc się w konwulsjach. Żandarm przestraszony cofnął się i uciekł – ale w parę godzin matka moja biedna skołała z moim imieniem na ustach, wzywając mnie, błagając, żeby mnie sprowadzić¹⁶².

Winą za śmierć matki Bystrzewski – ale także i autor – obarczają brutalnego Rosjanina, który nie uszanowawszy stanu chorej, naraził ją na strach i wzruszenia, jakie okazały się ponad jej siły.

Po tym zdarzeniu bohater powrócił do Niemiec – złamany, zgorzkniały, pełen smutku pomieszanego z nienawiścią, ale i zdziwieniem: myślał wszakże, że po stracie matki uporczywa i gryząca go tęsknota za Humaniem minie, ale ona wciąż nie chciała odejść. Pozostaje ucieczka w świat nałogu:

Zacząłem pić. Ach, księżo, straszna to, piekielna iście moc w tym trunku. Człowiek zrozpaczony, z sercem pełnym bólu i jadu, i nienawiści, gotów, zdaje się, petlę na szyję sobie

¹⁶¹ *Ibidem*, s. 58.

¹⁶² *Ibidem*, s. 67.

zarzucić albo drugiemu łeb rozbić. Chwyta pełną czarękę, wychyla, po niej drugą – i naraz mija wszystko. Smutek podział się gdzieś, troska gnieść przestała. Przed chwilą Łazarz byleś, życie niosłeś jak ciężar i mękę. – Teraz bogacz z ciebie, pan, król. Świat cały śmieje ci się, leży u twoich nóg. Ot, ułuda diabelska po prostu, ale jaka w niej siła!¹⁶³

Od tego momentu wyraźnie dostrzec można, do jakiego stopnia kreacja bohatera napisana jest „ku przestrodze” i w większości pozbawiona indywidualnych rysów. Jego historia – dzieje złamanego człowieka, który ucieka w nałóg – mają być ostrzeżeniem dla tysięcy jemu podobnych, ale też portretem dziecięcia wieku, Polaka-wysiedleńca z niższych sfer.

Wtedy w życiu Bystrzewskiego pojawia się, jak sam to określa, zesłany przez Boga Anioł Stróż – kobieta. Gnatowski po raz kolejny wprowadza do utworu postać cierpliwej i cnotliwej „Penelopy”, która może stać się jedynym ratunkiem dla zagubionego, pogrążonego w depresji mężczyzny.

Celowo podkreślono chwilowość tego motywu, bowiem nawet w okresie pełni rodzinnego szczęścia, kiedy Bystrzewski dalekim jest od ponownego pogrążenia się w nałogu, coś wciąż przeszkadza mu w osiągnięciu spełnienia. Tłumaczy spowiednikowi:

I przyszło mi z nią zdrowie, dobrobyt, szczęście rodzinne i spokój, przyszło dziecko wreszcie. Wszystko mi dała, czego dusza moja mogła zapragnąć... prócz jednego tylko.

Znów zamyślił się, ale rzecz dziwna, posępniej, niż przedtem, choć słowa jego były słowami szczęśliwego człowieka¹⁶⁴.

Wojciech przedstawia księdzu swoją żonę, trzydziestoletnią Szwajcarkę. Pomimo bijącego od niej ciepła i rodzinnej atmosfery panującej w skromnym domku, żona nie może zwalczyć męzowskiej tęsknoty za ojczyzną – czy dlatego, że nie jest Polką?

Wojciechowa opowiada księdzu o pierwszym spotkaniu z ukochanym, które miało miejsce w kościele. Gnatowski stosuje tu znany motyw – oboje zostają po mszy w swych ławach, by nieco dłużej się pomodlić. Później spotykają się w przedsionku, idą na spacer – i tak rozpoczyna się ich związek. Bürgel postanawia dźwignąć z upadku swego ukochanego:

I wtedy po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że tego człowieka, upadającego z tęsknoty i osamotnienia, może podnieść i uratować serce kochające, zdolne mu zastąpić daleką ojczyznę i rodzinę. I pomyślałam sobie, że dla kobiety, dla chrześcijanki, byłoby to zadanie piękne

¹⁶³ *Ibidem*, s. 69.

¹⁶⁴ *Ibidem*, s. 70.

i pociecha nie miała stać się tą dźwignią w łamiącym się życiu, dać nieszczęśliwemu szczęście, ocalić od zguby jego duszę¹⁶⁵.

Na początku rodzinne szczęście przyćmiło dawną tęsknotę, ale z miesiąca na miesiąc Wojciech czuł się coraz gorzej, wreszcie – uciekł z domu. Jedyne strach o wątłego i chorowitego synka zmusił go do powrotu po kilku miesiącach. Żona – wciąż na wzór Penelopy – cierpliwie czekała, nieustannie modląc się o jego zdrowie.

W tym miejscu narrator nagle urywa swą opowieść, a akcja znów przenosi się do szlacheckiego dworu, gdzie zasłuchani goście zastanawiają się nad dalszymi losami Wojciecha.

Spędziłem z temi pocziwemi ludźmi cały wieczór bardzo mile i uściskałem serdecznie ich dłonie, żegnając i obiecując napisać z kraju, gdy wrócę. Wróciłem po roku i niedługo po powrocie napisałem do St. Gallen, Nie dostałem odpowiedzi. (...)

Co się stało z Wojciechem Bystrzewskim, co z jego pocziwą żoną i Tadzkiem ? Nie wiem. Ale ilekroć myślę o nich, serce ściska mi się boleśnie. Może los rzucił ich gdzieś indziej, może wrócił do ojczyzny wygnańca... Może... Nie sądzę jednak. Zdaje mi się raczej, że już to ciche, miłe, chrześcijańskie gniazdko rodzinne zmiotł i zniszczył wichur przeciwny, że nadzieje biednej, szlachetnej Bürgel zawiodły w końcu, po latach, i że liść oderwany od ojczyznowego drzewa, znów się gdzieś tuła po szerokich gościńcach świata, unoszony burzą, co tyle już innych rozniosła¹⁶⁶.

W tym miejscu dochodzi do zmiany narratora, lecz nie samej narracji – tak jak poprzednio osoba mówiąca ujawnia się, ale dalszej historii nie opowiada już ksiądz proboszcz, a anonimowy narrator z początku utworu. Znajdujemy się więc na powrót w większej ze „szkatulek”, wspinając stopniowo ku górze, gdy zbliża się zakończenie historii. Wtem odzywa się jeden z gości – dziwny przypadek sprawia, że dalsze losy Wojciecha Bystrzewskiego są mu znane. Widać wyraźnie jak chęć dopełnienia historii przeważała tu nad zasadą prawdopodobieństwa wypadków. Gnatowski decyduje się na przedstawienie całego życia swego bohatera, miast urwać opowieść wtedy, gdy zdawałoby się, że dzięki rodzinie wychodzi on na prostą. Jeden z zebranych w salonie gości, Alfred, przypomina sobie nagle, że także znał Bystrzewskiego. Jak się okazuje, życie nie szczędziło Wojciechowi dalszych tragedii:

¹⁶⁵ *Ibidem*, s. 76.

¹⁶⁶ *Ibidem*, s. 79-80.

Dziecko jedyne umarło mu niedługo jakoś zapewne po bytności księdza w St. Gallen. Żona chorować zaczęła – w nim obudziła się z całą furią dawna, przez lat kilka uśmierzona i tłumiona tęsknota. Porzucił wszystko, żonę oddał na opiekę rodziny jej i w świat poszedł, bez powrotu tym razem¹⁶⁷.

Stało się więc to, co musi stać się z każdym „wysadzonym z siodła”. Kilka lat później, jak relacjonuje opowiadający pan Alfred, znaleziono jego ciało w lesie niedaleko Polskiej granicy.

Nogi tylko prawie bose były i pod grubą warstwą błota i lodu, krwią skrzeplą i strupami okryte. Siedział oparty o drzewo, z twarzą zwróconą w tę stronę, do której rwał się i tęsknił przez życie całe. Prawą rękę schowaną miał w zanadru i zaciśniętą silnie. Wyjąłem z niej pakiecik i rozwinąwszy,łożyłem na powrót i wsunąłem w dłoń skostniałą, aby poszedł do grobu z umarłym.

W pakieczku był stary szkaplerz, medalik zaśniedziały, pukiel jasnych dziecinnych włosów i osobno zwinięta, w proszek rozsypała odrobina czarnej ziemi¹⁶⁸.

3.4.2. Z CIĘŻKICH DNI I KRA! KRA! KRA! JAKO PRZYKŁAD LOSÓW KSIĘŻY PODCZAS REPRESJI POPOWSTANIOWYCH

Dwa kolejne utwory prezentują alternatywne losy kapłanów podczas represji nasilonych po klęsce powstania styczniowego, tym samym wpisując się w narodowowyzwoleńczą tematykę tomu *Z doliny łez*. Pierwszy – *Z ciężkich dni* – nosi podtytuł: „Wspomnienia szkolne”. Czy inspirowany jest reminiscencjami samego autora? Być może – wszakże po klęsce powstania styczniowego miał osiem lat, był więc w wieku bohaterów utworu.

Ta krótka nowela, czy może nawet szkic literacki, zarysowuje przed czytelnikiem historię księdza Wierzejskiego. Jest szkolnym katechetą, którego z uwagi na szorstki charakter i trudność w obyciu uczniowie nie darzą sympatią. Sytuacja zmienia się w momencie, gdy władze zaborcze wprowadzają przymus lekcji religii po rosyjsku i nauk wschodniego obrządku, by wypłenić z młodych uczniów katolicyzm. Nielubiany dotychczas kapelan staje się „ostatnim bastionem” polskości, krzewicielem nauk Chrystusa, miłości ojczyzny i szacunku do Kościoła, w znaczeniu zarówno wspólnoty wiernych, jak instytucji.

Utwór rozpoczyna opis dialogu kilkorga uczniów, którzy przed rozpoczęciem lekcji wymieniają się najświeższymi wiadomościami dotyczącymi represji. Mimo młodego wieku

¹⁶⁷ *Ibidem*, s. 85.

¹⁶⁸ *Ibidem*, s. 91-92.

rozumieją powagę sytuacji – Gnatowski idealizuje w ten sposób dzieci, przekonując czytelników, że ich infantylnosc znika w obliczu tragedii narodowych. Solidarni z żołnierzami, choć za młodzi by walczyć – chłopcy nie boją się przeciwstawić rosyjskim nauczycielom, nawet jeśli grozi to poważnymi konsekwencjami:

Dni te pełne były jeszcze straszliwych wspomnień niedawnej burzy – nowe klęski przychodziły bez ustanku, gorszych jeszcze obawiano się, oczekiwano co chwila. Żył się w podnieceniu ciągle, w strachu, w gorączce. I my, choć bardzo młodzi, odczuwaliśmy i rozumieli to, co się działo w koło nas. Zamiast myśleć o piłce, cukierkach lub koniku, zamiast płać figle studenckie i rozpalać się do amerykańskich awantur myśliwskich Coopera i Meyne Reade'a, myśmy wsłuchiwali się ukradkiem w rozmowy starszych i powtarzali szeptem gorączkowym, z dodatkami dziecinnej wyobraźni, najświeższe wieści o prześladowczych ukazach, o zsyłkach, o zamykaniu kościołów, o coraz to sroższym ucisku w szkołach¹⁶⁹.

Jeden ze szkolnych kolegów narratora przynosi z domu straszną plotkę – oto zamierzają zesłać na Syberię starego księdza Wierzejskiego, jeśli ten nie zgodzi się na udzielanie lekcji religii po rosyjsku. Początkowo wspominają liczne krzywdy, jakich doznali z jego rąk, potem jednak dochodzą do wniosku, że wszystko robił dla ich własnego dobra. Gdy bił ich i łątał w obecności innych za nieznaną katechizmu, tłumaczył:

To ty hultają tego się nie uczysz? Katolickiej wiary? I po polsku? To wolisz może tak? (Mówiąc to, wskazywał palcem rosyjskie napisy na mapie wiszącej nad katedrą.) A może lepiej jeszcze tam? (I znów palec jego zwracał się w stronę auli, gdzie niewielka garstka uczniów należących do panującej narodowości słuchała wykładów swojej religii.) Tak wolisz? Tam wolisz? I myślisz może, żeś wart być katolikiem – Polakiem?

Każdemu z zapytań towarzyszyło bolesne targnięcie za ucho lub boleśniejsze uderzenie trzcina. Nazywaliśmy to pytkami księdza Cytryny¹⁷⁰.

Podobne upokorzenia zdają się naraz uczniom milsze od perspektywy „religii po moskiewsku”, jaka czeka ich w najbliższej przyszłości.

O postawie księdza Wierzejskiego pisze ks. Czesław Galek w artykule pt. *Wychowanie religijne dzieci i młodzieży szkolnej na ziemiach polskich przełomu XIX i XX wieku w świetle literatury pięknej i pamiątkarskiej*:

¹⁶⁹ J. Łada [Gnatowski], *Z ciężkich dni*, [w:] *Z doliny łez*, Lwów 1900, s. 94-95.

¹⁷⁰ *Ibidem*, s. 97.

Ks. Wierzejski w obliczu prześladowania katolików w zaborze rosyjskim akcentował w swoim nauczaniu tematykę męczeństwa pierwszych chrześcijan, czyniąc aluzje do czasów współczesnych i zachęcając przez to uczniów do trwania przy wierze i Kościele¹⁷¹.

Na kilka tygodni przed wywózką na Sybir stary ksiądz staje się ulubionym wykładowcą uczniów, ich mentorem i „duchowym ojcem”. Kazania, które im głosi, mogą być kazaniami samego autora, bowiem ów bohater podziela światopogląd Gnatowskiego – tylko religia katolicka jest w stanie podtrzymać poczucie patriotyzmu w Polakach, tylko w naukach Kościoła uczniowie znajdują wzorce prawego i godnego życia, które winny być wpajane od najmłodszych lat. Ksiądz nie poprzestaje zresztą na wskazówkach moralnych, prezentowanych uczniom w czasie samych lekcji – starszych chłopców zaprasza do siebie, pożyczając im książki niedopuszczone przez cenzurę, a więc z punktu widzenia carskich władz – jest wicherzycielem. Być może z tego samego powodu carska policja poszukiwała Gnatowskiego? Był wszakże ścigany za „działalność wśród młodzieży”.

Wreszcie stary kapelan wygłasza ostatnią przemowę, zaledwie kilka minut przed nadejściem carskich urzędników. Wspomina w niej o konieczności pozostawienia za sobą krainy dzieciństwa i prędkiego wydoroslenia, bowiem młode pokolenie jest teraz jedyną nadzieją polskiego narodu:

Dotąd nie wszystko tutaj, w szkole, było rozdźwiękiem i zaprzeczeniem tego, czego was uczył dom pocziwy, co katolickie, polskie ognisko rodzinne wszczepiało w wasze dusze. Obcy ludzie próbowali w was wpajać obce myśli, obce uczucia, błotem i szyderstwem obrzucać przeszłość, wiarę, naród, gasić w sercach świętą iskrę Bożą. Wszystko łączyło się i pracowało w tym celu koło was. Ale był jeden wyjątek, jeden punkt oparcia dla was, jedna godzina, w której uczono was całkiem czego innego. Owszem. Na tej lekcji religii słyszeliście, że to, co wykladał profesor historii i to, o czym pisał podręcznik literatury, to były nieraz fałsze i oszczerstwa. Słyszeliście pod osłoną, aleście to rozumieli tak dobrze, jakie są obowiązki wasze w tych czasach, tak twardych, w warunkach tak trudnych¹⁷².

Jak pisze Jakiel: „(...) zamiast kursu dogmatyki (zupełnie nieprzystawalnego treścią do możliwości percepcyjnych uczniów), [ksiądz] kreślił im opowieści z pierwszych wieków chrześcijaństwa”¹⁷³. Próbował bowiem utwierdzić – niejako „w ostatniej chwili” – swych wychowanków w wierze, dodać im otuchy i przypomnieć wzorce do naśladowania.

¹⁷¹ ks. Cz. Galek, *Wychowanie religijne dzieci i młodzieży szkolnej na ziemiach polskich przełomu XIX i XX wieku w świetle literatury pięknej i pamiętnikarskiej*, „Studia Pastoralne” 2009, nr 5, s. 217.

¹⁷² J. Łada [Gnatowski], *Z ciężkich dni...*, s. 115.

¹⁷³ E. Jakiel, *Księdza Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 367.

To krótkie opowiadanie włączyć można do zbioru wspomnianych już kilkakrotnie „zbeletryzowanych kazań” księdza Gnatowskiego. Napisał je w 1896 r., a więc w czasie, gdy od sześciu lat miał już posadę gimnazjalnego katechety we Lwowie. Przesłanie, jakie niósł swoim (prawdopodobnie młodym) czytelnikom, było wciąż aktualne, mimo kilkudziesięciu lat, jakie upłynęły od klęski styczniowej: pamięć o dziedzictwie narodowym, o zasadach religii katolickiej i o cnotliwym, świadomym życiu, ale też – pamięć o męczennikach i zesłańcach, którzy nie ugięli się pod presją zaborców, jak ojciec Wierzejewski. Tym samym ów krótki szkic zawiera – w skondensowanej formie – całą filozofię księdza Gnatowskiego.

Kolejny utwór, przez recenzentów uznany za: „pod względem architektonicznym stanowiący może najbardziej wykończoną całość”¹⁷⁴, prezentuje inne losy kapłana-zesłańca. Głównym bohaterem opowiadania pt. *Kra! Kra! Kra!* jest ksiądz Władysław Chrzęściak, Litwin, który od wielu lat mieszka poza granicami kraju. Jego kreacja z początku w dość bezpośredni sposób nawiązuje do biskupa Myriel z *Nędzników* Wiktora Hugo. Ludzie w miasteczku Rionney-sur-l'Yll cenią sobie działalność polskiego księdza, uważają go za człowieka odważnego i pobożnego, a nawet ci, którzy otwarcie krytykują duchowieństwo, darzą go szacunkiem.

Podobnie jak w przypadku pozostałych utworów z tomu, o powstaniu styczniowym wspomina się używając języka ezopowego:

I wszystko to przeszło, minęło, rozwiało się prawie bez śladu. Piorun uderzył w szlacheckie gniazdo, zalały je fale obce, płynące z daleka. Ci co żegnali niegdyś młodzieńca, z pieśnią wesołą i zbyt śmiałą nadzieją biegnącego w bój nierówny, oni już dawno ułożyli się do snu na cudzych cmentarzach, zdała od ojcowskich grobów¹⁷⁵.

Po klęsce styczniowej Chrzęściak ucieka z kraju, postanowiwszy zostać księdzem. Rozumie, że nie może prędko powrócić do swego starego dworu, który przeszedł w ręce władz zaborczych (tak jak Skarżynówka – rodzinny majątek Gnatowskich), a treścią swojego życia młody kapłan postanawia uczynić pomoc sierotom.

Pierwszy bezdomny, którego przygarnia Chrzęściak, to mały dzikus imieniem Jacquot. Jest to kilkuletni złodziej bez żadnej rodziny, zmuszony przez swego opiekuna-pijaka do kradzieży i regularnie bity. Nie ma na świecie nikogo, kto chciałby mu pomóc. Ksiądz jest jedyną osobą w miasteczku, która okazuje mu sympatię. Wnikliwy czytelnik zauważy kilka

¹⁷⁴ [b.a.], *Jan Łada. Z doliny łez*, „Gazeta Lwowska” 1900, nr 178, s. 3.

¹⁷⁵ J. Łada [Gnatowski], *Kra! Kra! Kra!*, [w:] *Z doliny łez*, Lwów 1900, s. 195.

podobieństw do fabuły *Nędzników* – tak samo, jak biskup Myriel zaprasza do siebie Jeana Valjean, ofiarowuje mu ciepły posiłek i miejsce do spania, tak też ksiądz Chrzęściak zaprasza Jacquota na plebanię, mimo protestów pani Madellon, jego gospodyni. Tu podobieństwa z francuskim hipotekstem wcale się nie kończą, bowiem zupełnie jak Valjean, Jacquot okrada księdza i ucieka z plebanii, miał podziękować za gościnę. Kilka dni później wraca jednak na stałe, targany wyrzutami sumienia.

Jacquot wszedł, zjadł wieczerzę, przeznaczoną dla księdza Władysława, wyspał się pod jego kołdrą na jedynej księdza poduszce – i został już.

Nie uciekał więcej.

Niedługo potem dostał kolegę. Stara wyrobnica, mieszkająca kątem u młynarza, zmarła jakoś zaraz po Nowym roku. Zostało kilkoro sierót. Dziewczęta rozebrali ludzie litościwi. Chłopca nikt wziąć nie chciał.

– Zbyt wielki urwisz z niego – mówiono – niebezpiecznie. (...)

A potem przyszli jeszcze inni.

Trudno było oczywiście ich trzymać na plebanii. Nawet na archeologiczną cierpliwość proboszcza było tego za wiele. Ksiądz Władysław wynalazł jakiś kącik w najstarszej ruderze w Rionney – sam piłował, ciosał, czyścił, murował przez tydzień i urządził dla swoich pupilów schronienie.

Nazajutrz miał ich już piętnastu, a gdy przyszło następne Boże Narodzenie, dwa razy tyle już świeżych dziecinnych głosów śpiewało dokoła małego Jezusa z wosku, otoczonego choinką i świeczkami (...) ¹⁷⁶.

Mija dziesięć lat. Sierot przybywa, a ksiądz Chrzęściak potrzebuje pieniędzy, by ich wykarmić. Liczba chłopców wzrasta do kilkunastu, a następnie do kilkudziesięciu. Ów nieoczekiwany, narracyjny przeskok w czasie znajdzie swoje wytłumaczenie dopiero po przeczytaniu całości utworu. Tymczasem jednak Jacquot dorasta i staje się najlepszym, najuczciwszym ślusarzem w okolicy. Oddaje księdzu oszczędności odkładane od kilku lat na swój ślub, dziękując za wspaniałe dzieciństwo, jakie zapewnił mu opiekun, gdy zdecydował się go przygarnąć. Chłopiec podpowiada także księdzu, by zamiast przytułku otworzył szkołę rzemiosł i gospodarstwa. Dzięki temu: „Byt ochrony został istotnie zapewniony. Z dniem też każdym przybywało uznania, pomocy i przyjaciół i zakładowi i skromnemu księdzu, który go założył” ¹⁷⁷.

¹⁷⁶ *Ibidem*, s. 210-211.

¹⁷⁷ *Ibidem*, s. 215.

Mijają kolejne lata, a zakład zyskuje rozgłos. Wkrótce też mieszkańcy miasta oraz przedstawiciele władz darzą go ogromnym szacunkiem, nalegając, by nazwać szkołę jego imieniem. Skromność każe bohaterowi odmówić takiego wyróżnienia. Wpada jednak na pewien pomysł:

- Ot, wiecie co, drodzy moi, jeśli naprawdę chcecie mi zrobić przyjemność...
- Chcemy, chcemy wszyscy – zawołano chórem. – Któżby nie chciał zrobić przyjemności pocziwemu ojcu Władysławowi?
- Otóż w takim razie nazwijcie zakład mój ochroną Matki Bożej z Ostrej Bramy. Nazwa nietrudna, każdy wymówi, a miejsce to dla ziomeków moich, więc i dla mnie bardzo drogie, święte. Myśl o Maryi, patronce mojej ojczystej Litwy, świeciła mi tu, podtrzymywała, przynosiła ulgę na wygnaniu. Niechże ona świeci wam i waszym dzieciom nad waszym Rodanem, niech imię jej i obraz nad ochroną będzie węzłem braterskim pomiędzy waszą ojczyzną a moją.
- Przykłaśnięto z zapalem, ze łzami i odtąd wielki obraz Ostrobramskiej Bogarodzicy jaśniał nad bramą zakładu, zwanego „Asyle de Notre-Dame d' Ostra Brama”¹⁷⁸.

Wreszcie mija trzydzieści lat od zesłania Chrzęściaka. Gotów jest wrócić do ojczystej ziemi, by odnaleźć swój stary dwór i poszukać dawnych przyjaciół i członków rodziny, którzy zostali jeszcze przy życiu. Powrót jednak – podobnie jak w przypadku Wojciecha Bystrzeskiego, bohatera utworu *Wrócić!* – wiąże się z licznymi rozczarowaniami. Litwa nie jest już taką, jak kiedyś. Idealizowany przez lata wygnania kraj okazuje się nieprzyjazny i smutny: „(...) niedługo już po spełnieniu tyloletniego marzenia o powrocie, zaczynał żałować, czemu nie został wśród sierót swych, wśród oliwnych gajów i platanów nad dalekim Rodanem”¹⁷⁹. Zamiast jednak wrócić do Francji, bohater osiada na kilkanaście lat we wsi Wierchniepokrowsk, gdzie żyją rosyjscy chłopci. Nie udaje mu się zyskać tam ani szacunku, ani rozgłosu – żyje w zupełnym osamotnieniu. Jedyne pociechą są dla niego listy od dawnych wychowanków, ale i te przestają po jakimś czasie przychodzić.

Złamany i pogrążony w smutku ksiądz Chrzęściak decyduje się na ostatnią wędrówkę przed śmiercią – chce raz jeszcze zobaczyć swój dawny sierociniec. Tego, co tam zastał, nie spodziewa się w najgorszych koszmarach:

Nad wejściem, tam gdzie w niszy ubieranej w lecie codziennie świeżymi kwiatami jaśniał dawniej obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, stał obnażony bezwstydnie biust kobiety z frygijską czapką na czole. (...)

¹⁷⁸ *Ibidem*, s. 219.

¹⁷⁹ *Ibidem*, s. 221.

Na wielkim arkuszu czerwonego papieru czerniało pięć wyrazów tylko. Wyrazy te były:
„Psom i księżom wstęp wzbroniony.”

W tej chwili rozległ się dzwonek. Z budynku wysypała się z wrzaskiem i piskiem zgraja dzieciaków, w jednostajnych bluzach, odróżniających się blaszanymi numerami.

(...) chłopcy go spostrzegli i w jednej chwili wrzask ich zmienił się w ryk i pisk straszliwy.

– Patrzcie, patrzcie, sutaniarz, kruk, kalotyn: huźha, dalejże na niego! kra, kra, kra!

I cały plac zabrzmiał wrzaskiem naśladującym krakanie kruków:

– Kra, kra, kra!

Starsi, śmielsi, przyskakiwali do niego, szarpiąc za poły sutanny, szturchając i robiąc palcami nosa. Jeden wyciągnął mu z kieszeni czerwoną, zabrukana chustkę i powiewał nią, jak sztandarem, drugi wziął tabakierkę i otworzywszy traktował nią kolegów z małpią powagą, a resztę wysypał pod nogi.

Inny o przedwcześnie starem oku, plunął z daleka na niego. Ślina została na rękawie sutanny.

(...) Ksiądz stał (...) na miejscu, nie słysząc. W duszy jego noc była czarniejsza, smutniejsza niż śmierć.

Na placu przed ochroną rozlegało się ciągle nie milknąc:

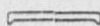
– Kra, kra, kra...¹⁸⁰

Bohater, który dawał schronienie bezdomnym, ostatecznie sam zostaje jednym z nich. Gnatowski buduje dramaturgię przy pomocy kilku zabiegów: na wstępie każe nowym, „postępowym” właścicielom sierocińca zamienić wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej na rzeźbę pogańskiej bogini Romy „z frygijską czapką czole”. Ta czapka wespół z obnażonym biustem podkreślać mają wartości wyznawane przez nowoczesne szkolnictwo – i choć przez swoją symbolikę odnosić się winny przede wszystkim do idei Wolności oraz Postępu, stary ksiądz Chrzęściak widzi w nich obrzydliwą kwintesencję *profanum*. Zmianie ulega więc nie tylko charakter miejsca, ale nawet jego wygląd zewnętrzny. Odrzuciwszy wszelkie nawiązania do religii katolickiej, jej nowi zarządcy okazują się nie tylko liberałami, ale wręcz – libertynami. Na tym autor nie poprzestaje. By jeszcze bardziej podkreślić dramat bohatera, czyni z dzieci przyjętych do sierocińca, którego był pomysłodawcą – jego oprawców. Nie tylko wyszydzą go tytułowym „Kra – kra – kra!”, ale też zabierają jego rzeczy, a nawet plują na niego. Przesłanie płynące z tekstu jest jasne: Gnatowski uważa, iż liberalna i antyklerykalna propaganda pod rządami francuskich republikanów wpływa destrukcyjnie na umysły młodych chłopców, którzy nie rozumieją nawet, czym jest szacunek dla starszych. Utwór powstał w 1896 r., a więc chwilę po powstaniu Powszechnej Konfederacji Pracy, sympatyzującej z ideami marksizmu. Dla Gnatowskiego było to nie do przyjęcia – co więcej,

¹⁸⁰ *Ibidem*, s. 233-236.

stanowiło niebezpieczny przejaw filozofii będącej całkowitym przeciwieństwem wszystkich wartości, które sam wyznawał. Dzieje oszukanego przez los, niedocenionego i ostatecznie upokorzonego księdza Chrzęściaka miały stanowić przestrozę dla czytelników zbioru *Z doliny łez*. Wróg – jak zdaje się przekonywać autor – czyha z wielu stron. Nie tylko od Wschodu, w postaci zaborcy-tyrana, ale i z Zachodu. Tym drugim wrogiem był dla prałata socjalizm i antyklerykalizm, który uderzał w niego nie tylko jako urzędnika kościelnego, ale i szlachcica pochodzącego ze starego, pielęgnującego ziemiańskie tradycje rodu.

JAN ŁADA



JAK LIŚCIE Z DRZEW STRĄCONE...

PASTEL SCENICZNY W JEDNYM AKCIE



LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA
1911.

3.5. JAK LIŚCIE Z DRZEW STRĄCONE... –

MIEDZY MIŁOŚCIĄ A OBOWIĄZKIEM PATRIOTY

W jednoaktowym utworze pt. *Jak liście z drzew strącone...* Jan Gnatowski spróbował swych sił jako dramaturg. Ów zwięzły tekst cieszył się nie małą popularnością, o czym świadczyć może fakt, iż 29 listopada 1903 r. został wystawiony na scenie Teatru Miejskiego we Lwowie, a w rolę Wandy wcieliła się Helena Larys-Pawińska, aktorka znana m. in. z roli Maryni z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego (Lwów, 3 listopada 1903 r.), Gabrieli z *Rozbitków* Józefa Blizińskiego (24 marca 1905 r.), czy Krystyny Linde z *Nory* Henryka Ibsena (1905 r.)¹⁸¹.

Dowodem na sukces przedstawienia jest notka prasowa z 1 grudnia 1903 r., która ukazała się w „Dzienniku Polskim”:

Po (...) wstępie nastąpiło widowisko sceniczne. Grano sztukę anonimowego autora pt. „Jak liście z drzew strącone...”, sztukę, która właściwie jest wspaniałym, porywającym głębią myśli i uczucia poematem. (...)

Utwór grano przewybornie, z ogromnem odczuciem i pietyzmem (...) ¹⁸².

Dwa dni później obszerny artykuł na temat jednoaktówki drukuje „Słowo Polskie”, włączając ją „do wybitniejszych wypadków teatralnych ostatnich dni”¹⁸³.

Podtytuł dramatu brzmi: „Pastel sceniczny w jednym akcie”, co pozwala na wstępne przyporządkowanie gatunkowe utworu. Z racji swej zwięzłości Gnatowski zdecydował się nazwać go „pastelem scenicznym”, nie – tragedią. Warto zauważyć, że podobne miano nadał już zbiorowi opowiadań wydanemu w 1895 r. Jak się wydaje, ma to podkreślać charakter tekstu, który stanowi krótki, acz przełomowy moment z życia jego bohaterów. Jak można zauważyć badając twórczość prałata, w podobnych, zwięzłych formach znalazł szczególne upodobanie.

Dramat przedstawia historię bohaterów uwikłanych w miłosny trójkąt. Władysław Zgleński to powstaniec, który po kilkunastu latach wraca z zesłania na Syberię. Zakochana w nim – a raczej w swym wyobrażeniu o nim – młodziutka Wanda z woli swego ojca zaręczona jest z Adamem. Egzaltowana i romantyczna panna nie przepada za swym przyszłym mężem, który twardo stąpa po ziemi – w całym tego słowa znaczeniu. Adam jest

¹⁸¹ Zob. *Kariera teatralna Heleny Larys-Pawińskiej, E-Teatr*, źródło: <http://www.e-teatr.pl/en/osoby/16748,karierateatr.html#start>, [dostęp online: 06.03.2015r.]

¹⁸² K. Kołakowski, *Notatki literackie i artystyczne*, „Dziennik Polski” 1903, nr 559, s. 2.

¹⁸³ Z.W., *Z teatru...*, „Słowo Polskie” 1903, nr 565, s. 3.

bowiem hodowcą buraków i zarządcą szlacheckiego majątku, szaleńczo w dziewczynie zakochanym. Ta jednak nie potrafi docenić jego starań, nieustannie „bujając ponad ziemią i patrząc w słońce”¹⁸⁴. Poznajemy ją w Scenie I, gdy dowiaduje się od panny Ottyli o przyjeździe Władysława Zgleńskiego. Kim jest panna Ottylia – nie wiadomo, pełni bowiem tak częstą w dramatach rolę służalczą wobec pierwszoplanowych bohaterów, łącząc w sobie cechy niani, powierniczki, gospodyni i zarazem „głosu rozsądku”, pojawiając się w kolejnych scenach niczym *deus ex machina* i równie niespodziewanie znikając. Możemy jedynie przypuszczać, że to jakaś daleka krewna, która z racji swego staropanieństwa żyje z rodziną Wandy¹⁸⁵. Zgleński był onegdaj zaręczony z Marią, zmarłą przed kilku laty siostrą głównej bohaterki. Jak dowiadujemy się z ust Marszałka, ojca dziewczyny:

ADAM.

Słyszałem, że korespondował z Wandzią...?

MARSZAŁEK.

Pewnie, że korespondował. Zaczęło się to podczas choroby biedaczki Maryi, która wiesz, że miała jechać do narzeczonego, ale Bóg to inaczej obrócił. Kiedy już nie mogła pisywać sama, zastąpiła ją Wandzia, ot – tycia jeszcze. A po śmierci tamtej, ona jedna pocieszała zrozpaczonego¹⁸⁶.

Przez lata wymiany myśli i poglądów w listach Władysław urósł w oczach Wandy do rangi bohatera narodowego, skąpanego „w anhelicznym blasku”¹⁸⁷. Wyjeżdżał jako prosty żołnierz, uczestnik powstania i naręczony jej starszej siostry – wraca jako symbol patriotyzmu, tułaczki, najwyższego poświęcenia. Mimo dzielącej ich różnicy wieku pociąga dziewczynę o wiele bardziej niż jej przyszły mąż, który potrafi rozmawiać jedynie o burakach, wołach i zyskach płynących z gorzelni. Adaś w porównaniu z Władysławem zdaje jej się wstrętnym, co podkreśla podczas rozmów z Ottylią. Na początku mówi z irytacją:

(...) Nie wiem zresztą doprawdy, jak możesz mieszać Adasia do rozmowy o panu Władysławie! To zupełnie tak, jakbyś ulubione Adasiowe buraki pomieszała z moimi kwiatami!¹⁸⁸

¹⁸⁴ J. Łada [Gnatowski], *Jak liście z drzew strącone...*, wyd. II, Lwów 1911, s. 21.

¹⁸⁵ Autor recenzji zamieszczonej w przywołanym wyżej „Dzienniku Polskim” nazywa ją: „kuzynką, czy też zarządczynią domu.” (K. Kołakowski, *Notatki literackie i artystyczne...*, s. 2.)

¹⁸⁶ J. Łada [Gnatowski], *Jak liście...*, s. 17.

¹⁸⁷ Z.W., *op. cit.*, s. 3.

¹⁸⁸ J. Łada [Gnatowski], *Jak liście...*, s. 12.

O jej odmiennym stosunku do obu mężczyzn świadczy sposób, w jaki ich nazywa: infantylizując narzeczonego i z godnością (niemalże z sakralizacją) wypowiadając się o byłym powstańcu. W innym miejscu podkreśla z lekceważeniem:

I pocziwy, i porządny, i czerwony, i zawołany gospodarz, i agronomię w Halli skończył ze złotym medalem, i będzie kiedyś chlubą i podporą powiatu! (...) Więc cenię Adasia, (...) pod warunkiem jednak, aby mnie jak najmniej nim nudzono i aby mi nie włożył w drogę, gdy wobec pana Władysława spełniam ostatnią wolę biednej Maryi!¹⁸⁹

Zafascynowana postacią zesłańca dziewczyna rozczytuje się – niewolna od egzaltacji – w jego listach, z których wyłania się portret posępnego, niedostępnego romantyka, pobudzający jej wyobraźnię w stopniu o wiele większym, niż „buraczany narzeczoney”. Ale – czy można ją za to winić? Jak za chwilę w toku wydarzeń udowodni nam autor – można.

Kreacje Adama i Władysława od początku budowane są na zasadzie kontrastu. Adam symbolizuje szlachcica – domatora, zakochanego bez pamięci w młodej narzeczonej i gotowego na ciężką pracę, by zapewnić jej byt i spełniać najdziwniejsze nawet zachcianki. Mimo że nie znajduje czasu na czytanie poezji Mickiewicza czy Słowackiego, co złośliwie przypomina mu Wanda, wszystkie chwile poświęca pracy, by dziewczynie niczego nie brakowało. Swoją życiową postawę tłumaczy na pozór tylko naiwnymi słowy, wywodzącymi się z mądrości ludu: „Ależ i ptaszek, nabujawszy się w słońcu, wraca na ziemię i szuka ziarna”¹⁹⁰.

Ma być więc symbolem pozytywisty, czy może – realisty – człowieka skupionego na obowiązkach, niczym Bogumił Niechcic z późniejszych o prawie trzydzieści lat *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej. Bujająca w obłokach Wanda nie potrafi docenić poświęcenia Adama, który wydaje jej się nazbyt „płaskim”, przyziemnym i nudnym.

Władysław tymczasem reprezentuje zestaw cech poszukiwanych najczęściej przez młode kobiety, których niewątpliwie brak niezgrabnemu Adamowi. Jest starszy, tajemniczy i posępny. Lata, które spędził na zesłaniu nie zdołały go złamać, ale odbiły swoje piętno na jego twarzy i w jego duszy. Listy, które śle Wandzie, pełne są poetyckich conceptów, wzniosłych słów i wyznań, w których miłość do ojczyzny przeplata się z miłością do adresatki. Jest dla niej wzorem Polaka – patriotą, który poświęcił wszystko w imię swojego kraju. Teorię tę potwierdza autor recenzji zamieszczonej w „Słowie Polskim”:

¹⁸⁹ *Ibidem*, s. 13.

¹⁹⁰ *Ibidem*, s. 22.

Nie ulega wątpliwości, że w pomysle literackim tej sztuki leży pewien schemat publicystyczny. W postaci Sybiraka dopatrzeć się można kategorii romantyzmu politycznego, tak potępianego w epoce pozytywizmu; Adam zaś zdaje się przedstawiać ideał pracy organicznej jako takiej, jak ją pojmowano przed laty trzydziestu – dwudziestu (...) ¹⁹¹.

Wbrew licznym oskarżeniom i docinkom bohaterki, Adam nie jest naiwnym głupcem. Jak pisze Kołakowski:

Prostota i serdeczność znamionują tego młodzieńca, który wyrósł w bezgranicznym przywiązaniu do ojcowizny i ponad nią nie ma innych pragnień życia. Pozornie wydaje się być prostaczkiem, kiedy narzeczonej zwierza się z radością, o udanym plonie buraków; ale to nie prostak i chciwiec ¹⁹².

Chłopiec postanawia podzielić się z Ottylią swymi obawami, która zresztą staje się powierniczką całej trójki – Wandy, Adama i Władysława:

Bo widzi pani, między nami jest coś. Jakiś mur, i ja czuję, że ten mur rośnie. Z początku zdawało mi się, że to minie. Sam pokochałem Wandzię od razu (...) tak gorąco! Myślałem, że to wystarczy. Nie wystarczyło. Im bardziej starałem się zdobyć jej serce, tem dalej ono uciekało ode mnie... Może i nie dziw. Cóż – prosty chłopak ze mnie, po obłokach latać nie potrafię, umiem tylko kochać i pracować... I to ją pewnie zraża do mnie, że za wiele mówię o tej pracy, bo mi na sercu leży i na myśl wciąż wraca, bo to przyszłość nie tylko moja, ale i kraju całego... ¹⁹³

Tym ujmującym wyznaniem Adam może zaskarbić sobie sympatię czytelników, którzy zaczynają powoli rozumieć sens pracy chłopca. Na szczególne zainteresowanie zasługuje jak gdyby mimochodem rzucona uwaga o przyszłości kraju, dla którego decyduje się na takie poświęcenie – inne, skromniejsze, mniej spektakularne od drogi, jaką obrał Władysław, ale równie ważne, równie znaczące dla przyszłości Polski. Właśnie z tego powodu bystra i roztropna Ottylia odpowiada: „Ona nie poznała się dotąd ani na pracy pańskiej, ani na panu, panie Adamie” ¹⁹⁴.

W scenie V poznajemy samego Władysława Zgleńskiego – nasza dotychczasowa wiedza o nim pochodziła bowiem z dialogów pozostałych postaci oraz jednego listu jego autorstwa,

¹⁹¹ Z.W., *op. cit.*, s. 3.

¹⁹² K. Kołakowski, *Notatki literackie i artystyczne...*, s. 2.

¹⁹³ J. Łada [Gnatowski], *Jak liście...*, s. 24.

¹⁹⁴ *Loc. cit.*

który Wanda odczytuje Ottyli na głos jeszcze w I scenie. Kołakowski przyznaje, iż: „Powrót Władysława powoduje konflikt, który autor odtworzył wprost po mistrzowsku”¹⁹⁵.

Na prezentację postaci Gnatowski wybrał formę *soliloquium* – przechadzając się samotnie po ogrodzie, Zgleński głośno rozmyśla:

Wszystko tak jak było, tylko drzewa rozrosły się. Nie dziw: tyle lat... tyle lat... Wtedy wiosna była, teraz kwiatów brak, już i liście opadają. I słońce zdaje się, świeci nie tak, jak dawniej.
(*Pauza*) Jesień, jesień! (*Siada w zamyśleniu opierając czoło na dłoni*)¹⁹⁶.

W tej cokolwiek zmanierowanej pozie znajduje go Wanda. Gdy staje przed nim, ten w pierwszej chwili bierze ją za zjawę Marii, swej zmarłej narzeczonej. Dopiero po chwili dociera do niego, że to młodsza siostra, którą żegnał, gdy był jeszcze dzieckiem. Niezrażona tą pomyłką dziewczyna postanawia wykorzystać swe podobieństwo do Marii, raz po raz rzucając aluzje dotyczące swojej miłości do powstańca:

WŁADYSŁAW.

Tak: z wiosennego pączka stałaś się pani kwiatem. Taką była Maria, gdym stąd odchodził...

WANDA.

Wróciłeś pan wreszcie do niej... i do nas.

WŁADYSŁAW.

Do jej grobu i do własnego gniazda – do pustego, zimnego gniazda!

WANDA.

Dziś jest takiem, ale jutro...¹⁹⁷

Zaledwie kilka poetyckich zdań wymienionych naprędce wystarcza, by para wyznała sobie wzajemną miłość. Władysław tłumaczy z przejęciem, że tylko listy od Wandy dawały mu siłę i nadzieję, by ostatecznie stać się jedyną treścią jego smutnego życia. W odpowiedzi ona wyznaje mu szeptem, iż mimo dzielącej ich różnicy wieku wrócił takim właśnie, „jakiego widywała w snach swoich”¹⁹⁸. Nietrudno odgadnąć, iż nie wspomina nic o zaręczynach z Adamem. Władysław z początku daje się ponieść emocjom – Wanda jest dla niego obietnicą szczęśliwego życia, obietnicą odzyskanej na powrót młodości. Po chwili jednak przyznaje, że związek ich byłby szaleństwem. Wie, że dla niego jest już za późno, by od nowa

¹⁹⁵ K. Kołakowski, *Notatki literackie i artystyczne...*, s. 2.

¹⁹⁶ J. Łada [Gnatowski], *Jak liście...*, s. 27.

¹⁹⁷ *Ibidem*, s. 29.

¹⁹⁸ *Ibidem*, s. 31.

ułożyć sobie życie. Z uśmiechem nazywa siebie: „siwym, złamanym niedołęgą”¹⁹⁹, który nie ośmieliłby się prosić tę młodą dziewczynę o coś więcej, niż tylko bycie jego przyjaciółką i pocieszycielką. Ostatecznie Wanda ucieka, wykrzyczawszy mu wpierw, iż w jej oczach „wyrósł ponad wszystkich i wszystko, do bohaterów dni dawnych podobny”²⁰⁰.

Do ogrodu przychodzi Ottylia, po raz kolejny pojawiając się przy kimś, kto potrzebuje teraz powierniczki i dobrej rady. Staje się ona świadkiem swoistej psychomachii Władysława, w którym potrzeba miłości i szczęścia walczy z poczuciem moralności, które zakazuje mu wiązać się z młodą dziewczyną. Ottylia tłumaczy cierpliwie, że żadne argumenty nie trafią teraz do Wandy, bowiem przez wiele lat żyła w przekonaniu, iż były powstaniec jest żyjącym ideałem – obleczonym w kształt żywego człowieka bohaterem z kart jej dziecięcych lektur, w tym przede wszystkim poezji Mickiewicza i Słowackiego, które niepodzielnie zawładnęły jej wyobraźnią.

WŁADYSŁAW.

I pani sądzisz, że jej tego nie można wybić z głowy?

OTTYLIA.

Ani z głowy, ani z serca. Nie bój się pan!... Chyba...

WŁADYSŁAW.

Chyba?...

OTTYLIA.

Chybaby ktoś strącił jej bożyszcze z piedestału. Ale pan jeden mógłbyś to uczynić, a pan tego nie robi, panie Władysławie!²⁰¹

Pomysł, jaki poddaje bohaterowi Ottylia, wymagałby od niego odegrania chwilowej komedii (lub może – tragikomedii) na oczach pozostałych mieszkańców dworu. Jeśli dziewczyna ma o nim zapomnieć, Władysław musi zrazić ją do siebie, pozować na kogoś, kim nie jest, a kto będzie budził w niej wstręt.

Jeszcze przez jakiś czas bije się z myślami, po czym przyznaje:

Chybaby ktoś strącił jej bożyszcze z piedestału... Rozumiem... Tak... tylko ja jeden... (*chwila milczenia*). Czemu się buntujesz, stare, głupie serce?... Kwiatów ci się zachciało, wiosny, słońca? Milcz i cierp – to twoja dola²⁰².

¹⁹⁹ *Ibidem*, s. 32.

²⁰⁰ *Ibidem*, s. 33.

²⁰¹ *Ibidem*, s. 37.

²⁰² *Ibidem*, s. 37.

W zaledwie kilku urywanych i niedopowiedzianych myślach autor zawarł całą wewnętrzną walkę, jaka rozgrywała się we Władysławie. Zostać z Wandą znaczyłoby dla niego zyskać żonę, której nigdy nie miał. Z drugiej jednak strony wiązałoby się to z zerwaniem jej zaręczyn i złamaniem serca chłopcu, któremu została obiecana. I właśnie ten chłopiec przyczynia się ostatecznie do tego, jaką decyzję podejmie bohater.

W ogrodzie zjawia się Adam, informując Władysława, iż zerwał zaręczyny. Zamiast jednak darzyć rywala nienawiścią, żądać od niego satysfakcji czy ubliżyć mu, tłumaczy z właściwą sobie prostolinijnością, że nie zamierza stać na drodze do szczęścia dziewczyny:

ADAM.

Kocham ją i chciałbym, żeby była szczęśliwa, a sam szczęścia jej dać nie potrafię. (...)

WŁADYSŁAW.

I żalu pan nie masz ani do niej ani do mnie?

ADAM.

Żalu? Za co? Że skowronek wolał wzbić się w górę, zamiast latać przy samej ziemi, jak szary wróbel? Czemże ja jestem, ja prosty wieśniak, zagrzebany w mojej pszenicy i burakach, żeby rościć sobie prawo do jej serca? Pan co innego. Pan i ona stoicie na równi. Bóg was stworzył dla siebie! (...) Będę dalej (...) oczyszczał ziemię i grosz zbierał. Myślałem dotąd, że to dla niej – teraz będę to robił dla was, panie Zgleński. (...)

WŁADYSŁAW.

(...) I takie serce ona miałaby odrzucić? *(Długie milczenie. Na twarzy Władysława widać silną wewnętrzną walkę. Patrzy w ziemię z zaciśniętymi ustami i rękoma. Wreszcie wstrząsa się z wybuchem.)* Nie!²⁰³

Dzięki swej szczerzej, prostolinijnej gotowości do poświęceń Adam – paradoksalnie – utwierdza Władysława w przekonaniu, że grzechem byłoby zabrać Wandę takiemu mężczyźnie. Gdy Ottylia informuje go, że Marszałek zgadza się na zerwanie zaręczyn, postanawia natychmiast odegrać przedstawienie, dzięki któremu skutecznie skompromituje czy nawet zdesakralizuje się w oczach dziewczyny. „A jeśli to jej szczęście?” – pyta jeszcze Ottylia. „Nie – tylko jej marzenie!” – odpowiada dobitnie Władysław²⁰⁴.

Przedostatnia, XIII scena przynosi przecięcie gordyjskiego węzła wzajemnych oczekiwań i stosunków trojga głównych bohaterów. Zgleński rozumie, że istnieje tylko jeden wiarygodny sposób na to, by Wanda zapalała do niego nienawiścią – udawać całkowite zrusycyzowanie. Wykorzystując fakt, iż spędził kilkanaście lat na Syberii, zaczyna

²⁰³ *Ibidem*, s. 40.

²⁰⁴ *Zob. Ibidem*, s. 41.

zachowywać się jak zdrajca polskiego narodu. Każdy element tej kreacji jest starannie przemyślany: swe nienaganne maniery Władysław zamienia na prostackie żarty związane z alkoholem i kobietami. Poetyckie wypowiedzi, które Wanda tak w nim ceniła, przeistaczają się nagle w sprośności, jakich nigdy nie odważyłby się powiedzieć Adam. Polszczyzna jego nabiera cech języka rosyjskiego, właściwych ludziom od dawna przebywającym na zesłaniu:

Wy tu jeszcze, wiem, bawicie się w ceremonie, romansy, grymasy – my od tego odwykli.
A nauczyli się (*śmieje się*) wiecie czego?... (*podchodzi do Wandzi, która, po krótkim wahaniu cofa się i staje przy zasłaniającym ją Adamie*). Ot, tego, że jak ma być przyjaźń, to trzeba ją zapić!
(*Zbliża się do stolika i nalewa wódki do szklanki*). No, ja już sobie golnął uczciwie na przywitanie.
(...) Uf, aż zamroczyło. Ot my w Sybirze tem się i pociesza! ²⁰⁵.

Władysław czyni z siebie – pozwolimy sobie na tę wymyślną nazwę – *homo siberiensis*, człowieka całkowicie wypaczonego przez lata spędzone na zesłaniu, alkoholika który „zbrał się” z zaborcami, ostatecznie upodobniwszy się do nich. Nie mógł lepiej rozegrać tej tragikomedii – wszystko, kim był i co sobą reprezentował w oczach Wandzi, teraz rozpada się w proch. „Moje marzenia, moje sny! Boże, Boże!” ²⁰⁶ – płacze, gdy (jak sądzi) odkryła prawdziwe oblicze ukochanego, którego listowne wyznania okazały się kłamstwem.

W recenzji zamieszczonej w „Słowie Polskim” czytamy:

Bohaterski pierwiastek w scenie symulowania upadku moralnego uwydatniony jest znakomicie. Rozwiązanie takie wiąże się z całością, jako wynik nieodzowny warunków w sztuce zaznaczonych i jest pod względem artystycznym bez zarzutu ²⁰⁷.

Kiedy już mogłoby się zdawać, iż szalę goryczy przeważy oświadczenie Władysława o powrocie na Syberię z powodu obiecanej posady, za którą otrzyma pięć tysięcy rubli rocznie, ten decyduje się powiedzieć coś, co dla zakochanej w nim dziewczyny brzmi niemalże jak bluźnierstwo – walkę w powstaniu styczniowym nazywa mrzonkami, a samych powstańców wariatami, dla których „teraz rozum przyszedł, ale za późno” ²⁰⁸. Na takie wyznanie Wanda ma tylko jedną odpowiedź:

²⁰⁵ *Ibidem*, s. 45.

²⁰⁶ *Loc. cit.*

²⁰⁷ Z.W., *op. cit.*, s. 3.

²⁰⁸ J. Łada [Gnatowski], *Jak liście...*, s. 47.

Wariatami... (*nerwowym ruchem odwraca się do Adama i podaje mu rękę*). Dziękuję ci, żeś ty zawsze był i pozostałeś takim wariatem – i wierz mi, potrafię cię za to cenić teraz!...²⁰⁹

Wanda odchodzi, nadspodziewanie szybko zapominając o swej namiętności do Władysława, o której jeszcze przed godziną zapewniała wszystkich członków rodziny. Zanim jednak skrytykujemy samego autora, zarzucając mu nadmierną prostotę czy naiwność fabularną, zastanówmy się, czy aby ów zabieg nie jest celowy? Czy młodzieńcze namiętności egzaltowanych dziewcząt nie bywają najczęściej krótkotrwałe, gasnąc w chwili, gdy obiekt ich westchnień nie jest takim, jakim z początku go sobie wyobrażały?

Zakończenia „pastelu scenicznego” nie sposób jednoznacznie nazwać tragicznym – przed Wandą i Adamem roztacza się bowiem perspektywa długiego, szczęśliwego życia, w czasie którego wspólnie dbać będą o dobro ojczyzny – pracując i wypełniając swoje obowiązki. Na samotność skazany jest jednak Władysław Zgleński, którego po odejściu Wandy Adam nazywa: „więcej, niż człowiekiem”²¹⁰.

Jak pisze Kołakowski w zakończeniu recenzji dramatu:

Zbyteczna wskazywać, ile głębi psychologicznej i ile politycznych myśli tkwi w tym utworze. Zdumiewa on i prawdą fabuły i przejrzystością a prostotą akcji, i poważnym a tak dzisiaj aktualnym podkładem myśli narodowej i w końcu niezmierną rzewnością nastroju, która wśród słuchaczy lży wyciskała głębokiego wzruszenia²¹¹.

Ale już autor notki prasowej, jaka ukazała się w dzienniku „Czas” w 1905 roku, twierdzi:

Pastel sceniczny Jana Łady *Jak liście z drzew strącone...* jest wdzięcznym obrazkiem. Nie ma w nim zagadnień filozoficznych, ani skomplikowanych problemów psychicznych; jest za to szczerłość, prawdziwość, uczucie patriotyczne, urok postaci (...)²¹².

Widać więc wyraźnie, iż wrażenia czytelnika (jakim był anonimowy autor powyższej recenzji) odmienne są od wrażeń Kołakowskiego – widza, który dramat oglądać mógł na scenie, chwalać przy tym grę aktorów wykonujących główne role.

Tytuł utworu może podkreślać fakt, iż postać Zgleńskiego jest zaledwie jednym z wielu przykładów tragicznych losów uczestników powstania styczniowego. W zakończeniu bohater

²⁰⁹ *Loc. cit.*

²¹⁰ *Ibidem*, s. 50.

²¹¹ K. Kołakowski, *Notatki literackie i artystyczne...*, s. 2.

²¹² [b.a.], *Jan Łada, Jak liście z drzew strącone...*, „Czas” 1905, nr 162, s. 3.

wypowiada znaczące słowa: „Po co pytać liścia strąconego z drzewa i miotanego burzą, dokąd niesie go wicher?”²¹³

Bez wątpienia klęska powstania odbiła się głośnym echem w polskiej literaturze, toteż Gnatowski – który często występował jako komentator współczesnej sobie rzeczywistości²¹⁴ – pragnął zaprezentować swoje stanowisko. Z historii przedstawionej w dramacie wynika, iż propozycja pozytywistów była mu zdecydowanie bliższa od romantycznych zrywów narodowowyzwoleńczych. Jednocześnie pamiętając powstanie styczniowe z lat dziecińczych, darzył zapewne żołnierzy wielkim szacunkiem, bolejąc nad klęską, która wielu z nich pozbawiła życia, a pozostałym – zniszczyła je, skazując młodych, pełnych nadziei chłopców na wiele lat wygnania.

²¹³ J. Łada [Gnatowski], *Jak liście...*, s. 51.

²¹⁴ Zob. E. Jakiel, *Księżdz Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 361-362.

3.6. SWEET BOY. TRZY NOWELE – TENDENCYJNE „SZKICE Z ŻYCIA”

Wydany w 1904 r. we Lwowie tom pt. *Sweet boy* składa się z trzech, około stustronicowych „nowel” osadzonych w konwencji realistycznej. Jak czytamy w jednej z pierwszych recenzji:

Nie są to właściwie nowele – raczej szkice, zaczerpnięte z życia, lecz w ten sposób przez autora podmalowane, że ponad zdarzenia, ponad element anegdotyczny wysuwa się na plan pierwszy bądź ów zawsze tragiczny konflikt między niezłomnością zasad a pokusami świata, bądź jakiś rys subtelny, jakaś ciemna, ukryta wnęka w tym ogromnym przybytku, do którego duszę ludzką przyrównać można²¹⁵.

W pierwszym ze szkiców, od którego tom wziął swoją nazwę, Łada opowiada historię małego Charliego Warda i jego matki, relacjonowaną z perspektywy sędziwego narratora. Drugi – *Pan z Rychlic* jest „obrazkiem wiejskim” z terenów Galicji, poruszającym między innymi problem antysemityzmu oraz emancypacji kobiet, w trzecim natomiast (*Moloch*) następuje swoisty zwrot w stronę kształtującej się na przełomie XIX i XX wieku prozy psychologicznej.

Przed każdym z utworów autor zamieścił dedykację dla członka bądź członków rodziny. *Sweet Boy* poświęcony jest Zygmuntowi Gnatowskiemu, prezesowi Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego i właścicielowi Jakimówki – szlacheckiego majątku położonego na terenie Ukrainy, w którym prałat często spędzał wakacje.

Wzruszająca historia zawarta w noweli opowiedziana jest przez starego Marszałka, który posiada pewne cechy samego autora. Jak tłumaczy na początku, czuje się osamotniony i nie ma żadnej rodziny, dlatego wysoce ceni sobie towarzystwo dzieci:

Ich pieszczota gorąca i szczerza daje mi na chwilę złudzenie, że jestem kochany przez jakąś ludzką istotę, i wyschłe, zmartwiałe serce uderza silniej, ilekroć wyciągają się do mnie ich rączka i błyszczą radośnie wielkie figlarne i zdziwione naprzemian oczy²¹⁶.

Starzec zamierza nakreślić losy Charliego Warda, ośmioletniego chłopca, którego miał przyjemność poznać podczas letniego wypoczynku w jednym ze Szwajcarskich kurortów.

²¹⁵ [b.a.], *Wiadomości literackie i artystyczne*, „Kurier Poznański” 1904, nr 250, s. 4.

²¹⁶ J. Łada [Gnatowski], *Sweet boy. Obrazek z życia*, [w:] *Sweet boy. Trzy nowele*, Lwów 1904, s. 5.

Przepiękny Charlie, którego „śliczna twarzyczka (...) przypominała (...) na przemian typy aniołków z włoskiego Quattrocento i dziecinne główki Greuza”²¹⁷ budzi w narratorze podobny rodzaj fascynacji, co Tadzio w Gustawie von Aschenbachu, parze znanej ze *Śmierci w Wenecji* Tomasza Manna. Nieustannie szukając towarzystwa i pieszczot chłopca, Marszałek mimochodem poznaje jego losy, opowiedziane przez nadopiekuńczą, zazdrosną matkę.

Kobieta skrywa mroczny sekret, który decyduje się ujawnić narratorowi po tym, gdy uznaje, iż zasługuje on na jej zaufanie. Ward okazuje się bowiem fałszywym nazwiskiem, pod którym ukrywa się księżna Cottbus-Wolframsthal:

Ten obiad w pruskim poselstwie, na którym widziałem ją po raz pierwszy... Kiedy to było? Dziesięć lat temu? Osiem? Dwanaście? (...) Tak jest, to była ona, ona bez żadnej wątpliwości. Ale skąd się tu wzięła? Dlaczego pod obcym nazwiskiem i w tem ukryciu?²¹⁸

Księżna Maud wyznaje narratorowi, iż ukrywa się przed mężem i jego rodziną z powodów religijnych. Jest katoliczką, podczas gdy jej małżonek – książę Odo Cottbus – protestantem. W takim duchu chce też wychować swego synka, który w przyszłości ma objąć po nim władzę. Jak na temat *Sweet boy*a pisze Jakiel:

W efekcie mamy opowieść o trudnych losach i perypetiach mieszanego małżeństwa: katoliczki i protestanta. Widzimy te perypetie z punktu widzenia jednej tylko strony – pani Ward, angielskiej arystokratki, katoliczki, która broniła Charliego, tytułowego chłopca, przed wychowaniem go w duchu protestanckim, czego życzyli sobie arystokraci z Cottbus – rodzina jej małżonka²¹⁹.

Jeszcze przed podjęciem decyzji o poślubieniu księcia Odo, młoda kobieta wykazuje chęć do poświęceń. Wiedząc o jego awanturniczym charakterze, stawia sobie za punkt honoru zmienić go siłą swej miłości i wiary. Postawą przypomina więc Zofię Łańską, bohaterkę powieści *O duszę*:

- On nic nie ma, – wołał ojciec.
- Tem lepiej. Mnie będzie zawdzięczał wszystko.
- Nicpoń z niego, rozpustnik! – jęczała ciotka.

²¹⁷ *Loc. cit.*

²¹⁸ J. Łada [Gnatowski], *Sweet boy...*, s. 13.

²¹⁹ E. Jakiel, *Księżna Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 368.

– Tem lepiej. Podniosę go i naprawię. (...) Ja go nawrócę²²⁰.

Szlachetny plan młodej księżnej nie powiódł się. O nawróceniu nie mogło być mowy – co więcej, małego synka rodziny królewskiej obmyślono wychować w nienawiści do katolików, Rzymu i Ojca Świętego. Wtedy też lady Maud wniosła pozew o rozwód z mężem, czym rozpętała burzę na łamach wszystkich dzienników w kraju i za granicą. Gdy przegrała proces, porwała swoje dziecko. Od tego czasu ukrywa się pod przybranym nazwiskiem, skazana na wieczną tułaczkę, przemieszczając się z miejsca na miejsce wraz z synkiem.

Decyzja matki, podyktowana troską „o duszę” swego dziecka, odbija się jednak na jego zdrowiu. Wąły i chorowity Charlie źle znosi ciągłe podróże, życie w nieustannym strachu i permanentne ukrywanie się. Ponadto chłopiec ten – czy to z powodu złego stanu zdrowia, czy naturalnej nadwrażliwości i skłonności do melancholii – prezentuje przedziwny „popęd śmierci”. Kieruje nim destruktywna, tanatyczna siła, z powodu której chłopiec wydaje się „zawieszony pomiędzy światami”. Z jednej strony bywa normalnym, skłonny do zabawy w kolonizatorów i podróżników łobuziakiem, z drugiej często rozmyśla o śmierci, głośno zastanawiając się w obecności narratora, kiedy będzie mógł wreszcie połączyć się z Bogiem, odchodząc w otoczeniu pięknych kwiatów, anielskich chórów i dymu kadzidła. Skąd w tym chłopcu taka wybujała, gotycka wyobraźnia? W swej fascynacji zjawiskami nadprzyrodzonymi przypomina romantyczne typy dzieci o zdolnościach mediumicznych, niczym mały chłopiec z *Króla Olch* Johana Wolfganga Goethego, czy Orcio z *Nie-boskiej Komedii* Zygmunta Krasińskiego. Nietrudno zgadnąć, że ta kreacja ma być zapowiedzią jego przedwczesnej śmierci.

Marszałka i chłopca wkrótce łączą więzy silnej przyjaźni. Stary człowiek szuka towarzystwa malca, które wnosi nieco ciepła w jego – dotychczas pełne samotności – życie:

Z rana, gdy Mrs Ward jeszcze spała, przybiegał do mnie cichutko i lekko, jak myszka, skrobał swymi małymi pazurkami do drzwi. (...)

– Come in – wołałem.

(...) przybiegał do łóżka i lokował się na niem, ściskając mnie, pieszcząc się, figlując i opowiadając w swoim szczebiocie dziecinny tysiąc ważnych i ciekawych rzeczy. Nieraz też znużony zabawą i dokazywaniem, uciszał się powoli, wsuwał pod kołdrę i przycisnąwszy do mnie swą różową twarzyczkę, zasypiał cichym, równym snem dziecka. Z przymkniętymi oczyma, z włosami rozrzuconymi na poduszce, jak pasma złotego jedwabiu, z ustami półotwartymi

²²⁰ J. Łada [Gnatowski], *Sweet boy...*, s. 27.

w sennym uśmiechu wyglądał jak Rafaelowskie aniołki. Leżąc bez ruchu, wstrzymując oddech, aby go nie zbudzić, nie spuszczałem zeń oczu²²¹.

Z uwagi na jego zły stan zdrowia księżna bywa w stosunku do Charliego nadopiekuńcza – ale nigdy na tyle, by zaprzestać ukrywania się przed mężem. Wciąż trwa w swym postanowieniu, by wszelkim możliwym kosztem wychowywać chłopca w duchu katolicyzmu. Codzienne lekcje, jakich udziela synowi, są przyczyną kilkugodzinnej rozłąki Marszałka ze swym pupilem:

(...) choć lubiłem jej towarzystwo bardzo, wołałem jeszcze gdy byliśmy z Charlie sam na sam. Miłość matki jest zawsze trochę wyłączną i trochę zazdrosną. Przy niej Charlie do mnie nie mógł należeć. Gdy byliśmy sam na sam z nim, zdawało mi się, że on mój²²².

Ostatnie dni lata schodzą bohaterom na zabawach i igraszkach. Pewnego dnia jednak nastrój chłopca diametralnie się zmienia. Wtedy to po raz pierwszy zaczynamy podejrzewać, iż nie jest zwyczajnym, pełnym życia i energii „Rafaelowskim aniołkiem”, ale dzieckiem chorowitym, naznaczonym piętnem śmierci, o której obsesyjnie rozmyśla, pewnego dnia przyznając się do tego narratorowi.

Bezpośredni impuls do zwierzeń stanowi ukraińska legenda o dziewczynce, która zmarła z powodu klątwy złej czarownicy. Jest to typowa dla wschodniego folkloru krwawa opowieść, jakie sam Gnatowski uwielbiał za młodu. Wysłuchawszy jej, Charlie zaczyna zadawać pytania, które przerażają starego Marszałka: „Proszę mi powiedzieć, wujaszku, jak to wygląda w grobie po śmierci? Czy tam smutno? Czy tam bardzo źle, czarno, duszno?”²²³

Charlie opowiada historię swojego kolegi, małego Neda, który zmarł ubiegłego lata. Szczegóły jego pogrzebu zdają się fascynować chłopca. Przytacza je ze szczegółami, wyobrażając sobie, że to on leży na katafalku w miejscu zmarłego Neda:

– I żebyś wiedział, uncle Johnny, jaki on był śliczny wtedy! Leżał, wyobraź sobie, na takim łóżku wysokim, ze stopniami, naokoło paliły się świece, okropnie dużo świec, i kwiaty były – ach, ile kwiatów! Była, wiesz, naokoło niego cała taka (...) girlanda z tych dużych białych kwiatów (...). Taki zapach szedł od nich! (...)

Było mi nad wyraz smutno, słyszeć te szczegóły żałobne w ustach dziecka. Wyrzucałem sobie, że naprowadziłem Charlie na te myśli memi bajkami, obawiałem się, że mu to rozstroi i tak

²²¹ *Ibidem*, s. 33-34.

²²² *Ibidem*, s. 35.

²²³ *Ibidem*, s. 43.

już rozbijała, wyobraźnię. A przytem on sam był taki błądy i wąły, jak Ned, o którego śmierci opowiadał.

– Daj pokój temu, Charlie, rzekłem.

– Czemu? – spytał naiwnie. – Co w tem złego? (...) może i ja niedługo będę takim aniołkiem, jak Ned. (...) zrobię się naprzód taki żółty i przezroczysty (...), mi się to dwa razy śniło nawet²²⁴.

Dziecko, które – jak uczy tradycja romantyzmu – „dostrzega więcej”, przeczuwa swoje przedwczesne odejście. Narrator przyznaje, że od tego momentu nieustannie widzi wypisany na czole chłopca „znak śmierci”²²⁵.

Tymczasem w życiu Charliego i matki pojawia się ktoś, kto na zawsze odmienić ma ich los – ojciec dziecka, książę Odo Cottbus, po latach odnajduje uciekinierów.

Zdrowie chłopca, nadwątlone przez ciągle przemieszczanie się z miasta do miasta, z kraju do kraju, teraz podupada jeszcze bardziej z uwagi na szereg wzruszeń. Pierwszym z nich jest uczestnictwo w mszy świętej, gdzie chłopiec po raz pierwszy słyszy muzykę graną na organach. Wywiera to na nim tak ogromne wrażenie, że w omdleniu prosi Boga, aby natychmiast zabrał go do siebie. Chłopcu wydaje się bowiem, że taka muzyka musi nieustannie rozbrzmiewać w Królestwie Niebieskim. Jego wybujała wyobraźnia i skłonność do wzruszeń pogłębiają anemię, na którą cierpi od kilku lat.

Ledwie Charlie dochodzi do siebie, znów czekają go silne emocje, tym razem związane z niespodziewanym pojawieniem się ojca. Jak określa to narrator: „Czuć było w tem dziecku jakieś pozrywane struny, które nie dawały się naprawić”²²⁶.

Książę Cottbus w pięknych, pełnych obietnic słowach przekonuje żonę, iż powinna wrócić do domu, zapewniając ją przy tym o swej niegasnącej miłości i chęci wybaczenia ucieczki i porwania syna. Jeśli księżna zdecyduje się na powrót – przekonuje mąż – wszystkie jej winy zostaną zmasane, a oni znów będą mogli tworzyć normalną rodzinę. Lady Maud jest niezwykle wzruszona słowami księcia Odon. Jak sama przyznaje, nie przestała go kochać, pomimo różnic, które podzieliły ich wiele lat temu. Kiedy już narrator jest przekonany o powrocie swej przyjaciółki do męża, ona pyta: czy zamierzają wychować synka w duchu katolickim, czy uczynić z niego protestanta? Kobieta jest więc niezłomna, nie zapomniawszy o powodach swej ucieczki nawet w chwili ogromnego wzruszenia. Gnatowski kreuje tę postać na wzór matki-katoliczki, podobnie jak wcześniej wychwalał zdolność do poświęceń

²²⁴ *Ibidem*, s. 45-46.

²²⁵ *Ibidem*, s. 49.

²²⁶ *Ibidem*, s. 60.

Zofii Łańskiej w powieści *O duszę*. Zachłanny książę wciąż zapomina o synu, żądając miłości swej żony na wyłączność:

– (...) Między nami jedno tylko być powinno: nasza miłość, a ta woła do ciebie: wracaj, wracaj!

– Pomiędzy nami jest nasze dziecko, Odonie, a ja nie tylko jestem twoją żoną, ale jego matką.

Na jego czole sfałdowała się brózda, straszna i groźna. Przed chwilą był taki słodki i miękki, a teraz stał blady, z zaciśniętymi ustami, z gniewem i groźbą na twarzy²²⁷.

Wreszcie następuje konfrontacja samego narratora z księciem, który dopiero wtedy, gdy matka nie chce słyszeć o porzuceniu religii katolickiej, pokazuje swe prawdziwe oblicze – oblicze tyrana i okrutnika. Gdy staje się dla niego jasne, że nie wpłynie na wolę swej żony, próbuje innej strategii: obiecuje, że w tajemnicy chłopiec pozostanie katolikiem, ale opinię publiczną w Niemczech poinformuje się o zmianie jego wyznania na protestantyzm. Tego bowiem, jak przekonuje książę, oczekuje lud od swojego władcy. Należy to do obowiązków Charliego jako głowy państwa. Lady Maud nie potrafi ukryć swego obrzydzenia: miałaby pozwolić na to, by syn jej żył w kłamstwie? Wolałaby umrzeć gdzieś na wygnaniu! Książę wpada w szal. Jak sam twierdzi, dla niego religia jest tylko „lichą formułką, wymyśloną przez ciasnych ludzi”²²⁸. Jeśli jego żona życzy sobie, by jej syn pozostawał „kryptokatolikiem”, on nie ma nic przeciwko. Reszta pozostanie jedynie grą pozorów.

Jakiel w przytoczonym wyżej artykule pt. *Księża Jana Gnatowskiego obraz współczesności...* udowadnia, iż w pewien nieoczywisty sposób ks. Gnatowski ustami księcia Odonu wyraża apologię katolicyzmu i liturgii:

Ten niemiecki protestant zdecydowanie odcina się od wszelkich formalizmów w zachowaniu religijnego człowieka. I w tym właśnie kontekście wyraża podziw dla liturgii Kościoła rzymskiego, jako pozbawionej sztuczności i formalizmu właśnie. Książę Cottbus podkreślił też niezwykle głęboki sens życia sakramentalnego, którego protestantyzm jest w zasadzie pozbawiony. W jego bowiem kościele pozostało jedynie nauczanie, posługa słowa bez osadzonego w Eucharystii życia sakramentalnego²²⁹.

²²⁷ *Ibidem*, s. 67-68.

²²⁸ *Ibidem*, s. 77.

²²⁹ E. Jakiel, *Księża Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 368.

Dla lady Maud ta propozycja oznacza życie w kłamstwie, którego się brzydzi. Dlatego postanawia po raz kolejny ryzykować zdrowiem swego synka i pod osłoną nocy wywozi go głęboko w góry, zamierzając ukryć w maleńkiej, szwajcarskiej wiosce. Jest świadoma zagrożenia, jakie niesie ze sobą ta podróż – wedle słów lekarza, Charlie powinien spędzić w łóżku co najmniej dwa miesiące, miast pokonywać setki kilometrów w jesienne, deszczowe dni. Podczas ostatniej rozmowy z Marszałkiem, któremu zdradza plany ucieczki, lady Maud podkreśla uparcie, że życie i zdrowie jej dziecka mniej są dla niej ważne, niż sumienie i obowiązek dotrzymania przysięgi, iż wychowa go w duchu katolickim, jaką wiele lat temu złożyła Bogu. Niestety – upór i zazdrość matki prowadzą do tragicznego końca²³⁰.

Przez kilka tygodni po dotarciu do wioski chłopiec czuje się lepiej – górskie powietrze go orzeźwia i matka jest przekonana, że wracają mu siły. Niestety – jeszcze przed nadejściem zimy Marszałek otrzymuje telegram od lady Maud: Charlie jest umierający i gorąco pragnie widzieć swego starego „wujaszka” przed śmiercią. Narrator dociera na miejsce niemalże w ostatniej chwili. Jeszcze przez kilka dni nie odstępuje bladego chłopca na krok, opowiadając mu ukraińskie legendy, po czym żegna go na zawsze wraz z matką. Scena śmierci chłopca, choć nieco za długa i wtórna w stosunku do wcześniejszych tekstów prałata, wciąż potrafi mocno wzruszyć czytelnika. W ostatnich słowach Charlie wspomina organy, których muzyka niegdyś tak mocno chwyciła go za serce.

Autor decyduje się przemilczeć pytanie o powód śmierci chłopca. Czy zabił go upór matki, która przysięgę stawiała wyżej, niż zdrowie synka? Czy może despotyzm ojca, który powinien był zgodzić się na wychowanie dziecka w katolickim duchu? A może w chłopcu od zawsze tkwiła fascynacja śmiercią, skazując go na przedwczesne odejście ze świata, na którym nie mógł znaleźć sobie miejsca? Na te pytania Gnatowski nie daje bezpośredniej odpowiedzi. Wydaje się jednak, że utwór przede wszystkim przestrzegać ma przed mieszanymi małżeństwami, w których konflikt rodziców często odbija się na zdrowiu i psychice dziecka. Jak twierdzi Jakiel, czytelnika i badacza może w tym opowiadaniu uderzyć nieprzejrzysta koncepcja tematyczna:

Mamy tu bowiem do czynienia z dość uciążliwą niejednorodnością. Dotyczy ona zarówno stylu i sposobu narracji, jak i tematu utworu. Niecierpliwy czytelnik może nawet stwierdzić, że dwie pierwsze części tego rozbudowanego opowiadania stanowią coś w rodzaju preludium poszukiwawczego, w którym autor sygnalizował ewentualne tematy większego dzieła. Nie mógł

²³⁰ Wiktor Wiecki w recenzji zamieszczonej na łamach „Przeglądu Powszechnego” stwierdza: „Ktoś nazwie to może fanatyzmem, ale to jest heroizm.” [W. Wiecki, *Przegląd piśmiennictwa*, „Przegląd Powszechny” 1905, t. LXXXV, s. 412].

się jednak zdecydować, czy pokazać wizerunek Europejczyków, wizytujących kurorty Szwajcarii, czy może przedstawić studium psychologiczne, czy inny jeszcze temat. (...) Nie mogąc jednakże uchwycić dramatycznego spłotu jakiegoś jednego wątku, zdecydował się w ostatniej części tego „obrazka z życia” na temat w zasadzie religijny²³¹.

Rzeczywiście, owa „niejednorodność tematyczna” okazuje się uciążliwa. Zakończenie także nie rozwiązuje wszystkich wątków podjętych w utworze: chłopiec umiera, co jednak dzieje się z matką? Czy wraca do męża (który w ostatniej chwili wpada do pomieszczenia), czy może odchodzi wkrótce po śmierci syna? Czy obwinia się za nią, czy usprawiedliwia, spokojna o los „duszy” Charliego? Wreszcie – co z Marszałkiem, który tak pokochał małego chłopca? Brak odpowiedzi na te pytania może wskazywać na fakt, iż wydawały się Gnatowskiemu nieistotne. Tytułowy *sweet boy* umiera. Reszta – by zacytować angielskiego klasyka – jest milczeniem.

Pan z Rychlic. Wiejska fotografia z Galicji jest jednym z najodważniejszych utworów Gnatowskiego. Prałat nie boi się poruszyć w nim problemów natury moralnej i politycznej, na które trudno znaleźć jednoznaczne odpowiedzi. Pod tym względem różni się od dewocyjnej literatury księdza Łady, w której granice między dobrem a złem są zawsze ostro zarysowane. Podtytuł „fotografia” wskazuje na osadzenie opowiadania w konwencji realistycznej. Dedykowane jest Pawłowi i Helenie Gnatowskim. Drzewo genealogiczne rodu pozwala stwierdzić, iż byli małżeństwem – Paweł Gnatowski to dalszy kuzyn pisarza, syn Henryka Gnatowskiego i Eweliny Łozińskiej²³².

Podobnie jak w *Sweet boy'u*, w *Panu z Rychlic* mamy do czynienia z niejednorodną kompozycją utworu. Pierwsze strony wskazują na tematykę humorystyczną, może satyrę bądź komedię omyłek. Dopiero w kolejnych częściach przekonujemy się, że jest to jeden z najsmutniejszych i najbardziej tragicznych szkiców stawiających diagnozę polskiemu społeczeństwu²³³. Opinię tę podziela twórca recenzji z „Kuriera Poznańskiego”:

„Pan z Rychlic”, zaczyna się w rodzaju humoresek Junoszy. Niebawem jednak przekonywamy się, że nie nowy dziedzic Rychlic, wzbogacony kupiec żydowski, ale dawny ich

²³¹ E. Jakiel, *Księża Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 368.

²³² Drzewo genealogiczne rodu Gnatowskich umieszczone zostało na końcu dysertacji.

²³³ Konstrukcja ta stała się zresztą przyczyną krytyki opowiadania: „(...) w tej tragicznej a tak bolesnej materii nie podoba nam się ton na wpół humorystyczny, nie odpowiadający smutkowi wiejącemu z całości (...)” [W. Wiecki, *op. cit.*, s. 413].

pan, trochę przez próżność, trochę przez dobroć nabywcy, w charakterze rezydenta we dworze zostawiony, jest główną osobą opowiadania²³⁴.

Narrator opowiadania, zabawny, lekko zapatrzonny w siebie czterdziestoletni szlachcic, wskutek nieszczęśliwego wypadku znajduje się w Rychlicach. Podczas służbowej podróży (pracuje bowiem jako konserwator zabytków) jego wóz wywraca się i wpada do rowu. Mężczyzna jest zmuszony szukać pomocy w najbliższym dworze – i tak trafia w gościnę do rodziny Izraela Magenfischa.

Pan Nawojski – tak bowiem brzmi nazwisko narratora – bawiąc w gościnie u Magenfishów, ze smutkiem przypomina sobie, że onegdaj we dworze tym mieszkał jego dawny znajomy, sławny muzyk i lekkoduch: Groński. Wiele lat temu bohater był zadurzony w jego córce, którą ujrzał na jednym z balów organizowanych przez artystę.

Dwór zmienił się nie do poznania. W miejscu kaplicy stoi teraz szalet, a figurę Bogarodzicy zastąpiono rzeźbą Wenery²³⁵.

Pobyt u Magenfishów budzi w narratorze całą paletę skrajnych odczuć: od obrzydzenia, przez podziw, aż po skrajny smutek. Brzydzić go zdaje się sam fakt, iż obcuje z ludźmi wyznania Mojżeszowego. W opowiadaniu kreuje się ich na płytkich, przywiązanych do dóbr materialnych, chciwych i bezwzględnych. Ale jednocześnie to dzięki staraniom Izraela Magenfischa gospodarstwo, które przez lekkomyślność starego sarmaty – Seweryna Grońskiego – popadło w kompletną ruinę, teraz znów przynosi zyski. Podczas poobiedniego spaceru po włościach Żyd tłumaczy bohaterowi:

– Widzisz pan – mówił pan Magenfish, trzymając mnie za guzik tużurka i migając w słońcu wielkim soliterem na czwartym palcu pulchnej ręki. – Ten stary Groński, on po prostu był, jak to żydki mówią, meszuga. U niego jedno gniło i waliło się, a on tego nie podparł, ani dachu poszył, ani osłonił, a drugie, całkiem dobre, on walił, żeby na to miejsce pałace stawiać. Pałaców on nie postawił, bo pieniędzy nie miał, ale co zwał, to zostało zwalone, a czego nie podparł i nie załatał, to także się zwało. A czemu on tak robił? On sam nie wiedział. Jemu gospodarstwo było tak, jak ta jego muzyka. (...) I czy to jeden Groński taki? (...) ta szlachta nasza, to jeden w drugiego taki jak ten Groński²³⁶.

²³⁴ [b.a.], *Wiadomości literackie i artystyczne...*, s. 4.

²³⁵ Podobny motyw pojawia się już w omawianym przez nas wcześniej utworze Gnatowskiego pt. *Kra! Kra! Kra!*

²³⁶ J. Łada [Gnatowski], *Pan z Rychlic*, [w:] *Sweet boy. Trzy nowele*, Lwów 1904, s. 176-177.

W usta Izraela Magenfische wkłada Gnatowski krytykę polskiej szlachty – krytykę tym boleśniejszą, że wypowiedzianą przez tego człowieka. Ostatnie zdanie powyższego osądu jest główną tezą, a zarazem najważniejszym zdaniem opowiadania.

Sam pan Groński, jak określono w recenzji, należy: „do licznych galerii lekkomyślnych i niezaradnych szlachciców, co przez bezrząd i rozrzutność poszli z torbami (...)”²³⁷. Narrator z jednej strony wspomina go z sympatią i roztkliwieniem, z drugiej boleje nad jego licznymi ułomnościami, które doprowadziły do „wysadzenia z sidła” starego muzyka:

(...) siwy szlachcic, z sercem przelewającym się przez brzegi, jak jego winno, gościnny jak za saskich czasów, z ustami pełnymi śmiechu, żartów i gawęd starego pokroju, z dobroduszną pustotą zapadłych kątów prowincji (...) ²³⁸.

Muzyka zawsze znaczyła dla niego więcej niż obowiązki męża, ojca i gospodarza, dlatego nieustannie zdradzał żonę, przepijał majątek i ostatecznie doprowadził dom rodzinny do ruiny, cały swój czas poświęcając grze na instrumentach oraz organizacji „wiejskich balów”. Teraz wraz z córką mieszka z rodziną Magenfishów, bowiem po śmierci swej żony musiał wystawić dwór na licytację.

Przy obiedzie narrator spotyka Halinę Grońską, swą dawną miłość. Stara panna służy nowym właścicielom za guwernantkę oraz pomoc domową, co napawa go wielkim smutkiem. Seweryn Groński natomiast staje się obiektem drwin i żartów dzieci pana Magenfische, całe dnie spędzając na muzykowaniu i jedzeniu, czym niezwykle przypomina kreację Ignacego Orzelskiego z *Nad Niemnem*:

Jeżeli przed chwilą jego widok był przykry, teraz stał się przykrejszy. Pan Seweryn wchodził całkiem w lekkomyślną grę młodych ludzi, natrząsających się z jego siwych włosów. Na ich zaczepki i dowcipy nader wątpliwej wartości odpowiadał próbami żartów i konceptów, których przedmiotem był on sam. Ale gdzież się podział jego humor iskrzący i świetny jak piana szampańskich pucharów! Żarty staruszka były mdłe, płaskie i bezmyślne. Pan Jowialski z Pokucia stał się błaznem i popychadłem młodego Izraela, panoszącego się w starym dworze jego ojców ²³⁹.

²³⁷ [b.a.], *Wiadomości literackie i artystyczne...*, s. 4.

²³⁸ J. Łada [Gnatowski], *Pan z Rychlic...*, s. 167.

²³⁹ *Ibidem*, s. 172-173.

Ostatnie zdanie wskazuje na fakt, iż prałat silnie osadzony był w poglądach konserwatywnych, darząc sympatią sarmackie obyczaje dawnej polskiej szlachty, a nawet do pewnego stopnia manifestując swój antysemityzm²⁴⁰.

Niemniej jednak włączenie opowiadania *Pan z Rychlic* w poczet literatury antysemickiej mogłoby być nadmiernym uproszczeniem jego problematyki. Groński wszakże otrzymuje pomoc od rodziny Magenfisha, która zapewnia byt jemu i jego córce, a syna starego szlachcica posyła do gimnazjum, biorąc na siebie wszelkie koszty edukacji chłopca.

– Więc ja ich (...) nakarmiłem, ubrałem, (...) Kto jej suknie kupuje? – Ja. Kto kapelusze, trzewiki, z przeproszeniem bieliznę? – Ja. (...) Kto jej dał jedwabną suknię, prawie nową, tylko trochę poplamioną u spodu, ale to nic nie szkodzi? (...) Kto wcale piękne futerko, tylko trochę poprzecinane na plecach?²⁴¹

Trudno oprzeć się wrażeniu, że pan Magenfish pomaga rodzinie Grońskich tylko dlatego, że próbuje prymitywnie uspokoić swoje sumienie. Pomoc to gorzka – ale zawsze pomoc. Jak przyznaje sama panna Halina podczas rozmowy z narratorem, bez obecnego właściciela Rychlic cała rodzina umarłaby z głodu:

Spójrz pan w koło siebie, przypomnij warunki naszego społeczeństwa. Kobieta, chcąca zapracować na chleb uczciwie – co przed nią otwarte? Jeżeli ma wszystkie możliwe patenty i przymioty, może zostać guwernantką, jak ja u państwa Magenfishów. Jeśli wykształcona jest w krawiectwie, może mieć miejsce w pracowni. Mnie nikt niczego nie nauczył, a to, czego nauczyłam się sama, nie wystarcza ani na miejsce przy magazynie, ani na miejsce przy dzieciach. (...) Istotnie, ja nigdzie kawałka chleba nie znalazłabym wśród swoich, a zwłaszcza nie znalazłabym go dla ojca i brata. Tu zaś... Może ten kawałek chleba gorzki trochę, ale któż temu winien? Nie pan Magenfish i jego rodzina. To poczciwi ludzie²⁴².

Problem, z którym stykamy się w opowiadaniu, jest bardziej złożony i niejednoznaczny, niż mogłoby się z początku zdawać. Wzorem twórców literatury zaangażowanej, Gnatowski dotyka w nim kilku kwestii trapiących współczesne mu polskie społeczeństwo. Po pierwsze, wskazuje na gospodarczy i ekonomiczny niedowład zdegenerowanej szlachty, której majątki coraz częściej przechodzą w ręce obcych. Po drugie porusza problem emancypacji kobiet,

²⁴⁰ Choć, jak wskazuje Jakiel, we wspomnianym w poprzednich rozdziałach publicystycznym szkicu pt. *W kwestii Żydowskiej* Gnatowski opowiedział się za ideą asymilacji Żydów – pod warunkiem jednak, iż przyjmą chrzest.

²⁴¹ J. Łada [Gnatowski], *Pan z Rychlic...*, s. 183-184.

²⁴² *Ibidem*, s. 196.

które często nie mają środków do życia z powodu braków w edukacji. Widać więc silny wpływ myśli pozytywistycznej i ślad lektury takich utworów, jak *Marta* bądź *Kilka słów o kobietach* Elizy Orzeszkowej. Wreszcie – nie udaje mu się uniknąć wpływów myśli antysemickiej, która Żydów obarczała winą za sytuację Polaków w drugiej połowie XIX wieku. Opowiadanie pisze zresztą nie tylko z perspektywy patrioty, ale i przedstawiciela konserwatywnego kleru, który w tamtym okresie nie darzył sympatią semickiego ludu. Na uznanie zasługuje fakt, iż nie zarysował jednoznacznej granicy między „złym Żydem” a „dobrym Sarmatą”, starając się sumiennie wykazać godne podziwu, jak i naganne cechy jednej i drugiej grupy społecznej.

Na ostatnich stronach opowiadania narrator podsumowuje, jednoznacznie dając czytelnikowi do zrozumienia, że niepodobna znaleźć „głównego winnego” tej smutnej sytuacji:

(...) kogóż miałem obwiniać? Czy grubego bankiera z ulicy Karola Ludwika, rozpierającego się dziś w majątkach ziemskich? Czy jego Rózię? Jego wesołe panienki i figlujących paniczków? Chyba nie. Czy Grońskiego i czy tylko jego jednego?²⁴³

Nie o znalezienie winnego tu bowiem chodzi, ale o dostrzeżenie problemu i rozwiązanie go. Żadnego rozwiązania Gnatowski jednak nie proponuje. Po kilku dniach spędzonych we dworze narrator odjeżdża, wracając do swoich spraw, by nigdy więcej nie spotkać ani rodziny Grońskich, ani Magenfishów.

Po lekturze pozostajemy sami w obliczu plątaniny niewygodnych odczuć, wobec których trudno przejść obojętnie – ale jest to przecież *signum* naprawdę wartościowej literatury. Jakby na potwierdzenie tych słów, w recenzji tomu czytamy:

Rzetelna kultura umysłowa i smak artystyczny, śmiało i szczere poruszanie kwestii religijnych i etycznych, na tle wywoływanych przez nie konfliktów w duszach bohaterów (...) – oto główne cechy wytrawnego pióra Jana Łady (...)²⁴⁴.

Ostatnie opowiadanie ze zbioru *Sweet boy* nosi tytuł: *Moloch. Studium z natury*, zamykając tym samym galerię utworów osadzonych w konwencji realistycznej, a nawet: hiperrealistycznej. Każdy bowiem z podtytułów jasno wskazuje na mimetyczność prozy

²⁴³ *Ibidem*, s. 185.

²⁴⁴ [b.a.], *Wiadomości literackie i artystyczne...*, s. 4.

prałata: „obrazek z życia”, „wiejska fotografia z Galicji”, „studium z natury”. Każdy z nich zawiera też odniesienia do sztuk plastycznych i wizualnych: malarstwa czy fotografii. Zdjęcie odwzorowuje rzeczywistość taką, jaka jest. Nie może jej zakłamać, skorygować, czy wypaczyć. Jednocześnie nie podaje gotowej interpretacji owej rzeczywistości – służy jedynie jej dokumentacji.

Z kolei interpretację podtytułu „studium” proponuje Edward Jakiel:

Jako studium utwór odsyła niezawodnie do analizy, refleksji jednego, ale charakterystycznego przypadku. Ma to być pilne przeanalizowanie jednostkowego przypadku, dającego spojrzenie na szerszy problem, charakterystyczny dla wielu jemu podobnych. Określenie zaś „z natury” oznacza realne sytuacje i postaci; nadaje niejako utworowi literackiemu status opowieści o rzeczywistych wydarzeniach albo losach człowieka, relacji bardziej z elementem refleksji i oceny²⁴⁵.

Opowiadanie *Moloch* ma – tak często przez Gnatowskiego wybieraną – kompozycję szkatułkową. Narrator relacjonuje czytelnikom opowieść starszej kobiety, jaką słyszy podczas podróży pociągiem do Wiednia. Ma dziewiętnaście lat i wybiera się na studia, by po raz pierwszy w życiu przebywać z dala od rodzinnego domu. Naprzeciw niego w przedziale pełnym hałaśliwych przekupniów i handlarzy znajduje się samotna matrona, która po chwili rozmowy decyduje się podzielić z nim historią swego syna.

Na początku opowieści kobieta wyjaśnia, iż jest szlachcianką, jednak z powodu śmierci rodziców wychowywali ją kuzyni:

Więc bym też się i zestarała może na łasce u bogatych krewnych, gdyby nie wola Boża. Innym daje Bóg szczęście – dał i mnie. Znalazł się taki człowiek, poczciwy, szlachetny... Poznał, pokochał, przygarnął... Zaświeciło i dla mnie słońce.

Było z tem trudności wiele, bo to, widzi pan, rodzinę miałam pańską, z tytułem, a mój Leopold był sobie lekarzem na prowincji, bez nazwiska, z porządnym, ale skromnym utrzymaniem. (...) Jakoś się przezwyciężyło wszystko²⁴⁶.

Wkrótce też przychodzi na świat ich syn, Bolesław, lecz niedługo potem Leopold umiera, zostawiając młodą matkę samą z dzieckiem. Jak przyznaje kobieta, nie cierpiała mocno po stracie męża, ponieważ całym sercem kochała synka.

²⁴⁵ E. Jakiel, *Księża Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 369.

²⁴⁶ J. Łada [Gnatowski], *Moloch. Studium z natury*, [w:] *Sweet boy. Trzy nowele*, Lwów 1904, s. 209.

Na początku chłopiec, nieskażony zgubnym wpływem cywilizacji i społeczeństwa²⁴⁷, wydaje się dobry i współczujący. Przekąski i smakołyki, które dostaje od matki, dobrowolnie oddaje biednym kolegom bądź bezdomnym. Dopiero rozpoczęcie edukacji w szkole zmienia go na zawsze. Od tego momentu jesteśmy świadkami dramatycznej transformacji Bolesława, który z wesołego, skorego do pomocy chłopca staje się zgorzkniałym, występny karierowiczem, dla którego nie liczy się nic prócz pieniądza. Jak dochodzi do tej tragicznej zmiany, przekonujemy się stopniowo, w toku opowieści kobiety²⁴⁸.

W domu Bolesław nie ma żadnych obowiązków, ponieważ matka, darząc go bezgraniczną miłością, pozwala mu niemal na wszystko. Jak wiele kobiet samotnie wychowujących dziecko, nie przyjmuje żadnej krytyki dotyczącej swego syna, uważając go za najmądrzejszego i najpiękniejszego na świecie. W wychowaniu Bolesława widać więc wyraźnie brak karcącej, ojcowskiej ręki – patriarchalnego elementu, który zrównoważyłby ogromną, lecz bezkrytyczną matczyną miłość.

Pierwsze sygnały zepsucia chłopca pojawiają się już w szkole podstawowej. Podczas rozmów z dyrektorem i katechetą kobieta słyszy:

Że mi syna można powinszować, (...) ale, że ja nadto rozpuszczam chłopaka, że na paniczka rośnie, że w niczem nie umie się poskromić, ani odmówić sobie niczego, że gotują się z tego łzy dla mnie i dla niego samego. (...) I pieścisz, powiada, i psujesz, i bez bojaźni Bożej chowasz (...). Co oni mogą wiedzieć, myślę sobie? Co znaczą ich przykłady? Albo to inne dzieci do mego Bolka podobne?²⁴⁹

Kobieta ignoruje sugestie pedagogów i z roku na rok coraz bardziej rozpieszcza i psuje syna. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż pozwala mu na obracanie się w towarzystwie szlacheckich paniczów, przed którymi chłopiec pozuje na arystokratę, powołując się na panieńskie nazwisko matki i zatajając mieszczańskie pochodzenie ojca. Bolesław wpada w kompleksy, ponieważ na każdym kroku uświadamia sobie, że jest „gorszy” od swych kolegów. By przyjęli go do swego grona, prosi matkę o opłacenie lekcji fechtunku – rozrywki, która prawdopodobnie nigdy nie przyda mu się w przyszłości (gdy jego przyjaciele

²⁴⁷ Wyraźnie widać wpływ oświeceniowych koncepcji filozoficznych Jana Jakuba Rousseau (*Emil, czyli o wychowaniu*), w których rozwój społeczny prowadzi do degradacji „naturalnego” dobra i niezachwianej moralności dziecka.

²⁴⁸ Odmienne zdania jest Jakiel, który uważa, że: „w samym bohaterze, w jego osobowości, charakterze, słabej woli, pozorantwie, infantylnym i nieodpowiedzialności tkwiła prawdziwa przyczyna klęski” [E. Jakiel, *Księża Jana Gnatowskiego...*, s. 370]. Oznaczałoby to jednocześnie, że Bolesław był predestynowany do potępienia z racji swego charakteru, a nie z powodu błędów wychowawczych, wpływu środowiska, złego towarzystwa i wyborów, które stopniowo zmieniały jego osobowość.

²⁴⁹ J. Łada [Gnatowski], *Moloch. Studium z natury...*, s. 213-214.

odziedziczą majątki ziemskie, on będzie przecież zmuszony do zarabiania na chleb wykonując zawód lekarza, czy prawnika). Kobieta zgadza się bez zastrzeżeń, tłumacząc sobie:

Nie, nie było drugiego takiego jak on, mój rodzony, mój królewicz z bajki. (...) Nie było w nim materiału na takiego mola, co w trudzie i męce chleb zdobywa. Motyl to był do słońca stworzony i do przestworów błękitnych. Całowałam oczy jego promienne, przycisnęłam głowę kochaną do piersi.

– Nie będziesz się zamęczał, dziecko rodzone, póki ja żyję²⁵⁰.

Matka dotrzymuje swej obietnicy. Od tej pory pracuje po kilkanaście godzin dziennie, haftując, by opłacić zachcianki syna i odłożyć sumę potrzebną na rozpoczęcie studiów medycznych w Krakowie.

Po maturze Bolesław oświadcza, iż nie wybiera się wcale do Krakowa, ale do Wiednia. Na pytanie o fundusze odpowiada rozgorączkowany:

– Że też mama zrozumieć tego nie chce, nie próbuje. Tu nie chodzi o to, czy lepiej trupy krajać, czy schnąć nad pandektami. Wybić się, wypłynąć w górę, za łeb wziąć, po karkach deptać tych, co mnie gniołają teraz, co mną pomiatają, choć mego małego palca nie warci! Ot, czego mi trzeba, ot, do czego dojść muszę! Dostyc płaszczenia się i duszenia, dostyc parafiańszczyzny! Pamięta mama tę awanturę o przywłaszczone szlachectwo? Ja wtedy już powiedziałem sobie: albo zginę, albo będę na górze. Czy mama wie, jakie było życie moje przez te lata, od kiedy zacząłem myśleć, zastanawiać się, porównywać? – Jedną męką! Kto był wkoło mnie? Albo chłopstwo i mieszcuchy, których prostactwo brzydziło mnie, albo chłopacy porządni, patrzący na mnie z góry²⁵¹.

Wybuch ten odsłania całe zepsucie, egocentryzm i płytkość bohatera. Wspinaczka po drabinie społecznej okazuje się dla niego daleko ważniejsza niż zapewnienie bytu matce, która przez dziewiętnaście lat niestrudzenie pracowała, nie odmawiając mu niczego. Dopiero teraz kobieta zaczyna zdawać sobie sprawę z własnej niewydolności wychowawczej, co gorsza: zaczyna też przeczuwać charakter syna. Zamiast jednak zareagować, znów zgadza się na wszystko.

Bolesław wyjeżdża do Wiednia, czyli tytułowego Molocha. Co w jego duszy zdążyło „nadpsuć się” na polskiej prowincji, to dostatecznie zgnije w wielkim, pełnym pokus mieście.

²⁵⁰ *Ibidem*, s. 221.

²⁵¹ *Ibidem*, s. 232.

Idea personalizowania kolosalnych aglomeracji nieobca jest literaturze pozytywizmu i Młodej Polski. Podobnym molochem może być wszakże Paryż w *Ojcu Goriot* Honoriusza Balzaka (zbieżności między tymi dwoma utworami jest zresztą o wiele więcej); Warszawa w *Marcie Elizy Orzeszkowej*²⁵² czy w *Lalce* Bolesława Prusa; a do pewnego stopnia sceneria *Próchna* Wacława Berenta. W każdym z tych miast bohaterom przychodzi walczyć o byt pośród brutalnych praw kapitalizmu, napotykać na swej drodze przedstawicieli najróżniejszych warstw społecznych.

Bolesław, podobnie jak młody Eugeniusz de Rastignac z *Ojca Goriot*, postanawia szybko „wybić się” ponad swój stan dzięki protekcji pięknej i bogatej aktorki-kurtyzany, niejakej Miry Hels. Matka dowiaduje się wszystkiego z pogłosek zasłyszanych od prowincjonalnej aptekarzowej:

Bolek obracał się w Wiedniu w kole złotej i pozłacanej młodzieży najgorszego gatunku. Żył pożyczkami. Było go pełno w teatrzykach, kawiarniach, wszędzie, gdzie się zbierał elegancki półświatek. Porucznik, siostrzeniec burmistrza wrócił właśnie z Wiednia. Widział go trzy razy, zawsze w wesołym towarzystwie i zawsze z tą samą panią. Pani... znana w Wiedniu, nazywa się Mira Hels i opiekuje się Bolkiem. Płaci jego długi. Pomaga mu swą protekcją do kariery²⁵³.

Nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż młody mężczyzna – jak sam przyznaje matce – postanawia wyrzec się wiary katolickiej, traktując ją jak „czczą i bezużyteczną formułkę”²⁵⁴. Pozbawiony kręgosłupa moralnego, jaki młodym, zagubionym ludziom może ofiarować religia, w drodze na szczyt nie cofa się przed niczym.

Bohaterka postanawia popełnić samobójstwo, jednak w ostatniej chwili powstrzymuje ją właśnie – wiara. Rozumie, że pozbawienie się życia byłoby grzechem, dlatego zamiast tej drogi postanawia chwycić się ostatniego sposobu, by ratować syna. Jedzie do Wiednia, w którym upatruje źródła upadku chłopca.

Dzięki podróży bohaterki do stolicy Monarchii Austro-Węgierskiej możemy poznać jedną z ciekawszych postaci opowiadania: kurtyzanę Mirę Hels. Niestety pojawia się w utworze tylko przez chwilę, ale jej kreacja jest tak zajmująca w swej szczerości, że trudno o niej zapomnieć. Mira przyjmuje matkę Bolesława w pachnącym, różowym buduarze, gdzie na wpół roznegliżowana, z szyderczym uśmieszkiem na twarzy, tłumaczy starszej kobiecie, kim tak naprawdę jest jej syn:

²⁵² Zob. D. Samborska-Kukuć, *Kobieta pośród wrogów. Marty Świckiej droga do samoświadomości*, [w:] *Świat wartości w literaturze*, red. E. Sadzińska, A. Szymańska, Łódź 2009.

²⁵³ J. Łada [Gnatowski], *Moloch. Studium z natury...*, s. 248.

²⁵⁴ *Ibidem*, s. 240.

Polly (my go tak nazywamy) nie był zwierzyną dla mnie. Ani go szukałam, ani próbowałam zbliżyć. On sam starał się o to (...). U niego nie ma nic prócz ambicji, próżności i zmysłów. (...) Był nienasycony. Co on mnie kosztował! A zawsze pod sekretem, aby nie wiadano, że z aktorki żyje. O, ta ambicja, ambicja samych tylko pozorów! Widzi pani, ja w formułki religijne nie wierzę i nie krępię się chińszczyzną przepisów przyzwoitości towarzyskiej – takie jak pani patrzą na mnie z pogardą. Mniejsza o to – ale taka jaka jestem, jestem sobą, nie próbuję udawać czegoś lepszego, nie gram komedii – i są rzeczy, których nie zrobiłabym. Pewną moją uczciwość mam i ja, może gorszą i mniejszą od waszej, ale mam. Otóż to mi w tym chłopcu wstrętne, że on nie ma i takiej, że (...) nie cofnie się przed niczem, tak, przed niczem. (...) Nie ja go zepsułam, więc nie ja – odebrałam pani. Jakim jest dziś, takim przyszedł do mnie, takim go oddaję²⁵⁵.

Tej gorzkiej prawdy o swym ukochanym „księciu z bajki” bohaterka nie jest w stanie przyjąć. Natychmiast zabiera go z Wiednia, narażając się tym samym na tysiące szykan, przekleństw i złorzeczeń z jego strony. Bolesław obwinia matkę za to, że po jej odwiedzinach „wytworne” towarzystwo wiedeńskie wyrzekło się go. W rzeczywistości jednak od dawna planowano odsunąć od siebie studenta, bowiem każdy odgadł jego zepsuty charakter (nawet kurtyzana Mira nie bez powodu czuje się lepsza od niego).

Po krótkim pobycie w Krakowie Bolesław znów ucieka do Wiednia, tym razem skazany na „przyjaciół” innych zgoła, niż ci, o których początkowo marzył. Gdy matka po raz kolejny próbuje odnaleźć marnotrawnego syna, musi obracać się w towarzystwie prostytutek, złodziei i morderców. Doskonały opis nocnego Wiednia przynosi obraz całkowitego upadku Bolesława:

I zaczęło się dla mnie bardzo dziwne życie: życie nietoperzy. W dzień – sen znużenia, wyczerpania, gorączka martwej bezwładności. W nocy – uganianie się śladem ulicznic i ich przyjaciół, płomyki gazowe migające w sinych chmurach dymu, ochryple piosnki śpiewaczek, na pół nagie tancerki i akrobatki pijane, wrzaski i śmiechy, powietrze przesiąknięte wyziewami piwa, potu i tanich perfum... procesja obcych, wstrętnych, zbydlęconych twarzy, a między nimi Bolka mego nie było i nie było²⁵⁶.

Kilka tygodni później kobieta wreszcie odnajduje syna w jednym z szynków najgorszego gatunku, w otoczeniu pijanych prostytutek i nagabujących je towarzyszy. Nazywają go „Fonsi”, możemy się więc domyślać, jaki wykonuje zawód. Gdy dostrzega matkę przy jednym ze stolików, natychmiast ucieka. Od tego czasu nie udaje jej się go znaleźć.

²⁵⁵ *Ibidem*, s. 274-277.

²⁵⁶ *Ibidem*, s. 294. .

Opowieść dobiega końca. Kobieta przyznaje słuchaczowi, że po raz ostatni wyrusza do Wiednia, by: „chodzić po gorszych jeszcze norach niż przedtem, (...) szukać na dnie rynsztoków wiedeńskich, ale (...) go znaleźć”²⁵⁷. Wyraża jednocześnie nadzieję, że historia ta będzie przestrogą dla narratora, z którym postanowiła się nią podzielić.

Jak podsumowuje Jakiel:

(...) w zakończeniu (...) opowiadania pojawia się autorefleksja tego drugiego narratora. Zasłyszana historia wywołuje szereg przemyśleń, niekoniecznie bezpośrednio związanych z biografią utracjusza. Ważne dla tej wersyfikującej, studyjnej warstwy opowiadania jest zestaw retorycznych pytań, które stanowią ciekawe zwieńczenie, rodzaj niezamkniętej, nierozstrzygającej jednak wszystkiego jednoznacznie *quasi*-konkluzji. Wyraził ją słuchacz tej smutnej historii, który w zakończeniu opowiadania zrozpaczonej matki usłyszał już tylko pomstowanie i przekleństwa. Obarczała ona winą zewnętrzny świat, eksterioryzując prawdziwe przyczyny upadku Bolesława przez osobę własną i syna, a koncentrując się głównie na wielkim mieście – Wiedniu, jako źródle upadku chłopca²⁵⁸.

Gnatowski po raz kolejny nie daje czytelnikom gotowej odpowiedzi na pytanie: kto jest winny, ale zarysowuje problem, próbując „wniknąć” w umysły matki i syna, „wskazując na psychiczne i osobowościowe podłoże wypaczeń i klęsk życiowych młodych”²⁵⁹. Widzimy więc wyraźny zwrot prozy prałata w stronę powieści psychologicznej, zyskującej na przełomie wieków coraz większą popularność wynikającą z osiągnięć Freuda i Junga.

Tom *Sweet boy* spotkał się niemałym uznaniem krytyki literackiej. W „Tygodniku Ilustrowanym” pisano:

Łada (...) opowiada bardzo inteligentnie: nie lubi wszelkich jaskrawości, jest dyskretny, uśmiecha się pobłażliwie i dojrzałe, umie zająć czytelnika nawet wtedy gdy porusza tematy banalne. Kapłańskie stanowisko autora wytworzyło w nowelach pewną szlachetność tonu, tem cenniejszą, że autor uniknął szczęśliwie zbyt dobitnej tendencji etycznej²⁶⁰.

Z kolei w obszernej recenzji zamieszczonej na łamach „Przeglądu Powszechnego” przeczytać możemy:

²⁵⁷ *Ibidem*, s. 298.

²⁵⁸ E. Jakiel, *Księżdz Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 369.

²⁵⁹ *Ibidem*, s. 370.

²⁶⁰ [b.a.] *Jan Łada, Sweet boy*, „Tygodnik Ilustrowany” 1905, nr 12, s. 19.

Wiele z tych kart, jak i z innych dzieł autora, jakieś dziwnie głębokie, rzewne a prawdziwe uczucie, któremu trudno się oprzeć; znać, że autor ma serce i umie w serce patrzeć. Odnosi się wrażenie, że Łada nie opisuje tylko rzeczy zmyślonych, ale coś z czym się sam spotkał i czego był naocznym świadkiem²⁶¹.

Podjął więc prałat trafną decyzję, by osadzić opowiadania w konwencji realistycznej. Tym ciekawszy wydaje się fakt, że w kolejnej powieści (po jeszcze jednym zbiorze opowiadań i broszurce pt. *W kwestii Żydowskiej*) wydanej po dziewięciu latach przerwy, następuje zwrot w kierunku estetyki baśniowej i fantastycznej – zwrot towarzyszący emerytowanemu Gnatowskiemu do końca jego twórczości.

²⁶¹ W. Wiecki, *op. cit.*, s. 412.

3.7. PROBOSZCZ Z PRIESSLAU

Na kolejny, wydany już po powrocie do Warszawy, tom opowiadań ks. Gnatowskiego składają się cztery utwory. Tytułowy: *Proboszcz z Priesslau. Szkic z życia ludu polskiego pod zaborem pruskim* (pierwodruk w „Słowie Polskim”, 1904 r.) przedstawia dzieje niemieckiego duchownego Hartmanna Strenga, którego zadaniem miała być germanizacja polskiej wsi. Obok niego w zbiorze znalazły się trzy opowiadania, znane już czytelnikowi z wcześniejszych wydań: *Wrócić*, *Ostatnia msza* oraz *Kra! Kra! Kra!* – włączenie ich do wydanego w 1912 r. tomu może świadczyć o niesłabnącej popularności owych utworów. Szczególnie *Ostatnia msza* cieszyła się uznaniem wśród polskich czytelników, skoro doczekała się kilku osobnych edycji²⁶².

W opowiadaniu pt. *Proboszcz z Priesslau* podejmuje się trzy problemy, gnębiące współczesne Gnatowskiemu polskie społeczeństwo pod pruskim zaborem. Pierwszy z nich dotyczy walki z wiarą katolicką i przymuszanie wiernych do germańskich modlitw i śpiewów, drugi sposobu edukacji polskich dzieci w niemieckiej szkole, trzeci wreszcie – przybierających na sile nastrojów komunistycznych, opanowujących w tym czasie całą Europę²⁶³.

Jak pisze autor recenzji zamieszczonej w „Dzienniku Poznańskim”:

(...) to wzruszająca i barwna karta z dziejów martyrologii ludu polskiego na Śląsku pruskim, a jednocześnie nader interesujące i wierne dzieje przeżyć wewnętrznych księdza Hartmana Strenga, germanizatora z przekonania, poza tem kapłana pełnego cnót. Jego patriotyzm niemiecki, równoległe z intencjami rządu pruskiego, nakazuje mu we wsi Brzesławiu, przechrzczonej na Priesslau, przystąpić do zaprowadzenia w kościele kazań niemieckich; podczas wyborów przyczynić się do uniemożliwienia kandydatury polskiego księdza, skutkiem czego z urny nie wychodzi wprawdzie Polak, ale i nie wychodzi też Niemiec, lecz socjalista²⁶⁴.

Ksiądz Hartman Streng, główny bohater opowiadania, przechodzi na jego kartach prawdziwą ewolucję. Kiedy go poznajemy, jest: „olbrzymem prawie, tryskającym zdrowiem i siłą”²⁶⁵, niezachwianym w poczuciu obowiązku byłym żołnierzem armii pruskiej, który mundur zmienił na sutannę, gdy poczuł przyływ powołania. Zesłany przez władze na teren

²⁶² Opowiadanie *Ostatnia msza* ukazywało się w odcinkach w „Przeglądzie Powszechnym” w 1893 r., następnie przygotowano osobne wydanie we Lwowie w 1912 r. i w Warszawie w 1916 r., w międzyczasie dołączono je do tomu pt. *Z doliny łez*.

²⁶³ Zob. J. Flach, *brak tytułu*, „Przegląd Polski” 1912, t. 185, s. 264-267.

²⁶⁴ [b.a.], *Proboszcz z Priesslau*, „Literatura i Sztuka”, dodatek do „Dziennika Poznańskiego” 1912, nr 31, s. 79.

²⁶⁵ J. Łada [Gnatowski], *Proboszcz z Priesslau. Szkic z życia ludu polskiego pod zaborem pruskim*, [w:] *Proboszcz z Priesslau*, Warszawa 1912, s. 1.

Śląska w celu germanizowania tamtejszej ludności, nie ustaje w wysiłkach, by polską szkołę i kościół zmienić w instytucje lojalne wobec „Wielkiej Rzeszy Niemieckiej”. Nieczuły na prośby parafian i krzywdę bitych przez profesora Bluemchena dzieci, trwa niezachwianie w swych przekonaniach, które wydają mu się słuszne.

Podczas wizytacji w szkole odkrywa, że dzieci polskich robotników nie chcą odmawiać modlitwy po niemiecku, za co są boleśnie karane. Gdy czternastoletni Błażej Górka tłumaczy mu, że wzorem pierwszych chrześcijan gotów jest cierpieć za wiarę swych ojców, proboszcz odpowiada:

Spółczeństwo całe opiera się na posłuszeństwie! (...) Jeżeli nam władza nasza każe coś czynić, nie możemy odmawiać jej posłuchu, bośmy wszyscy wojskiem różnych broni i stopni, w którym niżsi winni iść tam, gdzie starsi ich prowadzą²⁶⁶.

Tak działa świat niemiecki: ludzkość to ogromne wojsko, w którym każdy zna swoje stanowisko i gotów jest wypełniać wolę przełożonych.

Jednocześnie w duszy księdza Strenga zachodzi powolna metamorfoza: widząc polski lud, wysłuchując jego skarg, podziwiając odwagę i waleczność dzieci, które solidarnie stają po stronie małego Błażeja, zaczyna zastanawiać się, czy z taką łatwością powinien łączyć pojęcia „państwa” i „ojczyzny”. Widać więc wyraźnie, jak mocno opowiadanie Gnatowskiego osadzone jest we współczesnych pisarzowi problemach: przełom XIX i XX wieku to okres silnego kształtowania się świadomości narodowej, która niebawem stanie się pojęciem tak ważnym, że zmieni losy całej Europy.

Po wizytacji w szkole proboszcz wraca do skromnego mieszkania, które dzieli ze swą ciotką Lizą, służącą mu za gospodynię. Gnatowski stosuje tutaj ciekawą technikę narracyjną, kreśląc opisy wnętrza, w których najczęściej przebywa bohater. Izba jest: „bardzo czysta i porządna, ale zupełnie uboga. (...) Czuć było, że tu nikt nie dbał o wygodę ani piękno i że myśl gospodarza była gdzie indziej”²⁶⁷. Przez zewnętrzny świat bohatera mówi się *implicite* o jego wnętrzu. Dlatego też gdy przenosimy się wraz z bohaterem do przestrzeni prywatnej, zyskujemy niejako dostęp do jego psychiki – sygnalizowany przez mowę pozornie zależną. Takiej techniki Gnatowski dotychczas nie stosował, wybierając raczej klasyczne sposoby narracji.

²⁶⁶ J. Łada [Gnatowski], *Proboszcz z Priesslau...*, s. 39.

²⁶⁷ *Ibidem*, s. 49-50.

W czasie, gdy ksiądz Streng dostrzega już w sobie pierwsze sygnały zachwiania dotychczasowego światopoglądu, odwiedza go dawny znajomy, pruski landrat von Treskow. Tłumaczy rozgorączkowanemu, pełnemu zwątpienia kapłanowi:

(...) widzę, że się cofasz, że rzucić chcesz oręż. I kiedyż to i przed kim?! W chwili, w której losy tych kresów się ważą, gdy wróg odwieczny, w ciągu wieków spętany, zrywa się przeciw nam jak rozjuszona bydlę, przegryzłszy swe pęta (...). I przed kimże, przed kim, szaleńcze?! (...) Przed tą garścią rozpolitykowanego i obalamuconego motłochu? Przed tą rasą niższą od nas umysłowo, fizycznie i moralnie, przeznaczoną na pognój pod nasz pług żelazny i pod naszą germańską siejbę, siejbę cywilizacji i postępu!²⁶⁸

W postawie landrata wyraźnie widać wpływ Nietzscheańskiej filozofii, która w interpretacji jego i jemu podobnych oznacza podział narodów na wyższe i niższe, na nadludzi i podludzi, w oczach pruskiego urzędnika reprezentowanych oczywiście przez Polaków.

Pojawia się też przy okazji jeden jeszcze problem: statusu mieszkańców Śląska. Bohaterowie opowiadania – Górka, Wąrowski i Szczerba – czują się Polakami, czego z początku ksiądz Streng i profesor Bluemchen nie mogą zrozumieć, bezwiednie identyfikując ludność Śląska z Niemcami. Gnatowski nawet nie przypuszczał, że już kilkanaście lat później konflikt ten przybierze na sile tak mocno, iż doprowadzi do wybuchu powstania śląskiego.

Przekonany ostatecznie przez landrata, ksiądz postanawia zdradzić mu nazwiska przywódców polskiego buntu – ale wymusza na nim jednocześnie przyrzeczenie, że nie stanie im się żadna krzywda. Ponadto uniemożliwia kandydaturę polskiego księdza Stefczyka w nadchodzących wyborach, składając swój podpis na podsuniętym przez urzędnika dokumencie.

Jak czytamy w recenzji Edwarda Paszkowskiego, zamieszczonej w „Dzienniku Kijowskim”:

W zmaganiu się ubogich parafian z germanizatorskimi zakusami proboszcza są chwile groźne o rzetelnem, pięknie i prawdziwie przez autora ujętem, napięciu dramatycznym, jak na przykład pierwsze niedoszłe kazanie niemieckie ks. Strenga, któremu lud nie pozwala przemawiać, śpiewając głośno pieśni swoje polskie²⁶⁹.

²⁶⁸ *Ibidem*, s. 65.

²⁶⁹ E. Paszkowski, *Proboszcz z Priesslau*, „Dziennik Kijowski” 1912, nr 39, s. 2.

Scena ta, rzeczywiście napisana z epickim rozmachem – o czym świadczą chociażby użyte w niej porównania homeryckie – jednocześnie świetnie prezentuje teorię psychologii tłumu Gustawa Le Bona²⁷⁰. Rozzłoszczona tłuszcza uspokaja się w kościele, a na sygnał dany przez anonimowego człowieka z tysiąca ust wydobywa się pieśń ku czci Matki Boskiej:

A cały tłum ludu, zapelniającego szczelnie mury świątyni, zaczął jednym wielkim głosem, potężnym, jak huragan stepowy, śpiewać starą, ukochaną pieśń śląskiego ludu:

>Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi!<

(...) i z kilku tysięcy ust, jak z kilku tysięcy serc, rwała się w niebo prośba, nabrzmią łzami i jękiem bólu, ale i nadzieją promienna²⁷¹.

Nie bez powodu lud wybiera tę właśnie pieśń: ma ona podkreślać długą i silną tradycję kultu maryjnego w Polsce, który protestanckim Niemcom jest obcy. Ponadto melodyjny śpiew to niezwykle silna i ewokatywna technika modlitwy, która potrafi wprowadzić w trans, zacieśnić poczucie wspólnoty, ale i poczucie jedności z Bogiem.

Po incydencie z wiernymi ksiądz Hartmann jeszcze silniej zaczyna odczuwać swą wewnętrzną przemianę. Nie bez znaczenia pozostaje list, który otrzymuje od swego przyjaciela, Hugona von Assberga, przytoczony w całości w opowiadaniu²⁷². Jego wypowiedź dotycząca narodu polskiego jest całkowitym zaprzeczeniem ciasnej i pełnej uprzedzeń filozofii landrata von Treskowa:

Ależ to nie są wcale barbarzyńcy ci ludzie, którzy w umysłowym swym rozwoju co do czasu wyprzedzili Anglię, a za nami nie zostali w tyle, ci ludzie, którzy w szesnastym wieku mieli już świetną i bujną literaturę, a i dziś, mimo tak trudnych warunków, należą do narodów najbardziej produktywnych i to nie tylko ilościowo! (...) I poznałem (...) ten biedny, dobry, zniesławiony tak ohydnie lud polski. (...) Próźniaczy? Rozpity? Złodziejski? W ogóle niższy etycznie? Nieprawda! (...) wołam jego oszczercom: – Nieprawda!²⁷³

Na proboszczu list wywiera niemałe wrażenie – o ile incydent podczas kazania okazał się momentem przełomowym w jego życiu, o tyle słowa von Assberga ostatecznie przekonują go o słuszności „zmiany nastawienia”.

²⁷⁰ Praca Le Bona pt. *Psychologia tłumu* mogła być Gnatowskiemu znana – wydano ją w 1895 r. Skupia się przede wszystkim na krytyce socjalizmu, dowodząc, iż tłumem rządzą popędy i skłonność do ulegania sugestii. Gnatowski kilkakrotnie przedstawia w taki sposób rozjuszoną masę ludzką w *Proboszczu z Priesslau*, potem raz jeszcze w *Antychryście* (1920).

²⁷¹ J. Łada [Gnatowski], *Proboszcz z Priesslau...*, s. 81-82.

²⁷² Widzimy więc kolejne eksperymenty narracyjne: elementy powieści epistolarnej i prozy psychologicznej.

²⁷³ J. Łada [Gnatowski], *Proboszcz z Priesslau...*, s. 87-93.

Tymczasem w mieście wybucha bunt przeciw księdzu, kiedy mieszkańcy dowiadują się o tym, że doniósł na kilku z nich niemieckim władzom. Żandarmi zabierają małego Błażka Górkę i Kazia Wierzołka. Sytuację postanawia wykorzystać Skowroński, młody socjalista, który podżega tłum do nienawiści wobec kleru. Ciżba szykanuje księdza Strenga, który czuje się winny uwięzienia chłopców. Ostatecznie nadchodzące wybory wygrywa kandydat komunistów, za którym maszerują wszyscy wieśniacy z Brzesławia, ślepo powtarzając hasła przez niego głoszone.

Kapłan z oprawcy zmienia się teraz w ofiarę, a nawet – męczennika. Jego wygląd zewnętrzny ma być odbiciem wewnętrznego konfliktu: „Przybyło mu lat i brzemienia, szerokie barki zgięły się, oczy pochyliły ku ziemi, dokoła ust zarysowały się bolesne zmarszczki”²⁷⁴. Trawi go żal za wyrządzone Polakom krzywdy.

Oto staje mu się jasne, że nie wolno własnej ojczyzny, własnego języka i kultury narzucać innym i obdarzać ich przemocą temi dobrami, bo to sprzeciwia się istocie Kościoła i całemu duchowi jego nauki. (...) Nowela kończy się piękną, głęboko odczutą sceną, gdy złamany owocami własnej działalności X. Streng u stóp Chrystusa kaja się i odzyskuje w końcu pełną świadomość kapłańskiego posłannictwa, którego zamącić nie powinny żadne dążności polityczne²⁷⁵.

Ostatnia scena ma za zadanie uświadomić czytelnikom, że konflikt rozgrywający się w duszy bohatera to w istocie konflikt tragiczny. Jeśli bowiem obierze stronę polską, wystąpi przeciw rozkazom swych przełożonych – a wobec Rzeszy jest przecież gorącym patriotą. Jeśli jednak będzie kontynuował germanizację, pozbawi ów lud prawa do własnej wiary i modlitwy. Klęczącego przed krucyfiksem i pogrążonego w gorączkowych majakach zastaje go Hugo von Assberg. Na pytanie bohatera, co powinien czynić, przyjaciel ma jedną odpowiedź: „Napraw!”.

Trafnie ocenia Józef Flach, autor recenzji zamieszczonej w „Przeglądzie Polskim”, że pomysł Gnatowskiego na takie rozwiązanie należy poddać sumiennej krytyce:

Pozornie problem bardzo głęboki i pozornie bardzo rozumne jego rozwiązanie. Tylko, że przypatrzwszy się bliżej, dostrzeżemy, że problem jest jeden z tych, które rozwiązać się w ogóle nie dadzą. Bo, jak ma X. Hartmann Streng >naprawić< to, co się stało? Stanąć po stronie polskiej, a choćby nie stać po stronie niemieckiej? Ależ w takim razie ta sama władza duchowna, która go tutaj przysłała dla krzewienia niemczyzny, natychmiast go przeniesie na niemiecką parafię, a tutaj

²⁷⁴ *Ibidem*, s. 101.

²⁷⁵ [b.a.] *Proboszcz z Priesslau*, „Czas” 1912, nr 43, s. 3.

innego Niemca przyśle, godnego trwalszego jej zaufania. Niemiecki ksiądz w polskiej parafii w Poznańskim, czy, zwłaszcza, na Szląsku pruskim, od którego się wymaga germanizowania, a który chce pozostać i dobrym księdzem i dobrym człowiekiem – to konflikt wielki, straszny, ale nie dający się rozwiązać inaczej, jak tylko całkowitem usunięciem podstawy konfliktu²⁷⁶.

Pozostałe dwa problemy poruszone w opowiadaniu: przymusowa germanizacja polskich dzieci w szkołach oraz wzrost wpływów partii komunistycznych – jak przekonuje autor recenzji – także przedstawione są zbyt pobieżnie, zaledwie zarysowane, a przez polską powieść dotychczas nieporuszane w ogóle. Gnatowski po raz kolejny tworzy więc podwaliny pod cenny i ważny w historii literatury utwór, ale posługuje się formą nazbyt zwięzłą, by wszystkie problemy opisać czy skomentować wnikliwiej i pełniej.

Kolejne utwory włączone do tomu *Proboszcz z Priesslau* są już znane czytelnikowi, jak wspomnieliśmy na początku niniejszego podrozdziału. Jest to jednocześnie ostatni zbiór opowiadań osadzonych w konwencji realistycznej. Kolejna, obszerna powieść prałata pt. *Oman. Czarodziejska historia o Rycerzu-upiorze, o Wodnicy-topielicy i o padewskim studencie* ukazała się w osobnym wydaniu już rok później. Rok ten – 1913 – stanowi jednocześnie granicę wyznaczającą przejście estetyki pisarza z utworów typowo pozytywistycznych do utworów osadzonych w problematyce i poetyce młodopolskiej.

²⁷⁶ J. Flach, *op. cit.*, s. 266.

**3.8. „PRZY TEM ŁOŻU ŚMIERCI ROZEGRAŁABY SIĘ MIĘDZY NAMI WALKA OSTATNIA –
O (...) DUSZĘ!”. LUCIFER JAKO ODPOWIEŹ KATOLICKIEGO DUCHOWNEGO
NA MŁODOPOLSKĄ FASCYNACJĘ SATANIZMEM**

Lucifer to ostatni tom opowiadań prałata Gnatowskiego, który włączyć można w obręb literatury katechizującej. Wydany w Warszawie w 1913 r., składał się z tekstów publikowanych kilkanaście lat wcześniej. Pierwodruk pierwszego i najważniejszego opowiadania, które posłużyło za nazwę całego zbioru, ukazał się w „Gazecie Lwowskiej” już w 1897 r., podobnie jak kolejny tekst pt. *Gwiazdka w Baedekerze*. Ponadto do tomu dołączono znane już pastele *Kto on?* oraz *W otchłań*, a także jednoaktowy dramat sceniczny *Jak liście z drzew strącone...*

Krytyka literacka przyjęła tom chłodno. W „Bibliotece Warszawskiej” Henryk Galle pisał: „Jan Łada po *Proboszczu z Priesslau* (1911) wystąpił z nowym cyklem nowel i obrazków pt. *Lucifer*. Cykl ten, podobnie jak i poprzedni, traci nieco programowością”²⁷⁷. Swojej uwagi nie poświęcił też utworowi Antoni Mazanowski, choć w liście do Gnatowskiego tłumaczył się:

Przewielebny Księżu Prałacie.

Przepraszam, że dopiero teraz dziękuję uprzejmie za otrzymane honorarium i za książkę pt. *Lucyfer*. Ogromnie zajęty czerwcowymi egzaminami (...), całymi dniami przy nich siedząc, gościem prawie będąc w domu, nie mogę znaleźć chwili czasu w tym miesiącu, aby uczynić zadość powinnościom spoza obrębu szkolnego. Dopiero teraz oddycham swobodniej – i w pierwszym rzędzie ponawiam swą podziękę. Książki dotąd nie przeczytałem, ale zabieram ją ze sobą na wakacje (...) i przeczytam²⁷⁸.

Jak twierdzi Jakiel, dowodzi to braku zainteresowania tomem *Lucifer*²⁷⁹, uznanym zapewne za wtórny wobec poprzedzających je propozycji Stanisława Przybyszewskiego i Władysława St. Reymonta. Oznaczałoby to jednocześnie, iż czytelnicy wydali wstępną ocenę utworu sugerując się jedynie tytułem, nawet nie sięgając po książkę.

Otwierające tom opowiadanie stanowi jednakże próbę ustosunkowania się do twórczości wymienionych pisarzy, na co wskazywałyby zarówno czas publikacji (w 1897 r. ukazały się *Dzieci Szatana*), jak i tematyka podjęta przez prałata w utworze:

²⁷⁷ H. Galle, *Kronika literacka*, „Biblioteka Warszawska” 1913, t. 4, s. 516.

²⁷⁸ List A. Mazanowskiego do ks. J. Gnatowskiego z dn. 28 czerwca 1913, rkps BN, sygn. 7290, k. 18.

²⁷⁹ Zob. E. Jakiel, *Clericalis – bohater Lucifera Jana Gnatowskiego*, [w:] „Słupskie Prace Filologiczne. Seria Filologia Polska” nr 2, Słupsk 2004, s. 77.

Lucifer opowiada o kapłanie, który porzucił swój stan, zawierając sztuce i Lucyferowi. Autor nie stawia jednoznacznej diagnozy, co taki stan rzeczy spowodowało. Nie wiadomo przeto, czy kryzys wiary i kult Lucyfera popchnął bohatera w krainę sztuki, czy działa się odwrotnie: sztuka doprowadziła do sprzeniewierzenia się kapłaństwu i wyznawanej religii. W swym atelier główna postać opowiadania oddaje się mistycznym rozważaniom, uprawianiu sztuki i dyskusjom z przyjaciółmi. W opowiadaniu Gnatowskiego przedstawione są bodaj najbardziej dramatyczne chwile w życiu bohatera. Jak się bowiem okaże, były ksiądz, Stanisław Zieniewicz, w jakimś sensie nawrócił się²⁸⁰.

Trudno nie zgodzić się z Jakielem, że odejście od stanu duchownego Zieniewicza jest tylko pozorne. Oszukuje kółko swych „szataniąt”, pozując na współczującego Lucyferowi buntownika, próbuje też oszukać samego siebie, ale jego czyny, postawa, a nawet złudnie bluźniercze słowa świadczą przeciwko niemu, odsłaniając prawdę.

Przyjrzyjmy się postaci Zieniewicza i jego wielbicieli, uwypuklając kontrasty panujące między nimi.

Główny bohater, podpisujący się sugestywnym pseudonimem Giordano Bruno, jest „Arcykapłanem” i „Mistrzem” grona zafascynowanych satanizmem literatów i dziennikarzy. Nawet po zaprzestaniu funkcji kapłana otacza się przedmiotami symbolicznie powiązanymi ze stanem duchowym, postanowiwszy zamieszkać w klasztornej celi wypełnionej teraz bluźnierczymi malowidłami i rzeźbami. To, co przyjaciele biorą za umyślne świętokradztwo, w istocie wiele mówi o niezachwianym charakterze postaci. Podczas jednej z orgiastycznych kolacji przyznaje wzburzony, samemu nie do końca rozumiejąc głęboki sens, jaki kryje się za jego słowami:

Tak, księdzem jestem i cieszę się tem (...) i tak dalece jestem, że strój księży zachowałem, że zachowałem księżę przebrania, potrzebne przy ich obrzędach, jak zachowałem księżą postać i klerykalne ramy życia, bo to wszystko razem daje mi natchnienie! (...) Przychodzą na mnie, jak na każdego, chwile zniechęcenia, słabości, niewiary w siebie, w ideę moją i pracę, której oddałem życie. Dawniej zdarzały się rzadko: teraz są częstsze, coraz częstsze... Co, myślicie, robię wtedy? Oto zamykam drzwi z pracowni do tego magazynu świecideł i cacek, dobywam z szafy starą sutannę, komżę wytartą od używania i spłowiałą stułę, w której niegdyś mawiałem kazania (...) ²⁸¹.

Zieniewicz uznaje więc symboliczny charakter kapłańskiego stroju i przestrzeni, w jakiej się znajduje, ale próbuje wykorzystać je w walce z religią katolicką. Sądzi, że założenie

²⁸⁰ *Ibidem*, s. 77-78.

²⁸¹ J. Łada [Gnatowski], *Lucifer* [w:] *idem, Lucifer*, Warszawa 1913, s. 24-25.

sutanny i komży w czasie twórczej pracy nad satanistycznymi teoriami uczyni z niego kogoś na kształt „kapłana lucyferycznego”²⁸². To jednak, co sam próbuje uznać za ironiczne i bluźniercze przebranie, staje się ostatecznie znakiem jego Bożej posługi. Dzieje się tak dlatego, że coś pozornie nieistotnego – strój i rekwizyty – reprezentuje rytuał daleko ważniejszy od samego przebrania: „odciśnięte w czasie ceremonii święceń kapłańskich piętno”²⁸³ pozostaje na zawsze w duszy bohatera.

Poznajemy Zieniewicza oczami narratora, który jest jednym z członków satanistycznego koła. Gnatowski stosuje najczęściej przez siebie wybraną technikę narracji pierwszoosobowej, każąc jednak relacjonować wydarzenia komuś stojącemu „z boku” i będącemu jedynie świadkiem wydarzeń, rzadko ich bezpośrednim sprawcą. Narrator nie do końca rozumie motywy działań Zieniewicza, nie stara się też tłumaczyć przyczyn jego zachowania. Przyznaje jedynie, że człowiek ten wywiera na nim nieustanne wrażenie i pozostaje jego największym Mistrzem.

W co wierzy – bądź wydaje mu się, że wierzy – Zieniewicz? Podczas pierwszej rozmowy z narratorem wyklada nerwowo „swoją” filozofię:

– Czas już doprawdy rehabilitować Spotwarzonego. (...) Szatan nie jest złym duchem: przeciwnie, jest on wcieleniem dobra, światła, postępu, jest zaś nim dlatego, bo jest wcieleniem buntu, a w naturalnem następstwie — wolności! Przed dziewiętnastu wiekami w fatalnej swej pomyłce, która się stała trwającą dotychczas bez przerwy jej tragedią, nieszczęsna ludzkość wymalowała sobie stracha na dorosłe dzieci, i dzięki temu skrzywiła się jej droga, wstrzymał postęp i rozwój, nappełniły się bez potrzeby trwogą i troską serca milionów, złamało się bezowocnie szczęście milionów. Jak struś, chowający głowę w piasku, zamknęto oczy na niewzruszone prawo walki o byt i koniecznej przewagi mocniejszego, zamknęto je i na drugie prawo, będące przeciwwagą i naprawą tamtego: na wieczne prawo rozkoszy. Drgające krwią i życiem ciało odziano we włosiennicę, smagano biczem poświęcenia i zaparcia się siebie, pokazano jako ideał — samobójstwo zmysłów, woli, rozumu. I po nieśmiertelnie pięknych kształtach Hellady, po wielkiej myśli Platona i pieśni Homera przyszło mrozące wszystko tchnienie ciemnic katakumbowych, i w katakumby zamieniono świat cały. I trzeba było kilkudziesięciu zmarnowanych pokoleń, by wreszcie nadeszła chwila ocknienia z dławiącej tak długo zmyły... dla niewielu²⁸⁴.

Bardziej niż oryginalnym myślicielem, za jakiego mają go inni, Zieniewicz jest więc produktem idei głoszonych przez Giosuè Carducciego, Johna Milтона, Wojciecha

²⁸² E. Jakiel, *Clericalis – bohater Lucifera Jana Gnatowskiego...*, s. 78.

²⁸³ *Loc. cit.*

²⁸⁴ J. Łada [Gnatowski], *Lucifer...*, s. 7-8.

Gutowskiego, Tadeusza Micińskiego, czy Stanisława Przybyszewskiego. Nic z tego, co mówi na temat szatana, nie jest świeże i odkrywcze – „W swym egzaltowanym wystąpieniu (...) powtarza znane tezy o konieczności kultu szatana, wskazując na rzekomy regres, jaki spowodowało rozszerzenie się chrześcijaństwa w świecie”²⁸⁵. Ów „regres” jest głównym powodem buntu bohatera, który zdaje się wierzyć, że tylko rehabilitacja postaci Lucyfera może pchnąć cywilizację do przodu.

Podobnie jak Milton, Zieniewicz traktuje szatana podmiotowo, widząc w nim rozdartego i targanego emocjami ducha, któremu należy współczuć i podziwiać go. W *Raju utraconym* Lucyfer pragnie wolności – tu wolności pragnie człowiek, wzorem swego piekielnego patrona. Jak ujmuje to Jakiel: „podmiotowo ujęty Lucyfer konstytuuje podmiotowość człowieka”²⁸⁶. Jednocześnie bohater wpada w „pułapkę współczucia”, bowiem im bardziej utożsamia się z cierpiącym szatanem, współodczuwając jego mękę i bolejąc nad nią, tym bardziej zbliża się do chrześcijańskiej wykładni *agape*, miłości bliźniego oraz *miser cordia*, miłosierdzia wobec dręczonych cierpieniem. Takie współ-odczuwanie niewiele ma wspólnego z bezwzględną „walką o byt”, w którą – jak twierdzi – wierzy Zieniewicz. To rozdarcie czyni z niego postać tragiczną:

– Wiesz! Kiedy tak myślę o *nim*, o skrzywdzonym i spotwarzonym, i kiedy widzę, że nawet dziś, w dniach bankructwa Krzyża, nie wybiła dlań godzina zadośćuczynienia i sprawiedliwości, wówczas budzi się we mnie stary człowiek, pełen wiary w zaświat i żądy jego, budzi się stare pragnienie Wyższej Istoty i chęć oparcia się o nią, i jak niegdyś przed wizerunkiem Męki, padam na kolana przed tem oknem, otwartem w noc ciemną, i w noc tę wyciągam dłonie moje do *Niego* (...) ²⁸⁷.

Całym sercem wierzy w Lucyfera, ale w wierze tej pozostaje współczującym i sprawiedliwym. Znaki posługi kapłańskiej odnajdujemy więc nie tylko w jego wyglądzie zewnętrznym²⁸⁸, dodatkowo podkreślone sutanną i stułą, ale też w samym podejściu Zieniewicza do kwestii bóstwa, należytą temu bóstwu czci oraz pokory wobec niego. Jak czytamy u Jakieła:

²⁸⁵ E. Jakiel, *Clericalis – bohater Lucyfera Jana Gnatowskiego...*, s. 79.

²⁸⁶ *Loc. cit.*

²⁸⁷ J. Łada [Gnatowski], *Lucifer...*, s. 9-10.

²⁸⁸ W tekście kilkakrotnie podkreśla się kapłański wygląd Zieniewicza. Przykładowo: „Szerokim, hieratycznym ruchem kapłana, podczas ofiary zwracającego się do ludu, podniósł w górę ręce i głowę i wpatrzył się w gotyckie, ciosowem obramieniem ujęte okno. Mimo aureoli długich, srebrzących włosów klasycznie piękny profil, księżym jeszcze obyczajem pozbawiony zarostu, jaśniał dziwną młodością i pociągał tajemniczym czarem” [*Ibidem*, s. 10].

Wbrew niejako swej lucyferyczności Zieniewicz w głębi duszy pozostaje takim duchownym, jakim go uczynił sakrament. (...) Zmienia się jego Bóg, ale nie zmienia się wiara w idealną podmiotowość transcendentną²⁸⁹.

Kontrast do tej – w jakimś sensie faustycznej – postaci stanowią pozostali bohaterowie opowiadania, tworzący koło młodopolskich satanistów i dekadentów. Bardziej niż w konkretne cechy osobowościowe wyposażeni zostali w ślady „typów” jakie reprezentują. Zieniewicz zdaje się brzydzić nimi wszystkimi, w rozmowie z narratorem pograżając się coraz bardziej w swojej nienawiści do rodzaju ludzkiego (*odium generis humani*). Tym samym stawia coś w rodzaju diagnozy współczesnych mu ruchów satanistycznych, odsłaniając małość ich członków:

– Ot i ci wszyscy, którzy tam się rozbijają w oczekiwaniu wyżerki i pijatyki, – mówił dalej, rzucając w tył głową z pogardliwym uśmiechem; co za komplet. Wierszwił ubiera się w swój satanizm, jak w modnie skrojony frak, otwierający mu drzwi salonów. Jest to jego towarzyska racja bytu: bez tego czarnego przybrania poznano by się na jego piramidalnej głupocie mimo rozgłosu jego pesymistycznych felietonów. Dla Czerlańskiego jest to klucz do buduarów: kobiety przepadają za tajemniczością w ogóle, a dla histeryczek posmak piekła jest tem samem, co *assafetida* dla zużytego podniebienia. W Grünspahnie i jego nienawiści do chrystyanizmu tkwi żyd: kwestia tradycji i rasy. W Berskim znów spod chlamydii i anakreontowego wieńca róż wygląda koźle kopyto starego satyra. A kobiety! (...) Dwie porzuciły mężów i żyją po kolei z członkami i nieczłonkami naszego kółka, a Mela nie poszła za męża, żeby robić to samo. (...) Fe! Mierzi mnie to wszystko!²⁹⁰

Diagnoza zdaje się oczywista: każdy z członków satanistycznego stowarzyszenia dołączył do niego z innych powodów, ale żaden z tych powodów nie jest związany z faktyczną wiarą w Lucyfera i chęcią jego rehabilitacji. Jedni traktują ów ruch jako osobliwą, ale przemijającą modę, drudzy jako okazję do hedonistycznych orgii. Samotność Zieniewicza pogłębia się nawet wśród tych, którzy nazywają go swoim „Mistrzem”. Dla ludzi tego pokroju nie istnieją bowiem żadne świętości, w ich życiu nie ma miejsca na refleksyjność czy na sferę *sacrum* – nawet lucyferyczną. Pozdrowienie: „*Evoë, Lucyfer!*” w ustach zebranych staje się tylko teatrzykiem, w którym na czas każdego ze spotkań wcielają się w role zbuntowanych wyznawców szatana. Podnieca ich to, sprawia, że czują się wyjątkowi – ale jest tylko „pustym rytuałem”, grą pozorów pozbawioną głębszego znaczenia.

²⁸⁹ E. Jakiel, *Clericalis – bohater Lucifera Jana Gnatowskiego...*, s. 80-81.

²⁹⁰ J. Łada [Gnatowski], *Lucifer...*, s. 11-12.

Dlatego właśnie, gdy Zieniewicz odmawia wzięcia udziału w czarnej mszy, do czego namawiają go pijani goście, „wyznawcy” odwracają się od niego, konkludując: „Jaki on Mistrz...”²⁹¹

W utworze nie dochodzi więc do faktycznego obrzędu na cześć Lucyfera, jaki opisuje chociażby Władysław Reymont w *Wampirze*²⁹². Bohaterowie tej z kolei powieści dotyczą przedziwnej i niezbadanej Tajemnicy, nie cofając się przez eksperymentami, które stanowią zagrożenie dla ich zdrowia i życia – jak bicujący się i próbujący technik OOB (tzw. „wychodzenia z ciała”) Joe. Zieniewicz tymczasem, jak podkreśla Jakiel, „pozostaje wciąż na obrzeżach Tajemnicy”²⁹³, nie przekroczywszy granicy dzielącej teorię i praktykę.

Jednocześnie odmowa udziału w czarnej mszy to moment, w którym bohater pierwszy raz uświadamia sobie, że w głębi duszy wciąż pozostaje katolickim duchownym. Okazuje się, że wypada właśnie osiemnasta rocznica jego prymicji:

Te mnóstwo kwiatów, świateł, kadzidła – zdaje mi się, że mi od tego dziś jeszcze w głowie się zawraca! Staruszek proboszcz, który rodzicom ręce stułą wiązał i mnie chrzczył, a potem katechizmu uczył, mówił mi o wytrwaniu i płakał. Wszyscy płakali, a najwięcej matka, gdy mi całowała dłonie i gdym potem przypadł do jej kolan. I znów mówiła, że to ze szczęścia, i prawda: jej to było dzieło...²⁹⁴

Pamięć matki, która skłania bohatera do refleksji nad grzesznymi występkami, to chwyt często stosowany przez Gnatowskiego w powieściach i opowiadaniach. Figura zmarłej staje się pretekstem do zmiany postrzegania, do swoistego uzmysłowania sobie dotychczasowego postępowania.

Drugą, bezpośrednią przyczyną powrotu do nauk Kościoła jest śmierć Wrzeskiego, ulubionego ucznia Zieniewicza – jedyne, którego „Mistrz” kocha i szanuje. Nazywa go „swoim Parsifalem”, a ich relacja niewątpliwie wpisuje się w patriarchalny schemat „nauczyciela / adepta”, wywodzący się ze starożytności i realizowany w wielu zakonach magicznych oraz stowarzyszeniach okultystycznych. We dwójkę tworzą „intymny,

²⁹¹ *Ibidem*, s. 38.

²⁹² Gdy główny bohater *Wampira*, Zenon, podąża za wezwaniem pięknej satanistki Daisy, trafia na jeden z widowiskowych obrzędów ku czci Bafometa: „Nagle rozległ się przerażający huk, błyskawica złotą pręgą przebiegła się wskroś groty, wszyscy padli na twarze, krwawe promienie trysnęły w górę jak wulkan i opadły cicho, a natomiast jęły bić kłęby złotych dymów kadzielnich, w których zwolna, w śmiertelnej ciszy stawania się... wyłaniała się postać Bafometa... (...) Złote rogi półksiężyc rozbiły na wąskiej, obnażonej czaszce... nagi był cały, wysmukły, młodzieńczy... siedział z szeroko rozwartymi kolanami, między którymi jak wąż jadowity wila się krwawa błyskawica...” [W. St. Reymont, *Wampir*, Warszawa 1986, s. 159.]

²⁹³ E. Jakiel, *Księża Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 371.

²⁹⁴ J. Łada [Gnatowski], *Lucifer...*, s. 36.

wielowymiarowy i pełen olśnień duchowych i intelektualnych”²⁹⁵ związek. O ich relacji wiemy jednak niewiele – niedopowiedziana narracja bardziej wskazuje na trop, niż szerzej rozwinąć ten wątek. Niewątpliwie sam przydomek nadany Wrzeskiemu przez Zieniewicza jest w tym kontekście znaczący. Jak interpretuje za Marią Podraza-Kwiatkowską Jakiel, imię Parsifal oznacza „uosobienie męskiej niewinności”²⁹⁶.

Nie znamy ucznia głównego bohatera – wiemy jedynie, że na łożu śmierci pragnie nawrócenia. Postacią nieskończenie ciekawszą jest natomiast jego żona. Maria Wrzeska ma wiele wspólnego z Zofią Łańską²⁹⁷, obie bowiem są skłonne za wszelką cenę walczyć „o duszę” ukochanego człowieka: w przypadku Zosi jest to jej zdegenerowany brat, w przypadku Marii – mąż. Istnieje jednak między nimi zasadnicza różnica: młoda żona odznacza się siłą charakteru i heroizmem, jakiego bezbarwnej Zosi brakowało, by reprezentować interesującą kreację kobiety-katoliczki.

Gdy Parsifal umiera, Wrzeska rozpaczliwie poszukuje księdza, który w karnawałową noc udzieliłby mu ostatniego sakramentu: namaszczenia, tym samym pozwoliwszy pojednać się z Bogiem, którego w wyniku znajomości z Zieniewiczem chory odrzucił. Zrzędzeniem losu „Giordano”, ubrany w swą sutannę i komżę, znajduje się w pobliżu domu Wrzeskich. Maria błaga go o pomoc, ale gdy rozpoznaje w nim znienawidzonego satanistę, broni dostępu do pokoju chorego męża. Jest ona prawdziwie zachwycająca w swoim gniewie i w swojej sile. Tu – pod drzwiami Parsifala – rozgrywa się decydujące starcie charakterów, ostateczna walka nieugiętej wyznawczyni Chrystusa z pełnym wątpliwości i rozdartym wyznawcą Lucyfera:

– Niechże Bóg skarże tego człowieka, który stanął między mną a moim szczęściem! Niech mu odpłaci za moje serce stargane, za zburzone ognisko domowe, za to życie, tak świetne, marniejące przed czasem! Niech jego dusza cierpi i ginie za tę duszę czystą, którą skałał, skrzywił, zgubił! Niech wije się w rozpacz bez pociechy, bez ratunku, bez końca! Za tę duszę wyrwaną Bogu niech go opuści Bóg; niech ten, któremu życie poświęcił, niech Szatan będzie mu towarzyszem, panem, katem przez wieczność całą, potępionemu, przekłętemu! (...) Zmiłuj się, doktorze! Zostaw go i leć po księdza! (...)

Równocześnie przez drzwi otwarte doszedł nas cichnący głos naszego Parsifala:

– Nie posyłaj... Na próżno... wołaj Zieniewicza... (...) On ksiądz... On może... a wobec śmierci...

²⁹⁵ A. Karoń-Ostrowska, *Mistrz-uczeń, czyli miłość niejedno ma imię*, „Więź” 2009, nr 9.

²⁹⁶ E. Jakiel, *Clericalis – bohater Lucyfera Jana Gnatowskiego...*, s. 81. Za: M. Podraza-Kwiatkowska, *Kompleks Parsifala, czyli o młodopolskim ideale czystości*, [w:] eadem, *Wolność i transcendencja. Studia i eseje o Młodej Polsce*, Kraków 2001.

²⁹⁷ Bohaterka powieści *O duszę* Jana Gnatowskiego. Zob.: Rozdział 3.1. „Gdy o duszę ludzką się walczy, trzeba całego siebie oddać w ofierze...” – początki okresu dewocyjnego w twórczości prałata Gnatowskiego.

– Czy to prawda? – jęknęła. – Czy pan możesz...

Nie było odpowiedzi. Zbliżyła się o krok i pochwyciła jego rękę.

– O, jeśli tak, zrób to! Przebaczę ci wszystko, – moje szczęście, jego życie... Błogosławić ci będę... Ale pomóż, ratuj, napraw!

On rękę wyrwał i o krok się cofnął.

– Kobieto, wiesz ty, czego żądasz ode mnie?! – zawołał.

W głosie jego było zdumienie i przerażenie zarazem, ale zwłaszcza to ostatnie.

– Wiesz ty, co to jest dla mnie? Całej przeszłości mojej się zaprzec, zdeptać nogami wszystko, co czciłem, co kochałem, dla czego żyłem? Przekreślić całe moje życie?!

– Nie całe, – odrzekła. – Kilka ostatnich lat...

– Jedynych, w których żyłem w świetle i prawdzie...

– A jeśli światło i prawda były w tamtych, poprzednich?

– Nie, nie... fałsz!

– Jeśli fałsz, czemu się przed nim tak bronisz?... Ale mniejsza o to... Nie do dysput czas! Patrz! Oto ten, którego kochałeś, jak mówiono, – ten, który ci oddał serce i poświęcił ci wszystko... On cię przyzywa, on żąda od ciebie ostatniej przysługi – odmówisz-że mu?! (...)

– Zwyciężyłaś, kobieto! W niedoli twej ciesz się tem przynajmniej, żeś zgięła przed sobą jednego z mocnych duchów tej ziemi. Zwyciężyłaś mnie! Oddaję ci duszę mego Parsifala, nie stanę już między nim a Bogiem twoim. Żegnajcie! (...)

– Nie, nie pójdziesz stąd! – rzekła nagle Wrzeska, chwytając go za rękę. (...)

– Kobieto szalona... – rzucił jej. – O czym ci się śni? Nie dość tego, żeś mnie rzuciła do twych stóp?

– Nie, nie dość! **Chcę więcej, chcę wszystkiego!**

– Szalona!

– Nie, bo cię przejrzałam (...)! Przejrzałam cię i czuję, że niema już w tobie wiary twej i pewności prawdy, że owszem, wszystko w tobie rozprzęga się i mąci, i że zostając przy nim, nie jedną, ale dwie dusze uratujesz! (...) Precz z *tamtym*! Pana swego uznaj i uczcij, i znów bądź Jego sługą!²⁹⁸

Znaczące zdanie wypowiedziane przez Wrzeskę – „Chcę wszystkiego!” – świadczy o jej nieugiętości i sile charakteru. Ze wszystkich prezentowanych dotychczas przez Gnatowskiego typów kobiecych ten, choć pojawia się zaledwie w jednej, krótkiej i pełnej dramatycznego napięcia scenie, jawi się czytelnikowi jako najciekawszy. To już nie jest cikliwa niewiasta, która samą modlitwą bądź beczynną rozpaczą próbuje odmienić nieszczęśliwy los. To prawdziwa heroina, do ostatniego tchu gotowa walczyć o duszę męża. „Zwyciężyłaś, kobieto” – przyznaje Zieniewicz, po czym wchodzi do pokoju umierającego, by udzielić mu ostatniego sakramentu.

²⁹⁸ J. Łada [Gnatowski], *Lucifer...*, s. 46-57.

Narracja urywa się w tym momencie, by w zakończeniu opowiadania przenieść się o kilka, być może nawet kilkanaście lat do przodu. W tym czasie koło satanistów rozpręgåło się, a jego założyciel zniknął z życia publicznego.

Podczas wakacyjnego pobytu w Zakopanem, narrator spotyka nawróconego Wierszwiłła, który prowadzi go w pobliże górskiej pieczary, ukrytej głąboko w lesie. Żyje tam tajemniczy pustelnik, który postanowił poświęcić się kontemplacji, wzorem średniowiecznych ascetów. Ludzie uważają go za świętego i pielgrzymują do tego miejsca, by choć na chwilę go ujrzeć:

W szczelinie pokazał się człowiek.

(...) Powłóczyła szara opończa ze zgrzebnego płótna zwisała mu do kostek. Nogi miał bose; w wychudłych palcach, żółtych jak воск, przesuwiał drewniane paciorki. Dokoła łysej czaszki bieleło kilka kosmyków siwego włosa i długa zmierzwiona broda spuszczała mu się aż na piersi. (...) I sam on, ten bardzo stary człowiek ze zmartwiałą twarzą i niedogasłymi oczyma, zdawał się trupem, na chwilę tylko wyjętym ze skalnego grobu i wystawionym na światło dzienne, by postacią swą mówił: *Memento mori!* Wszystko w nim było trupie: oczy tylko żyły jeszcze...²⁹⁹

Tajemniczym pustelnikiem, jak gdyby wyjętym z IX karty Tarota „Eremita”, jest oczywiście Zieniewicz. Życie w odosobnieniu uznać musiał zapewne za jedyne możliwe wyjście po tym, jak zdecydował się odrzucić kult szatana. Nie było już dla niego powrotu do posługi kapłańskiej – być może przez wstyd za to, co uczynił. Postanowił wobec tego obrać drogę Pokuty (*paenitentia*) i zostać ascetą.

Zakończenie przywołuje wiele możliwych modeli interpretacyjnych. Z jednej strony utwór dotyka bowiem problemów bardzo dla Gnatowskiego aktualnych (młodopolska fascynacja satanizmem i jej możliwe skutki), z drugiej zyskuje piętno ponadczasowości, prezentując walkę chrześcijańskiego modelu życia z zepsuciem i hedonizmem. Z niepokojem obserwował prałat Gnatowski „zapotrzebowanie społeczne na satanizm, na gnozę, na demonologię, czarne msze alchemię, gotyk, średniowiecze, na wszelakie perwersje i dewiacje”³⁰⁰, któremu inni pisarze starali się zadośćuczynić. Niektórzy robili to ze względu na modę, inni dlatego, że satanizm był dla nich płodną, obfitą w symbolikę inspiracją literacką. Za pierwowzór Wierszwiłła można by z powodzeniem uznać Przybyszewskiego, który w okultyzmie znalazł przyzwolenie na hedonistyczne i anarchistyczne skłonności³⁰¹,

²⁹⁹ *Ibidem*, s. 71-72.

³⁰⁰ A. Hutnikiewicz, *Dramat i teatr młodopolski*, [w:] *idem, Młoda Polska*, Warszawa 2008, s. 211.

³⁰¹ Anarchosatanizm Przybyszewskiego zmienił nienowoczesny i przestarzały średniowieczny lucyferyzm w prąd świeży, uruchamiający gnostyckie i post-gnostyckie herezje, które pisarz wykorzystał, by interpretować współczesną mu epokę modernizmu. Nihilizm i anarchizm, zdaniem Przybyszewskiego, były dwiema

przy tym doskonale rozumiejąc, że w czasach *fin de siècle'u* tematyka ta po prostu „dobrze się sprzedawała”.

Niezależnie jednak od stanowisk poszczególnych pisarzy, interesuje nas najbardziej intencja, jaka przyświecała samemu Gnatowskiemu. Jako kapłan, próbował zaznaczyć stanowisko Kościoła wobec niepokojących go, obecnych w prozie i poezji inspiracji okultystycznych i lucyferycznych. Niejako „przy okazji” wpadł jednak w pułapkę, często czyhającą na twórców literatury zaangażowanej. „Katechizujący” aspekt utworów, który nieraz przewyższał ich wartość artystyczną, stał się mianowicie jednym z powodów do krytyki twórczości prałata, już w czasach mu współczesnych. Jak pisał ks. Witold Czeczot, przyjaciel i korespondent Gnatowskiego:

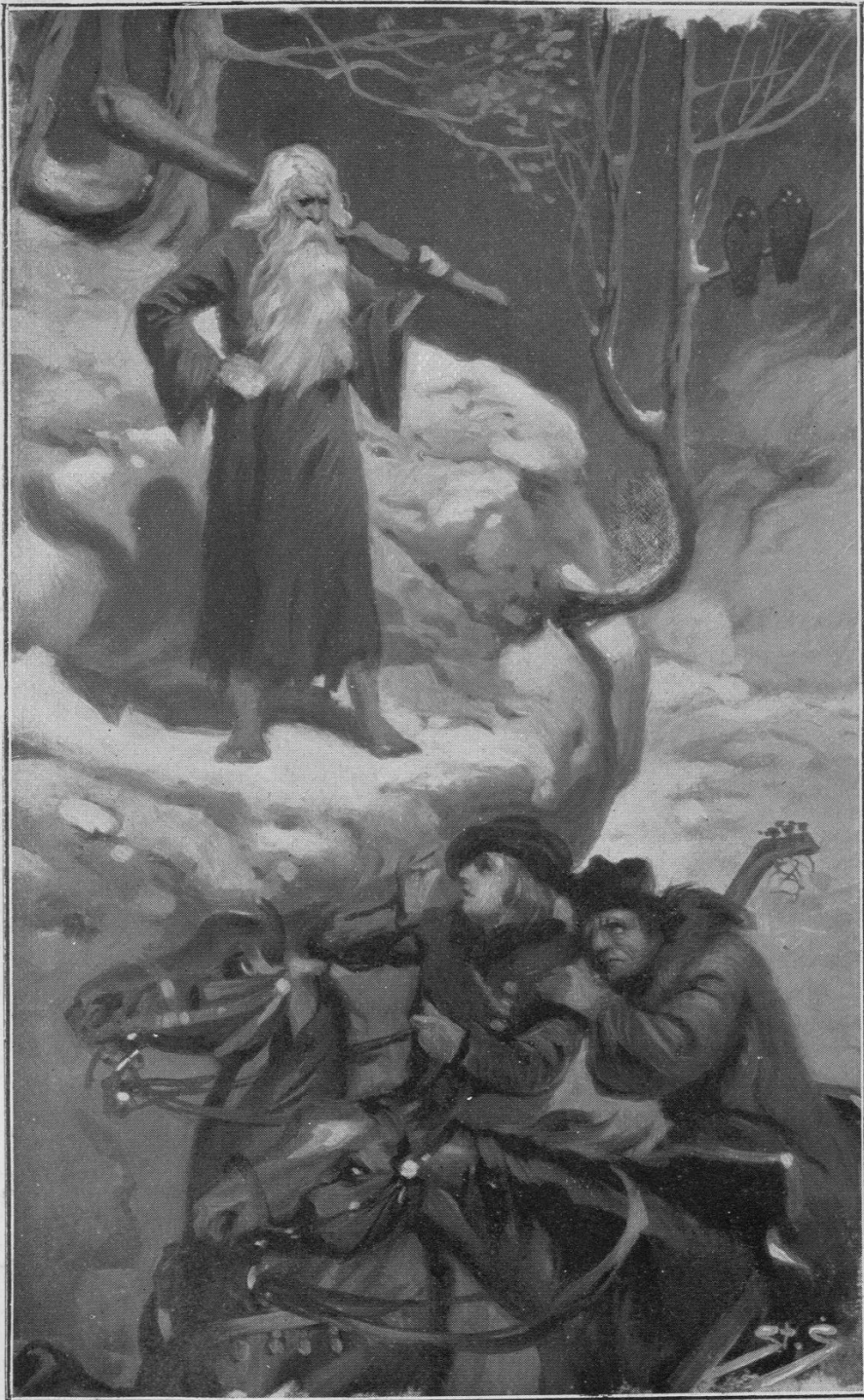
Cechą utworów Jana Łady jest ta praca autora, który ma stałe zasady i przekonania i otwarcie wskazuje cel, do którego czytelnika prowadzi. Można z temi zasadami nie sympatyzować, nie można nigdy o mglistość lub niekonsekwencję autora oskarżać.

(...) Do należytej oceny beletrystycznych utworów Jana Łady w oczach niejednego zaszkodziła z pewnością wieść, że przywdział sukienkę duchowną. Ksiądz, piszący nowele! – było to zjawisko tak niesłychane, nie tylko u nas, że niejednego zniechęcało do książki³⁰².

Estetyka wzniosłości i grozy zawsze był tym, czego czytelnicy beletrystyki oczekiwali daleko bardziej, niż próby ich umoralniania. Gnatowski zauważył swój błąd bardzo szybko – i równie szybko go naprawił, kolejną powieść (*Oman*) dostosowując już do gustu i upodobań adresatów.

najbardziej niebezpiecznymi ideologiami końca wieku XIX i jako takie mogły być narzędziami w rękach symbolicznego „złego boga” (Zob.: G. Matuszek, „Nadczłowiek”, *satanistyczni paranoicy i incestualni kochankowie*, [w:] *eadem, Stanisław Przybyszewski - pisarz nowoczesny. Eseje i proza - próba monografii*, Kraków 2008, s. 263-264.)

³⁰² W. Czeczot, *Nowele Jana Łady*, „Kurier Warszawski” 1913, nr 352, s. 7.



ROZDZIAŁ IV

LITERATURA FANTASTYCZNA

4.1. OMAN. CZARODZIEJSKA HISTORIA

O RYCERZU-UPIORZE, O WODNICY-TOPIELICY I PADEWSKIM STUDENCIE –

SŁOWIAŃSKA BAŚŃ Z GOTYCKIM SZTAFAZEM

Fascynacja estetyką gotycyzmu i grozy, towarzysząca Janowi Gnatowskiemu – jak niejednokrotnie wspominaliśmy w poprzednich rozdziałach – od wczesnej młodości, dochodzi do głosu w pełni dopiero po przejściu prałata na emeryturę. Od tego momentu rozpoczyna się okres „baśniowo-fantastyczny” w jego twórczości, którego pokłosiem jest osiem obszernych powieści: *Oman*, *Mag*, *W zaklętym zamczysku*, *Antychryst*, *Białe i czarne duchy*, *Zły czar*, *Hetmanik*, *O śpiących rycerzach i czuwającym królu* (ostatnie dwie nie zostały wydrukowane). Do końca swych dni tworzyć będzie Gnatowski utwory dalekie od konwencji realistycznej, wyraźnie inspirowane estetyką romantyzmu i Młodej Polski, którą do niedawna otwarcie krytykował. Niemniej jednak stosowane przez niego pomysły i koncepty, choć czerpią z dorobku epoki, są jednocześnie osobistą propozycją prałata, w której elementy fantastyczne i baśniowe zawsze służą kształtowaniu moralności chrześcijańskiej – literatura ta nie wyzbyła się więc pierwiastka dydaktycznego, a jedynie przyoblekła go w inne niż dotychczas „szaty”. Być może był to sposób Gnatowskiego na przyciągnięcie większej rzeszy czytelników, by nawet na emeryturze kontynuować pracę „duszpasterską”, docierając do zagubionych poprzez formę pozornie niewinnej rozrywki, jaką stanowi czytanie fantastyki.

Opublikowany po raz pierwszy na łamach dodatku do „Świata” w 1912 r. *Oman* osobnego wydania doczekał się już rok później. Choć zaznajomiony z twórczością Łady czytelnik bez problemu rozpozna jego styl i pióro, przyznać trzeba, że powieść ta zdecydowanie różni się od jego poprzednich utworów. Po pierwsze – rozmiarem. *Oman* to obszerna, zamknięta w dwóch tomach wielowątkowa historia, która jak gdyby odpowiada na dotychczasowe, powtarzające się zarzuty krytyków co do „niewystarczającej objętości” tekstów Gnatowskiego. Ponadto – wyborem tematu. Wreszcie – swobodą w zakresie konstrukcji bohaterów i świata przedstawionego, właściwą literaturze fantastycznej.

Gatunkowo *Oman* sytuować należałoby na pograniczu trzech nurtów, widać też w nim wyraźnie trzy główne inspiracje: powieścią gotycką wraz z jej estetyką grozy¹; legendą – a szczególnie zbiorem legend arturiańskich; i wreszcie baśnią, niewolną od cudownych zdarzeń, nadnaturalnych postaci i zjawisk². Ponadto dostrzec tutaj możemy elementy powieści historycznej, wzorowanej na dokonaniach Waltera Scotta, niewątpliwie też bodziec do napisania *Omanu* stanowiły dla autora cenione przez niego utwory Henryka Sienkiewicza i Józefa Ignacego Kraszewskiego³.

Utwór przedstawia historię Stanisława, osieroconego chłopca, któremu za młodu piastunka Agata przepowiedziała bogactwo, sławę i rękę cud-dziewicy. Gdy „Stach” dorasta i wraca z Włoch po odbyciu studiów, postanawia uratować pannę Halszkę, szlachciankę więzioną przez złego rycerza Zyndrama w nawiedzonym zamku zwanym Czartowską Skałą. Pomagają mu w tym krasnoludki oraz inne przyjazne duchy, przeszkadzają natomiast boginki, upiory oraz sługa diabła – Krzyżak Winrych. Zyndram ginie i Stanisław zostaje panem Czartowskiej Skały – odkrywa przy okazji, że jest jej prawowitym dziedzicem, o czym wiedziała jedynie stara piastunka, lecz dotychczas ukrywała prawdziwe pochodzenie chłopca z obawy przed Zyndramem. Stanisław jako pan zamku i chrześcijański rycerz poddany jest serii prób, które musi przejść zwycięsko, jeśli zachować chce czystość duszy. Nieugięty wobec propozycji Winrycha, poddaje się dopiero amorom pięknej Hjalmy. Przyjaciele ratują go z opresji, gdy okazuje się, że jego kochanka jest w istocie Wodnicą-topielicą i Panią Przekłętą Jeziora. Tymczasem Halszkę nawiedza co noc upiór zmarłego Zyndrama, który chłepce jej krew. Dzięki pomocy księdza Deodaty Stachowi udaje się zgładzić wampira oraz Winrycha. Zostaje panem Skały i okolicznych ziem oraz mężem Halszki, uratowanej z opresji.

Tak – pokrótce – przedstawia się fabuła *Omanu*. Jest tu więc proroctwo dla ubogiego chłopca, są siły Dobra i Zła, które pomagają bądź szkodzą bohaterom, jest więziona w zamku – co prawda nie księżniczka – ale szlachcianka, jest wreszcie szereg pobocznych wątków, które mimo że nie przedstawiają sobą żadnej oryginalności, są bowiem epigońską wariacją na

¹ Idąc za Maciejem Świerkockim rozszerzamy pojęcie „wyobraźni gotyckiej” z pierwotnie wąsko rozumianego zjawiska, ograniczającego się do zaledwie kilkunastu utworów powstałych na terenie Anglii, Ameryki Północnej i Niemiec, na zjawisko szersze, obejmujące po dziś dzień setki tekstów kultury, a nawet wykraczające poza artystyczną rzeczywistość, której znakiem charakterystycznym jest m. in. estetyka grozy i horroru, niepokojące przestrzenie i postaci o niejasnym statusie ontologicznym (Zob.: M. Świerkocki, *Magia gotycyzmu*, [w:] *Gotycyzm i groza w kulturze*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Płuciennik, Łódź 2003, s. 9-14).

² Podobnego zdania jest Henryk Dubowik: „Na pograniczu między baśnią a powieścią gotycką należy postawić *Oman* (...)” [H. Dubowik, *Fantastyka w literaturze polskiej. Dzieje motywów fantastycznych w zarysie*, Bydgoszcz 1999, s. 183].

³ Zob. List J. Gnatowskiego do J. I. Kraszewskiego z 1884 r. Rkp. Bibl. Jagiel. sygn. 6503 IV.

temat tego, co już w literaturze było, to jednak zestawione razem tworzą – w naszej opinii – niezwykle udaną i wciągającą powieść. Być może to zasługa zaskakujących zwrotów fabularnych i wartkiej akcji, być może konwencji utworu, tak odmiennej od dotychczasowego hiperrealizmu opowiadań Gnatowskiego.

Oman zarówno poprzez typy występujących w nim bohaterów, jak i przestrzenie, w których toczy się akcja, może z powodzeniem nazwany zostać powieścią grozy. Jak pisze Magdalena Drabikowska:

Bohaterowie (...) powieści gotyckiej najczęściej byli analizowani według schematu – gotycki łotr, dziewczica w opresji oraz jej wybawiciel, antagonistą łotra. Gotyckim łotrem jest pan feudalny (książę, możnowładca, arystokrata) lub katolicki duchowny (najczęściej mnich), będący zagrożeniem, często seksualnym, dla pięknej, dobrej i niewinnej dziewczyny⁴.

Z oczywistych powodów Gnatowski zdecydował się uczynić tytułowym łotrem rycerza-upiора Zyndrama, nie katolickiego duchownego. Zyndram charakterologicznie idealnie wpisuje się w schemat negatywnego bohatera powieści gotyckiej.

Bohater taki [to] zbrodniarz, bluźnierca, pełen erotycznych pragnień, ambitny, żądny władzy, dążący do bogactwa za cenę zbrodni, często przekraczający granicę ludzkiego doświadczenia (...). Celem intryg i zbrodni gotyckiego łotra jest dziewczyna – niewinna piękność w opresji⁵.

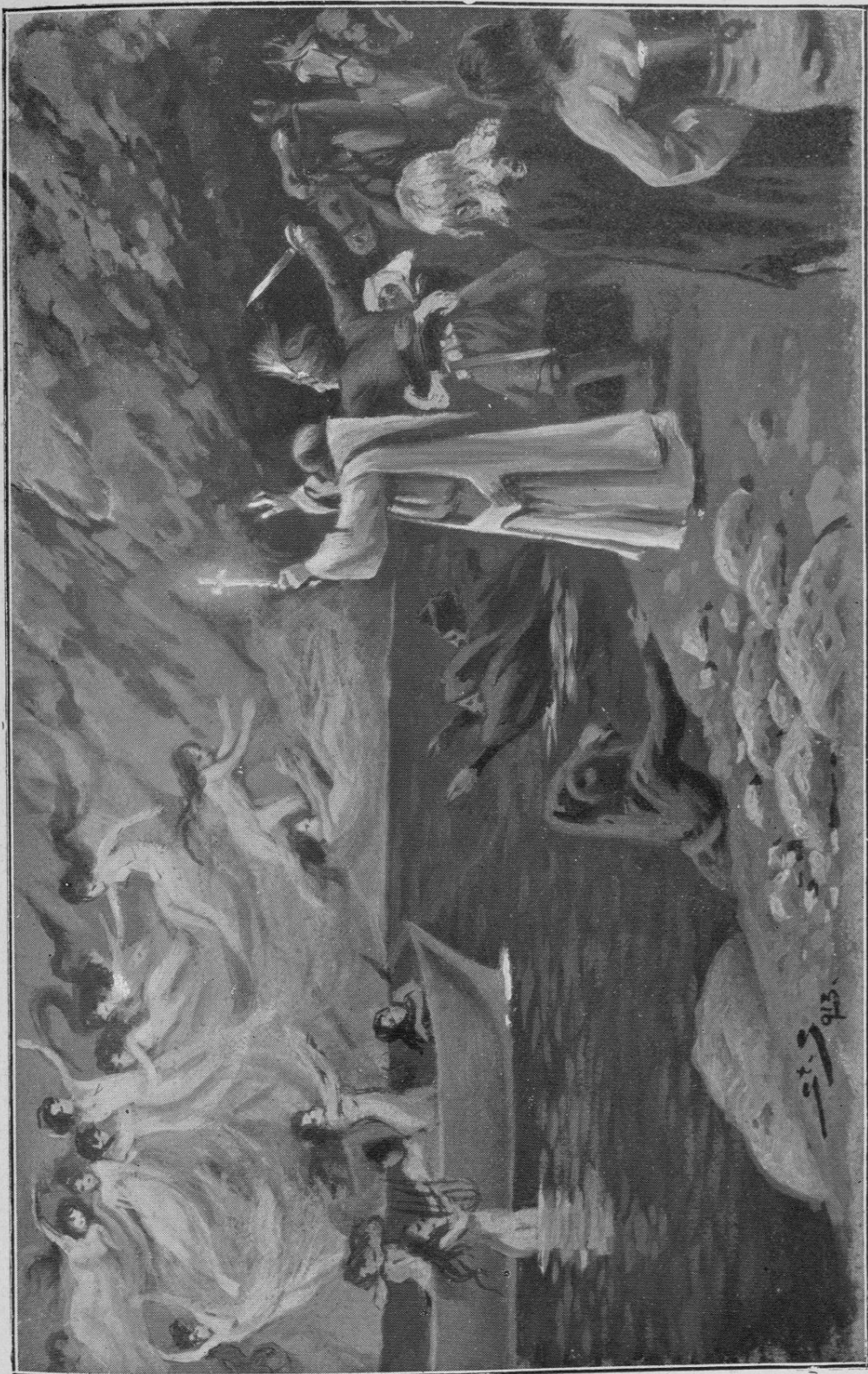
Jak dowiaduje się Staszek w przededniu wyprawy na zamek, ojciec Zyndrama zaprzedał jego duszę diabłu już wtedy, gdy ten był dzieckiem w kołysce. Mamy tu więc do czynienia z przykładem rodzinnego paktu z diabłem, który przechodzi z pokolenia na pokolenie, dziedziczony „po mieczu” z ojca na syna. Tym samym Zyndram od małości nie zna niczego co dobre i piękne, pozostając po kres swoich dni sługą Zła:

Bogaty sąsiad, rycerz z Czartowskiej Skały, pan okrutny i bezbożny, przywłaszczył sobie jakoby opiekę nad Halszką i samą nawet (...) uwięził do swego zamku, własne jej gniazdo spaliwszy. Mówią, że do ślubów ze sobą chce ją przymusić, by dziedzictwo zagarnąć!⁶

⁴ M. Drabikowska, *Powieść gotycka*, [w:] *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, red. G. Gazda, wyd. II, Warszawa 2012, s. 779.

⁵ *Ibidem*, s. 780.

⁶ J. Łada [Gnatowski], *Oman. Czarodziejska historia o Rycerzu-upiörze, o Wodnicy-topielicy i padewskim studencie*, Warszawa 1913, s. 15.



Rezydując na Czartowskiej Skale wraz z bandą lojalnych mu opryszków-Cyganów⁷ oraz Winrychem, Zyndram gnębi i morduje okoliczny lud jedynie dla rozrywki, jednak od momentu porwania Halszki piękna dziewczyna zaprzęta wszystkie jego myśli. Dostępu do jej cnoty, kiedy Zyndram próbuje ją obezwładnić, broni czar rzucony przez krasnoludki:

- Nie pohańbiłże jej ten piekielnik? – spytał Stach.
- Wolę sprośną miał, to pewne, – odparł gazda – jeno Bóg ochronił niewinność.
- Jakim cudem? (...)
- A ludkowie przecie pomogli. Wyzwolić nie potrafią, bo na to nie mają siły, ale takie zadali czary onemu piekielnikowi Zyndramowi, że od samego tego czasu chorzeć zaczął i raczej o śmierci myśleć musi, niżli o kochaniu, więc pannę, choć jej nie puszcza, w spokoju ostawia⁸.

Co ciekawe czary, choć oficjalnie potępione przez Kościół Katolicki, tu rozdzielone są na dobre i złe. Krasnoludki, mimo że w powieści są stworzeniami pozbawionymi duszy, stoją po stronie moralności.

Przypadłość Zyndrama, jeśli pozbawić ją „nadmaturalnych źródeł”, przypomina choroby weneryczne. Może więc w ten sposób Gnatowski przestrzec chciał czytelników przed oddawaniu się żądzom cielesnym? Gdy po raz pierwszy Stach i jego stary przyjaciel Lucianus spotykają rycerza, przedstawia on sobą godny pożalowania widok:

Leżał on na posłaniu ze skór niedźwiedzi w narożnej komnacie (...). Był to mąż w sile wieku, jeszcze może niedawno młody, ale sterany chorobą czy nadużyciami. Ogromna jego postać, o głowę przerastająca Winrycha, zdawała się jakby w siebie weszła, tak była skuloną i znędziałą. Długie chude ręce z zakrzywionymi w szpony palcami trzęsły się konwulsyjnie, usta wykrzywiały ból czy niecierpliwość⁹.

Zyndram jeszcze za życia obdarzony zostaje atrybutami wampira, którym stanie się po śmierci zadanej mu przez samego Winrycha. Trawiony pożądaniem, obsesyjnie rozmyśla o Halszce. Jak podkreśla Barbara Paczkowska, gotyccy łotrowie wyróżniają się swoim wyglądem zewnętrznym, który jest czymś w rodzaju uzupełnienia ich zepsutego wnętrza¹⁰.

⁷ Warto zauważyć, że Cyganie służą także innemu upirowi doskonale znanemu z literatury – hrabiemu Draculi, tytułowemu bohaterowi powieści epistolarnej Brama Stokera (wyd. 1897 r.)

⁸ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 84-85.

⁹ *Ibidem*, s. 103.

¹⁰ Zob. B. Paczkowska, *Gotyizm*, [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykowa, wyd. IV, Wrocław 2009, s. 323-326.

Sama Halszka to typowa dla literatury gotyckiej „niewinna piękność w opresji”¹¹, sentymentalna i delikatna dziewczica, wyjęta żywcem ze średniowiecznych podań i legend:

Była to panienka ledwie z lat dziecięcych wyszła, ale smukła jak łania i wyniosła jak na córkę pańskiego rodu przystało. Czar szedł od niej potężny, upajający, jak od wiosennego kwiatu, ale zarazem w przedziwnej harmonii i piękności kształtów i rysów (...). Na liliowej bieli oblicza świeciły oczy czarne jak otchłań a słodkie i smętne nad wyraz. Czarny też strój nieledwie zakonny przyoblekał ją w niezwykłą powagę, którą podnosiła jeszcze wrodzona dostojność postawy i ruchów. Jeny złocista siatka, ujmująca krucze¹² warkocze i biała koronkowa kryza u szyi, niemniej jak aksamitna torebka u pasa, wprowadzały jaśniejszy ton do tych szat żałobnych¹³.

Halszka reprezentuje ulubiony przez Gnatowskiego typ skromnej, wstydlivej i sentymentalnej dziewczicy, jaki odnaleźć możemy już w powieściach katechizujących pralata. Drabikowska przekonuje, że podobne kreacje „gotyckich dam” miały być interesujące dla czytelniczek i wzbudzać w nich zaangażowanie emocjonalne, ale jednocześnie ich fanatyczna religijność, bojaźliwość i uznanie dla autorytetu mężczyzny mogło czasami doprowadzić je do cierpienia i tragicznej śmierci¹⁴.

Nie bez wpływu na rozwój powieści gotyckiej pozostawał nurt sentymentalny w literaturze, w *Omanie* uwypuklający się szczególnie w scenach spotkań Halszki ze Staszkiem. Młody bakałarz śpiewa dla niej miłosne pieśni przy akompaniamencie łagodnych dźwięków harfy. Zamek diabła ulega w tych scenach chwilowej transformacji w siedzibę Amora:

(...) Stach począł śpiewać włoską pieśń miłości.

Cudna to była pieśń. To cicha i powiewna, jako najłżejszy wietrzyk potrącający wiosną o świeżo rozkwitłą różę lub jakoby przed czasem, przed majem, świergotać poczęły słowiki, to znowu potężna, namiętnego czaru pełna fala młodości i kochania, porywająca duszę w dal nieznaną a promienną¹⁵.

Sam Staszek tylko pozornie reprezentuje typ szlachetnego młodzieńca, antagonisty gotyckiego łotra i wreszcie – wybawiciela więzionej panny. Ze wszystkich ukazanych w *Omanie* postaci on jeden nie daje się zamknąć w ograniczające go ramy. Z jednej strony

¹¹ M. Drabikowska, *op. cit.*, s. 780.

¹² Kruczocharne włosy Halszki na 214 stronie powieści ulegają „samoistnej” transformacji na „złociste”. Podobnych nieścisłości fabularnych można w literaturze Jana Gnatowskiego znaleźć wiele.

¹³ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 109-110.

¹⁴ Zob.: M. Drabikowska, *op. cit.*, s. 780.

¹⁵ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 113.

przedstawia sobą model arturiański, miał jednak w przestrzeń *stricte* legendy (jak król Artur ze swymi rycerzami Okrągłego Stołu) wrzucony jest w „przestrzenie grozy”, w których porusza się niczym w labiryncie. Jako szlachetny i sentymentalny wybawiciel, spełnia założenia gatunku:

Koncepcja tej postaci została zaczerpnięta z powieści sentymentalnej, można jednak powiedzieć, że ma swoje źródło w postawie średniowiecznego rycerza (...), wasala kobiety, dokonującego wielkich czynów po to, aby pomóc damie serca¹⁶.

Do pewnego momentu – przybycia na Czartowską Skalę – chłopiec ten uosabia też bohatera powieści o dojrzewaniu. Przekonany dotychczas o swym chłopskim pochodzeniu, uważający siebie za prostego studenta, dowiaduje się nagle, że jest synem słynnego rycerza Dobka i stryjecznym bratem samego Zyndrama. Więzy krwi z jednej strony komplikują relację Łotr – Antagonista, ale z drugiej ją uwypuklają. Na barkach Staszka spoczywa złamanie rodzinnej klątwy i zerwanie paktu z diabłem, który ojciec Zyndrama podpisał dziesiątki lat temu. Oznacza to jednocześnie, że bohater rodzi się z naturalną skłonnością do Zła. O tej walce – nieskończenie istotniejszej od pokonania samego upiora – walce Staszka z samym sobą i z pokusami, które czyhają na jego drodze, opowiada drugi tom powieści. Przejść musi swoistą inicjację w Zło, by powrócić zwycięsko, poznawszy i ostatecznie odrzuciwszy to, do czego kusił go diabeł.

Niepodobna zapominać o gotyckim sztafażu *Omanu*, w którym prócz trójki głównych bohaterów znalazło się miejsce na motywy i wątki poboczne, osadzone w mrocznej konwencji utworu. Jak pisze Drabikowska:

(...) w powieści gotyckiej występują także postaci nadprzyrodzone – duchy i upiory, święci, szatan i demony. Są to przede wszystkim postaci budzące przerażenie i stanowiące zagrożenie dla człowieka (...), pojawia się motyw mściciela powracającego zza grobu, aby wymierzyć sprawiedliwość w duchu zemsty (...), obecne są też nadprzyrodzone postaci, pomagające ludzkim bohaterom. Charakterystyczną cechą powieści gotyckiej jest występowanie w świecie przedstawionym zdarzeń nadprzyrodzonych, takich jak wróżby i przepowiednie, prorocze sny, nawiedzenia itp.¹⁷

¹⁶ M. Drabikowska, *op. cit.*, s. 780.

¹⁷ *Ibidem*, s. 780-781.

Złe duchy, upiory, topielice (wraz z ich królową Hjalumą-Smartą), nimfy oraz rozmaite „licha” uaktywniają się po zmroku, zawsze w scenerii ku temu odpowiedniej.

W powieści mamy do czynienia z trzema „przestrzeniami gotyckimi”, w których bohaterom nieraz przyjdzie walczyć o życie. Pierwszą i najważniejszą z nich jest zamek – Czartowska Skała. Stanowi niejako arenę dla zbrodni, które rozgrywają się w utworze, przybytek Zła oraz miejsce, gdzie ojciec Zyndrama poświęcił dziecko diabłu. To tutaj, w zamkowej kaplicy, spoczywać będzie po śmierci ciało rycerza-upiora, co noc powstające z grobu. Tutaj władztwo sprawuje Winrych, diabelski Krzyżak, którego czary sprawiają, że po północy wszyscy mieszkańcy zamku zapadają w śpiączkę. Tu wreszcie Stanisław, mamiony diabelskimi podszeptami, po raz pierwszy odwróci się od Halszki, by zapalać żądzą do Hjalmy.

Nie dysponujemy wieloma opisami wnętrza kasztelu – wiadomo jedynie, że znajdują się tam pełne robactwa i szczurów lochy, ale komnaty urządzone są z przepychem, jako że Zyndram lubuje się w bogactwie i wygodzie. Wiadomo jednak, jak Czartowska Skała wygląda z zewnątrz:

Wąwóz kończył się w tym miejscu, załamując w bok wązkim przesmykiem. Na załomie, wprost nad ich głowami, zawieszony, jak orle gniazdo, na olbrzymiej granitowej skale, ściętej, jak ściana, a prostej, jak słup, czerniał potężny gmach, strzelając w błękit niebios groźnemi basztami i wieżycami, o pokruszonych szczytach.

(...) trudno było o posępniejsze ramy od tych, w jakie ta część wąwozu ujmowała zawieszony na skale zamek. (...) Cisza przytem była tu zupełna: żaden ptak nie uderzał skrzydłem na tem okropnem pustkowiu i żaden głos zwierzęcy ni ludzki nie odzywał się znikąd¹⁸.

Przy opisie zamku autor pozostaje wierny konwencji gotyckiej, która „lubuje się w miejscach napiętnowanych”¹⁹. Warownia jest niedostępna niczym orle gniazdo, ponadto nie zapuszcza się w jej pobliże żadne „boskie stworzenie”, instynktownie czując Zło emanujące z wnętrza.

Druga przestrzeń wpisana w estetykę grozy, w której rozgrywają się sceny walki mistrza Lucianusa z nimfami, to Czarny Wąwóz, gdzie: „(...) nocą Zły panuje i biada duszy chrzczonego człowieka, który tam się zapędzi po księżycu”²⁰. W otaczającym go lesie mieszkają fantastyczne stworzenia, często wrogie i niebezpieczne dla bohaterów. Wiele z nich Gnatowski zaczerpnął z baśni i legend: krasnoludki, znane z niemieckiego folkloru

¹⁸ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 88-89.

¹⁹ M. Janion, *Forma gotycka Gombrowicza*, [w:] *eadem, Gorączka romantyczna*, wyd. II, Gdańsk 2007, s. 166.

²⁰ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 22.

i pojawiające się często w młodopolskiej literaturze²¹; nimfy, rusalki, wodnice, licha oraz inne leśne duchy czy żywiołaki o proveniencji słowiańskiej; wreszcie elfy, pochodzące z mitów bądź podań germańskich i anglosaskich (tzw. *faeries*).

Na skraju Czarnego Wąwozu znajduje się ostatnia z kolei „gotycka przestrzeń” obecna w powieściowym świecie. Jest to Przekłête Jezioro, gdzie króluje Pani Smarta. Tylko z pozoru wygląda niewinnie i łagodnie:

Głęb całą widnokęgę zajmowało szerokie, księżycem osrebrzone jezioro, którego fale z cichym szmerem miarowo uderzały o brzegi, z tej strony płaskie, w głębi okolone skałami niedostępnymi. Było ono przedziwnie piękne wśród tej jasnej nocnej ciszy, i mimo lekkiego ruchu i łuszczenia się powierzchni, jakoby zamarłe. Zdać by się mogło, że duchy jakieś niewidzialne kołyszają je, dotykając przelotnie skrzydłami²².

Jezioro bywa częstym plenerem literackim, szczególnie w epoce romantyzmu. Tutaj też należałoby szukać źródeł inspiracji Gnatowskiego. O ile jednak Topielice – bohaterki takich utworów, jak *Świtez* bądź *Świtezianka* Adama Mickiewicza – dokonują zemsty w słusznej sprawie, testując uczciwość kochanków bądź opowiadając dzieje zatopionego miasta, o tyle Smarta, Pani Przekłętego Jeziora, jest żądnym krwi bytem gotowym unicestwić każdego, kto znajdzie się na terenie jej „włości”.

Nie bez znaczenia pozostaje wzmianka o „blasku księżyca”, którym osrebrzone jest jezioro oraz fakt, że Wodnica najsilniejsza jest w czasie pełni. Mogłoby to oznaczać, że jej moc pochodzi od Bogini, identyfikowanej od pradawnych czasów z księżycem. Kult bóstw lunarnych, ukształtowany już w epoce paleolitu, wiązał kobiecy cykl miesięczkowy z fazami ziemskiego satelity. Tym samym jezioro pozostawać musi we władztwie potężnej, przedchrześcijańskiej istoty, kobiety-kusicielki, która wedle słów jednego z bohaterów królowała: „Drzewiej, nim tu wiara chrześcijańska nastała (...)”²³. Smarta (która później, kusząc Stanisława, ukrywa się pod imieniem Hjalma) nie jest wyłącznie jedną z diabolicznych występujących w powieści i czarujących mężczyzn w Czarnym Wąwozie. Co więcej, te boją się jej i nie zapuszczają w pobliże jeziora. Ona, choć działa wspólnie z diabelskimi mocami – a przynajmniej nie przeciw nim – reprezentuje daleko starsze i potężniejsze siły. Postaci tej przyjrzymy się wnikliwie w kolejnej części niniejszego rozdziału, tymczasem pozostawmy

²¹ Przykładem mogą być utwory Marii Konopnickiej (*O krasnoludkach i sierotce Marysi*, *Na jagody*); nieco późniejsza twórczość Zofii Kossak (*Kłopoty Kacperka góreckiego skrzata*). Po wątki baśniowe sięgali też Jan Kasprzowicz, Lucjan Rydel, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, czy Bolesław Leśmian.

²² J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 48.

²³ *Ibidem*, s. 71.

przy analizie opisu samego jeziora. Gdy jego władczyni ukazuje swe prawdziwe oblicze, sceneria zmienia się nie do poznania:

Cicha przed chwilą przestrzeń wodna wzburzyła się nagle; wzniosły się i spiętrzyły fale i naprzeciw podróżnego orszaku runął naraz olbrzymi wał wody, wystarczający na to, by zatopić nie tylko ich, ale i całą dolinę. (...) ryk fal i wycie bestii (...) przybrały raz piętno wściekłości i rozpacz, rozjękły dziką skargą i krwawymi łzami, mieszając się ze zgrzytaniem zębów i jakby konwulsyjnym, spazmatycznym śmiechem, jakim wybucha ból, gdy dojdzie szał²⁴.

Tafla jeziora ma więc dwa oblicza, zupełnie jak jego Pani – łagodne i pełne wściekłości. Wraz ze Smartą są w istocie jednym i tym samym. Przestrzeń oddaje charakter postaci, a postać – przestrzeni, w której jest umieszczona. Smarta nie może poruszać się poza obręb tych wód i mieszczącej się obok jaskini. Pozostaje więc niejako więźniem przekłętego krajobrazu, stapiając się z nim, kontrolując go i wreszcie stając jego częścią na ponad tysiąc lat.

Innych przestrzeni ukazanych w powieści nie cechuje estetyka grozy. Prócz zamku, wąwozu oraz jeziora spotykamy bohaterów w kolibie, gdzie stary gazda opowiada Stanisławowi i Lucianowi dzieje Czartowskiej Skały; w karczmie, a także we dworze Hjalmy. Ten ostatni okazuje się ostatecznie jedynie widziadłem wyczarowanym przez Panią Jeziora, ale dopóki przekonani jesteśmy o „realności” owej przestrzeni, nie charakteryzuje się niczym niepokojącym. Wbrew więc typowemu dla literatury gotyckiej motywowi „labiryntu” bądź „infernalego koła”²⁵, bohaterowie mogą od czasu do czasu uciec z miejsc pozostających w mocy Złego.

Stanisław jako bohater literacki jest spadkobiercą pieśni i legend o nieskazitelnych rycerzach, którzy walczą w obronie wiary chrześcijańskiej, pozostając wiernymi swoim damom serca. Jego pierwowzorów szukać możemy we francuskich *chansons de geste*, opiewających bohaterskie czyny średniowiecznych wojowników, ale też w cyklu podań o królu Arturze, legendarnym władcy Brytów, założycielu Okrągłego Stołu. Jak pisze Agnieszka Gawron:

Legenda [to] opowieść z życia świętych i bohaterów, przesycona elementami fantazji, cudowności, osnuta na wątkach ludowych i apokryficznych. (...) W folklorystyce światowej wskazuje się na legendę jako jedną z trzech, obok mitu i bajki, prozatorskich form

²⁴ *Ibidem*, s. 431.

²⁵ Zob. M. Drabikowska, *op. cit.*, s. 781.

folklorystycznych. (...) Badacze zwracają też uwagę na funkcje legendy: najczęściej mówi się o niej jako o przekazie utrwalającym moralno-estetyczne normy i idee chrześcijańskie²⁶.

Legenda odkryta zostaje niejako „na powrót” przez twórców literatury dziewiętnastowiecznej. W różnorodny sposób wykorzystują oni tematy, kompozycje i motywy tego gatunku, imitując (często bardzo swobodnie) jego język i stylistykę, stosując go nierzadko w celach dydaktycznych – jak sam Gnatowski²⁷.

Podobnie jak legendarny król Artur, Stanisław nie zna swojego pochodzenia, wychowując się wśród prostego ludu. Jeszcze przed odkryciem rodzinnej tajemnicy przejawia cechy wskazujące na szlachejne korzenie. Lucianus przyznaje młodemu podopiecznemu: „Do wielkich rzeczyś przeznaczon, zawsze to mówiłem. I z rycerskiej krwi jesteś, to każdy po tobie zobaczy. Żakiem jeszcze, animusz już miałeś rycerski”²⁸. W podobnym tonie wypowiadają się żyjący w okolicach Czarne Wąwozu wieśniacy, gdy bohater zostaje ich przywódcą, prowadząc wyprawę na Czartowską Skałę.

Jako chrześcijański wojownik, stojący po stronie „Białych Mocy” (jak nazywa Winrych wrogie sobie i diablom siły), Stanisław poddany zostaje w powieści serii prób, które niejako kształtują jego osobowość. Do pierwszej z nich dochodzi już w drugim rozdziale, gdy młodzieniec postanawia uwolnić złapanego w sidła króla krasnoludków. Pomimo ostrzeżeń Lucianusa zapuszcza się w głąb Czarne Wąwozu, gdy słyszy tajemnicze wołanie o pomoc. Ów szlachezny czyn zostaje nagrodzony:

(...) czarodziejskie sidła (...) taką mają moc, że tylko ten, kto duszę posiada nieskalaną, jest w stanie wyzwolić z nich więźnia. (...) A iżbyś miał znak miłości naszej (...) oto ci dam ten róg złoty. Ilekroć weń uderzysz, choć malutki on i głos zda ci się cichy, bracia moi przybiegną do ciebie z pomocą²⁹.

Autor zastosował więc klasyczne w legendzie bądź baśni rozwiązanie fabularne, w którym wyruszający na *quest* śmiałek otrzymuje artefakt w zamian za bezinteresowną pomoc. Podobny schemat znamy chociażby z legendy o szewczyku Dratewce, który pokonał złą czarownicę i uratował więzioną przez nią dziewczynę. Ale jak przekonuje Maria Janion, wzorec ten nieobcy jest także powieści gotyckiej:

²⁶ A. Gawron, *Legenda*, [w:] *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, red. G. Gazda, wyd. II, Warszawa 2012, s. 519-521.

²⁷ Zob. S. Rosiek, *Legenda*, [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykowa, wyd. IV, Wrocław 2009, s. 468-473.

²⁸ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 11.

²⁹ *Ibidem*, s. 32-37.

W powieści gotyckiej może istnieć wyraźny podział na tych, którzy znajdują się wewnątrz zamku, i tych, którzy są z zewnątrz. Ci ostatni (może to być również jeden tylko, ale szlachetny i nadzwyczaj dzielny młodzieniec), pragnąc dostać się na zamek, by wyjaśnić tajemnicę i ocalić uwięzionych bądź przeklętych i skazanych mieszkańców zamku, muszą pokonać liczne przeszkody. Tu w obręb powieści gotyckiej przenikają często schematy zarówno romansu rycerskiego, jak i baśni³⁰.

Stanisław mógł pomóc królowi krasnoludków dlatego, że posiada „nieskalaną duszę”. Pierwszą z prób przechodzi więc pomyślnie, za co otrzymuje nagrodę w postaci złotego rogu, którego użyje będąc w tarapatach.

Kolejna próba czeka go podczas pierwszego spotkania ze Smartą. Na początku odporny na kuszenie Topielicy, od razu jest w stanie dostrzec jej prawdziwe oblicze, w czym pomaga mu następny artefakt – Krzyż Pański, którym zakończony jest jego miecz. Stanisław wyposażony więc zostaje w broń „chrześcijańskiego rycerza”, dzięki której posiada moc dostrzegania „prawdy” kryjącej się za diabelskimi omamami. Taką broń w postaci Ekskalibura miał też król Artur.

Ostatnia z prób, które spotykają młodzieńca jeszcze przed zdobyciem zamku, polega na konfrontacji z Krzyżakiem Winrychem. Co ciekawe, imię diabelskiego sługi zaczerpnął Gnatowski z historii: Winrich von Kniprode był wielkim mistrzem Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie w latach 1351–1382³¹. Łączenie tej postaci z diabłem wynikało z jednej strony z polskiej niechęci do Zakonu³², a z drugiej z ezoteryczno-okultystycznych tradycji, jakie przypisywano innemu średniowiecznemu zakonowi: Templariuszom.

Status ontologiczny Winrycha jest niejasny. W przypadku tej postaci dysponujemy jedynie szeregiem plotek i niedomówień oraz rzucanymi od czasu do czasu enigmatycznymi uwagami samego Krzyżaka. Okoliczni mieszkańcy twierdzą, że jest samym diabłem, on z kolei, pytany przez Zyndrama o piekło, odpowiada ze wzruszeniem ramion: „Ja tam nie byłem i nie wiem. Mówiłem, com od mądrych słyszał (...)”³³.

Niezależnie od tego, czy Winrych jest człowiekiem czy diabłem, niewątpliwie przekracza granice ludzkiego doświadczenia. Dysponuje czarnoksiężskimi mocami, których udzielić może

³⁰ M. Janion, *op. cit.*, s. 204.

³¹ *Wielcy Mistrzowie Zakonu Krzyżackiego* | ZakonKrzyżacki.pl, [dostęp online: 03.04.2015r.], http://www.zakonkrzyzacki.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=22:wielcy-mistrzowie&catid=29:the-cms&Itemid=29

³² W tym kontekście nie bez znaczenia pozostaje powieść Henryka Sienkiewicza pt. *Krzyżacy* jako jedna ze wspomnianych wcześniej inspiracji Gnatowskiego do napisania *Omanu*.

³³ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 142.

temu, kto zdecyduje się oddawać cześć siłom Zła. Gdy Stanisław uwięziony zostaje w lochu i skazany na śmierć, odwiedza go pod osłoną nocy, by zaoferować pomoc. Przedstawia bohaterowi teorię dotyczącą Lucyfera – teorię inną zgoła, niż ta, z którą dotychczas zaznajomiony był młodzieniec. Wedle słów Winrycha, szatan miałby być: „Duchem Światła, na chwilę wtrąconym w ciemność”³⁴. Wyraźnie widać wpływ nauk satanizmu i lucyferyzmu, święcących tryumfy na przełomie XIX i XX wieku, gdy Gnatowski pracował nad fabułą *Omanu*³⁵.

Winrych posługuje się przemysłnymi argumentami, które mają za zadanie zachwiać budowany przez lata chrześcijański system moralności Stanisława. Usiłuje dokonać swoistej „dekonstrukcji” owego systemu, rozbijając go „od wewnątrz”, podkopując fundamenty wiary młodzieńca w podstawowy podział świata na dobro i zło. Argumenty, których używa Krzyżak, zaczerpnął Gnatowski z wierzeń masońskich oraz idei głoszonych m. in. przez Zakon Złotego Brzasku:

Bajki popie przewróciły ci głowę, jak innym, ale w oczach błyska ci rozum i wartość światła. Słuchaj jeno chwilę! Pomyślałeś kiedy, co ci dała twoja wiara i co dała ludzkiemu rodzajowi? Otoś w nędzy żył i na nędze przeznaczon – i cóż przed tobą? Szczęścia szukać masz? Samo nie przyjdzie: zdobyć je trzeba, a zdobywa się, depcząc po cudzych karkach. Tobie zaś tego wiara broni. Ona ci owszem każe miłować nieprzyjaciół i policzek na bicie nadstawiać. Gdzież ci z tem w górę się wzbijać? (...) Wy z kwiatów żywota znacie jeno mdłe lilie i żałobne cyprysy, a ubóstwiacie mękę, i hańbę, i śmierć... (...) Owóż patrz: ludzie niegdyś żyli szczęśliwie w słońcu mądrości Egipcjanów, i w piękności Greków, i w potędze Rzymu, żyli, spijając rozkosz życia pełną czarą, rwąc kwiaty życia pełną garścią. I oto przyszedł Prorok wasz ze swą nową mądrością smutku wiecznego i ofiary – i kwiaty zwiędły, i słońce zgasło, i umilkły śmiechy wesołe, i pieśni odgłosy, i fletni granie, i stary Pan ukrył się w niedostępnym gąszczu, a z nim odegnane dzwonami waszemi rusalki i chochliki, i klątwa nowego boga spoczęła na przyrodzie, jako i na wszelkiej piękności... I oto świat cały przyoblekł się smutkiem i żalobą, i darmo płaczą bogów starych nimfy wodne, fauny i driady, i darmo próbują duchy szlachetne wskrzesić dziatwę Apollina... (...) Stare bogi zbudziły się jednak i wracają. I świat znużony krzyżem ręce do nich wyciąga. (...) Nie masz szatanów, jak nie masz aniołów. Stara to baśń grecka o tytaniech, przekształcona przez chrześcijan jak tyle innych, na własne kopyto. Nie masz szatana, jest tylko światłość i ciemnota, wolność i niewola, prawda i zabobon³⁶.

³⁴ *Ibidem*, s. 156.

³⁵ Przed lucyferyzmem przestrzegał też Gnatowski w prasie katolickiej oraz prelekcjach, które wygłaszał we Lwowie w 1896 r., a także w opowiadaniu pt. *Lucifer*, omówionym w poprzedniej części dysertacji.

³⁶ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 160-163.

Gnatowski wplótł w fabułę fantastycznej „baśni” problemy nurtujące jego zdaniem dziewiętnastowieczne społeczeństwo: satanizm i neopogaństwo. Jak pisze Jakiel:

Kategoria neopogańska aktywizowana była w dwóch zasadniczych wariantach reaktywacji idei religijnych: starożytnej i pogańskich mitologii europejskich, w tym szczególnie słowiańskiej, oraz inkorporacji indyjskich idei religijnych³⁷.

W tym kontekście chodziłoby więc o reaktywację wyobrażeń religijnych i mitów starożytnych Greków i Rzymian. Winrych namawia Stanisława, by uprawiał kult Wenus i Bachusa: „(...) pókiś młody, spijać będziesz słodycz żywota i czcić stare bogi: boską Wenus, uwieńczonego winem Bachusa i siostry Apollinowe!”³⁸

Stanisław nie daje się omamić. Na każdy z argumentów Krzyżaka znajduje kontrargument, który umacnia go w wierze chrześcijańskiej. Chwali kunszt i wiedzę starożytnych, przekonuje jednak, że ich bogowie stanowią jedynie wytwór imaginacji ludzi, którzy siły przyrody próbowali tłumaczyć na sposób symboliczny, uosabiając je i nadając im atrybuty boskości. Stanisław czuje jednocześnie, że Winrych jest niekonsekwentny: rozpoczyna wykład od teorii lucyferycznych, próbując „zrehabilitować” postać szatana, po czym nagle odwołuje się do religii przedchrześcijańskich, gdy widzi, że nigdy nie przekona młodzieńca do oddania pokłonu „Czarnemu Panu”. Dzięki tej niekonsekwencji Stach zyskuje przewagę nad swoim rozmówcą.

Ostatnią z prób, której musiał być poddany w pierwszej części powieści, bohater przechodzi pomyślnie. Udaje mu się wydostać z lochów dzięki krasnoludkom, nie dzięki pomocy oferowanej przez diabelskiego sługę. Jego sumienie pozostaje czyste.

Po otrzymaniu władzy nad Czartowską Skałą charakter młodzieńca ulega stopniowej transformacji. Podobnie jak król Artur zmuszony podstępem przez swą siostrę-czarodziejkę Morganę dopuścił się kazirodczego czynu, tak bohater *Omanu* wpadłszy w sidła pięknej Hjalmy zapomina o przysięgach złożonych Halszce. Jego upadek zapowiedziany zostaje w proroctwie, które wygłasza stara niania:

We wróżbie tej stoi, że o cudzem myśląc, znajdzie dla siebie, czego nie szukał: sławę utraconą i ojcowiznę, i skarby, i utrzymaną na uwięzi przez złe moce cud-dziewicę, i szczęścia nad miarę, – że nie ma się przy tem bać ni żywych, ni umarłych przeciwników, bo silniejsi za nim stoją, i jeden tylko wróg zwyciężyć go zdoła i unicestwić wróżbę...

³⁷ E. Jakiel, *W służbie katachezy...*, s. 18.

³⁸ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 162.

– A wrogiem tym? (...)

– Rzecz dziwna – odparł, odciągając się z odpowiedzią Stach, jakby miał wrażenie, że odpowiedź zbyt jest nierozsądna, by ją powtarzać. – Stoi tam wyraźnie i mało sto razy kazała mi za sobą powtórzyć Agata: wrogiem tym mam być – ja sam!³⁹

„Nowy” Stanisław, upojony chwałą rycerskich czynów i zaślepiiony pożądaniem do Hjalmy, rzeczywiście staje się wrogiem „starego” siebie. Okazuje miłosierdzie Winrychowi i miast skazać go na śmierć bądź wygnanie, postanawia uczynić zeń swego doradcę. Tym samym wpada w sidła Krzyżaka, naiwnie wierząc w jego nawrócenie.

Z „moralnych manowców” udaje się wyprowadzić Stacha dopiero księdzu Deodacie, egzorcysty, który przybywa na zamek, by pokonać diabelskie moce. W recenzji *Omanu* zamieszczonej na łamach „Przeglądu Powszechnego” Antoni Mazanowski twierdzi:

(...) Stach (...) staje się dziedzicem Czartowskiej Skały, około której naokół hulają diabelskie moce i otaczają młodego bakalarza padewskiego wizjami pokus.

Nawała pokus – mówi Mickiewicz – równie jako morska burza. Dzielnym pływaków wznosi, a słabych zanurza.

Ale Stach, narażony na szereg pokus, nie jest dzielnym pływakiem. Ratunek jego ponad nim. Strzegą go modły ludzkie, łaska i miłosierdzie Boże. Gdyby nie one, uległby doszczętnie i zginął. Na usprawiedliwienia da się rzec, że młody. I w sile oporu swego – wąty. Jako bohater – mógłby być dzielniejszy i nie zależeć tak bardzo od ks. Deodata, trynitarza i od Agaty, starej piastunki⁴⁰.

To, co dla Mazanowskiego stanowi pretekst do krytyki powieści, wydaje się jednak celowym zabiegiem autora. Gdzie zawodzi siła charakteru wystawianego na ciągle pokusy i próby, tam pomoc musi wsparcie przyjaciół i ludzi, których cechuje większy „hart ducha”. Taki Stanisław jest psychologicznie bardziej prawdopodobny, niż gdyby w obliczu wszystkich pokus pozostał nieugiętym. Oddala się więc w swej postawie (kreacji) od idealnych wzorów legendarnych rycerzy, tym samym nabierając jednak większego prawdopodobieństwa dla czytelników. Ponadto, jak podkreślaliśmy wcześniej, bohater musi przejść coś na kształt „inicjacji w Zło”, by poznawszy je, ostatecznie odrzucić na rzecz Dobra. Taki schemat fabularny nie był też obcy powieści gotyckiej:

Największą tajemnicą, którą odkrywała i której dotyczyła, była przewrotność Losu i dwoistość natury ludzkiej, najczęściej upostaciowana w bohaterze i jego sobowtórze, objawiająca się

³⁹ *Ibidem*, s. 36.

⁴⁰ A. Mazanowski, *Najnowsza polska powieść historyczna*, „Przegląd Powszechny” 1917, t. 137, s. 75.

w obłędzie, opętaniu, w niedającym się do końca racjonalnie wytłumaczyć nasileniu – niemal nadprzyrodzonym – rozpętanych złych instynktów i namiętności, zwłaszcza już erotycznych. (...) Rozdwojenie owo, pojawiające się w jednej istocie, bywa interpretowane na różne sposoby: jako sprzeczna jedność pierwiastków najwyższych i najniższych, Dobra i Zła, świadomości i podświadomości, ciała i Duszy, będącej wszak Cieniem człowieka⁴¹.

Sprawczynią negatywnej przemiany jest wspomniana już przez nas Topielica, władająca ziemią wokół Przeklętego Jeziora. Ona i pozostałe nimfy-kusicielki obecne w powieści nadają narracji znamiona baśniowości. To miejsce, w którym baśń krzyżuje się z legendą. Odróżnić te dwa gatunki nie jest łatwo, istnieje jednak kryterium, które baśni magicznej przypisuje elementy nieobecne w legendzie, zaproponowane przez André Jollesa, niemieckiego krytyka i badacza literatury. Jak pisze Małgorzata Kubisiak:

Najbardziej charakterystyczną cechą baśni magicznej, odróżniającą ją od pokrewnych gatunków – podania i legendy – jest tak zwana oczywistość cudowności (bohaterowie baśni nie mają świadomości granicy dzielącej świat rzeczywisty od świata magii). (...) Baśnie wypełniają postaci ze świata zjawisk nadprzyrodzonych – olbrzymy, czarownicy i czarownice, smoki, dobre i złe wróżki, krasnoludki, zwierzęta mówiące ludzkim głosem i pomagające bohaterowi w pokonaniu przeszkód, czasami w dowód wdzięczności za okazaną przysługę, najczęściej jednak bez wyraźnej przyczyny obdarowujące go m. in. magicznymi przedmiotami. (...) w odróżnieniu od bohaterów podań i legend bohater baśni nigdy się ani nie dziwi cudom, których doświadcza podczas swej wędrówki, ani się ich nie boi⁴².

Jeśli weźmiemy pod uwagę to kryterium, Stanisław wciąż byłby bohaterem legendy, nie baśni, bowiem istnienie krasnoludków i nimf nie jest dla niego tak oczywiste, jak dla pozostałych postaci obecnych w *Omanie*. Ponadto wiele z tych fantastycznych stworzeń napawa go strachem, jako że przed wyprawą na Czartowską Skałę nigdy się z nimi nie spotkał. Siedziba Zyndrama i okoliczne ziemie są więc „baśniową krainą” wyrosłą pośrodku realistycznej przestrzeni. Czym bardziej główni bohaterowie się do niej zbliżają, tym bardziej skłonni są – nie bez obawy – przyjąć do wiadomości istnienie sił, w które wcześniej nie wierzyli. Przybywszy z krainy „oświeconego rozumu” w miejsce, gdzie ożywają stwory znane im z opowieści starych niań, muszą całkowicie zmienić swój dotychczasowy światopogląd. Podczas nocnej wędrówki przez las Lucianus mówi trwożliwie:

⁴¹ M. Janion, *op. cit.*, s. 142-150.

⁴² M. Kubisiak, *Baśń*, [w:] *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, red. G. Gazda, Warszawa 2012, s. 101.

– (...) Wszystko lepiej, niż ta nocna droga i ta dolina, pełna jakichś strachów i widm.

– Boicie się? A mówiliście, że nie wierzycie w żadne duchy leśne ni w upiory.

Stary syknął, obzierając się przestraszony.

– Cicho-no, – szepnął. – Jeszcze gotowe posłyszeć, a powiadają, że gniewne, gdy im przeczyć...⁴³

Istnienie krasnoludków, widm, upiorów i leśnych nimf przyjmują bezkrytycznie jedynie zbójcy mieszkający w okolicach Czarnego Wąwozu, bowiem mają z nimi na co dzień do czynienia. Oni także opowiadają Stanisławowi i Lucianusowi historię Smarty.

Pierwszy raz spotykamy Panią Przekłętego Jeziora, gdy postanawia zwabić do swojej siedziby starego Lucianusa. Jedną z mocy, którą dysponuje Topielica, jest przyjmowanie takiego wyglądu, jaki najbardziej odpowiada mężczyźnie, którego kusi. Dlatego w oczach starszego bohatera jest zupełnie inną, niż w oczach młodego Stanisława:

Od strony jeziora zbliżała się ku niemu młoda niewiasta, w strojnem podróżnym przybraniu, które jednak mokre było całe i zmięte. W ociekających fałdach powłóczystej niebiesko-zielonej sukni wlokły się za nią urwane gałęzie traw wodnych i nenufarów. Szła, ręce łamiąc i płacząc, a twarz miała na podziw piękną i w obramowaniu złocistych włosów promieniejącą, jako się widzi na świętych obrazkach i od całej jej postaci czar szedł dziwny, który starego bakałarza uderzył obuchem w łeb niby mocne wino⁴⁴.

Frywolnie kokietując i wdzięcząc się do mistrza Lucianusa, dziewczyna podstępem prowadzi go do skalnej groty stojącej nieopodal jeziora. Tam też odnajduje go Stach. Wtedy dochodzi do jego pierwszej konfrontacji ze Smartą. Dzięki pomocy miecza zakończonemu krucyfiksem jest w stanie oprzeć się jej wdziękowi i dostrzec prawdziwe oblicze Topielicy:

Zerwawszy się z mokrego posłania, na którym spoczywała dotąd, postać jakaś szła powoli z wyciągniętymi naprzód rękami ku otworowi groty, w którym stał młodzieniec.

W pierwszej chwili, gdy mu ją ukazał podnoszącą się z mchów błysk miesiąca, miał wrażenie, że to jakieś cudowne widziadło, z tęczy i srebra utkane, promienne jak zorza a piękne jak wiosna. Nie hożą a jędrną dziewoję, jaką na tem samem miejscu napotkał magister, ale istną czar-dziewicę ujrzał przed sobą Stach, a raczej przez jedno mgnienie oka marzyło mu się, że ją ujrzał. Ale przez mgnienie oka tylko. I zaraz jakby z oczu spadło bielmo. Srebro, kryształy, diamenty – zgasły (...) i w fosforycznym migotaniu wydobywających się z niej, jak z odwiecznego próchna, ogników stanęła przed Staszkiem oślizgła, ociekająca wodą, zsiniała martwica. Oczy jej szklily się trupio, w długich włosach, zlepionych mułem z dna jeziora, poczepiały się trawy,

⁴³ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 162.

⁴⁴ *Ibidem*, s. 49.

muszle, czarne raki. Oblicze zlało się w bezkształtną masę, zaduch śmierci i zgnilizna szły od niej, i strach i ohyda⁴⁵.

Stachowi i Lucianusowi udaje się uciec i odegnać Smartę, jednak nie pokonują jej jeszcze ostatecznie. Gdy przybywają do wioski mieszczącej się nieopodal jeziora, żyjący tam gazda opowiada im dzieje Topielicy: w czasach przedchrześcijańskich była krwawą i okrutną władczynią tych ziem, aż pewnego dnia „roztworzyła się ziemia i pochłonęła oną piekielnicę”⁴⁶, która teraz każdej nocy wraca z głębi jeziora na powierzchnię, by wabić zbłąkanych przechodniów. Tylko prawdziwie cnotliwi są odporni na jej wdzięki.

Tej odporności zaczyna brakować głównemu bohaterowi, gdy po objęciu władzy na Czartowskiej Skale sam staje się władcą zamku i okolicznych ziem. Kiedy kilka tygodni później spotyka Smartę po raz drugi, nie potrafi już dostrzec jej prawdziwego oblicza:

Na szczycie skały, tuż nad jego głową, stała, przechylona naprzód połową ciała i przysłaniając sobie oczy od słońca, by mu się lepiej przyjrzeć, dziewczka cudnej urody, istna boginka leśna, przeniesiona tu, naienne światło, by nią paść oczy zachwycone i klękać w podziwie u jej stóp. Bardzo wysoka, smukła i wiotka, ale zarazem w ramionach rozrosła i krzepka, o twarzy smagłej, zdrowym rumieńcem i jakoby leciuchnym puszkciem okrytej, z aureolą złocistych włosów, rozwianą dokoła futrzanego kołpaczka, w wysokich safianowych bucikach myśliwskich i jedwabnych hajdawerkach, wysuniętych z pod krótkiej podróźnej jubki, wyglądała na poły po męsku i można ją było wziąć za pańskie pacholę, wracające z łowów⁴⁷.

Zafascynowany tajemniczą chłopczycą bohater nazywa ją swoją „Dianą”, boginią łowów. Gdy Halszka traci siły, bowiem co noc jej krew pije powracający zza grobu Zyndram, serce Stanisława zwraca się w stronę obcej piękności, tak odmiennej od bladej i słabowitej szlachcianki, której wcześniej ślubował wierność. Smarta, która przedstawia się bohaterowi jako Hjalma, węgierska grafini, reprezentuje znany literaturze typ *tomboy girl*, w jaki wpisywała się chociażby Mickiewiczowska Grażyna czy Sienkiewiczowska Basia Wołodyjowska. W fabule znaleźć możemy więcej odniesień do *Trylogii*: oto główni bohaterowie zostają uwikłani w trójkąt, tak samo jak postaci z powieści historycznych Sienkiewicza. Właściwie wskazać możemy nawet dwa trójkąty: Zyndram – Halszka – Stanisław oraz Hjalma – Halszka – Stanisław. Ignorując ostrzeżenie zaniepokojonych krasnoludków, bohater jedzie w gościnę do nowej wybranki. Dopiero egzorcyzmy czynione

⁴⁵ *Ibidem*, s. 59-60.

⁴⁶ *Ibidem*, s. 72.

⁴⁷ *Ibidem*, s. 284.

przez księdza Deodatę nad Przeklętym Jeziorem sprawiają, że młody rycerz może „przejrzeć na oczy”. W historii obu miłosnych trójkątów prezentuje Gnatowski prawdę moralną, którą pragnął przekazać swoim czytelnikom: wybierając Zło, reprezentowane przez Hjalnę, Stanisław wybiera także śmierć („Myślisz, że oglądasz życie, a patrzysz na śmierć. Za śmiercią oną gonisz, a ona tymczasem goni i za własnym twym żywotem, i za drugim jeszcze”⁴⁸.) Białe Moce, którym służy Halszka, stoją natomiast po stronie życia. Rycerz-upiór i Wodnica-topielica (a wraz z nimi także Krzyżak Winrych) muszą ostatecznie zostać zwyciężeni przez potężniejsze od siebie siły.

Pokonanie diabelskich mocy dzięki egzorcyzmom wskazuje na kolejną różnicę między baśnią a legendą:

Wynika to z faktu, że w baśni wprowadzie najważniejszy jest bohater-człowiek, lecz nie o jego życie wewnętrzne w niej chodzi. Istotna jest akcja, której motorem jest bardzo często przypadek: za sprawą baśniowego szczęścia wszystko dzieje się tak, jak z perspektywy bohatera dziać się powinno. Baśń jest gatunkiem apsychoologicznym: nie opisuje przeżyć wewnętrznych bohatera⁴⁹.

Pomimo wskazanych różnic *Oman* łączy jednak z gatunkiem baśni wiele elementów: nie tylko fantastyczne postaci, ale i sama wędrówka bohatera w formie *questu* (wyprawy-zadania), w czasie której przeżywa przygody i narażony jest na różnego rodzaju niebezpieczeństwa. Z powodzeniem możemy więc użyć stwierdzenia, że Gnatowski zdecydował się wprowadzić do powieści tzw. „motywy baśniowe”.

Akcja *Czarodziejskiej historii...* rozgrywa się w XVI w. Wskazują na to liczne przesłanki obecne w samym tekście. Podczas drogi na Czartowską Skałę Stanisław opowiada o swojej wyprawie do Rzymu:

Otóż gdym wydobrał mąż ów cnotliwy (...) od swych prac i obrad przy papieskiej kurii rad się odrywał, by wiodąc mnie ze sobą, pokazywać mi świętości Miasta Apostołów i szczątki pogańskiego Rzymu, wspaniałe nad ludzkie pojęcie, i owe cuda, które tam potworzyli ostatniemi laty papieże Juliusz i Leon⁵⁰ i pod ich opieką mistrzowie Sanejusz i Buonarrotti⁵¹.

⁴⁸ *Ibidem*, s. 348.

⁴⁹ M. Kubisiak, *Baśń...*, s. 101.

⁵⁰ Mowa o Juliuszu II i Leonie X, słynnych papieżach-mecenasach, za pontyfikatu których trwały m. in. prace przy dekoracji Kaplicy Sykstyńskiej.

⁵¹ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 14.

Czas fabularny w przypadku literatury fantastycznej nie ma tak dużego znaczenia, tym bardziej, że akcja *Omanu* dzieje się w przestrzeni niejako „odseparowanej” od reszty świata, która rządzi się własnymi prawami⁵². Niemniej jednak usytuowanie akcji w epoce renesansu uzupełnia utwór o dodatkowy wątek, który rozgrywa się „obok” głównej osi wydarzeń. Mowa o reformacji religijnej. Aluzje dotyczące Lutra i Kalwina, najczęściej rzucane przez bohaterów „przy okazji” i tworzone przez autora tzw. językiem ezopowym, pojawiają się przez cały czas trwania powieści. Przykładowo, spotykając na drodze obcych podróżników, bohaterowie zastanawiają się, czy to „papieżnicy” (jak oni sami) czy może „zlutrzeń”:

– Dobrze jest, – odrzekł kmieć z Kamienia. – Ale czemu to mianujecie się prawymi chrześcijanami, jakby my tu wszyscy nie byli prawymi?

Magister uśmiechnął się z lekka (...)

– Wiem, o czym myślicie, – odparł z powagą, w boki się biorąc i z góry na kmiecia patrząc, – ale, Bogu dzięki, mylicie się w tem. Najświętszą Panienkę obaj my czcimy i Świętych Pańskich z Nią, a Ojca Świętego w Rzymie słuchamy, od którego ten oto młodzieniaszek z pielgrzymki pobożnej wraca (...)⁵³.

Jednym z zarzutów prostego ludu wobec Winrycha jest też jego domniemane przejście na stronę protestantów:

Powiadał się on, prawda, krzyżakiem, i byli tacy, którzy go widzieli między krzyżactwem; pono tam i zlutrzył się razem z innymi, ale czy to mało biesów wodzi się między niemcami, a już najbardziej między krzyżactwem?⁵⁴

Pomimo jednak tych kilku pobocznych wątków oraz usytuowania akcji w epoce odrodzenia, trudno *Oman* nazwać *stricte* powieścią historyczną⁵⁵. Nic też nie wskazuje na to, by autor przykładał szczególną wagę do tego drugoplanowego wątku. Jak się wydaje, najważniejsza w jego intencji była moralna walka o duszę Staszka, jaka rozegrała się w powieści pomiędzy siłami Dobra i Zła.

Ponadto, jak twierdzi Witold Ostrowski:

⁵² Z tezą tą zgadza się Dubowik: „Akcja powieści toczy się w XVI-wiecznej Polsce, w okolicach Sądcza, historia odgrywa w niej jednak rolę drugorzędną” [H. Dubowik, *Fantastyka w literaturze polskiej...*, s. 185.]

⁵³ J. Łada [Gnatowski], *Oman...*, s. 81.

⁵⁴ *Ibidem*, s. 77.

⁵⁵ Jakiel pisze o „tematyce historycznej” obejmującej część twórczość Gnatowskiego, w tym *Omanu* (podają za: E. Jakiel, *Księża Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 361).

Mimo swobody traktowania materiału historycznego naturalną i właściwą dla powieści historycznej tendencją jest zdążanie ku realizmowi i prawdzie historycznej i każda powieść tego rodzaju musi zawierać znaczącą proporcję realizmu w strukturze świata fikcji⁵⁶.

Oman biorąc pod uwagę proponowane kryteria gatunkowe mógłby zostać nazwany powieścią legendarną. Innym jej przykładem jest *Stara baśń* Kraszewskiego. Powieść historyczna wywodzi się zresztą gatunkowo zarówno od średniowiecznych romansów i legend, jak i od angielskiej powieści gotyckiej. W obliczu tego faktu wszystkie inspiracje Gnatowskiego do napisania *Omanu* na poziomie gatunkowym pozostają wobec siebie pokrewne. Także Antoni Mazanowski w artykule pt. *Najnowsza polska powieść historyczna* nazywa *Oman* przedstawicielem tego właśnie gatunku, mimo baśniowych i legendarnych motywów wiodących prym nad *stricte* historycznymi wątkami utworu.

Warto dodać, że do pierwodruku *Omanu* dołączono cykl obrazków prezentujących wybrane sceny z powieści. Jak pisze Artur Nowakowski w pracy pt. *Fantastyczne światy na okładkach i w ilustracjach książek oraz czasopism od wieku XIX do lat 80. XX wieku*:

Ubogość ilustracji okładowych przenosiła się też na (...) powieść grozy, choć typograficznie poszczególne jej realizacje prezentowały się nie zawsze marnie. (...) Zamieszczano też ilustracje sporządzane ewidentnie w realistycznej manierze, czego przykładem jest cykl zaledwie pięciu obrazków, sygnowanych „St. S.”, wykonanych do niemal pięciusetstronicowej powieści *Oman* autorstwa Jana Gnatowskiego⁵⁷.

Dołączone do powieści ilustracje musiały zapewne stanowić dodatkową atrakcję w oczach czytelników. Część z nich prezentujemy w pracy.

⁵⁶ W. Ostrowski, *Powieść historyczna*, [w:] *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, red. G. Gazda, wyd. II, Warszawa 2012, s. 783.

⁵⁷ A. Nowakowski, *Fantastyczne światy na okładkach i w ilustracjach książek oraz czasopism od wieku XIX do lat 80. XX wieku*, Kraków 2014, s. 121.

**4.2. „KAŻDY W TYM KRAJU NIESZCZĘSNYM SAM SOBIE SPRAWIEDLIWOŚĆ WYMIERZA
I GOTÓW RACZEJ TATARZYNA NA OBRONĘ PRYWATY PRZYWOŁAĆ,
NIŻELI JEJ PRO BONO PUBLICO PONIECHAĆ” –
W ZAKŁĘTYM ZAMCZYSKU. POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH JAKO KRYTYKA
CZASÓW „ZŁOTEJ WOLNOŚCI SZLACHECKIEJ”**

Opublikowana po raz pierwszy w czasopiśmie „Słowo” w 1914 r. powieść pt. *W zaklętym zamczysku* wyrasta z wielkiego podziwu ks. Gnatowskiego do literatury walterskotowskiej. Od nieustannych pojedynków na śmierć i życie, przez pościgi, zaskakujące zwroty fabularne i dramatyczne perypetie zakochanych w sobie bohaterów, aż po wiernie oddane rekwizytorium epoki baroku – *W zaklętym zamczysku* usiłuje pretendować do miana wartościowego przedstawiciela powieści historycznej. Czy jest nim w istocie?

Krytyka przyjęła tę – jedną z ostatnich – propozycji Gnatowskiego bardzo surowo. Po przygotowaniu ponownego wydania w 1925 r. prasę załaty ironiczne artykuły, upatrujące w pralacie nieudolnego naśladowcy Henryka Sienkiewicza. Być może powieść ukazała się w nieprzychylnym okresie – wtedy wszakże nie czytano już utworów „ku pokrzepieniu serc” jakim niewątpliwie jest *W zaklętym zamczysku*. Będąc czymś pomiędzy awanturnicznym romansem rycerskim, powieścią historyczną niewolną od nawiązań do stylu Waltera Scotta (tzw. walterskotacja)⁵⁸, a w końcu – kolejnym *exemplum* literatury gotyckiej⁵⁹, nie zawiera jednocześnie żadnego wyraźnie postawionego problemu etycznego, co względem pozostałych utworów pralata stanowi rozczarowującą nowość. Ponadto odznacza się niekonsekwencją i błędami logicznymi zarówno na poziomie fabuły, jak i w konstrukcji postaci. Czytając ją, trudno oprzeć się wrażeniu, że Stanisław Tarnowski bynajmniej nie mylił się, gdy już w roku 1881 zapowiadał wyczerpanie się schematów powieściowych i zmierzch gatunków prozatorskich⁶⁰.

W utworze *W zaklętym zamczysku* Gnatowski opowiada historię dwóch zwaśnionych rodów – Turobojskich i Miśniakowskich. Przedstawicielem pierwszego jest Hanusia, z drugiego natomiast wywodzi się pan Kazimierz, rycerz napotkany przez nią w irpieńskim lesie. Młody mężczyzna podąża do zamku swego zmarłego ojca, by wypełnić dane mu przyrzeczenie, iż porzuci karierę wojskową i zadba o swe włości. Po drodze poznaje

⁵⁸ Zob. W. Ostrowski, *Powieść historyczna...*, s. 785.

⁵⁹ Paweł Mateja nazywa *W zaklętym zamczysku*: „spóźnionym polskim romansem gotyckim”, choć określenie to zdecydowanie bardziej pasuje do powieści *Oman*. (Źródło: P. Mateja, *Klasyka polskiej literatury grozy*, http://www.carpenochem.pl/wp-content/uploads/2013/10/klasyka_polskiej_grozy.pdf, dostęp online: 20.04.2015r.]

⁶⁰ Zob.: R. Stachura, *Stanisław Tarnowski o Trylogii Henryka Sienkiewicza*, [w:] *Powieść historyczna dawniej i dziś*, red. R. Stachura, T. Budrewicz, B. Faron, Kraków 2007, s. 323.

tajemniczą czarownicę Motrę, która próbuje go uwieść. Młodzieniec odrzuca jednak jej zaloty podczas święta Kupały i odjeżdża wraz z Hanusią oraz orszakiem zbrojnych. Dziewczynka zostaje przekazana ojcu, ale bohater zamiast podziękii otrzymuje kilka ciosów szablą, gdy przedstawia się jako Miśniakowski. Od tego momentu przedstawiciele obu rodów – stary Turobojski ze swym bratankiem Szczepanem oraz Kazimierz Miśniakowski – nieustannie walczą ze sobą. Spór kończy dopiero widmo starego Miśniakowskiego, który nakazuje synowi pogodzić się ze swym wrogiem i ożenić z Hanusią.

W recenzji zamieszczonej na łamach „Wiadomości Literackich” pisano z dezaprobatą:

Gdyby kiedykolwiek powstał zamiar parodystycznego sfilmowania popularnych bohaterów „Trylogii”, co artystycznie byłoby może wdzięczniejszym zadaniem, niż ponura parodia serio, w jaką zwykle wyradzają się filmy „historyczne” – gdyby taki zamiar powstał, – to rekomendowalibyśmy reżyserom przeczytanie dwutomowej powieści p. Łady, pisanej zresztą w najlepszej wierze, bez żadnych przewrotnych zamysłów. Nieudolne naśladowanie często przetwarza się jednak w świetną karykaturę⁶¹.

Powieść ta rzeczywiście może zostać nazwaną przejawem epigońskich tendencji Gnatowskiego. Kulejąca fabuła i błędy językowe (przykładowo: „kopnął go silnie głową w brzuch”⁶²) skłaniają do wniosku, że *W zaklętym zamczysku* nie należy do najbardziej udanych wytworów pióra Łady, szczególnie w zestawieniu z poprzednio omawianym *Omanem*.

Wbrew temu, co sugeruje tytuł, fabuła zupełnie nie skupia się na „zaklętym zamczysku”. Bynajmniej: akcja na owym tajemniczym zamku dzieje się jedynie trzykrotnie, poza tym bohaterowie poruszają się po całkowicie odmiennych przestrzeniach. Wywołuje to jednocześnie retoryczne pytanie, skąd decyzja o nadaniu książce takiego, a nie innego tytułu, który wskazywałby raczej na powieść *stricte* gotycką, podczas gdy mroczny i nadprzyrodzony sztafaż dzieła ogranicza się jedynie do kilku wątków?⁶³

Główny bohater utworu, Kazimierz Miśniakowski herbu Kierżgajło, przypomina postaci znane z *Trylogii* Sienkiewicza. Jest szlachetny i uczciwy, pełen patriotycznych uczuć, lecz jednocześnie butny i dumny, wobec czego łatwo go urazić. Podróżuje wspólnie z kompanią

⁶¹ ej, *Powieść i nowela*, „Wiadomości literackie” 1925, nr 44 (96), s. 3.

⁶² J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku*, t. 1, Warszawa 1925, s. 145.

⁶³ Podobne sądy wyraża Kazimierz Konarski w swojej recenzji *W zaklętym zamczysku*, twierdząc: „Zupełnie niezrozumiałe jest wprowadzenie do powieści historycznej pierwiastka nadprzyrodzonego w ten sposób, że duchy ludzi zmarłych biorą udział w akcji (...). Zbyt wiele naciąganych sytuacji, bez których akcja mogłaby doskonale się obejść”. [Źródło: K. Konarski, *Jan Łada – „W zaklętym zamczysku”*, „Oświata Polska” 1929, nr 3, s. 250.]

przyjaciół obrazujących stereotyp siedemnastowiecznego szlachcica-Sarmaty. Pan Kazimierz (jako ucieleśnienie rycerskiego etosu) jest najurodziwszym, najszlachetniejszym, najbardziej honorowym i religijnym ze swoich kompanów, toteż cieszy się szacunkiem ojca Symforiana, franciszkanina będącego w powieści doradcą i „głosem rozsądku” bohaterów.

Miśniakowski jest nosicielem kilku cech, które czynią go podobnym do postaci znanej nam z poprzedniej powieści Gnatowskiego: *Omanu*. W przeciwieństwie jednak do Stanisława, Kazimierz pozostaje wierny chrześcijańskim ideałom i przechodzi zwycięsko wszystkie próby charakteru, jakie spotykają go w utworze. Do pierwszej z nich dochodzi, gdy bohater poznaje Motrę, pogańską czarownicę.

Podczas kilkudniowego pobytu w futorze Motry urodziwa, czarnowłosa dziewczyna nieustannie uwodzi Kazimierza, który każdego ranka budzi się pobladły i wyczerpany. Jego stary sługa Tryfon ma na to jedno wytłumaczenie:

– (...) Chce jegomość wiedzieć, co to za choróbsko, to i powiem, com od ludzi słyszał. Ta dziewczka, to wiedźma, jak ten kraj długi i szeroki, ze wszystkich największa!

– Co, co? – porwał się rycerz. – Motra? Wiedźma?

– Prawdziwa kijowska! Znają tu ją wszyscy i strzegą się jej, jak ognia. Tutejszym nie może dać się we znaki, to cudzych ludzi szuka, którzy nie wiedzą, co to za ptaszek! (...) A nie wie pan, jak to one nocką na człowieka siadają niby na konia, i niewiedzącego o bożym świecie, pędzą milami noc po nocy po swoich sabatach czartowskich, mordując go, aż z niego wszystka krew wyjdzie i zginie! A im dłużej taki nieszczęśnik w mocy więdźmy, tem moc jej większa, aż wreszcie robi się z niego posłuszny rab biesowej córki. I wtedy tęskni do swojej męki, a całuje rękę, co go smaga, i gotów na jedno słowo przeklętej duszę swą zaprzedać Nieczystemu, którego ona jest służką. Niechże teraz pan pomiarkuje się i rozważy sobie wszystko, a jeśli to nie pasuje do Motry, jak kulbaka do końskiego grzbietu i mój kindżał do swojej pochwy, to niech już mi jegomość tnie ten głupi łeb, niewart, żeby go dźwigać na ramionach!⁶⁴

Motra prowadzi Kazimierza na obrzęd Kupały, nazywany po przejściu chrześcijaństwa wigilią św. Jana. Noc Kupały była świętem urodzaju, płodności i żywiołów, w czasie którego skakano przez ogniska i łączono się w pary:

Źródłosłów słowa (od kōpati „kąpać”) wskazuje na ludyczny, a zarazem religijny charakter święta, które zostało poświadczone źródłowo po raz pierwszy w XIII w. na Rusi w formie mnogiej (Kupały) i oznaczało wigilię św. Jana Chrzciciela (...). Wieczorem tego dnia odbywały się obrzędy

⁶⁴ J. Łada [Gnarowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 1, s. 24-25.

ludowe, jak pierwsza w roku kąpiel, skakanie przez ogień, gdzieś tam topienie lub palenie słomianej kukły⁶⁵.

Jak powszechnie wiadomo, synkretyzm religijny sprawił, że wiara ludności wiejskiej pełna była żywych tradycji przedchrześcijańskich nawet w XVII w., na który przypada akcja powieści. Gnatowski przedstawił ów dualizm w udany sposób, opisując zabawy dziewcząt i chłopców zebranych w celu wspólnego skakania przez ogień i rzucania wianków na wodę. Choć twierdzą, że są katolikami, nocą nikt nie pamięta o Janie Chrzcicielu, za to wszyscy żarliwie modlą się do tajemniczego Kupajły:

Tuż przy wodzie rozłożono szerokie ognisko, rozświetlające krwawymi połyskami czarne ściany lasu i odbijające dziwnie w rzecznej strudze. (...) Dokoła drzewka kilkanaście dziewcząt zataczało zwolna taneczne koło, trzymając się za ręce i towarzysząc rytmowemu ruchowi ciała monotonnym, zawodzącym śpiewem. Żadna z nich nie miała na sobie innego ubrania, oprócz białego, kostek sięgającego giesza, przepasanego w biodrach wieńcem z dębowych liści. Włosy miały wszystkie rozpuszczone, a na nich krasne wianki z polnych kwiatów i gałązek kalinowych jagód.

Z poza najbliższych drzew przyglądała się płasom dziewczęcym licznie zebrana gromadka młodzieży męskiej, czekając na razie jeszcze cierpliwie na własną, kolej wzięcia udziału w prastarym obrzędzie na cześć bożka światła, ognia i słońca. (...)

Dziewczęta śpiewały zwolna, z przestankami, starodawną pieśń, pogańskich sięgającą czasów, o „Kupajle, Kupajliszcze”, o „ohońku krasnym” i „sołnyszku jasnym”, od którego wszelka krasa i wszelkie dobro wiezie swój początek. Wzywały tego Kupajłę, który nie miał najmniejszego podobieństwa do świętego Jana Chrzciciela, by dawał ziemi w potrzebnej mierze naprzemian deszcz i pogodę, a w następstwie urodzaj obfity, by błogosławił ogrodom i polom, a zwłaszcza, by błogosławił ich miłości i dał znaleźć dolę dobrą, dał złączyć się z umiłowanym chłopcem⁶⁶.

To, co pierwotnie przypomina *Pieśń świętojańską o Sobótce* Jana Kochanowskiego, po chwili przeradza się w scenę z fantastycznej powieści grozy. Kazimierz ucieka od pijanych, wulgarnych tancerzy i zmierza głęboko w las, by znaleźć kwiat paproci. Zamiast tego jest świadkiem „diabelskich sztuczek”, przed którymi ostrzegął go Tryfon:

W miejscu płomyków widniała tam teraz cała, jakoby ogniem namalowana głowa ludzka, sama jedna z językami płomieni, wydobywającymi się z oczu, gęby i nozdrzy. Dzięki owym

⁶⁵ J. Strzelczyk, *Kupała, Kupało, Kupajło*, [w:] *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*, Poznań 1998, s. 103.

⁶⁶ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 1, s. 50-52.

ogniom świeciła wyraźnie nawet w przerwach między błyskawicami i widać było, jak rysy jej, a zwłaszcza wargi, rozszerzone prawie od ucha do ucha, nieustannie przekrzywiały się jakimś ohydny, istic piekielnym grymasem. Pan Kazimierz przetarł sobie oczy.

— Czy mnie zmora dusi, czy co? — pomyślał.

Ale widzenie nie ustępowało, jak przedtem. Owszem maskara zdawała się zwiększać i, co gorzej, poczęła szybko posuwać się ku niemu. W ciągu jednego pacierza miał ją już u swoich stóp. Zionęło nań smrodliwym wyziewem, ni to siarką, ni to zgniłym jajem; wargi rozwierały się szeroko, jakby miały go pochłonać, gorące płomienie buchnęły nań, liżąc mu ciało i oblicze...⁶⁷

Jest to jeden z niewielu gotyckich fragmentów powieści. Kazimierzowi ukazują się rozmaite widma i strachy, które mają skłonić go do ucieczki, aby nie znalazł kwiatu. Dwa z nich udaje mu się pokonać: zachowuje zimną krew widząc ognistą czaszkę, a następnie odpędza widmo niedźwiedzia. Dopiero, gdy słyszy wołanie o pomoc, zapomina o kwiecie paproci i podąża głębiej w las, aby nieść ratunek potrzebującemu – ale głosy te również okazują się jednym z omamów⁶⁸. Szczęśliwie, pomiędzy drzewami pojawia się zagubiona, młodziutka Hanusia Turobojska, która prosi rycerza, by ochronił ją od duchów i upiórów.

Rozczulony i zauroczony Kazimierz odrzuca zaloty wiedźmy Motry, czym wprawia ją we wściekłość. Następnego dnia opuszcza futor.

Relacje bohaterów wpisują się w schemat miłosnego trójkąta typowego dla romansu historycznego, jaki m. in. Henryk Sienkiewicz realizował często w swoich utworach. Jeśli dodać do tego postać Szczepana – antagonisty Kazimierza – powtarza się układ wykorzystany już w powieści *Oman* (Zyndram – Halszka – Stanisław = Szczepan – Hanusia – Kazimierz).

Postaci Hanusi i Motry początkowo zbudowane są na zasadzie kontrastu. Pierwsza, będąc nieledwie dzieckiem, budzi w bohaterze uczucia bardziej braterskie, niż namiętne. Przypomina kreacje Sienkiewiczowskich lolitek, takich jak Nel Rawlison czy Litka Chwastowska. Motra z kolei jest kobietą świadomą swojej seksualności i chce ją wykorzystać, by zdobyć umiłowanego przez siebie mężczyznę. Przy jej opisie Gnatowski stosuje wykorzystywaną przez siebie wcześniej technikę „od-estetyzowania” zła. Na początku Motra wydaje się Kazimierzowi najpiękniejszą ze świętojańskich dziewcząt:

Nigdy nie widział jej tak cudną. Ta dziewczka pełna zmysłowych ponęt i wieśniaczego wdzięku wyglądała teraz, jakby utkana ze świetlnych promieni i malowana barwami, jakimi

⁶⁷ *Ibidem*, s. 71-72.

⁶⁸ Mamy więc do czynienia z trzema symbolicznymi próbami charakteru: odwagi, gdy ognista czaszka próbuje nakłonić go do ucieczki; siły, gdy rzuca się na niego rozwścieczony niedźwiedź; i wreszcie honoru, gdy tajemnicze głosy wzywają jego pomocy. Szlachetny rycerz wszystkie trzy testy przechodzi pomyślnie.

stroją się w pełni swego czarownego rozkwitu róże i lilje. Patrząc na nią, rycerz czuł, że mu się w głowie mąci i serce żar jakiś niezmierny napelnia⁶⁹.

Kiedy jednak rycerz odrzuca jej bezwstydną propozycję, dziewczyna staje się *femme fatale*, kobietą-wampem, tak często ukazywaną w literaturze modernizmu. Gnatowski zwykle ukazuje zło drzemiące w człowieku poprzez nagłą zmianę w wyglądzie (szczególnie twarzy) bohatera:

Była to Motra krasna i zalotna, ale pełna dziewiczego wdzięku, czy raczej jakaś zdaleka tylko przypominająca ją wiedźma, ta bezwstydną dziewczka z resztką roztarganego kwiecia na głowie, ze splotami czarnych włosów, unoszących się dokoła niej, jak węże? Biła od niej młoda krew i zmysłowa radość, biła namiętna żądza i dzika swawola, ale było też coś z piekielnego ognia, jakiś czarci urok i płynąca zeń czarcia moc. Oczy rozżarzone paliły się jak żużle; wysuwające się z pół-otwartych, malinowych ust białe zęby zdawały się gotowe gryźć i rozdzierać, cokolwiek stałoby się ich łupem⁷⁰.

Kazimierz ucieka wraz z Hanusią, ścigany przez gniew Motry, której zaloty odrzucił. Na gościńcu zostaje napadnięty i poważnie zraniony przez Szczepana Turobojskiego, który – jak niedługo się przekonamy – stanie się największym wrogiem i rywalem bohatera, kreowanym na podobieństwo Sienkiewiczowskich czarnych charakterów. Zabiera Hanusię i zostawia poważnie rannego Miśniakowskiego, który zmierza do swego zamku z postanowieniem braterskiej opieki nad dziewczynką.

Na tym kończy się pierwsza część *W zaklętym zamczysku*, stanowiąca swego rodzaju *preludium* – to ważna granica, bowiem od tego momentu zmianie ulegnie zarówno narracja, jak i rys fabularny powieści.

Kolejne fragmenty zarysowują przed czytelnikiem historię sporu dwóch potężnych, magnackich rodów. Gnatowski nakreśla też, możliwie najwierniej (wzorem Scotta), tło historyczne i atmosferę dawnej obyczajowości, wprowadzając także stylizację językową dla sarmacko-warcholskiej kompanii bohatera. Ponadto dostosowuje wymogi języka do typowej powieści historycznej, używając m. in. porównań homeryckich⁷¹. Wątki nadprzyrodzone, z którymi mieliśmy do czynienia w pierwszej części, całkowicie ustępują klasycznemu

⁶⁹ *Ibidem*, s. 79.

⁷⁰ *Ibidem*, s. 61-62.

⁷¹ W recenzjach pisano: „Język, choć nie Sienkiewiczowski, zupełnie poprawny, chwilami nawet mocny” [K. Konarski, *op. cit.*, s. 250.]

motywowi dwóch zwaśnionych rodów⁷². Różnice są tak znaczące, że można by odnieść wrażenie, iż czyta się zupełnie odrębne utwory.

Konflikt Miśniakowskich i Turobojskich nie został zarysowany w skomplikowany sposób: wiele pokoleń temu Hrehor Miśniakowski porwał siostrę Jana Turobojskiego, która popełniła samobójstwo, skacząc z wieży do rzeki. Kolejni potomkowie tych dwojga najeżdżali nawzajem swe ziemie, chowając stare urazy i spiskując przeciw sobie. Ojciec Kazimierza kazał przysiąc synowi, że nigdy nie połączy się z żadnym przedstawicielem znienawidzonego rodu.

Przysięga stoi oczywiście na drodze do szczęścia bohatera i jego wybranki, dlatego póki nie zostanie z niego zdjęcia, młodym nie dane będzie miłosne spełnienie.

Kazimierz mimo wszystko próbuje odnaleźć dziewczynę, zabraną przez Szczepana Turobojskiego. Jak się okazuje, została już przekazana ojcu. Cała okoliczna szlachta zbiera się w pobliżu nowo wybudowanego klasztoru, w którym – jak mówią plotki – mają dzieć się cuda. Gnatowski czyni z Sarmatów przybyłych w większości z Dzikich Pól bohatera zbiorowego. Mimo ich pijaństwa i warcholstwa, religia odgrywa niemałe znaczenie w życiu tych ludzi. Spaja ich we wspólnotę, łagodzi wybuchające co rusz konflikty, narzuca normy moralne czasom „złotej wolności szlacheckiej”. Autor poprzez konstruowanie postaci głęboko wierzących kontynuuje misję mesjanistyczną literatury, wykorzystując do tego estetykę romansu historycznego. Jego utwory osadzone w teraźniejszości i dotyczące teraźniejszych spraw nie zyskały takiej popularności, jakiej być może się spodziewał. Stąd zwrot w stronę fantastyki. Jak pisze Maria Olszewska:

Dzieje (...) stawały się formą szczególnego poznania tego, czego świadomość ludzka nie była zdolna zrozumieć, sferą duchowych doświadczeń człowieka oraz przestrzenią objawiania się opatrności – współdziałania Boga i człowieka w historii uznanej tym samym za świętość. (...) Źródło jej siły stanowiła odnowiona religia chrześcijańska, inspirująca sztukę o charakterze symbolicznym, służącą poznaniu Boga i ogarniającą Wszechświat (...). Obrońcy transcendentalistów w sztuce, rzecznicy idealizmu, tacy jak (...) Jan Gnatowski, Henryk Sienkiewicz (*O naturalizmie w powieści*, 1880) sprzeciwiali się obecności w sztuce „flamandzkiej malowniczości” (...) ⁷³.

⁷² Motyw zwaśnionych rodów pojawił się już w nowelistyce ks. Gnatowskiego. Dołączona do zbioru pt. *Lucifer* lapidarna humoreska *Gwiazdka w Baedekerze* opowiada o rodzinach Stuerlich i Catellinich, którzy konkurując ze sobą o gwiazdkę w piśmie poświęconym szwajcarskim oberżom, nie chcą dopuścić do małżeństwa ich zakochanych w sobie dzieci. W przeciwieństwie do tragicznego finału *Romea i Julii*, ten konflikt zwaśnionych rodzin kończy się szczęśliwie: animozje zostają odłożone na bok, a Gretli i Pierluigi biorą ślub.

⁷³ M. J. Olszewska, *Krzepiąca siła historii. O pisarstwie historycznym Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej)*, [w:] *Powieść historyczna dawniej i dziś*, red. R. Stachura, T. Budrewicz, B. Faron, Kraków 2007, s. 223-224.

Próbę pogodzenia zwaśnionych rodów podejmie ojciec Symforian, franciszkanin, którego kreacja przypomina ojca Deodatę z powieści *Oman*. To w jego usta włoży Gnatowski krytykę sarmackich obyczajów i „złotej wolności” szlacheckiej, będącą odbiciem niepokojów towarzyszących prałatowi w czasach mu współczesnych.

Kazimierz pomimo kilku po temu okazji, nie zbacza z drogi „pobożnego rycerza”. Co więcej, charakteryzuje się niezwykłą cierpliwością i niezłomnością ducha. Gdy ojciec Hanusi każe swym semenom go zaatakować, nie chowa do niego urazy. Jest pierwszym z rodu Miśniakowskich, który wolałby zakończyć konflikt dwóch rodów. Jednak przysięga złożona ojcu znaczy dla niego więcej niż miłość do pięknej dziewczynki.

Kompania Kazimierza składa się z kilku stereotypowych przedstawicieli stanu szlacheckiego:

Z szlachty, cisnącej się do miecznikowicza, trzech objęło go od razu w arendę. Jednym był pan Bartłomiej Deręgiewicz, czasu wojny żołnierz znamienity ale i swawolnik nie lada, czasu pokoju warchoł na wielki kamień, dla przyjaciół choć do rany przyłóż, ale ratuj Bóg tego, ktoby z nim zadarł. Dwóch drugich zwano Kastorem i Poluksem, bo nie rozdzielali się nigdy i jeden za drugiego dałby się usieć, choć ani zewnętrznym wyglądem, ani usposobieniem nie byli do siebie zgoła podobni. Pan Dydak Harkosiej Karabanowicz był mężem statury ogromnej i nieomal patrzył na olbrzyma, a rude wąsy odstawały mu od czerwonej, piegowatej twarzy, jako dwie wiechy; głos miał też tubalny, godny korpusu, że jak huknął „vivat!”, szyby w oknach brzęczały i farfury trzęsły się na stole, a miecz, który włożył u pasa, w sam raz był na Goljata. Mimo jednak nasępionych groźnie brwi i powierzchowności tak strasznej, że dzieci, ujrzawszy go na końcu drogi, uciekały z wrzaskiem do domów i długo potem matki straszyły je wielkoludem, był to człek z przyrodzenia ociężały, miękki i łagodny, jak baranek z wyjątkiem bójki, w której nadzwyczajna siła dawała mu niepomiarłą przewagę.

Nieodłączny przyjaciel tego olbrzyma był mało co nie karłem, tak mizerną miał postawę. Powiadano też o panu Błażeju Jarosińskim, że potrafił wkręcić się, gdzie zechce, przez dziurkę od klucza. Potrafił on i więcej. Ten marny człeczyna, mogący mało się zginając, przejść między rozstawionymi nogami pana Dydaka, umiał swym cichym, monotonnym głosem porywać tłumy szlachty i gdzie chciał je prowadził, a przeciwnika, by i najmocniejszego, w kozi róg zapędzał. Nie było lepszego mówcy na sejmikach i szlacheckich zebraniach⁷⁴.

Mimo pozornej barwności i ludycznego charakteru tej kompanii, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że skonstruowane przez Gnatowskiego postaci są „papierowymi” i bladymi odbiciami swych Sienkiewiczowskich inspiracji. Rycerze ci, opisani na zasadzie kontrastu (wysoki, silny Dydak oraz niziutki Jarosiński), w powieści rzadko dopuszczeni są do głosu,

⁷⁴ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 1, s. 134-135.

jako że narracja skupia się na trójce głównych bohaterów: Kazimierzu, Hani i Szczepanie. Rola pozostałych ogranicza się do prezentacji godnych nagany wad polskiej szlachty z okresu „złotej wolności”.

Podobnie jak Sienkiewicz, Gnatowski łączy tradycje Scotta i Dumasa z polskim patriotyzmem: „(...) powieść historyczna dokonuje obrachunku z przeszłością. Potępia błędy i chwali cnoty narodowe”⁷⁵. Znacząca różnica polega na tym, że w przypadku autora *Trylogii* mieliśmy do czynienia z krytycyzmem miłującym – sarmatyzm ukazano tam jako epokę będącą początkiem polskich przywar i wad, które doprowadziły do upadku państwowości, ale jednocześnie epokę barwną, pełną charyzmatycznych jednostek, wartościowych przyjaźni, gotowości do poświęceń w służbie wiary czy miłości. U Gnatowskiego pochwał jest zdecydowanie mniej, niż nagany. Warcholska gromada Miśniakowskiego wraz z pozostałą szlachtą zachowuje się nieprzyzwoicie, dokonuje częstych najazdów i rozbojów, niewiele różniąc się od znienawidzonego Kozactwa. Pijani rycerze zapalają się do nieustannej walki, a gdy nie mogą znaleźć wroga – wybierają go między sobą, wszczynając wojny domowe i konflikty zbrojne. Gdy grupa szlachciców dowiaduje się o zaatakowaniu Miśniakowskiego przez ojca Hanusi, postanawiają natychmiast przybyć w odwecie, po drodze grabiąc i mordując niewinnych mieszkańców miasteczka. Dopiero ojciec Symforian potrafi uspokoić zgraję, dla której „obrona uciśnionych” była tylko pretekstem do rozlewu krwi i grabieży, której od dawna pragnęli:

Wrzasku nie sposób było przekrzyczeć, w ciemności nie mógł dać się poznać, a zresztą nie posłużyłoby to na wiele, bo nikt go tu prawie nie znał w tym tłumie, niewiadomo jakim trafem czy cudem zebrany w jego obronie. [Miśniakowski] Krzyczał jednak, próbował odpychać od drzwi, perswadować najbliższym, ale nikt nie rozumiał, a tem mniej słuchał. (...)

A tymczasem drzwi drzewiane, nieokute rozłupały się już pod uderzeniami ręcznych obuszków, nabijanych gwoździami i, znalezionej na podoręczu siekiery, a przez szerokie otwory wejście do sieni zapierali piersiami własnymi dworscy kozacy i dworzanie, z których paru zwaляło się już na próg w krwi własnej skąpanych, kiedy na pomoc Miśniakowskiemu i na ocalenie oblężonych zjawił się niespodziany sojusznik.

Sojusznikiem tym był ojciec Symforjan, który ni stąd, ni zowąd, jakby z pod ziemi wyrósł, w samym środku ciżby, górując nad nią wysokim swym wzrostem i krzyżem, wzniesionym ponad głowę (...).

– Mości panowie! – krzyczał. – Bracia w Chrystusie! Słudzy Marji! Oto wam Najświętsza Panienka, Królowa nasza, przysyła przez moje niegodne ręce Swego Boskiego Synaczka i woła przez moje grzeszne wargi: Słuchajcie mnie! Słuchajcie!

⁷⁵ W. Ostrowski, *op. cit.*, s. 786.

Wśród szlachty uciszonej i pełnej zdumienia poszedł pomruk.

– Słuchajcie! – szeptano. – Słuchajcie!⁷⁶

Na widok zakonnika i trzymanego przez niego krucyfiks brać szlachecka uspokaja się i podąża w stronę klasztoru na modlitwę. W ten sposób Gnatowski podkreśla raz jeszcze, jak wielką rolę w życiu tego społeczeństwa odkrywała religia, łagodząca spory i studząca sarmacki zapal do „bitki”, o jakim w literaturze przekonywał czytelników już Jan Chryzostom Pasek, którego pamiętniki musiały stanowić jedno ze źródeł inspiracji prałata.

Charakterystycznym dla powieści *W zaklętym zamczysku* jest brak konkretnego historycznego wydarzenia, wokół którego toczyłaby się akcja. Nie mamy tu bowiem ani odwołania do XVII-wiecznych wojen czy powstań kozackich, ani panoramicznej wizji wypadków mających miejsce na arenie międzynarodowej, ani nawet wyłuszczenia kontrastów między tym, co przeminęło, a nowym obyczajem⁷⁷. Skłania to do wniosku, że barokowa szata powieści miałyby w odczuciu autora służyć wyrażeniu współczesnych mu niepokojów, ale obleczonej w barwny, historyczny kostium.

Uspokojona chwilowo przez ojca Symforiana szlachta niedługo później znów zapala się do czynu, gdy tylko ktoś rzuca uwagę o „zemście” na Turobojskim. Pogłoski o skarbach ukrytych w Łazuniu pomagają ostatecznie skłonić kompanię do działania – podejmują decyzję, że wiosną, gdy tylko stopnieją śniegi, ruszą na zamek ojca Hanusi. Miśniakowski nie jest zadowolony z obrotu spraw – wolałby pokojowo rozwiązać tę kwestię:

– Nie wstrzymuję ja waszmościów od wyprawy przeciw staroście, sam jednak nie będę ani onej przewodził, ani do niej należał.

– Dlaczego? – wrzasnęli w najwyższym zdumieniu.

– Dlatego, bo ja nie chcę walczyć z tym człowiekiem.

Wszyscy trzej mężowie porwali się z zydlów, jak oparzeni.

– Co, co?! – krzyknął Deręgiewicz. Nie chcesz walki z Turobojskimi? Darujesz im?

Plazem puszczaś wszystko, co wam Turobojscy uczynili?

– Nie to, co Turobojscy uczynili – odrzekł z naciskiem rotmistrz; – jeno co uczynił Turobojski.

– Zato, że twą matkę wyszczuł stąd psami, ojca w łańcuchach pod tą podłogą trzymał, a samego mało co nie rozsiekał zdradą? – ryczał Deręgiewicz.

– Przebaczasz i zgodę uczynisz? – grzmiał Harkosiej, dodając wcale niebogobojne przekleństwo.

⁷⁶ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 1, s. 148-149.

⁷⁷ Zob. W. Ostrowski, *op. cit.*, s. 783.

– I proces umorzysz, i z pretensyj skwitujesz, i w służbę może do Łazunia pójdziesz? —
piszcząc, piniąc się i parskając, jak wściekły kot, Jarosiński.

– I będziesz nosił barwę Turobojskich!

– I gdy ciebie Turobojski w pysk trzaśnie, nastawisz drugi!

Rotmistrz dał im wykrzyczeć się, nauragać sobie, póki zmęczenie tehu im nie zapało i nie
zmusiło sięgnąć po kubki z miodem.

– (...) nie myślcie o mnie ani nazbyt źle ani nazbyt dobrze, jeno to, czegom wart, bom też nie
ksiądz teraz powiem, choć to i dziwnem zdać się komu może, jeno rycerz, jak i jak i wy, nie
dziwcie się temu, co wam i sambym pewnie się dziwił, gdyby mi to o innym powiadali.

– Co że to jest tedy, o czym mówisz? – spytał Harkosiej, nie mogąc powstrzymać ciekawości,
którą z przyrodzenia miał wielką.

– Otworzę wam, jako dobrym przyjaciółom, wszystkie arcana mojej duszy. Wiedźże tedy, że
mi nijak nastawać na starostę, bo on jest ojcem onej dziewczeczki, której stanąłem w przygodzie,
jako wam opowiadałem, i którą umiłowalem, jakoby rodzoną⁷⁸.

Z uwagi na afekt, jakim darzy Hanusię, Kazimierz odmawia wzięcia udziału w kampanii
przeciw jej ojcu, udowadniając tym samym swoją szlachetność i fakt, że nie rządzi nim
małostkowość – w przeciwieństwie do jego kompanów. Tymczasem okazuje się, że to nie
stary Turobojski, ale jego bratanek Szczepan jest prawdziwym wrogiem głównego bohatera –
Hanusia została mu przyobiecana na żonę, dlatego pragnie zgładzić rywala.

Poza rycersko-romansowym wątkiem powieści w tle pojawia się od czasu do czasu ten
drugi, mroczniejszy motyw – nawiedzony zamek Miśniakowskich. Niestety, pojawia się
nadzwyczaj rzadko: w rozmowach służby, relacjach chłopców stajennych o spotkaniu
z widmem, opowieściach ojca Symforiana, etc. „Niesamowitą” postacią spajającą te dwa,
z początku oddalone od siebie wątki, jest Walek – tajemnicza sierota, która potrafi rozmawiać
z duchami:

Był to chłopak mało co starszy nad lat dwadzieścia, wysoki i chudy, o długich, jak len,
białych włosach, spadających mu aż na ramiona, i jasnych, szeroko rozwartych oczach, zdających
się w świat spoglądać z nieustającym zdziwieniem. Rysy miał piękne i na ustach uśmiech
przyjazny, ale jakby błędny. (...)

– On, proszę jegomości, widzi takie rzeczy, jakich oko zwyczajnego człowieka nie zobaczy.
On „widzący”!

Rotmistrz wpatrzył się ciekawie w bladą twarz chłopaka.

– Często „tamtych” widzujesz?

– W dzień czasem tylko,nocką prawie, że ciągiem. Pełno ich tu, jako robactwa na padlinie.

Jedne po ziemi chodzą, kajdanami włóczą, jęczą i płaczą, że aż serce się kraje; drugie nad głową

⁷⁸ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 1, s. 168-170.

latają i w uszy wrzeszczą: „Hu! Hu!” i chichoczą, i przedrzeźniają, i straszą, i ciągną za sobą (...) Widzę nieraz aniołów bożych, takich bielusińskich, ze skrzydełkami, jako u łabędzi, i świętych pańskich, całych w złocie, i samą Najświętszą Panienkę⁷⁹.

Walek okazuje się kluczem do powiązania historii w logiczną całość. Odegra bowiem niezwykle znaczącą rolę w połączeniu Kazimierza i Hanny, choć wygląda na niepozornego, zawieszonego pomiędzy światami oryginała. Jednocześnie to jego pojawianie się od czasu do czasu wśród pozostałych bohaterów wprowadza atmosferę niesamowitości i grozy, która znika czy też rozwiewa się, gdy tylko Walek wraca do swoich tajemniczych spraw.

Usychający z tęsknoty za Hanią Kazimierz trwa w postanowieniu, że musi zapomnieć o dziewczynie ze względu na przysięgę złożoną umierającemu ojcu. Niebawem jednak nadchodzi okazja do spotkania, w okolicznościach zaskakujących dla obojga zakochanych: na zamku Miśniakowskiego pojawia się posłaniec, który informuje, iż sanie wiozące pannę ugrzęzły z powodu śnieżycy w pobliskim lesie. Bohater natychmiast rusza jej na ratunek.

Kolejna scena jest jednym z głównych powodów krytyki powieści *W zaklętym zamczysku*. W recenzji zamieszczonej na łamach „Wiadomości literackich” czytamy:

Tenże rycerz udaje się na ratunek bohaterki, ogarniętej przez zamieć i stado wilków. Wyrwa ją naturalnie prosto spod kłów tych bestyj, porywa na konia – i w drogę. Uciekając na śmigłym jak wiatr rumaku przed temiz wilkami, rycerz wykazuje sprawność zaiste niepospolitą: nie wspominając już o strzelaniu i nabijaniu pistoletów – z wielkim nakładem wymowy oświadcza się pannie, zdobywa od tej skromnej dziewicy wyznanie miłosne i pierwszy dziewiczy pocałunek. Przez ten czas, korzystając z jego – wybacznego skądinąd – roztargnienia, zawzięte drapieżniki raz po raz wyrwają rumakowi kawałki mięsa (autor z wielkim taktem daruje czytelnikowi ten wspaniały efekt). Wreszcie nadjeżdżony koń kończy swą wędrówkę życiową: rycerz porywa dziewczę na ramiona i pędzi dalej. Wilki (tu czytelnik poczyną się trochę irytować na głupie bestie), przeczekawszy przyzwoitą chwilę, – puszczają się w nową pogoń za kochającą się parą... Itd. itd.⁸⁰

Autor zgryźliwej recenzji nie uciekł się do przesady – rzeczywiście, ów fragment, w intencji mający zapewne być jedną z sensacyjnych scen pościgowych, skonstruowanych wzorem wspomnianego już Scotta i Dumasa, ostatecznie okazuje się groteskowy. Za każdym razem, gdy pewni jesteśmy nieuchronnej śmierci bohatera, ten w cudowny sposób uchodzi z życiem.

⁷⁹ *Ibidem*, s. 105-108

⁸⁰ *ej. Powieść i nowela...*, s. 3.

Pościg setki wilków za zakochanymi to jednocześnie scena dynamicznej metamorfozy Hanusi z podlotka w zakochaną kobietę. Wyznaje Kazimierzowi swą miłość i składa na jego wargach spontaniczny pocałunek. Od tego momentu, gotowa walczyć o swego wybranka, odrzuca przymioty dziecka, by wykazywać się nieustanną odwagą i dojrzałością.

Wybawicielką pary okazuje Motra, która pojawia się po raz pierwszy od czasu wigilii św. Jana, kiedy to bohater odrzucił jej zaloty. Dziewczyna może ich uratować dzięki władzy, jaką ma nad wilkami⁸¹. Rozkazuje wygłodniałym zwierzętom spokój:

– Stój, szalona! – krzyknął rycerz i rzucił się, by ją powstrzymać i wciągnąć nazad do chaty, ona jednak odskoczyła odeń o kilka kroków w najciaśniejszą gęstwę i, podnosząc obie ręce w górę, zawyla wielkim głosem, jak wilczyca.

Miśniakowski wstrzymał się, skamieniały, bo stał się dziw. Wilcza gromada rozbiegła się naprzód, jakby w przerażeniu, potem jednak zbliżyła się wolno i cicho, zupełnie tak, jak psy gończe wracają z pościgu na głos dojeżdżacza, a ona nawoływała zapędzone dalej do powrotu, kręcące się do pełnego spokoju, aż gdy wszystkie pokładły się na śniegu, patrząc jej w oczy iskrzącymi ślepiami, ona zwróciła głowę do rotmistrza.

– Chodź! – rzekła nakazującym tonem. – Żadne z tych zwierząt nie dotknie cię, gdy będziesz ze mną⁸².

Po uratowaniu bohaterów Motra także ulega stopniowej transformacji. Te dwie kobiety, początkowo tak od siebie różne, jak Świtez i Zmierzchnica, teraz zmieniają się pod wpływem miłości do tego samego mężczyzny. Kazimierz jednak konsekwentnie wybiera Hannę. Tymczasem szlachta atakuje Łazuń, niebaczna upomnień ojca Symforiana, który nie chce, by doszło do przelewu polskiej krwi w czasie, gdy Rzeczpospolita ma tak wielu zewnętrznych wrogów:

W domu siedzieć i gospodarki pilnować, a kości i krew na ogólną potrzebę *contra inimicum patriae* zachować, zamiast niemi na prywatę i kontempt prawa szafować! Nawet barbary mają władzę, której słuchają, a już tem bardziej w żadnej politycznej nacji tego nie znajdziesz, by byle szlachcic był sam sobie sędzią i pachołkiem sądowym, jako wy tu wszyscy jesteście! Każdy w tym kraju nieszczęsnym sam sobie sprawiedliwość wymierza, każdy wojnę na swoją rękę prowadzi i gotów raczej Tatarzyna na obronę prywaty przywołać, niżeli jej *pro bono publico* poniechać. Zaprawdę bieda tej Rzeczypospolitej, w której miasto chrześcijańskiego narodu mieszka jakby stado wilcze, pożerające się bez ulitowania między sobą⁸³.

⁸¹ Władza nad nocnymi zwierzętami często przypisywana była czarownicom i wampirom. W powieści Brama Stokera ma ją książę Dracula, który szeptem potrafi uspokoić wilka bądź wydać mu rozkaz.

⁸² J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 1, s. 249.

⁸³ *Ibidem*, s. 272.

Krytykę epoki „złotej wolności” sarmackiej wkłada Gnatowski w usta bohatera, który towarzysząc bohaterom w ich przygodzie staje się jednocześnie głosem rozsądku pośród rozhułanej prywatą i zepsutej szlachty. Autor odsłania tym samym cel swej powieści: nie jest to prezentacja konkretnego wydarzenia historycznego, ale raczej krytyka epoki, której błędy doprowadziły do późniejszego upadku i rozbiorów Polski. Tam więc, gdzie Sienkiewicz „ku pokrzepieniu serc” szukał wyróżników „polskości”, Gnatowski upatrywał początku wszystkich późniejszych klęsk narodowych. Inny bohater powieści, sługa starego Turobojskiego, przyznaje rację ojcu Symforianowi, ponadto wskazując na kolejny istotny problem, jakim jest brak równości pośród mieszkańców Rzeczypospolitej. Potwierdza tym samym, że „złota wolność” jest pozorna, bowiem poza uprzywilejowaną grupą, jaką jest szlachta, pozostali nie mają prawa głosu:

(...) nie mogą głów ścinać, to szablą je siekają: nie mogą braci szlachty gnębić, to gnębią i batożą chłopą, żyda, cygana, chodackowego szlachetkę, jak się zdarzy i uda, a na większych idą spolem. Czego nie dokona szlachcic w pojedynkę, tego dokona zajazd. I wtedy niema opresji, gdy wybiorą się w stu na jednego, ale gdy pana brata kto tknie, oho, wtedy gwałt idzie na całe województwo! Wolność szlachecka podeptana, *iniuria* niewinnym się dzieje! A każdy z tych niewinnie uciśnionych uciska mniejszych od siebie i mniema, że to jego prawo, na którym ład i byt Rzeczypospolitej oparty⁸⁴.

Krytyka Gnatowskiego stała się jednym z powodów, dla których książka nie była wysoko ceniona przez recenzentów. W cytowanym wcześniej tomie III „Oświaty Polskiej” Konarski pisał:

Miałbym pewne zastrzeżenia co do intensywności czarnych barw, jakimi autor maluje tło wypadków. Nie były one wesołe w Polsce w XVII wieku, ale nie brakło w nich i jaśniejszych momentów; tymczasem w tej książce wszystko pisane jest sadzami. Wyraźnie postawionego jakiegoś problemu etycznego w powieści nie ma. Pośrednio z całej książki wynika dość naiwny i tani morał o miłości i cnocie, zwyciężającej występki i nienawiść⁸⁵.

Gdy szlachta wpada na zamek Turobojskiego, ojciec Symforian jest jedynym, który pamięta o ukryciu Hanusi, jako że rozbastwieni rycerze mogliby ją pohańbić. Ku przerażeniu dziewczyny wyprawa ponosi klęskę – kompania Miśniakowskiego dostaje się do niewoli, a on sam zostaje poważnie zraniony w pojedynku ze Szczepanem. Upojony zwycięstwem

⁸⁴ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 2, Warszawa 1925, s. 8.

⁸⁵ K. Konarski, *Jan Łada* – „*W zaklętym zamczysku*”, „Oświata Polska” 1929, nr 3, s. 250.

rywal Kazimierza chce zmusić Hannę do ślubu. Bohaterka po raz kolejny udowadnia, że od czasu Kupalnocki przeszła niepodważalną metamorfozę:

Nie był to już ów dzieciak, niewiedzący o świecie Bożym, którego napotkał rotmistrz Miśniakowski w noc świętojańską w głuchym borze nad Irpieniem, gdy właśnie zakwitała paproć. Nie była to nawet owa dziewczeczka, z pączka kwiatu przeobrażająca się w kwiat cudny, która szeptała mu w zapamiętaniu pierwsze „kocham!” gdy ją w szalonym biegu próbował unieść daleko od goniącej ich chmary rozżartych bestyj. Bywają w życiu ludzkim dnie, które starczą za lata. Takie przebywała teraz Hanusia i one zmieniły ją w dojrzałą dziewczę, wypróbowaną w trosce i niedoli, zdolną spojrzeć oko w oko niebezpieczeństwu i nieszczęściu. Oblicze jej było jeszcze dziecinne, ale postawa pełna powagi, skupienia i cichego hartu, a oczy wczoraj jeszcze patrzące w świat tak ufnie i tak nieświadomie, miały teraz wielki smutek, ale i wielką moc, tak iż poczuwszy je utkwione w sobie z milczącym oczekiwaniem, Szczepan spuścił wzrok swój zuchwały, jak żak, schwytyany przez nauczyciela na gorącym uczynku i gotujący się na plagi⁸⁶.

Gdy Szczepan zajęty jest nakłanianiem Hanny do małżeństwa, Miśniakowski ucieka z lochów. Gnatowski powtarza więc motyw wykorzystany już w *Omanie* – ale Kazimierzowi nie pomagają krasnoludki, które uratowały Stacha, lecz wysłannicy Motry, skłonnej poświęcić się z miłości do swojego wybranka, nawet jeśli wie, że ten miłuje inną.

Ów heroiczny czyn jest także pretekstem do odsłonięcia przeszłości wiedźmy. Jak się okazuje, czary jej pochodzą z tradycji „ludowej” – nigdy nie podpisała żadnego cyrografu, ani nie „skumała się” z biesem („Wiedźma ja nie była, choć mnie tak zwali. (...) duszy złemu nie zaprzedałam”⁸⁷.) Ziołolecznictwa i zaklęć uczyła się od starych, wiejskich znachorek, które pokazały jej właściwości ruty, mandragory, czy lubczyku. Motra to pogańska czarownica, nie służebnica diabła. To ważne rozróżnienie, stanie się bowiem kluczem do jej rozgrzeszenia – zarówno przez bohaterów powieści, jak i samego autora. Jednocześnie tłumaczyłoby to, dlaczego Motra przewodzi obrzędom Kupalnocki.

Erica Jong w swej „monografii czarownicy” pisze:

Nawet wtedy, gdy chrześcijaństwo było już usankcjonowaną religią, kult pogańskich bóstw był trudny do wykorzenienia. W całej Europie wieśniacy trwali przy nim długo po tym, jak ich królowie i książęta przeszli na chrześcijaństwo. W wielu miejscach czczono zarazem bogów pogańskich i Boga chrześcijańskiego, i nawet chrześcijańscy księża byli wtajemniczani w pogańskie obrzędy. (...) I tak właśnie pogaństwo było najpierw tolerowane, potem zostało

⁸⁶ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 2, s. 58-59.

⁸⁷ *Ibidem*, s. 183.

zasymilowane, a w końcu brutalnie wytępione. Jednak jego siła nigdy nie wygasła, a tych, którzy wciąż czcili starych bogów, zaczęto nazywać czarownicami i czarownikami⁸⁸.

Modląca się do Kupajły o miłość zielarka Motra wydaje się wywodzić z tej właśnie tradycji pogańskiego czarownictwa, które niewiele miało wspólnego z kultem szatana, o jaki oskarżali ją mężczyźni⁸⁹.

Motra dostaje się w ręce Szczepana, który zauroczony urodą dziewczyny pragnie uczynić z niej swą kochankę. Gdy odmawia, rozwścieczony rycerz skazuje ją na śmierć. Wybiera karę adekwatną dla czarownicy – stos. Teraz, gdy wiemy już, że jest postacią niejednoznaczną, zasługującą nawet na współczucie, perspektywa śmierci w płomieniach, jaką przeznaczono dziewczynie, czyni z niej nieledwie męczennicę. Szepcze Miśniakowskiemu w chwili pożegnania:

Jaz chciała po wiek życia patrzeć w oczy twoje czarne i pieścić cię i hołubić, i suką twoją być, której wolno krok w krok iść za panem! Nie było doli! Toć już ostatni promień szczęśliwości dla mnie... Odejdiesz, i zgaśnie wszystko, i będzie już noc bez miesiąca, bez gwiazd. I już nic, nic więcej... A jaż ciebie uratowała od męki i śmierci!⁹⁰

Nie dane jest jej zaznać szczęścia w ramionach ukochanego, ale ze spokojem i odwagą przyjmuje swój los, woli bowiem spłonąć na stosie, niż żyć u boku Szczepana. W chwili męczeńskiej śmierci zostają z niej zmyte wszystkie grzechy i – wzorem Dobrego Łotra, który umierał na krzyżu przy Jezusie Chrystusie – Motra odchodzi z tego świata bez zmazy. Gnatowski dobrze oddał ostatnie chwile kobiety, ukazując, jak tzw. doświadczenie z pogranicza śmierci (w psychologii określane mianem *Near Death Experience*⁹¹) wpływa na przemianę duchową, czy nawet nawrócenie. Gdy stos zostaje podpalony, Motra z oczami wzniesionymi symbolicznie w górę przemawia bardziej do siebie, niż do Szczepana:

⁸⁸ E. Jong, *Czarownice*, tłum. D. Chojnacka, Poznań 2003, s. 35-36.

⁸⁹ Męski strach przed mocami, którymi włada Motra może być nieświadomym, freudowskim „przeniesieniem” lęku przed impotencją. Jong twierdzi: „Podobnie jak dzisiejsze wyzwolone kobiety, czarownice też były oskarżane o powodowanie u mężczyzn impotencji. (...) Czarownica rzucała zaklęcie, wiążąc węzły na sznurku i odpowiednio go ukrywając. Impotencja trwała dopóty, dopóki nieszczęśliwa ofiara nie znalazła owego sznurka. Jeśli sznurka nie odnaleziono wcale, rezultat był trwały. W ten sposób kobiety zawsze były (...) obwiniane o męskie seksualne niedomaganie (...)”. [Źródło: E. Jong, *op. cit.*, s. 108].

⁹⁰ *Ibidem*, s. 119.

⁹¹ Określeniem NDE (*Near Death Experience*) po raz pierwszy posłużył się Raymond Moody w książce pt. *Życie po życiu*. Udowodnił, że w chwili poprzedzającej śmierć bądź śmierć kliniczną doświadczają się fizjonomicznych i psychologicznych zmian, często powiązanych z uczuciem miłości, błogostanu, spokoju. [Zob. J. Randles, P. Hough, *Tajemnica życia po śmierci*, Warszawa 2004, s. 270-274.]

– To było: tego już niema. Ty taki mały i taki daleki: czegożbym ciebie miała nienawidzieć? Ja w drogę idę i odeszłam już hen! ile od ciebie! Już ty mnie tam nie dosięgniesz i ja tobie nie wróg! Ostań w pokoju, jeśli możesz!

Słowa te, tak przecie łagodne, wywarły zgoła niespodziewane wrażenie na Turobojskim. Zbladł, zadygotał i odskoczył od stosu, wciskając się w tłum i odwracając twarz poza siebie, jakby uciekał od widoku dziewczyny⁹².

W ostatniej chwili młody sługa Motry, Artem, ratuje ją od śmierci w płomieniach – jednak wyczerpana dziewczyna umiera kilka chwil później. Z jej słów wynikało jasno, że przeszła już jakąś niedostrzegalną granicę, za którą nie ma powrotu na ziemię. Śmierć była nieunikniona – ale jednocześnie, mimo całego horroru, jaki jej towarzyszył, śmierć ta była łagodna.

Inny los czeka Szczepana. Po egzekucji Motry jego poddani, złożeni w większości z Kozaków i chłopów, buntują się przeciw swemu panu, gotując mu bolesny i przerażający koniec. Tym samym sumienie Miśniakowskiego pozostać może czyste – nie on wszakże zgładził swego rywala, ale zbuntowani podwładni Szczepana.

Finalny rozdział powieści przenosi po raz ostatni akcję do „zaklętego zamczyska”. Jest to moment konfrontacji młodego pana Kazimierza z duszami zmarłych krążącymi po opuszczonych pokojach. Nadchodzi pora, by dowiedzieć się, czego od niego żądają.

Przewodnikiem głównego bohatera po krainie zmarłych okazuje się wspomniany wcześniej Walek, upośledzony „prostaczek”, które potrafi dostrzec więcej od otaczających go ludzi. Po północy prowadzi Miśniakowskiego do opuszczonej baszty, która na czas trwania spotkania z widmami staje się miejscem zawieszonym pomiędzy światami, nie przynależąc ani do krainy żywych, ani umarłych. Bohater trafia do *limbo*⁹³, przestrzeni ontologicznie nieokreślonej. Przebywające w niej dusze nie mogą trafić do piekła, ani do nieba. Przeznaczona jest im wieczna tułaczka – chyba, że ostatni z rodu zgodzi się spełnić ich żądania.

Kreacja widm czerpie z tradycji romantycznej, ale spełnia też wymogi powieści grozy:

Był to istotnie świętej pamięci imię pan miecznik braclawski, taki, jakim go przed laty po raz ostatni żegnał jego jedynak, biorąc odeń błogosławieństwo na pole i na życie. Taki i nie taki. Bo

⁹² J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 2, s. 188-189.

⁹³ Używamy tu rzeczownika *limbo* w znaczeniu przyjętym przez *Oxford Dictionary*: „2. an imaginary place for lost, forgotten, or unwanted persons or things; a state of neglect or oblivion”. [Źródło: *Line breaks - limbo*, <http://www.oxforddictionaries.com/definition/english/limbo>, dostęp online: 21.04.2015r.] Warto jednak pamiętać, że w terminologii katolickiej *limbo* (Otchłań) to stan dusz osób, które zmarły przed narodzinami Chrystusa.

jeśli staturą i ruchami zgoła od żywego się nie różnił, cielesna powłoka zdawała się znacznie odmienną, jakby zwietrzała, zeszczupełała, zmurszała i nienaturalnie wiotka. Rysy też jego zdawały się jakby zatarte. Nos zapadł, oczy ukryły się w głęb oczodołów i świeciły z nich gromnicowym blaskiem, a szaty wisiały jakby na drągu. I wszystko to razem nie stanowiło istotnej postaci, jaką zwykliśmy widywać w życiu, jeno jakoby jej obraz odbity w zwierciadle wody lub podobieństwo jeno, z dymu i mgły utkane. (...) Płomienisty korowód, dotąd cichy, jak senne widziadło, rozebrzmiał teraz nagle wyciem i jękiem, zmieszany z jakimś łomotem, jakby od ścierającego się metalu lub szczęku łańcuchów. Wycie to było tak przejmujące bólem, grozą, rozpaczą, że rycerz poczuł, jak mu włos zjeżył się na głowie i mróz przebiegł po kościach⁹⁴.

Korowód widm rozpoczyna duch miecznika – ojca Zygmunta. Następujące po nim zjawy to reprezentanci wszystkich pokoleń Miśniakowskich aż do upiornego Hrehora, będącego przyczyną konfliktu dwóch zwaśnionych rodów. Wzorem Mickiewiczowskich *Dziadów* widma po kolei opowiadają o przyczynie swoich pośmiertnych mąk. Straszliwy Hrehor skazany jest na wieczną tułaczkę za to, że „łup swoim i obcym wydarty gromadził i skarb z tego uczynił”⁹⁵ i stworzyć chciał ród, który nie będzie obawiać się nikogo – ni króla, ni nawet Pana Boga. Stojąca przy nim kobieta to porwana siostra Turobojskiego, samobójczyni, która płaci teraz cenę za odebranie sobie życia. Otrzymują więc kary zgodne z systemem nauk chrześcijańskich.

Kazimierz wyrzeka się skarbów pochodzących z grabieży i przeznaczają je na obudowę klasztoru ojca Symforiana. Pomyślnie przechodzi więc ostatnią z prób, jakie czekały go w trakcie tej dziwnej przygody, rozpoczętej w lesie nad Irpieniem: próbę chciwości. Widma Hrehora i Turobojskiej znikają przeraźliwie „rycząc”, a na ich miejsce pojawia się duch starego Miśniakowskiego, który wylicza swoje przewinienia:

– Nienawiść była moim grzechem! Prawda: krzywda mi się działa, ale czyż Chrystusowa krzywda nie była większa? A ja, Chrystusa mając wciąż na ustach, tak się zaciekle w nienawiści, że wziąłem ją nietylko za godło własnego życia, ale i tobie ją narzuciłem, wiążąc cię bezbożną przysięgą, iż służby *pro publico bono* zaniechasz i szczęścia własnego się zaprzcesz, a zemsty nie zahaczysz i bez pardonu ścigać będziesz Turobojskich, i póki życia zgody z nimi nie zawrzesz. (...)

– Co mam czynić, by cię wyzwolić?

– Uczyń jedno tylko. Cofnij niegodziwą przysięgę, do której ciebie zmusiłem! Poniechaj zemsty! Przebacź wrogom. Miłuj!

Oblicze młodego rycerza opromieniła radość wielka.

⁹⁴ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 2, s. 217-221.

⁹⁵ *Ibidem*, s. 225.

- Ach, ojcze! – zawołał z uniesieniem. – Tegoż to tylko żądasz ode mnie, czego od tak dawna nadaremno domagało się znękané serce?
- Tego jednego.
- I zezwalasz mi złączyć się dozgonnym afektem z córką Turobojskich rodu?
- Pozwalam i prosić będę Boga, by wam błogosławił. Szczęście Hanny niech będzie zadośćuczynieniem za krzywdę i niedolę tej drugiej.
- Amen, amen! – zakrzyknął rycerz⁹⁶.

Cofnięta przysięga umożliwia połączenie zakochanych węzłem małżeńskim. Widząc szlachetność młodego rycerza, schorowany ojciec Hanny także udziela im swego błogosławieństwa.

Takie rozwiązanie konfliktu może jednak budzić pewne zastrzeżenia. Narastający przez dwa tomy powieści węzeł przeciwności autor ucina w trakcie krótkiej rozmowy ojca z synem. Czyżby pragnął zakończyć utwór szybciej, niż planował z początku? Odkupienie win przodków przez Miśniakowskiego jawi się czytelnikowi jako rozwiązanie naiwne i pozbawione oryginalności. Wszystko to skłania do wniosków, że *W zaklętym zamczysku* to jedna z najmniej udanych powieści Gnatowskiego. Dziwić może fakt, że jest to również (obok *Antychrysta* i *Lucifera*) współcześnie wznawiany utwór prałata. Nową edycję, w której zmodernizowano pisownię i dostosowano ortografię do współczesnych wymogów, przygotowało wydawnictwo Inpingo w ramach akcji „Białe kruki na E-booki”. Wydaje się jednak, że wznowienie nie przysporzyło powieści popularności.

⁹⁶ J. Łada [Gnatowski], *W zaklętym zamczysku...*, t. 2, s. 231-232.

JAN ŁADA

ANTYCHRYST

OPOWIEŚĆ
Z OSTATNICH DNI ŚWIATA

Handwritten signature: A. Bne.

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAN ————— WARSZAWA

**4.3. „A TRĄBY ARCHANIÓŁÓW GRAĆ POCZĘŁY ZIEMI UMARLEJ PIERWSZE HASŁO
ZMARTWYCHPOWSTANIA: NA SĄD! NA SĄD!! NA SĄD!!!” –
„OPOWIEŚĆ Z OSTATNICH DNI ŚWIATA” – ANTYCHRYST**

Jeśli poprzednią powieść Gnatowskiego oceniliśmy surowo, *Antychryst* zasługuje na wyróżnienie, jest to bowiem najbardziej udane, spójne i fabularnie konsekwentne dzieło prałata, pozbawione całkowicie banalizacji, obecnej niekiedy w jego pozostałych utworach. Opublikowany w Poznaniu w 1920 r., siedem lat później doczekał się przekładu czeskiego⁹⁷. Był to drugi z kolei przekład literatury Gnatowskiego na język południowych sąsiadów, w 1909 r. w Ostrawie ukazało się bowiem czeskie tłumaczenie jednoaktowego dramatu *Jak liście z drzew strącone...* Oba utwory musiały cieszyć się dobrą opinią krytyki literackiej, skoro zdecydowano się zaprezentować je za granicą. Ponadto, jak informuje Juliusz Kleiner, we Francji i Ameryce planowano na podstawie *Antychrysta* nakręcić dramat filmowy⁹⁸. W 2012 r. wspomniane w poprzednim podrozdziale wydawnictwo Inpingo przygotowało cyfrowe wznowienie powieści ze zmodernizowaną pisownią i z zastosowaniem współczesnych reguł gramatycznych.

Antychryst. Opowieść z ostatnich dni świata wyrasta z mrocznych i pesymistycznych nastrojów zrodzonych w wyniku I wojny światowej, będąc jedną z popularnych w tamtym okresie powieści katastroficznych⁹⁹. Pierwszy zbrojny konflikt „totalny” przyniósł Polakom niepodległość, na którą młodszy przedstawiciele literatury narodowej reagowali entuzjastycznymi eksperymentami z formą oraz treścią swych utworów. Gnatowskiemu tymczasem daleko było do zapału i gorliwości młodych – mocno podupadły na zdrowiu, od niedawna zupełnie niewidomy, z niepokojem reagował na nowe prądy kulturowe (literackie), przeczuwając rychły koniec tego świata, którego sam był częścią w swych młodych latach. O „*La Belle Époque*” pisał z sentymentem we wspomnieniowym szkicu pt. *O minionych czasach i ludziach*, pisał również w listach do przyjaciół i wychowanków. *Antychryst* jest więc nie tylko pokłosiem niepokojów Gnatowskiego-katechety, ale też starszego, schorowanego człowieka, któremu myśl konserwatywna nie pozwalała odnaleźć się w czasach wojen światowych, socjalistycznych przewrotów rewolucyjnych, kobiecej mody na krótkie fryzury i ogólnie pojętej awangardy.

⁹⁷ Autorem przekładu był Alois Koudelka, czeski teolog i tłumacz literatury polskiej, estońskiej, fińskiej i węgierskiej. (J. Lada, *Antikrist*; z polštiny přeložil Alois Koudelka, Praha 1927).

⁹⁸ J. Kleiner, *Jan Łada*, „Tygodnik Ilustrowany” 1925, nr 43, s. 865.

⁹⁹ Zob. b.a., *Antychryst. Opowieść z ostatnich dni świata*, Encyklopedia Fantastyki, http://encyklopediafantastyki.pl/index.php?title=Antychryst._Powie%C5%9B%C4%87_z_ostatnich_dni_%C5%9Bwiata, dostęp online: 27.04.2015r.

Jednocześnie, jak na utwór będący wyrazem tych niepokojów, *Antychryst* poprzez swą formę i tematykę doskonale wpisuje się w literaturę dwudziestolecia międzywojennego, jest bowiem nie tylko przedstawicielem popularnej ówczesnej prozy psychologicznej, w której wewnętrzne konflikty i motywacje bohaterów napędzają ich działania czy decyzje, ale też pierwszym przykładem powieści *science-fiction* pióra Gnatowskiego. Po kilku utworach, których akcja usytuowana była w zamierzchłej przeszłości bądź baśniowym świecie *fantasy*, prękał proponuje czytelnikom coś zgoła odmiennego – dystopię prezentującą przyszłą kondycję świata i ludzkości¹⁰⁰.

Henryk Dubowik zarysowuje pokrótce fabułę utworu:

Utwór Łady *Antychryst* (...) jest to „opowieść z ostatnich dni świata”, przedstawiająca katastroficzną wizję wojen, przewrotów i ostatecznej zagłady ludzkości. Akcja toczy się w bliżej nieokreślonej przyszłości, kiedy po upadku komuny wszechświatowej znowu został odnowiony kapitalizm wraz z nieodzownym uciskiem proletariatu. Ale oto w Palestynie pojawił się prorok Juda Gesnareh, twórca nowej religii, szatan wcielony, który obwołał się bogiem i zgromadził potężną i dobrze zorganizowaną armię, która podbiła świat cały z wyjątkiem Włoch. Prorok potrafi czynić cuda, ale jest jednocześnie fanatycznym przeciwnikiem chrześcijaństwa. Wyznawcy Chrystusa – niby w starożytnym Rzymie – zapelniają więzienia, są prześladowani, torturowani i skazywani na okrutną śmierć¹⁰¹.

Podobnie jak w wielu wcześniejszych powieściach i opowiadaniach, Gnatowski czyni głównymi bohaterami rodzeństwo – Henryk i Edyta Strafford pochodzą z polsko-brytyjskiej rodziny i mieszkają razem, jako że żadne z nich nie związało się z nikim węzłem małżeńskim, choć oboje zbliżają się już do „południa życia”¹⁰². Henryk jest wykładowcą akademickim, ateistą, człowiekiem o racjonalnym i chłodnym podejściu do rzeczywistości. Edyta, choć wychowana w atmosferze pogardy dla chrześcijaństwa, czuje przedziwny pociąg do tej tradycji, łącząc ją z polskim pochodzeniem. Ponadto jest bardziej uczuciowa i wrażliwsza od brata, co czyni z niej jednostkę podatniejszą na urok Judy Gesnareha, do którego z początku przystaje, by potem stać się jego zaprzysiężonym wrogiem, „polską Joanną d'Arc”.

Gnatowski, wzorem Herberta George’a Wellesa (*Wehikuł czasu*, 1895 r.), Jerzego Żuławskiego (*Na srebrnym globie*, 1903 r.) i innych twórców fantastyki naukowej kreuje

¹⁰⁰ W Encyklopedii Fantastyki czytamy: „*Antychryst* jest nie tylko ostrzegawczą dystopią o charakterze aluzyjnym, uwzględniającą wizję końca świata z chrześcijańską eschatologią, ale i powieścią fantastycznonaukową (m.in. ze względu na opisy techniki militarnej przyszłości). [Źródło: b.a., *Antychryst. Opowieść z ostatnich dni świata*, *Encyklopedia Fantastyki*..., dostęp online: 27.04.2015r.]

¹⁰¹ H. Dubowik, *Fantastyka w literaturze polskiej*..., s. 185.

¹⁰² J. Łada [Gnatowski], *Antychryst. Opowieść z ostatnich dni świata*, Poznań 1920, s. 13.

niezwykle dopracowaną i skomplikowaną wizję dystopijnej przyszłości. Nie tylko zarysowuje czytelnikom tło historyczne, w tym fikcyjne wypadki, które doprowadziły do wojen szalejących pod koniec XX w., ale też z polotem opisuje wynalazki techniczne i odkrycia naukowe jakie w rzeczywistości nigdy nie miały miejsca. Dlatego w recenzji *Antychrysta* Juliusz Kleiner chwali autora:

Przyszłość świata i koniec świata stanowiły już niejednokrotnie temat literacki. Literatura dziejów przyszłych bogata jest i ciekawa. Dawała pole propagandzie ideowej, malowała ideał społeczny, do którego zmierzać ma rozwój – albo odstraszała katastrofalnym spotwornieniem rysów ujemnych, rażących w świecie współczesnym. (...) Astronomiczną pomysłowością Flammariona nasycala swe obrazy i Marsowi reklamę amerykańską czynila, (...) którą konstruowała fantastyka naukowa Wellsa. (...) Żadnego niemal z tych kierunków nie brak w nowej książce Jana Łady; naszkicowane są zarysy skrajnych przemian społecznych i wojen potężnych; olbrzymi postęp techniki określa zarysy życia; zbliżenie się komety kres niesie ziemi¹⁰³.

Już na pierwszych stronach poznajemy „przyszłość oczami Gnatowskiego”. Koniec XX wieku to w powieści epoka:

(...) wynalazków praktycznych, udogodnień życiowych i zbytku. Po wszechświatowej wojnie 1914 r. i przewrotach, które stały się jej następstwem, powtórzyło się w całym świecie to, co przeżyła Francja po upadku Terroru. (...) Kapitalizm mścił się, zakuwając pracujące masy w twardsze, niż kiedykolwiek przedtem kajdany, krwawymi represjami i głodem zmuszając opornych do milczenia. Trusty i monopole zawładnęły światem, zastępując parlamentaryzm dyktaturą.

A równocześnie z tem rozpoczęła się niesłychana orgia bogactw i użycia. Kult złotego cielca i rozkoszy wygniótł wszelką religię i etykę. Zniknął wstyd, zamarła litość. Pracujące tłumy poddane zostały specjalnym rygorom i zamknięte w osobnych dzielnicach i miastach, by biedą i niechlujstwem nie razić wyrafinowanego wykwintu bogaczy¹⁰⁴.

Ów ogólny zarys historyczny pozwala czytelnikom na szybkie odnalezienie się wśród nastrojów panujących w powieściowym świecie. Przyszłość jest tu bowiem odbiciem niepokojów społecznych dobrze znanych ludziom żyjącym na przełomie XIX i XX wieku. Szczególnie walka kapitalistów z proletariuszami była po rewolucji październikowej tematem nieustannie pobudzającym dyskusje na temat przyszłych losów świata, którego kształt i zasady społeczne miały ulec nieodwracalnym zmianom.

¹⁰³ J. Kleiner, *Powieść o końcu świata*, „Słowo Polskie” 1921, nr 140, s. 5.

¹⁰⁴ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 7-8.

W atmosferze ciągłych walk klasowych, jakie toczą się za kulisami powszechnego zbytku, obyczajowego rozpasania warstw rządzących i ogólnego poczucia rychło zbliżającego się zmierzchu cywilizacji, pojawia się jednostka zdolna pociągnąć za sobą zagubione tłumy: prorok Juda Gesnareh.

Jak większość przywódców totalitarnych reżimów, tak też Gesnareh kreuje się z początku na lidera współczującego, niosącego wyzwolenie i pocieszenie swoim podwładnym (czy wręcz wyznawcom), ale kiedy jego wpływy rozciągają się już na większą część Europy, ujawnia swoje prawdziwe oblicze, nakazując torturowanie tysięcy chrześcijan.

Siłą Gesnareha, a jednocześnie – paradoksalnie – znakiem tkwiącego w nim Zła jest początkowe naśladownictwo misji Chrystusa. W pierwszym rozdziale powieści mówi się o nim jedynie, że:

(...) głosi panowanie sprawiedliwości, pociechę cierpiącym i tryumf małym. Wielkie rzesze idą za nim (...), on je trzyma na wodzy, broniąc czynów gwałtu i nakazując cierpliwość, przebaczenie krzywd, miłość... (...) Pojawił się w Palestynie i z pochodzenia ma być Żydem, ale działa przeciw Żydom. (...) Powiadają też o nim, że wielkie dziwy i cuda czyni, uzdrawiając chorych, wracając wzrok ślepym, słuch głuchym. Żyje jak najbiedniejszy z jego słuchaczy, rozdając, co ma, ujmując się za krzywdzonymi i kojąc strapiionych¹⁰⁵.

Postać Gesnareha konstruuje Gnatowski na podstawie biblijnych proroctw dotyczących Antychrysta, pozostając wiernym teologii chrześcijańskiej. Sławomir Łuczkiewicz wskazuje na fakt, iż wedle starotestamentowych przekazów u kresu dziejów duch Szatana wcieli się w postać żywego człowieka, który przez trzy i pół roku (akcja trwania powieści) będzie rządził na Ziemi, z początku naśladowując Chrystusa, następnie jako bezwzględny i okrutny dyktator¹⁰⁶. Jednocześnie Antychryst jest jedną z najbardziej intrygujących figur w proroctwach biblijnych, „wilkiem w owczej skórze”, czy też, jak ujmuje to Jonatan Dunkel, „Bestią, która chce uchodzić za baranka”¹⁰⁷.

Myśl o nadejściu szatańskiego syna przerażała ludzkość niemalże od pierwszych wieków chrześcijaństwa. Szczególnej mocy nabrała około roku 1000, by towarzyszyć Europejczykom przez cały okres średniowiecza. Jak pisze Juliusz Kleiner:

¹⁰⁵ *Ibidem*, s. 21-23.

¹⁰⁶ Zob. S. Łuczkiewicz, *Antychryst i Apokalipsa*, Lublin 2002, s. 51.

¹⁰⁷ J. Dunkel, *Apokalipsa. Ostatnie wydarzenia na ziemi w proroctwach Pisma Świętego*, Mszczonów 2001, s. 29.

Wracła w epoce reformacji; jawiła się w sektach różnych aż po dzień dzisiejszy; wracała ponownie pod wrażeniem rewolucji i walk napoleońskich i tworzyła tę atmosferę, która Krasieńskiemu kazała *Nie-Boską Komedie* stylizować na tle przepowiedni o Antychryście i sądzić ostatecznym. (...) [Juda Gesnareh] Obdarzony nadludzką potęgą woli i czynu, genialny organizator (...) hipnotyzujący jednostki i masy urokiem osobistym (...) zjawia się jak Chrystus w Palestynie¹⁰⁸.

Z początku nikt nie jest w stanie oprzeć się nieprzepartemu urokowi Proroka: mężczyźni chwalą jego solidarność z cierpiącymi i z uwagi na skromny styl życia oraz wegetarianizm porównują do pitagorejczyków bądź średniowiecznych ascetów; kobiety zachwycają się jego nieprzeciętną urodą:

– Nie ma podobno więcej nad trzydzieści lat, a typem i postawą przypomina wizerunki Chrystusa. Tylko że Chrystusowi legenda przypisuje aureolę długich, złocistych włosów, podczas kiedy u niego krucze kędziory wiją się malowniczo dokoła mocarnej głowy jak języki ognia lub węzowe sploty¹⁰⁹.

Tym jednak, czym zaskarbia sobie miłość dziesiątek kobiet i mężczyzn, jest ciągła pomoc potrzebującym. Gesnareh uzdrowia chorych, pielgrzymując po Palestynie (w powieściowej rzeczywistości nie dochodzi do utworzenia państwa Izrael), zapowiadając wyzwolenie spod jarzma władz kapitalistycznych. A bohaterowie *Antychrysta* doskonale rozumieją, że zmęczony wyzyskiem proletariatus tłumnie podąży za silnym przywódcą, który może całkowicie odmienić losy świata. Już podczas pierwszego zebrania bogatych monopolistów panuje atmosfera trwożnego wyczekiwania na to, jaki będzie kolejny krok „Proroka”. Jedyny obecny na spotkaniu chrześcijanin wypowiada ostre słowa:

Cóż jednak w takim razie powiedzieć o was, panowie senatorowie, panowie miliardierowie, panowie monopolisci, którzy ściągacie tak skrzętnie do swych portfelów wszystkie soki żywotne tej ziemi, wszystką zarobkową pracę i całą wytwórczość ludzkości, o was, którzy świat wzięliście w bezpłatną dzierżawę i sami używacie rozkoszy życia, kiedy ludzkość pracuje dla was w jarzmie, jak niegdyś pracowały bydłota? (...) Ale robotnik nie jest jeszcze pełnym bydłem, choć staracie się o to tak sumiennie: jest człowiekiem i pójdzie za tym, który do niego po ludzku przemówi!¹¹⁰

¹⁰⁸ J. Kleiner, *Powieść o końcu świata...*, s. 5.

¹⁰⁹ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 29.

¹¹⁰ *Ibidem*, s. 33- 36.

Słowa Poratyńskiego okazują się prorocze. Kilka miesięcy później Juda Gesnareh zyskuje niemalże niepodzielną władzę w Zjednoczonej Europie (co ciekawe, Gnatowski jak widać przewidział powstanie Unii Europejskiej), spod której wyłączone są jedynie Włochy z Watykanem.

To miejsce staje się jednocześnie siedzibą największego przeciwnika Gesnareha, Romolo Colonna Orsiniego¹¹¹, który wkrótce zostaje ostatnim papieżem, przyjmując imię Piotra II. Dla kardynała nie ma wątpliwości, że Prorok z Nazaretu jest zapowiadany w *Księdze Daniela* oraz *Apokalipsie św. Jana* Antychrystem:

– Mniemam, że [to] sam Antychryst. Zbyt wielką jest jego moc i zbyt wielkie czyny dziwy!
(...) Tak! Wszystkie znamiona Bestii widzę w nim, a przede wszystkim owo naśladownictwo
Pana naszego!¹¹²

To, co dla głowy Kościoła od początku jest jasne, przed oczami tysięcy wyznawców „Rabbiego” (jak nazywają Gesnareha tłumy¹¹³), w tym Edyty, odkryte zostanie dopiero wiele miesięcy później. Dzieje się tak dlatego, że kondycja chrześcijaństwa w tej dystopijnej wizji przyszłości jest wprost fatalna. Wiara w Chrystusa została dawno zapomniana i porzucona, nieliczne jednostki spotykają się w przydomowych kaplicach w celu wspólnej modlitwy. Dzieci od dziesiątek lat przestały być chrzczone, ponieważ wielu ludzi porzuciło wiarę swych ojców, gdy nie spełniała ich oczekiwań. Czasy te bardziej niż inne sprzyjają więc nadejściu i panowaniu szatana, o którym mówi się przecież, że jest księciem kłamstw, czy pozorów – może więc ukryć swe prawdziwe intencje przed łatwowiernym tłumem.

Gnatowski wprowadza ciekawą strategię fabularną, pojawienie się samego Proroka poprzedzając wypowiedziami i znakami, które go dotyczą. Dzięki temu autor buduje w czytelnikach odczucia czy może oczekiwania względem tej enigmatycznej postaci, ją samą dopuszczając do głosu dopiero kilkadziesiąt stron później.

Straffordowie poznają Gesnareha osobiście, gdy udają się do obozu jego wyznawców w celu uleczenia Edyty. Bohaterka boryka się ze złośliwym nowotworem i zdaniem lekarzy pozostaje jej kilka lat życia. Przerażone rodzeństwo postanawia szukać pomocy u Proroka po tym, gdy dowiadują się o „cudownych ozdrowieniach” z jego ręki.

W obozie Henryk natychmiast odkrywa skrzętnie skrywane tajemnice, które wprowadzają pierwsze rysy na idealnym wizerunku Rabbiego. Zgodnie ze znanym

¹¹¹ Z rodu Orsini pochodziło wielu słynnych papieży i kardynałów.

¹¹² J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 123-124.

¹¹³ Jak widać zarówno ów przydomek, jak i jego imię i nazwisko są znaczące.

schematem dyktatura ukrywa się tu pod pozorami najszlachetniejszych intencji, wykorzystując hasła równości i zadośćuczynienia. Idealna organizacja panująca w obozie nie jest wcale wynikiem lojalności wobec Proroka (jak zdaje się wierzyć Edyta), ale zastraszenia i inwigilacji. Na długo przed Georgem Orwellem Gnatowski kreśli niepokojącą wizję wszechświatowych rządów totalitarnych:

Straffordowie mieli wnet sposobność lepiej jeszcze przekonać się o niepospolitym zmyśle organizacyjnym kierowników tego olbrzymiego miasta-obozu i o żelaznej karności, dzięki której jedynie mógł w takim tłumie panować doskonały spokój i porządek. (...) W tem ogromnem mrowisku ludzkim władał jeden mózg, istniała jedna wola. (...) Teraz jednak mogli się przekonać, że ład ten opierał się nie tyle na własnej woli, ile na roztropnie zastosowanym przymusie. Wśród publiczności (...) uwijało się tysiące konstablów: jeden znak z ich strony wystarczał do kierowania całym tłumem (...). O milicji i o chrześcijanach nikt z nim nie chciał rozmawiać¹¹⁴.

Pomimo całego naśladownictwa Chrystusa Juda Gesnareh wymaga czegoś, co powinno było dać do zrozumienia jego wyznawcom, kim jest w istocie: każe porzucić chrześcijaństwo i odwrócić się od Kościoła. Uzdrawia chorych jedynie za cenę wyrzeczenia się owej znienawidzonej przez siebie wiary. Publicznie znieważa krzyż oraz inne symbole chrześcijańskie, nazywając Chrystusa „ukrzyżowanym uwodzicielem żydowskim”, czy „manipulatorem”¹¹⁵. Jak pisze Kleiner:

Wyzwolenie mas uciśnionych jest jego hasłem, ale od razu głosi też hasło inne: Jehowa i Chrystus to Bóg zły, winny nieszczęść ludzkości – on przywraca kult strąconego przez nich Boga dobrego, Boga światła – i dlatego tępi resztki chrześcijaństwa, już zgniecione go przez proletariacką komunę¹¹⁶.

Co najmniej w kilku kierunkach należy rozejrzeć się za źródłami filozofii Gesnareha, wpisującej się w omawiane już koncepcje dobra i zła, które pojawiły się w *Omanie* (przemówienie Winrycha w lochach Czartowskiej Skały) i *Lucyferze* (wykład Zieniewicza na temat szatana). Przede wszystkim nawiązuje do modnych w końcu XIX wieku zartusztrianizmu i lucyferyzmu. Z irańskiej religii wykorzystuje koncepcję pary najwyższych,

¹¹⁴ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 50-60.

¹¹⁵ *Ibidem*, s. 67.

¹¹⁶ J. Kleiner, *Powieść o końcu świata...*, s. 5.

przeciwstawnych sobie bogów, którzy znajdują się w stanie nieustannej walki: Ahura Mazdy i Angra Mainju:

W swej doktrynie Zaratusztra postawił najwyżej Ahura Mazdę, którego nazwał jedynym niestworzonym bogiem. Miał on być stwórcą wszystkiego, co dobre i dobroczynne, w tym innych bogów. (...) Kolejne wizje proroka przynoszą wyobrażenie boga współistniejącego z Ahurą Mazdą, lecz będącego całkowitym zaprzeczeniem dobroci i ładu. Bogiem tym jest pozbawiony mądrości, szkodliwy i zgubny Angra Mainju (Zły Duch). Dwa bóstwa podczas swego pierwszego spotkania miały stworzyć życie i nie-życie, sprawiedliwość i kłamstwo¹¹⁷.

Koncepcje staroirańskie miały wielki wpływ na chrześcijańską demonologię, a także ideę samego szatana, utożsamianego niekiedy z owym Złym Duchem mazdajskim. Juda Gesnareh tymczasem, czerpiąc z ruchów satanistycznych i lucyferycznych, odwraca schemat dobrego i złego boga, prezentując jego lustrzane odbicie: Ahura Mazdą, Panem Mądrości, miałby być Lucyfer, podczas gdy Angra Mainju reprezentuje Jahwe. Jednocześnie, podobnie jak dla Winrycha, Lucyfer jest bogiem słońca, kwiatów i radości, który od czasów starożytnej Grecji czy Egiptu był źródłem inspiracji oraz natchnienia. „Zły”, nienawistny światu Jahwe nie mógł jednak ścierpieć takiego wesela:

Przyszedł do uwieńczonej różami i rozszalałej w bachicznym korowodzie, przyszedł do córki Afrodyty i kochanki Dionizosa, przyszedł i narzucił jej czarną zasłonę, i posadził na worku z popiołem i kazał zaprzec się wesela i światła i rozkoszy... (...) Nie w cienistych gajach (...), ale w zatęchłych wilgocią podziemiach katakumb krzewić się odtąd miała myśl ludzka¹¹⁸.

Nie po raz pierwszy prezentuje Gnatowski podobną filozofię przeciwników chrześcijaństwa, początkowo dopuszczając ją do głosu, by później obalić, udowadniając fałsz i zagubienie jej wyznawców. W koncepcji prezentowanej przez Proroka rolę Lucyfera odślania jego imię: jest Niosącym Światło wyzwolicielem ludzkości, a sam Juda Gesnareh to jeden z upadłych aniołów, którzy przybrał postać człowieka, by głosić nową religię.

Wykład filozofii Gesnareha robi zgoła odmienne wrażenie na rodzeństwie. Edyta staje się od tego momentu jego żarliwą wyznawczynią i oddaną powierniczką, Henryk natomiast czuje

¹¹⁷ K. Jakubiak, *Religia Iranu*, [w:] *Religie starożytnego Bliskiego Wschodu*, pod red. K. Pilarczyka i J. Drabiny, Kraków 2008, s. 319-320.

¹¹⁸ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 72-73.

rozczarowanie: „Rabbi okazuje się najzwyczajniejszym manichejczykiem z przymieszką tak modnego w końcu XIX wieku lucyferianizmu (...)”¹¹⁹.

Manicheizm stanowił syntezę wspomnianego przez nas wcześniej zaratusztrianizmu oraz chrześcijaństwa, a jednocześnie kontynuację wschodniego gnostycyzmu:

Religijna nauka Maniego opierała się na dualistycznym światopoglądzie. W odróżnieniu od gnostycyzmu klasycznego, w którym obserwujemy dualizm ewolucyjny, ewentualnie dualizm degradacyjny (...), manicheizm głosił dualizm fundamentalny, a więc pochodzenie całego zjawiskowego świata od dwu zasad, dobrej i złej. Dzieje świata i ludzkości manicheizm wyjaśniał walką dwu czynników, dokładniej, zła z dobrem¹²⁰.

Słusznie więc kojarzy Henryk nauki Rabbiego z tym systemem religijno-etycznym, bowiem mówi o nieustannej walce dwu sprzecznych sił. W odróżnieniu od dalekowschodnich *jin* i *jang* przeciwieństwa te nie uzupełniają się, ale raczej ścierają ze sobą.

Zahipnotyzowana Edyta spędza teraz czas u boku Proroka, który zafascynowany szlachetnym pięknem kobiety nie tylko postanawia ją uleczyć, ale uczynić z niej „królową świata” i „boginię”. Bohaterka – będąc z natury skromną – odmawia wszelkich publicznych zaszczytów, z ukrycia pomagając Prorokowi po objęciu rządów w Europie. Co ciekawe, relacja ich jest całkowicie aseksualna, jak bowiem tłumaczy Juda, obce jest mu uczucie pożądania. Jednocześnie wystawia Edytę na ciągłe pokusy, którym ona konsekwentnie odmawia:

– Chcesz? Wprowadzę cię na majestat, postawię obok siebie na tym złotym ołtarzu i podam na cześć milionów? – pytał ją Rabbi. – Chcesz? Owioną cię dymy kadzielne, chorały śpiewać będą pieśni pochwalne dla ciebie! Ja, bóg, uczynię z ciebie boginię!¹²¹

Jednocześnie z wątkiem mistycznej miłości Judy i Edyty, rozwija się inny wątek: chrześcijańskiego „ruchu oporu”. Zaślepiona bohaterka nie wie bowiem, że w ciągu ostatnich miesięcy zgładzonych zostało setki wyznawców Chrystusa, którzy: „niby w starożytnym Rzymie – zapewniali więzienia, są prześladowani, torturowani i skazywani na okrutną śmierć”¹²².

¹¹⁹ *Ibidem*, s. 74.

¹²⁰ W. Myszor, *Gnostycyzm, manicheizm i mandaizm*, [w:] *Religie starożytnego Bliskiego Wschodu*, pod red. K. Pilarczyka i J. Drabiny, Kraków 2008, s. 549-553.

¹²¹ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 148.

¹²² H. Dubowik, *op. cit.*, s. 185.

Początkowo niechętny religii krzyża, teraz cały świat masowo przygotowuje się do sakramentu chrztu świętego, tylko w tej wierze widząc ratunek przez tyranią Gesnareha. Teraz wszyscy rozumieją, że natychmiast po objęciu władzy ukazał, jaki jest naprawdę. W niepamięć odeszły cudowne uzdrowienia, zastąpione ciągłymi żądaniem kultu i czci Proroka, każącego tytułować się: „Przenajświętszy”.

W piwnicach i podziemiach zbierają się – jak niegdyś – chrześcijanie. „Raz jeszcze z prześladowań wyrasta wielkość religii”¹²³, która teraz powraca po latach zapomnienia, ciągnąc za sobą setki wyznawców. Chrześcijaninem zostaje także Henryk, brat Edyty, nawracając się dzięki namowom ojca Wincentego, dawnego przyjaciela rodzeństwa Straffordów.

Sama Edyta przechodzi swoistą transformację pod wpływem wizyty w celach więziennych, gdzie trzymani są wyznawcy Chrystusa. Zszokowana kobieta przekonuje się wtedy, że Gesnareh traktuje ich z niezwykłym okrucieństwem. Etos wrażliwego i współczującego przywódcy, który tłumom obiecywał wyzwolenie, ostatecznie upada, a bohaterka nareszcie dostrzega „prawdziwą twarz” Rabbiego. Rozumie jednocześnie, że zastosowano wobec niej typową dla guru sekty technikę tak zwaną „reedukcji”. W ostatecznym zwycięstwie nad trudnym do odparcia urokiem swego diabelskiego Mistrza pomaga jej rodzaj inkantacji czy zaklęcia, które w magiczny, nie dający się racjonalnie wytłumaczyć sposób chroni ją przed Gesnarehem:

Wróciwszy do Burgu zażądała od starej Steinbachowej krzyża i nad wyobrażeniem Ukrzyżowanego wymówiła wyrazy, wiążące jej pamięć.

I wsparł ją Chrystus. Czar uwodziciela chwycił ją, gdy znalazła się przy nim: gdy odchodził, wracała jej swoboda myśli i czynu, poznawała, że jest igraszką złudzenia. Postanowiła uciec¹²⁴.

Na wątki psychologiczne w *Antychryście* wskazuje między innymi w częste operowanie mową pozornie zależną. Od momentu ucieczki Edyty do Rzymu akcja ulega chwilowemu spowolnieniu, a początkowo liczne fabularne zwroty zostają zastąpione długimi monologami bohaterów i głębokim wglądem w ich przemyślenia, motywacje, rysy charakterologiczne, etc. Narracja skupia się przede wszystkim na trójce pierwszoplanowych postaci: Edycie, jej bracie i wreszcie samym Antychryście, którym – jak się okazuje – targają typowo ludzkie emocje czy namiętności. Rozdarty między pragnieniem władzy a chęcią odszukania ukochanej, po raz pierwszy poznaje, czym jest odrzucenie. Jednocześnie Gnatowski stara się tak konstruować

¹²³ J. Kleiner, *Powieść o końcu świata...*, s. 5.

¹²⁴ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 179.

(przytaczane w mowie pozornie zależnej) myśli i emocje bohatera, by swoim cierpieniem nie budził w czytelnikach współczucia, a ich sympatie mogły pozostać po stronie chrześcijan.

Jedną z ciekawszych postaci drugoplanowych jest Kalina Roztocka, rozpieszczona kokietka i *femme fatale*, zakochana do szaleństwa w Henryku Straffordzie. Bohater początkowo czuje wstręt do Roztockiej, widzi w niej bowiem pustą, okrutną lalkę, nieczułą na ludzkie tragedie, chowaną pod szklanym kloszem zbytku i komfortu. Instynktownie czując powód jego niechęci, Kalina postanawia odegrać rolę nawróconej chrześcijanki. Kiedy jednak i wtedy Henryk nie chce zgodzić się na małżeństwo z powodu uroczystej przysięgi, jaką złożył Chrystusowi, kobieta ujawnia swoją małostkowość:

– Zostaw mnie pan! – krzyknęła w rozdrażnieniu. – Igrasz z sercem mojem jak kot z myszą! Nie znam się na waszych sekretach chrześcijańskich, ale to rozumiem, że ofiarą w tym wszystkim ja jedna jestem! Za temi wszystkimi ciemnymi gadaniami kryje się jedno: odrzucenie mnie, wzgarda dla uczucia, które niosłam ci z takim zaparciem się wszystkiego i gotowością na wszystko! A tego żadna kobieta nie darowuje, a już najmniej ja! (...) Złamałeś mi serce, zdeptałeś moją cześć: na mnie teraz kolej!¹²⁵

Ostatnie słowa Kaliny są groźbą, którą spełnia z wyrachowaniem godnym zranionej do głębi, rozpieszczonej dziewczyny. By zemścić się na Henryku, postanawia za wszelką cenę dostać się do zaufanego kręgu Judy Gesnareha: a wreszcie, po miesiącach starań i intryg, zostaje kochanką Proroka i „pierwszą damą” jego dworu. Gesnareh godzi się na ten związek jedynie dlatego, że próbuje wypełnić pustkę po Edycie. Szybko jednak dochodzi do wniosku, że żadna hołdów i sławy Kalina jest całkowitym przeciwieństwem jego ukochanej. Pod wpływem kaprysów nowej „pierwszej damy” charakter kultu Rabbiego zmienia się diametralnie:

Nagle, jakby za uderzeniem różdżki czarodziejskiej, surowy dwór przeistoczył się zupełnie. Naśladownictwo papieskiego Kwirynału zamieniło się w Wersal z najwspanialszych czasów Króla-Słońca (...); kult przybrał nowe całkiem formy. Przestał być liturgią, stał się dworskim ceremoniałem. Przepych zastąpił miejsce mistycyzmu. Gesnareh był dotąd prorokiem, arcykapłanem, bogiem: teraz stawał się znów człowiekiem pierwszym z ludzi. (...) Ona zaś rozdawała hojnie uśmiechy i spojrzenia, przywykła już do królowania, żadna wciąż większej chwały. (...) Istotnie Kalina nienawidziła Gesnareha. Oddała mu się dla upokorzenia Strafforda i dla pomsty nad nim. Nienawidziła człowieka, który zdobył jej serce, ale nienawidziła i tego, który posiadał jej ciało. I w nienawiści tej tkwiła tajemnica nieograniczonej prawie potęgi, którą

¹²⁵ *Ibidem*, s. 232.

opanowała Proroka. Namiętność, poskramiana dotąd żelazną obręczą woli, ogarnęła go teraz wszechwładnie. Zapomniał o posłannictwie swoim (...) i czołgał się u jej stóp¹²⁶.

Kalinie Roztockiej niewątpliwie przyznać należy palmę pierwszeństwa wśród porywających kreacji kobiecych Gnatowskiego – zmusić samego Antychrysta, wysłannika Lucyfera, by „czołgał się u jej stóp” – to wyczyn godny najwyższego podziwu.

Ale nawet bycie „kochanicą szatana” nie pozwala dziewczynie zapomnieć o Henryku. Dzięki swoim wpływom doprowadza do publicznego wyjawienia faktu, że Strafford sprzyja chrześcijanom – co jest równoznaczne ze skazaniem go na śmierć. W przededniu egzekucji odwiedza go jednak i błaga:

– Słuchaj mnie! – szeptała, składając dłonie jak do modlitwy. – Ty może nie wierzysz, że jutro potrafię wszystko odmienić? Nie znasz mej potęgi! Ja wszystko mogę! i wszystkim gotowa uczynić dla ciebie! Szczuje przeciw tobie Kwaśniewski? Wdziera się na twą godność Finkelbaum? Jak Kwaśniewskiego i Finkelbauma wydam jutro na śmierć! Ojciec mój był przeciw tobie? Poślę na śmierć i ojca!¹²⁷

Gotowa na wszystko w imię miłości Kalina okazuje bezwzględność godną kochanki Antychrysta. Gnatowskiemu, poprzez ekspresję przebijającą z jej wypowiedzi, udaje się dobrze oddać rozpacz i skrajne emocje targające bohaterką. Po raz kolejny w tej powieści wpisuje się więc autor w wykładnię literatury dwudziestolecia, która po Młodej Polsce nieprzerwanie kontynuuje odkrywanie psychiki kobiety, szczególnie kobiety upadłej¹²⁸.

Tymczasem druga, kontrastowa kreacja kobieca – Edyta – przechodzi gruntowną przemianę w Rzymie. Jak dowiadujemy się z pogłosek i doniesień, stała się Jonanną d'Arc nowych czasów, zagrzewając chrześcijan do walki z wyznawcami fałszywego Proroka. To zarazem ciekawa technika narracyjna, niestosowana dotychczas przez Gnatowskiego: centrum wydarzeń przenosi się z rodzeństwa Straffordów na dwór Gesnareha. Edycie, mimo że wciąż pozostaje główną bohaterką, odbiera się prawo do głosu i bezpośredniej relacji wypadków jakie się jej przytrafiły, ponieważ oko konstruktora powieściowego świata (a za nim i czytelnika) zwraca się w stronę Kaliny i Rabbiego, kładąc teraz nacisk na ich perspektywę i ich interpretację wydarzeń. Wraz z nimi wiemy jedynie, że „panienka piękna nad wyraz,

¹²⁶ *Ibidem*, s. 236-240.

¹²⁷ *Ibidem*, s. 247.

¹²⁸ Zob.: J. Kwiatkowski, *Proza nowatorska*, [w:] *idem*, *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2001, s. 271.

choć latami zbliżona do południa”¹²⁹ swymi przemowami rozpala do czerwoności armię, którą Watykan zbiera przeciw Gesnarehowi – możemy więc jedynie domyślać się, że chodzi o Edytę Strafford.

Dopiero kolejny rozdział, przenosząc perspektywę z powrotem na samą bohaterkę, daje wyjaśnienie tych przedziwnych plotek i donosów. Przebywając w Rzymie doznaje – wzorem licznych świętych i męczennic – wizji, w której głosy z niebios każą jej „pójść, kędy jaśniej się godło jej Oblubieńca, błogosławiące orężnemu tłumowi”¹³⁰.

Ekstatyczne widzenia bohaterki wprowadzają szeroki kontekst kobiecego mistycyzmu:

Edyta wyciągała ramiona do Ukrzyżowanego, dziękując Mu za największy cud, jakim było przyprowadzenie jej do tej siedziby jasności i szczęścia nie z tego już świata.

– Oblubieńcze mój! Chryste! Otom Twoja! Bierz mnie!

Słowa wypływały z ust jej jękiem i lawą ognistą. Rozpromieniła ją ekstaza. Zdało się jej, że widzi przed sobą rozwarłe niebiosy¹³¹.

Zgodnie ze słowami Jeana Vuarneta, ekstazę „chrześcijanki przeżywają nie tyle w jej źródłowym wymiarze intelektualnej kontemplacji, ile jako proces przewyższający wszelkie pojmowanie – w kobiecym wymiarze jednoczącej miłości”¹³². Mistyczne stany kobiece są więc doświadczalnym przeżyciem łączności z Bogiem¹³³, często o wymiarze seksualnym:

W swych czarnych i białych habitach, z krzyżem na piersiach, z poruszonym sercem i wstrząśniętym głosem, śpiewały nową pieśń – gdzieś pomiędzy Dionizosem i Ukrzyżowanym, bez mała chrześcijańskie bachantki, dionizyjki...¹³⁴

Chrystus, niczym słynny kochanek z *Pieśni nad Pieśniami*, staje się Oblubieńcem mistyczek chrześcijańskich – i tak też zwraca się do Niego Edyta. Ów Oblubieniec odpowiada na jej wezwanie, przemawiając do niej, wyznaczając konkretne zadanie, które musi wykonać. Warto pamiętać, że patronka, do jakiej porównują Edytę – Joanna d'Arc – wedle legendy również słyszała podobne głosy, nawołujące do wojny za wiarę, a i sam rdzeń imienia Edyta, wywodzący się od starogermańskiego słowa 'gunt' oznacza walkę.

¹²⁹ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 250.

¹³⁰ *Ibidem*, s. 256.

¹³¹ *Ibidem*, s. 255.

¹³² J. N. Vuarnet, *Ekstazy kobiece*, tłum. K. Matuszewski, Gdańsk 2003, s. 12.

¹³³ Zob. J. Misiurek, *Wielkie mistyczki Kościoła*, Lublin 1999, s. 13.

¹³⁴ J. N. Vuarnet, *op. cit.*, s. 12.

Kolejne rozdziały powieści przynoszą opis militarnej potęgi Gesnareha, przeciw której występują posiłki zebrane w Watykanie. Skonstruowane z epickim rozmachem, dają upust autorskiej fantazji, którą Gnatowski niejednokrotnie w swych utworach udowadniał. Powietrzna bitwa maszyn latających jest jednym z elementów, które bezsprzecznie pozwalają na postawienie *Antychrysta* w szeregu powieści rodzącego się ówczesnie gatunku *science-fiction*:

(...) cała flota włoska stanęła przeciw napastnikowi zwartą ścianą. Statek Prorok uderzył całą siłą, próbując ścianę rozszczępić, a za nim uderzyły trójkątnym klinem inne samoloty, ale tym razem nacisk złamał się. Wprawdzie kilka statków chrześcijańskich opadło, inne zapłonęły, a reszta poczęła z wolna cofać się, ale był to tylko manewr ochronny. Flota nie uciekała, lecz cofała się dla wytworzenia nowego frontu, a zarazem dla oskrzydlenia wroga¹³⁵.

Napisane z rozmachem sceny batalistyczne, napowietrzne bitwy, w których walczą ze sobą statki „będące skrzyżowaniem sterowca z samolotem”¹³⁶ i wątek broni masowego rażenia z oczywistych powodów mogły w literaturze pojawić się dopiero po I wojnie światowej.

Pierwsza bitwa pozostaje nierozstrzygniętą – w kolejnej każda ze stron zyskuje innego rodzaju przewagę. Gesnareh dysponuje potężną, śmiercionośną bronią stworzoną dla niego w wojskowych laboratoriach, zwaną „machiną Lucyfera”, chrześcijanie natomiast nie tracą nadziei dzięki pomocy zesłanej przez samego Boga – oto w cudowny sposób pojawiają się między nimi legendarni prorocy biblijni: Elias i Henoch. Każda ze stron odzyskuje więc utraconą po pierwszej bitwie wolę działania.

W kolejnych rozdziałach akcja wyraźnie przyspiesza, pełna napięć i nieoczekiwanych zwrotów fabularnych, ale też dynamicznych, widowiskowych scen: gdy Elias i Henoch zostają straceni podczas publicznej egzekucji, z nieba syją się gromy, świadczące o bożym gniewie. Lud odwraca się od Gesnareha, który rozpaczliwie próbuje odzyskać względy Edyty. Kobieta w końcu decyduje się powrócić do niego, w jednym tylko celu – nawrócenia Antychrysta na chrześcijaństwo. Rozwścieczony Gesnareh traci zmysły i – zupełnie nieoczekiwanie – strzela do ukochanej:

– Nic nie żądam, krom jednego... Ty wiesz, panie!
On rzucił się zdjęty nagłą wściekłością.

¹³⁵ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 266.

¹³⁶ H. Dubowik, *op. cit.*, s. 185-186.

– Milcz, przekłeta! Kuisz mnie niegodnie! Ja miałbym się zaprzeć ojca mego w otchłani i boskiego posłannictwa na ziemi!

– Wyznaj Chrystusa: On jedynym Bogiem.

– Nigdy! Ty zaprzyj się jego!

Nie odpowiedziała. Zasłoniła dłońmi oczy i poczęła znów się modlić. On przyskoczył do niej i wstrząsnął nią, jak gałęzmi brzozy wstrząsa wicher jesienny.

– Ostatnie słowo! Tak, czy nie?!

Przeżegnała się i podniosła nań oczy.

– Nie! – odrzekła z mocą. (...)

– Giń! – krzyknął.

I wystrzelił.

Młoda kobieta osunęła się na ziemię bez jęku. Gesnareh pochylił się nad nią i patrzył długo na stygnące ciało.

– Giń, miłości moja! – powtórzył. – Teraz tobie jednej żyć chcę, zemsto, i tobie, Lucyferze!¹³⁷

Po śmierci Edyty oś fabuły „wykrzywia się”, strzępi, drga pulsacyjnie. Dialogi ostatecznie zastąpione zostają przez narrację relacjonującą dalsze losy świata. Początkowa perspektywa „mikrokosmosu” skupiająca się na losach jednostek (rodzeństwa Straffordów) teraz stopniowo się oddala, śledząc losy ogółu, mas ludzkich. Wojna trwa dalej, a machina Lucyfera niszczy setki chrześcijańskich sterowców. Wreszcie, w niezwykle widowiskowy sposób, ginie sam Gesnareh, spadłszy z samolotu po tym, jak papież Piotr II wypowiada znaczącą formułę „*Apaga, Satana!*”¹³⁸ używaną m. in. w czasie egzorcyzmów.

Interesujący wydaje się fakt, że w powieści Gnatowskiego Antychrysta gubi miłość do kobiety.

Podobnie jak Witkacy, przedstawia on krwawego dyktatora, twórcę nowej wiary, burzącego stary porządek, ale ulegającego kobietom. (...) O ile powieść przynosi dość dokładną charakterystykę samego Antychrysta, sylwetki jego przeciwników są znacznie mniej wyraziste. Autor sięgnął przede wszystkim do wzorów Sienkiewiczowskich, uwspółcześniając obrazy męczeństwa chrześcijan z *Quo vadis* oraz stylizując częściowo Gesnareha na Mahdiego z *W pustyni i w puszczy*¹³⁹.

Obecne we wcześniejszej prozie Gnatowskiego inspiracje twórczością Sienkiewicza widoczne są więc także w *Antychryście*, tym razem zdecydowanie bardziej fabularne, niż

¹³⁷ J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 317-318.

¹³⁸ *Ibidem*, s. 328.

¹³⁹ H. Dubowik, *op. cit.*, s. 185.

formalne (męczeńska śmierć pierwszych chrześcijan, opisana przez Sienkiewicza w *Quo vadis*). Książka, powstała po I wojnie światowej, nie tylko wyrażała niepokoje prałata związane ze zmianą znanego mu porządku świata, ale też miała stanowić receptę na działalność wszelkich, szeroko rozumianych „falszywych proroków” – apologetów komunizmu, faszyzmu, rewolucji i wojen. Lekarstwem, zdaniem Gnatowskiego, miałby być powrót do pierwotnie rozumianego chrześcijaństwa.

Epilog powieści przenosi akcję o pół wieku do przodu, prezentując ostatnie chwile naszej planety. Kleiner pisze:

Poczucie prawdy ma się narzucić przez zwięzłe podawanie faktów historycznych, które umożliwia nadto niezwykle, przykuwająca szybkość tempa akcja. (...) niemniej szybko w epilogu przechodzi od obrazu zjednoczonego w chrystianizmie świata do katastrofy ostatecznej. Bliskość komety wyniszcza życie na ziemi. W ostatnim siedlisku życia, w Rzymie, sędziwy Piotr II ma mszę ostatnią wśród konających (...). Taki jest akt końcowy dramatu świata, nad którym rozbłyśka krzyż płomienny, znak sądu i zmartwychwstania¹⁴⁰.

Trudno byłoby odnieść ostatnie strony powieści do *Apokalipsy św. Jana*, chociaż podobne porównanie nasuwa się niejako samo przez się. Trudno – bowiem dopiero po zniszczeniu ziemi w wyniku „naturalnej katastrofy” w *Antychryście* „poczynają grać trąby Archaniołów”¹⁴¹. Zagłady nie poprzedzają więc Znaki (poza jednym: pojawieniem się samego Gesnareha dziesięć lat wcześniej), nie towarzyszy jej też dosłowne ziszczenie się objawienia Jana Ewangelisty. Dopiero ostatnie zdanie powieści wskazuje na odbywający się po zniszczeniu planety Sąd Ostateczny, na który wzywają Archaniołowie.

Jedna z ostatnich powieści Gnatowskiego, mimo że przebija z niej głęboki pesymizm, jest jednocześnie – cytując Kleinera – głośnym okrzykiem „*Galilae, vicisti!*”, nie tylko z uwagi na niezmiennie przekonania jej autora, ale też jako jedyne antidotum na postępującą degrengoladę obyczajową i moralną, której był przerażonym świadkiem. Warto jednocześnie zasygnalizować, że pod względem formalnym można w powieści wskazać pewne ślady niedopracowania: postaci wciąż ubierają się na modłę dziewiętnastowieczną, używają też przestarzałego języka, przez co współczesnemu czytelnikowi trudno jest nieustannie pamiętać, że akcja utworu dzieje się w przyszłości. Mimo tych niedoskonałości, *Antychryst* pozostaje jedną z najlepszych powieści prałata Gnatowskiego.

¹⁴⁰ J. Kleiner, *Powieść o końcu świata...*, s. 5-6.

¹⁴¹ Zob.: J. Łada [Gnatowski], *Antychryst...*, s. 352.

**4.4. „TO NIE TAKIE SOBIE SZALBIERSTWO, ALE COŚ, CO PRZEKRACZA SZRANKI
USTANOWIONE MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ I ŁAMIE CAŁY ŁAD!” –
SPIRYTYZM JAKO JEDNO Z ZAGROŻEŃ DUCHOWYCH
W BIAŁYCH I CZARNYCH DUCHACH**

Do serii powieści pióra Łady przestrzegających przed złym wpływem koncepcji satanistycznych i spirytystycznych włączyć należy *Białe i czarne duchy*, utwór który nakładem wydawnictwa Gebethner i Wolff ukazał się w 1920 r. w Warszawie. Po kilkukrotnych wędrówkach w przeszłość polskiego narodu oraz śmiałych fantazjach na temat przyszłości, autor wraca do – najczęściej przez siebie wybieranego – komentowania współczesności. Atmosferą *Białe i czarne duchy* najbardziej przypominają opowiadanie *Lucifer*, tym razem jednak Gnatowski decyduje się na beletrystyczne ostrzeżenie przed cieszącym się niesłabnącą popularnością spirytyzmem oraz zjawiskiem będącym niejako jego naturalną konsekwencją: wiarą w możliwość dialogu między żywymi a umarłymi; a także przed nowo powstałymi ruchami światopoglądowo-filozoficznymi, jak Towarzystwo Teozoficzne oraz Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku. Dariusz Misiuna tłumaczy:

Schyłek XIX wieku sprzyjał rozwojowi praktyk okultystycznych. Nowe odkrycia naukowe kwestionowały dotychczasowy spójny obraz świata. W szczeliny rozbitego kosmosu wdzierał się chaos i coraz wyraźniej przypominał o swojej obecności. (...)

Pierwszym jawnie istniejącym ugrupowaniem okultystycznym, które posiadało duży wpływ na klimat epoki było Towarzystwo Teozoficzne, założone w 1875 roku przez Helenę Bławatską. To właśnie dzięki nieustannemu wysiłkowi tej charyzmatycznej kobiety na grunt zachodni przeniesiono liczne elementy filozofii Wschodu, a Towarzystwo Teozoficzne skupiło się na studiach porównawczych między różnymi systemami religijnymi Indii i obszaru śródziemnomorskiego. (...) jego spotkania miały przebieg dysput filozoficznych bądź seansów spirytystycznych (...). Organizacją, która jako pierwsza zbudowała system okultystyczny, był Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku¹⁴².

Przedmiotem zainteresowania członków Zakonu były magia, astrologia, alchemia, tajemnice kart tarota oraz możliwość komunikacji z umarłymi, dzięki którym mogli jakoby zdobywać wiedzę niedostępną „zwykłym śmiertelnikom”.

Wpływ, jaki oba ugrupowania wywarły na kształt dziewiętnasto- i dwudziestowiecznego ezoteryzmu, był niezaprzeczalny. Ich członkowie wymyślili rytuały towarzyszące organizowanym po dziś dzień seansom spirytystycznym, oni także stworzyli podwaliny wciąż

¹⁴² D. Misiuna, *Odrodzenie Magii. I. Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku*, Serwis Okultura, <http://www.okultura.pl/teksty/dariusz-misiuna/odrozenie-magii-1/2/>, [dostęp online: 04.05.2015r.]

popularnych ruchów filozoficzno-religijnych, z których najbardziej znanym pozostaje Wicca Tradycyjne¹⁴³.

W czasie, gdy podobne ugrupowania cieszyły się niesłabnącym powodzeniem, pojawiło się także wielu „szarlatanów”, wykorzystujących ludzką naiwność i nadzieję na kontakt ze zmarłymi członkami rodziny. *Białe i czarne duchy* przestrzegają jednocześnie przed dwoma rodzajami zagrożeń: ziemskimi oraz metafizycznymi. W pierwszej części utworu Gnatowski wskazuje na możliwość bycia oszukanym przez rozmaitych okultystów-szalbierzy, w drugiej alarmuje przeciwko zagrożeniom duchowym, jakie wiążą się z podobnymi praktykami.

Sama fabuła utworu nie odznacza się taką wielopłaszczyznowością, jak chociażby niezwykle udana powieść *Oman* – autor powraca w niej raczej do jednowątkowych, krótkich „zbeletryzowanych kazań”, które poprzez przywołanie konkretnego problemu i opisanie jednej sytuacji z życia kliszowych bohaterów niosą ze sobą teologiczne prawdy.

Niejaki Żarnowicz¹⁴⁴, zapalony spirytysta i hipnotyzer, gromadzi na swych seansach grupkę ludzi, dla których świat nadprzyrodzony jest (...) upragnioną ucieczką od rozpaczliwej rzeczywistości życia. Mamy tam marszałkową Stężyńską, która straciła syna jedynaka w zawierusze rosyjskiej, mamy zboląłego od nieszczęść starca Oświeykę, mamy wszystkich wydziedziczonych i zmarnowanych czasu wojny światowej. Przeważają kobiety. Jedynym zdrowym typem w tym psychopatycznym środowisku jest Oświeyko-junior, dzielny porucznik marynarki, rozkochany po młodemu, na śmierć i życie, w pannie Jadwidze, siostrzenicy marszałkowej Stężyńskiej.

Niestety, tę właśnie wybrał sobie szatan – nie bez pewnego pośrednictwa również rozkochanego w dziewczęciu Żarnowicza – za przedmiot swych eksperymentów. Na pierwszym zaraz seansie, za sprawą głośniego teozofa a dawnego katolickiego księdza-apostaty, zjawia się on, szatan, Mocny, przyjąwszy na się wdzięczną postać zgasłego Henryka Stężyńskiego, by uzależnić od siebie ciotkę i siostrzenicę. Żąda on Jadwigi dla siebie na wieczność, na życie zaś doczesne oddaje Żarnowiczowi. Próżne są już odtąd wysiłki młodego Jurka Oświeyki. Stara marszałkowa, dla której Jadwiga staje się teraz żywym zakładem widywania zmarłego syna, wszystkimi sposobami oddala ją od marynarza, oddając władzy Żarnowicza i jego Mocnego. (...) Aby ratować dziewczynę, [Jurek] uwozi ją (...) na głuchą polską wieś (...). [Ona] Odrzuca teraz od siebie wszystkie świętości, krzyżyki i szkaplerze, ucieka od kościoła i modłów, nienawidzi księdza Marcelego i młodego Jurka, wygląda już Mocnego z żarem i pragnieniem. (...) Końca niedługo już czekać. (...) ksiądz Marcele bierze się do czynu. Z całym aparatem kościelnym egzorcyzmuje chorą – *apage, satanas!* I o dziwo! Wraz ze strasliwym krzykiem dziewczyny jakiś zimny prąd przechodzi wśród obecnych (...). Pogodzona z Bogiem Jadwiga umiera¹⁴⁵.

¹⁴³ Zob. O. Majda, *Wstęp*, [w:] C. G. Leland, *Aradia, ewangelia czarownic*, Warszawa 2011, s. 7-14.

¹⁴⁴ Autor artykułu przytacza błędnie nazwisko postaci, które w poprawnej formie brzmi: Żarniewicz.

¹⁴⁵ [b.a.], *Białe i czarne duchy*, „Tygodnik Ilustrowany” 1920, nr 33, s. 17.

Tak – pokrótce – przedstawia się fabuła utworu. Można w niej dostrzec mnogie nawiązania do wspomnianego już przez nas uprzednio *Wampira* Reymonta (co zresztą podkreślają także recenzenci utworu), ale też, cytując Dubowika: „Powieść ta przypomina romantyczne utwory o magnetyzerach, dysponujących niezwykle siłą woli”¹⁴⁶.

Umyślny schematyzm postaci podkreśla fakt, że nie wiemy nic na temat wyglądu ani jednej z nich. Jadwiga nie odznacza się żadną wyróżniającą cechą charakteru, mając jedynie reprezentować typ dziewczyny słabej, podatnej na liczne duchowe zagrożenia, łamiącej się niczym trzcina na wietrze pod wpływem silniejszej woli hipnotyzera. W seanse spirytystyczne zostaje wciągnięta przez ciotkę, która po stracie jedyne go syna – Henryka – chwyta się wszelkich możliwych sposobów na złagodzenie swojego bólu. W tym przypadku jednak – jak zdaje się twierdzić Gnatowski – jeśli nie pomaga modlitwa, lepiej byłoby sięgnąć po opium, niż zapraszać do swojego domu teozofów i spirytystów. To, co początkowo męscy bohaterowie powieści mają za nieszkodliwą rozrywkę, niedługo później okazuje się prawdziwym igraniem z ogniem.

Edward Jakiel wskazuje na ważny w tym przypadku kontekst historyczny:

(...) rzeczywistość przedstawiona w *Białych i czarnych duchach* przywołuje ciężkie doświadczenia Polaków tego czasu, obraca się bowiem w środowisku rodaków z kresów, których z ich ojczyzny wygoniła rewolucja bolszewicka. Wszyscy doświadczyli czerwonego terroru, ich losy Gnatowski nie analizuje jednak z punktu widzenia przeciętnego odbiorcy, ale obserwatora duchowego. Autor (...) skupia się (...) na problemie niespełnienia ich duchowych potrzeb, które może prowadzić do opętania¹⁴⁷.

Złamana doświadczeniami wojny marszałkowa Stężyńska w seansach spirytystycznych widzi jedyną możliwość ukojenia bólu, wierząc że prędzej czy później – dzięki umiejętnościom tak zwanego medium – ujrzy zmarłego Henryka, któremu bolszewicy: „Zdarli (...) skórę z pleców, wydłubali oczy, wszystko żywcem... I żywcem wrzucili do ziemi...”¹⁴⁸.

Żarniewicz przyprowadza na seanse medium (eks-księdza), rozpoczynając serię przerażających wypadków, które w konsekwencji doprowadzą do śmierci Jadwigi. Jak zauważa Jakiel:

¹⁴⁶ H. Dubowik, *Fantastyka w literaturze polskiej...*, s. 186.

¹⁴⁷ E. Jakiel, *Księdza Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 374.

¹⁴⁸ J. Łada [Gnatowski], *Białe i czarne duchy*, Warszawa [1920], s. 1.

Żarniewicz, jako negatywna postać, nie zdobywa sympatii czytelnika. Jego żerowanie na ludzkim nieszczęściu znajduje jednak mniej lub bardziej przekonujące uzasadnienie. Ks. Gnatowski wykreował postać, której nie chodziło tylko o łatwe pieniądze. Żarniewicz dostarczał bowiem swoim ofiarom to, czego oczekiwali: dawał namiastkę wieczności, której potrzebowali, a do której on umiał dotrzeć¹⁴⁹.

Żarniewicz rzeczywiście jest kimś więcej niż tylko szarlatanem czyhającym na łatwowierne wdowy czy matki, które utraciły synów, mimo że w ten sposób zdaje się postrzegać go młody Jerzy Oświecko:

– Parę lat temu spotkałem się z nim w Kijowie. Żył tam w podobnych warunkach, jak tutaj, otoczony ludźmi, którym wojna zabrała najbliższych, wyrzucając ich samych z siodła i rozstrajając do niemożliwości nerwy. Jedni z nich byli mu oddani duszą i ciałem, inni tworzyli galerię, szukającą silnych wrażeń i zabicia czasu¹⁵⁰.

Filozofia Żarniewicza (czyżby, jak sugeruje powyżej Jakiel, jego nazwisko wiązało się z faktem, iż „żeruje” na niewinnych ludziach?) nie odbiega od prezentowanych w *Omanie* i *Antychryście* koncepcji przeciwnych chrześcijaństwu. Wydaje się rzeczywiście wierzyć w możliwość kontaktu z duchami, widząc w nim jedną z gałęzi jakiejś starożytnej, zapomnianej wiedzy¹⁵¹:

Ta wiedza prastara, przeciwstawiająca się zwycięskiemu rozwojowi chrystianizmu, w pierwszych wiekach jego istnienia, ta gnoza starożytnych filozofów i kabalistów przechowuje się dziś w okrucinach wśród maluczkich, ale całość jej istnieje, a choć dziś niewielu tylko znana, oświeci blaskiem swym niedługo ludzkość całą (...) Materializm przeczy istnieniu zaświata, chrystianizm fałszuje zasadnicze o nim pojęcie. I to drugie zło, gorsze jest od pierwszego. (...) chrześcijanin bluźni światłu i prawdzie, pacząc w potworny sposób najpromienniejsze z mediumicznych zjawisk, znieprawiając nieśmiertelną piękność świata duchów, obrzydłemi teoriami o wiekuistym odrzuceniu i męce¹⁵².

Żarniewicz i eks-ksiądz będący medium, dzięki któremu wśród zebranych pojawia się szatan (czy może jeden z tytułowych „czarnych duchów”), pełnią wobec Złego służalczą rolę,

¹⁴⁹ E. Jakiel, *Księża Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 374.

¹⁵⁰ J. Łada [Gnatowski], *Białe i czarne duchy...*, s. 38.

¹⁵¹ Ideę „zapomnianej”, a niegdyś dostępnej człowiekowi wiedzy, która jakoby miała towarzyszyć starożytnym i ulec zapomnieniu pod wpływem chrystianizmu, powielają wszystkie negatywne postaci w utworach Gnatowskiego.

¹⁵² J. Łada [Gnatowski], *Białe i czarne duchy...*, s. 7-8.

podobnie jak Winrych czy Gesnareh w poprzednich powieściach. Samemu nie będąc diabłem, przemawiają w imieniu diabła, mącąc umysły słuchaczy. Jednak Dubowik wskazuje na istotną różnicę pomiędzy spirytystami a poprzednimi kreacjami: „Szatan występuje w tej książce nie w baśni lub odległej przyszłości, lecz w życiu codziennym”¹⁵³.

Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, iż Mocny – duch przywołany podczas seansu, który podszywa się pod zmarłego Henryka – nie zostaje w powieści ani razu nazwany szatanem. Żarniewicz mówi o nim: „Król duchów”¹⁵⁴, Szczodrowski nazywa go „widmem” bądź „potężną, konsekwentną istotą”¹⁵⁵, a Oświecko po prostu „złym duchem”¹⁵⁶. Mimo tej zróżnicowanej nomenklatury wszystko wskazuje na to, że nawet jeśli istota, która opętała Jadwigę nie jest samym szatanem, Księciem Ciemności i głównym Bożym antagonistą wedle nauk Kościoła, to zapewne jest istotą złą, nikczemną i gotową pchnąć duszę dziewczyny ku otchłani.

Przy okazji niejasnego statusu ontologicznego owego bytu, który opętuje bohaterkę, Gnatowski prezentuje w utworze swoją wykładnię zła – zła niejako „nowoczesnego”, odmiennego od zabobonnych wierzeń w koźlonogie diabły, jakie w XX wieku mogły budzić jedynie pobłażliwy uśmiech:

Co powiedzieć jednak o filozofie, który Boga od pewnego czasu zaczyna tolerować z wielkiej łaski, a diabła uważa za przeżytek mitologii, aż oto naraz zamiast fauna, okrytego pleśnią, wysuwa mu się i do oczu rzuca siła złowroga, żywa, działająca potężnie, przekreślająca swem istnieniem wszystkie formułki i dogmaty jego wiedzy... Coś, co się czał, niewidzialne a straszliwe, jak w Boeklinowskich krajobrazach...¹⁵⁷

Istnienie takiego zła, nieuchwytnego i budzącego niepokój, trudniej jest zakwestionować od wiary w humanoidalne diabły, już setki lat temu ośmieszone przez folklor. Gnatowski ostrzega więc czytelników, by nie wpadli w pułapkę nadmiernej racjonalizacji, bowiem nie wszystko – jego zdaniem – można naukowo wytłumaczyć.

Techniką, której używa Żarniewicz w służbie Mocnego, jest hipnoza – znana już czytelnikom powieści Gnatowskiego choćby z *Antychrysta*. Dysponując niezwykłym darem przekonywania, z łatwością manipuluje słabą i delikatną Jadwigą:

¹⁵³ H. Dubowik, *op. cit.*, s. 186.

¹⁵⁴ J. Łada [Gnatowski], *Białe i czarne duchy...*, s. 22.

¹⁵⁵ *Ibidem*, s. 41.

¹⁵⁶ *Ibidem*, s. 82.

¹⁵⁷ *Ibidem*, s. 123.

To, co słyszała, działało na nią jak haszysz. Ogarniało ją jakieś rozkoszne półomdlenie i w bezwładzie tym unosiła ją nie wiadomo dokąd fala jakaś ze srebrzystych dźwięków i z łagodnych a promiennych blasków złożona. Był to jakby sen, ale sen dziwnie uroczy. Nie chciała budzić się z niego do rzeczywistości. Czuła to, że sen prysnąłby, gdyby ujrzała, kto mówi i dlatego nie podnosiła powiek. (...) A on mówił, jak mistrz do adeptki. Unosił przed jej duszą rąbek zasłony, zakrywającej oblicze tajemniczej bogini gnozy, otwierał szczelinę za szczelinę w inicjacjach (...) ¹⁵⁸.

Wpływ tych trujących wywodów zaczyna szybko oddziaływać na dziewczynę, okazuje się on jednak niczym wobec wpływu, jaki wywiera na niej sam Mocny, początkowo budząc w bohaterce lęk i wstręt, następnie namiętność oraz tęsknotę. W tym kontekście niepodobna zignorować relacji między demonem a jego wybranką w innej powieści – *Draculi* Brama Stokera. Pełna obaw Mina Murray po miesiącach obcowania z wampirem poddaje się stopniowo jego hipnotycznemu czarowi, zmieniając za jego namową cały swój sposób bycia, rozpaczliwie przywołując swego piekielnego kochanka po tym, gdy rozdzielić chcą ich ludzie.

Także w *Białych i czarnych duchach* przyjaciele i opiekunowie Jadwigi próbują rozdzielić ją z oblubieńcem-Upiorem. Gdy Mocny obiera sobie bohaterkę na swą narzeczoną i naznacza jakimś tajemniczym piętnem, ta nie jest już w stanie o nim zapomnieć. Duch przemawia ustami medium:

– Oddaj mi się.. dam ci za to przez wszystkie dni żywota na ziemi całą potęgę moją, by ci się stała puklerzem przeciw wszelkiemu nieszczęściu i smutkowi. (...) A gdy przyjdzie kres doczesności, wzniosę cię wysoko ponad tłum duchów, dam ci nieprzemijającą moc i radość, snem szczęścia będzie ci wieczność ¹⁵⁹.

Ujęta potężnym czarem widma, dziewczyna od tego momentu zaczyna nieświadomie poszukiwać sposobu na ich połączenie. Nawet wywieziona z Warszawy, ukryta „w zapadłym kącie nad Bugiem” ¹⁶⁰ przed całym światem, jedynie chwilowo uspokaja skolatanę nerwy. Opiekę roztaczają nad nią młody Oświeyko oraz dwaj bracia, z których jeden jest doktorem nauk przyrodniczych, drugi księdzem.

Jak pisze Jakiel:

¹⁵⁸ *Ibidem*, s. 52.

¹⁵⁹ *Ibidem*, s. 81.

¹⁶⁰ *Ibidem*, s. 84.

Autor starał się uwiarygodnić sytuację bohaterki, usiłując (co przyniosło jednak niejednoznaczny skutek) nadać temu stanowi uzasadnienie psychologiczne. W efekcie jednak otrzymujemy opis stanu pomiędzy obłądem a opętaniem – rzeczywistość niejednoznaczna¹⁶¹.

Każdy z braci tłumaczy na swój sposób to, co dzieje się z Jadwigą – jej nocne wędrówki po ogrodzie, rozstrój nerwowy, ataki lęku bądź agresji, strach przed burzą, etc. Bracia mają bowiem reprezentować dwie skrajne postawy: racjonalisty i kapłana-egzorcysty. Dla doktora Ksawerego Sójki Jadwiga jest przykładem kobiety dotkniętej histerią¹⁶², ksiądz Marcelli natomiast żywi głębokie przekonanie, że dziewczyna od czasu niefortunnego seansu nosi w sobie jakiegoś demona czy ducha, jakiś załączek zła, który diametralnie zmienia jej charakter i postępowanie. Oboje natomiast są zgodni co do tego, że spirytyści uczynili Jadwidze straszliwą krzywdę:

Nie igra się bezkarnie przez kilka miesięcy z ogniem, nie napręża się do szaleństwa nerwów eksperymentami, które mogą zawrócić głowę i zrujnować zdrowie nawet wytrawnemu lekarzowi, cóż dopiero dwudziestoletniej dziewczynie! (...) To, czego dopuszczono się na tej nieszczęśliwej (...) to jest po prostu zbrodnia gorsza stokroć od zwykłego morderstwa. (...) pomyśleć, że arszeniku i strychniny nie wolno dawać bez recepty pod ciężką karą, że policja ściga używanie opium czy kokainy, a spirytystyczne seanse odbywają się bezkarnie i publicznie¹⁶³.

Poprzez przykład Jadwigi autor stara się więc zaprowadzić głęboką krytykę spirytyzmu, podając nie tylko argumenty teologiczne, ale odwołując się także do zdobywających coraz większe uznanie psychologii i psychiatrii. Stara się odsłonić prawdę, iż to, co wielu uważa za nieszkodliwą rozrywkę, może w konsekwencji prowadzić do obłądu, a nawet opętania (pod warunkiem, że nie są jednym i tym samym).

Choć obaj bracia starają się ze swej strony robić wszystko, by pomóc bohaterce, stan Jadwigi ulega stopniowemu pogorszeniu. Co ciekawe, prezentowane przez Gnatowskiego w utworze efektowne oznaki opętania niewiele różnią się od tych, które literatura i film grozy wykorzystują po dziś dzień. W chwilach ataku obłąkana zyskuje nadludzką siłę, zmienia jej się głos i rysy twarzy, pluje i rzuca przekleństwami:

¹⁶¹ E. Jakiel, *Ksiądz Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 375.

¹⁶² „(...) doktor starał się wyleczyć ją z naleciałości spirytyzmu, dowodząc, że duchów w ogóle nie ma, a widziane przez nią zjawy są wytworem sugestionowanej wyobraźni (...)”. [J. Łada [Gnatowski], *Białe i czarne duchy...*, s. 90].

¹⁶³ *Ibidem*, s. 111-113.

Młoda dziewczyna podniosła teraz głowę. Ostry jej wzrok uderzył starą kobietę w twarz, przeszywając ją niby sztyltem.

– A ja krzyżyk, który miałam od matki i medalik od pana Ignacego rzuciłam w klomb za kuchnią – odezwała się wyzywająco¹⁶⁴.

A w innym miejscu:

Twarz jej blada zazwyczaj, nabiegła krwią; włosy od nagłego ruchu rozwiązały się i opadały w długich, ciemnych pasmach (...) na podobieństwo Gorgony. (...) stała w środku pokoju wyzywająca, groźna, straszna. Złowrogie jej oczy utkwione były w księdza (...), przechylała się ku niemu i wyciągała przed siebie dłonie zaokrąglone, jak szpony. (...) I z ust poczynaly jej wydierać się dźwięki chrapliwe, do własnego jej głosu niepodobne wcale.

– Nie mogę! – syczała. – Nie dają! Ach, gdybym mogła... popie przekłety! te oto ręce zdusiłyby ostatni dech starej piersi!¹⁶⁵

Taki opis opętania, pozostający w zgodzie z literacką tradycją sięgającą epoki romantyzmu, raczej nie wskazuje na fakt, by Gnatowski – jako ksiądz – był kiedykolwiek świadkiem egzorcyzmów. Kulminacyjna scena, w której kapłan Marcelli krzyczy nad rozhisteryzowaną Jadwigą „*Apaga, satana!*” nie odznacza się szczególną pomysłowością czy oryginalnością, będąc raczej kliszowym przedstawieniem modlitw i gestów towarzyszących wypędzaniu złych duchów z ciała:

Ksiądz (...) rzucił na głowę chorej kilka kropel święconej wody i począł odmawiać litanie. Chorą chwycił atak furii, silniejszy od poprzedniego. Wypreżała się tak, że część więzów rozluźniła się i trzeba było przymocować je na nowo.

A tymczasem ksiądz począł odprawiać Psalm. (...) Podczas gdy kapłan słowa te wymawiał, chora pieniała się, bełkocąc niewyraźnie, próbując wyzwolić się z więzów. (...)

– *Apaga, satana!* – szepnął.

A wtedy z ust młodej dziewczyny wydarł się okrzyk tak straszny i tak wstrząsający, że go wszyscy uczestnicy długo potem mieli słyszeć w ciszy bezsennej nocy. Potem ręce jej obwisły bezwładnie, powieki zasunęły się, krew odbiegła z lica i wolnym znużonym ruchem ciało opadło na poduszki z głębokim westchnieniem ulgi¹⁶⁶.

¹⁶⁴ *Ibidem*, s. 127-128.

¹⁶⁵ *Ibidem*, s. 163-164.

¹⁶⁶ *Ibidem*, s. 175-177.

Ostatnie sceny powieści, poprzedzające egzorcyzm nad ciałem Jadwigi, Jakiel określa jako: „niewiarygodne, a miejscami budzące niesmak”¹⁶⁷. Rzeczywiście, Gnatowski kreśli niezwykle sugestywne obrazy, każąc młodej dziewczynie zachowywać się w sposób przekraczający granice moralno-obyczajowe.

Warto zauważyć, że po raz trzeci autor kreuje postać kapłana, dzięki któremu bohaterowie zyskują siłę do walki ze złem. W przypadku *Omanu* był to ojciec Deodata, odprawiający egzorcyzmy nad Przeklętym Jeziolem, w przypadku *Antychrysta* – papież Piotr II, okrzykiem „*Apage, satana!*” uśmiercający Judę Gesnareha. Księża pojawiają się więc w późnej twórczości Gnatowskiego jako nieodłączni antagoniści Złego, pomocnicy i życiowi nauczyciele głównych bohaterów.

Tym razem jednak nawet egzorcyzm nie jest w stanie uratować Jadwigi. Powieść kończy się śmiercią wyczerpanej dziewczyny, która chwilę wcześniej zdołała jeszcze pojednać się z Bogiem i uzyskać od księdza Marcelego ostatnie namaszczenie. Utwór nie mógłby jednak obyć się bez tego tragicznego zakończenia, jako że głównym jego celem była przestroga i edukacja czytelnika w dziedzinie licznych zagrożeń duchowych.

¹⁶⁷ E. Jakiel, *Księdza Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 375.

[Gnatowski Jan]

JAN ŁADA [pseud.]

ZŁY CZAR

POWIEŚĆ

CZYTELNIA „LECH”
STAŁOWA 3

№ 01334



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ ————— WARSZAWA

[1923]

**4.5. „MIĘDZY TEORIA A PRAKTYKĄ WALKI WOLNOŚCIOWEJ ZBYT WIELKA JEST
ROZBIEŻNOŚĆ, ROZBIEŻNOŚĆ TA TO OTCHŁAŃ BEZ DNA” .
ZŁY CZAR – OSTATNI GŁOS W WALCE „O DUSZE”**

Wydany w 1922 r. w Poznaniu *Zły czar* to ostatnia drukowana powieść Gnatowskiego, która ukazała się trzy lata przed śmiercią prałata. Impulsem do napisania utworu było doświadczenie I wojny światowej oraz rewolucja październikowa, która wybuchła w 1917 r. w Rosji.

Zły czar konstrukcją i fabułą przypomina *Antychrysta*, w większości pozbawiony jest jednak elementów fantastycznych¹⁶⁸. Od pozostałych utworów prałata różni się także tym, że główną wrogą postacią, która szerzy kult szatana wśród innych i próbuje obalić tradycyjne struktury kościelno-państwowe, po raz pierwszy jest kobieta. Róża Finkelbaum-Woronowa jest „socjalistyczną działaczką, której wszystkie czynności zawsze miały pierwszorzędne znaczenie dla sprawy”¹⁶⁹, „cudownym kwiatem przeniesionym z malowanych dolin Wschodu w nasze mgły północne i promieniejącym w nich jak gwiazda”¹⁷⁰, „wcieleniem wielkiego ducha światła: Lucyfera”¹⁷¹.

Główni bohaterowie wpisują się w coś na kształt „schematu Gnatowskiego”: Adam Śniadowski jest polskim szlachcicem, który za młodu dał się porwać ideom socjalistycznym i wstąpił do partii, Andzia to zakochana w nim kuzynka – skromna, cicha, cnotliwa i pobożna, a Róża wraz z pozostałymi działaczami partyjnymi jest uosobieniem wszelkiego zła i okrucieństwa. Jeśli wziąć pod uwagę także postaci drugoplanowe, jak oddany „towarzysze Woronowej” młody romantyk Kalinin, po raz kolejny wpisać możemy relacje bohaterów w schemat dwóch „trójkątów”, których punktem stycznym jest jedna kobieta: Róża – Adam – Andzia oraz Kalinin – Róża – Adam.

W recenzji powieści, opublikowanej w „Gazecie Lwowskiej” pisano z uznaniem:

I ostatnia powieść (...) rozbudzi niewątpliwie zainteresowanie czytelników, osnuta bowiem na tle wypadków wojny światowej porusza problem olbrzymiej doniosłości: wpływu bolszewizmu

¹⁶⁸ Pisząc „w większości” mamy na myśli brak widowiskowej, niejako „oczywistej” fantastyki, która w tej powieści zastąpiona jest aluzjami dotyczącymi hipnozy, bądź niejasnym statusem ontologicznym głównej bohaterki.

¹⁶⁹ J. Łada [Gnatowski], *Zły czar. Powieść*, Poznań 1922, s. 106.

¹⁷⁰ *Ibidem*, s. 105.

¹⁷¹ *Ibidem*, s. 107.

na dusze polskie. Treścią powieści są losy młodego Adama Śniadowskiego, który przejąwszy się zasadami bolszewickimi staje się obcy dla własnej ojczyzny, dla własnej rodziny¹⁷².

Gdy na początku powieści Adam wraca na wakacje do Maksymówki, majątku szlacheckiego w którym oczekują go wszyscy członkowie rodziny, nie jest w stanie znaleźć z nimi wspólnego języka. Krewni bohatera to w większości osoby starsze, hołdujące zasadom – według niego – nie tylko przebrzmiałym, ale też niebezpiecznym dla walk klasowych, w które on z całego serca wierzy. Obwieszcza zebranym w salonie członkom rodziny – swej babce Marszałkowej, matce, która jest wdową po „nieboszczyku Józefie”, staremu guwernerowi Flaczyńskiemu, pani Rościckiej, siostrze Gertrudzie, księdzu Eustachemu, a przede wszystkim zakochanej w nim Andzi, że odda majątek ziemski okolicznym chłopom, gdy tylko ukończy uniwersytet. Nietrudno wyobrazić sobie, jakie wrażenie na starych mieszkańcach Maksymówki robi deklaracja młodego socjalisty.

We wspominanej recenzji Wiktor Hahn pisze:

(...) skreślone przez autora postaci, jakby żywcem przeniesione z rzeczywistych stosunków do powieści, to jakby ostatnie typy staropolskiej tężyzny. Niektóre z nich wypadły przepięknie, żeby tutaj wspomnieć choćby o marszałkowej i księdzu Eustachym¹⁷³.

Mimo bolszewickich, a wręcz anarchistycznych sympatii, które w toku książki ukazane zostaną jako coś zgubnego, nawet lucyferycznego¹⁷⁴, Adam posiada wiele pozytywnych cech, dzięki czemu może zyskać uznanie w oczach czytelnika. Gnatowski – nie po raz pierwszy – pokazuje szlachetną duszę, która „zagubiła się”. Jest to więc jednocześnie ostatnia

¹⁷² W. Hahn, *Z ruchu wydawniczego*, „Gazeta Lwowska” 1922, nr 279, s. 5.

¹⁷³ *Loc. cit.*

¹⁷⁴ O powinowactwach między satanizmem a anarchizmem pisał już Stanisław Przybyszewski w powieści pt. *Dzieci Szatana* (1897). Na ezoteryczne źródła komunizmu wskazywał też Zenon Chocimski:

„W przedrewolucyjnej Rosji dość dużą popularnością cieszył się neookultyzm reprezentowany przez Zakon Martynistów (od imienia twórcy sekretnej doktryny, Louis-Claude'a de Saint Martina; szerzej o martynistach pisze między innymi Mircea Eliade w eseju *Okultyzm a świat współczesny*). Do zakonu tego należeli: wybitny malarz rosyjski Nikołaj Roerich wraz z małżonką Heleną, akademik prof. Oldenburg, rzeźbiarz Siergiej Mierkułow (...) oraz niejaki Aleksander Barcenko. Ten ostatni był znanym w Rosji hipnotyzerem, pisarzem-okultystą i założycielem Jedyne Robotniczego Bractwa - organizacji skupiającej wielu martynistów. Jej członkowie, podobnie jak teozofowie związani z Madame Blavatsky, utrzymywali, że na Wschodzie (najprawdopodobniej w Tybecie lub w Himalajach) istnieje podziemna kraina, praojczyzna Ariów, zamieszkiwana przez świętych, nieśmiertelnych ludzi (czy też raczej nadludzi), którzy z ukrycia uczestniczą w kierowaniu sprawami świata. O wierzeniach tych pisali Rene Guénon w *Królu Świata* oraz Ferdynand Ossendowski w książce *Przez kraj bogów, ludzi i zwierząt*.

Pojawienie się komunizmu i jego triumfy zostały odebrane przez wielu okultystów jako aktywne włączenie się do walki o duszę świata owych niewidzialnych nieśmiertelnych. Rewolucję bolszewicką postrzegali oni jako mistyczną akcję. W zakonie Barcenki popularna była koncepcja budowy socjalizmu rozumianej jako restauracja <wieku złotego> w dziejach ludzkości” [Z. Chocimski, *Ezoteryczne źródła komunizmu*, „Frona” 1997, nr 9/10, s. 216-223.

z katechizujących propozycji pralata, zamykająca cykl „walki o zbłądzone dusze”. Można także zaryzykować twierdzenie, że jako ostatnia jest jednocześnie najbardziej dojrzała. Postaci, które ukazuje w niej Gnatowski, nie są już pozbawionymi indywidualnych cech charakteru „typami” czy „marionetkami”, które mają odegrać role przeznaczone sobie w przy-powieściach, ale wielowarstwowymi, pełnowartościowymi kreacjami literackimi, których działania poparte są wiarygodnymi motywami psychologicznymi.

Podczas długich, upalnych dni lata Adam i Andzia zaczynają się do siebie zbliżać. Rodzina widzi w tym lekarstwo na jego „chorobę”, które tylko młoda, pobożna dziewczyna może „zaaplikować” młodemu idealście:

Była to daleka krewna Śniadowskich, małym dzieckiem wzięta po śmierci obojga rodziców przez panią Helenę, która kochała ją jak córkę. Kochali ją zresztą wszyscy w Maksymówce, była bowiem promieniem słonecznym i aniołem opiekuńczym dla wszystkich. Katechizacja i potajemna nauka w ochronce, obsługa chorych w szpitalu i na wsi, kierownictwo ogrodu i sadów, a obok tego zajęcia gospodarskie i nawet zarząd stadniną, nawiasem mówiąc podług zdania znawców wybornie prowadzony – wszystko to przeszło powoli w ostatnich latach z rąk chorującej coraz bardziej pani Śniadowskiej do jej wychowanki, zostawiając jednak przy tym Andzi czas na poważną lekturę i kształcenie umysłu¹⁷⁵.

Adam, nie bez zaskoczenia, znajduje w Andzi godnego partnera do rozmowy na temat klas społecznych, gorących dyskusji o miłości bliźniego, Bogu, religii i tradycji. Dziewczyna stoi na przeciwnym stanowisku, stara się jednak znaleźć punkty styczne w ich systemach światopoglądowych, minimalizując różnice, ale podkreślając podobieństwa. Tym samym bohater po raz pierwszy w życiu odkrywa oczywistą dla pozostałych mieszkańców dworu prawdę, że nieść pomoc ubogim można na wiele różnych sposobów, niekoniecznie poprzez krwawą drogę rewolucji. Stopniowo jego ideologia ulega zmianie. „Duchowe zagrożenie” mija:

Mijało istotnie. Adam nie zdawał sobie zgoła sprawy z tego, że dusza jego stała się zgoła inną, bliższą wczesnej młodości, niż chmurnych petersburskich czasów. Oburzyłby się pewnie, gdyby mu ktoś powiedział, że przestał być socjalistą i ateuszem, ale myśl ta przychodziła mu czasem, niepokojąc. (...) machał ręką, znużony, i mówił sobie, że to go właściwie nie obchodzi, że przyjdzie czas myśleć o kontaktach społecznych a tymczasem (...) chabrowe oczy Andzi patrzy nań tak rozkosznie¹⁷⁶.

¹⁷⁵ J. Łada [Gnatowski], *Zły czar...*, s. 24.

¹⁷⁶ *Ibidem*, s. 82.

Sielanka zaręczonych bohaterów zostaje brutalnie przerwana, gdy do Maksymówki przyjeżdża „żydziak”: towarzysz Goldfinger, przywożąc od partii rozkaz natychmiastowego powrotu do Petersburga. Od pierwszych chwil, gdy ów bohater pojawia się na kartach książki, z kreacji jego przenika *implicite* antysemityzm autora. Goldfinger to: „(...) młodzieniec chuderlawy i wymokły, o wydatnie semickim typie i właściwej jego współplemięncom dezynwolturze”¹⁷⁷, jedna z najbardziej antypatycznych postaci, która w wyniku rewolucji październikowej planuje szybko się wzbogacić:

Po żółtej opryszczonej twarzy żydowskiego młodzieńca przebiegł znów szyderczy uśmiech. W uśmiechu tym był akcent tryumfu, tego bezlitosnego i bezwzględnego tryumfu, którym tak chętnie druzgocze swych przeciwników plemię, umiejące nienawidzić jak żadne inne. (...)

– Sprawiedliwość, równość praw i majątku, swoboda, proletariacki raj na ziemi, – to są wszystko dogmatyczne formułki tej samej mniej więcej wartości, co dogmatyczne hasła wiary, lojalność wobec króla dla monarchistów, a nieomyślność papieża dla katolików. (...) nikt z nas nie wątpi, że przewrót przyniesie korzyść niektórym tylko, a dla większości stanie się katastrofą... Tylko że my sterownicy mamy szansę znaleźć się po bezpiecznej stronie, i zbierać plon zaraz. Że innym dziać się będzie gorzej, to już ich rzecz¹⁷⁸.

Ten brutalnie szczery wywód Goldfingera jest dla Adama pierwszym z wielu sygnałów, iż – jak podkreślono cytatem z powieści w tytule niniejszego podrozdziału – rozbieżność między teorią a praktyką walki wolnościowej to „otchłań bez dna”¹⁷⁹. Główny bohater zgadza się na powrót do Petersburga jedynie dlatego, że rozsiedzona buntem Adama „partia” grozi śmiercią jego bliskich. Odjeżdża z Maksymówki, obiecując matce, Andzi i księdzu Eustachemu, że wróci najszybciej, jak będzie mógł.

Powodem, dla którego Adam nie dotrzymuje słowa, jest sama Róża Finkelbaum. Jej przyjazd do Petersburga poprzedzają plotki, które rozbrzmiewają we wszystkich tajnych miejscach spotkań kół młodzieży socjalistycznej:

Była to po Róży Luksemburg najwybitniejsza socjalistyczna działaczka, której wszystkie czynności zawsze miały najwybitniejsze znaczenie dla sprawy. (...) Woronowa nie była wcale boginią: była czymś nieskończenie wyższem, bo żywą i bardzo dzielną kobietą, była nerwem i mózgiem organizacji. (...) Woronowa – to był geniusz, to był więcej niż Machjawieli: to było wcielenie wielkiego ducha światła: Lucyfera. Tamte robiły interesy, napełniały kieszenie, czyniły zadość żądom miłosnym własnym i cudzym: Róża Pimpelbaum-Woronowa służy idei, jako

¹⁷⁷ *Ibidem*, s. 88.

¹⁷⁸ *Ibidem*, s. 93-94.

¹⁷⁹ *Ibidem*, s. 130.

kapłanka rewolucji (...). I ona oczywiście zarzuca swe sieci na każdego głupca, który jej jest potrzebny, i raz schwyciwszy go w jedwabne swe ramiona, pali go żywym ogniem płomiennego oddechu, jak salamandra (...)¹⁸⁰.

Woronowa jest nie tylko *femme fatale* – takie kreacje bowiem pojawiały się już w poprzednich utworach prałata – ale jest też „żydowską czarownicą”¹⁸¹, diabelską konkubiną, której zadaniem jest rzucać „zły czar” na tych, którzy przysłużyć się mogą partii, by po wykorzystaniu ich – porzucić, a być może nawet zabić. Tym razem jej wybór pada na Śniadowskiego. On właśnie okazuje się powodem nagłego przybycia satanistki do Petersburga. Partia słusznie przewiduje bowiem słabość Śniadowskiego, jaką są kobiety. Jeśli Andzia potrafiła zniechęcić go do komunizmu, Róża znajdzie sposób na odzyskanie „duszy” (a więc także lojalności) bohatera („Kobieta zbałamuciła go: niech druga kobieta to odrobi”¹⁸²).

Adam wpada w sidła Woronowej i chwilowo znika z „fabularnego horyzontu”. W tym czasie inny młody idealista: Alosza Kalinin, spostrzega stopniowo pokłady „moralnej ohydy”, jakie kryją się pod socjalistycznymi hasłami. Autor wyraźnie zarysowuje różnice pomiędzy dwoma obozami formującymi się na kartach powieści: młodzi socjaliści, którzy wierzą w równość społeczną oraz działacze partii, w większości Żydzi, którzy próbują jedynie wzbogacić się w czasie rewolucji. Gdy Kalinin odkrywa prawdę, jest zdruzgotany. Podobnie jak poprzednio Adam, tak teraz Alosza zaczyna rozumieć prawdziwe cele większości komunistów po rozmowie z szybko awansującym Goldfingerem:

(...) raz było go już i dawniej niejedno w teoriach, a bardziej jeszcze w działaniu partyjnych towarzyszy: nigdy jednak tak cynicznie przed nim nie uchylono maski, nie postawiono sobkostwa jako dogmatu. Żydowski makak stał przed nim, ze swemi pokrzywionemi nogami, wysuwając rzadkie, długie zęby w uśmiechu napół zmysłowym, na poły sardonicznym, stał i klepał go po ramieniu chudą dłonią, oślizgłą jak skóra węgorza¹⁸³.

Gdy tylko Kalinin zaczyna buntować się przeciw partii, jej członkowie wydają wyrok na młodego chłopca. Sama Woronowa zgłasza się na ochotniczkę, by ów śmiertelny wyrok wykonać. Gnatowski przedstawia wrogie mu stronnictwo jako bezwzględny reżim, zsemityzowaną sektę przeżartą żądzą władzy i pieniądza, która nie ma nic wspólnego

¹⁸⁰ *Ibidem*, s. 106-108.

¹⁸¹ *Ibidem*, s. 114.

¹⁸² *Ibidem*, s. 118.

¹⁸³ *Ibidem*, s. 131.

z głoszonymi przez siebie ideami równości i wolności. Warto podkreślić, że już w poprzednich utworach sygnalizował „niebezpieczeństwo”, gdy przestrzegał przed myślą lewicową w nowelach szkolnych (np. *W otchłań* z tomu pt. *Pastele*) bądź patriotycznych szkicach (*Kra! Kra! Kra!*), nigdy jednak nie wiązał tak otwarcie komunizmu ze zwalczanym przez siebie lucyferyzmem. Być może doświadczenia I wojny światowej i rewolucji bolszewickiej uczyniły go bardziej radykalnym.

Woronowa to wśród postaci wykreowanych przez Gnatowskiego prawdziwa Mata Hari. Aby „zlikwidować” Kalinina, postanawia wdać się w romans z Adamem oraz Aloszą jednocześnie. Umiejętnie ukrywa przed nimi ten fakt, umawiając się na schadzki i podburzając ich przeciw sobie w przerwach między niekończącymi się miłosnymi uniesieniami. Obaj wpadają w „sieć”, z której do niedawna śmiali się wspólnie, pewni, że ich przyjaźni nie uda się zniszczyć żadnej kobiecie.

„Zły czar” Róży jest na tyle silny, że nawet po odkryciu jej przerażającego sekretu Adam nie jest w stanie zapomnieć o kochance:

– Co to jest? – jęknął – na Boga, co to jest?

– Co to jest, sam widzisz. Spytaj raczej: co to było? To był kilkanaście godzin temu twój piękny rywal, Alosza Kalinin. (...)

Na dnie kaflami wykładanej łazienki leżało obnażone ciało skępowanego mężczyzny, którego usta zatykał mocny knebel. Od ramion do nóg ciało to przedstawiało bezkształtną, sino-czerwoną masę zbitego mięsa. Krwawe pasy oddartej skóry chwiały się, w powietrzu unosiła się mdła woń krwi.

Obok łazienki stał piecyk z żarzącymi się węglami, oraz leżały żelazne obcęgi i kilka innych zagadkowego przeznaczenia narzędzi. (...)

– Ja to zrobiłam i nikt mi nie pomagał. Pozwolono mi umorzyć go wolną śmiercią. Zwabiłam go wieczorem, napiłam winem, w którym było opjum. Gdy zasnął twardo, zawlokłam go tu, związałam – o, uczyłam się wiązać od marynarzy – potem poczęłam karać...¹⁸⁴

Sposób w jaki Woronowa traktuje mężczyzn można by przyrównać do relacji pomiędzy tzw. „Dominą”, a więc kobietą dominującą przede wszystkim na poziomie seksualnym, a Uległym, nad którym posiada władzę absolutną¹⁸⁵. Adam po początkowym wzburzeniu jest w stanie wybaczyć Róży i zapomnieć o przerażającej scenie, której był świadkiem. Jeden jej

¹⁸⁴ *Ibidem*, s. 201.

¹⁸⁵ Por. J. Jacobs, W. D. Brame, G. G. Brame, *Inna rozkosz. Świat dominacji i uległości seksualnej*, Warszawa 2013, s. 426.

gest, jedno przyzwalające skinienie, jedno wyszeptane miłosne słówko wystarczyło „na to, by zahipnotyzowanego przez nią niewolnika rzucić znów do jej stóp”¹⁸⁶.

Choć narracja skupia się przede wszystkim na czwórce głównych bohaterów (Andzi, Adamie, Kalininie i Róży) autor kilkakrotnie zarysowuje przed czytelnikiem tło historyczne, komentując postępującą rewolucję bolszewicką, którą określa potępiającymi epitetami, jak: „złote czasy tryumfu analfabetów i proletariuszy”¹⁸⁷, „przez Żydów kierowana anarchia”¹⁸⁸.

Pewne rozczarowanie przynosi długo wyczekiwana konfrontacja Róży i Andzi, która przyjeżdża do Petersburga, by – jak jej literacki poprzednik, Zofia Łańska – walczyć „o duszę” mężczyzny:

– Ten człowiek jest moją własnością, – i nie dam go sobie wydrzeć... rozumiesz pani?

Nie było odpowiedzi.

– Ja go urobiłam, ja z niego uczyniłam bohatera! Kiedym go poznała, był sobie ot takim zwykłym paniczem polskim, któremu z nudów czy dla kaprysu spodobало się bawić w socjalistę, ale co to był za socjalista! Krwi bał się gorzej od ognia, egzekucjom sprzeciwiał się jego humanitaryzm, gdy szło o wykonanie wyroku, wołał, żeby go wykonano na nim, niż nad skazanym... Ja dopiero, ja nauczyłam go pogardzać ludzką śmiercią, ja zniszczyłam w jego duszy ostatnie szczątki zabobonów (...).

– Straszna pani jesteś – szepnęła [Andzia] zbielełymi wargami. (...) – Zabraniam ci przy mnie bluźnić Bogu memu!

– Więc dobrze! Będę ci mówiła o moim. Znasz go? Opiewał go wieszcz nowych czasów, Carducci, stoi przy nim to wszystko, co mądre i szlachetne, jutro stać będzie ludzkość cała. Nowy wiek idzie! Ostatnie to już pokolenie waszych księży otacza ołtarze, których odbiegają wierni. Ani księdza, ani króla, ani pana, ani Boga – oto hasło naszego pokolenia. Czas wasz minął! Nowy wiek idzie, nową ewangelię niesie. A ewangelia to radosna, wręcz waszej łzawej, pobrzękującej łańcuchami przeciwna. Zamiast ofiary – rozkosz i użycie. Zamiast Boga, rozpiętego na szubienicy, siniego od razów i okrytego plwocinami – bóg wiosny i słońca, do młodego Bachusa podobny, z wieńcem niewiędzących nigdy róż na czole, z jedynym prawem starożytnych: Carpe diem!¹⁸⁹

Lucyferyczne teorie głoszone przez Różę Finkelbaum niewiele różnią się od tych, jakie wkładał autor w usta bohaterów poprzednich powieści: Wnrycha (*Oman...*), Zieniewicza (*Lucifer*), wreszcie – Gesnareha (*Antychryst*), do którego Róży niewątpliwie jest „najbliżej” pod względem wyznawanej filozofii. Tak jak tytułowy Antychryst pragnie zyskać kontrolę nad otaczającymi ją ludźmi, a w końcu nad całym światem, stając się kapłanką nowej religii,

¹⁸⁶ J. Łada [Gnatowski], *Zły czar...*, s. 245.

¹⁸⁷ *Ibidem*, s. 217.

¹⁸⁸ *Ibidem*, s. 255.

¹⁸⁹ *Ibidem*, s. 232-234.

nowej filozofii, w której nie ma miejsca na „przebrzmiałe” chrześcijaństwo. Jednocześnie, pomimo podobieństw jakie znaleźć możemy w dialogu Andzi i Róży do poprzednich, budowanych na zasadzie kontrastu, kreacji kobiecych Gnatowskiego¹⁹⁰, obie bohaterki posiadają wiele cech indywidualnych.

Niebawem też, dzięki mowie pozornie zależnej, zyskujemy wgląd w psychikę Adama podającego szereg przyczyn, dla których został socjalistą. Będąc świadkiem stopniowej degrengolady obyczajowej i upadku swojej klasy, uwierzył w możliwość naprawy świata. Szybko jednak pojął, że droga którą obrał okazała się błędna:

(...) dlaczego zaprzeczył Bogu (...) i tradycjom ojców? a wszakżeś wiedział o tem dobrze, biały orzeł w tej właśnie chwili rozwijał swe skrzydła na szerokich połaciach Rzeczypospolitej i czerń bolszewicka pierzchała przed polskim mieczem! Czemu on był tutaj wśród obcych, potwornych i wrażliwych dusz, a nie tam wśród braci młodych, niosących za ojczyznę żywot!?¹⁹¹

To ostatnie, tragiczne pytanie towarzyszy Adamowi do końca powieści. Niczym swój biblijny imiennik, kuszony przez kobietę będącą narzędziem szatana, Śniadowski rozumie, że znajduje się w sytuacji bez wyjścia: nie może uciec od Woronowej, od Goldfingera, wreszcie – od partii. Wrogowie tymczasem zmagają się przeciw niemu i wraz z rozjuszoną, pijanym chłopstwem napadają na Maksymówkę.

Postacią, która w finalnej scenie powieści pomoże rozwiązać ów „węzeł gordyjski” jest ksiądz Eustachy, kolejny – i ostatni już – wojowniczy kapłan w galerii „bohaterów-duchownych” Gnatowskiego. Gdy mieszkańcy Maksymówki spodziewają się ataku włościan, ich życie duchowe (na podobieństwo schematu z *Ostatniej mszy*) ulega znacznemu ożywieniu.

Stary ksiądz rozpoczął dla wszystkich rekolekcje, wszyscy, bez wyjątku, przystąpili do spowiedzi z całego życia. (...)

Staruszek był zupełnie spokojny, głos jego przybrał dźwięk komendy. I komendy tej słuchali wszyscy. (...) Garnęli się przy tem do staruszka księdza, jak gdyby w nim odczuwali siłę, zdolną zabezpieczyć ich przed napaścią zbójców. (...) Mówił im o wiekowych cierpieniach ojczyzny, o ucisku Kościoła, o krwawych dziejach tych ziem, których cywilizacja chrześcijańska dojrzewała na podłożu mnogich tysięcy umęczonych ofiar. Mówił o posłannictwie Polski na Wschodzie, przez nią samą tak rzadko spełnianem (...). Ojciec Eustachy wyrósł zda się wysoko ponad

¹⁹⁰ Chodzi nam przede wszystkim o dialog Carli z Zofią w powieści *O duszę* oraz podobną rozmowę matki Bolesława z kurtyzaną Mirą Hels w *Molochu*. Oba dialogi analizujemy w poprzednim rozdziale niniejszej pracy.

¹⁹¹ J. Łada [Gnatowski], *Zły czar...*, s. 292.

kadzielnice, siwe włosy rozwiały mu się dokoła głowy, w wyblakłych oczach zapaliły się błyskawice, a nikły głos grzmiał groźnie jak grom podczas burzy¹⁹².

Zabieg idealizacji księdza Eustachego upodabnia go do legendarnych patriarchów biblijnych, których zadaniem jest wieszczyć niedolę swemu ludowi. W ostatnich chwilach rodziny Śniadeckich staje się dla nich przywódcą i liderem, ale jednocześnie spowiednikiem i pasterzem (co dodatkowo podkreśla fakt, że członkowie klanu skupiają się wokół niego jak owce). On dodaje im otuchy przed męczeńską śmiercią, ale też nie wzbrania ich przed walką z komunistami. Jego kazanie opiewające historię Polski mogłoby być tym samym kazaniem, które wygłaszał proboszcz z *Ostatniej mszy*, tym samym, które kierował do młodych słuchaczy ksiądz Cytryna w szkicu *Z ciężkich dni*. Nowym, formalnym elementem jest natomiast częste podkreślanie starości bohatera, co być może wynika z faktu, iż sam autor – pisząc *Zły czar* – był już starym, schorowanym człowiekiem¹⁹³.

Do Maksymówki przybywają Goldfinger i Woronowa – pierwszy podburza lud przeciw „panom”, druga daje Adamowi *utlimatum*: uratuje rodzinę Śniadowskich, jeśli ten zgodzi się oddać jej „duszę”. Nietrudno domyślić się, co oznaczałoby to w praktyce – zaprzęgnięcie duszy Lucyferowi, cyrograf z diabłem, szatański pakt, wiążący do końca życia – a może i poza nim. Adam staje teraz przed jednym z największych dylematów moralnych człowieka i chrześcijanina. Mowa pozornie zależna daje czytelnikowi wgląd w swoistą psychomachię bohatera:

Tak! los dawał mu w ręce ocalenie najdroższych istot. Trzeba było tylko po nie wyciągnąć rękę. Woronowa ma istotnie moc i mocy tej użyje tak, jak on zechce. Ale z jakim warunkiem? Wzdrygnął się. Pełń świadomości uderzyła mu o mózg (...).

A jednak trzeba było wybierać zło zamiast dobra, wstręt zamiast umiłowania. (...) Tak, nadeszła godzina ofiary. (...) Wybrał zbrodnię zamiast cnoty, a teraz było już za późno wracać...

I oto w tej chwili, gdy przewyciężył wstręt, i hańbę gotów był wziąć na siebie jako zadośćuczynienie i ofiarę, zapaliło mu się w myśli płomiennymi zgłoskami pytanie, czy może dać taki okup, czy może sprzedać się i zniesławić, choćby dla ocalenia wszystkich swoich? I stało mu się jasne od razu, że mu tego uczynić nie wolno. Wzgląd ludzki i ludzkie prawo nie miały dlań znaczenia: w groźnej potędze natomiast stał przed nim zakaz Boży:

¹⁹² *Ibidem*, s. 301-332.

¹⁹³ Skupienie na „fizyczności” dostrzegamy zresztą także w innych fragmentach utworu, jak choćby wtedy, gdy zazdrosny Goldfinger podgląda Adama i Różę: „Teraz jednak obejmował ich oboje [wzrokiem] z nieruchomym o parę kroków stojącym Adamem i oczy mu mówiły, że tych dwoje ludzi stanowią coś w rodzaju punktu kulminacyjnego ludzkiej piękności, a zarazem tworzą najzupełniejszą antytezę z tą galaretowatą, pokrzywioną karykaturalnie i niemal zwierzęcą maską, jaką przedstawiał mu w zwierciadle własny jego profil” [*Ibidem*, s. 314]. Także o samej Woronowej mówi się niejednokrotnie, że jedynie piękno fizyczne jest jej największym (jak się okazuje, wystarczającym) atutem.

– Nie waż się! nie wolno duszy własnej gubić choćby dla uratowania nie tylko kilku istnień, ale i ogółu nawet¹⁹⁴.

Życie doczesne jest tylko wstępem do życia wiecznego – Adam decyduje się odmówić Róży, dodatkowo rozwścieczając ją wypowiedzianą głośną formułą, iż składa swój los w ręce Boga. Słowa te okazują się wiążącym zaklęciem – kiedy bowiem ocalenie jest prawie niemożliwe, a Śniadowscy oczekują przerażających tortur (kończyny matki Adama przywiązane są do czterech koni), ocalenie zjawia się *deus ex machina*:

Major Jański, którego tylko co widziano wśród płomieni palącej się kaplicy, wypadł niespodziewanie z poza zgliszców, za którymi wił się gościniec. Wypadł, krzycząc wielkim głosem:

– Pomoc idzie! Nasi! Ułani we wsi!

I ogarnąwszy spojrzeniem scenę tragiczną (...) najechał niemal na Adama i wychwycił mu z rąk pistolet.

– Bóg strzegł i nie dopuścił do nieszczęścia – szepnął. – (...) Komu innemu należy się tu kula!

I strzelił w samą twarz Goldfingera, który z głuchym jękiem zwałił się na ziemię¹⁹⁵.

Ciekawą dyskusję dotyczącą interpretacji tekstu otwiera fakt, iż w ostatniej scenie ginie Żyd – Goldfinger – nie Róża, która była przyczyną największego zła. Choć w niejako „urwanym” zakończeniu sugeruje się, że Adam „naprawi”¹⁹⁶ wyrządzone krzywdy, nie znamy dalszych losów wszystkich postaci. Wydaje się jednak, że autor daje w ostatniej scenie do zrozumienia, iż strona polska powinna zwyciężyć nad „lucyferyczną” siłą komunizmu – dlatego, że nad „orłem białym” czuwa także Opatrzność. Podobnego zdania jest Wiktor Hahn:

Prawdziwym cudem ocala zagrożony dwór, ukochana babka, matka i porzucona narzeczona, ocala i on sam, przyczem według końcowych słów powieści można się spodziewać, że naprawi popelnione winy wobec ojczyzny i rodziny¹⁹⁷.

Ostatni utwór, choć przez część recenzentów obwołany jednym z najlepszych w dorobku Gnatowskiego, spotkał się też z drugocącą krytyką. Leon Piwiński¹⁹⁸ pisał w „Przeglądzie Warszawskim”:

¹⁹⁴ J. Gnatowski [Łada], *Zły czar...*, s. 323-324.

¹⁹⁵ *Ibidem*, s. 361.

¹⁹⁶ *Ibidem*, s. 362.

¹⁹⁷ W. Hahn, *op. cit.*, s. 5.

¹⁹⁸ Nota w „Nowym Korbucie” przywołuje nazwisko krytyka i edytora z błędem: Plewiński, zamiast Piwiński.

W najtragicznym momencie końcowym krzyk: „Nasi! Ułani we wsi!” – wszystko to przedstawione bez jakichkolwiek wartości artystycznych. Psychologia bohatera – młodego arystokraty polskiego, który, pociągnięty „złym czarem”, został bolszewikiem – jest przykładem zupełnego niedołęstwa w konstruowaniu duszy człowieka. Nie lepiej jest z innymi postaciami powieści – wszędzie szablon lub krzyczący fałsz. Szlachetne pobudki ideologiczne poszły w ten sposób na marne¹⁹⁹.

Ta surowa ocena może wynikać z próby porównania propozycji Gnatowskiego z pozostałymi utworami dwudziestolecia, kiedy to proza psychologiczna znajdowała się na zdecydowanie wyższym etapie rozwoju. Nie byłibyśmy jednak skłonni do tak miażdżącej krytyki utworu. Mimo że aspekt moralizatorski (w duchu chrześcijańskim) zdecydowanie przewyższa jego wartość artystyczną, która niejako „podporządkowuje mu się”, zdołał autor nakreślić ciekawe sylwetki bohaterów – szczególnie młody Kalinin oraz fascynująca Róża Finkelbaum zasługują na uwagę. Gnatowski udowadnia, iż przeszedł ewolucję – nie tyle ewolucję poglądów, które zgadzają się z tymi, które głosił już w pierwszej powieści – co ewolucję stylu, narracji i warsztatu.

¹⁹⁹ L. Piwiński, *J. Lada: Zły czar*, „Przegląd Warszawski” 1923, nr 17, s. 261.

4.6. POZORNA EWOLUCJA POGLĄDÓW

Czy Jan Gnatowski przeszedł przemianę poglądów filozoficzno-religijnych, jest kwestią sporną. Podczas oglądu twórczości prałata można by odnieść wrażenie, że jego zdanie na temat wielu zagadnień uległo meamorfozom. Ślady tego widzimy w tekstach publicystycznych, listach z podróży – wreszcie – późniejszym dorobku artystycznym. Jednakże po ponownej lekturze tekstów źródłowych i ich wnikliwej, sumiennej analizie, nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż jest to ewolucja pozorna.

Od początku swej kariery pisarskiej, już w okresie studenckim (pod wpływem myśli profesora Tarnowskiego) Gnatowski reprezentował obóz konserwatywny, zwalczając „modne nowinki” w literaturze krajowej i zagranicznej. Do końca pozostał tradycjonalistą, nie znaczy to jednak, iż udało mu się uniknąć kilkukrotnej zmiany poglądów w obrębie swojej filozofii.

Twórczości Gnatowskiego w ujęciu holistycznym nie określimy raczej mianem „nowoczesnej”, jako że reprezentował konserwatyzm tradycjonalistyczny, tym samym broniąc takich wartości, jak patriotyzm; nie kryjąc swych sympatii rojalistycznych, swego zafascynowania sarmatyzmem, wreszcie – stojąc po stronie interesów Kościoła.

Analizowana w dysertacji biografia może stanowić odpowiedź na pytanie o źródło światopoglądu prałata. Pochodził wszakże ze szlacheckiej rodziny, która poszczycić się mogła długimi tradycjami, odebrał staranne wykształcenie, a w okresie kształtowania poglądów filozoficzno-religijnych znalazł się pod wpływem myśli Stanisława Tarnowskiego, przywódcy konserwatywnego ugrupowania „Stańczyków”.

Jak wiemy z artykułu Kleinera, decyzją o przyjęciu święceń kapłańskich zaskoczył znajomych i członków rodziny²⁰⁰. Przypuszczalnie wróżyli mu karierę wykładowcy uniwersyteckiego, z uwagi na studia doktorskie, które zdecydował się podjąć. Miast świeckiej, wybrał jednak karierę duchownego, dzięki czemu mógł osobiście poznać rodzinę arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, co więcej – zostać tajnym szambelanem Ojca Świętego. Nawet po rezygnacji ze służby wciąż stał na straży interesów Kościoła, choć może w inny, „skromniejszy” sposób – ucząc religii w szkołach i uprawiając literaturę katechizującą. Niezachwiany w swym poczuciu obowiązku, do końca życia pracował jako spowiednik²⁰¹.

Mimo wszystkich tych argumentów, a raczej – obok nich – w jego życiu i twórczości tkwi coś, co sprawia, iż nie da się jednoznacznie określić go jako pisarza ultrakonserwatywnego, zakrzepłego w światopoglądzie, który za wszelką cenę próbuje przywrócić stary ład, nieraz narażając się tym na śmieszność. Tkwi tam jakiś nieuchwytny

²⁰⁰ Zob. J. Kleiner, *Jan Łada*, „Tygodnik Ilustrowany” 1925, nr 43, s. 865.

²⁰¹ Zob. [b.a.], *Śp. Ksiądz Jan Gnatowski*, „Przegląd Katolicki” 1925, nr 43, s. 687.

pierwiastek, zagadka, niełatwa do odkrycia tajemnica, która twórczość jego czyni naszym zdaniem tak atrakcyjną dla badacza i czytelnika. Całym sercem patriota – lecz i kosmopolita. Katecheta o niekonwencjonalnych metodach wychowawczych, które budziły nieraz sprzeciw pozostałych nauczycieli²⁰². Ksiądz – esteta, ale też pisarz i inicjator jednego z lwowskich salonów literackich²⁰³. Jan Gnatowski łączy w sobie postawy dla większości trudne do pogodzenia, robiąc to w zasługujący na uznanie sposób.

W *Listach z Konstantynopola* pozuje na młodego światowca, który stara się wzbraniać przed krytycznym osądem wszystkiego, co odmienne od wyznawanych przez niego wartości – nawet jeśli o tych wartościach wspomina. Jednakże już w późniejszym okresie nie unika nadmiernego dydaktyzmu, twórczość swą podporządkowując ideologicznej propagandzie. Takiej zmiany poglądów – choć dla wnikliwego badacza widocznej – nie sposób jednak nazwać „ewolucją”. Co prawda literatura fantastyczna, którą tworzył pod koniec życia, rzeczywiście mogła zaskoczyć jego wcześniejszych czytelników, ale z drugiej strony wciąż pisana była w służbie porządku i wartości ustanowionych przez Boga i Kościół, mimo jej baśniowej osnowy²⁰⁴.

W szkicu poświęconym twórczości Łady, Jakiel wskazuje na swego rodzaju „ewolucję formalną”: przejście od estetyki pozytywistycznej do estetyki typowej dla literatury modernizmu²⁰⁵. Podczas pierwszej fazy twórczości pisarz zdecydował się na literacką prezentację idei „pracy u podstaw”, w publicystyce podnosił także kwestię asymilacji Żydów. Z kolei młodopolskie, psychologizujące propozycje Gnatowskiego dotyczą raczej kwestii natury moralnej, a autor komentuje w nich nie tylko współczesność, ale też sięga w przeszłość (a nawet przyszłość) polskiego narodu.

Ostatecznie należałoby przyznać, iż jako literat Gnatowski posługiwał się różnorodną estetyką, prezentując czytelnikom zarówno powieści pełne fantastycznych postaci, jak i realistyczną prozę osadzoną w bardzo konkretnym miejscu i czasie – jednak jako kaznodzieja, pozostał wierny swym konserwatywnym poglądom, które z biegiem lat zdawały się przybierać na sile.

²⁰² Zob. S. Łempicki, *Złote paski...*, s. 9-19.

²⁰³ Na temat pozostałych salonów literackich i zebrań towarzyskich literatów we Lwowie w XIX wieku piszą Krystyna Poklewska i Alina Kowalczykowa. Zdaniem badaczek z upływem lat dawne salony traciły reprezentacyjność, teatralność i emancypacyjno-feministyczny charakter, pozostając jednak miejscem integracji środowisk literackich [Zob. K. Poklewska, A. Kowalczykowa, *Salon literacki*, [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. A. Kowalczykowa, J. Bachórz, Wrocław 2002, s. 854-856].

²⁰⁴ Podobnego zdania wydaje się być autor noty w *Podręcznej Encyklopedii Kościelnej*: „(...) druga faza twórczości, (...) od pierwszej pod względem poglądów religijnych wcale się nie różni” [S. Gall, *Gnatowski Jan*, [w:] *Podręczna Encyklopedia Kościelna*, red. ks. Z. Chelmiński, Warszawa 1907, t. XIII-XIV, s. 174].

²⁰⁵ Zob. E. Jakiel, *Księdza Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 365.

ZAKOŃCZENIE

Co sprawia, że czytelnicy i badacze trwale pamiętają o dorobku wybranych twórców literatury polskiej, zapominając bądź ignorując innych? Stanisław Bereś pisał: „Nie ocala się więcej niż paru Norwidów na jedno stulecie”¹. Czy może to być jedynie wynikiem niedostatków warsztatowych, a wręcz braku talentu twórców *minorum gentium*? A może nie o talent chodzi, ale o zlepek rozmaitych przyczyn, jakie składają się na zepchnięcie ich spuścizny „do lamusa historii”?²

Z jakiego powodu twórczość Jana „Łady” Gnatowskiego, choć tak bogata i różnorodna, uległa zapomnieniu? Dlaczego on sam, choć był aktywnym działaczem społecznym, publicystą, wysoko postawionym urzędnikiem kościelnym, a przede wszystkim płodnym pisarzem – został zignorowany przez większość czytelników i badaczy? Tu bowiem należy sformułować tyleż konkretną, co surową ocenę: twórczość Gnatowskiego uległa zapomnieniu bądź zlekceważeniu przez literaturoznawców.

Wydaje się, że najważniejszą przyczynę stanowił zlepek niefortunnnych czynników historycznych: proza prałata najczęściej dotyczyła przecież chrześcijańskiej refleksji natury moralnej, przestrzegając przed niebezpiecznym według autora socjalizmem. Tymczasem, jak wiadomo, po II wojnie światowej na dziesiątki lat staliśmy się Polską Rzeczpospolitą Ludową. Twórczość katolickiego duchownego nie miała szans na popularność i przetrwanie – chyba w podziemnym obiegu.

Jakkolwiek odważna to teza, zapewne nie przysporzył też popularności Gnatowskiemu fakt, iż posiadał święcenia kapłańskie. Jak pisał ks. Witold Czeczot:

Do należytej oceny beletrystycznych utworów Jana Łady w oczach niejednego zaszkodziła z pewnością wieść, że przywdział sukienkę duchowną. Książdz, piszący nowele! – było to zjawisko tak niesłychane, nie tylko u nas, że niejednego zniechęcało do książki³.

Z tego też powodu Gnatowski zdecydowanie częściej wspominany jest przez polskie środowisko duchownych. Liczne tytuły i odznaczenia sprawiły, że trwale zapisał się w historii Kościoła. Jako prałata papieskiego, kanonika żytomierskiego, a w drugiej kolejności

¹ S. Bereś, *Ekspursja mistyczna Znikomka do międzyświatów*, [w:] *Między teatrem a literaturą*, red. A. Juzwienka, J. Miodek, Wrocław 2004, s. 505.

² D. Samborska-Kukuć, *Twórca minorum gentium i jego biograf*, [w:] *eadem, Jak rekonstruować biografię i jak opisać twórczość XIX-wiecznego pisarza minorum gentium? (metodologia, źródła, struktury narracji)*. Skrypt akademicki, Łódź 2012, s. 17.

³ W. Czeczot, *Nowele Jana Łady*, „Kurier Warszawski” 1913, nr 352, s. 7.

redaktora i pamiętnikarza, wymienia go *Słownik Polskich Teologów Katolickich*. Jako księdza prałata, założyciela Towarzystwa Ś. Wincentego a Paolo, podkomorzego Jego Świątobliwości i wreszcie pisarza, przedstawia się go w *Podręcznej Encyklopedii Kościelnej*.

Do niewielkiej popularności Gnatowskiego przyczynić mógł się także fakt, iż w większości pisywał utwory „spóźnione” – osadzone w estetyce epoki poprzedzającej czasu mu współczesne. Mimo prób komentowania otaczającej go rzeczywistości, często podejmował tematykę wtórną wobec wydanych już dzieł. Nowelami szkolnymi i obrazkami z życia, choć miejscami zdobywał się w nich na oryginalne koncepty, nie zdołał wybić się przed szereg innych twórców literatury zaangażowanej. Natomiast powieści przynależące do ostatniej fazy twórczości wymienione zostały w kilku słownikach dotyczących literatury fantastycznej (m. in. *Leksykonie polskiej literatury fantastycznonaukowej*), ale ich wznowienia przeszły bez większego echa.

Dysertacja miała na celu zaprezentowanie sylwetki Jana „Łady” Gnatowskiego: rekonstrukcję jego biografii w pierwszej części i wnikliwą lekturę twórczości artystycznej z komentarzem – w drugiej. W wyniku rozległych, czasochłonnych i żmudnych kwerend udało się zgromadzić znaczną liczbę źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, wykorzystanych w monografii. Klarowny podział pracy na cztery części, poświęconych kolejno: biografii; literaturze podróżniczej; katechizującej i wreszcie fantastycznej prałata, miał na celu możliwie jak najstaranniejsze przyjrzenie się większości opublikowanych dzieł Gnatowskiego.

Dokonując podsumowania prezentowanej twórczości prozatorskiej, należy przede wszystkim podkreślić jej różnorodność formalną, przy jednoczesnej jednorodności jej przekazu. Uciekając się do pewnego uproszczenia, dorobek literacki Gnatowskiego można określić mianem „**walki o dusze czytelników**”, niekiedy rażąco dewocyjnej, niekiedy cechującej się „darem kompozycji i czarem słowa, czarem wdzięcznym i dźwięcznym zarazem, który ucho słuchacza przykuwa do siebie na zawsze”⁴.

Do niezwykle udanych przykładów twórczości prałata należą listy z jego licznych podróży, szczególnie debiutanckie *Listy z Konstantynopola*. Na pochwałę zasługują też opowiadania, w których autor plastycznie odmalowuje szwajcarskie krajobrazy i ludowe śpiewy tamtejszych górali, dając się poznać czytelnikom nie tylko jako kaznodzieja, ale też znawca sztuki i meloman (*W Tyrolu; Gwiazdka w Baedekerze*).

⁴ A.N., *Światła i cienie*, „Wędrowiec” 1895, nr 14, s. 269.

Z utworów fantastycznych warto przypomnieć *Oman* oraz *Antychrysta*, najbardziej udane, oryginalne i pisane z epickim rozmachem powieści prałata. Gorzej pod tym względem prezentuje się *W zaklętym zamczysku*, w którym autor usilnie próbował naśladować styl Henryka Sienkiewicza, zapominając jak gdyby, że jego własne koncepty miejscami nie ustępują mistrzostwu autora *Trylogii*. Jakiel o *Białych i czarnych duchach* pisze, iż: „w zasadzie nie mają odpowiednika w innych utworach tego czasu”⁵.

Dubowik natomiast, mimo że nazywa Ładę „pisarzem drugorzędnym”, przyznaje także:

Z drugiej jednak strony stwierdzić wypada, że *Oman* wyprzedza pewne tendencje literackie XX wieku. Autor – podobnie jak później Tolkien – połączył elementy historii z baśnią fantastyczną (...). Powodzenia jednak nie osiągnął. Zabrakło mu na pewno talentu na miarę Tolkiena, baśń dla dorosłych w przededniu I wojny światowej też nie była chyba na czasie⁶.

Badacz zdaje się potwierdzać stawiane przez nas tezy: po pierwsze, Gnatowski często pisywał utwory „spóźnione”, po drugie czasy, w których tworzył, nie sprzyjały jego popularności. Zwrot w stronę eksperymentów formalnych i prozy psychologicznej, jaki nastąpił w literaturze XX wieku, spowodował „odsunięcie na bok”, czy też zignorowanie twórczości tych pisarzy, którzy częściej decydowali się na tradycyjną narrację powieściową.

Jednocześnie podkreślić należy, że twórczość Gnatowskiego stanowi doskonałą „kwintesencję dziewiętnastowieczności”, czy też, jak pisze Jakiel: „skrupulatnie zebrany i literacko przetworzony obraz kultury religijnej polskich katolików przełomu XIX i XX w.”⁷. Gnatowski, jako świadek przełomowych dla narodu polskiego momentów, stanowi przykład literata – może nie wybitnie uzdolnionego – ale płodnego, sumiennego, gotowego na doskonalenie swojego warsztatu, a przede wszystkim dalekiego od obojętności na otaczające go sprawy. Dlatego też na sylwetkę jego patrzeć winniśmy holistycznie, pamiętając przy tym, że karierę pisarską musiał pogodzić z obowiązkami pedagoga (katechety), publicysty, aktywisty i prałata.

⁵ E. Jakiel, *Księżda Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 375.

⁶ H. Dubowik, *Fantastyka w literaturze polskiej...*, s. 184-185.

⁷ E. Jakiel, *Księżda Jana Gnatowskiego obraz współczesności...*, s. 376.

- Adamski W. 40
- Bachórz J. 57, 181, 254, 329
- Balzak H. 229
- Bartoszewicz K. 156, 162, 168, 179
- Bartoszyński K. 180, 181
- Berent W. 229
- Bereś S. 330
- Biliński K. 12
- Bliziński J. 204
- Bonecki H. 64
- Boniecki A. 14
- Boriello L. 152, 155
- Budrewicz T. 271, 277
- Carducci G. 241
- Chlebowski B. 17
- Chmielowski P. 11, 24
- Chocimski Z. 318
- Chołoniewski A. 41, 42
- Corazzi A. 31
- Czapelski T. 26
- Czczot W. 49, 248, 330
- Da Vinci L. 26
- Dąbrowska M. 206
- de Amicis E. 64, 66, 67, 69
- Deharbe J. 55
- della Croce S.G. 152, 155
- der Lehr A. 32
- Drabikowska M. 252, 255, 256, 259
- Du Plessis A.E.S. 23
- Dubowik H. 8, 12, 251, 269, 292, 299, 304, 305, 309, 311, 332
- Dunkel J. 294
- Dymann F. 59
- Engels F. 148
- Fajęcki A. 7, 22, 24, 31, 35, 37, 50
- Felczak W. 99
- Flach J. 233, 237, 238
- Gadomski J. 62, 64, 67, 69, 75
- Gal S. 30, 47, 329
- Galek C. 12, 196
- Galle H. 239
- Gawęda R. 12
- Gawron A. 259, 260
- Gazda G. 252
- Gnatowska M. 15
- Gnatowski A. 15
- Gnatowski G.E. 15
- Gnatowski J.B. 15
- Goethe J.W. 216
- Hahn W. 318, 326
- Hesse H. 168
- Hołowczyc S. 31
- Hugo W. 33, 144, 198, 199
- Hutnikiewicz A. 247
- Ibsen H. 204
- Jakiel E. 9, 10, 11, 14, 24, 52, 118, 123, 124, 126, 129, 131, 133, 136, 139, 140, 142, 146, 147, 148, 197, 213, 215, 219, 221, 224, 226, 227, 231, 239, 240, 241, 242, 243, 244, 245, 263, 269, 309, 310, 312, 313, 315, 329, 332
- Jakowicki W. 59
- Jakubiak K. 298
- Janion M. 257, 260, 261, 265

Jeske-Choiński T. 66, 69, 168
 Jong E. 285, 286
 Jurewicz O. 72
 Kamionka-Straszakowa J. 57, 63, 84
 Karoń-Ostrowska A. 245
 Kaulbach W. 94
 Kleiner J. 8, 29, 31, 34, 36, 44, 52, 53, 291, 293, 294, 295, 297, 300, 306, 328
 Kochanowski J. 274
 Kołakowski K. 204, 205, 207, 208, 212
 Konarski K. 272, 276, 284
 Konopnicka M. 29, 43, 258
 Korotyński B.W. 47, 48
 Kotarbiński J. 23, 29
 Kowalczykowska A. 57, 181, 254, 329
 Krasieński Z. 44, 216
 Kraszewski J.I. 30, 251, 270
 Kubisiak M. 265, 268
 Kulewski A. 46
 Kwiatkowski J. 302
 Lanckoroński K. 141
 Larys-Pawińska H. 204
 Le Bon G. 236
 Leon XIII 8, 35, 42, 47, 99, 155
 Lewalski K. 12
 Lewicki K. 23, 40
 Lisicka z Mycielskich A. 148, 153, 155, 168, 179, 180
 Litke F. 69
 Luksemburg R. 320
 Luter M. 94, 269
 Łepicki S. 7, 27, 28, 38, 44, 46, 159, 329
 Łuczkiewicz S. 294
 Malinowski M. 31
 Mann M. 69
 Mann T. 215
 Mateja P. 271
 Matuszek G. 248
 Mazanowski A. 239, 264, 270
 Mickiewicz A. 206, 267, 288
 Milton J. 241, 242
 Misiuna D. 307
 Myszor W. 299
 Niewiadowski A. 47
 Nowakowski A. 270
 Nowowiejski A.J. 59
 Olszewska M. 277
 Opacka J. 15, 28
 Orwell G. 297
 Orzeszkowa E. 225, 229
 Oskar M. 308
 Ostrowski W. 269, 270, 271, 279, 280
 Paczkowska B. 254
 Pasek J.H. 180, 280
 Paszkowski E. 235
 Pierzchała M. 152
 Pius X 47, 48
 Piwiński L. 326, 327
 Podraza-Kwiatkowska M. 245
 Prus B. 229
 Przybyszewski S. 242, 247, 248, 318
 Reichman F. 46
 Renan E. 11
 Reymond W.S. 244
 Rosiek S. 260
 Rousseau J.J. 18, 227
 Różycka-Bryzek A. 72
 Rulikowski E. 17

Rzewuski H. 180	Szandlerowski A. 12
Samborska-Kukuć D. 229, 330	Świerkocki M. 251
Sapieha A. 47	Tarnowski S. 23, 271
Sarnecki Z. 24, 26, 29, 37, 49, 84	Uruski S. 15
Scott W. 251, 271, 276, 279, 282	von Hammer J. 69
Sechan K. 78	von Hartel W. 27
Siemieński L. 30	Vuarnet J.N. 303
Sienkiewicz H. 29, 42, 52, 57, 251, 261, 267, 271, 272, 275, 278, 279, 305, 306	Wagner R. 106
Skiwski E. 118	Walewski W. 17
Stachura R. 271	Wiecki W. 220, 221, 232
Stateczny F. 12	Włodek P. 46
Stoker B. 254, 283, 312	Wysołuch I. 12
Strzelczyk J. 274	Wyspiański S. 204
Sygietyński A. 181	Zieliński J. 31
	Zwierowicz A. 59

BIBLIOGRAFIA

BIBLIOGRAFIA PODMIOTOWA

ŹRÓDŁA DRUKOWANE

- Gnatowski J., *Listy z Konstantynopola*, Kraków 1883
- Gnatowski J., *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 118
- Gnatowski J., *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 123
- Gnatowski J., *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 128
- Gnatowski J., *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 133
- Gnatowski J., *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 139
- Gnatowski J., *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 145
- Gnatowski J., *Listy z Berlina*, Dodatek do „Wieku” 1884, nr 151
- Gnatowski J., *Listy z nad Adryatyku*, Warszawa 1891
- Gnatowski J., *Dwie Pasje. Vorderthiersee i Oberammergau*, Warszawa 1891
- Gnatowski J., *O duszę. Powieść*, Warszawa 1895
- Gnatowski J., *Pastele*, Lwów 1895
- Gnatowski J., *Wybór pism. T.1: Studya*, Lwów 1896
- Gnatowski J., *Z doliny łez*, Lwów 1900
- Gnatowski J., *Sweet boy. Trzy nowele*, Lwów 1904
- Gnatowski J., *W kwestii żydowskiej*, Warszawa 1909
- Gnatowski J., *Jak liście z drzew strącone... Pastel sceniczny w 1 akcie*, Lwów 1911
- Gnatowski J., *Proboszcz z Priesslau*, Warszawa 1912
- Gnatowski J., *Ostatnia msza*, Lwów 1912
- Gnatowski J., *Oman. Czarodziejska historia o Rycerzu-upiorze, o Wodnicy-topielicy i o padewskim studencie*, Warszawa 1913

Gnatowski J., *Lucifer*, Warszawa 1913

Gnatowski J., *Doczekał! Z dawnych wspomnień*, Warszawa 1916

Gnatowski J., *Antychryst. Opowieść z ostatnich dni świata*, Poznań 1920

Gnatowski J., *Białe i czarne duchy*, Warszawa 1921

Gnatowski J., *Zły czar. Powieść*, Poznań 1922

Gnatowski J., *W zaklętym zamczysku. Powieść z lat dawnych*, t. 1-2, Warszawa 1925

Gnatowski J., *O minionych czasach i ludziach*, „Przegląd Warszawski” 1925, nr 46

ŹRÓDŁA RĘKOPIŚMIENNE

List ks. Jana Gnatowskiego do Józefa Ignacego Kraszewskiego z 1884. Rkps Bibl. Jagiel. sygn. 6503 IV

Listy ks. Jana Gnatowskiego do Brunona Wincentego Korotyńskiego z 1911. Rkps Bibl. Nar. sygn. 7284, t. IV

Listy ks. Jana Gnatowskiego do Zygmunta Sarneckiego, b.d., Rkps Bibl. Jagiel., sygn. 6714

List Witolda Czeczota do ks. Jana Gnatowskiego z 29 stycznia 1913 r., rkps BN, sygn. 7290

Listy A. Mazanowskiego do ks. J. Gnatowskiego z dn. 28 czerwca 1913 r., rkps BN, sygn. 7290

- [b.a.] *Jan Łada, Sweet boy*, „Tygodnik Ilustrowany” 1905, nr 12
- [b.a.] *Proboszcz z Priesslau*, „Czas” 1912, nr 43
- [b.a.], „*Pastele*” *Jana Łady*, „Kronika Rodzinna”, R. 1895, nr 22
- [b.a.], *Antychryst. Opowieść z ostatnich dni świata*, *Encyklopedia Fantastyki*,
http://encyklopediafantastyki.pl/index.php?title=Antychryst._Powie%C5%9B%C4%87_z_ostatnich_dni_%C5%9Bwiata, [dostęp online: 27.04.2015r.]
- [b.a.], *Białe i czarne duchy*, „Tygodnik Ilustrowany” 1920, nr 33
- [b.a.], *Jan Łada. Z doliny łez*, „Gazeta Lwowska” 1900, nr 178
- [b.a.], *Kult szatana*, „Gazeta Lwowska” 1896, nr 90
- [b.a.], *O Sienkiewicz*, „Gazeta Narodowa” 1895, nr 38
- [b.a.], *Odczyt ks. prałata Gnatowskiego...*, „Gazeta Lwowska” 1897, nr 41
- [b.a.], *Śp. Ksiądz Jan Gnatowski*, „Przegląd Katolicki” 1925, nr 43
- [b.a.], *Wiadomości literackie i artystyczne*, „Kurier Poznański” 1904, nr 250
- A.N., *Światła i cienie*, „Wędrowiec” 1895, nr 14
- Bartoszewicz K., *Wrażenia literackie. Pastele Jana Łady*, „Kraj” 1895, nr 26
- Biliński K., *Literackie przejawy modernizmu katolickiego w Polsce, O twórczości Franciszka Statecznego, Antoniego Szandlerowskiego i Izydora Wysołucha*, Gdańsk 1994
- Black J., Green A., *Słownik mitologii Mezopotamii*, Katowice 1998
- Boniecki A., *Herbarz Polski*, t. VI, Warszawa 1903
- Boriello L., della Croce G. S., Secondin B., *Historia duchowości. Tom VI: Współczesność*, tłum. M. Pierzchała, Kraków 1998
- Chmielowski P., *Dziele krytyki literackiej w Polsce*, Warszawa 1902
- Chmielowski P., *Wielka Encyklopedia Ilustrowana*, Warszawa 1900
- Chocimski Z., *Ezoteryczne źródła komunizmu*, „Frona” 1997, nr 9/10

- Chołoniewski A., *Nieśmiertelni. Fotografie literatów lwowskich*, Lwów 1898
- Czapeski T., *Jan Łada*, „Tygodnik Ilustrowany” 1904, nr 1
- Czeczot W., *Nowele Jana Łady*, „Kurier Warszawski” 1913, nr 352
- Dolmabahçe Palace, National Palaces of Turkey*, źródło:
<http://www.millisaraylar.gov.tr/portalmain-en/Palaces.aspx?SarayId=16>, [dostęp online:
24.03.2013 r.]
- Dubowik H., *Fantastyka w literaturze polskiej. Dzieje motywów fantastycznych w zarysie*, Bydgoszcz 1999
- Dunkel J., *Apokalipsa. Ostatnie wydarzenia na ziemi w prorocत्वach Pisma Świętego*, Mszczonów 2001
- ej, *Powieść i nowela*, „Wiadomości literackie” 1925, nr 44 (96)
- Encyklopedia Kultury Bizantyńskiej*, red. O. Jurewicz, Warszawa 2002
- Fajęcki A., *Ks. Jan Gnatowski*, „Ateneum Kapłańskie” 1925, t. 16, nr 190
- Felczak W., *Historia Węgier*, Wrocław 1966
- Flach J., „Przegląd Polski” 1912, t. 185
- Gadomski J., *Przegląd literacki*, „Kłosa” 1883, nr 961
- Galek C., *Wychowanie religijne dzieci i młodzieży szkolnej na ziemiach polskich przełomu XIX i XX wieku w świetle literatury pięknej i pamiątkarskiej*, „Studia Pastoralne” 2009, nr 5
- Gall S., *Gnatowski Jan*, [w:] *Podręczna Encyklopedia Kościelna*, red. ks. Z. Chelmiński, t. XII-XIV, Warszawa 1907
- Galle H., *Kronika literacka*, „Biblioteka Warszawska” 1913, t. 4, s. 516.
- Gotycyzm i groza w kulturze*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Płuciennik, Łódź 2003
- Hahn W., *Z ruchu wydawniczego*, „Gazeta Lwowska” 1922, nr 279

- <http://www.e-teatr.pl/en/osoby/16748,karierateatr.html#start>, [dostęp online: 06.03.2015r.]
- Hutnikiewicz A., *Młoda Polska*, Warszawa 2008
- Jacobs J., Brame W. D., Brame G. G., *Inna rozkosz. Świat dominacji i uległości seksualnej*, Warszawa 2013
- Jakiel E., *Clericalis – bohater Lucifera Jana Gnatowskiego*, [w:] „Słupskie Prace Filologiczne. Seria Filologia Polska” nr 2, Słupsk 2004
- Jakiel E., *Księdza Gnatowskiego obraz współczesności. Wybrane zagadnienia literackie*, [w:] *Literatura niewyczerpana. W kręgu mniej znanych twórców polskiej literatury lat 1863-1914*, red. K. Fiolek, Kraków 2014
- Jakiel E., *Młodopolskie portrety biblijne. Wybrane zagadnienia i kreacje*, Gdańsk 2007
- Jakiel E., *W służbie katechezy. Teksty literackie w periodykach religijnych 1890-1918 w kontekście Młodej Polski*, Gdańsk 2010
- Jakowicki W., *Przewodnik po Odessie z planem miasta. Opis drogi z Warszawy do Odessy*, Warszawa 1910
- Janion M., *Gorączka romantyczna*, wyd. II, Gdańsk 2007
- Jeske-Choiński T., *Literatura polska*, „Głos Narodu” 1895, nr 271
- Jeske-Choiński T., *Ruch naukowo-literacki*, „Niwa” 1884, nr 224
- Jong E., *Czarownice*, tłum. D. Chojnacka, Poznań 2003
- Kancjonał pieśni nabożnych według obrządku Kościoła św. Katolickiego na uroczystości z całego roku, z przydatkiem wielu nowych pieśni o świętach Pańskich*, praca zbiorowa, Mikołów 1863
- Kariera teatralna Heleny Larys-Pawińskiej*, *E-Teatr*, źródło:
- Karoń-Ostrowska A., *Mistrz-uczeń, czyli miłość niejedno ma imię*, „Więź” 2009, nr 9
- Kleiner J., *Jan Łada*, „Tygodnik Ilustrowany” 1925, nr 43

- Kleiner J., *Powieść o końcu świata*, „Słowo Polskie” 1921, nr 140
- Kołąkowski K., *Notatki literackie i artystyczne*, „Dziennik Polski” 1903, nr 559
- Konarski K., *Jan Łada* – „*W zaklętym zamczysku*”, „Oświata Polska” 1929, nr 3.]
- Księga adresowa miasta Lwowa*, red. F. Reichman, Lwów 1902
- Kwiatkowski J., *Proza nowatorska*, [w:] *idem, Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2001
- Lehr A., *Die Gnatowskis. Die Geschichte einer masowischen Familie*, Nürnberg 2000
- Lewalski K., *Kościół chrześcijański w Królestwie Polskim wobec Żydów w latach 1855-1915*, Toruń 2013
- Line breaks - limbo*, <http://www.oxforddictionaries.com/definition/english/limbo>, [dostęp online: 21.04.2015r.]
- Lisicka z Mycielskich A., *brak tytułu*, „Przegląd Polski” 1895, t. 117
- Łempicki S., *Złote paski. Wspomnienia ze szkoły galicyjskiej*, Warszawa 1957
- Majda O., *Wstęp*, [w:] C. G. Leland, *Aradia, ewangelia czarownic*, Warszawa 2011
- Mała Encyklopedia Powszechna PWN*, red. H. Bonecki, Warszawa 1974
- Mateja P., *Klasyka polskiej literatury grozy*, http://www.carpenochem.pl/wp-content/uploads/2013/10/klasyka_polskiej_grozy.pdf, [dostęp online: 20.04.2015r.]
- Matuszek G., *Stanisław Przybyszewski - pisarz nowoczesny. Eseje i proza - próba monografii*, Kraków 2008
- Mazanowski A., *Najnowsza polska powieść historyczna*, „Przegląd Powszechny” 1917, t. 137
- Między teatrem a literaturą*, red. A. Juzwienka, J. Miodek, Wrocław 2004
- Misiuna D., *Odrodzenie Magii. 1. Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku*, Serwis Okultura, <http://www.okultura.pl/teksty/dariusz-misiuna/odrozenie-magii-1/2/>, [dostęp online: 04.05.2015r.]

- Misiurek J., *Wielkie mistyczki Kościoła*, Lublin 1999
- Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian, Poznań 1998
- Niewiadowski A., *Leksykon polskiej literatury fantastycznonaukowej*, Poznań 1990
- Nowowiejski A. J., *Dzieje Instytutu Matki Bożej Miłosierdzia (1818-1907)*, Płock 1908
- Olszewska M. J., *Krzepiąca siła historii. O pisarstwie historycznym Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej)*, [w:] *Powieść historyczna dawniej i dziś*, red. R. Stachura, T. Budrewicz, B. Faron, Kraków 2007
- Paszkowski E., *Proboszcz z Priesslau*, „Dziennik Kijowski” 1912, nr 39
- Piwiński L., *J. Łada: Zły czar*, „Przegląd Warszawski” 1923, nr 17
- Podraza-Kwiatkowska M., *Wolność i transcendencja. Studia i eseje o Młodej Polsce*, Kraków 2001
- Ra. F., *Łada Jan: Pastele*, „Tygodnik Ilustrowany” 1895, nr 29
- Randles J., Hough P., *Tajemnica życia po śmierci*, Warszawa 2004
- Religie starożytnego Bliskiego Wschodu*, pod red. K. Pilarczyka i J. Drabiny, Kraków 2008
- Reymont W.S., *Wampir*, Warszawa 1986
- S., *Jan Łada*, „Kraj” 1901, nr 34
- Samborska-Kukuć D., *Jak rekonstruować biografię i jak opisać twórczość XIX-wiecznego pisarza minorum gentium? (metodologia, źródła, struktury narracji). Skrypt akademicki*, Łódź 2012
- Samborska-Kukuć D., *Kobieta pośród wrogów. Marty Świckiej droga do samoświadomości*, [w:] *Świat wartości w literaturze*, red. E. Sadzińska, A. Szymańska, Łódź 2009
- Sarnecki Z., *Jan Łada*, „Świat” 1895, nr 10

- Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red.
B. Chlebowski, W. Walewski, t. 10, Warszawa 1889
- Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykowa, wyd. IV,
Wrocław 2009
- Słownik rodzajów i gatunków literackich*, red. G. Gazda, wyd. II, Warszawa 2012
- Stachura R., *Stanisław Tarnowski o Trylogii Henryka Sienkiewicza*, [w:] *Powieść historyczna dawniej i dziś*, red. R. Stachura, T. Budrewicz, B. Faron, Kraków 2007
- The New International Encyclopaedia*, red. D. C. Gilman, H. T. Peck, F. M. Colby,
Volume IX, New York 1905
- Uruski S., *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej*, t. IV, Warszawa 1907
- Vuarnet J. N., *Ekstazy kobiece*, tłum. K. Matuszewski, Gdańsk 2003
- Wiecki W., *Przegląd piśmiennictwa*, „Przegląd Powszechny” 1905, t. LXXXV
- Wielcy Mistrzowie Zakonu Krzyżackiego* | ZakonKrzyżacki.pl,
http://www.zakonkrzyzacki.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=22:wielcy-mistrzowie&catid=29:the-cms&Itemid=29, [dostęp online: 03.04.2015r.]
- Wielki leksykon pisarzy polskich*, red. J. Pieszczachowicz, t. IV, Kraków 2005
- Włodek P., Kulewski A., *Lwów. Przewodnik*, Warszawa 2006
- Z.W., *Z teatru...*, „Słowo Polskie” 1903, nr 565
- Zob. S. Łuczkiewicz, *Antychryst i Apokalipsa*, Lublin 2002

1. Portret J. Gnatowskiego z okresu lwowskiego, źródło: archiwum rodzinne (s. 2)
2. Herb szlachecki Łada, źródło: <http://www.bogowiepolscy.net/lado-lada-2.html> (s.16)
3. Dwie fotografie majątku szlacheckiego Skarżynówka, źródło: archiwum rodzinne (s. 21)
4. Portret młodego J. Gnatowskiego, źródło: archiwum rodzinne (s. 25)
5. Portret starego J. Gnatowskiego, źródło: archiwum rodzinne (s. 51)
6. Strona tytułowa debiutanckiej powieści Gnatowskiego pt. *O duszę*, źródło: <http://polona.pl/item/11113867/6/> (s. 117)
7. Strona tytułowa zbioru opowiadań *Z doliny łez*, źródło: <http://polona.pl/item/22771/2/> (s. 183)
8. Strona tytułowa jednoaktowego dramatu pt. *Jak liście z drzew strącone...*, źródło: <http://polona.pl/item/11113203/4/> (s. 203)
9. Ilustracja zamieszczona w powieści pt. *Oman*, sygnowana podpisem „St.S.”, źródło: <http://polona.pl/item/63390/11/> (s. 249)
10. Ilustracja zamieszczona w powieści pt. *Oman*, sygnowana podpisem „St.S.”, źródło: <http://polona.pl/item/63390/223/> (s. 253)
11. Strona tytułowa powieści *Antychryst*, źródło: <http://polona.pl/item/65044/2/> (s. 290)
12. Strona tytułowa powieści *Zły czar*, źródło: <http://polona.pl/item/48106/3/> (s. 316)

Zastosowano następujące zmiany pisowni względem oryginałów:

1. Modernizacja samogłoski ‘y’ na ‘i’, np. patrotyzm → patriotyzm
parafyan → parafian
2. Modernizacja końcówki ‘yj’ do ‘ii’ bądź ‘ji’, np. pretensyj → pretensji
kuryer → kurier
3. Modernizacja końcówki ‘ja’ do ‘ia’, np. Zofja → Zofia
3. Modernizacja spółgłoski ‘z’ na ‘s’ w przymiotnikach, np. wązki → wąski
nizki → niski
4. Zmiana łącznej pisowni ‘nie’ z czasownikami, np. niezrobiłaby → nie zrobiła by
5. Zmiana łącznej pisowni ‘by’, np. znowuby → znowu by
mieliby → mieli by
6. Zachowuje się rozróżnienie końcówek **-em**, **-emi**, **-ym**, **-ymi** wedle końcówki
odnośnego mianownika, np. słonecznem, tem samem, silnemi, etc.
7. Zachowuje się oryginalną interpunkcję teksów.